

MIECZYSLAW  
GORZKA

ILUZIJA

BUKOWY LAS



Było już wpół do dwunastej przed południem. Stefan Wilski czuł się, jakby oglądał film kryminalny. Tylko napięcie było o wiele większe. Na początku komisarz wydał mu się typowym aroganckim policjantem, takim, któremu się już nie bardzo chce. Wilski przysłuchiwał się z ciekawością rozmowie komisarza z technikami nad skrzynią tapczanu.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – zapytał jeden z techników. – Wygląda, jakby leżała w rodzinnym grobowcu.

Przedsiębiorca budowlany odniósł dokładnie takie samo wrażenie. Tym, co wziął za kłęb starych szmat, kiedy pierwszy raz zajrzał do skrzyni, była kobieta.

Właściwie zmumifikowane szczątki kobiety. Ubranej w staromodną sukienkę w kwiatki, wełniany, rozpinany na piersiach sweter i czarne, wiązane półbuty.

Tak naprawdę trudno było ocenić, ile mogła mieć lat w chwili śmierci. Splecione na piersiach dłonie z długimi paznokciami były szare i wyglądały jak wykute z kamienia. Długie włosy o trudnym do zidentyfikowania kolorze zaczesane były do tyłu i zaplecione w warkocz, którego koniec spoczywał dokładnie między piersiami. I twarz...

Kiedyś musiała być piękną kobietą i ktoś, kto ją tutaj przyniósł, zadbał o to, żeby nadal była piękna. Tyle tylko, że efekt był upiorny.



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza. Zdjęcie z wakacji

1. Człowiek w kapeluszu

2. Zwłoki w tapczanie

3. Psie kły

4. Nekrofilia

5. List

6. Telefony

7. Brat

8. Gwóźdź w czaszce

9. Album

10. Anatomia miłości

11. Iniekcja

12. Trzy kobiety

13. Złudzenie

14. Przesłuchanie

15. Sznur

16. Paulina Czerny

17. Powiązanie

18. Martwe oczy

19. Gra

20. Skrzynia

## Część druga. Biały szkwał

21. Dzwonek
22. Działka
23. Telefon
24. Wzgórze
25. Profil
26. Trutka na szczury
27. Piwnica
28. Magda
29. Prawda
30. Zazdrość
31. Alibi
32. Inne spojrzenie
33. Lynyrd
34. Klucz
35. Milczenie
36. Twarz
37. DNA
38. Biały szkwał
39. Skrzydła

## Część trzecia. Iluzja

40. Iluzja
41. Trop
42. Szpital
43. Cmentarz
44. Parol
45. Jezioro

46. Ucieczka
  47. Idealna rodzina
  48. Pomost
  49. Detektyw
  50. Kac
  51. Johnny
  52. Całość historii
  53. Pułapka
  54. Hotel
  55. Most
  56. Chaos
  57. Whisky
  58. Iluzjonista
- Koniec

Okładka

MIECZYŚŁAW  
GORZKA

# ILUZJA

BUKOWY LAS

Copyright © by Mieczysław Tomasz Gorzka, Wrocław 2019  
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do  
reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-8074-236-9

PROJEKT OKŁADKI: Paweł Cesarz  
FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: Nathan Wright / Unsplash  
REDAKCJA: Olga Gitkiewicz  
KOREKTA: Magdalena Fortuniak  
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.  
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław  
[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Skład wersji elektronicznej: [pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

Część pierwsza

## **Zdjęcie z wakacji**



# 1 Człowiek w kapeluszu

18 czerwca, czwartek wieczorem

Pogoda gwałtownie się zmieniła.

Przez dwa kwadranse leniwie siąpił deszcz, splukując szary pył z trotuarów. Potem przestało padać, ale niebo pozostało zasnuwane grubą warstwą chmur. Pochłodziło.

– Zmarzłam – Agnieszka objęła się ramionami i zadrżała.

Robert ściągnął z pleców dzinsową kurtkę i narzucił jej na ramiona. Skorzystał też z okazji, żeby przyciągnąć ją do siebie i pocałować w usta.

– Daj spokój, ktoś zobaczy – zaśmiała się, zerkając niespokojnie na samochody przejeżdżające z szumem po mokrym asfalcie Wybrzeża Wyspiańskiego, jakby wszyscy kierowcy gapili się tylko na nich i jeszcze robili im potajemnie zdjęcia, które natychmiast umieszczali gdzieś w Sieci.

– Niby kto? – zakpił. – Jesteśmy tu sami.

Stali oparci o metalową barierę tuż przy korycie Odry. Zapadał zmrok, zapaliły się uliczne latarnie. Po lewej stronie widać było stalowe liny kolejki linowej łączącej zachodni brzeg rzeki z Politechniką Wrocławską. Po prawej jasno oświetlony most Grunwaldzki, po którym w obie strony ciągnęły sznury samochodów. Zza mostu wyłaniały się strzeliste wieże katedry i jasna poświata Ostrowa Tumskiego. Światła odbijały się w czarnym nurcie rzeki, tworząc na jej powierzchni różnokolorową, ciągle zmieniającą się mozaikę. Widok robił wrażenie.

Właśnie takie obrazy plus magiczny klimat Rynku i położonego obok placu Solnego sprawiły, że Robert Jasiurski zakochał się we Wrocławiu. Nie wiedział tylko, czy miasto odwzajemni jego gorące uczucie. Od kilku tygodni szukał pracy, żeby sfinansować ostatni rok nauki na Akademii Medycznej. Na razie bezskutecznie.

– A ten facet w kapeluszu? Chyba na nas patrzy.

Rzeczywiście, od strony mostu Grunwaldzkiego wolno zbliżał się do nich mężczyzna. Robert już miał odpowiedzieć żartem, lecz coś go zaniepokoiło w postawie nieznanego. Był dziwnie ubrany, miał na sobie płaszcz sięgający prawie do kostek i kapelusz. Płaszcz był niezapięty. Mężczyzna poruszał się groteskowo nienaturalnie. Szedł bardzo wolno. Stopy w czarnych lakierkach stawiał ostrożnie, jakby miał pod podszewkami warstwę lodu. Chwiał się, kolana ugiwały się pod ciężarem ciała, sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się przewrócić na chodnik.

– Co mu jest? – rzuciła Agnieszka. – Może jest pijany?

Robert pokręcił głową. Nienaturalnie uginające się w kolanach nogi mogłyby świadczyć o tym, że jest pod wpływem heroiny, ale takie przypuszczenie kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem Roberta. Ten człowiek nie wyglądał na narkomana. Robert Jasiurski, student piątego roku medycyny, natychmiast przeanalizował objawy. Kłopoty z sercem? Niewydolność oddechowa? Udar? Nic nie pasowało. Może jednak najzwyczajniej w świecie facet był pijany w sztok?

Tymczasem mężczyzna zbliżył się do nich na kilka kroków, widzieli już wyraźnie jego twarz. Przypominała nieruchomą, zastygłą w wyrazie odrętwienia maskę o barwie kartki papieru. Lśniła potem. Pod rondem staroświeckiego kapelusza à la Philip Marlowe jarzyły się zamglone bólem albo szaleństwem oczy.

Jak dwa martwe diamenty. Myśl, która przemknęła przez głowę Roberta, była zupełnie bezsensowna.

Mężczyzna był dwa kroki od nich. Robert już otwierał usta, żeby go zagadnąć, lecz spojrzał na klatkę piersiową nieznanego i z jego ust nie popłynął żaden dźwięk. Płuca dziwnego przechodnia walczyły o każdy oddech, jakby był nurkiem, a wskaźnik zawartości powietrza w butli dawno wszedł w czerwone pole i zbliżał się do zera. Cienkie, blade wargi były rozchylone w grymasie przypominającym ten, który czasem pojawia się na ustach trupa, kiedy zanika pośmiertne stężenie mięśni. Robert widywał takie uśmiechy na zajęciach w prosektorium, na początku śniły mu się po nocach. To skojarzenie sprawiło, że stanął jak skamieniały. Nawet nie słyszał tego, co Agnieszka mówiła tuż za jego plecami. Widział tylko te wargi.

W ustach mężczyzny zobaczył jeszcze coś dziwnego. Równe zęby w górnej szczęce były czarne.

Robert skupił się na nich w ostatniej chwili, kiedy nieznanomy przed nim przechodził. One nie były czarne, tylko czerwone. Krew!

Krwi było więcej.

Mężczyzna minął ich i zobaczyli jego plecy. Cały tył płaszcz pokrywała wielka, ciemna plama o nieregularnych kształtach. Robert znowu przypomniał sobie, że jest studentem piątego roku medycyny. Szybko ocenił, że krew musi płynąć z rany na głowie. Tylna część kapelusza była zakrwawiona, tak samo jak odkryty kark idącego.

Agnieszka zacisnęła mu rękę na prawym ramieniu i wykrzyknęła do ucha:

– On jest ranny!

Robert znowu nie zdążył się odezwać ani wykonać żadnego ruchu, ponieważ mężczyzna w płaszczu do kostek i w staromodnym kapeluszu nagle się potknął i runął do przodu na chodnik. Upadał jak pozbawiona szkieletu szmaciana lalka. Czoło zaryło w płytę chodnikową z koszmarnym, głuchym

odgłosem. Kapelusz zatoczył półkole i znieruchomiał. Ręce poleciały bezwładnie na boki, nogi pozostały podkurczone. W tej scenie było coś tragicznie groteskowego. Robert czuł się, jakby wszystko oglądał na wielkim kinowym ekranie w zwolnionym tempie.

Ocknął się dopiero, kiedy Agnieszka krzyknęła:

– Trzeba mu pomóc!

Robert ukląkł obok, wyciągnął rękę i zaraz ją cofnął. Widok był przerażający.

W czaszce mężczyzny widniała głęboka dziura o szerokości kilku centymetrów. Na jej brzegach można było dostrzec białe odpryski strzaskanej kości potylicy. Robert zaglądnął w otwór i wydało mu się, że widzi okrwawioną, galaretowatą masę mózgową. Z trudem przełknął napływającą do ust ślinę. Na studiach wielokrotnie widział rozczłonkowane ludzkie zwłoki, dlatego potrafił zapanować nad gwałtownym skurczem żołądka.

Niestety, Agnieszka studiowała pedagogikę.

Usłyszał za plecami jęk, potem odgłos wymiocin rozchlapujących się na chodniku i wreszcie jej przerażający, piskliwy krzyk. Dwie osoby z grupy idących po drugiej stronie ulicy przebiegły na ich chodnik i stanęły tuż obok. Nie słyszał już płaczu Agnieszki i pisku opon zatrzymujących się samochodów, w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl.

Rana na głowie była śmiertelna. Ten człowiek powinien umrzeć natychmiast, w jednej sekundzie. Jak to możliwe, że szedł kilkaset metrów?

Ktoś dzwonił już na numer alarmowy 112.

Kilka minut później Robert usłyszał syrenę policyjnego patrolu.

## 2 Zwłoki w tapczanie

25 czerwca, czwartek przed południem

Zgodnie z dokumentacją, którą prywatny przedsiębiorca budowlany Stefan Wilski otrzymał z magistratu wraz z umową na prace remontowe, mieszkanie na poddaszu kamienicy przy ulicy Siemieńskiego 16 stało puste od ośmiu lat. Ostatnia lokatorka, która zajmowała lokal składający się z dwóch pokoi o powierzchni szesnastu i dwudziestu sześciu metrów, jedenastometrowej kuchni oraz małej łazienki wydzielonej z części kuchni i pokoju, zmarła na początku roku 2006. Nie miała rodziny i mieszkanie komunalne przejęła gmina. Inspektor budowlany przeprowadził wizję lokalną już miesiąc później. Z notatki, którą wtedy sporządził, wynikało, że lokal nadaje się do kapitalnego remontu. I tu zaczęły się biurokratyczne schody.

Stefan Wilski od kilkunastu lat remontował takie lokale, więc doskonale wiedział, jak wygląda cała procedura i dlaczego ciągnie się w nieskończoność. W tej sferze rządziła mieszanka urzędniczego chaosu i zbyt niskich kompetencji rozproszona na trzy jednostki organizacyjne: Wydział Lokali Mieszkalnych, Zarząd Zasobu Komunalnego i spółkę Wrocławskie Mieszkania.

Stefan Wilski miał sześćdziesiąt trzy lata, nadwagę, nadciśnienie i kłopoty z sercem. Od dawna zastanawiał się, po co jeszcze prowadzi firmę. Mógłby przejść na emeryturę i zająć się uprawą działki. Co prawda nie dorobił się na biznesie budowlanym wielkich pieniędzy, ale miał co nieco odłożone na

czarną godzinę z kilku dużych transakcji, które zdołał ukryć przed fiskusem. Branża budowlana w Polsce nigdy nie miała najlepszej opinii. Od upadku komunizmu i zmiany profilu gospodarki na rynkowy nic się nie zmieniło. Każdy najmniejszy kryzys powodował nawarstwianie się zatorów płatniczych i w konsekwencji upadek najmniej odpornych na brak gotówki przedsiębiorców. Wilski miał trochę szczęścia i parę razy udało mu się po takim upadku stanąć na nogi. Odżył, kiedy zaczął współpracować z gminą Wrocław i remontować takie pustostany jak ten na Siemieńskiego. Kasa nie była duża, ale za to w terminie. Starczało na zatrudnienie kilku pracowników i odłożenie na emeryturę. Może dlatego jeszcze się nie wycofał? Szkoda było rezygnować, kiedy nareszcie wyszedł na prostą.

Dzień wcześniej podpisał umowę na remont lokalu numer dwadzieścia jeden i w czwartek już przed dziesiątą wraz z dwoma pracownikami wchodził po skrzypiących drewnianych schodach na poddasze kamienicy. Wilski zasapał się i przystawał na półpiętrach, żeby chwilę odpocząć. Pracownicy stawiali na stopniach skrzynki z narzędziami i czekali na niego cierpliwie.

U Wilskiego zarabiano się dobrze. Był twardy, konsekwentny i sprawiedliwy. To zjednało mu szacunek i prestiż. Kto już zaczął dla niego pracować, zostawał na długie lata.

Wreszcie znaleźli się przed drzwiami lokalu. Na poddaszu, po prawej stronie od schodów, było jeszcze tylko mieszkanie numer dwadzieścia dwa. Wilski miał klucz, jednak zauważył, że mniej więcej w połowie wysokości starych, ciężkich, drewnianych drzwi z łuszczącą się farbą ktoś zamontował sztabę zabezpieczoną wielką, zardzewiałą kłódką. Nawet ucieszył się, że mieszkanie jest zamknięte na głucho. Wielokrotnie zdarzało się, że w lokalach, które miał remontować, zamieszkiwali dzicy lokatorzy, menele lub narkomani. Takich gości trudno było się pozbyć.



– Zenek, dasz radę? – zapytał.

Wysoki, dobrze zbudowany blondyn w ciemnozielonym ubraniu roboczym wzruszył ramionami.

– Jasne, szefie – odpowiedział i sięgnął do skrzynki po łom.

Kłódka wytrzymała, ale sztaba przybita gwoździami do spróchniałych drzwi puściła i z metalicznym szczękiem uderzyła w futrynę.

Weszli do środka.

Mieszkanie było w opłakanym stanie. Wilski rzucił okiem na odlepiające się od ścian w wielu miejscach brudne tapety, popękaną farbę na suficie, która w teorii tylko była biała, na łuszczącą się warstwę olejnej na framugach drzwi i ocenił, że ostatni remont zrobiono tu gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Stare meble pokryte były grubą warstwą kurzu i pajęczyn, podłogę pokrywała warstwa śmieci niewiadomego pochodzenia, przez zabrudzone odchodami gołębi okna wpadało do środka niewiele słonecznego światła.

Zapach od razu uderzał w nozdrza. Był inny niż normalny odór pustostanów. Zawierał w sobie jakąś słodkawą i mdlącą nutę, od której natychmiast robiło się niedobrze.

Drugi z robotników, ochrzczony ksywką Student, podszedł do okien i starał się je otworzyć. Były zabite gwoździami, więc udało mu się dopiero po chwili. Do środka wpadł strumień świeżego powietrza i odgłos przejeżdżających ulicą aut. W promieniach słonecznego światła wesoło tańczyły drobinki kurzu.

Wilski podszedł do otwartego okna i zaczerpnął powietrza. Od smrodu aż łzawiły mu oczy.

– Co tu tak jedzie? – jęknął Zenek.

Student wzruszył ramionami.

– Za godzinę będzie kontener – powiedział Wilski. – Popatrzcie, czy szybko da się zdemontować te meble.

Został przy kuchennym stole, a jego ludzie rozeszli się po pokojach.

Nagle jego wzrok padł na stary, powyginany od wilgoci kuchenny blat i aż drgnął zaskoczony. Na blacie zobaczył białą filiżankę, obok słoik kawy rozpuszczalnej i elektryczny czajnik. Wszystkie przedmioty lśniły czystością, jakby dopiero co były używane. Biały kabel przedłużacza biegł po podłodze wprost do skrzynki z licznikiem energii przy drzwiach wejściowych.

– A jednak ktoś tu mieszka – mruknął i w tej samej chwili z pokoju dobiegł go okrzyk Studenta:

– Jezus Maria! Co to?!

Szybko ruszył w tamtą stronę, Zenek już tam był. Wszyscy trzej przez chwilę patrzyli w osłupieniu. Wilski poczuł się dziwnie nierealnie.

– Wygląda jak nagrobek – odezwał się cicho Zenek.

Stefan Wilski miał takie samo skojarzenie.

Pod przeciwległą ścianą stał stary, pokryty warstwą brudu tapczan. Na nim leżało kilka bukietów czerwonych róż. Niektóre były wyschnięte i poszarzałe od kurzu, jakby leżały tu od wielu miesięcy, ale jeden był świeży. Kwiaty dopiero co zwiędły, a kurz nie zdążył ich przykryć. Na stoliku obok stał krzyżyk i wypalony, duży biały znicz nagrobkowy.

Student, bystry chłopak, który studiował zaocznie zarządzanie, otrząsnął się pierwszy.

– Pewnie mieszka tu jakiś menel – powiedział. – Nie ma światła, więc używa zniczy.

Wilski powiedział im o swoim znalezisku w kuchni. Spojrzeli na niego zdziwieni.

– Otwórzcie ten tapczan – powiedział przedsiębiorca zdjęty nagłym przecuciem.

Zenek podniósł jedną część tapczanu, usłyszeli kliknięcie mechanizmu zapadkowego unieruchamiającego podniesioną część. Zajrzeli ciekawie do skrzyni.

Stefan Wilski w pierwszym momencie pomyślał, że leżą tam stare szmaty. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał swoją pomyłkę. Zrobiło mu się słabo i pewnie byłby upadł, gdyby pracownicy nie złapali go mocno za ramiona.

\*

Policjant wyglądał na mężczyznę po czterdziestce. Był wysoki, szczupły, ale nie chudy, miał szare, zmęczone oczy z nienaturalnie czerwonymi, jakby opuchniętymi powiekami. Błądą twarz dopełniały wąski nos i usta z wargami ułożonymi w poziomą kreskę. Miał proste blond włosy z wyraźnie widocznymi pasmami siwizny, szczególnie na skroniach. Ubrany był w wytartą dżinsową bluzę, narzuconą na czarny T-shirt z napisem w języku angielskim, szare obcisłe spodnie i czarne buty marki Salomon. Stefan Wilski znał tę markę, ponieważ kupił dokładnie takie same wnukowi z okazji urodzin. Mężczyzna nie wyglądał na policjanta, bardziej kojarzył się Wilskiemu z potencjalnym przestępcą niż stróżem porządku. Albo z lekko podstarzałym muzykiem rockowym. Szczególnie z przydługimi – jak na gust Wilskiego – włosami rozdzielonymi przedziałkiem na środku. Ale może tak właśnie powinien wyglądać śledczy? Nie za bardzo różnić się od półświatka, żeby skuteczniej działać.

Policjant się przedstawił, błysnął odznaką, ale Wilski nie zapamiętał ani imienia, ani nazwiska. Zapamiętał tylko przyjemny tembr głosu. Według niego zupełnie niepasujący do postaci.

Komisarz jakiś tam.

Najpierw – już po kwadransie od zgłoszenia – przyjechał policyjny patrol. Dwóch mundurowych po kolei zaglądało do skrzyni w wersalce. Obaj robili się bladzi, głośno przełykali ślinę, po czym wychodzili z pokoju, grając twardzieli. Wygonili

Zenka i Studenta na korytarz i tak samo chcieli zrobić ze Stefanem Wilskim. Tyle tylko, że przedsiębiorca źle się poczuł i siedział na skrzypiącym krześle przy kuchennym oknie. Wziął tabletki na nadciśnienie i nie było mowy, żeby się ruszył z miejsca.

Później przyjechała karetka. Wilski się zdziwił, przecież ratownicy medyczni nie mieli tu czego szukać. Rzeczywiście, popatrzyli tylko do skrzyni, pokręcili głowami i zajęli się Wilskim. Uznali, że wziął dobre leki, poradzili, żeby odpoczął kilkanaście minut, i wyszli. Wilski nie wiedział, czy zostali wezwani w związku z odkryciem w tapczanie, czy do niego.

Potem przyszli dwaj technicy kryminalni ubrani w białe skafandry. Wyglądali jak postacie z filmu fantastyczno-naukowego. Wyrzucili mundurowych za drzwi, poprzeklinali trochę na bezmyślność patrolu – łażąc po całym mieszkaniu, zdeptali większość śladów – po czym wzięli się do roboty. Wilski z zainteresowaniem przyglądał się, jak ściągają odciski palców z różnych miejsc na meblach – szczególnie w kuchni, z czajnika, filiżanki i słoika z kawą. W nienagannie białych ubraniach wyglądali dziwnie pośród śmieci rozrzuconych po podłodze i zakurzonych starych mebli zasnutych firaną pajęczyn. Pojawił się też trzeci technik, ubrany normalnie, który wszystko fotografował, stawiając tabliczki z kolejnymi numerami.

Wreszcie zjawił się ten komisarz jakiś tam. Sam najpierw pokręcił się po wszystkich pomieszczeniach, uważnie się rozglądając, po czym wskazał technikom kilka miejsc, które powinni zabezpieczyć i dokładnie sfotografować.

Było już wpół do dwunastej przed południem. Stefan Wilski czuł się, jakby oglądał film kryminalny. Tylko napięcie było o wiele większe. Na początku komisarz wydał mu się typowym aroganckim policjantem, takim, któremu się już nie bardzo

chce. Wilski przysłuchiwał się z ciekawością rozmowie komisarza z technikami nad skrzynią tapczanu.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – zapytał jeden z techników. – Wygląda, jakby leżała w rodzinnym grobowcu.

Przedsiębiorca budowlany odniósł dokładnie takie samo wrażenie. Tym, co wziął za kłęb starych szmat, kiedy pierwszy raz zajrzał do skrzyni, była kobieta.

Właściwie zmumifikowane szczątki kobiety. Ubranej w staromodną sukienkę w kwiatki, wełniany, rozpinany na piersiach sweter i czarne, wiązane półbuty.

Tak naprawdę trudno było ocenić, ile mogła mieć lat w chwili śmierci. Splecione na piersiach dłonie z długimi paznokciami były szare i wyglądały jak wykute z kamienia. Długie włosy o trudnym do zidentyfikowania kolorze zaczesane były do tyłu i zaplecione w warkocz, którego koniec spoczywał dokładnie między piersiami. I twarz...

Kiedyś musiała być piękną kobietą i ktoś, kto ją tutaj przyniósł, zadbał o to, żeby nadal była piękna. Tyle tylko, że efekt był upiorny.

Wyschniętą twarz pokrywał makijaż. Pomimo kurzu, który osiadł na zwłokach, można było jeszcze wyraźnie dostrzec róż na policzkach. Warg prawie nie było, a jednak ktoś krwawoczerwoną szminką starannie wyrysował kontur ust. Największe wrażenie robiły jednak oczy. Podczas procesu mumifikacji oczy wysychają jako pierwsze i zapadają się głęboko w czaszkę. Tutaj ktoś musiał je od razu usunąć. Wsadził do pustych oczodołów białe szklane kulki i narysował na nich błękitne źrenice. Powieki wyschły i przykleiły się do szkła. Teraz zwłoki patrzyły na wszystkich jakby spod przymkniętych powiek. Nieważne, gdzie stanął obserwator – oczy trupa zawsze zwrócone były wprost na niego, jak na starych portretach. Powieki również były pomalowane na kolor, który kiedyś mógł być różem, brwi zaznaczone wyraźną czarną kredką, a do

powiek komuś nawet udało się przykleić sztuczne rzęsy. Drugi technik ściągnął z głowy kaptur białego kombinezonu ochronnego.

– Zwariowałeś? – zakpił. – Żaden trup nie patrzy w ten sposób z rodzinnego grobowca.

Komisarz się nie odezwał. Wpatrywał się w zwłoki w tapczanie z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Trudno było cokolwiek odczytać z jego twarzy.

– Kiedy zmarła? – rzucił.

– Na pierwszy rzut oka trudno ocenić – odpowiedział pierwszy technik. – Może dwadzieścia, może trzydzieści lat temu.

– A może dziesięć – wtrącił drugi technik. – Wszystko zależy od warunków, w jakich było przechowywane ciało.

– Nie leżała cały czas tutaj?

– Zapomnij! Tu jest wilgotno. Nie byłoby szans na mumifikację.

– Ciało podlega procesowi mumifikacji w ściśle określonych warunkach – wtrącił pierwszy z techników. – Pomijając szczegóły, ważne jest, aby było w miarę sucho. Wtedy szybkie odparowanie wody z ciała powoduje wstrzymanie procesów gnilnych. Do tego trzeba dodać stałą temperaturę otoczenia. Tutaj leży od niedawna. I ten lokal jej nie służy. Jak się przyjrzysz dokładniej, zobaczysz, że na rękach pojawiły się pierwsze plamy. Tak samo na policzkach i szyi.

– Co to oznacza? – zapytał komisarz.

– Zwłoki złapały trochę wilgoci i zaczynają się normalnie psuć.

– Potrafisz ocenić, jak długo tu leżą?

Technicy popatrzyli na siebie.

– Jak myślisz, Robert? – zapytał pierwszy.

Drugi też ściągnął kaptur i podrapał się po karku.

– Kilka miesięcy – powiedział po namyśle. – Cztery do sześciu.



– Koniec domysłów – zakończył rozmowę pierwszy. – Reszta po sekcji.

– J-jasne.

Komisarz patrzył jeszcze chwilę na zwłoki, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku Wilskiego.

Przedsiębiorca znowu opadł na krzesło i czekał.

– Jak się pan czuje?

Błękitne oczy komisarza patrzyły badawczo, ale życzliwie.

– Już lepiej.

– Mogę zadać kilka pytań?

– Proszę.

Komisarz stanął bokiem do Wilskiego i wyjrzał przez okno.

Wilski czekał.

– Wie pan, kim był Lucjan Siemieński? – zapytał nieoczekiwanie policjant.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia – odpowiedział przedsiębiorca zmieszany.

– Był dziewiętnastowiecznym poetą, tłumaczem i uczestnikiem powstania listopadowego – odpowiedział komisarz, nadal patrząc przez okno w dół. – Jako pierwszy przełożył na język polski *Odyseję* Homera. Wie pan, czasem tak sobie myślę, że gdyby nie nazwy ulic, pewnie zapomnielibyśmy o większości ważnych postaci w historii Polski.

– Jest pan patriotą?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Sądzę, że tak – powiedział wreszcie. – Ale tu nie chodzi o patriotyzm. Uważam, że każdy, kto osiągnął w życiu coś znaczącego – jak na przykład Siemieński – powinien być przez następne pokolenia zapamiętany. Niestety, nowe pokolenia zapominają.

Spojrzał na Wilskiego przenikliwie, a później jego wzrok zaczął błądzić po śmieciach leżących na podłodze. Nie przestawał przy tym mówić.

– Mieszkam na osiedlu, gdzie ulice nazwane są nazwiskami pisarzy lub poetów. Tyrmand, Hłasko – te nazwiska jeszcze pamiętamy. Ale na przykład Parandowski, Cieślikowski, Dygat, Kossak-Szczucka... Dobrze, że miasta się rozwijają i powstają nowe ulice.

Zamilkł i nagle przeszedł do sedna:

– Proszę mi opowiedzieć, jak znaleźliście ciało.

Stefan Wilski opowiedział – ze szczegółami i może trochę rozwlekle. Policjant nie przerywał. Na koniec skinął głową i powiedział:

– Nie będę pana zatrzymywał, panie Wilski. Mnie osobiście pana wyjaśnienia zadowalają, lecz nie teraz, kiedy prowadzę śledztwo.

– Jak to? – zdziwił się przedsiębiorca.

– Tylko w serialach kryminalnych dzielny policjant–samotnik rozwiązuje pasjonujące zagadki kryminalne, ściga przestępców, a potem ich łapie albo bez zastanowienia do nich strzela. Tak naprawdę śledztwo prowadzi prokurator, a policja wykonuje czynności operacyjne. Samodzielnie zajmujemy się drobnymi przestępstwami i wlepianiem mandatów za złe parkowanie. Teraz czekamy na prokuratora. – Komisarz uśmiechnął się ironicznie. – A jak wiadomo, prokuratorzy w naszym pięknym kraju prowadzą sto spraw naraz, ciągle się więc spóźniają. To prokurator powinien pana przesłuchać, ale nie mam serca pana dłużej trzymać w tym bałaganie. Proszę jechać do domu i odpocząć. Tylko ostrzegam, prokurator mnie nie lubi i może pana wezwać na oficjalne przesłuchanie. Chociaż wątpię, czy będzie mu się chciało kiwnąć palcem w tej sprawie.

Wilski wstał z krzesła. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

– Panie komisarzu.

Policjant odwrócił się i obrzucił Wilskiego pytającym wzrokiem.

– Czy ta kobieta, te zwłoki... Od jak dawna ona nie żyje?

– Od bardzo wielu lat.

\*

Prokurator Dariusz Wysocki zjawił się dwa kwadranse po wyjściu Stefana Wilskiego. Był niewielkiego wzrostu, ale wydawało mu się, że urodą nawiązuje do najlepszych wzorców z amerykańskich filmów. Zawsze gładko się golił, krótkie włosy układał starannie za pomocą żelu, a zapach jego drogich perfum natychmiast zabił wszystkie przykre zapachy w mieszkaniu na poddaszu. Tak naprawdę można było powiedzieć, że wyglądał jak klasyczny prokurator z kryminalnego filmu: czarny garnitur, biała koszula, wypolerowane na błysk buty. Chodził ostrożnie po mieszkaniu, starając się ich nie zabrudzić. Obejrzał zwłoki, pozwolił technikom zapakować je do worka, po czym podszedł do komisarza, który ciągle stał przy otwartym oknie, starając się trzymać od prokuratora Wysockiego bezpieczny dystans. Nie podali sobie rąk na przywitanie.

– Kto znalazł ciało? – zapytał prokurator oschłym tonem.

– Ekipa budowlana – odpowiedział podobnie policjant.

– Gdzie oni są?

– Porozmawiałem z nimi i ich zwolniłem.

Prokurator nie był zadowolony.

– Przypominam, komisarzu, że to ja prowadzę śledztwo i ja decyduję, kiedy można zwolnić świadków.

– Formalnie nie ma jeszcze śledztwa. – Policjant wzruszył ramionami.

– Już jest, z artykułu dwieście sześćdziesiątego drugiego kodeksu karnego.

Prokurator specjalnie wymienił tylko paragraf, lecz komisarz wiedział, że artykuł mówi o zbezczeszczeniu zwłok.

– Nie wykluczałbym artykułu sto czterdziestego ósmego kodeksu karnego.

– To się dopiero okaże.

Ekipa techniczna z kpiącymi uśmiezkami na ustach przysłuchiwała się tej wymianie złośliwości.

Kiedy kilka minut później prokurator Wysocki wyszedł, ułożyli worek ze zwłokami na noszach. Były tak wysuszone, że po stromych schodach nieśli je bez wysiłku.

Komisarz wyszedł ostatni. Poinstruował mundurowych policjantów pilnujących wejścia, żeby zabezpieczyli dostęp do mieszkania, po czym ruszył za technikami z motocyklowym kaskiem pod pachą. Nie był zachwycony czekającym go śledztwem i współpracą z Wysockim. Zresztą, jaką współpracą? Zapowiadało się raczej na nieustanną walkę.

Idący przed nim technik, który robił na poddaszu zdjęcia, jakby myślał o tym samym.

– Marcin, dlaczego on cię tak nie cierpi? – zapytał.

– Długo by opowiadać.

– Chodzą plotki, że przez kobietę – powiedział Robert Rajcza, idący z tyłu noszy.

– Słuchaj plotek, to w zimie będziesz chodził w trampkach – odciął się komisarz.

Byli już na parterze. Natknęli się na dwoje mieszkańców kamienicy stojących w drzwiach jednego z mieszkań. Komisarz minął ich i zreflektował się dopiero po chwili. Po wyjściu prokuratora uznał, że nie zamierza tracić energii na wyjaśnienie tej sprawy. Przeciągnie wszystkie terminy i Wysocki pewnie będzie musiał umorzyć postępowanie. Przecież nie może popsuć sobie statystyk. Teraz jednak poczuł wyrzuty sumienia. Cholera, w końcu jest policjantem.

Odwrócił się na pięcie i przeskakując po dwa schodki, wrócił pod drzwi mieszkania numer trzy. Mężczyzna i kobieta – pewnie małżeństwo – wyglądali na ludzi w jego wieku. No, byli

może parę lat młodszy. Kobieta patrzyła zza wąskich okularów w ciemnych oprawkach. Pokazał im odznakę.

– Jestem komisarz Marcin Zakrzewski z komendy miejskiej policji. Czy mogę zadać państwu jedno pytanie?

– Oczywiście. Czy coś się stało? – zapytała kobieta.

– Ekipa budowlana znalazła zwłoki w lokalu numer dwadzieścia jeden – wyjaśnił i zaraz dodał uspokajająco: – To chyba nikt z mieszkańców.

– To mieszkanie stało od lat zamknięte – odezwał się mężczyzna.

– Właśnie w związku z tym mam do państwa pytanie. Czy widzieliście kogoś obcego, kto w ciągu ostatnich kilku miesięcy kręcił się po klatce schodowej? Albo może któryś z sąsiadów coś na ten temat mówił?

Kobieta spojrzała na męża.

– Chyba nie. – Pokręciła głową.

Komisarz podał jej swoją wizytówkę.

– Gdyby pani sobie coś przypomniała, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Oczywiście.

Skinął im głową i wybiegł na ulicę. Przynajmniej próbował. Będzie miał spokojniejsze sumienie.

Jego honda stała na chodniku kilka kroków dalej. Starego forda transita ekipy technicznej już nie było. Wsiadł na motor, włożył kask, odpalił silnik i wolno wyjechał na ulicę. Było już południe, a on nie pił jeszcze kawy.

### 3 Psie kły

25 czerwca, czwartek po południu

Marcin Zakrzewski w ostatniej chwili cofnął dłoń. Poczł tylko, jak wielkie psie kły ześlizgują mu się po nadgarstku. Zanim zdążył się ruszyć, pies zaatakował ponownie. Skoczył na niego przednimi łapami i pyskiem próbował dosięgnąć jego twarzy. Instynktownie udało mu się złapać go za sierść po obu stronach szyi i zatrzymać. Tuż przed sobą widział dwie wielkie szczęki najeżone zębami. Chwilę się siłowali, wreszcie Marcinowi udało się zrzucić z siebie psa. Zanim owczarek złapał przyczepność na śliskich kaflach pokrywających podłogę w kuchni, zdążył uciec do pokoju.

To było jednak wszystko, co mógł zrobić. Na środku pokoju odwrócił się, a pies z impetem skoczył na niego, zwałając go z nóg.

Leżał na dywanie pokonany i zasłaniał się przed psem, który machając wesoło ogonem, koniecznie chciał polizać go po twarzy albo po szyi.

W drzwiach stała Magda i śmiejąc się, zachęcała sukę do większej aktywności.

– Atakuj, Tina! Wyliż go porządnie! Za to, że tak późno wrócił.

Marcin też śmiał się na całe gardło, aż osłabł i nie mógł dłużej się bronić.

– Tylko nie po uchu! – krzyknął. – Magda, proszę, zawołaj ją.

– Tina!



Suka zadowolona z siebie podbiegła do kobiety, machając ogonem tak szeroko, że obijał się o krzesła i stół.

– Dobry piesek, dobry – mówiła, drapiąc ją między uszami.

Marcin podniósł się z podłogi i otrzepał z psich kudłów. Krytycznie popatrzył na dywan.

– Znowu trzeba będzie odkurzać – mruknął.

– Taki lajf. Sam chciałeś mieć psa.

– J-jasne.

Tak, mniej lub bardziej intensywnie, wyglądał ich codzienny rytuał powitania.

W połowie stycznia sąsiedzi zawiadomili policję, że w mieszkaniu na ulicy Wiślańskiej, na wrocławskim Kozanowie, od kilku dni żałośnie ujada pies. Na miejsce równocześnie przyjechały patrole policji i straży miejskiej. Po krótkiej rozmowie z sąsiadami zdecydowano o wyważeniu drzwi. W mieszkaniu policja znalazła wygłodniałego szczeniaka rasy owczarek niemiecki, a w łazience kobietę w wannie wypełnionej wodą pomieszaną z krwią. Wyglądało na to, że kilka dni wcześniej popełniła samobójstwo, podcinając sobie żyły. Nie było jednak pewności, czy nie brały w tym udziału osoby trzecie, dlatego na miejsce został wezwany prokurator i ekipa śledcza. Tak się złożyło, że razem z technikami do mieszkania trafił komisarz Marcin Zakrzewski. Prokurator zlecił mu czynności sprawdzające, a sam się ulotnił, zostawiając go z ekipą z laboratorium kryminalistycznego.

Nie było żadnych podejrzanych śladów. Zakrzewski porozmawiał z sąsiadami, poprzeglądał papiery, podzwonił w kilka miejsc i bez problemów ustalił, że kobieta od wielu lat cierpiała na depresję, leczyła się bez skutku, dwa tygodnie wcześniej z powodu choroby straciła pracę. Nie miała przyjaciół ani znajomych, jedynie rodzinę gdzieś na wsi, ale nie utrzymywała z nią kontaktów. Typowe samobójstwo spowodowane głęboką depresją.

Ekipa techniczna skończyła pracę, złożyła sprzęt i wyjechała, ciało zostało zabrane na sekcję, trzeba było zabezpieczyć mieszkanie. Policjant z plombownicą stał już przy drzwiach. Był tylko jeden problem – w mieszkaniu została suczka. Wcześniej Marcin ją nakarmił resztką suchej karmy dla szczeniaków dużych ras, którą znalazł w jednej z szafek, i nalał wody do miski. Od tego momentu nie odstępowała go na krok. Nie było wyjścia, musiał zabrać ją do schroniska. Na wieszaku przy drzwiach wisiała smycz. Kiedy Marcin ją zapinał, pies skakał ze szczęścia, potem ciągnął go po schodach, jakby na dole czekało sto kilogramów świeżo wędzonej kiełbasy.

Komisarz Zakrzewski nigdy nie był w schronisku dla zwierząt. Kiedy zajechał na ulicę Ślazową i zatrzymał auto na parkingu przed budynkiem, usłyszał ujadanie kilkunastu psów. Tina – bo tak nazwał szczeniaka jeden z techników – też je usłyszała. Wtedy stało się coś dziwnego – posmutniała i zrobiła się apatyczna. Marcin nie miał problemów z zaprowadzeniem jej do budynku, gdzie została przebadana przez dyżurnego weterynarza, zaewidencjonowana, a jeden z wolontariuszy miał odprowadzić ją do boksu.

Nie spodziewał się po sobie takiej reakcji. Wydawało mu się, że jako policjant z wydziału zabójstw jest twardy i nic go nie złamie. Ale Tina patrzyła takim wzrokiem... Powiedział wolontariuszce, że sam pójdzie z suczką do jej nowego domu. Kiedy szli wzdłuż ponumerowanych boksów, w których mieszkało po kilka psów, w głowie policjanta zrodziło się jedyne możliwe skojarzenie. Więzienie! Prowadził szczeniaka do więzienia. Wsadził do więzienia wielu złych ludzi, ale im się to należało. Tina była niewinna.

Godzinę później wszedł z Tiną do swojego mieszkania przy ulicy Kossak-Szczuckiej. Miał sześciomiesięczną suczkę rasy owczarek niemiecki i musiał się nią zająć.

Najgorszy był nienormowany czas jego pracy. Kiedy nic się nie działo, wracał do domu normalnie albo zaglądał do psa w ciągu dnia. Zazwyczaj jednak spędzał w pracy więcej niż osiem godzin. Tina nie mogła siedzieć w mieszkaniu sama przez tak długi czas. Nawet nie chodziło o to, że z nudów zjadła mu buty do biegania, ściągnęła z oparcia krzesła jego koszulę, zawlekła na swoje posłanie i jeszcze na nią nasikała albo dobrała się do chlebaka i zjadła dwie bułki i pół chleba. Suczka musiała regularnie wychodzić na spacer.

Czasem cuda się jednak zdarzają. Któregoś wieczoru, wracając ze spaceru z Tiną, spotkał sąsiadkę. Mieszkała piętro wyżej, wprowadziła się niedawno. Zaczęli rozmawiać i okazało się, że Magda – bo tak miała na imię – pracuje w domu, uwielbia owczarki i chętnie wyjdzie czasem z Tiną na spacer.

Jakieś dwa tygodnie później wylądowali w łóżku. To stało się tak naturalnie i gładko, że później musieli ustalić pewne zasady. Nie byli sobą zauroczeni od pierwszego wejrzenia, na swój widok nie czuli przyspieszonego bicia serca, nie planowali spędzić ze sobą reszty życia. Chodziło tylko o seks. Ona od dawna nie miała nikogo, a on czuł się samotny po rozstaniu z kobietą, która wydawała mu się dla niego stworzona.

– Może napijesz się kawy? – zapytał z kuchni.

– Chętnie.

Zaczął przygotowywać kawę w starym ekspresie przelewowym, kiedy Magda stanęła za nim i objęła go ramionami.

– Może wypijemy kawę później? – szepnęła mu do ucha.

Przesunęła dłońmi po jego piersiach i brzuchu. Zamruczała, czując pod palcami rosnące wybrzuszenie w spodniach.

– Muszę wziąć prysznic – powiedział.

– Będę czekała w łóżku.

Pół godziny później odpoczywali, leżąc obok siebie na plecach. Zapomnieli o kawie. Marcin spojrział w bok. Magda miała jeszcze przyspieszony oddech, przymknięte powieki, po skroni spłynęła jej kropla potu i zatrzymała się na uchu.

Była kobietą, za którą nie obejrzałby się na ulicy. Miała szare włosy spięte w koński ogon, bladą twarz, wąskie usta, małe piersi, trochę za długą szyję. Jak dla niego była odrobinę za chuda i całe dziesięć lat młodsza. Czasem czuł się przy niej staro i mało atrakcyjnie. Podświadomie za wszelką cenę chciał ją zadowolić i udowodnić, że jest ciągle coś wart. Doskonale o tym wiedziała i śmiała się z niego. Powtarzała, że dla niej nie ma to żadnego znaczenia.

Zauważył, że ona też na niego patrzy, i ocknął się z zamyślenia.

– Dobrze ci było? – zapytała.

– Tak.

Otworzyła usta i nagle je zamknęła, uciekając wzrokiem w bok. Gdzieś w jego głowie zapaliła się alarmowa lampka. Przecież nic nie trwa wiecznie.

– O co chodzi? – odezwał się.

Usiadła na łóżku, objęła ramionami kolana i położyła na nich brodę. Nie patrzyła na niego.

– Muszę ci coś powiedzieć – oświadczyła. – Tylko nie wiem, jak zacząć.

– Najlepiej zacznij od końca.

Usłyszał zupełnie coś innego, niż się spodziewał.

– Okłamałam cię, Marcin. Tak naprawdę od kilku lat mam chłopaka.

– No i? – zapytał po chwili milczenia.

– Ma na imię Patryk. Od pięciu lat pracuje w Citi w Londynie. Rzadko się widzimy, bo praca zupełnie go pochłania. To za jego pieniądze kupiliśmy mieszkanie, w którym teraz

mieszka. Kocham go, on kocha mnie i planujemy być razem i mieć co najmniej trójkę dzieci.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Zakrzewski próbował przetrwać w głowie konsekwencje jej słów. Nie był z Magdą specjalnie związany emocjonalnie, ale i tak poczuł się nieprzyjemnie. Nie wiedział, czy to było rozczarowanie, czy może zupełnie inne uczucie.

– Jesteś na mnie zły?

– Tak.

– To nie jest twoja wina – rzuciła, nie patrząc na niego.

Usiadł na brzegu łóżka plecami do niej. Leżąca przy łóżku Tina podniosła głowę i popatrzyła na niego badawczo. Uspokajająco poklepał ją po łbie. Spojrzał przez okno na pusty kwadratowy plac otoczony blokami. Przecinającą go przez środek ścieżką jechał kilkuletni chłopiec na czterokołowym rowerze.

Poczuł jej gorącą dłoń na plecach i odsunął się.

– Marcin...

– Posłuchaj – przerwał jej. – Jestem na ciebie zły. Gdybyś mi powiedziała, że masz chłopaka, nasza znajomość nigdy by się tak nie potoczyła. Może i jestem skrzywionym psychicznie przez pracę, odpornym na ludzkie uczucia sukinsynem, ale mam w sobie jeszcze na tyle przyzwoitości, żeby nie przyprawiać rogów facetowi, którego nawet nie widziałem na oczy.

– Tak jest chyba prościej.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Jesteś cyniczna.

Roześmiała się głośno.

– Patryk wie, że z tobą sypiam.

– Słucham?! – wykrzyknął, robiąc wielkie oczy.

– Od razu mu o nas powiedziałam. Nie ma nic przeciwko naszym spotkaniom. Powiedział, że chętnie cię pozna. Twierdzi,

że skoro mi się spodobałeś, musisz być fajnym facetem.

Patrzył na nią, sprawdzając, czy mówi poważnie. Jako policjant z wieloletnim doświadczeniem potrafił szybko ocenić, czy ktoś mówi prawdę, kłamie lub tylko w części mija się z prawdą. Od razu poznał, że Magda mówi prawdę.

– Słuchaj, mamy z Patrykiem inne podejście do spraw seksu. Przecież to tylko fizyczność. Tak jak teraz między nami – żadnych głębszych uczuć, tylko seks. To nie zdrada.

Chłopiec na rowerze chciał zbyt gwałtownie zawrócić i jego rowerek mimo dodatkowych kółek się przewrócił, a on zaniósł się płaczem. Matka podbiegła i wzięła go na ręce.

– Co w takim razie według ciebie jest zdradą? – zapytał.

– Gdybym się w tobie zakochała i chciała od Patryka odejść. Albo on obdarzyłby uczuciem kogoś innego. To byłaby zdrada.

Zakrzewski pokręcił głową. Już trochę ochłonął.

– Nie mam tak nowoczesnego podejścia seksu jak wy – powiedział. – Dla mnie zdrada to zdrada.

– Tak jak dla większości tak zwanych normalnych ludzi.

Położyła się na wznak i założyła ręce za głowę. Sutki w jej małych piersiach sterczały prowokująco. Odwrócił wzrok do okna. Słońce zaszło za bloki. Plac był już pusty i pogrążony w głębokim cieniu.

– Czy Patryk też miał kogoś w Londynie? – zapytał.

– Nic o tym nie wiem.

– A mógł ci nie powiedzieć?

– Raczej nie. Dla Patryka seks mógłby nie istnieć. On spełnia się, zarabiając pieniądze. A ja wprost przeciwnie, lubię seks jak koń owies – zacytowała niefortunną wypowiedź byłej posłanki z Samoobrony i zaśmiała się.

– Nie nadążam za twoim tokiem myślenia – mruknął Marcin.

– Chyba muszę się napić zimnego piwa.

Na jej zaróżowionej po intensywnym seksie twarzy pojawił się zaczepny uśmiezek.

– Może skusisz się jeszcze na małe co nieco?

Odchyliła prawą nogę tak, żeby mógł dokładnie zobaczyć jej kobiecość. Znowu odwrócił wzrok, wstał, szybko założył bokserki i ruszył do kuchni.

– Raczej dzisiaj już nie – powiedział. – Muszę to sobie poukładać w głowie.

Tina podreptała za nim.

Rozmowę kontynuowali, siedząc w fotelach i pijąc piwo prosto z butelek.

– Kiedy przyjeżdża ten twój Patryk? – zapytał.

– W przyszłym tygodniu.

– Na długo?

– Na stałe. – Wzruszyła ramionami.

– J-jasne – mruknął, jak to miał w zwyczaju, przeciągając głoskę na początku.

– Gdzie będziecie mieszkać?

– Jak to gdzie? Tutaj. – Popatrzyła na niego z drwiącym uśmiechem. – Widzę, że masz tremę przed poznaniem Patryka.

– Cholera, to będzie dla mnie nowa sytuacja. I raczej nietypowa, nie uważasz?

– Niepotrzebnie robisz problem.

Odstawiła niedopitą butelkę na stół i chciała wstać, ale zatrzymał ją gestem.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – powiedział. – Tak z czystej ciekawości. Wyjaśniłaś mi, czym dla ciebie jest zdrada. Czym w takim razie jest dla ciebie miłość?

Nie spodziewał się takiej reakcji. Jakby zapadła się głębiej w fotelu, rysy jej twarzy stwardniały, źrenice się rozszerzyły. Wystraszyła się, że Zakrzewski wyzna jej miłość? Czy prawidłową reakcją byłby w takiej sytuacji napad wściekłości?

Ale Magda już odzyskała swój normalny wygląd. Może tylko coś zostało w jej oczach, jakiś zły błysk, którego nie znał.

– Dlaczego pytasz?

– Bez podtekstów. Czysta ciekawość – powtórzył szybko.

Zacząła mówić, nie patrząc na niego, jakby recytowała strofy ulubionego wiersza.

– Miłość to jest szczyt szczytów. Najwyższe uniesienie, które jest w stanie osiągnąć ludzki umysł. Cudowna ekstaza powstająca z bliskości dwóch kochających się istot, w której można się zanurzyć, zatracić, utonąć bez nadziei na ratunek. To bezgraniczne zaufanie, intymność, tęsknota, troska o ukochanego. Taki stan, w którym nie dbamy o siebie, tylko o kochaną osobę. Chcemy zapewnić jej szczęście, nie bacząc na cenę, jaką przyjdzie nam zapłacić. To uniesienie, w którym jesteśmy w stanie znieść wszystko. Uczucie, które przetrwa do grobowej deski. Albo i dłużej. Dla miłości jesteśmy w stanie uratować, ocalić, ale też... – Nagle jakby zbudziła się z letargu i spojrzała na niego z przestraszeniem.

– ... zabić? – dokończył.

Roześmiała się dźwięcznie.

– Pan komisarz mnie podpuścił i sprowokował do najbardziej intymnych zwierzeń – powiedziała. – Co w takim razie wygadują przestępcy, kiedy ich przesłuchujesz?

– Na ogół nie są zbyt rozmowni.

Wstała nagle.

– Pójdę już. Cześć, Tina!

Odprowadził ją do drzwi. Na progu spojrzała na niego z tym dziwnym błyskiem w oczach.

– Nie bój się – powiedziała. – Dalej będę wychodzić z Tiną. Nie musisz szukać innej psiej niańki.

– Dziękuję – rzucił. – Tina cię lubi.

– A ty? – Spojrzała mu szybko w oczy.

Nie odpowiedział i nie wytrzymał jej spojrzenia, uciekł wzrokiem w bok.

– Dobrze, dobrze – roześmiała się trochę sztucznie.

Odwróciła się i ruszyła po schodach na swoje piętro.



Marcin zamknął drzwi i wrócił do pokoju.

– Cholera – mruknął i poszedł do barku, żeby nalać sobie drinka.

Później siedział w fotelu przed włączonym telewizorem, ale nie patrzył na obrazy na ekranie. Znowu przyszło mu do głowy, że w jego życiu czas na poważne zmiany. Jeszcze kilka miesięcy temu była to tylko nic nieznacząca myśl, która nagle pojawiła się i uleciała. Potem zaczęła coraz natrętniej wracać, aż na stałe zagościła w podświadomości. Nawet w sennych koszmarach zaludnionych przez ofiary zbrodni, z którymi zetknął się przez lata pracy w policji, nie był już policjantem, tylko kimś innym. Kim? Tego nie wiedział.

Potem z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień nieodparte pragnienie zmiany narastało. Powoli i cierpliwie zdobywało kolejne rejony jego mózgu i wreszcie zwyciężyło.

I wtedy, dokładnie dwanaście dni temu, odebrał telefon z propozycją nowej pracy. Finansowo była absolutnym rajem w porównaniu z zarobkami w policji. Ale on jeszcze nie był gotowy, żeby powiedzieć tak. Cały czas czuł się gliniarzem i wydawało mu się, że jeszcze ma dużo do zrobienia. Jest za coś odpowiedzialny, za bezpieczeństwo innych ludzi. Banał? Może, ale Zakrzewski naprawdę tak myślał. Jego praca polegała na eliminacji z ludzkiego mrowiska jednostek patologicznych, dysfunkcyjnych i socjopatycznych. Dlatego odpowiedział, że się zastanowi.

Od tego momentu przekonywał sam siebie: przecież w nowej pracy będzie kontynuował swoją misję zapewnienia ludziom bezpieczeństwa, tylko w innej sferze. Nie tak ekstremalnej i wyczerpującej psychicznie.

Wstał z fotela i przeszedł do kuchni. Włączył laptop i długo wpatrywał się w ikonę dokumentu zatytułowanego „Wniosek”, umieszczoną na środku pulpitu. Czterdziestoparoletni emeryt. Nie wyobrażał sobie siebie w tej roli. Ta myśl go śmieszyła.

Przed oczami stanęły mu nagle zmumifikowane zwłoki kobiety na poddaszu kamienicy przy ulicy Siemieńskiego. Skrzywił się. Nie podobała mu się ta sprawa. Nie miał ochoty grzebać się w przeszłości, nie miał motywacji, nie widział sensu. Do tego jeszcze te kpiące uśmieшки techników, którzy przysłuchiwali się jego rozmowie z Wysockim. Wszyscy w wydziale wiedzieli, że się nie cierpią. To dlatego prokurator Wysocki wkopał go w tę sprawę, zamiast zlecić ją komuś nowemu.

Komisarz Marcin Zakrzewski naprawdę czuł się wypalony. Potrzebował zmian.

Pomyślał o Magdzie i pokręcił głową. Nie wyobrażał sobie spotkania z jej chłopakiem. Co mogą sobie powiedzieć? Że Magda to gorąca kobieta, świetna w łóżku? Mrugną do siebie porozumiewawczo czy raczej będą unikać tematu? Idiotyczna sytuacja.

Co ona powiedziała o miłości? Że dla miłości można zabić? Nie, to on dopowiedział ostatnie słowo. Może ona chciała powiedzieć coś innego?

Gdzieś na dnie duszy Zakrzewskiego zaczęły budzić się uśpione demony. Dlaczego powiedział, że można zabić? Czy dlatego, że sam był mordercą?

Zacisnął mocno powieki i w głowie znowu usłyszał wystrzał swojego służbowego walthera p99. Po raz tysięczny wraz z hukem wystrzału zobaczył, jak pocisk wchodzi w czaszkę powyżej prawego oka, a martwe ciało mężczyzny upada na wznak z głuchym odgłosem. Bardzo wyraźnym w ciszy, która zapadła, gdy wybrzmiał huk pistoletu.

Czy zabił z miłości? Nie! To było morderstwo z nienawiści, żądza zemsty w czystej postaci. On, policjant, uświadomił sobie, że kara wymierzona przez prawo i państwo będzie zbyt łagodna. Sam wymierzył karę.

Karę śmierci.

## 4 Nekrofilia

26 czerwca, piątek przed południem

– Jako zaawansowany kofeinista rozumiem twoje cierpienie, dlatego przygotowałem ci sporą dawkę trucizny – powiedział patolog, podając Zakrzewskiemu plastikowy kubek z kawą z automatu.

Kawa nie była gorąca i smakowała, jakby trzeci raz zaparzone te same fusy. Mimo to Marcin skinął z wdzięcznością głową i wypił od razu pół kubka.

– Nie przesadzasz trochę, doktorze? – zapytał.

– Być może. Chciałem tylko nadać tej chwili odrobinę dramatyizmu.

– J-jasne.

Doktor Jan Musiał był niskim mężczyzną około sześćdziesiątki, włosy miał rzadkie i posiwiałe. Pomarszczona twarz przypominała stare jabłko, ale w oczach wciąż palił się młodzieńczy blask, a na ustach często gościł szeroki uśmiech. Musiał nie przypominał Arnolda Schwarzeneggera ani doktora Frankenstein, nie miał na nazwisko Rzeźnik, nie sypiał na prosektoryjnym stole razem ze swoimi „pacjentami”, nie jadał z nimi śniadań, nie trzymał w chłodni ze zwłokami zmrożonej wódki. Nie wpisywał się w stereotyp patologa, był normalny. Przynajmniej tak sądził Zakrzewski do tej chwili.

Przez cały poprzedni wieczór komisarz rozpamiętywał rozmowę z Magdą i wyobrażał sobie spotkanie z jej chłopakiem. Skończyło się na tym, że wypił o jednego drinka za dużo

i szybciej położył się spać. Jednak jak zwykle po alkoholu budził się co pół godziny i dwa razy chodził do kuchni napić się wody, za każdym razem odwiedzając toaletę. Kiedy już udawało mu się zdrzemnąć, nawiedzały go złe sny. I tym razem nie były to zwykle conocne koszmary. Pojawiły się w nich zmumifikowane zwłoki kobiety z koszmarnym makijażem na twarzy. Leżała w trumnie pośród wyschniętych bukietów róż i uśmiechała się do niego wyschniętymi ustami, szczerząc przy tym zżarte przez próchnicę zęby i oblizując się czarnym jak smoła językiem. Czasem puszczała do niego oko i kiwała zachęcająco długim sinym paznokciem, jakby zapraszała go do siebie na dziki seks.

Koszmar powracał tej nocy wielokrotnie. Zakrzewski zasnął dopiero nad ranem.

Obudził się zmęczony na pięć minut przed budzikiem nastawionym w komórce leżącej przy łóżku. Tina, która jak zwykle spała czujnie obok łóżka, podniosła łeb i nadstawiła się do głaskania. Potarł ją chwilę między uszami, na co odpowiedziała, liżąc go po uchu, i nagle już wiedział, jaka myśl obudziła go tak wcześnie.

– Cholera! – powiedział, wstał szybko i ruszył do kuchni zrobić sobie pierwszą tego ranka kawę.

Doszedł do wniosku, że poprzedniego dnia miał zaćmienie umysłu. Nie bardzo wiedział, czym spowodowane: rozważaniami o zmianie pracy, wypaleniem, a może konfliktem z prokuratorem Wysockim? Dość, że nie zwrócił uwagi na to, co tak naprawdę w mieszkaniu na Siemieńskiego znalazła ekipa budowlana Stefana Wilskiego. To nie były tylko zmumifikowane zwłoki kobiety. Przecież ona miała na twarzy makijaż, ktoś przynosił jej regularnie kwiaty i palił znicze. Musiał bywać tam na tyle często, że przyniósł sobie elektryczny czajnik i robił kawę. Po co? Kto to był? Kim była ta kobieta? Kto ją tam przyniósł? Gdzie przechowywał zwłoki wcześniej?

Zakrzewski pił kawę, stojąc przy kuchennym oknie i gapiąc się bezmyślnie na parking pod blokiem po drugiej stronie ulicy. Tina stała przy nim i machając ogonem, domagała się uwagi.

Ubrał się i wyszedł z nią na dłuższy spacer. Mieli stałą poranną trasę. Szli przez parking na ulicę Trawową, skręcali w lewo w kierunku niestrzeżonego przejazdu kolejowego i szli aż do wałów rzeki Ślęzy. Czasem jeszcze trochę spacerowali po wałach. Tina obwąchiwała i zaznaczała swoje ulubione miejsca, a Zakrzewski miał chwilę spokoju i mógł poukładać sobie w głowie różne sprawy.

Sprawa zwłok kobiety z Siemieńskiego stała się dla niego absolutnym priorytetem. Nie zdążył zjeść śniadania, nie wypił drugiej kawy, tylko wskoczył na motor i pojechał na komendę. Przejrzał swoje aktualne sprawy, uznał, że nie ma nic, co musi pilnie zakończyć.

Około dziesiątej zatelefonował do Instytutu Patologii, do doktora Musiała. Chciał się dowiedzieć, kiedy będzie przeprowadzona sekcja zwłok. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że sekcja odbyła się poprzedniego wieczoru. Przy nawale pracy instytutu i standardowych opóźnieniach taka informacja brzmiała nieprawdopodobnie. Nie czekał więc ani chwili, tylko poinformował Musiała, że zobaczą się za kwadrans.

Rozmowę kontynuowali, stojąc nad metalowym stołem do przeprowadzania sekcji zwłok. To, co na nim leżało, było przykryte białym płótnem. W pomieszczeniu panował półmrok rozjaśniony przez mocne światła lamp nad stołem. Jedna jarzeniówka mrugała niespokojnie, wydając przy tym ciche kliknięcia.

– Jak wam się udało zrobić sekcję jeszcze tego samego dnia? – Zakrzewski dopił kawę jednym haustem, zmiął kubek i celnym rzutem umieścił go w koszu stojącym przy stole.

– Od dwóch tygodni mam asystentkę – wyjaśnił Musiał. – Píše pracę doktorską z patologii i pomaga mi przy sekcjach.

Kiedy powiedziałem jej o mumii, nie mogła odmówić sobie tej przyjemności.

– Co to za asystentka? – zdziwił się Marcin.

– Oto i ona.

W tej samej chwili trzasnęły drzwi i do pomieszczenia weszła wysoka kobieta z długimi czarnymi włosami związanymi w koński ogon. Pewnym krokiem skierowała się w ich stronę. Ubrana była w biały lekarski fartuch, spod którego widać było obcisłe czarne dzinsy. Co innego jednak przyciągało wzrok komisarza. Miała duży biust, a guziki fartucha rozchodziły się w tym miejscu. Marcin musiał się kontrolować, żeby nie wyglądało, że gapi się na te piersi jak napalony nastolatek.

– Hanna Duciak.

Miała ciepłą, niewielką dłoń i mocny uścisk.

– Komisarz Marcin Zakrzewski. – Z przyjemnością odwzajemnił uścisk.

– Możemy sobie mówić na ty?

Jej bezpośredniość bardzo mu się spodobała.

– J-jasne.

Miała brązowe oczy, miły uśmiech i była bardzo ładna.

– To ty prowadzisz śledztwo?

– Tak.

– Wyniki sekcji są w protokole.

– Chciałem jednak... hmm, osobiście...

– Rozumiem.

Odeszła kilka kroków.

Doktor Musiał trącił Marcina łokciem pod żebra.

– Przestań się tak ślinić – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Ja? – Zakrzewski spojrzał na niego zmieszany.

– To moja siostrzenica. Ma narzeczonego – wyjaśnił cicho doktor. – Jeśli ją tkniesz, zrobię ci sekcję bez znieczulenia.

Jego słowa zabrzmiały tak komicznie, że Marcin z trudem opanował śmiech. Może jednak Musiał nie był do końca

normalny?

Hanna wróciła i podała Marcinowi parę rękawiczek.

– Jadłeś dzisiaj śniadanie? – zapytała z kpiącym błyskiem w oku.

– Już mnie to nie rusza – odpowiedział. – Za dużo widziałem

– W takim razie zostawię was samych – wtrącił się Musiał.

– Zdzwonimy się później, wujku – rzuciła.

Kiedy za patologiem zamknęły się drzwi, Hanna Duciak włożyła rękawiczki i jednym ruchem ściągnęła ze stołu białe płótno. W ostrym świetle zmumifikowane, pozbawione ubrania zwłoki wyglądały jeszcze bardziej przerażająco niż na poddaszu kamienicy. Skóra miała kolor brudnoszary, gdzieś tam pojawiły się ciemniejsze plamy. Brzuch był zapadnięty, wzór żeber dokładnie widoczny, na skórze można było dostrzec niewielkie plamki, które kiedyś były sutkami. Tylko tyle zostało z piersi. W dolnej części podbrzusza Marcin dostrzegł resztki włosów łonowych, a dalej starał się nie patrzeć.

Miejsca, w których Hanna nacięła zwłoki, nie zostały zaszyte – nie było takiej potrzeby.

Stali w milczeniu pochyleni nad stołem.

– Od czego mam zacząć?

Podniósł głowę i spojrzał prosto w jej intensywnie brązowe oczy. Byli zbyt blisko siebie i Marcin poczuł się nieswojo. Już chciał odpowiedzieć klasyczną formułką, którą złośliwie stosował w odpowiedzi na takie pytania: „zaczynaj od końca”, ale ugryzł się w język.

– Jak uważasz – odpowiedział.

– Masz chyba zapalenie spojówek – powiedziała. – Powinieneś pójść z tym do okulisty.

– Pomyślę o tym.

Hanna Duciak znowu pochyliła się nad stołem do sekcji.

– Według moich wstępnych szacunków zwłoki mają około trzydziestu lat.

– Cholera! – wyrwało się Zakrzewskiemu. – Aż tyle?

– Co najmniej trzydzieści. Ktoś bardzo skutecznie zabalsamował ciało. Wszystko wskazuje, że zrobił to na sposób sowiecki.

– To znaczy?

– Balsamowanie tą metodą polega na usunięciu organów wewnętrznych, które – jak wiadomo – jako pierwsze ulegają procesowi rozkładu. Następnie usuwa się z organizmu wszystkie płyny ustrojowe, a do krwioobiegu wstrzykuje się roztwór gliceryny i octanu potasu. Po raz pierwszy taką metodę zastosowali lekarze w dawnym ZSRR, Worobjow i Zbarski, balsamując zwłoki Włodzimierza Iljicza Lenina. Wspominałam o sposobie sowieckim dlatego, że był to ulubiony sposób balsamowania zwłok również innych wielkich przywódców komunistycznych – czasem wbrew ich woli, jak stało się to w przypadku Lenina. Z tego co wiem, zabalsamowani tak zostali Georgi Dymitrow, Mao Zedong, a chodzą słuchy, że także i Kim Ir Sen.

– Rozumiem. – Marcin pokiwał głową.

– Lenin leży w mauzoleum już prawie sto lat i cały czas świetnie wygląda. Ale dlatego, że ma doskonałą opiekę i jest dodatkowo konserwowany. O tę kobietę ktoś przestał dbać, myślę, że co najmniej pięć lat temu. Natura jest nieubłagana – powinien zacząć się normalny proces rozkładu, tylko w tym przypadku opóźniony.

– Dlaczego się nie zaczął?

– Musiała być przechowywana w chłodni albo, co osobiście uważam za bardziej prawdopodobne, w suchym i chłodnym pomieszczeniu. Na pewno nie w mieszkaniu. – Wskazała palcem w rękawiczce nieregularne ciemne przebarwienia na



bokach brzucha, na szyi i policzkach. – Tutaj mamy pierwsze objawy procesów gnilnych.

– Po co ktoś tak zadbał o zwłoki? – zapytał.

Przez twarz Hanny przemknęło coś na kształt ironicznego uśmiechu i zaraz przekształciło się w trudny do zidentyfikowania grymas.

– Z miłości? – rzuciła.

– Słucham? – Marcin nie zrozumiał.

– Do pochwy włożona jest rurka o średnicy około sześciu centymetrów. Wewnątrz niej znalazłam substancję przypominającą wazelinę i zaschnięte ślady, które mogą być spermą.

Marcin spojrział na nią szybko i nagle wszystko ułożyło się mu się w głowie w jedną całość. Makijaż na twarzy – ktoś dbał o naturalny wygląd ciała. Starannie uczesane włosy, modna w tamtych czasach sukienka i sweterek, staranne ułożenie ciała, masa kwiatów, znicze. Od czasu, kiedy znalazła się w kamienicy na Siemieńskiego, ktoś tam regularnie przychodził. Może z nią rozmawiał, zwierzał się ze swoich najskrytszych myśli, pytał, co słyhać, jak minął dzień. Rurka w pochwie? Ktoś przez tyle lat uprawiał z trupem seks? Oczyma wyobraźni Zakrzewski już prawie widział taką scenę. Odruchowo się wzdrygnął.

– Wstrząśnięty? – Hanna stała wyprostowana i parzyła na niego badawczo.

– Przyznasz, że nekrofilia nie jest czymś, co często się zdarza. A już szczególnie w takiej formie – powiedział.

Wzruszyła tylko ramionami. Miał wrażenie, że gdyby tylko zapytał, opowiedziałaby mu o wszystkich znanych kryminologii przypadkach nekrofilii. Wolał nie ryzykować.

– Skąd wniosek, że ciało ma trzydzieści lat? – zapytał, żeby zmienić temat.

Czuł drażniącą suchość w ustach i niesmak po niedobrej kawie.

– Po zwłokach trudno ocenić wiek – odpowiedziała. – Równie dobrze mogą mieć sto lat. Wiek oszacowałam po ubraniu. Sukienki i sweterki z takich materiałów nosiło się w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Ubrania poszły do analizy. Poza tym w brzuchu zamiast organów wewnętrznych miała kawałki szmat i stare gazety. Wiek papieru można w miarę dokładnie oszacować.

– J-jasne. A ile ona miała lat?

– Dwadzieścia pięć do trzydziestu.

Marcin przyjrzał się umalowanej, poszarzałej twarzy. Szklane oczy patrzyły na niego jakby z wyrzutem.

– Sprawa prawie beznadziejna – powiedział. – Zupełnie nie mam pomysłu, jak ustalić jej tożsamość.

– Pobrałam próbki z miazgi w zębie trzonowym. Może uda się z tego odczytać kod DNA. Nie wiem tylko, ile to może potrwać. Odczytanie DNA z bardzo starej próbki jest utrudnione.

– Zwłoki są zbyt stare. Nie ma szans, żeby jej DNA było w naszej bazie albo w jakiegokolwiek innej.

Hanna pokiwała głową ze smutkiem.

– W ten sposób będzie można znaleźć jej krewnych – powiedziała.

– Jeśli są w bazie.

– No tak. Laboratorium kryminalistyczne ma nowy laser. Postaram się, żeby zrobili mi komputerową rekonstrukcję twarzy.

– Dzięki. Roześlemy portret po wszystkich komisariatach policji w kraju, wrzucimy na naszą stronę internetową i poprosimy portale zajmujące się poszukiwaniem osób zaginionych, żeby sprawdziły swoje bazy danych. Szanse niewielkie, ale nie ma wielu opcji.

- Pewnie przyda ci się informacja, że co najmniej raz rodziła.
- Może. – Wzruszył ramionami.
- Jeszcze jedno. Rurka z pochwy też poszła do analizy. Jeśli są tam ślady spermy, pewnie uda się ustalić kod DNA sprawcy. Jeśli mamy go w bazie policyjnej, temat zamknięty.

Marcin mógłby się założyć, że nic nie znajdzie w policyjnych rejestrach.

- Na ubraniu znalazłam dziwne plamy. Było ich bardzo dużo. Również poszły do laboratorium. Przypuszczam, że to też może być sperma.

Komisarz Zakrzewski odsunął się od stołu z obrzydzeniem. Ściągnął szybko rękawiczki i wrzucił je do kosza. Znowu miał wizję tego, w jaki sposób te plamy znalazły się na ubraniu na zwłokach. Onanizujący się mężczyzna. Z trudem przełknął ślinę.

- Błagam – szepnął do siebie i zaraz wziął się w garść – Jak umarła?

Hanna Duciak sięgnęła do czaszki, podniosła ją i wtedy okazało się, że cała tylna część jest odpiłowana. Pokazała mu nieregularną dziurę w potylicy.

- Ma poważne obrażenia czaszki, trzy złamane żebra, złamane przedramię i prawy piszczel w trzech miejscach. Na tej podstawie można wnioskować, że zginęła w wypadku, ale...

– ...niekoniecznie – dokończył Zakrzewski.

- Właśnie. Nie można wykluczyć, że została zamordowana – powiedziała. – Jeśli tak, śmiertelne okazały się obrażenia czaszki.

Zakrzewski w jednej chwili znowu był zimnym i logicznie myślącym śledczym.

- Prokurator Wysocki musiałby rozszerzyć kwalifikację przestępstwa o artykuł sto czterdziesty ósmy. Nie wiadomo dokładnie, kiedy dokonano zabójstwa, więc na razie nie ma

mowy o umorzeniu śledztwa ze względu na przedawnienie. Co mogło spowodować taką dziurę w czaszce?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Ostre narzędzie – powiedziała.

– Siekiera?

– Nie, otwór jest okrągły. Oczywiście przez lata trochę stracił proporcje. Narzędzie zbrodni musiało być twarde i ostre.

– Masz jakieś propozycje?

Wyraźnie się zawahała.

– Śmiało. I tak tylko teoretyzujemy – zachęcił ją.

– Czekan. Taki czekan, jakiego używają himalaiści do wbijania w lód. – Popatrzyła na niego i naraz straciła pewność siebie. – Nie, nie! Tak tylko mi się skojarzyło.

– Pierwsze skojarzenia zazwyczaj są najbliższej prawdy.

\*

Wizja mężczyzny robiącego sobie dobrze nad zmumifikowanymi zwłokami podziałała na Marcina Zakrzewskiego jak trucizna. Nie mógł otrząsnąć się z tej myśli. A właściwie z jej wizualizacji.

Wyszedł przed budynek i prawie biegł na parking, jakby goniło go stado wściekłych biesów. Dopadł do swojej hondy i już miał wsiadać, kiedy do głowy przyszła mu pierwsza rozsądna myśl. Nie wolno uciekać! Trochę się uspokoił. Powiesił kask na kierownicy, zrobił kilka kroków, stanął na trawniku i wystawił twarz na gorące promienie. Po pochmurnym poranku na niebie pojawiło się słońce i było coraz cieplej. Stał tak długą chwilę, lecz ulga nie przyszła. Obraz onanizującego się mężczyzny co prawda zniknął, ale zastąpiła go wizja zmumifikowanej twarzy wodzącej za nim szklanym spojrzeniem, gdziekolwiek się ruszył. Wydawała mu się bezczelnie prowokacyjna.

– Cholera – powiedział samymi ustami.

Wreszcie twarz zniknęła. Teraz widział obfity biust Hanny Duciak opięty szczelnie białym fartuchem. Czy miała na sobie biustonosz? Przecież dokładnie widział zarys jej twardych sutków. W sali do sekcji zwłok było nieprzyjemnie zimno. Zaraz potem usłyszał w głowie głos Magdy: „Patryk nie może się doczekać, kiedy cię pozna”.

Odetchnął głęboko. Co się z nim działo? Zmiana! Potrzebna mu była zmiana. Najlepiej zmiana pracy.

Najpierw poczuł wibrowanie komórki w kieszeni. Dopiero później przez szum samochodów na pobliskiej ulicy przedarł się sygnał dzwonka. Jimmy Page grał pierwsze takty nieśmiertelnego gitarowego riffu z *Whole Lotta Love*. Odebrał, zanim Robert Plant wszedł z wokalem.

– Zakrzewski, słucham?

– Witam, panie komisarzu – odezwał się w słuchawce sympatyczny męski bas. – Kamil Bober z tej strony.

Bober był szefem jednej z większych agencji ochrony na Dolnym Śląsku. Poznali się cztery lata temu, kiedy Marcin prowadził śledztwo w sprawie seryjnego mordercy. Bober przypomniał sobie o nim miesiąc wcześniej i zatelefonował z propozycją pracy. Rozszerzał działalność agencji o usługi detektywistyczne dla ludności i wywiad gospodarczy. Zaproponował Marcinowi stanowisko szefa tworzonego właśnie działu.

– Witam – odpowiedział krótko Marcin.

– Zastanawia się pan nad moją propozycją?

– Tak, oczywiście – mruknął. – Ale ostatnio mówił pan, że mam jeszcze trochę czasu.

– Wie pan, panie Marcinie, rzeczywistość gospodarcza jest nieprzewidywalna. Muszę przyspieszyć działania, ponieważ będę miał na jesieni kilka poważnych zleceń.

– Rozumiem. Ile mam czasu na decyzję? – Zakrzewski poczuł nagły dreszcz na plecach.

– Najpóźniej do końca lipca.

Bał się, że termin będzie o wiele krótszy. Poczuł ulgę.

– Dobrze, przemyślę to.

– Liczę na pana. Cześć!

Kamil Bober się rozłączył, a Zakrzewski schował aparat telefoniczny do kieszeni. Szlag by to wszystko trafił! Sam już nie wiedział, czy chce tej zmiany. Jeśli chciał, dlaczego tak się bał podjąć decyzję?

Miał dość tego tygodnia. Napisał do Magdy:

Wracam szybciej do domu, wyjdę z Tiną.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast:

OK. Co powiesz na seks wieczorem?

Raczej nie – odpisał szybko. Odpowiedziała uśmiechem.

– O czym pan tak rozmyśla, panie komisarzu?

Odwrócił się gwałtownie.

Hanna Duciak stała dwa kroki od niego. Miała rozpuszczone włosy, była ubrana w motocyklową skórzaną kurtkę z ochraniaczem na kręgosłup, na nogach miała czarne skórzane spodnie i długie buty do jazdy motorem z metalowymi okuciami. Musiały być bardzo drogie. Zakrzewski mógł tylko o takich pomarzyć. Może będzie go stać, kiedy zmieni pracę?

Patrzył na nią zdziwiony. Jego wzrok znowu powędrował w kierunku jej piersi.

– Nie wiedziałem, że też jeździsz motorem – powiedział, mrugając.

– Kupiłam sobie w zeszłym roku takie cacko.

Niedbałym ruchem wskazała przeciwległą stronę parkingu. Stało tam bmw, o którym Marcin też mógł tylko pomarzyć. Model z roku 2014, sto dziesięć kilogramów, co najmniej sto osiemdziesiąt koni mechanicznych. Istny smok wśród motocykli sportowych.

Gwizdnął przez zęby.

– Niezłe.

– Dzięki. Cześć!

Odwróciła się i poszła w kierunku motocykla. Marcin obserwował jej kształtne pośladki pod obcisłymi spodniami. Wreszcie wsiadł na swoją hondę, odpalił, włożył kask, wyjechał z parkingu i włączył się do ruchu.

Dogoniła go na pierwszych światłach przed mostem Pokoju. Podjechała bardzo blisko, uchyliła szybę w kasku i odezwała się, przekrzykując odgłosy silników:

– Ścigamy się?!

– Chyba nie mam szans! – odkrzyknął.

Razem czekali na zielone.

Wystartowała znacznie szybciej od niego. Po stu metrach widział, jak jej motocykl pochyła się do przodu, kiedy ujęła mu gazu. Wiedział, co chce zrobić. Po sekundzie wrzuciła dwójkę, odkręciła manetkę gazu i odległość kilkuset metrów do drugich świateł przy placu Społecznym przejechała na tylnym kole.

Po chwili znowu stali obok siebie na czerwonym. Gdzie była ta przeklęta „zielona fala”? Może istniała tylko w planach urzędników od komunikacji miejskiej?

– Tak się w mieście nie jeździ! – krzyknął.

Zaśmiała się.

– Wlepisz mi mandat?!

– Nie jestem z drogówki!

Na następnych światłach Hanna pojechała prosto, a Marcin skręcił w prawo w kierunku placu Dominikańskiego.

## 5 List

27 czerwca, sobota rano

Adam Kurzaj nie spał już od piątej rano. Nie chciało mu się jednak wstawać tak wcześnie, była sobota, do cholery, ten dzień w tygodniu, w którym nareszcie można się wyspać i chociaż przez kilka godzin mieć wszystko w dupie – pracę, rodzinę, cały świat! Co prawda był na wcześniejszej emeryturze, żona od niego odeszła, dzieci nie chciały utrzymywać kontaktu, lecz to nie powód, żeby zmieniać wieloletnie przyzwyczajenia.

Zwłókł się z łóżka dopiero około ósmej. Nie mógł już dłużej leżeć. Chory kręgosłup zaczął natarczywym bólem żądać zmiany pozycji na pionową lub ewentualnie siedzącą. Poza tym chciało mu się do toalety, a w żołądku czuł ssanie. Musiał coś zjeść, żeby wziąć poranną porcję tabletek.

– Cholerna starość – mruzczał pod nosem, wygrzebując się spod starego koca i po omacku szukając na podłodze schodzonych kapci. Kiedy wreszcie je wymacał i wsunął na stopy, podźwignął się z głuchym jękiem. Kręgosłup dalej bolał, ale już inaczej. Taki ból można było znieść.

Szurając nogami, poczłapał do łazienki, stanął przed muszlą, podniósł klapę i skrzywił się z niesmakiem. Musi w końcu wymyć toaletę. Śmierdziało jak z miejskiego szaletu. Pewnie jakoś wciśnie ten niewdzięczny, acz konieczny obowiązek w codzienny rozkład zajęć. Przecież jak zwykle ma napięty grafik. Roześmiał się na tę myśl. Cały dzień spędzi, kursując między lodówką w kuchni a fotelem ustawionym przez wielkim



ekranem telewizora. Wcześniej musi wyskoczyć tylko do pobliskiej Żabki po piwo. Tak, jak zwykle będzie bardzo zapracowany.

Spuścił wodę, odwrócił się do lustra i spojrzał na siebie krytycznie. Rzadkie przetłuszczone włosy, zwykle starannie zaczesane do tyłu, teraz sterczały mu we wszystkie strony, twarz była blada i opuchnięta, obwisłe wargi kryły żółte zęby. Reszty tragedii dopełniały worki pod oczami, przekrwione białka, czerwony bezkształtny nos i sieć naczyń krwionośnych na policzkach. Codziennie patrzył na tę twarz i nie poznawał sam siebie. Miał przecież dopiero sześćdziesiąt pięć lat, a wyglądał na dwadzieścia lat więcej. Czuł się też na dużo więcej. Gdzie się podział ten przystojny mężczyzna sprzed trzydziestu kilku lat, za którym tak szalały kobiety? Wystarczyło tylko uśmiechnąć się czarująco i zachęcająco mrugnąć okiem, a każda mogła być jego.

No cóż, wszystko przemija. Tylko dlaczego tak szybko i boleśnie?

– Przecież wiesz dlaczego, stary durniu – powiedział, parząc temu drugiemu w oczy.

Wielokrotnie widywał mężczyzn w swoim wieku albo nawet starszych, którzy wyglądali jak jego młodsze rodzeństwo, byli zdrowi, nic ich nie bolało, byli w świetnej formie, a nawet biegali maratony w dobrym czasie. On jednak przez ostatnie lata nie prowadził sportowego trybu życia. Co prawda udało mu się rzucić palenie, ale nad alkoholem nie miał takiej władzy. Właściwie było na odwrót – alkohol miał władzę nad nim. I czasem go rzucał – o ziemię. Kiedy to się zaczęło? Dokładnie pamiętał datę. 20 października 2000 roku – pierwszy dzień na wcześniejszej emeryturze. Nagle nic nie musiał robić. Zalał go i pochłonął strumień wolnego czasu. Dotąd nie miał żadnych zainteresowań, przez wiele lat był członkiem ekipy pogotowia

gazowego. Zawsze coś się działo, musiał być dyspozycyjny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Później przyszła pustka.

W styczniu 2001 roku odeszła od niego żona. Powiedziała, że nie wytrzyma dłużej z pijakiem po jednym dachem, i wyprowadziła się do córki oraz zięcia do Smolca. Niby niedaleko, ale widział ją od tamtego dnia raptem dwa razy, przelotnie na ulicy. Córka i młodszy syn też przestali się nim interesować. Pił więc w samotności, a ostatnio nawet coraz rzadziej wychodził z domu. Tylko po piwo albo do lekarza, od kiedy zdrowie zaczęło mu poważniej szwankować. Właściwie posypało się lawinowo – nadciśnienie, zwyrodnienia kręgosłupa, bóle w kolanie, kłopoty z sercem, powiększona prostata. Dwa razy dziennie brał garść pigułek. Nie zastanawiał się ani przez chwilę nad tym, czy pigułki mają działanie lecznicze, kiedy popija się je puszką piwa, a później w trakcie dnia zalewa się je kilkoma kolejnymi.

Prawdę mówiąc, Kurzaj miał to w dupie. Podobnie jak kilka innych ważnych w życiu rzeczy.

Z łazienki przeszedł do kuchni, gdzie jego wzrok natychmiast zatrzymał się na zlewie pełnym brudnych talerzy i kolekcji pustych puszek po piwie na parapecie. Gówniane życie. Pomyślał, że zanim pójdzie po piwo, trochę posprząta. Najpierw jednak sięgnął do chlebaka i zjadł suchą kromkę chleba, a potem połknął pigułki, popijając je ostatnią puszką piwa. Miał swoją świętą zasadę. Co by się nie działo, jedno piwo musiało mu zostać na następny dzień. Znowu się zaśmiał pod nosem. To też było lekarstwo, jedna z pigułek, bez której nie mógł się obejść każdego poranka.

Zanim posprzątał i doprowadził się do stanu, w którym mógł bez wstydu wyjść między ludzi, zrobiła się dziesiąta. Do Żabki nie miał daleko. Mieszkał właściwie naprzeciw sklepu. Wychodził z bramy dwadzieścia cztery przy ulicy Tyrmanda, musiał pójść w lewo, przejść przez ulicę, minąć przychodnię

weterynaryjną i już był w sklepie. Kiedyś to było centrum osiedla. Obok przez lata była piekarnia, gdzie w dobrych czasach kupował świeże bułeczki na śniadanie, dalej sklep z dziecięcymi ubrankami, a jeszcze dalej mięsny. Wszystko się zmieniło, kiedy dwa lata temu na Trawowej wybudowali osiedle Morelowe. Cały handel przeniósł się tam, piekarnia zbankrutowała, tak samo jak sklep z odzieżą. Została tylko Żabka, ale co chwilę zmieniał się właściciel.

W Żabce Kurzaj kupił sześć puszek piwa, chleb, masło i serek topiony. Tak mu się trzęsły ręce przy płaceniu, że ledwo wyciągnął z portfela banknot pięćdziesięciozłotowy. Wracał do domu zawstydzony swoim zachowaniem. Ekspedientka, która znała go przecież bardzo dobrze z widzenia, wrzuciła mu resztę bezpośrednio do portfela, jakby się bała, że drobne rozsypią się po całym sklepie. Cholera, jak tu się wziąć w garść? Musi się napić piwa. Złoty płyn był lekarstwem na wszelkie stany załamania. Tłumił niepotrzebne myśli.

Do bramy przed nim wchodził sąsiad z psem, więc nie musiał trafiać kluczem do zamka. Kiwnęli sobie głowami, po czym mężczyzna z jamnikiem na smyczy poszedł szybko schodami na górę. Kurzaj włókł się stopień po stopniu, sapiąc i pocąc się. Na szczęście mieszkał na drugim piętrze.

Przed drzwiami zatrzymał się zdziwiony.

Na starej, zdeptanej wycieracze leżała szara koperta. Z trudem ją podniósł i obejrzał. Ktoś czarnym flamastrem, drukowanymi literami napisał jego imię i nazwisko. Szybko wszedł do mieszkania, usiadł w fotelu i uważnie obejrzał kopertę. Wcale nie była szara. Raczej poszarzała, jakby wykonano ją z bardzo starego papieru. Kartka, którą wyciągnął ze środka, skojarzyła się Kurzajowi ze starą papeterią.

List był napisany drukowanymi literami czarnym cienkopisem. Musiał dwa razy przeczytać tekst, zanim dotarł do niego sens zawartych w nim słów.

Na długie minuty zastygł w bezruchu na fotelu. Przed oczami jak spłoszone stado koni galopowały mu wspomnienia.

Znowu ją widział, jakby to było wczoraj. Miała czarne długie włosy, ciemne oczy, czerwone wargi, proste białe zęby. Znowu widział, jak naga i spocona leży w białej pościeli po intensywnym seksie. Jej obfite piersi falują przy każdym oddechu, gęste, ciemne włosy łonowe skrywają zaczerwienioną kobiecość. Nagle podnosi głowę, uśmiecha się i pyta:

– Co, moi chłopcy, zadowoleni?

Jak na zawołanie obok niej kładzie się szczupły blondynek o niewinnym spojrzeniu. Całuje ją w sutek. Po drugiej stronie siada dobrze zbudowany brunet z mocnym zarostem na twarzy i całuje ją w drugi sutek. Trzeci mężczyzna nachyla się nad nią i całuje w usta. Wszyscy są nadzy, ich ciała lśnią od potu. Kobieta patrzy na Kurzaja z lubieżnym uśmiechem.

– Adam, a ty do mnie nie przyjdiesz?

Kurzaj gasi papierosa w przepelnionej popielniczce i dołącza do nich na łóżku. Też jest nagi. Kobieta obejmuje ich wszystkich, przyciska do siebie i mówi ze śmiechem:

– Kocham was wszystkich, cholerne łobuzy.

## 6 Telefony

27 czerwca, sobota po południu

Prokurator Marek Grabski obserwował swojego przyjaciela, odkąd ten przekroczył próg jego mieszkania. Coś się zmieniło. To nie był już ten sam facet co kiedyś. Był o wiele szczuplejszy, na jego twarzy rzadziej gościł uśmiech, na skroniach lśniły mu nowe siwe włosy. Do tego pojawiło coś, czego wcześniej nie było. Zachowywał dystans. Nawet w stosunku do najmłodszego syna Grabskich, dziesięcioletniego Jonatana, którego był ojcem chrzestnym. Grabski musiał ponawiać zaproszenie na obiad przez kilka kolejnych tygodni, zanim jego przyjacielowi skończyły się wymówki i musiał przyjść.

Na obiad żona Grabskiego, Agnieszka, przygotowała ziemniaki pieczone w głębokim tłuszczu, mielone ze szczypiorkiem i trzy rodzaje surówek. Gość zjadł porządną porcję z dokładką, zachwalając kunszt gospodyni i narzekając, że w kawalerskim życiu nie robi sobie takich frykasów nawet od święta. Agnieszka z radością i zadowoleniem przyjmowała komplementy. Przynajmniej to się nie zmieniło: kobiety wciąż go uwielbiały.

Po obiedzie pili kawę na tarasie z widokiem na pola pszenicy i las. Świeciło słońce, wiał lekki wiaterek, przynosząc ulgę od upału. Agnieszka Grabska taktownie zostawiła ich samych, wymawiając się sprzątaniem po obiedzie. Synowie Grabskich – trzech małych rozrabiaków – bawili się w wojnę i biegali z zabawkowymi karabinami po całym podwórzu.

Prokurator Grabski uwielbiał tak siedzieć i kontemplować piękne widoki. W Pierwoszowie, dwa kilometry od drogi Wrocław–Trzebnica, pobudował się kilka lat temu i nadal to miejsce mu się podobało. Cisza, spokój, przyroda. Czego trzeba było mu więcej po stresującej pracy? Przez ostatnie lata we wsi stanęło kilkanaście nowych domów innych uciekinierów z miasta, ale Grabskim to nie przeszkadzało. Ich dom położony był na uboczu, na skraju wsi.

Prokurator wyciągnięty w fotelu, z nogami założonymi na balustradę tarasu, spojrzął na gościa i zapytał, przerywając krótką ciszę:

– Skąd pomysł na motocykl?

Jego gość drgnął, następnie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Szukałem nowych wrażeń, a to była miłość od pierwszego wejrzenia. Zobaczyłem ten motocykl na policyjnym parkingu pojazdów powypadkowych. Był tylko trochę uszkodzony. Kupiłem bardzo tanio i wyremontowałem.

– Doszły mnie słuchy, że poprzedni właściciel zabił się na tym motorze.

Znowu obojętne wzruszenie ramion.

– Wiem. Przewrócił się na prostym odcinku A4 przy prędkości sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Motor tylko się obtarł, a chłopak wbił się pod metalową barierę na poboczu. Podobno straż pożarna wyciągała go godzinę

– Nie przeszkadza ci to?

– Nie jestem przesądny. To dobry motocykl.

Grabski pokręcił głową.

– A ten kask z trupa czaszką? – zapytał.

– Kupiłem tanio na Allegro. Bardzo mi się spodobał.

– Zmieniłeś się, Marcin.

Zakrzewski upił łyk kawy z filiżanki i spojrzął na niego z ukosa.

– Może i się zmieniłem – odpowiedział. – Ale dzięki temu nie zwariowałem.

Prokurator Grabski był jedyną osobą, która wiedziała, co naprawdę stało się tamtej feralnej nocy w opuszczonym domu we wsi pod Środą Śląską. Zakrzewski spotkał się tam ze swoim kolegą z dzieciństwa, który okazał się poszukiwanym przez policję seryjnym mordercą.

– Rozumiem.

Marcin spojrział na otwarte drzwi do salonu, sprawdzając, czy Agnieszki nie ma w pobliżu.

– Nie rozumiesz. Granica, po przekroczeniu której stajesz się mordercą, jest nie tam, gdzie się jej spodziewałem. Jest dużo bliżej. Nawet nie wiesz, jak trudno jest codziennie rano patrzeć sobie w oczy w lustrze i widzieć w nich zabójcę.

Grabski spojrział w niebo na szybującego wysoko nad polem myszołowa.

– Nie wiem, jak to jest – powiedział. – I tym bardziej nie rozumiem, dlaczego rozstaliście się z Pauliną Czerny. Nie powiedziałaś jej prawdy?

Zakrzewski najspokojniej w świecie napił się kawy i odstawił filiżankę na stolik.

– Nie mogłem – odpowiedział.

– Cholera! Trochę mi się nie mieści w głowie. Jesteś przekonany, że postrzelona przez mordercę Paulina umiera w karetce w drodze do szpitala, potem strzelasz mu w łeb, żeby ją pomścić. I po tym wszystkim nie masz odwagi powiedzieć jej prawdy?

– To tylko pozornie takie proste.

– Nie wydaje ci się, że w ten sposób uciekasz od odpowiedzialności? Boisz się wpuścić ją do swojego życia, boisz się jej zaufać?

Grabski spojrział na gościa z ukosa. Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Plastikowa maska.

Milczeli. Grabski czuł, że przyjaciel chce mu coś powiedzieć, więc czekał.

\*

Odkąd otworzył list po powrocie ze sklepu, Adam Kurzaj nawet nie pomyślał o piwie ani o innym alkoholu. Popołudniową porcję pigułek połknął, zapijając herbatą. Był w takim stanie, że nie zauważył, kiedy wystygła. Zapomniał wyciągnąć ze szklanki torebkę zaraz po zaparzeniu i teraz nitka z żółtym kartonikiem na końcu wpadła do środka. Od dwóch godzin siedział nieruchomo przy stole i oglądał album ze starymi fotografiami. Z trudem odnalazł go na dnie szafy. Przed laty ukrył go bardzo dobrze, tak dobrze, że lubiąca porządku żona nigdy się na album nie natknęła. On sam musiał się długo zastanawiać, zanim sobie przypomniał, gdzie szukać. Teraz oglądał czarno-białe, pożółkłe fotografie i wspomnieniami był w innym, lepszym świecie. Nie czuł nawet bólu kręgosłupa.

Zdjęcia pochodziły z ich ostatnich wakacji nad morzem. W którym to było roku? 1981? Tak, na pewno! Pamiętał, że w sierpniu tego roku strajki robotników zakończyły się podpisaniem porozumień i powstał związek zawodowy Solidarność.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało całą ich szaloną piątkę. Stali obok siebie, przed domem wczasowym, w którym mieszkali. Uśmiechnięci, beztroscy, szczęśliwi, nic nie wiedząc o tragicznych zdarzeniach, które będą musieli przeżyć za dzień lub dwa. Jakie życie jest cholernie podstępne i okrutne. Ani na moment nie można stracić czujności, jak oni wtedy. Jeśli stracisz czujność, życie zaatakuje cię w najmniej spodziewanym momencie.

Następne fotografie przywołały kolorowe wspomnienia. Bardzo kolorowe wspomnienia.



Ona w zwiewnej sukience, bosa, z włosami spiętymi w koński ogon.

Młody, drobny blondynek o twarzy dziecka i ujmującym uśmiechu, najmłodszy z nich – nie miał chyba jeszcze dwudziestu lat – był ich fotografem. Miał starą radziecką zorkę, którą zabrał ojcu.

\*

– Uśmiechnij się do mnie jeszcze raz – prosi, a ona oczywiście spełnia jego prośbę.

Zawsze spełniała wszystkie ich prośby.

Staje na palcach i niewinnie uśmiecha się do obiektywu. Strzela migawka. Ona nie czeka, tylko zbiega z pagórka, biegnie po piasku prosto do morza. Zatrzymuje się po kostki w wodzie i czeka, aż przyjdzie kolejna fala.

Zanim Młody naciągnie kliszę w aparacie, dołączają do niej Kosek i Mincel. Czekają na falę. Młody robi kolejną fotografię.

Fale rozbijają się o brzeg z szumem, dookoła na plaży jak okiem sięgnąć nie ma żywej duszy, niebo jest błękitne, morska bryza chłodzi rozgrzaną słońcem skórę. Pełnia lata i cudowna pogoda, prawie niespotykana na polskim wybrzeżu Bałtyku. Przynajmniej takie było zdanie Adama Kurzaja.

Kolejne fotografie. Cztery osoby pryskają się wodą, brodząc w falach po kolana.

Potem ruszają dalej.

Ona idzie przed nimi, spogląda na nich co chwilę przez ramię z szelmowskim uśmieszkiem na ustach. W pewnym momencie ściąga sukienkę i rzuca im do tyłu. Adam łapie ją i zarzuca sobie na ramię. Śmieją się. Młody robi kolejne zdjęcie.

Potem ona odbiega od nich kilka kroków, odwraca się i idąc do tyłu, ściąga powoli biustonosz. Rzuca w ich kierunku i Mincel go łapie. Teraz idzie przed nimi w samych majtkach.

Ale nagle zdejmuje je sprawnie i rzuca do tyłu. Uderzają Młodego prosto w twarz, co wywołuje u pozostałych mężczyzn salwę śmiechu. Ona tymczasem idzie przed nimi naga i prowokująca. Dokładnie widzą, jak kręci uwodzicielsko biodrami, patrzą pożądliwie na jej białe pośladki wyraźnie kontrastujące z opalonym ciałem. Ona odwraca się i znowu idzie tyłem. Młody fotografuje ją podniecony.

– Może się wykąpiemy? – pyta z błyskiem w oku.

Jak na komendę ściągają z siebie ubrania. Cała piątka kąpie się nago w morzu, śmiejąc się przy tym głośno.

Po chwili stają dookoła niej, głaszczą jej skórę i całują. Wyrzywa się im ze śmiechem i biegnie w poprzek plaży w kierunku porastającego wydmy sosnowego lasu. Doganiają ją na skraju w cieniu drzew, przy zwałonym pniu.

– Najpierw zdjęcie – protestuje i wszyscy ustawiają się do fotografii.

Młody kładzie zorkę na pniu, reguluje samowyzwalacz i staje razem z nimi w grupie. Długo czekają, aż aparat zadziała. Zaczynają się już niepokoić, kiedy wreszcie słychać kliknięcie migawki.

Potem po kolei – tak jak ona lubi – kochają się z nią na tym zwałonym pniu. W oczekiwaniu na swoją kolej Kosek i Młody pieszczą się wzajemnie, ale nikomu to nie przeszkadza.

Po seksie z całą czwórką ona jest wniebowzięta i półprzytomna. Nogi się pod nią uginają tak, że w powrotnej drodze muszą ją podtrzymywać.

\*

Adam Kurzaj gorączkowo starał się przerwać ten ciąg wspomnień. Dokładnie wiedział, co było dalej, ale nie chciał mieć tych obrazów ponownie przed oczami. Przez lata udawało mu się wyprzeć je z pamięci. Fotografie wywołały jednak w jego

umyśle niemożliwą do powstrzymania kulę złożoną ze wspomnień, toczącą się coraz szybciej i szybciej.

Przypomniawszy sobie, jak później wszystko zawało się w pięć minut. Dopadło ich zło i całkowicie zawładnęło ich życiem. Już na zawsze. Ponownie miał w sobie tamte uczucia.

Widział przemoc i krew, czuł szok i paraliżujący strach.

Zamknął szybko album i oddychał ciężko. W piersiach coś uciskało, z trudem łapał powietrze. Miał nadzieję, że to początek zawału i zaraz umrze. Nikt go tu nie znajdzie przez najbliższy miesiąc, nikt nie zadzwoni po pomoc. Niestety, to nie był zawał. Ani nawet atak serca. Za chwilę poczuł się normalnie.

Przed trzema godzinami dowiedział się z listu, że ktoś z ich czwórki ją zabił. To nie był on, więc w grę wchodził Młody, Mincel i Kosek. Musiał coś zrobić!

W szufladzie komody, ze sterty zapomnianych papierów i niepotrzebnych szpargałów wygrzebał notes z numerami telefonów. Sięgnął po słuchawkę i wybrał ten numer, o który mu chodziło.

\*

Zanim Marcin Zakrzewski zdążył otworzyć usta, zabrzmiał początek *Whole Lotta Love* Led Zeppelin. Grabski uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie czasów młodości.

– Hard rock nie rdzewieje – powiedział.

– Nie ma takiej opcji – uśmiechnął się Marcin, wyciągając z kieszeni swój telefon.

Popatrzył na wyświetlacz, skrzywił się i rzucił:

– Muszę odebrać.

Oddalił się kilka kroków od werandy i stanął przy ogrodzeniu oddzielającym podwórko od pola pszenicy.

– Tak, słucham?

Głos w telefonie kiedyś przyprawiał go o drżenie serca. Teraz nie poczuł nic. Płynie czas i leczy rany.

– Cześć, Marcin. Mówi Justyna Kordas – zawiesiła głos, jakby czekała na reakcję.

Nie odezwał się. Justyna Kordas była jedyną kobietą, z którą próbował na poważnie ułożyć sobie życie. Mieszkali ze sobą kilkanaście miesięcy. Po początkowych tarciach ich wspólne funkcjonowanie zaczęło się układać. Ona tolerowała jego późne powroty do domu z pracy, zarwane noce, weekendowe nieobecności. Jemu też nie przeszkadzała jej niepokładana praca w redakcji „Gazety Wrocławskiej”. Później niespodziewanie dostała propozycję pracy w telewizji TVN w Warszawie, ale Marcin nie chciał wyprowadzać się z Wrocławia.

– Nie odpowiedziałeś na moją wiadomość.

Marcin z trudem przypomniał sobie, że rzeczywiście przed kilkoma tygodniami usunął ze swojej skrzynki maila od niej. Nie miał zamiaru odpowiadać na zawarte w nim pytania.

– Wykasowałem go – powiedział. – Ta sprawa jest dla mnie zamknięta.

– Szkoda. Prawdę mówiąc, bardzo liczyłam, że zgodzisz się opowiedzieć historię mordercy ze Szczepanowa w moim reportażu. Tak czy inaczej zrobiłam ten materiał bez ciebie. Na pewno bez człowieka, który odkrył, kto jest seryjnym mordercą, stracił na jakości, ale nadal jest bardzo ciekawy.

– No i? – burknął niezbyt sympatycznie.

– Nie jesteś za rozmowny. – Ton jej głosu stwardniał.

– Posłuchaj mnie, Justyna – zaczął chłodno. – Tamto śledztwo bardzo dużo mnie kosztowało. Musiałem podnieść się psychicznie po tym, jak moja partnerka umierała mi na rękach postrzelona przez mordercę. Musiałem poradzić sobie ze świadomością, że to ja go zastrzeliłem w obronie własnej. Potem przez pół roku byłem zawieszony, a człowiek z biura

spraw wewnętrznych grzebał w moim życiu, bo uznał, że być może jestem niepoczytalny i nie mogę pracować w kryminalnej. Nachodził mnie dwa razy dziennie, przesłuchiwał, jakby chciał mnie złapać na kłamstwie. Na koniec powiedział, że mi nie wierzy i pewnie zastrzeliłem tego sukinsyna z zemsty. Ta sprawa by się jeszcze przeciągnęła, ale na szczęście naczelnik Komendy Wojewódzkiej zainterweniował i BSW zakończyło postępowanie. Do tego przez kilka tygodni łączyły za mną tabuny dziennikarzy. Jeszcze przed rokiem jeden z pracowników pewnego bardzo sensacyjnego ogólnopolskiego tytułu jeździł za mną. Wkurzyłem się, sprzedałem samochód i kupiłem motocykl, żeby nikt nie mógł mnie dogonić autem. Nie dziw się więc, że na każdą uwagę o tamtym śledztwie reaguję alergicznie.

– Ludzie mają prawo znać prawdę. Od tego są wolne media – odrzekła.

– Tylko dlaczego moim kosztem? Czy ktoś liczy się z moimi uczuciami, kiedy rozgrzebuje temat po raz nie wiadomo który?

Przez sekundę w słuchawce panowało milczenie.

– Wydawało mi się, że jesteś inny – powiedziała.

– Zmieniłem się. Odkąd się rozstaliśmy, bardzo się zmieniłem. Pewnie byś mnie już nie poznała. Ty też jesteś inna. Kiedyś pomyślałabyś o moich uczuciach, zanim wzięłabyś się za ten materiał.

– No cóż – chrząknęła. – Tak czy inaczej zrobiłam reportaż o tamtym śledztwie. Emisja będzie dzisiaj o dwudziestej drugiej pięć. Obejrzyj, może zmienisz o mnie zdanie.

– J-jasne.

Rozłączył się bez pożegnania, wrócił na werandę i ciężko usiadł na fotelu obok Marka Grabskiego. Przyjaciel popatrzył na niego pytająco. Marcin w kilku słowach streścił rozmowę.

Prokurator wyglądał na strapionego.

– Cholera – mruknął. – Już się cieszyłem, że tamta sprawa odeszła w mroki zapomnienia.

– Tak się nigdy nie stanie. – Marcin pokręcił głową. – Zawsze będę kojarzony tylko z nią. Dlatego zastanawiam się nad przejściem na emeryturę. Twój znajomy z agencji ochrony, Kamil Bober, zaproponował mi pracę.

Grabski na chwilę znieruchomiał.

– Zdecydowałaś się już? – zapytał w końcu.

– Jeszcze się waham, ale ten reportaż na pewno ułatwi mi podjęcie decyzji.

– Myślisz, że jak przestaniesz być policjantem, wszyscy nagle zapomną o tobie i tamtym śledztwie?

– Może nie, ale nie przekonam się o tym, jeśli nie spróbuję.

Grabski ściągnął nogi z balustrady. Myszołów znowu pojawił się nad polem.

– Ale to nie jest główny powód? – zapytał.

– Straciłem motywację – odpowiedział Zakrzewski. – Wypaliłem się. Praca przestała sprawiać mi satysfakcję. Od dwóch lat zajmuję się głównie tym, że ktoś komuś dał w mordę, menel w pijanym widzie zabił drugiego menela, konkubent pobił konkubinę albo kibole potrzaskali się na ustawce. Mam dość. Do tego cały czas trafiam na prokuratora Wysockiego, który mnie nie cierpi i szarpiemy się, zamiast współpracować.

– Waszym problemem jest kobieta.

Paulina Czerny miała krótki romans z prokuratorem Wysockim, zanim zaczęła pracować z Marcinem nad sprawą seryjnego zabójcy.

– Chyba jego. – Zakrzewski się skrzywił. – Tak się składa, że teraz żaden z nas nie ma nic wspólnego z tą kobietą.

– Wiem, w czym leży twój problem – odezwał się Grabski.

– J-jasne. – Policjant lekceważąco wyruszył ramionami.

– Sięgnąłeś szczytu. Każdy śledczy marzy, żeby chociaż raz w życiu pracować nad taką sprawą. Każdy śni, żeby złapać

takiego skurwysyna. Udaje się nielicznym. Tobie się udało i teraz podświadomie cały czas czekasz na kolejną taką sprawę. Nie tylko taką. Jeszcze trudniejszą, bardziej ryzykowną i zagmatwaną. Dlatego wściekasz się, kiedy musisz zajmować się drobnymi przestępstwami i pospolitymi zabójstwami. Czekasz na kolejnego seryjnego mordercę. Tylko takie śledztwo sprawiłoby ci satysfakcję.

– Doprawdy? Tamta sprawa omal mnie nie zniszczyła.

– Właśnie tak jest w tej parszywej robocie. Sukces zazwyczaj okazuje się bolesny i ma bardzo gorzki smak. A jednak jest jak narkotyk.

– Może masz rację?

Grabski na chwilę zostawił Marcina samego. Wrócił z wielką szklanką whisky z lodem.

– Twoje zdrowie – powiedział i upił łyk.

– Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że chcę odejść – powtórzył Marcin.

– Szkoda. Myślałem, że przyjechałeś odwiedzić starego przyjaciela.

Teraz Zakrzewski spojrzał na niego z ukosa.

– Nie łap mnie za słówka – rzucił. – Jeszcze nie raz przyjadę pogadać i napić się dobrej whisky.

Grabski wyprostował się w fotelu.

– Chcesz znać moje zdanie, prawda? Więc posłuchaj. Jesteś najlepszym komisarzem policji kryminalnej w mieście. Może i na Dolnym Śląsku. Jesteś niezależny, niepodatny na naciski, niewikłany w układy i koterie. Masz tylko jeden cel – złapać sprawcę. Kiedy chwycisz trop, nic nie jest w stanie cię od niego oderwać. Równocześnie uwielbiasz się umartwiać. Wiesz, dlaczego teraz użerasz się z Wysockim i ścigasz meneli? Sam jesteś sobie winien. Mogłeś zostać w wojewódzkiej w Archiwum X, ale odszedłeś, bo po raz drugi rozstaliście się z Pauliną. Mogłeś pracować w wojewódzkiej, ale uniosłeś się honorem,

kiedy gnębił cię ten komisarz z BSW. No to teraz siedzisz w komendzie miejskiej i zajmujesz się śmieciami. Wszystkie ważne śledztwa przejmuje wojewódzka – tak było na przykład z tym pisarzem, którego znaleziono martwego na Wybrzeżu Wypiańskiego. Przez chwilę prowadziła to miejska, ale śledztwo przeszło do Komendy Wojewódzkiej. To był przecież najlepszy autor kryminałów w kraju. Presja społeczna i medialna była ogromna. Próbowałem nawet wpłynąć, żeby wzięli cię do śledztwa, ale na razie nie ma o czym mówić.

– Czyli uważasz, że sam dla siebie jestem problemem.

– Owszem.

Milczeli przez chwilę.

– Mają już podejrzanego o zabicie tego pisarza? – zapytał Zakrzewski.

– Ani podejrzanego, ani motywu, ani narzędzia zbrodni. Od dwóch tygodni są w czarnej dupie.

– Przykre.

– Słyszę złośliwą satysfakcję w twoim głosie.

– Możliwe. Kto to prowadzi, Paulina?

– Tak.

\*

Sygnal umilkł, zanim Zbigniew Koskowski zdążył wygrzebać z kieszeni telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Nieznany numer telefonu stacjonarnego. Zaklął w duchu. Co się dzieje, do ciężkiej cholery? Znowu?

Dwa dni wcześniej, z samego rana, ktoś do niego zatelefonował. Nie przedstawił się, a Koskowski nie był pewien, czy telefonuje kobieta czy mężczyzna. Głos był dziwnie zniekształcony. Dzwoniący ostrzegł go, że jest na celowniku Centralnego Biura Antykorupcyjnego w związku z kilkunastoma ustawionymi przetargami. Kilka miesięcy



wcześniej CBA zatrzymała skorumpowanego urzędnika z Ministerstwa Infrastruktury, który poszedł na układ i teraz opowiadał, co wiedział. A wiedział bardzo dużo. Był odpowiedzialny za przetargi na remonty zabytków, finansowane częściowo ze środków Unii Europejskiej w całym kraju. Koskowskiego obleciał strach. Kilka lat wcześniej założył firmę INKBeton, handlującą sprowadzonymi z Niemiec pompami do wtrysków betonu. Okazało się jednak, że maszyny słabo się sprzedają, istnieje za to spore zapotrzebowanie na usługi w tym zakresie. Największe pieniądze były w sektorze publicznym, ale trzeba było wygrać przetarg. Koskowski szybko się zorientował, że nie da się wygrywać przetargów bez posmarowania komu trzeba. Dlatego nie miał czystego sumienia i telefon okropnie go przeraził.

Przytomnie zapytał, czego telefonujący chce w zamian za taką informację. Nieznajomy powiedział, że się jeszcze odezwie, i się rozłączył. Koskowski próbował później dzwonić na ten numer, ale głos automatu za każdym razem powtarzał, że abonent ma wyłączony aparat lub znajduje się poza zasięgiem sieci. Koskowski czekał więc na kolejny telefon od nieznajomego. Doszło do tego, że podskakiwał z nerwów, gdy tylko ktoś do niego telefonował.

Jeśli namierza go CBA, pewnie ma telefon na podsłuchu i dlatego nieznajomy nie dzwoni. Ale dlaczego w takim razie w ogóle zadzwonił? Może wtedy jeszcze nie było podsłuchu?

Nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał zza biurka, włożył marynarkę i skierował się do drzwi. Spojrzał sobie w oczy w wielkim lustrze wiszącym na ścianie. Skończył pięćdziesiąt dziewięć lat, ale nie miał ani jednego siwego włosa na głowie. Wciąż mógł się szczyścić czarną czupryną. Miał gęste krzaczaste brwi, ślady ciemnego zarostu na policzkach i brązowe oczy. Nawet teraz podobał się kobietom, a kiedyś wszystkie dziewczyny były jego.

Postanowił, że pojedzie do Małgorzaty. Tak miała na imię dużo młodsza kochanka, którą utrzymywał i której wynajmował mieszkanie na Szewskiej, zaraz przy Rynku. Zawsze miał duży temperament i apetyt na seks. W szczytowym momencie przed kilkoma laty miał trzy kochanki, przy czym z dwoma spotykał się jednocześnie. Nie licząc żony oczywiście. Teraz firmie nie powodziło się tak dobrze, dlatego musiał się ograniczać.

Żona zatrzymała go w progu.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała zdziwiona.

– Muszę jechać na budowę. Jakiś problem ze sprzętem – skłamał niezbyt lotnie.

– Przecież jest sobota po południu.

– Robota to robota – mruknął niechętnie.

– Na kolację mają przyjść Nowiccy. Zwariowałeś? Nie możesz mnie tak ze wszystkim zostawić!

Jasna cholera! Zapomniał o gościach.

– Postaram się szybko wrócić – rzucił i ruszył ścieżką do garażu, zostawiając ją w drzwiach.

– Pewnie jedziesz do tej swojej dziwki! – wrzasnęła za nim, aż drgnął. – Myślisz, że nie wiem, że spotykasz się z jakąś kurwą!? Powiedz jej, że wiem, gdzie mieszka, i jak ją dorwę, wszystkie włosy jej z głowy powyrywam! Szlag by to trafił!

Usłyszał potężne trzaśnięcie drzwiami i żona zamilkła.

Nie wiedziała, kim jest Małgorzata i gdzie mieszka. Nie mogła nic wiedzieć na pewno, może się tylko domyślała. Od dawna nie działało się między nimi najlepiej, ale wina leżała po obu stronach. Temat kochanki wracał jak bumerang, kiedy żona traciła wszystkie argumenty w czasie kłótni.

Koskowski otworzył drzwi do garażu, kiedy odezwał się dzwonek jego telefonu. Zdenerwowany nie popatrzył nawet na wyświetlacz, tylko odebrał odruchowo.

– Słucham?

Przytłumiony głos w słuchawce sprawił, że poczuł zimny dreszcz na plecach.

– Mam propozycję nie do odrzucenia, panie Koskowski.  
Słuchał w milczeniu oparty o błotnik swojego bmw x5.

\*

Pod dwóch sygnałach Adam Kurzaj rzucił nagle słuchawką, jakby zaczęła parzyć w palce. Usiadł znowu przy stole nad rozłożonym albumem ze starymi zdjęciami, dysząc ciężko i klnąc w duchu. Co ty robisz, stary idioto? Czyżby alkohol już tak zjadł twój mózg, że nie potrafisz logicznie myśleć? Co jest napisane w liście? Jeszcze raz sięgnął po poślódką kartkę ze starej papeterii i szybko przebiegł wzrokiem tekst. Ciągłe jeszcze czytał bez okularów. Przynajmniej ta jedna rzecz wciąż napełniała go dumą. Gorzej, że nie miał przed kim się pochwalić. Pieprzone życie!

Wreszcie myśli w jego głowie się przejaśniły. Jeden z ich czwórki ją zabił, więc dzwonienie do któregośkolwiek było bez sensu. Mógł trafić na mordercę i narazić się na śmierć. Oglądał wiele takich filmów. Ktoś odkrywa nieczyste interesy przyjaciela i ginie bez śladu. Do diabła, może i był schorowanym alkoholikiem, ale chciał jeszcze trochę pożyć.

Adam Kurzaj zerknął na zegarek. Zostało jeszcze ponad sześć godzin do terminu wyznaczonego w liście. Wtedy dowie się, kto ją zamordował.

Nie zastanowił się, po co mu taka informacja i jak mógłby ją wykorzystać. Nie przyszła mu do głowy myśl, że znając nazwisko mordercy, naraża się na niebezpieczeństwo. Nie pomyślał też, kto i w jakim celu akurat jemu miałyby zdradzić taką tajemnicę sprzed wielu lat. Nie wpadł na pomysł, że być może ktoś zastawia na niego pułapkę i że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Te wątpliwości przeleciały mu przez głowę sześć godzin za późno.

Trzęsąc się z przerażenia, stał przywiązany taśmą pakową do pnia drzewa. Na szyi boleśnie zaciskała mu się pętla. Musiał stać wyprostowany jak struna, nieopatrzny ruch i pętla zaciskała mu się boleśnie na gardle. Oddychał z trudem. Widział już kiedyś taką scenę. Wspomnienie wywoływało w nim kolejne ataki panicznego strachu.

Czuł tępy, pulsujący ból w czaszce, z rozbitej głowy ściekała mu strużka krwi i zbierała się w grube krople na brodzie. Płuca i gardło paliły ogniem, nie mógł z siebie wydobyć głosu. Zresztą usta i tak miał zalepione taśmą. Otaczała go ciemność lasu, gdzieś w oddali od czasu do czasu słychać było przejeżdżające główną trasą samochody.

Ubrana na czarno postać, której zarys z trudem dostrzegał w ciemnościach, mówiła coś wypranym z emocji, monotonnym głosem. Na początku nie mógł skupić się na słowach. Ich sens dotarł do niego z pewnym opóźnieniem. Wtedy zrozumiał, że za chwilę umrze.

Jeszcze ostatni raz szarpnął się rozpaczliwie.

Potem było już tylko słychać odgłosy młotka uderzającego o metal i zapadła cisza.

# 7 Brat

27 czerwca, sobota wieczorem

– Słucham? – Głos redaktor Justyny Kordas w słuchawce zabrzmiał ostrożnie.

Nie była pewna, dlaczego dzwoni. Może chciał na nią nakrzyczeć po obejrzeniu reportażu, a może kontynuować niezbyt miłą popołudniową rozmowę, którą tak nagle przerwał?

– Nie śpisz? – zapytał cicho Zakrzewski.

– Nie.

Czekała nieufnie na kolejne zdania, ale była lekko zaskoczona pojednawczym tonem.

– Oglądałem twój reportaż o mordercy ze Szczepanowa i chciałem przeprosić, że tak niesprawiedliwie cię dzisiaj oceniłem.

Justyna przez sekundę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wreszcie parsknęła śmiechem i zdecydowała się na lekką złośliwość:

– Komisarz Zakrzewski zdobył się na przeprosiny! Chyba zapiszę sobie w kalendarzu i co rok będę otwierać z tej okazji szampana.

Marcin uśmiechnął się mimowolnie. Przypomniał sobie, że kiedyś lubił jej inteligentne złośliwości i słowne zaczepki.

– Widać myliłem się i pomimo upływu lat nie zmieniliśmy się tak bardzo.

– Miło mi to słyszeć. A zatem... mój materiał był dobry? – zapytała ostrożnie.

– W kilku miejscach minęłaś się z prawdą, trochę podkolorowałaś, niepotrzebnie wyeksponowałaś kilka nieistotnych szczegółów, ale generalnie było w porządku.

– Proszę, proszę! Prawie profesjonalna ocena. – Znowu nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Rozumiem, że to była pochwała.

Dziennikarka miała powody do zadowolenia. Materiał o seryjnym mordercy był bardzo dobry. Wbrew pierwszym obawom Marcina Justyna wspomniała o komisarzu Zakrzewskim tylko parę razy, jako o jednym z prowadzących śledztwo, i prawie pominęła dramatyczne zdarzenia w zrujnowanym domu w Szczepanowie. Reportaż skupił się głównie na psychice mordercy. Kilka razy wypowiadał się jakiś oficer operacyjny, ale miał głos zmieniony tak, że Marcin nie wiedział, kto to. Głównym gościem był psycholog, jeden z pierwszych profilerów na Dolnym Śląsku i guru profilerów w kraju. Mówił przede wszystkim o tym, co mogło dziać się w głowie mordercy – dlaczego zabijał, co czuł i co mogłoby się stać, gdyby policja go nie unieszkodliwiła.

– Jak ci się żyje w stolicy? – zapytał.

Sam był zdziwiony, że takie pytanie padło z jego ust.

– Nie jest łatwo. Praca w komercyjnej telewizji przypomina długodystansowy wyścig szczurów. Trzeba być w ciągłej gotowości. Łapiesz zadyszkę i wypadasz. Potem trudno dogonić czołówkę.

Coś w tonie jej głosu powiedziało mu, że nie jest tam szczęśliwa.

– Nie tęsknisz za Wrocławiem?

– Jasne! Na szczęście bywam u was często służbowo. Jeśli trafia się wolny weekend, odwiedzam rodziców. Ryanair zarobił już na mnie krocie!

Roześmiali się.

– Przynajmniej lepiej zarabiasz. – Marcin, jakby wbrew sobie, podtrzymał rozmowę.

Dziś rozmawiali ze sobą po raz pierwszy od wielu lat. Dotąd wydawało mu się, że ma do niej żal. Ich związek zapowiadał się całkiem dobrze, kiedy Justyna wybrała karierę. Później zrozumiał, że zbyt dużo musiałby poświęcić, żeby z nią być. Ten fakt uświadomiła mu dopiero Paulina Czerny. Z perspektywy lat wyjazd Justyny do Warszawy był bardzo dobrym rozwiązaniem.

– Na pewno zarabiam więcej niż we Wrocławiu, ale nie zapominaj, że mieszkam w Warszawie. Życie tu jest dwa, a może i trzy razy droższe niż w innych miastach. Po zapłaceniu rachunków niewiele mi zostaje. Nadal mieszkam w wynajętym mieszkaniu, nie stać mnie na własne, a nie chcę brać kredytu i wiązać się z Warszawą na stałe. Kupiłam sobie tylko bardzo ładny i drogi samochodek. Tutaj nie wypada jeździć byle czym.

– J-jasne. – Nie zapytał, czym według niej jest „byle co”.

– Dużo pomagam rodzicom. A ty? Nadal mieszkasz na Muchoborze?

Marcin czuł się dziwnie. Rozmawiali, jak gdyby byli przyjaciółmi, którzy spotkali się po latach. Płyne czas i leczy rany.

– Ciągle w tym samym mieszkaniu. – Uśmiechnął się. – Nadal jestem w drugiej grupie zaszeregowania. Od lat myślę o remoncie kuchni i łazienki, ale nie mam w sobie tyle samozaparcia, żeby coś zaoszczędzić.

Wreszcie zadała pytanie, które wisiało w powietrzu od początku:

– Masz kogoś?

Zawahał się, czy być w stosunku do niej aż tak szczerym. Wreszcie zdecydował, że szczerść w niczym nie zaszkodzi.

– Nie.

– Ale... – zająknęła się zaskoczona. – Słyszałam, że jesteś z Pauliną Czerny.

Wszyscy znali się jeszcze ze szkoły średniej.

– Rozstaliśmy się – odpowiedział szybko i wbrew sobie mówił dalej: – Wiesz, ona lubi rządzić i ma bardzo mocny charakter. Ja też bywam trudny i... Zrobiła się z tego mieszanka wybuchowa. A ty mieszkasz z kimś?

– Nie, jestem zatwardziałą singielką.

– I tak zupełnie nic? – Roześmiał się.

– No wiesz, jakieś przygody były – rzuciła ze śmiechem, ale w tonie jej głosu Marcin wyłapał fałszywe nuty. – Ale nie szukam nikogo na stałe.

– Rozumiem. Jakbyś była we Wrocławiu, zadzwoń, może... – Nie dokończył.

– Pewnie! – podchwyciła zaraz. – Wskoczymy na kawę pogadać o starych karabinach.

– Właśnie.

– To do zobaczenia!

– Cześć!

Rozłączył się i pogłaskał Tinę. Leżała obok z głową na sofie przy jego nodze.

Zamyślił się.

Magda, Hania Duciak, teraz Justyna Kordas. W ostatnich dwóch dniach zaczął intensywniej niż dotąd myśleć o kobietach. Odkąd zaczął sąsiedzki romans z Magdą, nie odczuwał braku seksu. Wprost przeciwnie, temperament Magdy ciągle rósł i Marcin coraz częściej zaczynał robić uniki. Czy facet w wieku czterdziestu pięciu lat potrzebuje mniej seksu? Na pewno. Smutna konkluzja, ale prawdziwa. Teraz znowu zaczął zwracać uwagę na kobiety. Hanna w obcisłym motocyklowym stroju wyglądała oszalamiająco i do tego najwyraźniej z nim flirtowała. Pomimo ostrzeżeń doktora



Musiąła Zakrzewski chętnie dałby się wkręcić w taki flirt. Odkąd Magda powiedział mu o swoim chłopaku, poczuł nagłe ukłucie zazdrości i też częściej o niej myślał. A teraz jeszcze Justyna zamąciła mu w głowie.

Cholera jasna! Tylko dlaczego nie czuł się z tym komfortowo? Czy dlatego, że żadna z nich nie nazywała się Paulina Czerny?

Zostało trzydzieści minut do północy.

– Pewnie chciałabyś wyjść na spacer – powiedział do Tiny, a pies natychmiast stanął pod drzwiami i trzącał nosem kolczatkę wiszącą na smyczy na wieszaku na ubrania.

– No tak, niedobry pan zapomniał o psie.

Na dole Tina biegała luzem, czytając listy od innych czworonogów zapisane na krzakach i rosnących na trawnikach brzozech. Marcin szedł wolno chodnikiem z rękami wciśniętymi w kieszenie dżinsów. Była pogodna, ciepła noc z niebem upstrzonym miliardem gwiazd. Ciszę zakłócała impreza odbywająca się w jednym z pobliskich bloków i rozchodząca się echem po całej ulicy.

Telefon w jego kieszeni zawibrował, kiedy otrzymał wiadomość tekstową.

Magda napisała:

Śpisz? Może masz jeszcze ochotę na spotkanie?

Westchnął, zatrzymał się i gwizdnął na Tinę, która odbiegła zbyt daleko. Ochotę na spotkanie czy na seks? Nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie.

Nie dzisiaj. Muszę się nareszcie wyspać.

Szkoda :( To dobranoc.

Pa.

Schował telefon do kieszeni i zawrócił. Przechodząc pod blokiem, spojrzął w okno sypialni Magdy na trzecim piętrze. Musiała już leżeć, bo paliła się mała lampka na stoliku przy łóżku.

Kwadrans później sam się położył. Było bardzo ciepło i nie mógł zasnąć. Reportaż Justyny zbudził w nim wspomnienia, do których od dawna nie wracał. Znowu słyszał, jak jego brat bliźniak mówi podekscytowanym głosem: „Widziałem, jak diabeł chodzi tam na palcach”. Zadrżał na to wspomnienie. Potem przypomniał sobie, kiedy widział brata ostatni raz. Mieli po dwanaście lat, wracali rowerami od dziadka Władysława do domu. Rysiek wyprzedził jego oraz rodziców i pojechał przodem. Nikt więcej go nie widział.

Po latach Marcin postanowił odgrzebać dawne akta zgromadzone przez milicję. Okazało się, że takich zaginięć było więcej. Od 1949 roku co cztery lata znikał nastoletni chłopiec, a władza i milicja tuszowały sprawę. W społeczeństwie socjalistycznym nie było miejsca dla psychopatycznych morderców – teoretycznie. Śledztwo prowadzone przez Marcina i Paulinę Czerny doprowadziło do wykrycia sprawcy zabójstw chłopców, później w sadzie na parafialnej łące odkryto ciało. Policja nie odnalazła jednak ani śladu Ryśka.

\*

Przez kolejne dwa lata Marcin bezskutecznie starał się odkryć, co się naprawdę stało z jego bratem. Myślał o Ryśku bez przerwy, naciskał na Grabskiego, by przedłużyć śledztwo w sprawie ofiar mordercy ze Szczepanowa. Nic nie znalazł. Pewne poszlaki wskazywały, że morderca mógł mieć współnika, powiedział to zresztą Zakrzewskiemu na chwilę przed swoją śmiercią. „Mam brata” – chwalił się z dumą. Policja nikogo takiego nie znalazła.

Obsesja Marcina doprowadziła w końcu do tego, że pierwszy raz rozstał się z Pauliną Czerny. Wreszcie prokurator Grabski zamknął sprawę i wtedy dopiero Marcin otrzeźwiał. Musiał zapomnieć o zaginięciu swojego brata.

Ocknął się gwałtownie, kiedy Tina zerwała się, pobiegła pod drzwi wejściowe i szczeknęła jeden raz. Musiał przysnąć. Z trudem podniósł głowę i spojrzął na świecące czerwienią cyfry zegarka na biurku przy oknie. Szesnaście po drugiej.

– Tina – jęknął, przewracając się na drugi bok. – Co ty robisz? Kładź się spać.

Pies posłusznie wrócił i położył się przy łóżku. Jeszcze chwilę nasłuchiwał, wreszcie ułożył się wygodniej i zamknął oczy. W tym czasie Marcin spał już kamiennym snem.

## 8 Gwóźdź w czaszce

28 czerwca, niedziela rano

Wóz patrolowy B51 rozpoczął dyżur o godzinie szóstej. Dwoje policjantów, aspiranci Karina Buczko i Jacek Felman, jechało wolno codzienną trasą. Milczeli. Przez ponad dwa miesiące wspólnego jeżdżenia policjantka zdążyła już dobrze poznać zwyczaje swojego partnera i wiedziała, że zagadywanie go nie ma sensu. Dopóki aspirant Jacek Felman nie wypił kawy, był w podłym humorze i ograniczał się do burknięć i półsłówek.

Zajechali na stację benzynową BP na skrzyżowaniu Milenijnej z Legnicką. Dopiero kiedy zjedli po batoniku i wypili kawę z mlekiem, nastrój Jacka znacząco się poprawił.

O szóstej trzydzieści siedem wyjechali z BP i ruszyli pustą jeszcze o tej porze Legnicką w kierunku Pilczyc. Po ulewie nad ranem niebo nadal pokrywały ciężkie, deszczowe chmury. Co kilka minut zaczynało kropić, opony szumiały na mokrym asfalcie.

Jacek nawet się rozgadał i opowiadał, jak cały poprzedni dzień spędził na zakupach z żoną, a potem był na imprezie u znajomych. Ubolewał, że mógł sobie pozwolić tylko na dwa piwa. Karina słuchała jego paplaniny, wtrącając od czasu do czasu lekko złośliwą uwagę. Był spokojny niedzielny poranek, dyżurny z centrali milczał, jakby miasto jeszcze spało. Zazwyczaj wyglądało to inaczej. Wielu obywateli o tej porze dopiero wracało z nocnych hulanek, znakomita większość była nietrzeźwa. Taka była główna przyczyna interwencji

policyjnego patrolu w niedzielę rano. Dzisiaj jednak było inaczej.

Przy Stadionie Miejskim skręcili na obwodnicę autostradową i zjechali na pierwszym zjeździe na ulicę Graniczną w kierunku lotniska.

O szóstej pięćdziesiąt cztery przejechali rondo i pojechali w kierunku nowego terminala lotniska. Sto metrów dalej, przy parku, zobaczyli mężczyznę ubranego jak do porannego joggingu, który wyszedł im naprzeciw, wymachując rękami.

O siódmej jeden aspirant Karina Buczko oparła się o dach samochodu patrolowego B51, zaparkowanego na ścieżce rowerowej, i drżącym głosem rozmawiała z dyżurnym w centrali. Jej partner, aspirant Felman, kilka metrów dalej wymiotował kawą z mlekiem, pomieszaną z batonikiem i żółcią.

\*

Okolo wpół do ósmej od strony ronda z dużą prędkością nadjechał motocykl. Na widok radiowozu wyhamował gwałtownie.

– Co to za facet? – zapytał Felman, patrząc z dezaprobatą na rysunek na kasku motocyklisty. Bardzo realistyczna trupia czaszka z gwoździem wbitym w prawą skroń i nieregularnymi pęknięciami rozchodzącymi się na cały czerep nie zrobiła na nim dobrego wrażenia.

– Myślisz o tym gwoździu? – zapytała Karina i zaraz pożałowała pytania, ponieważ jej partner znowu pobladł i z trudem przełknął ślinę.

Tymczasem mężczyzna ściągnął kask, kurtkę i powiesił wszystko na kierownicy. Zbliżył się do policjantów, zakładając sobie na szyję policyjną odznakę.

– Komisarz Marcin Zakrzewski – przedstawił się, pokazując im odznakę. – Podobno macie zwłoki.

– Szybko pan jeździ, panie komisarzu. – Policjantka pokiwała głową z uznaniem.

– Mieszkam blisko. A więc?

Buczko opowiedziała mu o tym, jak się tu znaleźli, i wskazała biegacza, który stał oparty plecami o barierkę mostku.

W tym miejscu Ługowianka dwiema strugami opływała park Strachowicki. Droga do nowego terminala lotniska biegła przez skraj parku i niejako odcinała od całości mały, trójkątny fragment, przy którym się teraz znajdowali. Sto metrów dalej, za dłuższym wierzchołkiem trójkąta, wody Ługowianki znowu łączyły się w jeden nurt.

Zakrzewski się przedstawił. Mężczyzna nazywał się Michał Gorzycki. Jak co niedzielę wyszedł rano pobiegać, po drodze skręcił między drzewa za potrzebą. Nagle w oddali zobaczył coś dziwnego, jakby ludzką rękę. Zawołał. Nikt mu nie odpowiedział, dlatego poszedł w tamtym kierunku i znalazł zwłoki.

– Wybiegłem na ulicę wprost na przejeżdżający patrol – zakończył Gorzycki.

Zakrzewski podziękował i ruszył wałem Ługowianki we wskazanym przez niego kierunku. Trawa w parku była dokładnie skoszona, park porastały wielkie stare drzewa. Zakrzewski nie potrafił powiedzieć, jakie to gatunki. Rozpoznał tylko rozłożysty dąb mniej więcej na środku.

Po kilku krokach on też zobaczył ludzką dłoń wystającą zza pnia i serce zabiło mu mocniej.

Zwłoki mężczyzny. Na pierwszy rzut oka ocenił jego wiek na siedemdziesiąt lat. Ciało wisiało w pozycji pionowej z lekko przekrzywioną głową i ugiętymi w kolanach nogami. Było w nim coś niesamowitego. Jego szyja była co najmniej trzy razy dłuższa niż u normalnego człowieka. O wiele za długa. Widok

był tak makabrycznie groteskowy, że Zakrzewski musiał się dokładnie przyjrzeć twarzy, żeby zrozumieć, jakim cudem zwłoki utrzymują się w tej pozycji. Były przybite do drzewa grubym gwoździem. Gwóźdź wystawał wyraźnie z prawego oczodołu, dlatego głowa była przekrzywiona. Krew z oczodołu, a może i z innych ran na głowie, zakrzepła na twarzy, a później zmył ją deszcz. Teraz całe ubranie i trawa pod drzewem zabarwione były na czerwono.

Marcin poczuł przypływ adrenaliny. Do diabła, ma nareszcie takie morderstwo, na jakie czekał. To nie była ofiara porachunków bezdomnych meneli, lecz wyrafinowanej, brutalnej i zaplanowanej w szczegółach zbrodni.

Przykucnął i dokładnie przyjrzał się trawie. Pod drzewem była mocno wydeptana, ale nie wyglądało na to, żeby na twardym podłożu odcisnęły się ślady butów. Deszcz również sprzyjał sprawcy.

Obszedł drzewo dookoła. Przez kilka minut patrzył, próbując zapamiętać każdy szczegół makabrycznego widowiska. Wreszcie wrócił wąłem rzeczki do ulicy. W drodze powrotnej zauważył ślady, które zostawił aspirant Felman.

Zbliżył się do policjantów z patrolu, którzy zdążyli już rozciągnąć biało-niebieskie taśmy z napisem „Policja” wzdłuż granicy parku. Poranek był pochmurny, wilgotny i cały czas zapowiadało się na deszcz, a mimo to przybywało rowerzystów, biegaczy i rolkarzy, którzy musieli omijać zaparkowany radiowóz od strony jezdni. Co chwilę ktoś ciekawski zatrzymywał się, żeby popatrzeć.

– Czyje to wymiociny? – zapytał Zakrzewski.

Policjantka zrobiła wielkie oczy, po czym z mimowolnym drwiącym uśmiechem popatrzyła na swojego kolegę z patrolu.

– Moje – odpowiedział Felman i znowu zrobił się blady jak papier.

Zakrzewski podszedł do biegacza nadal czekającego przy barierze mostku.

– Pan nie wydaje się wstrząśnięty swoim znaleziskiem – powiedział.

Gorzycki wzruszył ramionami, ściągnął czapkę z daszkiem i odruchowo zapiął pod szyją kurtkę przeciwdeszczową.

– W pewnym filmie usłyszałem ciekawe stwierdzenie – odparł. – Na świecie są tylko dwa typy ludzi, którzy bez przerwy myślą, jak najefektowniej uśmiercić bliźniego. Psychopaci i autorzy kryminałów.

– Będę strzelał. Pan jest autorem.

– Bingo, panie komisarzu.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Jest pan znanym pisarzem, panie Gorzycki? Bez urazy, ale nie słyszałem o panu – powiedział Zakrzewski.

Gorzycki roześmiał się szczerze.

– Celne trafienie. Na razie mam na koncie tylko jeden tytuł, niezbyt popularny. Ale moje szanse na sukces ostatnio wzrosły. Nie żyje Rudnicki, mistrz numer jeden, ostatnio najpoczytniejszy. Natura nie znosi próżni i ktoś będzie musiał zająć jego miejsce na topie. Mam nadzieję, że to będę ja.

Zakrzewski przyjrzał się mężczyźnie. Nie potrafił ocenić, czy jest aż tak zarozumiały, czy też po prostu ironiczny w stosunku do własnej twórczości.

– Myślałem, że na szczycie jest Marek Krajewski – zauważył.

– Oczywiście, ale Krajewski przeszedł na zawodowstwo. Musi pisać co najmniej jedną książkę rocznie, żeby zarabiać kasę, dlatego ostatnio obniżył poziom.

– Rozumiem. Wie pan, dlaczego denat ma tak wyciągniętą szyję?

Gorzycki spojrzał na Zakrzewskiego bystro, jakby zaskoczony pytaniem.



– Ciekawa technika przesłuchania. – Pokiwał głową. – Cały ciężar ciała denata zawisł na tym gwoździu w oczodole. Kiedy ustało krążenie, mięśnie karku straciły swoją sprężystość i pod ciężarem ciała rozciągnęły się, kręgi szyjne się rozeszły i stąd tak długa szyja. Potem przyszło stężenie pośmiertne i mamy to, co mamy. Zdałem egzamin?

– Tak.

– Teraz ja pana zaskoczę, komisarzu. Wydaje mi się, że znam zamordowanego.

Marcin spojrział na niego ciekawie.

– Proszę mówić. Nazwisko, adres.

Gorzycki naciągnął znowu czapkę z daszkiem na głowę.

– Znam go z widzenia. Nie wiem, jak się nazywa. Mieszkał w moim bloku na Tyrmanda w bramie dwadzieścia pięć. Proszę nie robić takiej zdziwionej miny, pana też znam z widzenia, tylko nie wiedziałem, że jest pan z kryminalnej.

– Doprawdy?

– Tak, zwróciłem uwagę na motocykl i kask. Przyzna pan, że jest jedyny w swoim rodzaju.

– J-jasne.

Marcin dostrzegł furgonetkę z zakładu techniki kryminalistycznej wolno zbliżającą się od strony ronda.

– Jeszcze jedno pytanie, panie Gorzycki. – Chrząknął. – Co pan robił wczoraj wieczorem?

– Zawiodę pana. – Pisarz się roześmiał. – Mam alibi. Byli u mnie znajomi, trochę wypiliśmy, wyszli około drugiej w nocy.

– I tak z rana pan wstał, żeby pobiegać?

– Jeśli chodzi o bieganie, jestem cholernie zawzięty, nic nie może pokrzyżować mi planu treningowego.

– Gratuluję silnej woli.

Zakrzewski zapisał jeszcze w telefonie adres oraz numer komórki pisarza i pozwolił mu pobiec dalej. Patrzył

w zamyśleniu na oddalającą się wolnym truchtem sylwetkę. Cholernie dziwny facet.

Technicy ubrali się w białe kombinezony i narzekając na wielkie krople kapiące wciąż z drzew, rozpakowywali sprzęt. Marcin podszedł do nich.

– Cześć! – powiedział.

Robert Rajcza pokręcił głową.

– Nie mogliście znaleźć tego gościa w poniedziałek? – zapytał.  
– Będę miał spieprzoną całą niedzielę.

– Mam nadzieję, że nie podeptaliście wszystkiego – dodał Jacek Adamski.

Zakrzewski wzruszył ramionami i odwrócił się do kolejnego samochodu, który zaparkował na ścieżce rowerowej za wozem patrolowym. Wsiadł z niego mężczyzna w białej koszuli i marynarce z łatami na łokciach, w czarnych dżinsach i zupełnie do nich niepasujących schodzonych lakierkach z długimi czubkami. Wyglądał, jakby dyżurny zawrócił go z drogi na poranną mszę w kościele parafialnym. Na szyi powiesił sobie odznakę i stanął, rozglądając się niepewnie.

Marcin poznał go, ale minęła chwila, zanim przypomniał sobie nazwisko. To był młodszy aspirant Szawczak, który przyszedł do ich wydziału niecałe dwa miesiące wcześniej, zaraz po szkole. Machnął do niego ręką. Przywitali się. Marcin lubił, kiedy facet mocno ścisnął dłoń. To był dowód prawdziwej męskości. Ścisnąc rękę młodszemu koledze, uświadomił sobie, że nie pamięta jego imienia. Może nawet nigdy go nie poznał. Wiedział tylko, że koledzy nadali mu ksywkę Parol.

Szawczak był szczupły i wysoki, jednak twarz miał okrągłą i nalaną, jak u osoby z nadwagą, a wargi pełne, jakby wstrzyknął sobie porządną porcję botoksu. Na okrągłych policzkach w chwilach zdenerwowania lub zawstydenia pojawiały się czerwone plamy. Całości obrazu dopełniały krótko ścięte, czarne włosy wiecznie wyglądające na przetłuszczone.

Z twarzy przypominał porucznika Waldemara Jaszczuka z kultowego polskiego serialu kryminalnego *07 zgłoś się*. Marcin nigdy jeszcze nie zetknął się bezpośrednio z Szawczakiem, widywał go tylko na korytarzu i na odprawach u szefa. Miał nadzieję, że inteligencją przewyższa filmowego Jaszczuka.

– Co tu mamy? – zapytał Szawczak niepewnie. Otarł pot z czoła, chociaż było chłodno.

Duże, nieregularne, ale bardzo czerwone plamy na policzkach zdradzały wyjątkowe zdenerwowanie.

– Zwłoki – odrzekł krótko Zakrzewski. – Idź, zobacz i wróć do mnie. Ustalimy, co dalej. Tylko nie wchodź w drogę technikom, bo będą się drzeć.

– Wiem, wiem.

Młodszy kolega odszedł, a Marcin pożałował ostatniej uwagi. Nikt nie lubi być traktowany jak żółtodziób. Jeśli miał współpracować z Szawczakiem, nie powinien od pierwszego razu go do siebie zrażać. Przeklął pod nosem i ruszył za nim wałem wzdłuż Ługowianki.

Technicy kręcili się przy wiszącym na gwoździu denacie, zbierając ślady do plastikowych woreczków i próbek. Fotograf z daleka robił zdjęcia. Marcin patrzył z boku, jak plamy z policzków młodszego kolegi znikają, a ich miejsce zajmuje śmiertelna bladość. Przez chwilę myślał nawet, że aspirant zwróci treść żołądkową tak samo jak policjant z patrolu, lecz ku jego zdziwieniu Szawczak tylko głęboko odetchnął i zaraz na policzki wystąpiły mu normalne kolory.

– Cholera, gdzie się kupuje takie gwoździe? – powiedział z lekką chrypką w głosie.

Marcinowi spodobała się jego reakcja, podobnie jak wcześniej uścisk dłoni. Może pozory mylą i facet ma wielkie *cojones*?

– W każdym markecie budowlanym – odpowiedział. – Gwóźdź ma siedem cali i kosztuje mniej niż dziesięć złotych.

– Kurde, aż się prosi na narzędzie zbrodni. Jak można było tego faceta tak przybić do drzewa? Sprawców musiało być chyba dwóch.

– Raczej jeden – odpowiedział Marcin. – Pewnie go ogłuszył uderzeniem w głowę, potem przywiązał do drzewa mocną taśmą pakową i dopiero wbił mu w oko ten gwóźdź. Potem zerwał taśmę i gdzieś ją wyrzucił, żeby zatrzeć ślady.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Parol.

– Obejrzałem wszystko dokładnie. Na korze drzewa i na ubraniu zostały fragmenty taśmy i kleju. Nietrudno było się domyślić. Macie coś, Robert?

Robert Rajcza delikatnie sprawdzał kieszenie denata. Wyciągnął pęk kluczy i portfel. Na metalowej walizce, w której technicy przewozili narzędzia, szybko sprawdził, czy na kluczach są odciski palców. Marcin z Szawczakiem przypatrywali się temu z ciekawością. Po chwili Rajcza pokręcił głową.

– Nic nie ma – powiedział. – Ktoś dokładnie wytarł klucze.

– Ale po co? – rzucił Parol.

– Tego musimy się dowiedzieć.

Potem Rajcza zajrzał do portfela i wyciągnął z niego dowód osobisty, włożył do plastikowego woreczka i podał Zakrzewskiemu. Ten popatrzył na fotografię przedstawiającą starszego mężczyznę. Po jego twarzy od razu było widać, że alkohol pił często i w dużych ilościach.

– Adam Kurzaj, Tyrmanda dwadzieścia pięć przez sześć. Prawie mój sąsiad – zauważył zdziwiony.

Tymczasem na miejscu zbrodni pojawiały się kolejne osoby. Przyjechał komisarz Michał Ruciński, z którym Marcin współpracował od czasu, kiedy dwa lata temu na emeryturę przeszedł jego wieloletni partner, nadkomisarz Stefan Sroka.

Uścisnęli sobie ręce i Ruciński stanął obok nich, paląc nerwowo papierosa. Za nim nadeszła prokurator Ewa Kowalik – niska i szczupła, energiczna kobieta po pięćdziesiątce. Zakrzewski ucieszył się na jej widok. Lubił z nią pracować, była konkretna, nie wtrącała się w działania operacyjne, pozostawiając dużą swobodę śledczym. Na początku ustalała plan śledztwa i włączała się dopiero przy przesłuchaniach pierwszych podejrzanych.

Ona również ucieszyła się na widok Zakrzewskiego.

– To dobrze, że będziemy razem pracować, komisarzu.

Jej dłoń była sucha, zimna i koścista. Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz, kiedy ją ścisnął. Jakby witał się z kostuchą.

– Mnie również bardzo miło, pani prokurator – odrzekł uprzejmie.

Wyciągnęła długiego papierosa, oderwała filtr, włożyła go w jeszcze dłuższą porcelanową lufkę i zapaliła. Policjanci za jej plecami patrzyli na siebie, z trudem tłumiąc uśmiechy. Prokurator paliła, trzymając lufkę w dwóch palcach i wyglądała przy tym jak Greta Garbo w czarno-białym filmie z pierwszej połowy zeszłego stulecia. Jej ubranie też wyglądało na pochodzące z tamtych czasów.

– Makabra – westchnęła. – Trzeba szybko złapać tego zwyrodnialca.

Marcin zbliżył się do niej na krok.

– Pani prokurator, przy denacie znaleźliśmy klucze do jego mieszkania – powiedział. – Chciałbym tam teraz pojechać. Może żona powie mi coś ciekawego.

– Oczywiście, oczywiście. Proszę jechać.

Marcin zwrócił się do Rucińskiego, który nie odezwał się dotąd ani słowem, za to rozsiewał wokół siebie mdły odór wielkiego kaca.

– Poczekaj na lekarza i posłuchaj, co ma do powiedzenia na temat czasu i przyczyny zgonu – nakazał. – Potem przejdź się do tego domu sto metrów dalej i zapytaj, czy nie widzieli czegoś podejrzanego.

Ruciński pokiwał w milczeniu głową.

– Parol, pojedziesz ze mną.

Kiedy wyszli z parku na zastawioną samochodami ścieżkę dla rowerów i chodnik, Szawczak spojrział na Zakrzewskiego prawie z paniką w oczach.

– Chcesz powiedzieć jego żonie albo dzieciom, że on nie żyje?  
– zapytał.

Zakrzewski wzruszył ramionami.

– Ktoś musi – odpowiedział krótko.

## 9 Album

28 czerwca, niedziela przed południem

Ku wielkiej uldze aspiranta Szawczaka okazało się, że Kurzaj mieszkał sam.

Po wejściu do bramy na schodach spotkali wścibską sąsiadkę, która na widok policyjnych odznak natychmiast zaczęła nadawać na sąsiada. Że jest na emeryturze, że pijak i nierób, że niewychowany cham, że żona od niego dawno odeszła i dzieci też tu się nie pokazują już od lat, że nie chodzi do kościoła, że zakąła i pewnie w wyborach nie głosuje na prawicę, jak każdy porządny katolik w kraju, tylko na tego bezbożnika Palikota albo na tego starego wariata Korwina-Mikkego i pewnie jest kryptokomunistą, a za komuny był donosicielem, ubekiem, później zaś agentem WSI. Nie musieli o nic pytać – sąsiadka mówiła sama bez żadnej zachęty.

Szawczak stał dwa schodki niżej od Marcina i patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał, jakby się zaraz miał roześmiać albo wybuchnąć gniewem, tylko jeszcze nie mógł się zdecydować. Marcin ze smutkiem skonstatował, że w każdej bramie mieszka pewnie taka ziejąca nienawiścią do bliźnich katoliczka, co to wie wszystko o wszystkich. Też miał taką sąsiadkę, może tylko mniej ekspresyjną.

Wreszcie udało im się uwolnić i weszli do mieszkania denata.

Uderzył ich w nozdrza niemiły odór. Zakrzewski przypomniał sobie, jak cztery lata temu wchodzili z Pauliną Czerny do mieszkania, gdzie od wielu dni leżały zwłoki. Tam też w powietrzu unosił się taki trupi zaduch. Po chwili jednak zrozumiał, że się pomylił. Mieszkanie wypełniał nieprzyjemny zapach z toalety, pomieszany z mdłą wonią zalegających w kuchni pod zlewem śmieci, smrodem dymu z papierosów i czymś jeszcze, czego nie mógł zidentyfikować. Przez krótki korytarzyk wszedł do pokoju i wtedy od razu rzucił mu się w oczy ten list leżący na stole. Jakby ktoś zostawił go specjalnie, żeby od razu można było go znaleźć, napisany cienkopisem, drukowanymi literami na pożółkłej kartce papieru.

Na progu pokoju Zakrzewski włożył lateksowe rękawiczki i patrząc uważnie pod nogi, wszedł do środka. Za nim Szawczak zrobił dokładnie tak samo, tylko skierował się do kuchni, a później do łazienki. Marcin czytał list zgięty wpół, nie dotykając stołu.

*To była piękna kobieta, prawda? Jej długie czarne włosy, gładka skóra, brązowe oczy i kształtne piersi doprowadzały Was do szaleństwa. Was wszystkich. Wszystkich czterech. Kochaliście ją, prawda? Na pewno Ty ją kochałeś, prawda? Jeśli ją kochaliście, dlaczego jeden z Was ją zabił? Naprawdę uwierzyłeś, że wyjechała za granicę? Wiem, że to nie Ty. To jeden z tamtych trzech? Pewnie chciałbyś wiedzieć, który. Kto jest mordercą? Przyjdź dzisiaj o 23.00 na mostek nad Ługowianką w drodze do nowego terminala lotniska. Powiem Ci, kto zabił. Nieznajomy.*

Przeczytał tekst dwa razy, po czym otworzył leżący obok stary album ze zdjęciami i oglądał je z narastającym zainteresowaniem. Poczul znajomy i bardzo przyjemny dreszcz na plecach, a serce zaczęło mu żywiej bić w piersiach. Z trudem



się powstrzymał, żeby się nie uśmiechnąć. Czuł, że złapał właściwy trop. Teraz tylko musiał wyciągnąć właściwe wnioski z tego, co miał przed sobą.

Słyszał, jak Szawczak chodzi po mieszkaniu, zaglądając w różne miejsca. W tym czasie wolno przeglądał album. Zdjęcia były czarno-białe, trochę wyblakły przez lata, ale zachowały bardzo dobrą jakość. Twarze można było rozpoznać od razu. Dziewczyna na plaży w zwiewnej sukience, z czarnymi prostymi włosami spiętymi w koński ogon uśmiechała się zalotnie w stronę obiektywu. Potem ta sama kobieta brodziła w morzu w towarzystwie dwóch mężczyzn. Marcin zdawał sobie sprawę, że uczucie, które go nagle ogarnęło, jest irracjonalne. Gdzieś już widział tę kobietę. Albo była do kogoś bardzo podobna. Zastanowił się. Nie, niemożliwe, to tylko jego własny mózg próbował go oszukać. Przecież mózg człowieka zostaje zaprogramowany na rozpoznawanie twarzy jeszcze w łonie matki. To umiejętność wykształcona w drodze ewolucji, która miała zwiększać szanse na przetrwanie gatunku w pierwotnym świecie. Mózg wszędzie dostrzega twarze – w słojach drzew, w plamach na ścianie, na zaparowanej szybie, w ułożeniu chmur na niebie i w tysiącu innych sytuacjach. Trudno się więc dziwić, że od czasu do czasu mózg podnosi fałszywy alarm – tę twarz już gdzieś widziałem. Nic nadzwyczajnego w natłoku informacji.

Kolejne zdjęcia sprawiły, że Marcinowi opadła szczęka ze zdziwienia. Kobieta szła przed obiektywem i powoli się rozbierała, aż do naga. Była piękna, jej ciało miało idealne proporcje. Potem fotografia uwieczniała kąpiel w morzu. Do dwóch mężczyzn z wcześniejszych fotografii dołączył trzeci. Ostatnie zdjęcie z plaży przedstawiało kobietę w towarzystwie mężczyzn, do których dołączył jeszcze jeden, miły blondynek o twarzy chłopca. Wszyscy byli nadzy i obejmowali się w taki

sposób, że mężczyźni zakrywali kobiecie piersi i podbrzusze, a ona zasłaniała dłońmi członki dwóch stojących z przodu.

Zakrzewski wyciągnął z kieszeni bluzy dowód osobisty Adama Kurzaja i porównał go ze zdjęciem. Na pewno jednym z czterech mężczyzn był młody Kurzaj.

Ostatnie zdjęcie znowu przedstawiało całą piątkę przed budynkiem, który na pierwszy rzut oka wyglądał na ośrodek wczasowy – typowy dla lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

Parol stanął w drzwiach i spojrzał pytająco na Zakrzewskiego. Ten bez słowa pokazał mu list i album. Poczekał na reakcję kolegi po obejrzeniu zdjęć.

Szawczak wyprostował się i spojrzał podekscytowany na Marcina.

– Co o tym sądzisz? – zapytał ostrożnie.

– A jakie jest twoje zdanie? – odpowiedział pytaniem.

– List ewidentnie wygląda mi na wabik. Morderca umówił się z Kurzajem w odludnym miejscu po to, żeby zabić. Nie wiemy, kim była ta kobieta, czy jeszcze żyje, czy naprawdę została zamordowana, jak sugeruje list. Dla Kurzaja musiała wiele znaczyć, skoro poszedł na to spotkanie.

– Po zdjęciach widać, że cała piątka była ze sobą mocno zżyta – odezwał się Zakrzewski. – Kto wie, może łączyły ich bardzo intymne relacje? List sugeruje, że mordercą kobiety był któryś z czwórki tym mężczyzn.

– Może Kurzaj?

– Niewykluczone. Musimy pogrzebać w jego przeszłości. Trzeba znaleźć jego żonę, ustalić znajomych z dawnych lat. I pozostaje jeszcze jedno.

Parol spojrzał na niego bystro.

– Motyw?

– Dokładnie.

– Motyw chyba narzuca się sam, zemsta po latach.

Zakrzewski krążył po pokoju, zaglądając w każdy kąt.

– Album wygląda na stary i zakurzony – powiedział. – Coś mi mówi, że nie stał na półce, tylko Kurzaj wyciągnął go poprzedniego dnia z jakiejś skrytki.

– To by się zgadzało – potwierdził Parol. – Szafa w przedpokoju.

Marcin zajrzał do szafy. Stare buty stojące dotąd na samym dnie były zgarnięte w kąt, na środku ktoś oderwał deskę. W podstawie szafy znajdowała się podłużna skrytka.

– Czyli można przypuszczać, że Kurzaj rzadko tam zaglądał. Może nawet nigdy – odezwał się Szawczak.

– J-jasne.

Marcin wrócił do pokoju i poprzedniego wątku rozmowy:

– Ludzie od wieków mordują się nawzajem z trzech powodów: z zemsty, dla pieniędzy i z nienawiści. Ktoś niedawno powiedział mi, że można też zabić z miłości, ale moim zdaniem takie stwierdzenie nie poszerza naszego katalogu motywów zbrodni. W matematycznym ujęciu nienawiść jest przeciwieństwem miłości, tylko ze znakiem ujemnym. Pozostajemy więc w kręgu zemsty, pieniędzy i uczuć.

– Do czego zmierzasz?

– Próbuję ustalić motyw.

– Motyw zemsty wydaje się oczywisty – powtórzył Parol.

Marcin pokręcił głową.

– Jak dla mnie zbyt oczywisty.

– Nie rozumiem.

– Przeanalizuj fakty, ale czytaj między wierszami. – Widząc, że Parol nie nadąża za jego tokiem rozumowania, wyciągnął z kieszeni klucze do mieszkania Kurzaja i rzucił w jego kierunku przez cały pokój.

Szawczak złapał je sprawnie i obejrzał.

– Klucze do mieszkania – ciągnął Zakrzewski. – Czy nie wydaje ci się dziwne, że technicy nie znaleźli na nich żadnych

odcisków? Nawet denata? Wniosek? Morderca miał te klucze w rękach. Bardzo możliwe, że po zamordowaniu Kurzaja był tutaj, a później wrócił na miejsce zbrodni, wytarł starannie klucze i włożył je ofierze do kieszeni.

– Ale po co? – Szawczak wzruszył ramionami.

– Nie wiem, po co. Na pewno nie chciał napić się kawy ani obejrzyć kryminału w kinie nocnym. Może morderca podrzucił ten album? Może list? Może był u Kurzaja wcześniej i posprzątał własne odciski palców? Może szukał czegoś, co miał Kurzaj? A może chciał podrzucić nam mylne tropy?

– Na przykład album?

– Niewykluczone.

Szawczak namyślał się chwilę.

– Jeden z wykładowców w szkole policyjnej powtarzał nam, że najprostsze rozwiązania są najbardziej prawdopodobne – powiedział wreszcie. – Nie uważasz, że twoja teoria komplikuje sprawę?

– Z zasady nie lubię prostych rozwiązań – odpowiedział Zakrzewski. – Pewnie w szkole powtarzali ci też, że przy poszukiwaniu sprawcy najważniejsze jest pierwsze czterdzieści osiem godzin. Jeśli ktoś zabił w afekcie, przypadkowo lub pod wpływem, takie stwierdzenie ma sens. W tym przypadku, kiedy wydaje się, że sprawca starannie zaplanował zabójstwo i postarał się zatrzeć ślady, zapomnij o teorii czterdziestu ośmiu godzin. Będziemy się w tym grzebać przez wiele tygodni.

– Rozumiem – pokiwał głową Szawczak.

– Widziałeś gdzieś papierosy? – zapytał nagle Zakrzewski.

– Nie rozumiem ....

– Kurzaj nie miał przy sobie papierosów.

– Chyba nie palił – powiedział Parol. – Nie znalazłem ani papierosów, ani niedopałków, ani popielniczek.

Marcin pociągnął nosem.

– Dziwne – powiedział. – A ja dałbym sobie głowę uciąć, że czuję w powietrzu dym papierosów. W takim razie kto palił?

Szawczak rozejrzał się szybko.

– Jasna cholera! Nie zwróciłem uwagi.

Chwilę później znalazł niedopałek w jedynej doniczce stojącej na parapecie okna. Właściciel mieszkania musiał mieć taki sam stosunek do roślin, jak do utrzymywania czystości. Niepodlewana roślina dawno była martwa, zabrudzony nikotyną filtr wystawał z ziemi pod wyschniętymi liśćmi. Wyglądał, jakby ktoś go tu pozostawił raczej niedawno.

– Słuchaj, Parol, jak ty masz naprawdę na imię?

Szawczak burknął coś w pod nosem w odpowiedzi.

– Jak?

– Gotard.

– Hm, no cóż. Dość oryginalnie. To się jakoś zdrabnia?

– Nie.

– OK. A dlaczego nazywają cię Parol?

Młody policjant wzruszył ramionami.

– Sam sobie wymyśliłem taką ksywkę jeszcze w szkole średniej. Teraz przedstawiam się jako Parol. I tak nikt nie pamięta mojego imienia, zazwyczaj głupio jest zapytać, więc jestem Parol.

– Sprytne. – Zakrzewski się uśmiechnął. – Więc posłuchaj, Parol. Zadzwonisz po techników. Kiedy tylko skończą na miejscu zbrodni, mają przyjechać tutaj i zabezpieczyć album, list i niedopałek. Jestem bardzo zainteresowany, czyje odciski palców znajdą. W tym czasie wypytasz sąsiadów o Kurzaja i dowiesz się, czy miał znajomych, przyjaciół, kto do niego przychodził i tak dalej. Dowiedz się, gdzie mieszka jego rodzina.

– Dobrze.

– Jeszcze jedno. W tym samym bloku, w bramie numer trzydzieści, mieszka facet, który znalazł zwłoki. Nazywa się Michał Gorzycki. Sprawdź jego alibi na tę noc, jest jakiś dziwny.

Szawczak zapisał sobie wszystko w notatniku.

– A ty? – zapytał.

– Muszę wyjść z psem na spacer.

# 10 Anatomia miłości

28 czerwca, niedziela po południu

Zakrzewski zaparkował na swoim stałym miejscu na parkingu naprzeciw bramy, ale zamiast do domu ruszył w kierunku Żabki. W sklepie było pusto, za ladą stała młoda dziewczyna z włosami zafarbowanymi na różowo. Żuła gumę i sprawiała wrażenie, jakby znalazła się w tym miejscu przez pomyłkę.

- Niezły kask – powiedziała, kiedy Marcin stanął naprzeciw.
- Niezły – przyznał.

Pokazał jej swoją odznakę, a później zdjęcie z dowodu osobistego Adama Kurzaja.

- Zna go pani? – zapytał.
- Jasne. Jest tu codziennie rano. Przeskrobał coś?

Zakrzewski zignorował pytanie.

- Może mi pani coś o nim powiedzieć?

– Nic, kupuje bułkę, serek i kilka browarów. Wygląda, jakby miał problem z alkoholem.

- Jak się zachowuje?

– Jak? – Wzruszyła ramionami, nie przestając nonszalancko żuć gumy. – Normalnie. Jest nawet miły, czasem próbuje żartować. Co przeskrobał?

- Kiedy był ostatni raz?

- Wczoraj, jak zwykle.

- Wdzięła pani, żeby z kimś rozmawiał?

– Chyba nie – zawahała się. – Chociaż tak! Kręci się tu taki bezdomny z długimi włosami. Taki stary. Czasem kupuje tanie

wino, jak ma kasę. Dziwnie go nazywają... hmm...

– Lynyrd – podpowiedział Marcin.

– Chyba tak. Zna go pan?

Policjant zignorował jej kolejne pytanie. Zamiast tego wyklepał standardową formułkę.

– Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

– Co zrobił? Ukradł coś? – usłyszał za sobą, kiedy był już w drzwiach.

Odwrócił się na moment.

– Obawiam się, że straciliście stałego klienta. Nie żyje.

Wracając przez podwórko do domu, rozglądał się za Lynyrdem.

Marcin kiedyś uratował go przed patrolem straży miejskiej. Strażnicy nakryli mężczyznę, kiedy pił piwo na ławce między blokami. Chcieli wlepić mu mandat, ale Marcin z nimi pogadał i zostawili Lynyrda w spokoju. Odtąd bezdomny traktował Marcina jak najlepszego kolegę. Zwykle kończyło się tak, że Marcin sponsorował mu piwo albo wino. Lubił rozmawiać z Lynyrdem. Nigdy nie pytał, kim mężczyzna był w przeszłości, ale sądząc po sposobie mówienia i mądrości życiowej, nie zawsze mieszkał na ulicy.

Zakrzewski obszedł kilka miejsc na osiedlu, gdzie zwykle można było spotkać bezdomnego. Nigdzie go nie było. Wrócił więc do domu i wyszedł z psem na spacer.

W kieszeni poczuł wibracje telefonu. Popatrzył na wyświetlacz. Nieznany numer. Odebrał.

– Komisarz Zakrzewski, słucham.

Jego głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzał, i słychać było, jak kobieta po drugiej stronie zawahała się.

– Dzień dobry – powiedziała wreszcie. – Telefonuję z ulicy Siemieńskiego. Pamięta pan, w czwartek w zeszłym tygodniu w naszej bramie na poddaszu znaleziono zwłoki. Spotkaliśmy pana na parterze, dał pan mi swoją wizytówkę...



Marcin przypomniał sobie parę stojącą na wysokim parterze przy drzwiach do mieszkania numer trzy. Chrząknął.

– Tak, oczywiście pamiętam. Dzień dobry. Słucham panią.

– Powiedział pan, żebyśmy zatelefonowali, gdyby przypomniało nam się, że widzieliśmy kogoś nieznajomego na klatce schodowej w ostatnim czasie. Więc... – zawiesiła głos.

– Tak?

– Widzieliśmy kogoś takiego w ostatnim czasie.

Marcin przystanął i zastygł w bezruchu.

– Widzieliśmy tego pisarza. Wie pan, tego autora kryminałów. Mirosława Rudnickiego.

W pierwszej chwili nie mógł skojarzyć, o kogo chodzi. Dopiero po kilku sekundach do niego dotarło. Prawie wstrzymał oddech.

– Tego, który został zamordowany? – zapytał, starając się, aby jego głos nie zdradzał emocji.

– Tak.

Przez głowę Zakrzewskiego przeleciały dziesiątki myśli.

– Ile razy go państwo widzieli?

– Chyba kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy – odpowiedziała.

Jej głos nabrał pewności siebie. Widocznie wcześniej przegadała sobie wszystko z mężem.

– A kiedy pierwszy raz?

– Jakies pół roku temu. Mijaliśmy go na schodach. Wie pan, czytamy jego kryminały, dlatego go rozpoznaliśmy. Ten jego śmieszny kapelusz rzucał się w oczy. Nikt takiego teraz nie nosi.

– J-jasne.

– Wie pan, mógł przychodzić codziennie. My dużo pracujemy. Może inni sąsiedzi widywali go częściej?

– Rozumiem. A kiedy widzieliście go ostatni raz?

– Kilka dni przed jego śmiercią.

Zakrzewski zatrzymał się gwałtownie. Zahamowana na smyczy Tina popatrzyła na niego z wyrzutem. Nic nie zauważył.

– Czy rozmawiała już pani o tym z policją? – zapytał.

– Nie, nikt nie pytał. – W jej głosie zabrzmiały nuty wyrzutów sumienia.

– Dziękuję, bardzo mi pani pomogła – powiedział Marcin, tym razem zupełnie szczerze.

Wyczuł, że kobieta chce coś jeszcze dodać.

– Policja nie czyta kryminałów, prawda? – zapytała niespodziewanie.

Zakrzewski nie wiedział, co odpowiedzieć.

– W jakim sensie?

– W swojej ostatniej książce Rudnicki opisał bardzo podobną sytuację – wyjaśniła.

– Jaką sytuację?

– Główny bohater książki przetrzymuje przez wiele lat w piwnicy zwłoki kobiety, którą kochał w młodości. Dalej traktuje ją jak żywą i zwierza się jej ze swoich najskrytszych tajemnic. Robotnicy mówili, że u nas na poddaszu też znaleźliście takie stare zwłoki kobiety.

Zakrzewski milczał. Cały świat wokoło zniknął. Znowu przed oczyma miał zwłoki kobiety z tapczanu. Patrzyły na niego szklanym spojrzeniem, a na wyschniętych wargach czaił się kpiący uśmieszek.

– Dziękuję pani bardzo – powiedział wreszcie i rozłączył się.

Prawie biegiem ruszył przed siebie, ciągnąc na smyczy zdziwionego psa.

W domu włączył komputer i w wyszukiwarce internetowej wpisał imię i nazwisko pisarza. Wyświetliło się mnóstwo stron. Na kilku pierwszych miejscach znalazły się sklepy internetowe oferujące książki Rudnickiego, nieco niżej link do Wikipedii. Przeczytał uważnie notkę biograficzną, lecz nic ciekawego nie rzuciło mu się w oczy. Dłużej zatrzymał się na spisie jego

książek. Ostatnia miała tytuł *Anatomia miłości*. Obok tytułu krył się link do strony z recenzją. Przeleciał tekst wzrokiem i odchylił się w fotelu z westchnieniem. Pocierając nerwowo czoło dłonią, myślał intensywnie.

Niemożliwe!

Jeszcze raz przeczytał recenzję, potem poszukał innych, długo przeglądał komentarze internautów. Zgodnie twierdzili, że to najlepszy tytuł Rudnickiego. Wartka akcja, zaskakujące zwroty, nieoczekiwane zakończenie, mroczne klimaty i... bardzo obrazowy i wstrząsający opis aktu nekrofilii. Same pozytywne oceny i maksymalna liczba gwiazdek w recenzjach. Zakrzewski zawsze z rezerwą odnosił się do takich entuzjastycznych ocen, mimo to nie zastanawiał się długo. Wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach. Na ulicy zastanowił się, czy brać motocykl, wreszcie ruszył piechotą. Do centrum handlowego Futura przy ulicy Mińskiej było około ośmiuset metrów. Do Empiku wszedł kilka minut później. Rozejrzał się uważnie. Tragiczna i niewyjaśniona śmierć popularnego autora była dla jego książek doskonałą reklamą. Zanim klient wchodzący do salonu zrobił kilka kroków, już natykał się na książki Rudnickiego.

Marcin kupił *Anatomie*, zapłacił gotówką, nie chciał dodatkowych gadżetów w promocji ani foliowej torby do zapakowania książki, sprzedawca spojrzał więc na niego z lekką niechęcią, ale był na tyle profesjonalny, by potwierdzić, że ten tytuł Rudnickiego jest najlepszy i wart czterdziestu dziewięciu złotych. Zakrzewski skinął mu tylko głową i wyszedł tak szybko, jakby nie kupił książki, tylko ją ukradł.

W domu usiadł w fotelu i zaczął czytać.

Skończył o trzeciej w nocy.

Okolo szóstej trzydzieści obudził go natarczywy sygnał telefonu. W porannej ciszy, po nieprzespanej nocy, nawet klasyk Led Zeppelin brzmiał cholernie irytująco.

# 11 Iniekcja

29 czerwca, poniedziałek, noc i poranek

Spóźnił się!

Na umówionym miejscu przy wejściu do Lasu Sołtysowickiego był dokładnie o dwudziestej drugiej dziewiętnaście, czyli całe cztery minuty po wyznaczonym czasie. Zaparkował swoje bmw x5 na małym parkingu przed drewnianym ogrodzeniem i bramą stylizowaną na wejście do średniowiecznego fortu. Wysiadł z samochodu. Stał na trzęsących się ze zdenerwowania nogach i rozglądał się gorączkowo. Słońce już zaszło za horyzont i robiło się coraz ciemniej. Ulicą Sołtysowicką od czasu do czasu przejeżdżały auta, oświetlając go swoimi reflektorami. Boisko po przeciwnej stronie ulicy było puste i ginęło w mroku, przed sobą miał wejście do pogrążonego w zupełnej ciemności lasu. Było cicho i pusto.

Do jasnej cholery, spóźnił się!

Nie mógł wprost uwierzyć. Dlaczego tak późno dostał informację o miejscu i czasie spotkania?

Dokładnie trzydzieści cztery minuty temu Zbigniew Koskowski odebrał telefon z obcego numeru. Znany mu już głos poinformował go, że za trzydzieści minut ma być z pieniędzmi na parkingu przy Lesie Sołtysowickim.

– Nie spóźnij się, to może być twoja jedyna szansa – zakończył beznamiętnie głos w słuchawce i rozłączył się.

A on się spóźnił!

Dochodziła dziesiąta dwadzieścia jeden. Wydawało mu się, że nagle zrobiło się zimniej i jeszcze ciemniej. Stał w otwartych drzwiach samochodu i nie wiedział, co robić. Na fotelu pasażera leżała papierowa torba, w której upchnął szybko sto tysięcy złotych w banknotach o różnych nominałach, w sześciu paczkach spiętych gumkami. Miał mało czasu na zgromadzenie takiej kwoty – zaledwie parę godzin. Banki w niedzielę były zamknięte, więc spakował do torby całą gotówkę, jaką znalazł w domu. Opróżnił nawet portfel żony i skarbonkę najmłodszej córki. Myślał, że resztę uda mu się wyjąć z bankomatu, ale się trochę przeliczył. Okazało się, że ma dzienny limit wypłat i zabrakło mu prawie dwudziestu tysięcy. Nie zastanawiając się długo, pojechał na Szewską, gdzie w tajemnicy przed żoną wynajmował kawalerkę dla swojej aktualnej kochanki – studentki Uniwersytetu Ekonomicznego. Wiedział, ile dał jej pieniędzy w ostatnim roku, wiedział też, że żyje bardzo oszczędnie i zbiera na własne mieszkanie we Wrocławiu. Na początku upierała się, że nie ma żadnych oszczędności, lecz kiedy na nią huknął, przestraszyła się i wyciągnęła z szuflady z bielizną wszystko, co miała. Było więcej, niż potrzebował. Odliczył tylko tyle, ile brakowało mu do okrągłych stu tysięcy, i oddał jej resztę. Obiecał też, że zwróci całą kwotę, gdy tylko wykaraska się z chwilowych kłopotów. W proggu jeszcze na nią nakrzyczał, bo takich pieniędzy nie trzyma się przecież ukrytych w szufladzie z bielizną. To pierwsze miejsce, które sprawdza każdy złodziej.

Dwudziesta dwadzieścia pięć. Co robić?

Nagle zabrzączał jego telefon.

Koskowski odebrał trzęsącymi się rękami. Głos poznał od razu.

– Spóźniłeś się – usłyszał.

Koskowskiemu wydawało się, że po raz pierwszy usłyszał w głosie jakieś emocje. Coś na kształt kpiny. Zanim zdążył się

odezwać, nieznajomy mówił dalej:

– Nie przejmuj się. To był tylko test. Musiałem sprawdzić, czy nie nasłałeś na mnie gliniarzy. Dobrze, że nic takiego nie przyszło ci do głowy.

Koskowskiego z miejsca oblał zimny pot. Był obserwowany! Nie zauważył, żeby ktoś za nim jechał. Ale jak miał zauważyć, skoro koncentrował się tylko na tym, żeby zdążyć na czas? Nawet nie spojrzął we wsteczne lusterko. Teraz nerwowo rozejrzał się wokoło. Przy ogrodzeniu boiska zaparkowane były dwa samochody, lecz wyglądały na puste. Chyba że ktoś obserwował go ukryty wśród drzew.

Zanim zdążył się odezwać, nieznajomy kontynuował:

– Czekam na ciebie przed twoją firmą o dwudziestej trzeciej. Teraz na pewno się nie spóźnij.

– Nie... nie spóźnię się. Poczekaj... – Koskowski chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz usłyszał miarowy sygnał.

Rozmowa była zakończona.

Przeklął, wskoczył do samochodu, odpalił silnik i ruszył ostro. Koła zabuksowały na polnym parkingu i samochodem szarpnęło, kiedy złapały przyczepność na asfalcie. Miał do przejechania prawie dwadzieścia kilometrów. Powinien się pospieszyć. Co prawda o tej porze w niedzielę ruch na ulicach był niewielki, ale i tak na dojazd musiał liczyć jakieś pół godziny.

Jego firma wynajmowała budynek biurowy wraz z przyległą do niego halą przy skrzyżowaniu Dolnobrzeskiej z Ułową. Zakład, który się tam kiedyś mieścił, zbankrutował w połowie lat dziewięćdziesiątych. Przez wiele lat budynki niszczały, wreszcie wynajął je Koskowski i wyremontował. To było idealne miejsce na siedzibę jego firmy – spokojnie, na uboczu, tanio, hala i biura o dużej powierzchni. Dojazd w szczycie pozostawiał co prawda wiele do życzenia, lecz Koskowski miał

nadzieję, że wreszcie miasto wybuduje obwodnicę Leśnicy, o której mówiło się od wielu lat.

Wjechał na obwodnicę autostradową i wcisnął mocno pedał gazu. Prędkościomierz zaraz pokazał prawie sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Nagle zwolnił do przepisowej prędkości. Gdyby teraz zatrzymała go policja, na pewno nie zdążyłby na czas. Jeszcze tego mi brakuje – pomyślał i sięgnął po papierosa. Zwykle nie palił w aucie, ale teraz miał gdzie wszystkie zasady.

Dojeżdżał do mostu Rędzińskiego. Stalowe liny podtrzymujące most, zawieszane na najwyższych pylonach w Polsce, podświetlone od dołu snopami światła, robiły niesamowite wrażenie. W nocy most widoczny był z odległości kilku kilometrów.

Koskowski lubił tędy jeździć. Teraz nawet nie zauważył, kiedy znalazł się pod drugiej stronie. Zbliżał się do zjazdu na E94 na zachód, w kierunku Leśnicy. Był już pewny, że zdąży, i odprężył się trochę.

– Jak można żyć w tym popieprzonym kraju?! – krzyknął nagle i walnął pięścią w kierownicę.

Od lat, żeby utrzymać zlecenia dla swojej firmy w ramach przetargów, musiał płacić komu trzeba odpowiednią dołę. Kwoty były różne, w zależności od wartości kontraktu. Proceder funkcjonował od zawsze, niezależnie od tego, kto akurat sprawował władzę. Czy rządzili ci z lewa, ze środka czy prawica – nic się nie zmieniało. Wszyscy głosili szczytne hasła walki z korupcją, a tak naprawdę byli gołodupcami, którzy chcieli się szybko nachapać, zanim wyborcy każą im spieprzać i wybiorą nową bandę złodziei. Od lat mówiło się o tym, że ustawa o zamówieniach publicznych jest do bani – i co? Na gadaniu się skończyło.

Od dawna zastanawiał się, jak to możliwe, że układ łapówkarski – do którego chcąc nie chcąc musiał przystąpić –

nie zainteresował jeszcze organów ścigania. Przecież na różnych spotkaniach biznesowych rozmawiało się o sprawie, i to wcale nie szeptem. Nikt nie doniósł na policję? Czyżby biznesmeni byli aż tak lojalni w stosunku do siebie? Bzdura! Patrzyli tylko, jak podebrać komuś kontrakt. Pierwszy, który wypadłby z układu, zaraz poleciałby złożyć donos. No dobrze, jeśli nawet nie pierwszy, to drugi albo trzeci. Teraz Koskowski miał odpowiedź. Centralne Biuro Antykorupcyjne też było skorumpowane. Nie interweniowali, dopóki mogli liczyć na profity. Może działali w taki sposób jak ten sukinsyn, który zadzwonił do niego parę minut temu? Szantażowali co bardziej majątnych przedsiębiorców, a ci płacili i milczeli. Nikt przecież nie przyzna się koledze, że płaci funkcjonariuszom CBA.

Więzienie! Najbardziej bał się więzienia. Słyszał, że w polskich więzieniach kryminaliści siedzą razem ze skazanymi za drobniejsze przestępstwa i mogą się nad nimi znęcać do woli.

Koskowski minął rozświetloną stację Orlenu przed samą Leśnicą. Zapalił kolejnego papierosa i uchylił boczne szyby. Do środka wpadło chłodne powietrze, przerzedzając trochę mgłę papierosowego dymu.

Koskowski myślał o tym, że ma coś innego do ukrycia przed policją. Coś, co zdarzyło się wiele lat temu. Znów uderzył ręką o kierownicę. Kurwa! Przecież gdyby śledczy zaczęli prześwietlać jego życie, mogliby coś zwęszyć. Dlatego postanowił zapłacić. Chciał zyskać na czasie. Wiedział, że jeśli zapłaci szantażyście, już zawsze będzie musiał płacić. Ale to go zbyt nie niepokoiło. Gdyby szantażysta z CBA nadal go dręczył, był zdecydowany sprzedać wszystko i wyjechać, nie zostawiając nikomu adresu ani numeru telefonu. Miał na tyle kasy, żeby się urządzić w nowym miejscu i dożyć spokojnie swoich dni. Miał już prawie sześćdziesiąt lat.

Tak – pomyślał – muszę się nad tym poważnie zastanowić.



Móglby się nareszcie uwolnić od zniechęconej, toksycznej i chorobliwie zazdrosnej żony, nie musiałby utrzymywać młodszych kochanek, miałby więcej czasu.

Może Ameryka Południowa? Bywał tam często i niektóre miejsca bardzo mu się podobały. Piękne kobiety były chętne i kosztowały grosze.

Na Dolnobrzeską dojechał pięć minut przed czasem. Zaparkował pod bramą na posesję, zgasił silnik i naraz zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Nerwowo wytarł spoczone dłonie o uda. Niebo przykryły właśnie chmury i zrobiło się jeszcze ciemniej. Właśnie! Ciemności na placu przed budynkami były nienaturalne. Rampa i brama do hali magazynowej zawsze były oświetlone. Kurde, jeśli stróż znowu zapomniał zapalić lampy, nogi z dupy mu powyrywam – pomyślał i naraz znieruchomiał. Brama była uchylona.

Ostrożnie wysiadł, podszedł do kłódki i obejrzał ją dokładnie. Łańcuch był przecięty. Napięcie i strach powróciły ze zdwojoną siłą. Czy dla odebrania okupu ktoś włamałby się na teren jego firmy? Może tak, może nie. Pchnął jedno skrzydło bramy, wrócił do auta i nie zapalając świateł, wjechał na podwórze. Zatrzymał się przy krzakach naprzeciw bramy do hali magazynowej. Czekał.

Powiał wiatr i zrobiło się jakby jaśniej. Przynajmniej tak zadawało się Koskowskiemu.

Naraz znieruchomiał, patrząc w napięciu przez przednią szybę. W miarę jak jego oczy przyzwyczajały się do ciemności, zaczął dostrzegać ciemny kształt samochodu zaparkowanego w rogu placu, nie więcej niż dziesięć metrów od niego. Przy aucie zamajaczyła ciemna postać. Po chwili był już pewien. Ktoś tam stał.

Nagle przeraźliwie głośno odezwał się dzwonek jego telefonu. O mało co nie uderzył głową w dach swojego auta. Serce zakołatało w piersiach, przez chwilę myślał, że zemdleje.

Nerwowo przeszukał kieszenie, wreszcie wyciągnął aparat i spojrzął na wyświetlacz. Dzwoniła żona.

Jasna cholera – przeleciało mu przez głowę. – Znowu robi mi awanturę o kochankę. Odrzucił połączenie. Nie minęło pół minuty i telefon odezwał się ponownie. Tym razem wyłączył aparat i cisnął go na przednie siedzenie. I co z tego, że żona znowu robi mu awanturę? Nie pierwszą przecież. Przeleciała mu jeszcze przez głowę idiotyczna myśl, że tym razem oskarża go bezpodstawnie, i nagle zobaczył błysk. Osoba stojąca przy samochodzie zapaliła papierosa. Płomień zapalniczki przez chwilę oświetlał jej twarz, ale Koskowski nie zdążył dostrzec rysów. Wydało mu się tylko, że ma przed sobą wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę. A może to było tylko złudzenie spowodowane ciemnościami i drżeniem płomienia zapalniczki?

Było trzy minuty po dwudziestej trzeciej. Spiał się i podjął decyzję.

Sięgnął do klamki, pociągnął i pchnął drzwi łokciem. Zbyt gwałtownie. Zatrzymały się, trąc o gałęzie krzewów. Wsiadł, cały czas wpatrując się w żarzący się w ciemnościach papieros. Niepewnie zrobił dwa kroki i rzucił niezbyt głośno:

– Halo!

– Pieniądze!

Głos był dziwnie przytłumiony.

– Oczywiście! Mam pieniądze! Już!

Otworzył drzwi od strony pasażera i wyciągnął torbę z pieniędzmi. Kiedy się odwrócił, zamarł zaskoczony. Ognik papierosa zniknął. Koskowski nie dostrzegł też ciemnej postaci. Poczul ciarki na plecach i po raz pierwszy tego wieczoru zwątpił. Czy na pewno chodzi o przekazanie łapówki funkcjonariuszowi CBA? A jeśli ktoś go tu zwabił w innym celu? Nagle taka myśl wydała mu się bardzo prawdopodobna.

– Halo? – odezwał się jeszcze i usłyszał szmer za plecami.

Zanim zdołał zareagować, pod czaszką rozbłysły mu fajerwerki kolorowych świateł. Nie czuł bólu, tylko zniewalającą słabość ogarniającą nieubłaganie jego ciało. Co do licha? – pomyślał i nagle światła zgasły. Znow otaczała go ciemność. Leżał na brzuchu oszołomiony, pod prawym policzkiem czuł ostre kamienie, którymi wysypany był plac. W ustach rozchodził mu się słodki posmak. Krew – uświadomił sobie z przerażeniem. Nagle poczuł ucisk na plecach i przez moment nie mógł złapać oddechu. Napastnik klęczał na nim i związywał mu ręce z tyłu taśmą pakową.

– Jezu Chryste... – wycharczał Koskowski, ale ten ktoś szarpnął go do tyłu za związane ręce i równocześnie kopnął w żebra z prawej strony.

– Wstawaj! – Głos brzmiał stanowczo, ale dalej był jakiś dziwny, przytłumiony.

Koskowski najpierw dźwignął się z trudem na kolana, potem przy pomocy napastnika na nogi. Chwilę stał oparty o błotnik swojego bmw.

– W razie oporu przestrzelę ci czaszkę – usłyszał spokojny głos tuż przy uchu.

Poczuł bolesne uderzenie w policzek. Lufa pistoletu!

Przerażenie omal nie pozbawiło go przytomności. Szedł prowadzony przez napastnika i nawet nie wiedział dokąd. Wydawało mu się, że nie jest w stanie skoordynować ruchów ciała. Potykał się o własne nogi i trząsał się ze strachu jak galareta.

Nie od razu zorientował się, że idą w kierunku wejścia do części biurowej firmy INKBeton. Przy drzwiach napastnik obszukał jego kieszenie i wyciągnął klucze. Kiedy otwierał zamki, Koskowski pomyślał o alarmie – włączy się, gdy tylko wejdą do środka. Przeraźliwy sygnał rozejdzie się po całej okolicy, informując o włamaniu dyżurującą całą dobę firmę

ochroniarską. Będą tu w ciągu dziesięciu minut. Wyprostował się, czując nagły przypływ nadziei.

Tymczasem napastnik otworzył drzwi i zdecydowanym ruchem pchnął Koskowskiego do środka. Przedsiębiorca ze związanymi na plecach rękami poleciał głową naprzód. Upadł, rozcinając górną wargę. Nie poczuł jednak bólu, myślał o alarmie. Gdy tylko czujnik wykrył jego ciało wpadające do środka, piknął ostrzegawczo. Od tego momentu zostało dwadzieścia sekund do wszczęcia alarmu. Postanowił, że nie zdradzi kodu, nawet gdyby był torturowany. Zresztą nie zdąży. Leżąc na podłodze, obserwował napastnika.

Mężczyzna ubrany na czarno, w czarnej kominiarce naciągniętej na twarz, włączył światło w krótkim korytarzyku i stanął przy panelu alarmu. Szybko i pewnie wstukał cztery cyfry i nacisnął przycisk „disarm”. Lampka kontrolna w górnym rogu zmieniła kolor na zielony, a ostrzegawczy sygnał zamilkł.

Koskowski nie od razu zrozumiał, co się stało. Napastnik znał kod. Może był pracownikiem jego firmy? Albo pracował dla firmy ochroniarskiej, która zabezpieczała obiekt?

Poczuł nagle wzbierającą falę złości. Była silniejsza niż strach.

– Ty skurwysynu... – wycharczał i głos mu się załamał.

Chciał wzywać pomocy, lecz usta miał pełne krwi i tylko się rozkaszał.

Tymczasem zamaskowany mężczyzna spryskał czymś panel alarmu, wytarł przyciski szmatką, którą następnie włożył do kieszeni, i odwrócił się do Koskowskiego. W półmroku błysnęły białka jego oczu z otworów kominiarki i w tej chwili – jeden jedyny raz – Koskowski pomyślał, że wcale nie jest taki potężny, jak mu się wydawało. Przeciwnie, był raczej drobnej postury, a w całej jego postaci było coś dziwnego.

Zanim Koskowski zdążył się nad tym dłużej zastanowić, napastnik znowu jednym szarpnięciem poderwał go w górę i niespodziewanie kopnął w okolice krzyża, w ten sposób zmuszając go do pójścia korytarzem w kierunku hali magazynowej. Przedsiębiorca poleciał do przodu i z trudem złapał równowagę. Coś miał jeszcze powiedzieć, lecz nagle znowu przed oczami eksplodowały mu fajerwerki. Po raz drugi stracił na chwilę przytomność.

Ocknął się niespodziewanie wyrwany z czarnych koszmarów, które niczym stado wron przelatowały mu przez głowę, i szarpnął się panicznie. Zrozumiał, że nie ma sensu tracić sił – był mocno związany. Opanował się. Otworzył oczy i zaraz je zmrużył.

Światła w hali były zapalone, on leżał przy jakiejś maszynie, której silnik chodził na jałowym biegu. Rozpoznał dźwięk sprężarki.

Usłyszał kroki, a na jego twarz padł cień.

Potem Koskowski słuchał wypowiedzianych beznamiętnym głosem słów. To była dłuższa opowieść. W miarę jak słuchał, coraz bardziej jeżyły mu się włosy na głowie. Dotarło do niego, że nie ma już szans na ratunek. Niespodziewanie gdzieś na dnie jego duszy pojawiło się poczucie winy. Tak! Był winny i los, jaki miał go spotkać, był sprawiedliwą karą. Może nawet zbyt łagodną. Po policzkach pociekły mu łzy.

Był winny.

Nagle poczuł jakiś przedmiot, który brutalnie wdarł mu się do ust i zatrzymał głęboko w gardle. Żołądek skurczył się w gwałtownym odruchu wymiotnym. W gardle czuł palący ból. Już wiedział, co napastnik wcisnął mu do ust i przy jakim urządzeniu leży. Poczuł falę śmiertelnego przerażenia. Udało mu się zajęczeć rozpaczliwie.

Głos nagle ucichł, sprężarka zawarczała głucho, a przez rurkę umieszczoną w gardle Koskowskiego trysnęła gorąca

lawa, wywołując pożar, który w ułamku sekundy ogarnął jego wnętrzności.

\*

Kilka minut po piątej dyżurny z centrali poinformował przez radio policjantów z patrolu w wozie B51, że w ich rejonie znaleziono zwłoki. Na miejscu byli około piątej trzydzieści. Na skrzyżowaniu Dolnobrzeskiej i Ułowej, po lewej stronie, stała hala magazynowa z przybudówką, w której mieściły się biura. Przed szeroko otwartą bramą hali stała karetka pogotowia, obok zaparkowały dwa wozy patrolowe, które przyjechały na miejsce przed nimi. Jeden z nich wciąż mrugał nerwowo niebieskim kogutem. Karina Buczko porozmawiała ze stojącym przy radiowozie policjantem i dowiedziała się o kolejnej makabrycznej zbrodni. Nawet nie wchodziła do środka i oszczędziła tego Jackowi Felmanowi, który dzień wcześniej pokazał, że widok zwłok nie działa na niego najlepiej. Zaparkowali przy bramie wjazdowej na teren zakładu i sprawdzali wszystkich wjeżdżających. Po kilkunastu minutach granatowym fordem transitem, który lata swojej świetności miał dawno za sobą, przyjechali technicy z laboratorium kryminalistycznego. Potem z jeszcze starszego golfa wysiadł młody podkomisarz o okrągłej twarzy i rumianych policzkach. Kolejny policjant zaparkował na podjeździe srebrną astrę. Później zaczęli schodzić się pracownicy. Funkcjonariusze kierowali wszystkich do części biurowej i około szóstej zgromadziła się tam już grupa złożona z kilkunastu mężczyzn oraz dwóch kobiet.

Również o szóstej czterdzieści pięć na teren zakładu chciał wjechać wóz transmisyjny TVN24, ale policjanci zatrzymali go stanowczo. Po krótkiej wymianie zdań samochód odjechał i zaparkował na poboczu.

Kilka minut po siódmej Karina Buczko zobaczyła motocyklistę jadącego z dużą prędkością od strony Leśnicy. Poznała go po trupiej czaszce namalowanej na kasku.

– Jest twój ulubiony komisarz – mruknął ironicznie Felman.

Karina nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ motocyklista już hamował przed ich samochodem. Uśmiechnęła się do niego, ale nie widziała twarzy pod kaskiem i nie miała pewności, czy w ogóle na nią spojrzął. Pocieszyła się tylko, że nie spojrzął również na młodą reporterkę, która biegła w jego kierunku z wyciągniętym mikrofonem.

Zanim Zakrzewski zsiadł z motoru, przeciągnął się jeszcze i spojrzął w niebo. Szare chmury wisiały nisko nad ziemią, ale nie zanosiło się na deszcz. Mimo wczesnej pory komputer motoru pokazywał dwadzieścia stopni.

Wolno odwiesił kask na kierownicę. W zdrętwiałych mięśniach czuł skutki zarwanej nocy, do tego bolała go głowa, jakby niedawno dostał cegłówką. Westchnął i ruszył w kierunku wejścia. Tu natknął się na Szawczaka. Parol ubrany był dokładnie tak samo jak dzień wcześniej, tylko jego biała koszula była bardziej wymięta, a zakurzone lakierki straciły cały blask. Rzut oka na twarz policjanta wystarczył, by się zorientować, że też nie przespał całej nocy. Zwykle zaczerwienione policzki były teraz blade jak papier. Pod oczami wyraźnie rysowały się ciemne plamy. Przywitali się i pierwszy odezwał się Szawczak:

– Mamy kolejnego sztywniaka. Znowu ktoś wykazał się wyjątkową wyobraźnią.

Zakrzewski nadstawił uszu.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Sam zobaczysz. – Parol wzruszył ramionami i wyciągnął z kieszeni mały notatnik. Bez pytania zaczął czytać. – Denat nazywał się Zbigniew Koskowski, lat pięćdziesiąt dziewięć, żonaty, dwójka dorosłych dzieci. Był właścicielem i prezesem tej

firmy tutaj. INKBeton spółka z o.o. zajmuje się usługami i wynajmem maszyn. Zwłoki znalazł pracownik Piotr Banaszekiewicz, który codziennie przychodzi do firmy około czwartej rano. Do jego obowiązków należy posprzątanie hali i biur, zanim do pracy przyjdą inni pracownicy, potem jest czymś w rodzaju stróża lub ochroniarza. Kiedy przyszedł, brama była otwarta, bmw szefa stało dokładnie tak jak teraz z otwartymi drzwiami, alarm był wyłączony, a w hali świeciły lampy. Myślał, że szef przyjechał wcześniej, ale, jak sam stwierdził, coś go zaniepokoiło.

– Szef nigdy nie przyjeżdżał tak rano – dopowiedział Zakrzewski.

– Dokładnie. Banaszekiewicz wszedł do hali, kilka razy zawołał szefa, nie usłyszał odpowiedzi, zaczął szukać i znalazł zwłoki. Właściwie to Koskowski podobno jeszcze żył, kiedy Banaszekiewicz go znalazł. Próbował nawet coś mówić, ale bardzo niewyraźnie. Zgon nastąpił, zanim przyjechała karetka.

– J-jasne. Coś jeszcze?

Parol się zawahał.

– Koskowski znany był ze swoich podbojów... erotycznych – rzucił wreszcie. – Podobno parę lat temu utrzymywał trzy kochanki na mieście.

Zakrzewski zrobił zdziwioną minę.

– Żona wiedziała?

– Pewnie. Robiła mu ciągle awantury, jednak nie odeszła. Podobno była z nim dla pieniędzy i dla wygody.

– Skąd ty to wszystko wiesz tak rano? – Zakrzewski był pełen uznania dla profesjonalizmu młodszego kolegi.

– Od Banaszekiewicza.

– Mówisz, że makabryczny widok?

– Mało powiedziane.

Zakrzewski wszedł do hali i rozejrzał się.

– Tam. – Parol wskazał mu kierunek.



Ciągi komunikacyjne w hali zaznaczone były grubymi liniami namalowanymi na betonowej posadzce żółtą farbą. Od drzwi odchodziły trzy drogi: w lewo, prosto i prawo. Drogi w lewo i prosto ginęły pośród ułożonych starannie worków w różnych rozmiarach. Ta prowadząca w prawo przecinała halę na skos i wiodła do części biurowej. Ruszyli, mijając większe i mniejsze maszyny stojące na drewnianych paletach.

– Pani prokurator już jest? – rzucił Marcin do idącego krok za nim Parola.

– Prokuratorzy pracują od ósmej – odrzekł Szawczak.

Marcin zerknął na niego przez ramię. Ten facet coraz bardziej mu się podobał. Po wczorajszym zagubieniu na miejscu zbrodni i później w domu Kurzaja nie zostało ani śladu. Parol nabrał pewności siebie i nagle jakby zyskał pięć lat doświadczenia w pracy przy morderstwach. Gdyby jeszcze tylko nie ubierał się jak miłośnik disco polo ze wsi Chrzastawa Wielka... Brakowało mu tylko bezrękawnika zrobionego przez mamę na drutach. Marcin spojrzał krytycznie na jego buty, ale wzruszył ramionami. Może się jeszcze wyrobi.

Doszli na miejsce i zatrzymali się przy komisarzu Michale Rucińskim. Bez słowa przywitali się mocnym uściskiem dłoni. Ruciński też wyglądał, jakby zarwał noc. Tyle tylko, że nie z powodu czytania książek kryminalnych – raczej picia wódki. Zakrzewski poczuł od niego odór przetrawionego alkoholu pomieszany z miętowym aromatem gumy do żucia i tytoniem.

Miejsce zbrodni ogrodzone było policyjną taśmą. Denat leżał na plecach, z rozrzuconymi na boki rękami. Twarz miał białą jak kreda, co kontrastowało z mocno podkrążonymi oczami. Wyglądał, jakby zrobił sobie makijaż na bal wampirów albo jakby wybierał się na Castle Party do Bolkowa. Wzrok przyciągało jednak co innego. Jego brzuch był rozdęty do monstrualnych rozmiarów. Biała koszula nie wytrzymała, guziki się oderwały i widać było nagi tors pokryty posiwiałym,

gęstym zarostem. Denat wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować. Parol miał rację – makabryczny widok.

Zakrzewski przesunął się i spojrzał na zwłoki z drugiej strony. Poczul nieprzyjemny posmak w ustach. Ciało na lewym boku pękło i na posadzkę wylała się szara masa pomieszana z krwią i innymi wydzielinami organizmu. To, co w pierwszej chwili wziął za naturalny słodkavo-mdły zapach w hali, było w istocie smrodem rozchodzącym się z pękniętego brzucha denata.

Zagryzł wargi i wrócił na poprzednie miejsce. Zobaczył, że Szawczak stoi dwa metry z tyłu i stara się nie patrzeć na zwłoki. Cóż, do pewnych widoków trzeba przywyknąć. Tylko czy na pewno się da? Zakrzewski w trakcie długich lat pracy w wydziale zabójstw widział niejedno, a jednak niektóre obrazy wciąż budziły w nim obrzydzenie i odruch wymiotny.

Technikiem pochylającym się nad zwłokami okazał się Robert Rajcza. Widząc Marcina, skinął na niego ręką, żeby się zbliżył. Zakrzewski przeszedł pod taśmą i włożył lateksowe rękawiczki.

– Nie za często się ostatnio widzimy? – zapytał Rajcza, ściągając z głowy kaptur ochronny.

– Też wolałbym widywać cię rzadziej. Co to za makabra?

– Psychole oglądają teraz seriale w rodzaju *CSI*. Pchnięcie nożem, uduszenie albo strzał w głowę wydają się zbyt banalne. Trzeba, kurwa mać, wymyślić coś oryginalnego!

Marcin spojrzał na technika zaciekawiony. Nie widział go jeszcze tak poruszonego. Nawet poprzedniego dnia przy zwłokach przybitych gwoździem do drzewa wydawał się spokojniejszy.

Rajcza z westchnieniem ulgi wyprostował kręgosłup i najwyraźniej się uspokoił.

– Jak my go stąd wyniesiemy? – jęknął już normalnym głosem. – Waży teraz chyba z dwieście kilogramów.

– Halo, jestem tutaj! – Marcin pomachał mu dłonią przed oczami. – Może powiesz mi, co z nim się stało?

– Ja-ja-jasne – Rajcza był już sobą i złośliwie przedrzeźniał powiedzonko Zakrzewskiego.

Wskazał na stojące obok urządzenie, podobne do wielu innych znajdujących się w hali, tylko dużo mniejsze.

– Wiesz, komisarzu, co to jest? – zapytał.

– Nie bardzo.

– To pompa do iniekcji betonu – wyjaśnił. – Ta technologia w Polsce pojawiła się kilka lat temu, chociaż na Zachodzie jest znana od dawna. Dokładnie nie znam szczegółów. Chodzi o to, że kiedy w ścianach budynków pojawiają się pęknięcia, wykorzystuje się takie urządzenie, żeby pod ciśnieniem wtrysnąć w szczelinę beton. Beton wysycha i wiąże konstrukcję. Technologia prosta, tania i skuteczna. Z tego, co widzę, firma zajmowała się właśnie takimi usługami.

Marcin spojrzał z większym zainteresowaniem na stojące obok niepozorne urządzenie i już wiedział, co stało się z Koskowskim. Pompa była bardzo prosta. Na metalowym stelażu w dolnej części umieszczona została sprężarka, u góry pojemnik, w którym rozrabiało się beton. Sprężarka pompowała beton pod ciśnieniem przez metalową, cienką rurkę, którą swobodnie można było wcisnąć w każdą szczelinę. Znowu poczuł mdłości. Jasna cholera, jaki zwyrodnialec postanowił zabić faceta w tak drastyczny sposób? Kolejne słowa Rajczy doszły do niego przytłumione, jakby zza ściany.

– Czekamy jeszcze na doktora, żeby oficjalnie obejrzał denata, ale ja już mogę ci powiedzieć, jak toczyły się wypadki. Facet dostał w głowę, co najmniej dwa, trzy razy twardym przedmiotem. Mógł przy tym stracić przytomność. Sprawca związał go brązową taśmą pakową i przytargał tutaj. Ślady krwi ciągną się od strony wejścia do biura. Zakleił mu usta taśmą, poszedł po worek z betonem, rozrobił go w pojemniku maszyny,

wcisnął denatowi rurkę do gardła i wpompował w niego dwadzieścia litrów betonu. Brzuch nie ma takiej pojemności, więc pękł i trochę wylało się na zewnątrz.

Stojący za taśmą komisarz Ruciński chrząknął i powiedział:

– Ten gość, który znalazł zwłoki, mówił, że on jeszcze żył i coś mówił.

Marcin spojrzał na Rajcę.

– To możliwe? – zapytał.

Technik w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Nauka radziecka zna jeszcze wiele takich niewyjaśnionych zagadek – zakpił. – Zapytaj doktora, jak się tu już łaskawie zjawi.

– J-jasne. Masz jakieś ślady?

– Wielkie gówno – mruknął Rajca. – Na maszynie nie ma odcisków palców, na posadzce znalazłem włókna i włosy, ale w dzień kręci się tu pewnie tyle osób, że takie ślady o kant dupy będzie można rozbić. Na ubraniu denata było trochę włosów, ale podejrzewam żonę, kochankę, kota albo psa. Nasz zabójca jest raczej dobrze zorganizowany i nie zostawia takich banalnych śladów. Ale za to... – zawiesił głos dla większego efektu – znalazłem taki fant.

Pokazał Marcinowi torebkę ze świeżym niedopałkiem papierosa.

– Żartujesz – powiedział cicho Zakrzewski.

– Nie jestem w nastroju do żartów, wierz mi, Marcin. Niedopałek wygląda bardzo podobnie do tego, który wczoraj znaleźliście w domu Kurzaja.

Marcin pocierał czoło, jak to miał w zwyczaju, kiedy intensywnie o czymś myślał.

– Sugerujesz, że to był ten sam sprawca? Niby dlaczego?

– Ty mi to wyjaśnij, Sherlocku – powiedział Robert Rajca. –

Może zdążyłeś już zauważyć, że taśma, w którą owinięty był denat, też gdzieś zniknęła. Zupełnie jak wczoraj na Granicznej.

Zakrzewski spojrział na Parola. Szawczak sprawiał wrażenie podekscytowanego, kiwał głową. Na jego policzkach wykwitły znowu czerwone plamy. Czyli wracał do normy. Marcin na razie nie zareagował na jego znaki.

– Coś jeszcze? – zapytał.

Z prawej strony zwłok stała stara tokarka TUM 24, krajowej produkcji. Na jej obudowie Rajcza ułożył starannie kilka plastikowych woreczków. Zakrzewski obejrzał wszystkie dokładnie: dowód osobisty, prawo jazdy, klucze – prawdopodobnie od domu, portfel wypchany kartami kredytowymi, chusteczki do nosa.

– Nie ma komórki? – zapytał.

– I kluczy do firmy.

Zakrzewski zwrócił się do Michała Rucińskiego.

– Zorientuj się, w jakiej sieci miał telefon, wyciągnij billing z ostatnich dni. Chcę wiedzieć, gdzie logował się w ciągu minionej doby, i może niech spróbują namierzyć, gdzie jest teraz.

– Bez papieru od prokuratora będzie ciężko – zauważył Ruciński.

– Nakaz prokuratorski będzie później – zniecierpliwiał się Marcin. – Wysł trochę mózgownicę.

Ruciński wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni telefon, odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku wyjścia.

– Najciekawsza jest jednak torba. – Technik wskazał Marciniowi torbę z szarego papieru stojącą na prowadnicy tokarki.

Zakrzewski zajrzał ostrożnie do środka i gwizdnął przeciągle. W torbie znajdowało się pięć paczek banknotów spiętych gumkami.

– Ktoś wie, ile tego jest? – zapytał.

– Parol liczył.

Szawczak spiął się jak uczeń wywołany do tablicy. Nawet znalazł w sobie tyle odwagi, żeby zbliżyć się do nich o krok.

– Siedemdziesiąt sześć tysięcy – powiedział.

Marcin był zdziwiony.

– Jesteś pewien? Dlaczego nie sto, ewentualnie pięćdziesiąt, tylko akurat siedemdziesiąt sześć?

– Nie wiem – odpowiedział niepewnie Parol.

– Masz coś jeszcze, Robert?

– O resztę pytaj Adamca, ja zajmowałem się zwłokami.

– J-jasne.

Jacek Adamiec zajmował się jeszcze bmw Koskowskiego, więc Marcin przeszedł pod taśmą, stanął obok Parola, ściągnął z trzaskiem rękawiczki i schował je do kieszeni spodni.

– No cóż, porozmawiamy z tym facetem, który znalazł zwłoki – stwierdził.

– Jest w dość kiepskim stanie. – Parol wskazał oszklone pomieszczenie przy drzwiach prowadzących do biur. Szara postać siedziała nieruchomo bokiem do nich.

Pomieszczenie było małe, z trudem mieściło trzy osoby.

Banaszkiewicz siedział za biurkiem, Marcin usiadł na brudnym stołku po drugiej stronie. Dla Szawczaka zabrakło już miejsca, więc stanął przy drzwiach, za plecami Zakrzewskiego.

Piotr Banaszkiewicz niedawno skończył sześćdziesiąt dziewięć lat i na tyle wyglądał. Był drobnej postury, chudy, miał twarz poprzecinaną imponującą siecią zmarszczek i siwe, rzadkie włosy. Odstające uszy były nieproporcjonalnie wielkie. Siedział nieruchomo, w dłoniach ścisnął szklanę z wystygłą, niedopitą kawą po turecku. Miał wielkie, spracowane dłonie, na których zatrzymał się na chwilę wzrok obu policjantów. Stawy palców były powiększone i zniekształcone przez reumatyzm. Piętnaście lat wcześniej firma, w której Banaszkiewicz przepracował całe życie, przeprowadziła restrukturyzację. Dostał wypowiedzenie, na szczęście mógł przejść na

wcześniejszą emeryturę. Tyle tylko, że Banaszekiewicz miał na utrzymaniu niepracującą od wielu lat, chorą żonę i emerytura nie starczała do pierwszego. Musiał dorabiać. Imał się różnych zajęć, w końcu pięć lat temu kolega załatwił mu stanowisko stróża i sprzątacza w firmie Koskowskiego. Zarabiał grosze, ale ta praca była stała i nieoficjalna, co uważał za zaletę.

Z trudem maskując zdenerwowanie, patrzył na odznaki zawieszane na piersiach obu policjantów.

Zakrzewski spojrzał starszemu mężczyźnie w oczy.

– Kto jeszcze, oprócz pana, ma klucze do zakładu i zna kody alarmu?

Pytanie niezwiązane pozornie ze znalezieniem zwłok szefa tak zaskoczyło Banaszekiewicza, że policjant musiał je powtórzyć.

– Ja mam klucze... szef, znaczy się, nieboszczyk... no, pan Koskowski i jeszcze jeden stróż, Władek Nowak, ale on ma dzisiaj wolne. Bo my, znaczy się, stróże, pracujemy po dwanaście godzin i odbieramy później wolne.

Banaszekiewicz miał chropawy, ale przyjemny głos. Mówił cicho i niepewnie.

– Ktoś jeszcze? – zapytał Zakrzewski.

– Znaczy się, nie wiem. Może ktoś jeszcze ma...

– Wie pan, gdzie mieszka ten Nowak?

– Tak, oczywiście... – Podyktował nazwę ulicy i numer domu.

Marcin spojrzał do tyłu, upewniając się, że Szawczak zanotował adres, i kontynuował:

– Proszę nam jeszcze raz opowiedzieć dokładnie zdarzenia z dzisiejszego poranka. Minuta po minucie.

Banaszekiewicz już zdążył poukładać sobie wszystko w głowie. Jego opowieść była bardziej rzeczowa niż to, co wcześniej powiedział Szawczakowi. Kiedy doszedł do znalezienia zwłok, zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– On jeszcze żył... – wyszeptał w końcu tak cicho, że ledwo go usłyszeli.

– Jest pan pewien? – zapytał Marcin. – W szoku ludzie widzą różne rzeczy.

– Jestem pewien. – Stary człowiek spojrział policjantowi prosto w oczy i zaraz spuścił wzrok, jakby się przestraszył własnej śmiałości. – On do mnie, znaczy się... on do mnie mówił.

– Co mówił?

– Nie bardzo rozumiałem, znaczy się, musiałem sobie wszystko dokładnie przypomnieć, dlatego wcześniej temu panu młodszemu nie powiedziałem... – Wskazał wzrokiem Parola. – On mówił... znaczy się, rozumiałem niewiele, pojedyncze słowa.

– Może pan powiedzieć nam, jakie to były słowa?

– Tak. Szef powiedział, że jest winny i że to kara za grzechy.

Marcin znowu spojrział przez ramię na Parola. On również wyglądał na zdziwionego.

– Jest pan absolutnie pewien? – zapytał Marcin.

– Tak. Jestem pewien. Znaczy się... o tej winie to mówił kilka razy i zanim zdążyłem zadzwonić na pogotowie, umarł. Wie pan, tak po prostu zamknął oczy i przestał oddychać. Znaczy się, ja naprawdę nic nie mogłem zrobić. Zadzwoniłem na pogotowie, ale on już nie żył. Tak po prostu umarł.

– Spokojnie, panie Piotrze, nic pan nie mógł zrobić – powiedział Marcin. – Już nikt nie mógłby nic zrobić, nawet pogotowie.

– No tak. – Banaszekiewicz pokiwał głową.

– Czy Zbigniew Koskowski był dobrym szefem?

Marcin widział, jak spracowane dłonie starego zacisnęły się na szklance z niedopitą kawą. Zaniepokoił się, że za moment szkło rozsypie się po całym pomieszczeniu.



– Nie. Znaczy się... nie szanował ludzi, nie cenił ich, pomiatał, zwalniał za byle co. Nigdy nie słyszałem, żeby komuś powiedział dobre słowo. Płacił grosze, a sam co chwilę zmieniał samochody na coraz droższe. I jeszcze do tego wszyscy wiedzieli, że dużo wydaje na młodsze kochanki.

– Panie Banasziewicz. – Zakrzewski starał się znowu spojrzeć swojemu rozmówcy w oczy, ale ten unikał jego wzroku. – Czy ktoś z załogi mógł mieć szczególny powód, żeby nie lubić szefa?

Sens pytania dotarł do Banaszewicza dopiero po dłuższej chwili.

– Myśli pan, że to ktoś z pracowników? – zapytał.

– Nie wiem. Proszę się zastanowić. Ktoś umawia się tutaj z Koskowskim, więc musi go znać. Wyłącza alarm i wchodzi z szefem na teren firmy, wie, jak rozrobić beton, potrafi obsługiwać urządzenie do iniekcji betonu. Przypadek?

Marcin odniósł wrażenie, że stary pracownik zeszywniał.

– Żaden z pracowników tego nie zrobił – powiedział drewnianym głosem. – Pracuję tu najdłużej, znaczy się, znam ich wszystkich. Nikt.

– Ktoś w ostatnich tygodniach został zwolniony?

– Ja nie będę donosił. Znaczy się... proszę zapytać księgowej.

Marcin nachylił się nad biurkiem.

– Może pan powiedzieć teraz albo dostanie pan oficjalne wezwanie na przesłuchanie, pana wybór – rzucił i dodał, cedząc słowa: – Koskowski został zamordowany ze szczególnym okrucieństwem, panie Banasziewicz. Tu już nie chodzi o donoszenie na kolegów z pracy, ale o złapanie popierdolonego zwyrodnialca, który może stanowić zagrożenie dla społeczeństwa.

Banasziewicz aż wstrzymał oddech, słuchając jego słów. Poszarzał i jakby zapadł się głębiej w krzesło.

– Był taki jeden – mruknął. – Znaczy się, szef wyrzucił go dwa tygodnie temu. On był dziwny, opowiadał takie rzeczy, że czasem aż strach było słuchać.

– Jakie rzeczy?

– Znaczy się, jak to z kolegami pobili Araba albo jakichś studentów, czy jakichś tam jeszcze innych. Dziwny był. I do tego złodziej. Znaczy się, został zwolniony za kradzież. I odgrażał się. Znaczy się, nie do szefa, tylko ludziom opowiadał, że jak go dopadnie, to mu pokaże.

– Groził Koskowskiemu? – upewnił się Marcin.

– Tak. Miał na imię Rafał. Nie znam nazwiska, znaczy się... nigdy nie znałem. To księgowa będzie wiedzieć.

Marcin znowu rzucił spojrzenie na Szawczaka i chrząknął.

– Jeszcze tylko jedno pytanie, panie Piotrze. Ile pan zarabia?

Banaszkiewicz popatrzył na niego niepewnie.

– Tysiąc trzysta na rękę – odpowiedział.

– Czyli kwota dwudziestu czterech tysięcy to ponad osiemnaście miesięcy pana pracy.

Trafił celnie. Banaszkiewicz zbladł, jeszcze głębiej osunął się na krześle, bruzdy zmarszczek na jego twarzy zadrgały.

– Nie rozumiem – wydukał słabym głosem. – Znaczy się, nie wiem, o co panu chodzi.

Zakrzewski odczekał długą chwilę, zanim się odezwał.

– Za kradzież takiej kwoty można trafić na dwa lata do więzienia.

– Do tego dochodzi utrudnianie śledztwa, kolejne dwa lata – dodał stojący przy drzwiach Parol.

– Panie Piotrze, po co panu kłopoty? – zapytał dobrodusznie Marcin. – Co powie żona, dzieci, wnuki, kiedy trafi pan do więzienia za kradzież? Potrzebne to panu? Dla pieniędzy?

Starszy mężczyzna zaczął mówić.

– Kiedy on już nie żył, zaglądnąłem do tej papierowej torby. Znaczy się, nie chciałem nic ukraść, ale kiedy zobaczyłem te

pieniądze, pomyślałem, że jemu już na nic się nie przydadzą. A ja mam chorą żonę i brakuje nam co miesiąc na lekarstwa. Są bardzo drogie. Znaczą się, pomaga nam kuzynka, ale wiem, że u niej też się nie przelewa. Jej mąż nie ma pracy, dzieci trzeba wysłać do szkoły, kupić podręczniki. Cholera, a Koskowski wydawał pieniądze na kurwy, znaczą się, wszyscy o tym mówili...

Zamilkł i spojrzał przestraszony na Zakrzewskiego, potem przeniósł wzrok na Szawczaka.

– Panie Piotrze, jeśli odda pan te pieniądze, zapomnimy o wszystkim.

Banaszkiewicz otworzył szufladę biurka, pogrzebał chwilę w środku i wolno wyciągnął paczkę stu- i dwustuzłotówek. Położył pieniądze przed sobą i obrzucił policjantów niepewnym spojrzeniem, jakby nie miał do nich zaufania.

Zakrzewski ponownie włożył lateksowe rękawiczki i przyciągnął paczkę do siebie.

– Nie muszę liczyć?

– Nie.

– Dziękuję. Proszę teraz wracać do domu, do żony. Skontaktujemy się z panem, gdyby prokurator uznał, że chce mieć pana oficjalne zeznania.

Straszy mężczyzna wstał i bez słowa skierował się do drzwi. Wyglądał naprawdę staro. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Szawczak natychmiast zajął jego miejsce. Położył na blacie biurka czarno-białą fotografię. Czterech mężczyzn i kobieta z długimi włosami stali uśmiechnięci przed jakimś budynkiem, który wyglądał na dom wczasowy z czasów PRL-u. Było to zdjęcie z albumu Adama Kurzaja, tylko powiększone i wyczyszczone cyfrowo. Nagle jakby jakaś klapka otworzyła się w umyśle Zakrzewskiego.

– Kurde, poznałem tego faceta od razu, jak tylko pierwszy raz na niego spojrzałem. On praktycznie się nie zmienił. Zobacz. –

Parol wskazał palcem Zbigniewa Koskowskiego, młodszego o co najmniej trzydzieści lat. Stał za kobietą z długimi włosami, trzymając dłoń na jej ramieniu. Po prawej stał młody Adam Kurzaj. Czas obszedł się z nim znacznie gorzej niż z Koskowskim.

Marcin potarł czoło w zamyśleniu. Jego wzrok przyciągnął roześmiany blondynek o dziecięcej twarzy, stojący po lewej stronie Koskowskiego. Przez chwilę gorączkowo zastanawiał się, skąd zna tę twarz. Dziwne. Wczoraj nie zwrócił na blondyna najmniejszej uwagi, obca twarz jakich wiele. Teraz było inaczej. Odkrycie było tak nieoczekiwane, że przez dobrych kilkanaście sekund pozostawał w stanie odrętwienia.

– Co, nie jest podobny? – Głos Parola przywrócił go do rzeczywistości.

– Nie o to chodzi. Poznaję jeszcze jedną osobę. – Wskazał palcem. – To jest Mirosław Rudnicki, obecnie najpoczytniejszy autor kryminałów. Dziesięć dni temu znaleziono go martwego na Wybrzeżu Wyspiańskiego. Do dzisiaj nie wykryto sprawcy.

Parol odchylił się na krześle i spojrzał poważnie na Zakrzewskiego.

– Jasna cholera! – przeklął. – A ja wczoraj nie uwierzyłem, kiedy powiedziałaś, że ta sprawa będzie długa i trudna.

Marcin pchnął zdjęcie w jego kierunku.

– Schowaj. I na razie nie mów o tym nikomu. Nawet pani prokurator.

– Ale...

Zakrzewski wstrzymał go ruchem ręki.

– Posłuchaj mnie, Szawczak. Większości śledczych przez całą zawodową karierę nie zdarza się sprawa takiego kalibru. Ty możesz dostać taką szansę na samym początku. Daj mi trochę czasu.

– Na co?

– Muszę się zatroszczyć, żeby nikt nam tego śledztwa nie sprzątnął sprzed nosa.

Parol skinął wolno głową.

– Skąd wiedziałeś, że Banaszek wziął te pieniądze? – zapytał.

– Kwota wydała mi się dziwna, a on był według mnie zbyt zdenerwowany.

Zakrzewski spojrział przez szybę.

– Przyjechała prokurator Kowalik. – Wstał, ale na progu jeszcze się odwrócił i powiedział:

– Masz zadanie domowe. Do jutra przeczytaj *Anatomie miłości*.

– Słucham? – Parol wytrzeszczył na niego oczy.

– To ostatni kryminał Mirosława Rudnickiego. Wielce pouczająca lektura.

# 12 Trzy kobiety

29 czerwca, poniedziałek przed południem

W latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia rosyjski antropolog Michaił Gierasimow opracował metodę rekonstrukcji twarzy na podstawie analizy czaszki. Przez wiele lat badał związek między morfologią ludzkiej czaszki a grubością i kształtem pokrywającej ją tkanki miękkiej. Usystematyzowane i uśrednione wyniki badań pozwoliły na pierwsze próby. Początkowym etapem było wykonanie odlewu czaszki. Następnie w istotne anatomicznie miejsca wbijało się kołeczki określające grubość tkanki, a następnie pokrywało się odlew plasteliną. W późniejszych latach udoskonalono metodę i plastelinę zastąpił gipsowy odlew. Na koniec gipsowa twarz była malowana farbami w naturalnych kolorach, a w oczodołach umieszczane były polistyrenowe kulki.

Przez następne pół wieku metoda ta była wykorzystywana głównie w archeologii oraz w laboratoriach kryminalistycznych, gdzie technicy próbowali ustalić tożsamość zwłok, których stan nie pozwalał na identyfikację.

Era komputerów zrewolucjonizowała metodę Gierasimowa. Zamiast ręcznych pomiarów zaczęto wykorzystywać laser. Czaszka umieszczona na obrotowej platformie jest skanowana światłem lasera. Zamiast kilkudziesięciu newralgicznych punktów, w które technik wbijał kołeczki, laser ustala ich około pięćdziesięciu tysięcy. Teraz technik nie musi spędzać kilku godzin na pomiarach i przygotowaniu odlewu – wynik

otrzymuje na ekranie komputera w kilka sekund. Do tego może wybrać dowolny kolor oczu i tysiące kombinacji kolorów włosów i fryzur.

Taką opowieść zaserwował Hannie Duciak technik z laboratorium kryminalistycznego obsługujący skaner. Miał prawie dwa metry wzrostu, ciemne włosy, bladą twarz i był przeraźliwie chudy. Biały fartuch wisiał na nim jak na kiju od szczotki. Hanna pomyślała na początku, że jest na coś przewlekłe chory, ale poruszał się energicznie, a z jego twarzy nie schodził uśmiech. Przedstawił się jako Marek. Marek jakiśtam. Nie dosłyszała nazwiska. Próbowwała zerknąć na identyfikator na jego piersi, był jednak przekrzywiony i nic nie dało się z niego odczytać.

– Pokaż mi ten eksponat – powiedział, kiedy się wreszcie wygadał.

Hanna postawiła przed nim na biurku kartonowe pudełko i ostrożnie wyciągnęła z niego czaszkę owiniętą w folię bąbelkową. Oboje włożyli rękawiczki i technik z namaszczeniem rozwinął folię.

– Memento mori – rzucił i puścił do niej oko.

Hanna udała, że tego nie widzi. Odsunęła się trochę zbyt szybko i strąciła z biurka papierową teczkę, z którą tu przyszła. Po podłodze rozsypały się papiery. Jak na złość portret opracowany przez policyjnego grafika komputerowego na podstawie twarzy zmumifikowanej kobiety znalezionej na poddaszu kamienicy przy Siemieńskiego upadł pod nogi Marka. Technik podniósł portret i przyjrzał mu się uważnie. Zdenerwowana Hanna w tym czasie pozbierała inne kartki.

– To ona? – usłyszała pytanie.

Była na siebie zła, że zobaczył ten portret. Opanowała się z trudem, przygryzła dolną wargę aż do bólu i potwierdziła. Starła się, żeby jej głos zabrzmiał naturalnie. Nie wyszło

najlepiej. Technik jednak nie zwrócił uwagi na jej zdenerwowanie.

– Piękna kobieta – skomentował i oddał jej portret.

Schowała go bez słowa.

– Ciekawe, czy wyjdzie podobnie – dodał, obracając w dłoniach czaszkę i przyglądając się jej z różnych stron.

Mimo że Hanna Duciak dzień wcześniej poświęciła parę godzin, aby usunąć z niej wyschnięte resztki ciała i dokładnie wyczyścić, wciąż pozostawała nienaturalnie szara. Jak twarz zmumifikowanej kobiety, do której należała.

– Prokurator od razu się zgodził, żeby odtworzyć twarz na skanerze? – zapytał Marek.

– Nie robił problemów.

Hanna poczuła, że z nerwów zaczyna się pocić. Stała za plecami technika i wytarła szybko rękawem czoło i górną wargę.

– Grafik powiedział, że twarz była bardzo zniszczona i nie jest pewien portretu. Poszłam do prokuratora i poprosiłam o zgodę.

– Który prokurator prowadzi postępowanie?

– Wysocki.

Technik spojrział na nią do góry z szerokim uśmiechem. Z wyszczerzonymi zębami wydał się Hannie bardzo podobny do czaszki, którą cały czas obracał w dłoniach.

– Teraz rozumiem – powiedział. – To kobieciarz. Ładna kobieta załatwi u niego wszystko.

Hanna chciała szybko zmienić temat.

– Możemy już zaczynać? – zapytała.

– Oczywiście.

Włożył czaszkę do skanera i uruchomił program. Laserowe światła przez kilkanaście sekund dokładnie badały każdy zakamarek czaszki, po czym zgasły. Na ekranie komputerowym



zaczęła pojawiać się twarz kobiety. Hanna poczuła mrowienie w okolicach karku. Znowu zaczęła się pocić.

– Jakie włosy? – zapytał Marek.

– Takie jak na tamtym portrecie.

Szybko i sprawnie wybierał odpowiednie opcje na pasku programu.

– Teraz to jest naprawdę bajka. Mamy do wyboru kilka tysięcy opcji fryzur, dziesiątki odcieni włosów, koloru oczu, skóry, ułożenie ust – mówił. – Wiele zależy od wyobraźni operatora programu.

Na głowie kobiety pojawiły się długie czarne włosy zaczesane do tyłu i splecione w gruby warkocz.

– Kolor oczu?

– Brązowe.

– Jesteś pewna?

Szybkie kliknięcia myszką.

– A usta? – zapytał. – Mamy do wyboru kilkaset ułożeń warg. Zazwyczaj korzystamy z dziesięciu najbardziej popularnych.

Wyświetlił na ekranie usta do wyboru.

– Wstaw te. – Wskazała palcem.

Marek wykończył portret, zapisał go na pendrivie i podał go Hannie. Równocześnie stojąca obok drukarka wypłuka kolorowy obraz twarzy pięknej kobiety w wieku około trzydziestu lat.

Hanna Duciak zdjęła kartkę z drukarki i wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana.

– Piękna kobieta – powtórzył technik.

– Tak – wyszeptała z trudem.

– Dziękuję! – wykrzyknęła w połowie drogi do wyjścia.

– Nie ma sprawy – powiedział za nią technik. – Może chociaż jakaś wspólna kawa w rewanżu? – dodał ciszej, kiedy zamknęły się za nią drzwi. – Nie? To trudno...

Hanna szła szybko korytarzem do wyjścia z budynku. Na parkingu znalazła swój motor, pudełko z czaszką i teczkę z dokumentami włożyła do bagażnika za siedzeniem, odpaliła i wolno wyjechała na ulicę.

Nawet nie zauważyła, kiedy dojechała do ulicy Grabiszyńskiej. Ocknęła się dopiero na światłach na skrzyżowaniu z Hallera. Pod przyłbicą kasku czuła, jak po policzkach płyną jej łzy. Wolno ruszyła na zielonym, karnie ustawiona w sznurze samochodów ciągnących w kierunku Oporowa. Podświadomie jechała tam, gdzie bardzo lubiła odpoczywać, gdzie można było wystawić twarz do słońca i obserwować cudownie zieloną o tej porze roku panoramę południowo-zachodniego Wrocławia.

Minęła cmentarz Grabiszyński, skręciła w lewo, przejechała tory tramwajowe i zatrzymała się na parkingu u stóp wzgórza, na którym mieścił się Cmentarz Żołnierzy Polskich poległych w czasie drugiej wojny światowej. Zsiadła z motoru i z pudełkiem w jednej ręce oraz kaskiem w drugiej zaczęła wspinać się po szerokich na kilkanaście metrów kamiennych schodach.

Cmentarz powstał na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Wzgórze zostało usypane w gruzu pozostałego jeszcze z czasów Festung Breslau, kiedy kilkumiesięczne działania wojenne zmieniły siedemdziesiąt pięć procent miasta w kupę potrzaskanych cegieł i gruzu. Na płaskim szczycie wzgórza umieszczone były sześćset trzy kwatery żołnierzy odnajdywanych w zbiorowych mogiłach na terenie zachodniej Polski – często bezimiennych. Nad cmentarzem górowały dwa kamienne monolity o wysokości ponad dwudziestu metrów każdy, mające symbolizować husarskie skrzydła. Cmentarne wzgórze znajdowało się przy parku Grabiszyńskim, nad rzeką Ślężą – przy dobrej pogodzie spacerowało tu sporo ludzi.

Teraz na szczycie nie było nikogo. Hanna przeszła pomiędzy prostokątnymi nagrobkami, usiadła na trawie i zapatrzyła się w dół na płynącą wolno rzekę. Łzy zdążyły już wyschnąć na jej policzkach, ale ciągle czuła ucisk w gardle, jakby płacz ciągle jeszcze tam był i nie chciał odejść tak łatwo. Ale wiedziała, że nie będzie już płakać.

Wyciągnęła z kieszeni cienkiego mentolowego papierosa i zapaliła. Potem jeszcze jednego i następnego. Dopiero kiedy poczuła mdłości, sięgnęła po papierową teczkę i wyciągnęła portret kobiety wykonany za pomocą policyjnego skanera. Patrzyły na nią mądre, zamyślane oczy, na ustach ciemnowłosej błędził ledwie dostrzegalny uśmiezek. Jak u Mony Lizy Da Vinci – niby jest, ale jakby go nie było. Zdawała sobie sprawę z tego, że oczy i uśmiech na wargach są takie, ponieważ właśnie takie wybrała z setek możliwości programu komputerowego. Teraz to nie miało znaczenia. Taką ją sobie wyobrażała.

Wolno, jakby z wahaniem, wyciągnęła z papierowej teczki czarno-białe, lekko wyblakłe zdjęcie i porównała je z portretem.

Nie miała wątpliwości. To była ta sama osoba.

Hanna Duciak poczuła, jak po policzku spływa jej jeszcze jedna łza. Ostatnia. Tak sobie postanowiła.

\*

Adres się zgadzał. Mimo to Marcin Zakrzewski wahał się przez chwilę, zanim zsiadł z motoru. Inaczej wyobrażał sobie dom Koskowskich – bardziej okazale. Właściwie nie wiedział dlaczego. Może dał się zwieść stereotypom lansowanym w mediach, że biznesmen, który odniósł sukces, musi mieszkać w czymś przypominającym pałac? Tymczasem ten dom niczym nie odróżniał się od innych stojących w tej części osiedla. Akumulatory – tak mówiono o domach jednorodzinnych wybudowanych w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia

według takiego samego projektu. Nazwa doskonale oddawała ich kształt. Dom Koskowskich należał do tego gatunku. Tyle tylko, że znajdował się na większej działce i był odnowiony.

Marcin postawił motor pod bramą i stanął przed furtką. Zanim zadzwonił domofonem, uważnie zlustrował podwórze. Dopiero teraz zauważył, że właściciel musiał jednak dysponować większym budżetem niż sąsiedzi. Obok domu stał duży garaż na dwa samochody, trawniki były starannie przystrzyżone, rabatki z kwiatami zadbane, żywopłot wzdłuż ogrodzenia miał kształt idealnego prostopadłościanu. Wszystkie rośliny ozdobne i kwiaty rosły dokładnie tam, gdzie powinny. Idealna harmonia i porządek.

Zadzwonił dwa razy i czekał. Chmury na niebie zmieniły się w białą mgiełkę i robiło się nieprzyjemnie gorąco. Stojąc tak na słońcu, Marcin poczuł, jak kropla potu ścieka mu po karku. Już chciał ponownie nacisnąć guzik na domofonie, kiedy niespodziewanie rozległ się trzask i zamek w furtce puścił.

Ścieżka wyłożona kolorowymi kostkami brukowymi prowadziła prosto pod drzwi, które uchyliły się, zanim zdążył zrobić trzy kroki. Ostrożnie wszedł do środka i rozejrzał się. Krótki korytarz prowadził do salonu połączonego z otwartą kuchnią. Widać było wyraźnie kobiecą rękę – świadczyły o tym skromy i wysmakowany wystrój wnętrza oraz sterylna czystość. Koskowska najwidoczniej nie pracowała i zajmowała się domem. Samotna kobieta uwięziona w klatce. Może nie złotej, ale klatce.

– Tu jestem! – dobiegł go przytłumiony głos.

Drzwi na taras mieszczący się za domem były szeroko otwarte, firana falowała jeszcze nieznacznie, potrącona parę chwil wcześniej. Zakrzewski przeszedł przez salon i wyjrzał na zadaszony taras. Tu nie dochodziło słońce i nie było jeszcze tak gorąco.

– Pan z policji, tak?

Żona Koskowskiego siedziała na fotelu z pełną szklanką w ręku. Obok na stoliku stała napoczęta butelka Johnny'ego Walkera. Była bosą, ubrana tylko w koszulę nocną, miała potargane włosy. Patrzyła na Marcina zaczerwienionymi oczami. Zaskoczony najpierw skinął głową, potem pokazał odznakę i dopiero na końcu się odezwał:

– Komisarz Marcin Zakrzewski, komenda miejska policji.

– Chce mi pan powiedzieć, że ten skurwysyn, mój mąż, nie żyje, prawda?

Na tarasie zapanowała pełna napięcia cisza.

– Tak.

Obojętny wyraz jej twarzy nie zmienił się, chociaż po policzkach poleciały dwie wielkie łzy. Pociągnęła duży łyk ze szklanki. Zabrzęczały kostki lodu.

– Proszę siadać – powiedziała głucho. – Napije się pan ze mną? Zrobimy sobie małą stypę. A może święto? – Próbowała się zaśmiać, ale jej nie wyszło.

– Jestem na służbie.

– No tak. Gliniarz na służbie. – Znowu zabrzęczały kostki lodu, kiedy przyłożyła szklankę do ust.

– Kto panią zawiadomił o śmierci męża? Zadzwoił ktoś z firmy?

– Nie. Rano dostałam e-mail ze zdjęciami.

Marcinowi wydawało się, że się przesłyszał. Nie wyglądała na tak nietrzeźwą, by mówić od rzeczy.

– Słucham? – zapytał.

– Dostałam e-mail – powtórzyła.

– Mogę go zobaczyć?

– Komputer stoi na kuchennym blacie. – Machnęła ręką ze szklaneczką, aż trochę whisky wylało się na podłogę tarasu. Zakrzewski wrócił do salonu i od razu dostrzegł laptop. Obok, na blacie, zobaczył niedokończoną filiżankę kawy i kanapkę z chrupkiego pieczywa. Ekran był wygaszony. Stuknął w spację

i ekran rozbłysnął, ale w dolnym rogu natychmiast pojawiło się ostrzeżenie, że zostało jeszcze tylko sześć procent baterii. Kabel z zasilaczem leżał na podłodze. Gorączkowo rozejrzał się za gniazdkiem. Nigdzie nie znalazł wolnego, więc wyłączył ekspres do kawy. Dopiero wtedy dokładnie przyjrzał się obrazowi na ekranie.

To było zdjęcie.

W pierwszej chwili zamarł w bezruchu. Spojrzał nieprzytomnie na drzwi prowadzące na taras, na filiżankę z wystygłą kawą i nadgryziony chleb. Nieopatrznie przesunął dłoń po blacie i do palców przylepiły mu się okruchy pomieszane ze stopionym masłem. Machinalnie wytarł dłoń w nogawkę dżinsów. I dopiero wtedy zaczął myśleć.

Zdjęcie przedstawiało Zbigniewa Koskowskiego leżącego na posadzce. W tym samym miejscu, w którym widział go wcześniej Marcin. Tylko że na fotografii jeszcze żył. Miał usta zaklejone taśmą. Rurka do wtryskiwania betonu przebijała ją i musiała być wciśnięta głęboko do gardła.

Zdjęć było więcej. Morderstwo w różnych fazach. Od wciśnięcia rurki, przez wpompowanie biznesmenowi do brzucha wielu litrów płynnego betonu i po jego nieprzytomną i wykrzywioną strasznym bólem twarz. Na koniec dalszy plan i całe ciało Koskowskiego z pękniętym brzuchem.

Marcin obejrzał zdjęcia jeszcze raz, potem jeszcze raz i zatrzymał się na tym ostatnim. Potarł palcami czoło, skupiony na prawym górnym rogu fotografii. Widać tam było wyraźnie parę roboczych butów i szare spodnie. Wystarczyła mu chwila i już wiedział, gdzie widział dzisiaj takie buty.

Wyciągnął telefon i wybrał numer Szawczaka. Parol odebrał po trzech sygnałach.

– Co robisz? – zapytał Zakrzewski.

– Pomagam prokurator w przesłuchaniach pracowników, jak ustaliliśmy.

- Czy jest tam jeszcze Banaszkiewicz?
- Nie, tak jak mu poradziłeś, pojechał do domu
- Pomyliłem się. Weź jeden z wozów patrolowych i jedź po niego. Za godzinę chcę go mieć na przesłuchaniu w firmie.
- Coś się stało?
- Tak, musi mi coś wytłumaczyć.
- Co?

Marcin westchnął zniecierpliwiony.

- To nie jest na telefon. Zrób, co mówię.

Rozłączył się i znowu popatrzył na ekran laptopa. Plik zdjęć z miejsca zbrodni został wysłany z adresu e-mailowego Koskowskiego o godzinie czwartej siedemnaście. Prawdopodobnie morderca użył smartfonu Koskowskiego do zrobienia zdjęć i bezpośrednio z niego wysłał je do żony. Cholera, nawet nie wiedział, jak ona ma na imię. Spojrzał na jej adres e-mail – [Aga Koskowska](#). Agnieszka.

Wyszedł na taras. Kobieta siedziała w tym samym miejscu ze wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeni. Jeśli chciała się upić, to kiepsko jej szło. Marcin ocenił, że poziom alkoholu w butelce i szklance pozostał bez zmian.

- Będziemy musieli zabrać na jakiś czas pani laptop – powiedział.

Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

Zadzwoił do działu informatycznego komendy i nadał sprawę zbadania zawartości poczty Koskowskiej na jej laptopie. Od niedawna w jednoosobowym „dziale informatycznym” pracowała bardzo rozsądna dziewczyna zaraz po studiach. Z komputerami potrafiła zrobić wszystko.

Marcin znowu usiadł na fotelu.

- Przepraszam, pani Agnieszko, ale muszę zadać pani kilka pytań – odezwał się.

Spojrzała mu w oczy. Właściwie nie potrafił powiedzieć, ile ma lat. Może była w jego wieku, a może dużo starsza, tylko

wyjatkowo o siebie dbała? Miała brązowe, smutne oczy.

Znowu machnęła ręką. Kolejne krople alkoholu wylały się na podłogę.

– Kiedy pani ostatni raz widziała męża?

– Wczoraj po południu.

– Jak się zachowywał?

– Jak wariat! – wykrzyknęła. – Nigdy go takiego jeszcze nie widziałam!

– A konkretnie?

– Około czternastej powiedział mi, że dostał ważny telefon z pracy i musi natychmiast zebrać sto tysięcy złotych. – Przerwała, żeby wypić szklaneczkę do dna, naląła sobie drugą, już bez lodu, i kontynuowała. – Chodziło o jakiś kontrakt, zresztą nie interesowałam się. To musiało być bardzo ważne, bo był strasznie zdenerwowany. Przetrzęsął cały dom w poszukiwaniu gotówki, jeździł do bankomatu, wydzwaniał po znajomych, żeby pożyczyć, wreszcie zniknął. Już go nie wiedziałam. Po dwudziestej drugiej próbowałam do niego dzwonić, ale najpierw odrzucił połączenie, a potem musiał wyłączyć aparat, bo odpowiadał mi automat operatora.

– J-jasne. Gdzie pani spędziła noc?

Koskowska spojrzała na niego z autentycznym zdziwieniem.

– Podejrzewa mnie pan?

– Po prostu sprawdzam różne hipotezy.

– Spałam w swoim łóżku.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Nie, jak pan to sobie wyobraża? – oburzyła się.

– No tak – wycofał się Zakrzewski. – Nie zaniepokoiła się pani, że nie wrócił na noc?

Wzruszyła ramionami.

– Często nie wracał – odpowiedziała. – Miał kochankę. Mówił, że jedzie w delegację, ale ja wiedziałam, że idzie do niej. Wynajmował jej mieszkanie. Księgowa mi powiedziała



w tajemnicy. Nie mogła znieść, że wszyscy w firmie wiedzą, a ja jestem tą ostatnią naiwną. Porządna kobieta.

– Czy mąż mógł mieć wrogów?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Wyłącznie wrogów – mruknęła. – To był kawał skurwysyna, panie inspektorze.

– Komisarzu – poprawił ją machinalnie.

– Był największym egoistą na świecie. Nie liczył się z nikim, pomiatał ludźmi, zwalniał z byle powodu, mało płacił. Za to na jego przyjemności zawsze były pieniądze. Liczył się tylko on i jego coraz bardziej rosnące potrzeby. Z roku na rok było gorzej. Nawet nie wiem, kiedy zaczął mnie traktować jako zbędny element w swoim życiu. Nienawidziłam go z całego serca, a jednocześnie... – Głos jej się załamał i po policzku spłynęła łza.

– Kochała go pani – dokończył Marcin.

– Tak. Wciąż go kochałam. Kochałam go takiego, jakim był kiedyś. Radosny, ciepły, dowcipny, wspaniały ojciec, mąż i kochanek. Potem wszystko się zmieniło. Zawsze miał duże potrzeby seksualne, nawet mi się to podobało. Ale seks stał się jego obsesją. Mną się znudził, zresztą szybko się nudził kobietami. To cud, że nie zostawił mnie wiele lat temu.

Zakrzewski pomyślał o nagich zdjęciach z plaży, znalezionych w albumie Kurzaja.

– Co pani ma na myśli, mówiąc „obsesja”? – zapytał.

– Ciągle szukał nowych wrażeń. W ciągu ostatnich lat miał wiele kobiet, coraz młodszych. Ten gnojek sądził, że o niczym nie wiem. Cholerny cham i prostak!

Znowu wypła duży łyk whisky.

– Wie pan, kiedy zobaczyłam dzisiaj te fotografie w poczcie, najpierw się przeraziłam. Potem nawet się ucieszyłam. Mam dopiero pięćdziesiąt cztery lata, może jeszcze uda mi się ułożyć

życie od nowa. Tym bardziej, że odziedziczę po mężu dochodową firmę.

Wierzchem dłoni otarła łzy z policzków. Spojrzała na Marcina, mrużąc zalotnie oczy.

– Pan jest żonaty, inspektorze? Może pan się skusi.

Wyglądała żałośnie. Marcin poczuł się zażenowany. Wstał i popatrzył na nią z góry.

– Może pani chce, żebym zawiadomił kogoś z rodziny? – zapytał.

– Proszę się nie fatygować. Syn już jedzie z Krakowa. Zaraz powinna przyjść moja najlepsza przyjaciółka. Musi tylko zerwać się z pracy. Mam nadzieję, że do tego czasu zdążę się urządzić i nie będę musiała słyszeć jej biadolenia, jaki on, kurwa, był przystojny i seksowny.

Zacisnęła oczy i trwała tak dłuższą chwilę.

– Proszę już iść – wyszeptała wreszcie przez ściśnięte gardło.  
– I nie mam na imię Agnieszka, tylko Agata.

Zakrzewski jej nie usłyszał. Szedł w kierunku wyjścia chodnikiem wyłożonym kolorowymi puzzlami.

# 13 Złudzenie

29 czerwca, poniedziałek, południe

Z domu Koskowskich pojechał do siebie. Podejrzewał, że dzisiaj będzie pracować do późna, więc postanowił na wszelki wypadek wyjść z psem na spacer. Od soboty nie mógł się dodzwonić do Magdy. Nie wiedział, czy się na niego obraziła, czy gdzieś wyjechała. Wolał nie ryzykować, że Tina przesiedzi cały dzień sama w domu.

Zaparkował motor na swoim stałym miejscu, pod drzewem na parkingu naprzeciw bramy przy ulicy Kossak-Szczuckiej jeden. Z tym numerem było coś nie tak. Tak się składało, że na Kossak-Szczuckiej był tylko jeden numer, mimo że stały przy niej trzy bloki mieszkalne. Marcin spotykał już dezorientowanych ludzi, bezskutecznie poszukujących numeru drugiego. Raz nawet ktoś zapytał go o numer trzeci. Podejrzewał, że nieparzyste numery na jego ulicy znajdują się gdzieś w innym wymiarze wszechświata. *Twilight Zone* znajdowała się tuż pod jego domem.

Szedł wolno schodami na drugie piętro. Na razie w głowie miał wielki zamęt. Nie zdążył jeszcze poskładać faktów, czuł jednak wielkie podniecenie. Na takie śledztwo czekał od dawna. Właściwie odkąd zakończyła się sprawa mordercy ze Szczepanowa.

Było jeszcze coś, co nie pozwalało mu się skupić. Uczucie zniecierpliwienia zmieniło się w stałe napięcie nerwowe. Wiedział, że się nie uspokoi, dopóki oficjalnie nie dostanie tej

sprawy. Wiedział, że nie odpuści, nawet jeśli wojewódzka będzie chciała przejąć śledztwo. A na pewno będzie chciała. Po raz pierwszy żałował, że wrócił do komendy miejskiej. Grabski miał rację – sam zesłał się na dobrowolną banicję i odsunął się na boczny tor. Komenda wojewódzka zajmowała się głośnymi zabójstwami, miała swoje archiwum X. Jemu została miejska, szara codzienność z jej przewidywalnymi i prostackimi patologiami. Komu chciał zrobić na złość, wracając do pracy w komendzie miejskiej? Sobie? Paulinie Czerny? Całemu światu?

Wyszedł z Tiną na spacer, a po powrocie nakarmił ją. Suka po powrocie siedząc na swoim posłaniu, patrzyła na niego z wyrzutem, że znowu zostawia ją samą w domu. Ruszyło go sumienie i zawrócił. Podrapał ją za uszami.

– Niedługo wrócę i wtedy pójdziemy na długi spacer – obiecał.

Tina nie wyglądała na pocieszoną jego słowami.

Wyciągnął telefon i wybrał numer Magdy. Natychmiast kobiecy głos poinformował go, że abonent jest czasowo niedostępny. Poszedł piętro wyżej. Zadzwoił do mieszkania Magdy i długo czekał, nasłuchując. Żadnego dźwięku. Musiała być w pracy... Ale zawsze mówiła, że pracuje w domu. Dlatego mogła wychodzić z psem. Złapał za klamkę i pchnął. Zamknięte.

Wzruszył ramionami, zbiegł po schodach i wyszedł na chodnik. Rozejrzał się i nagle zamarł w bezruchu. Wydawało mu się, że znajoma postać znika akurat za rogiem budynku. Bez wahania ruszył w tamtą stronę.

– Magda?!

Wyłożona kostką brukową alejka prowadziła przez środek dużego, kwadratowego podwórza między blokami, wprost do następnej osiedlowej uliczki. Kobieta oddalała się szybkim krokiem.

Marcin dogonił ją, robiąc kilka szybkich kroków.

– Magda?

Odwróciła się gwałtownie i wtedy zrozumiał swoją pomyłkę. Nieznana dziewczyna patrzyła na niego przestraszonym wzrokiem.

– Przepraszam, wziąłem panią za kogoś innego – rzucił wyjaśniająco.

Przez jej twarz przemknęło coś na kształt półuśmiechu, odwróciła się i poszła dalej bez słowa.

Marcin klnąc ruszył w stronę parkingu.

Robiło się coraz bardziej parno i gorąco, jakby w zapowiedzi zbliżającej się burzy.

# 14 Przesłuchanie

29 czerwca, poniedziałek po południu

Piotr Banaszekiewicz siedział w sali przesłuchań, nerwowo zaciskał palce, drapał się po policzkach i niespokojnie zerkał w duże lustro weneckie. Pewnie domyślał się, że jest obserwowany.

Mylił się. Tylko przez pierwsze dwie minuty, kiedy umundurowany policjant posadził go na krześle przy małym biurku na środku niewielkiego pomieszczenia, z ciekawością obserwowały go trzy osoby: prokurator Kowalik, trzymająca w ustach zbrązowiałą lufkę bez papierosa, Szawczak i Zakrzewski. Zaraz jednak odeszli kilka kroków, żeby się naradzić. Potem przez ponad dwadzieścia minut nikt Banaszekiewicza specjalnie nie obserwował, nie licząc policjanta, który go przyprowadził. Funkcjonariusz stał niedbale oparty o ścianę obok lustra i od czasu do czasu w nie zerkał.

Był kwadrans po trzeciej. Sprowadzenie Banaszekiewicza trochę zajęło. Okazało się, że nieoczekiwanie zniknął. Wrócił po pracy do domu, przebrał się i nic nie mówiąc żonie, wyszedł z mieszkania. Szawczak szukał go ponad dwie godziny, dwa razy rozmawiał też z panią Banaszekiewicz i poznał kilka ciekawych faktów. Referował to teraz Zakrzewskiemu i prokurator Kowalik. Kiedy już miał postawić na nogi całą policję w mieście, znalazł Banaszekiewicza. Mężczyzna siedział na ławce za kępą krzaków, pięćdziesiąt metrów od domu. Nie

ukrywał się i nie był zdziwiony, kiedy policjant zaprosił go na przesłuchanie.

– Jeden na jeden, panie komisarzu – powiedziała prokurator i udała się w kierunku palarni, wkładając do lufki pozbawionego filtra papierosa.

Zakrzewski nie spieszył się. Pokręcił się po korytarzu, przejrzał raport patologa z oględzin zwłok Adama Kurzaja, zrobił sobie kolejną kawę w automacie i dopiero potem z gorącym kubkiem w dłoni wszedł do pokoju przesłuchań. Od chwili, kiedy znalazł się tu Banaszkiewicz, minęły dokładnie trzydzieści cztery minuty. Dla oczekującego musiała to być wieczność.

Marcin postawił na stole kubek z kawą, obok położył wydruk jednej z fotografii z e-maila do Agaty Koskowskiej, obrazem do dołu, włączył kamerę skierowaną obiektywem ich stronę i rozsiadł się wygodnie na krześle, zakładając nogę na nogę. Milczał tak długo, aż zauważył, że Banaszkiewicz zaczyna się pocić. Widać było wyraźnie, jak głębokie bruzdy zmarszczek przecinających mu czoło zaczynają lśnić.

– Przesłuchanie świadka w sprawie o zabójstwo Zbigniewa Koskowskiego, Piotra Banaszkiewicza, lat sześćdziesiąt dziewięć, zamieszkałego we Wrocławiu przy ulicy Stacyjnej. Wrocław, 30 czerwca 2015 roku, godzina piętnasta dwadzieścia osiem – powiedział beznamiętnym głosem, po czym zmienił nagle ton na przyjazny.

– Po co panu to było, panie Piotrze? Wiemy wszystko. Szkoda tylko, że nie powiedział nam pan prawdy od razu. Teraz jest pan w bardzo niekomfortowej sytuacji.

– Ja... znaczy się... – zaczął przesłuchiwany i zamilkł.

– Ma pan szczęście, że prokurator Kowalik nie jest do pana negatywnie usposobiona. Zależy jej tylko na poznaniu wszystkich szczegółów z dzisiejszego poranka. – Zakrzewski spojrzał mężczyźnie w oczy. – Przecież tak naprawdę nie pana

poszukujemy – zablefował. – Pan znalazł się tam tylko przez przypadek. Prawda?

Odwrócił zdjęcie i przesunął je pod nos Banaszkiwicza. Ten rzucił tylko okiem, pobladł i odwrócił fotografię, żeby nie wiedzieć zakneblowanego i związanego taśmą Koskowskiego.

– To pana buty i robocze spodnie widać w górnym rogu fotografii, prawda?

– Znaczy się... tak

– Kto zrobił to zdjęcie?

Milczenie.

– Słucham, panie Piotrze.

Marcin zamilkł i czekał, popijając kawę małymi łykami. Banaszkiwicz jakby się zaciął. Wpatrywał się w punkt gdzieś na suficie. Marcin zerknął szybko w lustro.

– Tak między nami, Zbigniew Koskowski to był kawał bydlaka – odezwał się cicho. – Skrzywdził w życiu kilka osób. Pewnie niejeden życzył mu jak najgorzej i na pana miejscu postąpiłby tak samo. Proszę mi opowiedzieć o swojej córce.

Banaszkiwicz spojrział mu w twarz i zastygł na chwilę w bezruchu. Kiedy się odezwał, jego głos się zmienił. Był pewny i stanowczy. Zniknęło też irytujące „znaczy się”.

– To było ponad dziesięć lat temu. Moja córka Katarzyna nie była już najmłodsza, miała trzydzieści jeden lat, ale była bardzo ładna. Pracowała u Koskowskiego jako sekretarka. Miała z nim romans. To trwało kilka miesięcy, dopóki się nią nie znudził. Podobno szybko nudził się kobietami i zaraz szukał nowych. Więc kiedy się znudził moją Kaśką, zwolnił ją z dnia na dzień. Tylko że ona była w nim zakochana. Przeplakała wiele nocy. Wie pan, komisarzu, córka nie była przebojowa. Nie walczyła o swoje, zawsze się poddawała. Wtedy jednak coś w niej pękło.

Banaszkiwicz zamilkł na długą chwilę, wpatrzony w swoje spracowane dłonie leżące nieruchomo na blacie stolika. Marcin go nie popędzał. Już wiedział, że usłyszy całą prawdę.



– Postanowiła, znaczy się... moja Kaśka pierwszy raz w życiu o siebie zawalczyć. Poszła do Koskowskiego i zaszantażowała go. Zagroziła, że powie o ich romansie jego żonie. Koskowski wpadł w szal, pobił ją, a później jeszcze... zgwałcił. – Banasziewicz podniósł wzrok i spojrzał Marcinowi w oczy prawie wyzywająco.

– Czy zgłosiła gwałt? – zapytał Zakrzewski.

– Tak. Sam zawiozłem ją najpierw na obdukcję, później na policję. Tylko że nagle sprawa zaczęła się przeciągać. Policjanci zwlekali z rozpoczęciem śledztwa, zaczęli wątpić w ten gwałt, wzywali moją córkę na kolejne przesłuchania. Na ostatnim dowiedziała się, że pewnie sobie wszystko zmyśliła, żeby się zemścić. Nie wiedzieliśmy, co robić. Kaśka tego nie wytrzymała i próbowała popełnić samobójstwo. Nałykała się tabletek i ledwo ją w szpitalu odratowali. Już nie wróciła do zdrowia, było z nią tylko gorzej. Przebywała w szpitalu na Kraszewskiego na oddziale zamkniętym. Nie było z nią kontaktu, podobno stanowiła zagrożenie dla samej siebie i dla innych pacjentów, dlatego faszerowali ją silnymi środkami uspokajającymi. Rok temu się jej polepszyło, zmniejszyli dawki, zaczęła chodzić na spacer. Podczas jednego z nich poraniła pielęgniarkę, innych pacjentów i poderżnęła sobie gardło. Nie wiadomo, skąd miała nóż. Odratowali ją, ale od tego czasu nie mówi.

Po policzku Banaszewicza potoczyła się wielka łaza.

Marcin odstawił kawę i spojrzał wymownie w stronę lustra. Następnie wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych i pchnął ją po blacie w kierunku Banaszewicza. Ten wyciągnął jedną, wytarł łzy i spojrzał na policjanta czerwonymi oczami.

– Przez tego skurwiela nie mam już jedynej córki – powiedział prawie szeptem.

– Rozumiem, że Zbigniew Koskowski nie poniósł żadnych konsekwencji?

– Później wydałem ostatnie pieniądze na prawnika. Znaczy się... chciałem, żeby odpowiedział za ten gwałt. Po pewnym czasie prawnik zrezygnował. Nieoficjalnie powiedział mi, że nic się nie da zrobić. Koskowski zapłacił komuś wysoko bardzo duże pieniądze, sprawa została umorzona.

– J-jasne. Ale pan nie dał za wygraną, prawda?

– Długo nic nie mogłem zrobić. Wreszcie szczęście się do mnie uśmiechnęło i Koskowski zatrudnił mnie w swojej firmie. Nie wiedział, kim naprawdę jestem. Nie skojarzył nazwiska. Pewnie dawno o Kaście zapomniał.

– Co pan zamierzał zrobić?

Banaszkiewicz wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odpowiedział po pauzie. – Znaczy się... chciałem go zabić. Szukałem sposobności, ale... to nie jest takie proste. Nie mogłem. I tak pracowałem u niego przez lata, a ta moja nienawiść i żal gdzieś się ulotniły. Nie miałem siły nic zrobić.

– Aż do dzisiejszego poranka – wtrącił Marcin.

– Tak. Przyszedłem do pracy wcześniej. Żona w nocy ma bóle i nie może spać, ja też od lat cierpię na bezsenność. Często przychodziłem pierwszy, długo przed świtem, żeby tylko uciec z domu, nie przewracać się na łóżku, nie myśleć i nie słuchać, jak moja żona cierpi.

Tą samą chusteczką przetarł spocone czoło.

– Jak przyjechałem, zobaczyłem samochód Koskowskiego, otwarte biura i światło w hali. Myślałem, że przyjechał wcześniej.

– Czasem przyjeżdżał wcześniej?

– Nigdy. Zrozumiałem, że coś się musiało stać. Nawet nie pomyślałem, że to dla mnie szansa. No wie pan, żeby go... Wszedłem do hali i znalazłem go takiego jak na tym zdjęciu.

– Kto tam jeszcze był oprócz pana? Rozpoznałby go pan?

– Nie – odpowiedział szybko przesłuchiwany. – Był ubrany na czarno, a na twarzy miał kominiarkę. Zaskoczył mnie, zaszedł

od tyłu. Poczułem na plecach lufę pistoletu i mało nie dostałem zawału. Myślałem przez chwilę, że mnie też zabije.

– Miał broń?

– Pistolet.

Marcin sięgnął do kabury na plecach i wyciągnął swojego walthera p99. Pokazał go Banasziewiczowi.

– Taki pistolet?

– Nie, mniejszy.

– Dobrze, co było dalej?

– Kazał mi się odwrócić, długo się we mnie wpatrywał i nagle... zapytał o moją córkę.

Marcin, który właśnie podniósł do ust kubek, omal nie zachłysnął się kawą. Odstawił kubek na blat, popatrzył na Banaszewicza zdziwiony i wyjąkał, jakby wcześniej nie dosłyszał:

– O co zapytał?

– O moją córkę – odpowiedział. – Tak jak pan przed chwilą, tylko nie żebym opowiedział o córce, zapytał: „Jak się czuje twoja córka?”.

Marcin był tak zaskoczony, że mimowolnie spojrzął po raz kolejny na lustro, a później przyjrzał się przesłuchiwanemu. Nie odniósł wrażenia, żeby Banaszewicz kłamał. Raczej był do bólu szczery.

– No dobrze – opanował się. – I co było dalej?

– Powiedział: „Jeśli kochasz córkę, to mi pomóż”. I mu pomogłem.

– To znaczy?

– Pokazałem, jak działa pompa do iniekcji betonu, potem rozrobiłem jedną porcję i patrzyłem, jak on wkłada Koskowskiemu rurkę do gardła i uruchamia pompę.

– Tak po prostu pan patrzył?

– Tak.

Marcin z trudem się opanował.

- Czy morderca coś jeszcze mówił?
- Jak rozrabiałem beton, mówił coś długo do Koskowskiego, ale byłem daleko i nie słyszałem. Potem, gdy już poszedł, Koskowski powiedział mi, że jest winny i żałuje.
- Jak wyglądał morderca, jaki miał głos, co się z nim stało?
- Po prostu wyszedł. Był drobny... nieduży, znaczy się, i...

W tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi do sali przesłuchań i pojawił się w nich wysoki blondyn w jasnym garniturze, który już na pierwszy rzut oka wyglądał na markowy i bardzo drogi. Bez słowa położył przed Marcinem kartkę papieru i powiedział:

– Jacek Pospieszalski z kancelarii prawnej Gross & Gross. To moje pełnomocnictwo, pan Piotr Banaszekiewicz jest klientem naszej kancelarii.

Marcin wstał.

- Nie bardzo rozumiem – odezwał się.
- A mówią, że jest pan bystry, komisarzy. – Prawnik uśmiechnął się złośliwie. – Przesłuchanie właśnie się skończyło, pan Banaszekiewicz odwołuje wszystkie zeznania i odmawia udzielania dalszych wyjaśnień. Czy mogę się dowiedzieć, jakie zarzuty stawia mojemu klientowi prokuratura?

Za prawnikiem do sali przesłuchań weszła prokurator Kowalik.

– Piotr Banaszekiewicz został aresztowany na trzy miesiące z artykułu sto czterdziestego ósmego kodeksu karnego.

– Rozumiem. – Prawnik położył na stoliku swoją teczkę i zajął krzesło, na którym przed chwilą siedział Zakrzewski. – W takim razie muszę porozmawiać ze swoim klientem. I proszę wyłączyć już tę kamerę.

# 15 Sznur

29 czerwca, poniedziałek po południu

Marcin siedział w swoim pokoju z nogami założonymi na biurko i wpatrywał się w fotografię Koskowskiego zrobioną na chwilę przed zabójstwem. Szawczak siedział na krześle dla gości po drugiej stronie i wiercił się niecierpliwie. W końcu nie wytrzymał i zapytał:

– I co o tym wszystkim sądzisz?

Marcin wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem, zastanawiam się.

– Może Banaszek nie mówił prawdy z tym mordercą i pytaniem o córkę? Może to on zabił?

– Według mnie mówił prawdę. Po prostu znalazł się przypadkowo o niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Przeczytałeś książkę Rudnickiego?

Czerwone plamy na policzkach Parola świadczyły o jego wielkim podekscytowaniu.

– Tak. Myślisz, że Rudnicki oparł fabułę na własnych wspomnieniach?

Zanim Marcin zdążył odpowiedzieć, bez pukania wszedł Michał Ruciński. Wyglądał już trochę lepiej niż rano. Tyko mętne oczy zdradzały, że musiał zaglądać do kieliszka przez kilka dni z rzędu. W pomieszczeniu były tylko dwa krzesła, więc Ruciński oparł się o framugę drzwi, potarł policzek i dopiero wtedy zapytał zmęczonym głosem:

– Wiecie, kto wynajął adwokata z Gross & Gross?

Obaj z Parolem spojrzeli na niego pytająco.

– To jedna z najdroższych kancelarii na Dolnym Śląsku. Ich klientami są największe firmy, najbogatsi biznesmeni. Banaszkiewicza nie byłoby stać nawet na godzinę pracy tego dupka Pospieszalskiego.

Ruciński zrobił pauzę. Marcin nie wytrzymał i syknął:

– Gadaj, to nie jest teleturniej.

– Agata Koskowska, żona zamordowanego.

Michał uśmiechnął się pod nosem, widząc ich zaskoczone miny.

– Jesteś pewien? – zapytał Zakrzewski.

– Mam informacje z pewnego źródła. Trzy godziny temu Koskowska dzwoniła do jednego z właścicieli, Kamila Grossa. Rozmawiali kilka minut, zaraz potem Gross kazał sekretarce przygotować bezterminową umowę, bez limitu godzin. Będą bronić Banaszkiewicza na wszystkich etapach postępowania.

Zakrzewski podrapał się po głowie.

– Rozmawiałem z nią przed południem – powiedział. – Siedziała na werandzie swojego domu z butelką i próbowała się upić.

– Widać się nie udało.

– Ale dlaczego chce bronić podejrzanego o zabójstwo swojego męża? – rzucił Parol. – To się nie trzyma kupy.

– Może wie, że jest niewinny?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Zakrzewski odłożył akta na biurko i wstał.

– Parol, twój golf ma klimatyzację? – zapytał.

– Tak.

– W takim razie pojedziemy twoim.

– Dokąd?

– Do domu Koskowskich.

Skrećili w lewo w Robotniczą. Marcin przestał myśleć o śledztwie. Spojrzał w niebo. Na zachodzie wisiała wielka,

granatowa chmura zwiastująca nadchodzącą letnią burzę. Potem skupił się widokach z okna sunącego wolno w popołudniowym korku auta.

Ulicę Robotniczą traktował zawsze jako trudny do zrozumienia fenomen. Po jej obu stronach ciągnęły się odrapane, rozpadające się, długie parterowe budynki magazynowe z czerwonej cegły z rampami przeładunkowymi. Wszystko szare, zaniedbane, brudne i smutne. Do tego dziurawa kostka brukowa, pamiętająca pewnie jeszcze czasy Festung Breslau, poprzecinana starymi torami kolejowymi, na których przy nadmiernej prędkości można było w najlepszym razie stracić koło. Trudno było uwierzyć, ale zaledwie kilometr dalej biło turystyczne i kulturalne serce miasta. Drugi co do wielkości – po krakowskim – rynek w Polsce, pięknie odnowiony ratusz i przylegające do niego budynki Sukiennic, ekskluzywne restauracje, kafejki, lodziarnie, zawsze otwarte kolorowe kwaciarnie na placu Solnym, tłumy mieszkańców Wrocławia i turystów z różnych stron świata.

Marcin nie potrafił zrozumieć, dlaczego przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, odkąd w Polsce nastąpiła zmiana ustroju, nikt nie wpadł na pomysł, jak Robotniczą zagospodarować i godnie wprowadzić w nowe milenium.

Dojechali do ulicy Strzegomskiej i tutaj utknęli na dobre. Kolejna dziura w planach inwestycyjnych miasta. Wąska ulica prowadziła do osiedla Nowy Dwór – jednej z największych sypialni Wrocławia – i dalej do lotniska na Strachowicach. Urzędnicy z magistratu od kilkunastu lat obiecywali jej przebudowę, poszerzenie, nową linię tramwajową. I ciągle na obietnicach się kończyło. Pieniądze zostały pochłonięte przez bardziej spektakularne inwestycje – miliard na Stadion Miejski na Euro 2012, na którym teraz odbywają się mecze Śląska Wrocław przy frekwencji porównywalnej do tej z czasów starego stadionu na Oporowskiej, setki milionów na Narodowe

Forum Muzyki – luksus, który będzie pewnie niedostępny dla przeciętnego mieszkańca z powodu astronomicznych cen biletów na koncerty, kolejne dziesiątki milionów na coraz to nowe imprezy promujące Wrocław czy przygotowania do Europejskiej Stolicy Kultury.

Z zamyślenia wyrwał Marcina Parol. Dojechali już na Kuźniki i zaparkowali przed bramą wjazdową na posesję Koskowskich. Marcin wysiadł i w twarz uderzyło go ciężkie od gorąca powietrze. Popatrzył tęsknie na niebo, lecz czarna burzowa chmura wydawała się stać w miejscu. Pewnie nici z deszczu i chwilowej ulgi od upału.

Marcin nacisnął przycisk dzwonka, Parol stanął obok.

Czekali dłuższą chwilę.

– Pewnie już zdążyła się upić – mruknął Marcin, naciskając dzwonek ponownie.

Nagle drzwi do domu uchyliły się, wyszedł młody mężczyzna ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami i jasne płócienne spodnie. Miał czarne włosy i śniadą cerę.

W milczeniu popatrzył na odznaki przez siatkę ogrodzenia, obrzucając ich niechętnym spojrzeniem.

– Artur Koskowski, jestem jego synem – rzucił.

Słowo „jego” wypowiedział w taki sposób, jakby mówił o osobie zupełnie mu obcej.

– Czego chcecie? Policja była już u nas dwa razy.

– Dzisiaj rano rozmawiałem z pana matką – wyjaśnił Marcin.

– Teraz zaszły pewne nowe okoliczności i chciałbym jeszcze raz z nią pomówić.

– Niestety matka się spiła i teraz śpi. – Patrzył na nich czarnymi jak smoła oczami niemal wrogo.

Był idealnie podobny. Skóra zdarta z ojca.

– W takim razie chcielibyśmy porozmawiać z panem. – Zakrzewski nie dawał za wygraną. – Możemy wejść?

Młody Koskowski ani drgnął.



– Wolałbym nie – odpowiedział. – Nie chcę niepokoić mamy.  
Dość dzisiaj przeszła.

– Rozumiem. Tylko jedno pytanie.

– Niewiele wiem. Dwie godziny temu przyjechałem z Krakowa.

– Nalegam.

Wzruszył ramionami.

– W takim razie proszę.

Marcin spojrział w bok na Szawczaka, potem szybko rozejrzał się wokoło. Kilka osób kręciło się po ulicy. Wszyscy zerkali z ciekawością na scenę pod domem Koskowskich. Pewnie sąsiedzi wiedzieli już, co zaszło. Marcin poczuł irytację, ale szybko się opanował.

– Czy to pana matka wynajęła adwokata podejrzanemu w sprawie zabójstwa pana ojca, Piotrowi Banaszkiewiczowi? – zapytał.

– Z tego co wiem, tak.

– Nie wydaje się to panu dziwne?

Koskowski znowu wzruszył ramionami.

– Tak pan uważa? – Po jego ustach przemknął kpiący uśmiešek.

Parol najwidoczniej też czuł irytację, ponieważ odezwał się nagle ostrym głosem. Marcin nie słyszał u niego jeszcze takiego tonu.

– Proszę sobie wyobrazić, że fundowanie dobrego obrońcy osobie podejrzaney o zabójstwo małżonka nie mieści się w ogólnie przyjętych normach społecznych. Może raczej rzucać cień podejrzenia.

– Będziemy musieli wezwać pana matkę na przesłuchanie – dodał Marcin.

Koskowski zawahał się.

– Powiem tyle, co wiem, ale dajcie jej na razie spokój, dobrze? Jest w fatalnym stanie.

Stracił trochę pewności siebie. Kiedy znów się odezwał, jego głos był zmęczony i złamany. Maską opadła, Artur też był wstrząśnięty śmiercią ojca.

– Do matki zadzwoniła żona Banaszkiwicza, gdy tylko policja zabrała go ze skwerku przed domem. Mówiła, że jest niewinny, że zrobił to ktoś inny, błagała o pomoc. Matka jej uwierzyła i wynajęła adwokata. Ot, cała historia.

Parol spojrział na Marcina, a Marcin na Parolę.

– Pan teraz z nas żartuje, prawda? – zapytał Zakrzewski.

Koskowski patrzył na niego niepewnie.

– No... nie. Matka wiedziała o romansie ojca z córką Banaszkiwiczów i o tym, co stało się później. Zawsze miała wyrzuty sumienia. Dlatego teraz pomaga. Chce spłacić dług.

– Wierzy, że Zbigniew Koskowski zgwałcił i pobił córkę Banaszkiwiczów?

– Nie odpowiem na to pytanie.

– A pan?

Marcin mierzył się chwilę wzrokiem z Arturem Koskowskim, po czym ten drugi nagle uciekł wzrokiem.

– Nic więcej nie powiem bez adwokata – powiedział cicho.

Odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Po chwili zamknęły się za nim drzwi do domu.

Policjanci wsiedli do golfa. Przez te kilka minut auto zdążyło się nagrzać.

– Co dalej? – zapytał Parol.

– Jedziemy na Graniczną – odpowiedział Marcin.

– Gdzie?

– Co ty, nieprzytomny jesteś? Na miejsce morderstwa Kurzaja.

– Po co? – Szawczak nie krył zdziwienia.

– Coś mi przyszło do głowy.

Silnik zawarczał, Parol wrzucił jedynekę i samochód wolno potoczył się po asfalcie, nabierając prędkości.

Przed przejazdem kolejowym na Żernickiej Parol nagle wrzucił kierunkowskaz, gwałtownie zjechał na parking przy rządach garaży po lewej stronie i wyłączył silnik.

Zakrzewski spojrzał na niego zdziwiony. Szawczak jak zwykle miał na policzkach te irytujące czerwone plamy, lecz poza tym w jego twarzy i spojrzeniu dostrzegł coś na kształt złości i determinacji. Odczekał kilka sekund. Parol się nie odezwał, więc zapytał:

– Co jest?

– Myślałem, że pracujemy razem – rzucił Szawczak przez zaciśnięte zęby.

– Na razie tak. Potem nie wiem, kto będzie pracował nad tą sprawą.

– Nawet jeśli nasza współpraca będzie trwała chwilę, myślałem, że będziemy partnerami.

– I co? – zniecierpliwził się Marcin.

– Partnerstwo polega na wymienianiu się informacjami, poglądami i pomysłami. Jeśli zamierzasz milczeć i wykorzystywać mnie jako kierowcę, powiedz od razu. Taki układ mnie nie interesuje. Mam lepsze zajęcia niż wożenie cię po mieście. Albo ze sobą rozmawiamy, albo pójdę do szefa z prośbą o inny przydział.

Marcin patrzył na niego przez moment. Zastanowił się. W sumie Parol miał sporo racji. Nie przyszło mu do głowy, żeby poinformować go o swoich pomysłach i podejrzeniach. Nie zrobił tego złościwie. Po prostu taki miał styl pracy. Był samotnikiem i nigdy nawet nie pomyślał, że powinien to zmienić. Do pracy w policji kryminalnej wdrażał go komisarz Stefan Sroka, policjant z doświadczeniem z czasów, kiedy krajem rządziła inna władza, a policja był milicją. Sroka był małomówny, zamknięty w sobie i odzywał się tylko wtedy, kiedy było to niezbędne. Chyba że pili razem wódkę. Ale nawet wtedy musiał dobrze sobie wlać, zanim wpadł w stan, w którym

usta mu się nie zamykały. Pracowali razem wiele lat, zanim Sroka odszedł na emeryturę, i taki styl działania Zakrzewski po nim przejął. Zawsze prowadził śledztwo sam.

Westchnął i pokazał na migi Parolowi, żeby włączył silnik auta. Po chwili nawiewy samochodu zaszumiały chłodniejszym powietrzem. Do smrodu płynu dezynfekującego klimatyzację można było się przyzwyczaić.

– Przeczytałem raport patologa z sekcji zwłok – zaczął, nie patrząc na Parola. – Na szyi był wyraźny odcisk sznura. Powinienem zwrócić na to uwagę już wcześniej, ale dużo się ostatnio działo i nie było czasu na refleksję. Raport z oględzin miejsca zbrodni, sporządzony przez techników, sugeruje, że Kurzaj został przyklejony do drzewa brązową taśmą pakową. Jej ślady są wszędzie na ubraniu i na korze drzewa, chociaż sama taśma zniknęła. Rozumiesz już moje wątpliwości?

– To się nie trzyma kupy.

– Dokładnie. Po co sznur na szyi, skoro była taśma? Poza tym technicy nie napisali, do czego sznur mógł być przymocowany. Ja to widzę tak. Ciężko przykleić kogoś taśmą do drzewa. Szczególnie jeśli ma to zrobić jedna osoba. Nawet gdy ofiara jest nieprzytomna. Nawet chyba trudniej, jeśli ciało jest bezwładne.

Parol skinął głową.

– Uważasz, że to ważne?

– Wszystko, co wydaje się dziwne, może być ważne dla śledztwa. Nie bardzo rozumiem, jaka była kolejność zdarzeń. Czy morderca najpierw unieruchomił Kurzaję taśmą, potem założył mu sznur na szyję, a potem wbił gwóźdź w oko? Taśma, sznur, gwóźdź, a może gwóźdź, sznur, taśma albo gwóźdź, taśma, sznur? I po co?

– Co proponujesz?

– Na początku chciałem kupić kilka rolek takiej taśmy i spróbować przykleić cię do drzewa.

Parol uśmiechnął się, ale zaraz uśmiech zniknął mu z twarzy. Zrozumiał, że Marcin nie żartuje.

– Ale już nie chcesz – domyślił się.

– Za dużo zamieszania. Skupmy się na sznurze.

– Rozumiem.

– To na co czekasz? Jedź!

Kilka minut później zaparkowali na ścieżce dla rowerów przy mostku nad Ługowianką. Poszli wałem i stanęli w miejscu śmierci Adama Kurzaja. Tylko wydeptana trawa świadczyła o tym, że niedawno wydarzyło się tu coś niespotykanego. No i jeszcze ślad po pięciocalowym gwoździu. Ale taki szczegół mógł dostrzec tylko ktoś, kto widział wiszące tu ciało.

Rozejrzeli się. Parol pierwszy zobaczył wytarty ślad po linie na grubej gałęzi ponad ich głowami, na wysokości około dwóch i pół metra. Szybko znaleźli też podobne obtarcia na pniu drzewa rosnącego obok.

– Morderca włożył Kurzajowi pętlę na szyję, przerzucił przez gałąź i przywiązał drugi koniec liny do sąsiedniego drzewa. Ofiara stała na palcach, bała się poruszyć, żeby ze skrępowanymi na plecach rękami przypadkowo się nie powiesić, i dlatego dała się przykleić taśmą do pnia.

Potem lina była już niepotrzebna, a resztę załatwiły gwoździe i młotek.

Zakrzewski pokiwał głową w zamyśleniu.

– J-jasne – wycedził przez zęby.

Teoria Szawczaka była jedyną rozsądną.

– Tylko po co takie zamieszanie? – zapytał.

Parol wzruszył ramionami i splunął przez zęby.

– Co teraz?

– Zadzwonię do techników, może znajdą jakieś ślady tej liny.

– Padał deszcz.

– Do nas też kiedyś musi uśmiechnąć się szczęście.

Wrócili do auta. Marcin niechętnie wsiadł do rozgrzanego wnętrza. Czuł, jak koszulka nieprzyjemnie lepi mu się do pleców. Klnąc na upał, zapiął pasy.

# 16 Paulina Czerny

1 lipca, środa rano

Paulina Czerny jak zwykle obudziła się na długo przed budzikiem. Właściwie obudził ją niepokój. To nawet nie był koszmar. Na szczęście czas leczy rany i koszmary z jej snów zniknęły, został tylko niepokój. Nieokreślony lęk zmieniający się czasem w narastające poczucie śmiertelnego zagrożenia.

Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. Szósta dwanaście. Na pewno już nie zaśnie. Zresztą senność się gdzieś rozplynęła i nie miała zamiaru wracać.

Teraz i tak było lepiej. Kilka miesięcy po tym, jak została postrzelona przez seryjnego mordercę ze swojej własnej broni, koszmary pojawiały się codziennie, a wraz z nimi strach przed nocą. Strach, który zmieniał się w bezsenność. Błędne koło. Długo walczyła o to, żeby zacząć normalnie funkcjonować. Teraz lęki były oswojone i niegroźne.

Odwróciła się na drugi bok i jej ręka trafiła w pustkę. To był odruch. Zawsze kiedy budził ją niepokój, obejmowała leżącego przy niej Marcina Zakrzewskiego. Emanujące od jego ciała ciepło i poczucie bezpieczeństwa działały na nią kojąco. Marcina od wielu miesięcy nie było, ale odruch pozostał.

Cholerny, twardogłowy Zakrzewski! – pomyślała ze złością.

Kiedy wróciła ze szpitala do domu, zamieszkali razem. Dla niej było to kilka pięknych tygodni. Wydawało się jej, że nagle znaleźli jakąś cudowną równowagę. Zniknął gdzieś konflikt charakterów, który tlił się między nimi od czasu szkoły średniej.

Ale idylla nie trwała długo. Marcin zaczął zachowywać się irracjonalnie. Do końca nie rozumiała, o co mu chodziło i dlaczego zaczął niszczyć wszystko wkoło siebie. W pracy nie podobało mu się, że przeciąga się śledztwo wewnętrzne, niecierpliwił się, że jest zawieszony i kierownictwo policji nic nie robi, żeby go z tego wyciągnąć. Chciał złożyć rezygnację, skończyło się na tym, że wrócił do komendy miejskiej.

Paulina nie potrafiła go zrozumieć. Zachowywał się jak dziecko, które na złość rodzicom postanowiło odmrozić sobie uszy. Potem pomyślała, że Marcin też musi w jakiś sposób odreagować traumę. Nie spodziewał się, że postrzelenie Pauliny i zdarzenia w starym domu w Szczepanowie tak mocno go poranią. Zaczął się rozpaczliwie miotać, nie mogąc sobie z tym poradzić, i pogubił się w życiu. Wtedy dała mu drugą szansę.

Wytrzymali ze sobą kilka miesięcy.

Rozstali się znów z jego winy. Trudno się było z nim dogadać, przestała go zupełnie rozumieć, a on nawet nie próbował zrozumieć jej. W każdej wolnej chwili poszukiwał ciała brata, a te poszukiwania zmieniły się w obsesję. Przeglądał akta ze śledztwa w sprawie mordercy ze Szczepanowa i sprawdzał każdy, nawet najdrobniejszy wątek. Kiedy prokuratura zakończyła postępowanie, Marcin długo nie mógł się z tym pogodzić. Stał się zupełnie nie do wytrzymania.

Teraz, z perspektywy prawie dwóch lat, Paulina uważała ich związek za katastrofę.

Mimo to nadal o nim myślała. Brakowało jej go, kiedy budziła się rano i kiedy kładła się spać, gdy jadła śniadanie przy kuchennym blacie, przypominała sobie, jak siedział po drugiej stronie i pił kawę z kubka z karykaturą funkcjonariusza ZOMO i napisem: „Zadzwońcie po milicję”.

Cholerny Zakrzewski!

Usiadła na łóżku, sięgnęła do ekspresu do kawy i włączyła go, zanim jeszcze na dobre otworzyła oczy. Zalety posiadania łóżka



w kuchni. Można było sięgnąć do kawiarki i do lodówki, prawie nie wstając. Marcin zawsze śmiał się z niej, że sypia w kuchni.

– Dość – mruknęła do siebie. – Zapomnij o tym palancie, kobieto.

Powlekła się do łazienki i wzięła krótki prysznic. Potem stała przed lustrem i szczotkując zęby, oglądała się krytycznie w wielkim łazienkowym lustrze. Zmarszczki pod oczami, skóra na szyi już nie taka jak kiedyś, nowe fałdki tłuszczu na bokach, biodra pewnie znowu trochę szersze. Westchnęła i przepłukała usta.

Uczesała się, trochę dłuższą grzywkę spadającą na oczy ułożyła starannie na boku i zawinięta w szlafrok usiadła w kuchni, pijąc kawę. Wspomnienie o Zakrzewskim gdzieś się rozplynęło. Jak co rano zaczęła myśleć o pracy. Od prawie dwóch tygodni w sprawie morderstwa znanego pisarza nie posunęli się ani o krok do przodu. Paulina miała wrażenie, że z każdym dniem coraz bardziej grzęzną w gównie. Sprawdzili kilkanaście tropów i na razie żaden nie okazał się przełomowy. Nie mieli ani motywu, ani podejrzanego, ani narzędzia zbrodni.

Ona sama coraz bardziej skłaniała się w kierunku motywu na tle seksualnym.

Prześwietlili dokładnie życie zamordowanego Mirosława Rudnickiego i zupełnie nieoczekiwanie odkryli, że miał skłonności homoseksualne. Było to o tyle dziwne, że w przeszłości miał trzy żony i nic nie wskazywało na to, że może być gejem. Z pierwszą rozwiódł się przed wielu laty. Przyczyną były liczne zdrady – on zdradzał ją, z kobietami. Druga żona pojawiła się zaraz po pierwszej. I kolejny skok w bok, poważny na tyle, że doprowadził do rozwodu oraz trzeciego małżeństwa, które przetrwało ponad dziesięć lat. Z żadnego związku nie doczekał się potomstwa.

O skłonnościach homoseksualnych pisarza ze szczegółami opowiedziała jego trzecia żona. Właśnie z tego powodu

Rudnicki rozwiódł się po raz ostatni, wiele lat temu. Po prostu któregoś dnia powiedział żonie, że dłużej nie chce jej oszukiwać, kocha ją, lecz seks z kobietą pociąga go coraz mniej, nie chce dłużej udawać i tak dalej. Wtedy był już znanym pisarzem, więc kupił sobie milczenie ostatniej żony, przelewając jej sporą sumę. Milczała przez wiele lat aż do czasu, kiedy do drzwi jej domu zapukali Paulina Czerny i Andrzej Szmidt. Uznała, że skoro Rudnicki nie żyje, tajemnica przestała ją obowiązywać.

Na potwierdzenie jej słów w komputerze pisarza znaleźli dużo gejowskiej pornografii, a w poczcie korespondencję z nowymi znajomymi z portali gejowskich. Nic jednak nie wskazywało na to, że miał stałego partnera. I tu hipoteza Pauliny się załamywała.

Telefon zadzwonił, kiedy wsiadała do swojej kilkuletniej toyoty RAV4.

– Już na chodzie? – rzuciła do słuchawki zamiast powitania. – Myślałam, że prokuratorzy nie wstają o tak wczesnej porze.

Było kilka minut przed ósmą.

– Ja też cię serdecznie witam o poranku. – Głos Marka Grabskiego miał być miły, ale zabrzmiał wyjątkowo chropowato.

– Znowu stoisz w korku w Psarach? – domyśliła się. – Sam chciałeś mieszkać na wsi.

– O dziesiątej mamy naradę z szefami komendy wojewódzkiej – powiedział bez wstępów, ignorując jej zaczepkę.

Skrzywiła się, oparła o maskę samochodu, wyciągnęła z paczki mentolowego papierosa typu slim i zapaliła.

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytał.

– A co mam mówić? Czuję, że gromadzą się nade mną czarne chmury za Rudnickiego.

– Dziwisz się? Media ciągle jeszcze nie zapomniały. Facet już za życia był na topie. Teraz jego książki biją rekordy sprzedaży.

Wiesz, że zbliżają się wybory i pewnie wygra opcja zmiany i rozliczenia się z dotychczasową władzą. Naczelnik policji zaczyna się niepokoić o stołek. nierozwiązana sprawa głośnego zabójstwa pisarza, znanego ze swoich prawicowych poglądów i obracającego się w tych kręgach, nie będzie jego atutem po zmianie władzy.

Paulina zaciągnęła się dymem. Polityczne pomyje rozlewają się czasem bardzo szerokim strumieniem. Człowiek może sobie wmawiać, że nic go nie obchodzi polityka, trzymać się z dala od układów, ale to na nic. Od czasu do czasu musi nieprzyjemnie wdepnąć.

– Pewnych rzeczy nie da się przyspieszyć – powiedziała.

– Ty to wiesz, ja to wiem, naczelnik to wie. Ale można zwiększyć środki.

– Zaczyna się robić ciekawie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu usłyszałam, że firma nie ma wolnych mocy.

– Priorytety się zmieniają. Wzmacniamy ekipę.

Paulina paliła w milczeniu. Domyślała się, do czego zmierza Grabski. Był tylko jeden śledczy, który mógłby być wzmocnieniem.

– Rozmawiałem z naczelnikiem wydziału kryminalnego. Postanowiliśmy zmienić taktykę. Wzorem FBI chcielibyśmy powołać do życia niezależną, mniejszą ekipę śledczych. Dwie, trzy osoby. Taka strategia w Stanach sprawdziła się w wielu trudnych śledztwach. Obie ekipy nie dzielą się informacjami, żeby się nie sugerować, z założenia ta mniejsza ma sprawdzać każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną czy wręcz głupią teorię.

Paulina rzuciła niedopałek i zgmiotła go obcasem.

– Nie musisz mi mydlić oczu FBI i ich metodami – powiedziała. – Powiedz wprost, że Marcin Zakrzewski wchodzi do gry.

– Taak – potwierdził przeciągle prokurator. – Właśnie jego miałem na myśli.

– Do cholery, Marek, z nim nie da się normalnie pracować! Nie znam większego indywidualisty.

– Przy tamtej sprawie poszło wam całkiem nieźle. Powiedziałbym nawet, że byliście cholernie skuteczni.

– Wtedy były inne okoliczności, zresztą wiesz, jak to się skończyło.

– Dlatego Marcin będzie pracował niezależnie.

Paulina zapatrzyła się za okno. Pomimo rosnącej z każdą minutą temperatury poczuła nieprzyjemny, zimny dreszcz na karku.

– Nie podoba mi się taka rywalizacja – powiedziała.

– Nie możemy mówić o rywalizacji. Dwa niezależne zespoły...

– Wiem, jak to się skończy – przerwała mu.

– Nie masz wyjścia.

Milczała.

– Poza tym jest coś jeszcze. – Grabski zawiesił na moment głos. – Zabójstwo Rudnickiego jest prawdopodobnie jednym z kilku. Chyba mamy serię.

# 17 Powiązanie

1 lipca, środa przed południem

Czarno-biała fotografia zajmowała cały ekran. Czterech uśmiechniętych mężczyzn i piękna kobieta w środku, na tle budynku kojarzącego się z ośrodkiem wypoczynkowym z czasów peerelowskich.

Paulina Czerny próbowała się rozejrzeć po twarzach osób siedzących przy stole konferencyjnym, ale zgaszone światło i zaciągnięte żaluzje skutecznie ukryły w półmroku wszelkie przejawy emocji. Mogła obserwować tylko dłonie na stole oświetlonym blado światłem rzutnika. Prokurator Marek Grabski uderzał się nerwowo długopisem po nadgarstku lewej ręki. Naczelnik wydziału kryminalnego, inspektor Godlecki bębnił niecierpliwie palcami po swoim notatniku z logo komendy wojewódzkiej policji, a złożone dłonie komisarza Andrzeja Szmidta drgały niespokojnie. Przeniosła wzrok obok ekranu, gdzie widać było wysoką postać Marcina Zakrzewskiego. Wydawało jej się, że jego pewny głos jest przytłumiony.

Po całym stole rozrzucone były wydruki zeskanowanych zdjęć, na których ta sama piątka ludzi w różnych konfiguracjach kąpała się w morzu i bawiła na plaży. Przy Zakrzewskim leżała książka, której w półmroku nie mogła rozpoznać. Znała go trochę. Pewnie przygotował coś na deser, co jeszcze bardziej wstrząśnie uczestnikami narady. Chociaż nie

mogła sobie wyobrazić, co jeszcze musiałyby się stać, żeby napięcie wrosło.

Zakrzewski wskazywał osoby na fotografii srebrnym wskaźnikiem, w którym obijało się światło rzutnika. Mówił spokojnie i rzeczowo, jakby prowadził wykład dla studentów. Omówił po kolei dwa morderstwa z ostatnich dni.

– Sobotni wieczór w parku przy ulicy Granicznej. Adam Kurzaj – przystojny blondyn ze starej fotografii – został przybity do pnia drzewa kilkucalowym gwoździem. Wcześniej Kurzaj dostał intrygujący list, który skłonił go do umówienia się z mordercą na wieczorne spotkanie w mało uczęszczanym miejscu. List już państwo czytali.

Druga ofiara. Kolejna osoba ze zdjęcia – Zbigniew Koskowski. Zamordowany w brutalny sposób na terenie swojej firmy. Na miejscu zbrodni sprawca nie zostawił żadnych śladów organicznych, które pozwoliłyby na jego identyfikację. W obu przypadkach zachowywał się w bardzo nietypowy sposób. Prawdopodobnie już po zabiciu Adama Kurzaja wyciągnął mu z kieszeni klucze i poszedł do jego mieszkania. Niestety, sąsiedzi niczego nie słyszeli. W mieszkaniu również nie znaleźliśmy prawie żadnych śladów.

– Prawie? – przerwał mu Godlecki.

– To wymaga głębszego wyjaśnienia. Zaraz do tego wrócę. Po opuszczeniu mieszkania Kurzaja morderca wrócił na miejsce zbrodni i podrzucił dokładnie wyczyszczone klucze.

– Po co wracał? – zapytała Paulina.

– Nie wiemy. Chyba nic nie zginęło. Ale jeszcze bardziej zagadkowo zachował się w przypadku Koskowskiego.

Marcin opowiedział pokrótce o prawdopodobnym szantażu, reklamówce z pieniędzmi, nieoczekiwanym świadku i pomocniku w morderstwie, zdjęciach konającego Koskowskiego wysłanych do żony oraz do redakcji stacji telewizyjnej.

Przy stole panowała pełna napięcia cisza.

– Po pierwszych przesłuchaniach jesteśmy pewni, że Banaszekiewicz zjawił się tam zupełnie przypadkowo – ciągnął Zakrzewski. – Najciekawsze jest jednak to, że morderca go znał. Koskowski był kobieciarzem i przed kilkoma laty skrzywdził córkę Banaszekiewicza. Nie poniósł za to żadnych konsekwencji. Morderca o tym wiedział i dlatego Banaszekiewicz mu pomógł. Poza tym nie ustaliliśmy, skąd znał kod do alarmu w zakładzie. Komórka ofiary po wysłaniu e-maila ze zdjęciami zniknęła z sieci. Pewnie morderca gdzieś ją wyrzucił.

– To ma być jakaś gra, do jasnej cholery? – Godlecki nie wytrzymał.

– Prawdopodobnie tak.

Paulina Czerny patrzyła na ciemną sylwetkę Zakrzewskiego. Takie sprawy zawsze same go znajdowały. W życiu nie widziała większego szczęściarza. A może to było jego przekleństwem?

Zakrzewski zmienił obraz na rzutniku. Teraz widzieli komputerową rekonstrukcję twarzy kobiety z długimi czarnymi włosami. Była uderzająco podobna do kobiety z czarno-białej fotografii.

– Kilka dni temu na poddaszu kamienicy przy ulicy Siemieńskiego robotnicy budowlani odkryli zmumifikowane zwłoki kobiety. Jeszcze nie potrafimy jej zidentyfikować. Zmarła około trzydziestu lat temu. Obrażenia ujawnione podczas sekcji zwłok świadczą, że mogła zostać zamordowana, jak sugeruje list podrzucony Kurzajowi. Mogła też zginąć w wyniku obrażeń poniesionych w wypadku. Być może w wypadku samochodowym. Po śmierci jej zwłoki zostały poddane procesowi mumifikacji, dokładnie takiemu, jak zwłoki Lenina.

– Czyli ktoś musiał się na tym znać – raczej stwierdził, niż zapytał Grabski.

– I w tamtych czasach mieć takie możliwości – dodał Marcin.  
– Oględziny zwłok kobiety wskazują, że przez te wszystkie lata

była ofiarą nekrofilii.

Paulina poczuła mrowienie na karku.

– Chcesz powiedzieć, że ...

– Tak – przerwał jej Zakrzewski. – Pomijając nieprzyjemne szczegóły, o których możecie przeczytać w raporcie z zakładu medycyny sądowej, ktoś przez wiele lat odbywał ze zwłokami regularne stosunki seksualne.

– Jasna cholera! – wyrwało się Szmidtowi.

– Rekonstrukcja jej wyglądu na podstawie czaszki, wykonana komputerowo, wykazuje uderzające podobieństwo do kobiety ze zdjęcia.

– Nie za mocno puszczasz wodze wyobraźni? – Paulina postanowiła niczego mu nie ułatwiać.

Pokręcił głową.

– Rozmawiałem z mieszkańcami kamienicy przy Siemieńskiego, którzy są pewni, że od kilku tygodni widywali tam Mirosława Rudnickiego. W lokalu, gdzie została znaleziona kobieta, zebraliśmy odciski palców należące do Rudnickiego.

Paulina zacisnęła szczęki, starając się ukryć złość. Mimowolnie popatrzyła w kierunku Szmidta.

– Cholera jasna! – powtórzył Andrzej. – Nie dotarliśmy do takiej informacji. To nam przewraca całe śledztwo do góry nogami. Skupiliśmy się na hipotezie zemsty lub zabójstwa na tle seksualnym. Powiązanie śmierci Rudnickiego z pozostałymi dwoma zabójstwami bardzo dużo zmienia.

Paulina otwierała już usta, żeby coś dodać, ale uprzedził ją Marcin.

– Niczego bym jeszcze nie przesądzał. Zemsta jako motyw wydaje się bardzo dobrym punktem wyjściowym. Zanim Koskowski umarł, powiedział Banaszkiewiczowi, że jest winny i żałuje. Nie zdążył dodać nic więcej. Istnieją jednak inne fakty, przy których motyw zemsty staje się co najmniej wątpliwy.

Na ekranie rzutnika znowu pojawiło się zdjęcie całej piątki.



– To zdjęcie wydaje się mieć kluczowe znaczenie. Kobieta nie żyje od wielu lat, trzech mężczyzn zostało zamordowanych w ostatnim czasie. Nie wiemy, kim jest ten czwarty. Od rana wszyscy wolni śledczy z komendy miejskiej starają się dotrzeć do dawnych i obecnych znajomych Kurzaja i Koskowskiego. Musimy ustalić, kto jeszcze jest na tym zdjęciu. To może być nasz sprawca albo kolejna ofiara.

Moment ciszy wykorzystała Paulina.

– Możemy już zapalić światło?

Przez chwilę mrużyli oczy przywykłe do półmroku. Paulina próbowała przeczytać tytuł książki leżącej przy Zakrzewskim. Niestety, widziała tylko nazwisko Rudnickiego i sugestywnie krwawiące serce na okładce.

– Mówiłeś o dowodach na miejscu zbrodni – przypomniał szef wydziału kryminalnego.

– Wkraczamy teraz na bardzo delikatny grunt – zaczął Zakrzewski i Paulina wyraźnie dostrzegła dziwne spojrzenie, jakim obrzucił Grabskiego. – Tak jak mówiłem przed chwilą, morderca nie pozostawił śladów. Banaszek zeznał, że ubrany był w gumowe rękawiczki, czarny kombinezon i czarną kominiarkę. Rękawy i nogawki kombinezonu były przewiązane taśmą. Prawdopodobnie pod kominiarką miał jeszcze siateczkę na włosach. Bardzo profesjonalne zabezpieczenie, używane czasem przez przestępców napadających na banki, kantory i konwoje z pieniędzmi.

– Ale coś macie?

– Bardzo kontrowersyjne znalezisko – wycedził wolno Marcin. – W mieszkaniu Kurzaja i w zakładzie Koskowskiego zabezpieczyliśmy niedopałki papierosów. Dokładnie po jednym w każdym miejscu.

Szef wydziału najwyraźniej się ożywił.

– No, czyli coś mamy.

– Niekoniecznie. – Zakrzewski pokręcił głową. – Technicy określili markę papierosów jako mentolowe LM. Ale niedopałki nie są, że tak powiem, świeże.

– Jak to?

– Mają co najmniej dwa tygodnie. Wyraźnie zostały przez kogoś podrzucone.

– Ale znaleźliście na nich jakieś ślady?

– No tak. Ślady śliny są wyraźne, na ich podstawie technicy w laboratorium określili kod DNA. Oczywiście było mało czasu, więc to wstępne dane. Jak wiecie, w przypadku ustalania kodu DNA pierwsze wyniki mają prawdopodobieństwo trafienia około dziewięćdziesięciu procent. Najdłużej trwa podciąganie wyniku do stu procent, czyli do uzyskania pełnej zgodności. Porównaliśmy próbkę z naszą bazą danych i mamy jedno trafienie.

– Świetnie! – Godlecki był wyraźnie poruszony.

Po minie Marcina Paulina widziała, że chyba jednak nie ma się z czego cieszyć.

– Tylko że trafienie uzyskaliśmy w tej drugiej bazie.

Oprócz głównej bazy danych policja tworzyła jeszcze drugą bazę danych z odciskami palców, grupą krwi oraz z kodami DNA. Baza zawierała dane wszystkich policjantów, techników kryminalistycznych i prokuratorów, którzy mają dostęp do miejsca zbrodni i swoimi działaniami mogli takie miejsce zanieczyścić. Chodziło o to, żeby szybko takie zanieczyszczenia wyeliminować i nie opóźniać śledztwa.

– To policjant? – zapytała ostrożnie Paulina.

– Prokurator. Nazywa się Marek Grabski.

Nagle w pomieszczeniu zapanowała taka cisza, że nie było słyhać nawet oddechów. Prokurator Grabski wybałuszył na Marcina oczy.

– Chcesz powiedzieć, że na miejscu zbrodni odkryliście ślady mojej śliny?! – wykrzyknął w końcu.

Podinspektor Godlecki wydusił tylko jedno słowo. Niecenzuralne.

– Nie wiem, jak te ślady tam trafiły. Może ty mi to wytłumaczysz. Przecież nie palisz.

Wszyscy mimowolnie drgnęli, kiedy Paulina Czerny wybuchnęła śmiechem.

– No przyznaj się, Marku! Przecież nie masz już innego wyjścia!

Prokurator Grabski otworzył usta i zaraz potem je zamknął. Najwyraźniej jeszcze się wahał.

# 18 Martwe oczy

1 lipca, środa przed południem

Zbrodniarze od czasów wczesnego średniowiecza stawiali w miejscu zbrodni krzyże pokutne. Na Dolnym Śląsku zachowało się wiele takich symboli.

W Glinicy – miejscowości oddalonej o trzydzieści sześć kilometrów od Wrocławia, niedaleko Jordanowa Śląskiego – taki krzyż z ukruszonym jednym ramieniem stał na placu przed kościołem, nieopodal budynków mieszkalnych. Właściwie to nie był plac, tylko skrzyżowanie asfaltowej drogi lokalnej z ulicami wyłożonymi kostką brukową pamiętającą czasy sprzed drugiej wojny światowej. Na środku znajdowała się trójkątna wysepka i to na niej właśnie stał zaparkowany policyjny radiowóz. W otwartych drzwiach, oparty o maskę, stał policjant w letnim mundurze i palił papierosa. Miał koło pięćdziesięciu lat, sporą nadwagę i dobroduszny wyraz twarzy. Grube krople potu na jego łysej czaszce wyglądały, jakby za moment miały ruszyć kilkoma strumieniami w dół, w kierunku twarzy. Energiczne wachlowanie się czapką nie pomagało.

Afrykańskie upały nadciągnęły nad Europę i zbliżały się do zachodniej Polski. W Hiszpanii od kilku dni notowano ponad czterdzieści stopni Celsjusza, w Wielkiej Brytanii słupki termometrów poszybowały do poziomów nieoglądanych od kilkudziesięciu lat, rząd Francji ogłosił stan zagrożenia upałem i zmobilizował służby ratunkowe. Nad całym Dolnym Śląskiem rozciągało się bladobłękitne niebo bez najmniejszej chmurki,

a temperatura cały czas rosła. Prognozy pogody w programach informacyjnych na wszystkich kanałach telewizyjnych wieszczły, że taka sytuacja potrwa jeszcze wiele dni. Oczywiście roześmiani od ucha do ucha prezenterzy pogody zapewniali wszystkich telewidzów, że to wymarzona pogoda dla osób, które spędzają urlop nad morzem lub jeziorem. Biorąc pod uwagę, że statystycznie w tym czasie na wyjazdach urlopowych w kraju znajdowało się tylko dziesięć procent społeczeństwa, swoimi uwagami denerwowali pozostałe dziewięćdziesiąt procent.

Na widok radiowozu stojącego na wysepce aspirant Szawczak zwolnił i gorączkowo rozejrzał się za jakimś zacienionym miejscem. Niestety, w najbliższej okolicy nie dostrzegł nawet fragmentu ocienionego miejsca. Niechętnie zaparkował swojego golfa obok radiowozu i opuścił klimatyzowane wnętrze. W twarz uderzył go żar bijący od nagrzanego asfaltu. Co prawda klimatyzacja w aucie nadal niemiłosiernie śmierdziała po dezynfekcji, ale lepsze to niż ubranie nieprzyjemnie lepiące się do ciała.

Policjant z komendy w Jordanowie Śląskim zatrzymał wzrok na kaburze z pistoletem pod pachą Szawczaka i zaraz przywitał go serdecznie, mocno ściskając dłoń. Miał spoconą i pulchną rękę. Parol miał wrażenie, że ściska gąbkę umazaną użytym olejem silnikowym. Dyskretnie wytarł dłoń o udo. I znowu, jak podczas rozmowy telefonicznej dwie godziny temu, nie zapamiętał nazwiska policjanta. Brzmiało jakoś obco i z niczym mu się nie kojarzyło.

– Więc chce pan rozmawiać ze Stanisławem Jaroszem. – Głos policjanta brzmiał młodo i energicznie. – Chodźmy do niego.

Zostawili auta na wysepce i ruszyli w prawo brukowaną ulicą. Wioska wyglądała na wymarłą. Nawet psy pilnujące domów, które wolno mijali, nie miały ochoty obszczekiwać

obcych i drzemały ukryte w cieniu. Starszy policjant zapalił papierosa.

– Stasiek jest o coś podejrzany? – zapytał.

Parol pokręcił głową.

– Może być świadkiem w pewnej sprawie. Zna go pan dobrze?

Policjant zaciągnął się głęboko papierosem.

– Tu się urodziłem, tutaj wychowałem, tutaj mieszkam i pracuję. Znam wszystkich.

– Może mi pan coś o nim opowiedzieć?

– On jest nietutejszy. Kupił dom po dalekiej krewnej i sprowadził się do Glinicy jakieś dwadzieścia lat temu z Wrocławia. Nie wiem, jaką przeszłość tam zostawił. Nigdy o tym nie mówił, jakby tamten okres życia w mieście nie istniał. Pod tym względem jest bardzo skryty, zresztą nikt go specjalnie nie wypytywał. Każdy od czegoś ucieka albo coś goni. Ale odkąd tutaj mieszka, nie można o nim powiedzieć złego słowa. Uczynny, pracowity, uśmiechnięty. Bardzo wierzący. Wie pan, kościół jest stary i trzeba dużo rzeczy naprawiać. Stasiek jest złota rączka, wszystko potrafi. Ile on dobrego zrobił w kościele zupełnie za darmo. Proboszcz nie może się go nachwalić. A to naprawił ogrodzenie, to załatał dach, to posprzątał. Wszędzie nasz Stasiek. No i został w końcu kościelnym.

– Rozumiem. Alkohol?

Policjant zatrzymał się i rozgniół niedopałek butem na bruku.

– Nie odmawia, ale w knajpie nie przesiaduje. Nigdy go nie wiedziałem pijanego.

– Kobiety?

– Nie słyszałem. Mieszka sam, nikt go nie odwiedza, jakby nie miał rodziny. Na początku pytałem go o krewnych, ale tylko się smutno uśmiechał i mówił, że nie ułożyło mu się w życiu.

Odniosłem wrażenie, że stracił wielką miłość i się z tego nie otrząsnął. Ale to tylko podejrzenia starego gliniarza.

Zaśmiał się chrapliwie i wskazał mały, żółty domek otoczony drzewami owocowymi za plecami Szawczaka.

– Jesteśmy na miejscu.

Minęli skrzypiącą, zardzewiałą furtkę i po kilku krokach stanęli przed drzwiami. Z desek łuszczyła się brązowa farba. Bluszcz porastający daszek nad wejściem dawał przyjemny cień.

Policjant nacisnął przycisk przy drzwiach. Z wnętrza domu rozległ się staroświecki dzwonek o takim natężeniu, że mógłby obudzić zmarłego. Ale kiedy umilkł, w domu zapanowała absolutna cisza. Za drugim i trzecim razem również nie było odzewu.

– Mówił pan, że Jarosz powinien być w domu – odezwał się Parol.

– Stasiek jest na rencie. O tej porze nie wychodzi. Szczególnie w taki upał.

Ruszyli ścieżką na tyły. Żwir chrzęścił im pod stopami, w ciszy upalnego południa ten odgłos brzmiał nienaturalnie głośno.

Obeszli dom dookoła, zaglądając do okien. W środku nie dostrzegli najmniejszego ruchu.

– Wszystkie okna są zamknięte – powiedział Szawczak, kiedy stanęli znowu na progu.

Policjant coś sobie nagle przypomniał, bo spojrzał na niego uważnie.

– Pies. Owczarek niemiecki. Nigdzie go nie ma.

Parol poczuł nagle dreszcz niepokoju na plecach.

– Czy ktoś z sąsiadów ma klucze? – zapytał.

Miejscowy policjant miał powiedzieć coś uspokajającego, lecz na widok jego miny zmienił zdanie.

– Sąsiadka z domu obok sprzęta u Staśka. Pójdę do niej.

Podeszwy zachręściły na żwirze, furka zaskrzypiała rozpaczliwie i zapadła cisza.

Aspirant Gotard Szawczak zaczął się pocić jeszcze bardziej obficie. Przeklinał swój brak doświadczenia. Wahał się. Może nie powinien sam próbować dostać się do tego domu, tylko zadzwonić po wsparcie? Może nawet po grupę antyterrorystów? Dom co prawda wyglądał na opuszczony, ale kto wie, co kryje się pod tą ciszą? Jeśli Jarosz jest niezrównoważonym psychicznie zabójcą, może czaić się tuż za drzwiami z siekierą lub równie efektywnym, dostępnym szczególnie na wsi, narzędziem zbrodni. Parol z trudem otrząsnął się z wizji okrwawionych ostrzy kos, sierpów i tasaków.

– Spokojnie. Tylko spokojnie – wyszeptał do siebie i odetchnął parę razy głęboko.

Rozejrzał się. Policjant nie wracał. Musiał więc sam podjąć właściwą decyzję. Po krótkim namyśle i przeanalizowaniu sytuacji zrezygnował ze wsparcia. Sam wejdzie do środka. Niewiele wskazuje, że ktoś tam jest, szczególnie ktoś żywy. Znowu poczuł dreszcz na plecach.

Trzasnęła furka, starszy policjant stanął krok przed Parolem i bez słowa pokazał mu klucz, do którego przymocowany był breloczek z Matką Boską i napisem „Częstochowa”. Parol wyciągnął broń, odbezpieczył i skinął policjantowi głową. Ten na widok broni zamarł na chwilę, jakby teraz dopiero uświadomił sobie powagę sytuacji. Potem wzruszył ramionami, włożył klucz do zamka i przekręcił. Drzwi uchyliły się bezszelestnie. Z wnętrza buchnął im w twarz zapach długo niewietrzonego domu i czegoś jeszcze, czego Parol nie rozpoznał. Chociaż przeczuwał, że powinien poznać ten zapach.

– Niech pan tu zostanie – szepnął do policjanta. – W razie problemów proszę zadzwonić po wsparcie. Wchodzę.



Pchnął barkiem drzwi i wszedł do wnętrza domu z waltherem p99 wycelowanym przed siebie. Idealna pozycja, jak na zajęciach w szkole. Poczul się głupio.

Krótki korytarz prowadził do kuchni, w bok odchodziły drzwi do pokoju, po prawej stronie strome drewniane schody wiodły na poddasze. Było przeraźliwie duszno i gorąco. W jednej chwili poczuł, jak jego skóra pokrywa się dodatkową warstwą potu. Znowu miał nieprzyjemne dreszcze.

Pusta kuchnia. Wzrok szybko omiótł pomieszczenie. Zlew przy oknie wychodzącym na tyły domu pełny brudnych naczyń, na stole brudny talerz, szklanka z niedopitą czarna kawą, wyschnięta, nadgryziona kromka chleba. Nad wszystkim rój much, który wyczuwając zagrożenie ze strony człowieka, wzbił się w powietrze i niespokojnie krążył pod sufitem.

Szawczak wycofał się i wszedł do pokoju, który wyglądał na salon. Gorąco, zaduch, idealny porządek. Wielki pluszowy miś wodził za nim czarnymi oczami, kiedy szedł w kierunku zamkniętych drzwi po przeciwległej stronie pokoju.

Zanim jeszcze nacisnął klamkę, do jego uszu dobiegł jednostajny dźwięk. Dopiero po chwili zrozumiał, z czym mu się kojarzył. Bzyczenie owadów. Odetchnął głęboko, wytarł mokre dłonie w spodnie, mocniej ujął broń i pchnął drzwi. Otworzyły się, skrzypiąc. Rój czarnych, wielkich much wzbił się w górę ze stołu oświetlonego promieniami słońca, wpadającymi ukośnie przez małe okno przesłonięte poźólkłą firaną. Na ceracie ozdobionej kwiatowym motywem widać było wyraźnie czarne plamy. I znowu ten zapach, który Parol powinien bardzo dobrze znać. Jeszcze bardziej intensywny i ostry.

Takie same plamy zobaczył na deskach podłogowych. Wyglądały, jakby coś ciągnięto po podłodze w kierunku mniejszych drzwi po prawej stronie. Czarne plamy urywały się na progu. Drzwi były wąskie, nie miały więcej niż półtora metra wysokości. Z wyciągniętym przed siebie pistoletem Parol ruszył

w ich stronę, nie zważając na chmarę owadów, latającą wokoło jego głowy.

Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się cicho. We wnętrzu spiżarki panowała nieprzenikniona ciemność. Gdzieś tu powinien być włącznik światła. Obmacał palcami ścianę przy drzwiach. Jest! Żółte, słabe światło padło na ściany pomieszczenia.

Z haka wbitego w środek sufitu zwisało coś, czego Parol na pierwszy rzut oka nie rozpoznał. Musiał się dokładniej przyjrzeć, zanim zrozumiał. Najpierw wzdrygnął się na widok rozprutego brzucha i zwisających swobodnie poczerńiałych jelit. Potem spojrzał w martwe oczy skierowane dokładnie w jego stronę.

# 19 Gra

1 lipca, środa, południe

Wentylator rzutnika szumiał jednostajnie. Panująca w pomieszczeniu cisza sprawiała, że ten dźwięk zaczął się Zakrzewskiemu kojarzyć z hukiem wodospadu. Wszystkie oczy skierowane były na prokuratora Grabskiego. Paulina Czerny już przestała się śmiać i zerkała na Marcina spod oka. Udał, że tego nie dostrzega. Wolał jej źle nie zrozumieć.

Wreszcie po długich sekundach odezwał się Grabski.

– No dobrze. Muszę się przyznać... – zawiesił na chwilę głos.

Twarz naczelnika wydziału kryminalnego inspektora Godleckiego wydłużała się coraz bardziej. Marcin już się domyślił.

– Jak dotąd ukrywałem się przed całym światem. Nie wiem, dlaczego. Chyba ze wstydu. Niewiele osób o tym wie. Paulina jest jedną z nielicznych. Nie wie nawet moja żona.

– Bez jaj... – jęknął Szmidt, który też już zrozumiał.

– W ukryciu popalam papierosy.

– W życiu bym cię nie podejrzewał! – wykrzyknął Marcin. – Przecież jesteś wzorem zdrowego trybu życia. Biegasz maratony! Cholera, jak to możliwe?

– Okazuje się, że jedno drugiemu nie przeszkadza. – Grabski rozłożył ręce w przepaszającym geście.

Paulina Czerny pokręciła głową.

– No to mamy problem – powiedziała. – Marku, ktoś musiał zbierać niedopałki wypalonych przez ciebie papierosów. To

dość groteskowe, ale chyba bardzo niepokojące.

Grabski przetarł twarz dłonią. Po słowach Pauliny zbladł.

Przy stole nagle zrobiło się zamieszanie. Grabski telefonował do żony, żeby wyszła szybciej z pracy i pojechała do swojej matki, która opiekowała się dziećmi podczas wakacji. Godlecki już wysłał tam policyjny patrol dla ochrony.

– Palę tylko w pracy – powiedział Marek Grabski, kiedy pierwsze polecenia zostały wydane. – Rzadko na mieście. Mam jedno stałe miejsce. To podwórze przy tylnym wejściu do budynku prokuratury. Nikt tam nie chodzi palić, tylko ja.

– Tam musi być monitoring – wtrąciła Paulina. – Sprawdzimy nagrania.

– Czy przychodzi ci do głowy ktoś, kto chciałby się na tobie zemścić? – zapytał Godlecki.

– Żartujesz sobie? – zachnął się Grabski. – Jestem prokuratorem. Głównie zajmuję się wsadzaniem złych chłopców do pierdła.

– Musimy sprawdzić, kto ze skazanych przez prokuratora Grabskiego ostatnio wyszedł z więzienia. – Paulina spojrzała na Andrzeja Szmidta.

– A czemu miałoby to służyć? – mruknął Szmidt. – Przecież Marek ani przez moment nie mógł się znajdować na liście podejrzanych.

– Do cholery, to ma być jakaś gra? – Godlecki zabębnił nerwowo palcami po stole.

– Myślę, że tak. – Zakrzewski odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. – Lokatorka kamienicy przy ulicy Siemieńskiego zapytała mnie, czy policjanci nie czytają kryminałów. Na tyle zaintrygowała mnie tym pytaniem, że postanowiłem zacząć czytać kryminały. Pomijając pełen nonsensów i nierealny obraz pracy policji, śledczych i prokuratorów, lektura dała mi dużo do myślenia.

– O czym ty mówisz? – Paulina nie wytrzymała.

Marcin pokazał im książkę, którą przyniósł na naradę.

– To ostatni kryminał Mirosława Rudnickiego, *Anatomia miłości* – mówił, ignorując pytanie Pauliny. – Podobno napisał ją w cztery miesiące, od kwietnia do lipca zeszłego roku. Wydana została w październiku. Zgodnie z opinią krytyków i czytelników to najlepszy tytuł Rudnickiego. Bestseller. Mnie również bardzo zainteresowała intryga opisana w książce, tyle tylko, że nie jako fana kryminałów, a jako śledczego z wydziału zabójstw.

Pchnął egzemplarz książki, który zakręcił się na środku stołu i znieruchomiał pośród rozrzuconych zdjęć.

– Streszczę wam pokrótce fabułę. Na początku lat osiemdziesiątych żyje sobie grupka przyjaciół. Czterech młodych mężczyzn i kilka lat starsza od nich kobieta. Łączy ich przyjaźń i coś więcej. Są kochankami. Uprawiają grupowy seks. Czterech z jedną kobietą. Jednak coś w ich grupie zaczyna się psuć. Wiadomo, pięć różnych osobowości nie wytrzyma długo w tak ryzykownym i perwersyjnym związku. Dochodzi do konfliktów, rękoczynów, aż wreszcie kobieta ginie w wypadku samochodowym. Wydaje się, że to koniec historii. Jednak jeden z mężczyzn wykazuje symptomy choroby psychicznej. Wydaje mu się, że nie jest w stanie bez niej żyć. Jego uczucie sięga poza grób. Nocą idzie na cmentarz i wykrada martwe ciało kobiety. Jest z wykształcenia lekarzem, więc odpowiednio preparuje zwłoki, żeby zapobiec ich rozkładowi. Później przez wiele lat żyje z trupem pod jednym dachem, rozmawia z nim, śpi w jednym łóżku, odbywa regularne stosunki płciowe. Tak mija trzydzieści lat. Pewnego dnia dostaje list. Anonimowy autor pisze, że kobieta wcale nie zginęła w wypadku samochodowym, tylko została zamordowana. A sprawcą morderstwa jest ktoś z jej kochanków. Podejmuje więc prywatne śledztwo.

Zakrzewski zamilkł. Wszyscy wpatrywali się w książkę i zdjęcia. Analogia była tak oczywista, że aż nachalna.

Paulina zagryzła wargi.

– To nam wywraca do góry nogami całe śledztwo – powiedziała cicho.

– Sugerujesz, że ktoś inspirował się książką? – zapytał Grabski.

Marcin pokiwał głową.

– Powiem więcej. Wszystkie fakty wskazują, że w swojej ostatniej powieści Rudnicki opisał prawdziwą historię. Od romansu czterech kolegów i starszej kobiety, przez jej śmierć, aż do ciągnącego się całe dziesięciolecie procederu nekrofilii. Powiem więcej, uważam, że to on ukradł zwłoki kobiety i z nią mieszkał. Opis aktu nekrofilii w książce jest tak sugestywny, że nie mogła tego wymyślić przypadkowa osoba. On po prostu opisywał swoje własne przeżycia. Do pewnego momentu oczywiście. Potem coś się wymknęło spod kontroli.

– To znaczy? – Godlecki spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem.

Paulina Czerny odpowiedziała za Marcina.

– Ktoś z zaburzoną osobowością mordercy zainspirował się książką.

– Przez Rudnickiego znalazł trzech pozostałych mężczyzn, do jednego wysłał nawet list. Bardzo podobny do tego w książce Rudnickiego. Później w wymyślny sposób zaczął mordować – dopowiedział Marcin.

– Czyli możemy mieć do czynienia z kimś w rodzaju psychofana Rudnickiego – stwierdził prokurator.

– Jeśli jest to szalony wielbiciel kryminałów, to zbijając wszystkich, wyszedł chyba poza ramy powieści – zauważył Godlecki.

– Niekoniecznie. – Marcin pokręcił głową. – W finale powieści Rudnickiego bohaterowie po kolei się zabijają, więc rzeczywistość zbytnio nie różni się od fikcji literackiej. Uważam jednak, że podrzucając na miejsce zbrodni ślady obciążające

prokuratora Grabskiego, morderca dał policji pewien sygnał. Mam obawy, że w ten sposób sygnalizuje nam, że mu się podobało i ma zamiar pociągnąć tę historię dalej.

– To są tylko twoje przypuszczenia – przerwała mu Paulina.

– Tak. Teoria o szalonym wielbicielu twórczości Rudnickiego mnie osobiście się nie podoba. Rozumiem, że jest w tej chwili najbardziej prawdopodobna, ale do mnie nie przemawia. Skierowanie podejrzeń na znanego prokuratora brzmi jak groźba. Dlatego uważam, że morderca zaczął z nami jakąś grę.

Naczelnik wydziału kryminalnego nerwowo podrapał się po karku.

– Cholera, jeśli prasa coś zwęszy, nie dadzą nam spokoju – jęknął i zaraz jego głos stwardniał. – Musimy zwiększyć środki. W tej chwili sprawa zyskuje nadzwyczajny priorytet. Włączamy wszystkich dostępnych śledczych.

– Niewielu zostało – zauważyła Paulina. – Są wakacje.

– Ściągnę ludzi z urlopów.

– Tylko zrób to po cichu – odezwał się Grabski. – Zbyt wielkie zamieszanie zwróci na nas uwagę. Jest sezon ogórkowy. Dobre tematy pilnie poszukiwane.

– To oczywiste. Grupą śledczą kieruje nadal komisarz Paulina Czerny. – Godlecki jakby się na chwilę zawahał, popatrzył najpierw na prokuratora, potem na Zakrzewskiego i wreszcie podjął: – Prokurator Grabski sugerował, żeby oprócz głównego zespołu powołać małą grupę śledczą działającą równolegle. Przekonywał mnie, że w przypadku trudnych śledztw mała grupa jest bardziej kreatywna i szybciej będzie w stanie przeprogramować działanie na inne tory. Jeszcze kwadrans temu byłem przeciwny temu pomysłowi. Jednak teraz uważam, że trzeba spróbować. Komisarz Zakrzewski stanie na czele takiej grupy i będzie podlegał bezpośrednio prokuratorowi Grabskiemu. Marcin, dobierz sobie ludzi.

– Mam już dwóch. To mi wystarczy – powiedział szybko Marcin.

Widział, jak Paulina Czerny krzywi się niezadowolona, lecz udał, że tego nie dostrzega.

– Na szesnastą zwołuję ogólną naradę śledczych – dodał Godlecki. – Paulino, proszę zebrać jak największy zespół ludzi. Zaczynamy natychmiast. Osoby, które wrócą z urlopów, będą dołączać do grupy w miarę możliwości. Komisarz Zakrzewski przedstawi na naradzie dotychczasowe ustalenia.

Marcin pokręcił głową.

– Nie będzie mnie na tej naradzie – powiedział i dostrzegł, że Godlecki uniósł w górę brwi, dodał więc: – Moja grupa ma pracować niezależnie. Nie możemy się wzajemnie sugerować.

– No tak, to oczywiste.

Na korytarzu usłyszał za sobą głos Pauliny.

Zatrzymał się i odwrócił wolno. Zbliżyła się do niego z dziwnym wyrazem twarzy. Zawsze miała sto różnych min na każdą okazję. Kilku udało mu się nauczyć.

– Więc będziemy ze sobą rywalizować? – zapytała. – O to ci chodziło?

Stała bardzo blisko. Mimowolnie wciągnął zapach jej perfum. Estée Lauder, wciąż te same.

– Nie mam zamiaru z tobą rywalizować. – Pokręcił głową. – Pracujemy równolegle.

Spojrzała mu w oczy. Wytrzymał jej spojrzenie. Po chwili coś w jej postawie złagodniało.

– Nie będziemy się kontaktować? – rzuciła.

– Myślę, że w kluczowych kwestiach będziemy się wymieniać opiniami. Wolałbym jednak, żeby to się odbywało w jak najwęższym gronie.

Teraz na jej twarzy pojawił się klasyczny, trochę krzywy uśmiech. Odruchowo poprawiła niesforny kosmyk włosów spadający jej na oczy.



– Czy ja cię dobrze zrozumiałam?

– Może.

Znowu spojrzała mu głęboko w oczy.

– Marcin, nie chcę znowu grzebać w bombie. Myślałam, że to ustaliliśmy.

Podniósł ręce w obronnym geście.

– J-jasne. Chciałbym ci obiecać, że nasze zawodowe kontakty nie skończą się znowu awanturą. Przynajmniej z mojej strony.

– Słyszałam już parę razy takie obietnice.

– Na dowód mojej dobrej woli chciałbym coś podpowiedzieć w sprawie pisarza. Chodzi o narzędzie zbrodni.

Zmarszczyła brwi.

– Tak? – zapytała ostrożnie.

– Sprawdźcie czekan. Taki, jakich alpiniści używają do wysokogórskich wspinaczek.

– Jasna cholera, skąd ty?...

Nie zdążyła dokończyć.

Telefon Marcina zagrał klasyk Led Zeppelin. Nerwowy riff gitary odbił się szerokim echem po korytarzu.

## 20 Skrzynia

1 lipca, środa, południe

Przez głowę aspiranta Szawczaka przeleciało w jednej sekundzie sto myśli. Nie zapamiętał żadnej. Może jedną. Pytanie, co robić dalej.

Cholerny brak doświadczenia. Przecież od razu powinien rozpoznać ten zapach. Słodki, trochę mdlący odór krwi, która odparowała w upale i teraz w postaci duszącego zapachu wisiała w powietrzu.

I jeszcze jedna myśl przeleciała jak wichur przez synapsy mózgowe. Czy po drodze nie zatarł istotnych śladów? To był jego koszmar jeszcze z czasów szkoły policyjnej. Nie wolno przez bezmyślność zanieczyścić miejsca zbrodni.

Zaraz się uspokoił. Niczego nie zatarł, niczego nie dotykał.

– To jego pies.

Drgnął przestraszony na dźwięk głosu za plecami. Odwrócił się i spojrzał nieprzytomnie na starszego policjanta.

– Co?

– To pies Staśka. Kto mógł go tak zaszlachtować?

Parol odetchnął głęboko. Tylko spokojnie. Szkoła nie zastąpi praktyki. Takie sytuacje naprawdę uczą, jak zostać dobrym gliną. I nabrać doświadczenia. I jeszcze widok zwłok przybitych gwoździem do drzewa. I człowiek z dwudziestoma litrami betonu w pękniętym brzuchu.

Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego widok wypatroszonego owczarka niemieckiego zawieszony na haku w spiżarni

zrobił na nim największe wrażenie. Ktoś musiał zabić psa w sąsiednim pokoju, potem na stole rozpruć mu brzuch, przeciągnąć po podłodze tutaj i powiesić. Tylko... po co?

– Muszę znaleźć Jarosza – powiedział.

Jego głos zabrzmiał chrapliwie przez wyschnięte gardło i usta. Policjant też zrozumiał, że sprawa jest o wiele poważniejsza, niż mu się na początku wydawało. Ot, młody gorliwy gliniarz przyjeżdża do wsi, żeby osobiście porozmawiać z potencjalnym świadkiem i wykazać się przed przełożonymi.

Opędzając się przed rojem tłustych i natrętnych much, wyszli przed dom. Z nieba nadal lał się żar, lecz powiew gorącego powietrza wydał im się na spoczonej skórze prawie zimny. Policjant drżącymi rękami wyciągnął paczkę papierosów i podsunął Parolowi. Ten machinalnie pokręcił głową.

– Ostatni raz widziałem Staśka w niedzielę po sumie o trzynastej – powiedział starszy funkcjonariusz, zaciągając się łąpczywie dymem. – W kościele.

– Musimy wypytać sąsiadów. – Tym razem głos Szawczaka zabrzmiał jak należy, pewnie i profesjonalnie.

W ciągu dwóch kwadransów chodzenia od domu do domu niczego nie ustalili, poza tym, że Stanisława Jarosza nikt od kilku dni nie spotkał. Potwierdziło się, że ostatni raz widziany był na niedzielnej mszy. Widziała go cała wieś. Był kościelnym – jak zawsze zbierał na tacę. Poszli na plebanię.

Siwowłosa i pomarszczony ksiądz po sześćdziesiątce podsunął im kolejne rewelacje.

– Pan Stanisław nie pojawił się w kościele na żadnej z codziennych mszy – mówił spokojnym głosem, z taką modulacją, jakby przemawiał do wiernych w niedzielnym kazaniu. – Byliśmy na ten tydzień umówieni, że będzie otwierał kościół i pomagał mi do mszy. Tymczasem już w niedzielę po sumie nie zamknął na klucz zakrystii i nie posprzątał szat liturgicznych. Musiałem użyć zapasowego klucza. Nie wiem, co

się stało. Nigdy tak nie robił. Posłałem więc do niego ministranta, ale powiedział, że dom jest zamknięty. Pomyślałem, że gdzieś pilnie wyjechał.

– Często tak wyjeżdżał? – zapytał szybko Szawczak.

Wyraźnie zbił księdza z tropu.

– No cóż... nigdy. Ostatnio jednak wspominał, że jego siostra jest chora i pewnie będzie musiał ją odwiedzić.

– Gdzie mieszkała jego rodzina?

– Właściwie... – ksiądz znowu się zawahał. – Nigdy o rodzinie nie mówił, a ja nie pytałem. Wie pan, o takie rzeczy się nie pyta. Jeśli człowiek ma ochotę, wtedy mówi. Na Boga, byłem święcie przekonany, że nie ma żadnej rodziny.

– Kiedy wspominał o tej siostrze?

– Będzie ze dwa tygodnie temu.

– Gdzie ksiądz go widział ostatni raz?

– Już mówiłem, w zakrystii kościoła.

– Możemy obejrzyć to miejsce?

– Oczywiście. Oczywiście.

Poszli brukowaną ścieżką w kierunku kościoła. Ksiądz szedł pierwszy. Pochylał głowę do przodu, jakby za chwilę miał się przewrócić, ale ledwo za nim nadążali. Przy bocznym wejściu do kościoła zatrzymał się. Pogrzebał pod sutanną i wyciągnął klucz. Po chwili drzwi na starych zawiasach otworzyły się bezgłośnie.

Ksiądz przepuścił Parola. Pomieszczenie było niewielkie, umeblowane skromnie. Przez okno wpadał do środka snop światła, lecz i tak panował tu lekki półmrok. Parol zrobił kilka kroków, zatrzymał się i odetchnął głęboko. Zapach też jest ważny. W pomieszczeniu pachniało starym kościołem, średniowieczną wilgocią, kadzidłem, naftaliną i czymś jeszcze. I to coś jeszcze go zaniepokoiło. Ten zapach kojarzył mu się z prosektorium.

Rozglądał się w skupieniu. Ściany z czerwonej cegły, po lewej stronie zasłonka i wieszaki z szatami liturgicznymi, na wprost drewniany stół z surowych desek, dwa krzesła obite czerwonym materiałem, po prawej stronie ławka, w kącie drewniana skrzynia z metalowymi, trochę nadgryzionymi przez rdzę okuciami. Pomieszczenie było puste.

Odwrócił się i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle zamarł w bezruchu. Jeszcze raz spojrzął na skrzynię. Przy przeszukaniu trzeba się zastanowić, dlaczego rzeczy znajdują się właśnie w tym miejscu. Dlaczego tuż przy skrzyni, prawie wciśnięty między skrzynię a ścianę, leży niedopałek papierosa?

– Co jest w skrzyni? – zapytał.

– Nic. Kiedyś trzymaliśmy w niej szaty, ale przesiąkały wilgocią. To stara...

Szawczak machnął zniecierpliwiony ręką i ksiądz umilkł zmieszany.

Parol wolno podszedł do skrzyni i ujął z boku wieko. Z trudem uniósł je w górę. Spojrzął do środka i już wiedział, że się nie pomylił.

Mężczyzna w skrzyni wyglądał na wciśniętego tam siłą. Jego nogi były powyginane, jakby chciał usiąść po turecku, ale niewielki rozmiar skrzyni na to nie pozwolił. Tors złożony był jak scyzoryk. Pokrwawiona głowa znajdowała się między kolanami i czołem, dotykając dna skrzyni. Kręgosłup musiał być złamany gdzieś w okolicach lędźwiowych. Biała koszula z krótkimi rękawami była pokrwawiona z tyłu i miała jeszcze inne ślady. Wyraźnie widać było podeszwy butów. Jakby ktoś skakał ofierze po plecach, żeby wcisnąć ją do środka.

Parol wyciągnął kluczyki od auta i metalową częścią, ostrożnie, podciągnął nieco brzeg koszuli. Całe plecy były w sinych wybroczynach. Nie chciał nawet myśleć, że Stanisław Jarosz musiał jeszcze żyć, kiedy morderca skakał mu po plecach, druzgocąc kręgosłup.

Starszy policjant stanął obok. Był blady jak papier. Parol się przestraszył, że zaraz zemdleje.

Z tyłu dochodziła ich cicha modlitwa księdza.

– To Jarosz? – zapytał cicho.

– Chyba tak – odpowiedział policjant jeszcze ciszej.

– Chodźmy stąd. Trzeba wezwać techników.

Wyszli przed kościół. Szawczak odszedł kilka kroków i wybrał numer do Zakrzewskiego.

\*

Marcin odebrał po kilku sygnałach. Chwilę słuchał w milczeniu, po czym rzucił krótkie „OK” i się rozłączył.

Paulina spojrzała na niego zaniepokojona.

– Znaleźliśmy ostatniego mężczyznę ze zdjęcia – powiedział.

– No i? – ponagliła go.

– Też nie żyje.

– No to mamy komplet.

\*

Parol schował telefon do kieszeni i przysiadł w cieniu na murku. Odruchowo wyciągnął papierosa z podsuniętej mu przez policjanta paczki i po chwili obaj w milczeniu zaciągali się dymem.

Aspiranta Szawczaka ogarnęło dziwne uczucie. Miał wyrzuty sumienia, że zamiast smutku w obliczu tragicznej śmierci bliźniego czuje podekscytowanie i coś na kształt radości. Zakrzewski miał rację. Taka sprawa zdarza się raz na kilka lat. Czasem można nie trafić na nic takiego przez całą karierę. On miał to już na samym początku zawodowej drogi. Ale nie wolno mu tego spieprzyć.

Taka sprawa była jak narkotyk. Budziła strach i przerażenie, a równocześnie wywoływała euforię, cudowne podekscytowanie i była obietnicą mocnych wrażeń.

Spojrzał w kierunku kutej bramy prowadzącej na teren kościoła i dalej. Po drugiej stronie placu dostrzegł krzyż pokutny. Historia zatoczyła koło. W tym miejscu morderca będzie mógł postawić w ramach pokuty drugi krzyż. Trzeba tylko go złapać.

Część druga

**Biały szkwał**



# 21 Dzwonek

3 lipca, piątek rano

Ding-dong.

Przytłumiony dźwięk dzwonka kojarzący się z dworcem kolejowym wyraźnie zabrzmiał po drugiej stronie drzwi.

Zakrzewski chwilę odczekał i zadzwonił ponownie.

Ding-dong.

Potem jeszcze raz i jeszcze. Nikt nie otworzył.

Marcin Zakrzewski przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. W mieszkaniu panowała niczym niezmacona cisza. Zaklął pod nosem i nacisnął na klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Zrezygnowany zszedł po schodach na swoje piętro.

Już od kilku dni próbował skontaktować się z Magdą. Bezskutecznie. Jej telefon był wyłączony. Operator informował, że abonent znajduje się poza zasięgiem, i radził, żeby zostawić wiadomość. Marcin się nagrał, nawet wysłał kilka wiadomości, i nic. Codziennie dzwonił do drzwi jej mieszkania. Wyglądało na to, że Magda gdzieś wyjechała. Dzień wcześniej, na wieczornym spacerze z psem, obejrzał dokładnie okna jej mieszkania – nawyk zawodowego gliniarza. W pokojach było ciemno, okna pozamykane, żaluzje zaciągnięte. Pewnie z powodu upałów.

Wrócił do domu, kiedy stary przelewowy ekspres akurat się rozkaszał, wypluwając resztki wody. Marcin poczekał, aż do dzbanka spłyną ostatnie krople, i nalał sobie kawy do dużego

kubka. Siedział przy kuchennym stole, pił i nerwowo drapał się po karku.

Tego dnia kawę musiał zrobić z wody mineralnej. Kiedy odkręcił kran, usłyszał tylko odgłosy uciekającego powietrza. Z Internetu dowiedział się, że na ulicy Petuniowej, na skrzyżowaniu obwodnicy śródmiejskiej z Grabiszyńską, pękła rura wodociągowa o średnicy dwóch metrów i wody nie ma pół miasta. Musiał zrezygnować z prysznica, nastawił kawę z resztki wody z plastikowej butelki, a potem poszedł do Magdy.

Odstawił opróżniony do połowy kubek i próbował sobie przypomnieć, kiedy miał ostatni kontakt z sąsiadką. Wychodziło mu, że w sobotni wieczór w zeszłym tygodniu dostał od niej wiadomość tekstową z propozycją spotkania. Od tej pory cisza. Nie przychodziła też do Tiny. Musiał urywać się z pracy i wracać do domu, żeby wyjść z psem. Przez korki i cholerny upał tracił strasznie dużo czasu. Był już zdecydowany, że w sobotę odwiezie Tinę do rodziców do Szczepanowa. Pocieszał się, że pies będzie przynajmniej miał gdzie swobodnie biegać. Po zmarłych w zeszłym roku dziadkach rodzice odziedziczyli dom, zabudowania gospodarcze i kilka arów pola. Może nawet Tina będzie tam miała lepiej?

Tina jakby zrozumiała, że o niej myśli, bo stanęła w drzwiach kuchni, przeciągnęła się, po czym podeszła do stołu i polizała Marcina po rękę. Poczochnął ją z roztargnieniem.

Cholera, co z tą Magdą? – pomyślał po raz nie wiadomo który.

Potem się uspokoił. Nic się nie mogło stać. Pewnie gdzieś pilnie wyjechała. Może do Londynu po narzeczonego?

W końcu zaczął myśleć o pracy.

Od narady u naczelnika wydziału kryminalnego i znalezienia przez Szawczaka zwłok ostatniego mężczyzny ze zdjęcia nie posunęli się ani o centymetr do przodu. Z tego co powiedział

mu Grabski, wynikało, że duża grupa śledcza Pauliny Czerny też miała w garści wielkie nic.

Znowu podrapał się po karku.

Tak naprawdę nie mieli nawet konkretnego motywu zbrodni. Duża grupa skupiła się na hipotezie niezrównoważonego fana kryminałów Rudnickiego. Dokładne odtworzenie sytuacji z ostatniej książki zamordowanego pisarza sugerowało taką możliwość. Jednak do Marcina to nie przemawiało. On, Parol i Michał Ruciński – niezależna grupa śledcza w minimalnym składzie osobowym – miała przecież działać inaczej, sprawdzać inne hipotezy.

Wbrew wszelkim zasadom wpajanych przyszłym śledczym w szkole policyjnej porzucili na razie motyw. Skupili się na przeszłości ofiar. Rozmawiali z rodzinami, ze znajomymi, przyjaciółmi, ale nie potrafili znaleźć punktu zaczepienia. Czynnika, który skleiłby chaotyczny ciąg zdarzeń w logiczną całość.

Tego dnia Zakrzewski postanowił dać sobie kilka godzin na spokojne przemyślenia. W domu, przy kawie, z notatnikiem w dłoni. Tak jak lubił najbardziej.

Z prawie pustym kubkiem przeniósł się na fotel w pokoju.

Po ósmej w kranie pojawiło się coś, co mogło przypominać wodę. Czerwona ciecz leciała większym strumieniem, ale co chwilę prychała i charczała, brudząc na pomarańczowo umywalkę.

Hitem dnia okazała się historia rowerzysty, który spiesząc się do pracy, przejechał pod taśmami odgradzającymi miejsce awarii rury wodociągowej i wpadł do kilkumetrowej dziury wypłukanej przez wodę. Później tłumaczył, że chciał tylko szybko przejechać przez kałużę. Na szczęście nic mu się nie stało i szybko został wyłowiony z topieli.

Przy drugiej kawie Marcin skupił się na śledztwie. Drukowanymi literami napisał na górze kartki notatnika:

KOBIETA N/N. Szybko przeanalizował wszystkie fakty.

Jak do tej pory policji nie udało się zidentyfikować zmumifikowanych zwłok kobiety. Śledczy wykonali tytaniczną pracę, wertując stare akta w poszukiwaniu niewyjaśnionych zaginięć kobiet z lat 1980–1990. Bez rezultatu. Dwa dni temu aspirant Szawczak wypowiedział na głos to, co wcześniej plątało się po głowie Marcina. Może było tak jak w książce Rudnickiego? Kobieta została potajemnie wykopana z grobu? Rozesłali zrekonstruowaną komputerowo podobiznę kobiety do wszystkich komend i posterunków policji na Dolnym Śląsku, umieścili obraz w ogólnopolskiej bazie danych, skontaktowali się z portalami internetowymi specjalizującymi się w poszukiwaniu zaginionych osób i czekali.

Marcin jeszcze raz przyjrzał się rekonstrukcji. Po raz setny miał takie same odczucie. Cholera, przecież już gdzieś ją widział. I po raz setny się poddawał. To było tylko wrażenie. Nie potrafił go z niczym połączyć. Mózg znowu go oszukiwał.

W notesie zapisał trzy słowa, jedno pod drugim:

Zamordowana?

Włosy.

Nekrofilia.

Po chwili wahania kółkiem zakreślił słowo „włosy”.

Na początku sądzili, że ustalenie tożsamości kobiety będzie proste. Wystarczy przecież dotrzeć do znajomych bądź rodziny Rudnickiego, Kurzaja, Koskowskiego i Jarosza. Szybko przyszło rozczarowanie. Jeśli cała piątka za zdjęcia przyjaźniła się, jeździła razem na wakacje, a może nawet utrzymywała kontakty seksualne – co sugerowały fotografie znalezione w albumie Kurzaja – pewnie trudno było im ten fakt utrzymać w tajemnicy. Założenie okazało się nieprawdziwe. Żadna z osób, z którymi rozmawiali śledczy, o niczym nie wiedziała. Niektórzy nawet nie mieli świadomości, że piątka ludzi ze zdjęć w ogóle się znała.

Zakrzewki podkreślił poprzednie zapiski poziomą kreską i napisał:

Mirosław Rudnicki.

Grupa śledcza pod kierownictwem Pauliny Czerny prześwietliła dokładnie życie pisarza. W ostatnich latach stał się bardzo znany i wcale od popularności nie uciekał. Gościł na wszystkich targach książki, jeździł po kraju z cyklem spotkań autorskich, był zapraszany do telewizji, na przyjęcia i eventy, często i chętnie udzielał wywiadów prasie. Trudno było sobie wyobrazić Rudnickiego jako wieloletniego nekrofila. Nie udało się wytypować miejsca, gdzie mógł ukrywać przez dziesiątki lat zmumifikowane zwłoki w warunkach powstrzymujących ich rozkład. Z wykształcenia był germanistą – czy miał wiedzę medyczną umożliwiającą odpowiednie spreparowanie zwłok? Marcin nabierał coraz większych wątpliwości.

W rurce umieszczonej w pochwie zmumifikowanej kobiety znaleziono ślady spermy, jednak na tyle stare i niewyraźne, że nie udało się na ich podstawie określić kodu DNA. Ślady na ubraniu kobiety nie były śladami nasienia. Technicy z laboratorium określili, że plamy mają pochodzenie organiczne, jednak nie są wydzieliną ludzkiego ciała.

Niepodważalnym faktem było jednak to, że wszystkie odciski palców zabezpieczone na poddaszu kamienicy przy ulicy Siemieńskiego należały do Rudnickiego. Musiał tam przebywać często i długo, skoro przyniósł elektryczny czajnik i robił sobie kawę.

Ostatnie dni życia Rudnickiego również zostały odtworzone ze szczegółami.

Trzy dni przed śmiercią niepodziewanie wynajął pokój w hotelu Polonia przy Piłsudskiego, naprzeciw Teatru Muzycznego Capitol. Marcin pojechał do hotelu i rozmawiał z recepcjonistą, który obsługiwał wtedy Rudnickiego. Wiedział, kim jest, więc dobrze go zapamiętał. Według hotelowej

ewidencji pisarz zameldował się w poniedziałek 15 czerwca o 13.14 w jednoosobowym pokoju. Nie miał bagażu, tylko podręczną torbę, a na ramieniu drugą, prawdopodobnie z laptopem. Zjadł późny obiad w hotelowej restauracji, dał duży napiwek kelnerowi, przeniósł się do baru, gdzie wypił kilka kieliszków zmrożonej czystej wódki, po czym wrócił do pokoju. Tego dnia już nie wychodził. Wymeldował się 16 czerwca po południu. Jeśli na kogoś czekał, nikt nie przyszedł. Z billingów jego telefonu wynikało, że w tym czasie nikt do niego nie dzwonił. On też nie wykonał żadnego telefonu. Co w takim razie robił? Pisał nową książkę? Możliwe.

Najciekawsze było jednak to, że od chwili wyjścia z hotelu Polonia ślad po pisarzu się urywał. Nikt go nie widział do wieczora 18 czerwca. Czym się w tym czasie zajmował? Niewykluczone, że był na ulicy Siemieńskiego.

Według kamer monitoringu miejskiego dostawczy samochód marki Renault w czarno-żółtych barwach firmy spedycyjnej UPS nadjechał od strony Siechnic. Po raz pierwszy pojawił się w oku kamery na ulicy Opolskiej. Potem był przez cały czas rejestrowany aż do chwili, gdy przejechał most Grunwaldzki i zatrzymał się na światłach przy skręcie w prawo w Wybrzeże Wyspiańskiego. Wtedy z auta wysiadł kierowca, otworzył boczne drzwi i wyciągnął ze środka Mirosława Rudnickiego. Pisarz upadł na trawnik i tam przez kilka chwil pozostawał w bezruchu. Kiedy furgonetka odjechała, z trudem wstał i ruszył w swoją ostatnią drogę, która zakończyła się śmiertelnym upadkiem dwieście metrów dalej.

Renault w barwach firmy kurierskiej spokojnie odjechał w kierunku Oleśnicy. Później samochód znaleziono spalony w lesie. Ogień strawił wszystkie ślady. Kierowca cały czas miał na głowie czapkę z daszkiem i ani na moment nie pokazał kamerom twarzy.

Potwierdziła się za to hipoteza Hanny Duciak – narzędziem zbrodni mógł być czekan. Grupa Pauliny Czerny sprawdzała już wszystkich klientów sklepów survivalowych i członków klubów wysokogórskich. Marcin uważał, że to strata czasu.

Dlaczego morderca wyrzucił Rudnickiego na trawnik w takim ruchliwym miejscu? Ktoś mógłby się zainteresować autem i kierowcą. To był jedyny obraz mordercy, jaki mieli. Nic zresztą z niego nie wynikało. Potwierdzały się tylko słowa Banaszkiewicza – morderca Koskowskiego był niski i drobny, tak jak kierowca busa. Sprawdzono też firmę transportową. Samochód został skradziony z parkingu w Kędzierzynie-Koźlu. Oczywiście sprawdzano ten ślad, ale nie wydawał się obiecujący.

Wypił resztkę kawy. Wrócił do myśli o nekrofilii. Jak na razie był jedynym wątpiącym. Wszyscy obwiniali Rudnickiego. Czy na pewno był winny? Marcinowi nie podobało się, że nagle zwłoki kobiety zostały przetransportowane do kamienicy na Siemieńskiego. Skąd? Pisarz nie posiadał żadnej innej nieruchomości prócz apartamentu w centrum miasta. Technicy nic tam nie znaleźli. Nie miałyby gdzie przechowywać zwłok tyle lat. Z drugiej strony opisy aktu nekrofilii w książce... Ciągle czuł dreszcz na ich wspomnienie. Były przerażająco naturalistyczne. I przywoływały koszmarne sen, który męczył Marcina od kilku nocy. Zmumifikowany trup kobiety wstaje z trumny i otwiera poczerwiałe usta, żeby go namiętnie pocałować.

Marcin z wahaniem zapisał na kartce pod imieniem i nazwiskiem pisarza:

Hotel.

Nekrofilia.

Kochanek.

Nagle długopis zamarł w bezruchu nad kartką. Była jeszcze jedna rzecz, która zainteresowała Zakrzewskiego. Nie wiedział, dlaczego. Przeczucie? Nieszczególnie wierzył w przeczucia,

bardziej w umiejętność składania pozornie niezwiązanych ze sobą elementów w logiczny ciąg zdarzeń. Dopisał jeszcze:

100 tysięcy.

Kilka miesięcy wcześniej Rudnicki wypłacił gotówką ze swojego rachunku bankowego kwotę stu tysięcy złotych. Pieniądze rozplynęły się bez śladu. Pisarz nie kupił nic znaczącego, pieniędzy w jego mieszkaniu nie znaleziono. Co prawda mógł je wpłacić jako darowiznę dla jakiejś instytucji charytatywnej, ale nikt z jego znajomych nigdy nie słyszał, żeby Rudnicki komukolwiek darował pieniądze. Był raczej typem dusigrosza i sknery.

Kolejna pozioma kreska w notesie i nowe imię i nazwisko:

Stanisław Jarosz.

Najmniej rozpracowana przez policję postać tragedii. I najbardziej tajemnicza.

W latach młodości wśród znajomych i przyjaciół miał ksywę Mincel. Nie skończył szkoły średniej, nigdzie nie pracował, nie miał zamożnych rodziców, ale, jak wspominali świadkowie, zawsze miał pieniądze. W starych kartotekach milicyjnych jego nazwisko przewijało się kilkakrotnie. Podejrzany o kradzieże i paserstwo, handlował nielegalnie walutą, miał wyrok w zawieszeniu za udział w bójce. Był wtedy pod wpływem alkoholu. Ludzie zeznawali, że pijany stawał się agresywny, szukał okazji do bijatyki, potrafił wpaść w szal. Potem nagle zniknął na parę lat. Prawdopodobnie wyjechał nielegalnie za granicę. Pojawił się ponownie na początku lat dziewięćdziesiątych w Glinicy koło Wrocławia. Wyremontował domek po babci i zaczął prowadzić samotne i wzorowe życie katolika udzielającego się w miejscowej parafii. Z nikim się jednak nie zaprzyjaźnił. Chętnie pomagał, kiedy ktoś go prosił, chodził do gospody, lecz alkohol pił z umiarem. Nigdy nie widziano, żeby ktoś go odwiedzał, a już na pewno nie kobiety. Nie opuszczał żadnego nabożeństwa. Czasem uczestniczył we



mszy dwa razy dziennie, zawsze przystępował do komunii z żarliwością neofity. Nie przypominał siebie z przeszłości – drobnego przestępcy lubiącego kobiety, dobrą zabawę, wódkę i porządne mordobicie.

Marcin podrapał się końcem długopisu za uchem. Skąd taka zmiana? Człowiek zagadka. Żadnego punktu zaczepienia. Wreszcie pod długim wahaniem napisał tylko dwa hasła i oba zakreślił kółkiem.

Neofita.

Pokuta.

Tylko to przychodziło mu do głowy. Pokuta za dawne grzechy. Tylko czy to mogły być grzechy poważniejsze niż kradzieże i rozboje?

Było jeszcze coś. Billingi. Podobnie jak do wszystkich ofiar ze zdjęcia, ktoś do niego telefonował z niezidentyfikowanych, niezarejestrowanych numerów. Kilka razy w ciągu trzech dni poprzedzających jego śmierć. Jeden z ministrantów widział, jak ktoś wchodzi do kościelnej zakrystii w niedzielę po mszy, na kilka minut przed śmiercią Jarosza, ale przyciśnięty przez policję wycofał zeznania. Nie miał pewności, czy to był ten sam dzień. Kilka osób widziało nieznany samochód na wrocławskich numerach zaparkowany pod domem Jarosza, już po mszy. Czy to morderca właśnie wtedy postanowił w makabryczny sposób pozbyć się też psa? Pies był zresztą kolejnym elementem, który do niczego nie pasował. Dlaczego został zaszlachtowany i powieszony w spiżarni? Po co morderca tak ryzykował? To nie miało żadnego sensu.

W domu Jarosza technicy znaleźli tylko odciski palców należące do właściciela. Zebrali sporo materiału genetycznego, jednak na razie nie można było ocenić, do kogo należał.

Zdecydował się zakreślić jeszcze jedno kółko wokół słowa „pokuta”.

Odłożył notatnik, wziął kubek i poszedł do kuchni dorobić sobie kawy. Kiedy wolno przelewała się do dzbanka w ekspresie, on stał i patrzył przez okno na parking, gdzie pod drzewem stał zaparkowany jego motocykl. Ale nie o motor chodziło. Przez jego głowę przebiegało już stado innych myśli. Co się, do cholery, stało z Magdą? Wysłała mu wiadomość z propozycją seksu, zresztą dokładnie tego wieczoru, kiedy zamordowany został Kurzaj, a potem zniknęła. Wyjechała? Obraziła się na niego? Nie, to nie było w jej stylu.

Nalał sobie kawy i wrócił na fotel. Starał się na chłodno przeanalizować wszystkie dotychczasowe ustalenia, odnaleźć logikę ciągu zdarzeń. Na razie nic takiego nie dostrzegał.

Adam Kurzaj.

Prawie jego sąsiad z bloku oddalonego o niecałe sto metrów. W jego przypadku nie było telefonów z niezidentyfikowanymi numerami. Był za to list. Technicy zbadali papier. Był to papier listowy sprzed kilkunastu lat, przechowywany w miejscu dość wilgotnym. Zdążył pożółknąć, a na jego powierzchni pojawiły się standardowe pleśnie. Takie odkrycia nic nie wnosily. Inaczej było z charakterem pisma. Raport biegłego grafologa charakteryzował sprawcę. To na razie były jedyne konkretne informacje na temat mordercy i Marcin nauczył się ich na pamięć. Mordercą była osoba praworeczna, która kierowała się logiką i panowała nad emocjami. Duże litery świadczyły o tym, że była śmiała i dynamiczna, ale też ostrożna. Sprawca lubił wszystko analizować i miał dużą wyobraźnię, był uparty i skryty. Grafolog skłaniał się też ku tezie, że osoba, która napisała list do Kurzaja, nie była biegła w pisaniu, a zatem mogła być niezbyt wykształcona.

Marcin popatrzył na swoje bazgroły na kartce, których pewnie nikt prócz niego nie potrafiłby przeczytać. On też nie był biegły w pisaniu. Czy to świadczyło o niskim wykształceniu? Mogło świadczyć albo nie. Może po prostu sprawca od wielu lat

korzystał z klawiatury komputerowej i odwykł od pisania, tak jak on.

Bardzo ciekawa była treść listu. Oczywiście biegli przeanalizowali list po względem gramatycznym, interpunkcyjnym, zbadali jego składnię, dobór słów i z tego też powstał raport. Jednak Marcin nie kupował wniosków w nim zawartych. Uważał, że morderca mógł specjalnie popełnić pewne błędy, wybrać słowa, których nie używa na co dzień, żeby zmylić policję. Przecież wiedział, że list będzie poddany szczegółowej analizie. Marcina bardziej interesowała jego treść. Co takiego zdarzyło się w przeszłości Kurzaja i innych mężczyzn ze zdjęcia, że Kurzaj poszedł na spotkanie w odludne miejsce po zmroku? Czy kobietę ze zdjęcia naprawdę ktoś zamordował? Ktoś z ich czwórki? Kurzaj? Inaczej dlaczego miałby iść na takie spotkanie? Z daleka przecież pachniało podstępem.

\*

Marcin napisał na kartce kolejne cztery słowa:

List.

Przeszłość.

Zbrodnia.

Zdjęcia.

Po czym bez zastanowienia zakreślił słowo „przeszłość”.

Zbigniew Koskowski.

Specjalnie zostawił go na koniec. Nie potrafił ocenić, czy jego morderstwo zostało tak drobiazgowo zaplanowane, czy też większość zdarzeń była korzystnym dla mordercy zbiegiem okoliczności.

Dostrzegał pewien schemat działania sprawcy. Podobnie jak u Kurzaja i Jarosza, na początku były telefony z nieznanymi numerów. Pieniądze przyniesione w reklamówce przez

Koskowskiego na wieczorne spotkanie w firmie sugerowały, że był szantażowany. Pieniądze nie zginęły, więc były tylko pretekstem, żeby wyciągnąć przedsiębiorcę w tak odległe miejsce. Potem na miejscu zbrodni pojawił się Banaszekiewicz. Przypadek? W części biurowej firmy Koskowskiego alarm został wyłączony około 22.30. Banaszekiewicz przyszedł do pracy około czwartej rano, gdy Koskowski jeszcze żył. Sprawca jakby czekał na stróża. Wiedział, że Koskowski skrzywdził córkę starego. Skąd? Dlaczego ryzykował i czekał całe pięć i pół godziny? Zdaniem Marcina działał kompletnie nieracjonalnie. Ktoś, kto morduje w taki wyrafinowany sposób, nie powinien zostawiać po sobie śladów. Podstawowa sprawa – firma ochroniarska. Po wyłączeniu alarmu o tak niespotykanej porze dyżurny zadzwonił do Koskowskiego. Nikt nie odebrał, więc wysłał wóz patrolowy. Patrol wjechał na plac przed budynkiem firmy InkBeton, ale widząc światła w hali i samochód Koskowskiego, odjechał, meldując, że wszystko w porządku. Gdyby patrol zachował się zgodnie z procedurami, Koskowski mógłby przeżyć.

Dlaczego morderca wysłał żonie Koskowskiego fotografie z miejsca zbrodni? Po co zawiadamiał telewizję? Żeby zwrócić na siebie uwagę? Może samo zabójstwo już mu nie wystarczało? Chciał być podziwiany, trafić na czołówki gazet i do wszystkich serwisów informacyjnych?

Marcin dopił kawę i odstawił kubek na stolik obok fotela. Pokręcił głową.

– Nie – powiedział do siebie. – To by było za proste.

Nie lubił łatwych rozwiązań. Psychopaci organizujący tak efektowny ciąg zbrodni nie są banalni. Mogą przez przypadek popełniać banalne błędy, ale na pewno nie w fazie planowania. Plan zawsze jest perfekcyjny.

Telefon Koskowskiego zniknął z sieci zaraz po tym, jak zdjęcia zostały wysłane. Potem już się nie logował do sieci i nie

można było namierzyć jego położenia. Marcin wiązał z nim jednak pewne nadzieje. Już w kilku sprawach telefon ofiary przyczynił się do schwytania sprawcy i stawał się głównym dowodem w sądzie.

Marcin zwrócił też uwagę na tempo działania sprawcy. O ile Rudnicki zginął około dwóch tygodni wcześniej, kolejne ofiary traciły życie dzień po dniu. Kurzaj w piątek wieczorem, Koskowski w nocy z soboty na niedzielę, Jarosz w niedzielę po mszy o dwunastej. Zastanawiające tempo. Coraz szybciej. Najpierw dwa tygodnie przerwy, potem doba, a później już tylko kilka godzin. Ostatnie morderstwo prawdopodobnie bez wypoczynku, bez snu, z wielką determinacją i bezwzględnością. Morderczy szłał na tyle kontrolowany, żeby w miejscach zbrodni nie zostawiać żadnych śladów.

Podrapał się po karku.

– Cholera, niemożliwe! – powiedział głośno i zbudził drzemiącą u jego stóp Tinę.

Podniosła łeb i popatrzyła na niego pytająco.

– To nie do ciebie, śpij spokojnie.

Gdzieś musi być jakiś haczyk, luka, niedociągnięcie. Mało prawdopodobne, aby się nie pomylił. Nawet najbardziej genialny przestępca popełnia błędy. Szczególnie kiedy się tak bardzo spieszy.

Marcin westchnął i napisał pod nazwiskiem Koskowskiego cztery słowa:

Szantaż.

Media.

Telefon.

Kobiety.

Zgodnie z ustaleniami śledczych Koskowski miał problem z uzależnieniem od seksu. W ostatnich latach miewał kilka stałych kochanek, które utrzymywał. Zdarzało się, że jednego dnia bywał u dwóch. Poza tym regularnie korzystał z usług

prostytutek. Grupa Pauliny dotarła do trzech jego stałych klientek. Wszystkie zgodnie określiły go jako wymagającego, trudnego do zaspokojenia, niestroniącego od perwersji, czasem brutalnego. Czy wybujała seksualność mogła przyczynić się do jego śmierci?

Marcinowi wpadła nagle do głowy pewna myśl. Może motyw zbrodni miał podłoże erotyczne? Jeśli ktoś realizuje swoje fantazje, wkraczając na tereny określane przez psychologów jako niebezpieczne zachowania seksualne, istnieje duże prawdopodobieństwo, że spotka kogoś rozchwianego emocjonalnie, kto jest zdolny do popełnienia zbrodni. Nawet całej serii zbrodni.

Marcin wykreślił słowo „kobiety” i w to miejsce napisał „seks”.

Było coś jeszcze. Niedopałki papierosów łączące wszystkie cztery miejsca zbrodni. Dlaczego sprawca zadał sobie tyle trudu, aby wskazać właśnie prokuratora Marka Grabskiego? Przecież z góry musiał wiedzieć, że policja tego nie kupi i na pewno nie pójdzie tym śladem. Co więcej, morderca musiał jakoś wejść w posiadanie tych niedopałków.

Zakrzewski z rozmysłem zostawił sobie sprawę papierosów na koniec. Coś mu mówiło, że właśnie to jest ten słaby punkt. W tym miejscu morderca przegiął, zachował się nieostrożnie. Tylko że... policja przeanalizowała zapisy z monitoringu i nie przyniosło to przełomu w śledztwie. Miejsce wyznaczone do palenia w budynku prokuratury było odwiedzane przez dziesiątki osób. Sprzątaczkę opróżniały popielniczkę co najmniej dwa razy dziennie. Przeanalizowane zostały wszystkie dostępne nagrania z ostatnich tygodni i nic... żadnego podejrzanego. Żadnej osoby innej niż te, które regularnie zjawiały się w tym miejscu na dymka.

Marcin odłożył notes, przeciągnął się i jeszcze raz postanowił pójść piętro wyżej i zadzwonić do mieszkania Magdy.

Naprawdę się o nią martwił. Miał też wyrzuty sumienia. Obraziła się? Cholera, musiał w duchu przyznać, że zależało mu na niej. Zaczął się zastanawiać, czy seks bez zobowiązań jest możliwy. Pewnie tak, ale raz. No, góra dwa razy. Jeśli seks jest udany, to prędzej czy później pojawia się więź, której nie można określać jako wyłącznie przyjacielską.

Ding-dong.

Ding-dong.

Wyraźnie słyszał odgłos dzwonka rozlegającego się za drzwiami do mieszkania Magdy. Nasłuchiwał. Cisza. Czego się właściwie spodziewał? Przecież już wcześniej nikogo nie było. Już chciał odejść, gdy nagle po drugiej stronie usłyszał jakiś odgłos, a potem pospieszne kroki. Zamek zazgrzytał i drzwi się uchyliły.

Marcin już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, i nagle zamarł w bezruchu. Stał twarzą w twarz z wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną. Facet był w samych bokserkach, jedną ręką przytrzymał drzwi, drugą wycierał sobie rękami mokre włosy. Przed chwilą musiał wyjść spod prysznic. Marcin od razu zwrócił uwagę na tatuaż na lewym przedramieniu. Czerwona róża z wyraźnymi kolcami. Dokładnie taki sam, jaki miała Magda. O ile dobrze pamiętał – w tym samym miejscu.

Przez moment panowało kłopotliwe milczenie. Wreszcie Marcin zapanował nad sobą.

– Dzień dobry – powiedział niepewnie. – Jestem sąsiadem z dołu, chciałem zapytać, czy jest Magda, ale nie wiem...

Mężczyzna obdarzył go uśmiechem od ucha do ucha.

– Ty pewnie jesteś tym policjantem, o którym mi opowiadała – powiedział i wyciągnął rękę. – Patryk. Zgniół jego dłoń w stalowym uścisku i ciągnął z wyraźnym rozbawieniem: – Magda dużo o tobie opowiadała. To bardzo fajna dziewczyna, prawda? Kocha zwierzęta, podobno wychodziła z twoim psem?

– Coś w tym stylu – mruknął Marcin, wyswobodziwszy nareszcie dłoń.

Czuł, jakby właśnie wyszarpnął palce z zaciskającego się imadła. Lubił męskie uściski dłoni, ale bez przesady. Miał nieprzyjemne wrażenie, że chłopak Magdy zrobił to specjalnie. Był zaskoczony nieoczekiwanym spotkaniem i nie bardzo wiedział, jak ma się zachować.

– Nie przejmuj się, Magda mi o wszystkim mówi. Nie jestem zazdrosny. Wiesz, gdyby kiedyś miała ochotę, to spokojnie możecie się spotkać. Mnie to nie przeszkadza.

Sytuacja coraz bardziej Marcina irytowała.

– Jest Magda? – zapytał odrobinę za szorstko.

– Niestety musiała na kilka dni wyjechać. Nie mówiła ci?

– Nie.

– Przekażę, żeby do ciebie zadzwoniła – powiedział. Nadal patrzył na niego z wyraźną kpinią w oczach. Jakby bawiło go zmieszanie Marcina. – Może wpadniesz do mnie wieczorem. Właśnie chłodzę kratkę piwa w lodówce. Napijemy się, pogadamy.

– Dzięki, ale jestem bardzo zajęty.

– Jak zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać.

– J-jasne. Cześć!

Marcin zbiegł po schodach i wrócił do mieszkania. Tina powitała go z takim entuzjazmem, jakby nie było go od wczoraj. Przypomniał sobie, że najwyższy czas z nią wyjść i pojechać do pracy.

Żar lał się z nieba i pies szybko chciał wracać do domu. Marcinowi udało się ją wyciągnąć tylko za tory kolejowe koło ogródków działkowych. Kiedy wracali, Zakrzewski trochę ochłonął i zaczął trzeźwo analizować fakty. Co powiedziała Magda? Że jej chłopak Patryk pracuje w Citi w Londynie. Naturalnie wyobraził sobie, że jest finansistą, pracuje w banku albo innej instytucji finansowej lub jest maklerem. Tymczasem



facet wyglądał raczej na ochroniarza. Krótko ścięte włosy, umięśniony, niezwykle silny, jakby codziennie przerzucał tony stali na siłowni. Nie sprawiał wrażenia szczególnie wykształconego. W niczym nie przypominał „białego kołnierzyka”.

Roześmiał się.

– Wiesz, Tina, chyba się za dużo naoglądałem w przeszłości filmów w stylu *Capital City* – powiedział do psa sunącego obok z wywalonym ozorem. – On po prostu jest pracownikiem fizycznym.

Pomyślał o Magdzie i doszedł do wniosku, że nic już nie będzie tak samo. Głupio będzie spotykać się z nimi dwojgiem na schodach, nie daj Boże przyjdzie im do głowy próbować się zaprzyjaźnić. Nie miał też specjalnie ochoty, żeby Magda nadal wychodziła z psem. Najchętniej poprosiłby ją, żeby oddała klucze do jego mieszkania, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

Przystanął przed bramą. Już otwierał drzwi, kiedy nagle jego wzrok przykuła kobieta, która wyszła zza rogu i przystanąła. Zanim zdążył się jej przejrzeć, odwróciła się na pięcie i poszła w kierunku apteki po drugiej stronie ulicy. Odprowadził ją wzrokiem. Kogoś mu przypominała.

Otworzył bramę i puścił psa przodem.

Może Paulina Czerny ma rację? Czasem całkowicie poświęcał się pracy i wtedy dostawał najzwyczajszego w świecie świra.

## 22 Działka

3 lipca, piątek, wieczór

Pierwszy weekend wakacji i doskonała pogoda sprawiły, że miasto postanowiło się zabawić. Roześmiane grupki młodych i starszych ciągnęły wszystkimi ulicami w kierunku centrum, gotowe balować do świtu. Wszystkie miejsca parkingowe w okolicy Rynku dawno były pozajmowane.

Aspirant Szawczak przekonał się o tym, krążąc w poszukiwaniu wolnego miejsca. Stracił ponad pół godziny, stojąc w sznurach aut ciągnących wolno jedno za drugim jak skazańcy na szafot. Wreszcie poszedł po rozum do głowy i odjechał trochę dalej. Kiedy znalazł wolne miejsce przy placu Jana Pawła II na ulicy Sokolniczej, dochodziła dwudziesta trzecia. Wysiadł ze swojego golfa i przeciągnął się z jękiem. Przez ostatnie dwie doby spał raptem cztery godziny. To śledztwo było dla niego szansą na zaistnienie w policji. Albo gwoździem do trumny ledwo rozpoczętej kariery, bo jeśli nie złapią szybko mordercy, trzeba będzie zaleźć winnego porażki. Szef zwali wszystko na podwładnych niższego szczebla, ci wskażą kogoś jeszcze niżej i tak dalej, i tak dalej. A kto jest na samym końcu tej drabinki? Aspirant Szawczak – człowiek niedługo po szkole, niedoświadczony, idealny kozioł ofiarny. Zakrzewski pewnie by się wywinął, w końcu ma dorobek. Złapanie seryjnego zabójcy dzieci to nie byle co – już uczą o nim w szkołach policyjnych na zajęciach z przynajmniej kilku przedmiotów. Ale Szawczak? Poleci jak nic.

Tak rozmyślając, ruszył w kierunku placu Jana Pawła. Po drodze wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. Tak naprawdę ostatni raz palił na studiach, potem już nie. Nawet w szkole policyjnej nie dał się namówić. Coś w nim pękło, kiedy ten łysy, spocony policjant podał mu papierosa pod kościołem w Glinicy.

Minął budynek Cuprum. Obrzucił go ciekawie wzrokiem. Podobno zapadła już decyzja, by wyburzyć biurowiec od kilkudziesięciu lat wpisany w pejzaż placu.

W przejściu podziemnym pod placem trafił w sam środek kolorowego i rozbawionego tłumu młodzieży. Szli karnie w kierunku centrum w nadziei, że w jakimś lokalu będzie jeszcze miejsce, żeby zasiąść i w sympatycznej atmosferze napić się piwa.

Szawczak nie miał ochoty na piwo. Sięgnął ręką do tylnej kieszeni spodni i wymacał zwitek banknotów. Ostatnia większa kasa, jaka mu została. Nie miał czasu na gry komputerowe i zniknęło źródło dochodów o wiele sensowniejsze niż skromna pensja policjanta. Po prostu nie miał siły siedzieć po nocach i grać w płatnych turniejach w Sieci. Bez tych dodatkowych pieniędzy zapasy gotówki odłożone na czarną godzinę stopniały w zastraszającym tempie.

Pogrążony w ponurych myślach stał na światłach na skrzyżowaniu Ruskiej i Kazimierza Wielkiego. Prawie nie widział wokół roześmianych twarzy. Zapalił jeszcze jednego papierosa i ruszył z tłumem, kiedy błysnęło zielone.

Ile razy już mówił sobie, że dłużej tak nie może żyć, że musi z tym skończyć? No ile? Wiele razy. Obiecywać i postanowić jest łatwo, gorzej z dotrzymanywaniem obietnic. Zresztą czy on w ogóle mógł coś zmienić? Tkwił zabetonowany w sytuacji bez wyjścia, zapędzony w narożnik. Czekał tylko, kiedy trafi go mocny prawy podbródkowy i zwali z nóg. Totalny nokaut, deski i żadnych szans na kolejne rundy. Taka myśl nawet wydawała

mu się kusząca. Nie będzie już musiał się o nic martwić, po prostu straci przytomność i odpłynie do lepszego świata bez zmartwień. Ciągłe wspominał słowa młodszej siostry, która ostrzegała go, że cały ten życiowy galimatias pociągnie go na dno. Nie słuchał jej wtedy. Wydawało mu się, że nad wszystkim panuje. Dzisiaj już nie był tego taki pewien. Czuł, że zanurza się coraz szybciej i dno jest coraz bliżej.

W klubie Tester na Więziennej był nadkomplet. Bramkarze przy drzwiach nie wpuszczali już nikogo. Parol był jednak na tyle dobrze ustosunkowany z właścicielem klubu, że wszedł bez problemu. Nie zwrócił uwagi na głośne protesty kilku osób stojących w kolejce przed wejściem. Na środku klubu tłum młodych ludzi podrygiwał w rytm hiphopowej muzy, stoliki wokoło były zajęte, przy barze też nie było gdzie się wcisnąć. Mimo to poszedł w jego kierunku. Bardzo dobrze znał jednego z barmanów. Też był profesjonalnym graczem. Rywalizowali w wielu turniejach, bywało, że w parze wygrywali spore pieniądze. Tylko że przed kilkoma miesiącami Jurand poznał dziewczynę, która namówiła go na wizytę w ośrodku do walki z uzależnieniami. Teraz był pod ścisłą kontrolą psychologa i od długiego czasu nie dotykał klawiatury – z wyjątkiem kasy fiskalnej przy barze. Podobno kupił sobie nawet telefon komórkowy bez dostępu do Internetu. Parol wielokrotnie zastanawiał się, czy on też jest uzależniony od komputera, gier i Internetu – skłaniał się ku odpowiedzi twierdzącej. Pewnie też nadawał się na odwyk. Tylko że ostatnie tygodnie w pracy wiele zmieniły. Okazało się, że może żyć bez komputera. Praca zaczęła dawać mu mocniejsze dawki adrenaliny niż gry.

Na jego widok Jurand przegonił dwie koszmarne umalowane dziewczyny siedzące na jednym stołku barowym. Widocznie nie przyszły tu dla zabawy, tylko do pracy.

Szawczak usiadł na zwolnionym miejscu. Jurand uśmiechnął się przelotnie i postawił przed nim butelkę piwa Desperados.

Parol chciał odmówić, ale Jurand tylko machnął ręką i powiedział, przekrzykując głośną muzykę:

– To na koszt firmy!

Było gorąco, Parol zwilżył językiem wyschnięte wargi i uległ pokusie. Pociągnął kilka łyków, a potem spojrział w lustro na ścianie baru za rzędem różnokolorowych butelek. Wyraźnie widział na swoich policzkach rozlewające się nierównomiernie czerwone plamy. Nienawidził ich od wczesnej podstawówki, od kiedy stały się obiektem kpin ze strony innych dzieci.

Odwrócił się i z butelką w dłoni rozglądał się po sali. Potem jego wzrok powędrował w kierunku stolików znajdujących się niedaleko męskiej toalety. Zobaczył go od razu. Kretyńska czapeczka z kwadratowym daszkiem, bardzo luźny kolorowy T-shirt, dzinsy z krokiem w okolicach kolan, złoty łańcuch na szyi i na przegubach rąk. Nigdy nie przestawało go dziwić, dlaczego biali ludzie wywodzący się z kultury słowiańskiej, której historia sięga tysięcy lat w przeszłość, koniecznie chcieli wyglądać jak czarni z Bronksu.

Odstawił niedopitą butelkę na bar i poszedł w tamtą stronę. Chłopak w czapce od razu go namierzył. Wstał, rozejrzał się obojętnie wokoło, podrapał się po jądrach i poszedł do męskiej toalety. Parol ruszył za nim.

Spotkali się w krótkim korytarzyku łączącym strefę z pisuarami i strefę kabin i umywalek. Zwitek banknotów sprawnie trafił do kieszeni fana gangsterskiego rapu w idiotycznej czapeczce, w zamian do ręki Parola trafiły trzy paczuszki z białym proszkiem.

– *Nice trip!* – rzucił diler, wychodząc.

Parol odprowadził go wzrokiem, a kiedy trzasnęły drzwi, powiedział pod nosem:

– Wal się!

Schował paczuszki z heroiną do kieszeni i wyszedł z klubu. Po drodze do samochodu wypalił jeszcze dwa papierosy

i sięgnął nawet po kolejnego, lecz zorientował się, że paczka jest pusta. Zmiał ją i wrzucił do najbliższego kubła na śmieci. Pod arkadami na Ruskiej zatrzymał się przy barze Spartan. Prosto z okienka można było kupić niezły kebab i zjeść przy odrapanych stolikach na chodniku. Parol zamówił jeden na wynos. Kiedy czekał na realizację zamówienia, obok niego stanął ubrany w kraciatą koszulę mężczyzna wyglądający na jakieś pięćdziesiąt lat. Był posiadaczem długich, posiwiałych włosów, zza paska spodni wystawała mu szyjka półlitrowej butelki z wódką. Czekając na swoją kolej, wyjął ją, odkręcił i pociągnął łyk. Spojrzał przyjacielsko na Parola.

– O przepraszam, napijesz się ze mną? – zapytał.

Parol bez słowa wziął butelkę. Ostry smak ciepłej wódki podrażnił kubki smakowe i podrapał w gardle.

– Dzięki – powiedział i oddał butelkę, która natychmiast wylądowała za paskiem spodni.

Z tyłu przechodzili ludzie, słychać było szum samochodów na Ruskiej, śniady mężczyzna pakował do podgrzanej bułki mięso i warzywa.

– Dajesz radę?

Długowłosey nadal patrzył na Parola życzliwie. Ten ze zdziwieniem usłyszał swój głos:

– Jeszcze jakoś ciągnę, ale jest coraz bardziej pod górę.

Z jakiegoś powodu mężczyzna wzbudził w nim zaufanie. Może dlatego, że patrząc na jego rysy, można było się domyślić niejednego życiowego zakrętu.

– Jest weekend, trzeba się bawić i zapomnieć o problemach. Jutro będzie tylko gorzej!

– Na pewno.

Parol odebrał reklamówkę z jedzeniem, skinął tamtemu głową i odszedł bez słowa.

Może powinien zadzwonić do Zakrzewskiego i opowiedzieć mu o wszystkim? Nie, zależało mu na pracy w policji i nie mógł

ryzykować. Tylko czy kupowanie narkotyków u dilerów na dyskotece w centrum miasta było rozsądne? Nie było. Przecież jego koledzy od narkotyków nie są kretynami. Na pewno znają chłopaka ubranego jak czarny raper. Może go obserwują?

– Uśmiechnij się, Parol, bo jutro będzie gorzej – powiedział pod nosem, zbiegając po schodach do przejścia podziemnego pod placem Jana Pawła II.

W domu był wpół do pierwszej. W kuchni zjadł kebab z ostrym sosem, pozbywając się nareszcie posmaku wódki w ustach. Potem wziął zimne piwo z lodówki i poszedł do pokoju. Otworzył skrytkę pod blatem biurka i schował tam trzy paczuszki z heroiną. Wyciągnął już napoczętą. Akcesoria niezbędne do cudownej wyprawy do krainy marzeń, która już dawno zmieniła się w koszmar z najstraszniejszego horroru, ułożył równo na blacie biurka: zapalniczka, okopcona łyżeczka, waciki, jednorazowa strzykawka, igła i guma do ściśnięcia przedramienia.

Odchylił się w fotelu, popijał piwo i wsłuchiwał się w ciszę panującą w mieszkaniu. Wkrótce powinno się zacząć.

Czekał.

## 23 Telefon

4 lipca, sobota do południa i po południu

Głos w słuchawce był zachrypnięty i niewyraźny, jakby sygnał telefonu wyrwał jego właściciela z głębokiego snu.

– To ty, Zakrzewski? Chryste Panie, jest sobota, dziewiąta...

– Obudziłem cię? – zapytał Marcin z udawaną troską w głosie.

Tak naprawdę nie miał wyrzutów sumienia. Chciał zadzwonić już poprzedniego wieczoru, kiedy tylko przypomniał sobie o komisarzu Piotrze Koniecznym z wydziału zajmującego się zwalczaniem korupcji. Znali się z widzenia z kilku policyjnych imprez. Zapamiętał Koniecznego jako wesołego i bardzo gadatliwego faceta. Szczególnie po alkoholu. Kiedyś mocno wstawiony opowiadał, że jego wydział węszy wokół niektórych miejskich instytucji, a szczególnie sprawdza Wydział Zasobu Komunalnego. Z informacji, jakie anonimowo trafiły do prokuratury, wynikało, że w grę mogą wchodzić łapówki przekazywane przez prywatny biznes w zamian za zlecenia od miasta. Marcin przypomniał sobie o tym późno wieczorem, po powrocie ze spaceru z psem. Od razu po przebudzeniu znalazł numer Koniecznego i zadzwonił.

Konieczny, ochrzczony w wydziale niezbyt oryginalną ksywką Pedro, westchnął przeciągle.

– Niech cię jasna cholera, późno wróciłem, trochę wypilem, nie znęcaj się nade mną.

– Tylko jedno pytanie.



– Słyszałem od kolegów, że nie ma większego upierdliwca niż ty.

– Ja też ich pozdrawiam

Marcin w kilku zdaniach streścił, o co chodzi. Szczęknęła zapalniczka i słychać było wyraźnie, jak Pedro wydmuchuje dym papierosa z płuc.

– Z tamtej sprawy nic nie wyszło – powiedział. – Były za słabe poszlaki i prokurator umorzył postępowanie. Korupcja w magistracie to delikatna sprawa. Żeby tam wejść, musielibyśmy mieć mocne dowody. No i skończyliśmy zaraz po pierwszych przymiarkach. Może kiedyś jeszcze do tego wrócimy. Czekamy na lepszy moment.

– Czyli nadal węszyć.

– Oficjalnie nie, ale wiesz, jak to jest.

– J-jasne. A jakie jest twoje zdanie?

Konieczny zaciągnął się papierosem i zakasłał.

– Bez dwóch zdań przedsiębiorcy płacą, żeby dostać zlecenia od miasta. A nawet więcej, płacą postojowe – powiedział.

Zakrzewski znieruchomiał, nalewając sobie kawy.

– Jakie postojowe? – zapytał.

– Wiesz, trochę czasu mija, zanim opustoszałe lokale trafią do remontu. Firmy budowlane, które remontują pustostany, to raczej małe jednostki. Nie mają wielkiej mocy przerobowej, więc płacą, żeby lokale czekały, aż będą mogli się nimi zająć.

– O cholera, aż tak?

– To tylko przypuszczenia.

– Piotrze, interesuje mnie poddasze w kamienicy na Siemieńskiego – dorzucił Marcin.

– Pierwsze słyszę. W naszym śledztwie nie przewija się taki wątek.

– Interesuje mnie cokolwiek na ten temat.

– Sprawdzę – obiecał Pedro. – Ale nie za darmo. A teraz spieprzaj, bo idę spać.

Konieczny rozłączył się, a Marcin nastawił głośno muzykę i skupił się drugiej kawie i śniadaniu. Coś z tym poddaszem na Siemieńskiego musiało być nie w porządku. Ruciński miał podobne zdanie. Nigdzie jednak nie znaleźli punktu zaczepienia.

Jadł zasłuchany jak Tilo Wolff z *Lacrimosy* opowiada ponuro o zakazanych rozkoszach w utworze *Kabinett Der Sinne*. Dopiero po chwili zauważył, że telefon leżący przed nim na stole wibruje i podświetla się. Spojrzał na ekran – Paulina.

– Słucham – powiedział, biegnąc do pokoju, żeby ściszyć muzykę.

– Cześć! Pomyślałam, że będziesz zainteresowany. Telefon Koskowskiego wczoraj wieczorem zalogował się w sieci.

Marcin zastygł. Przecież dopiero co się nad tym zastanawiał. Było duże prawdopodobieństwo, że telefon wypłynie. To najczęstszy błąd przestępcy, pokusa, żeby sprzedać drogi aparat. Ale nie spodziewał się, że telefon włączy się zaledwie kilka dni po morderstwie. Trochę zbyt proste.

– Namierzyliście go? – zapytał szybko.

– Zejdź na dół, czekam w samochodzie.

Wyrzwał przez kuchenne okno. Czarna toyota stała zaparkowana obok jego motocykla.

Ubierał się szybko. Tina myśląc, że szykują się na spacer, machała wesoło ogonem i biegała za nim po całym domu. Marcin zapiął na piersi szelki z kaburą mieszczącą służbowego walthera p99. Nie lubił szelek, ale broń pod pachą mniej rzucała się w oczy niż przymocowana do paska spodni, gdy na górze miał tylko T-shirt. Upał nadal był niemiłosierny.

– Pies zostaje! – rozkazał w drzwiach. – Przepraszam – rzucił jeszcze.

Kiedy wskoczył na siedzenie pasażera, Paulina wyrzuciła niedopałek papierosa przez otwarte okno i ruszyła ostro. Koła zabuksowały, zanim auto odzyskało przyczepność.

Marcin popatrzył na jej profil. Wciąż widział swoją Paulinę z grzywką opadającą na oczy.

– Opowiadaj – rzucił.

– Telefon zalogował się do sieci wczoraj około dwudziestej – mówiła skupiona na jeździe, nawet na niego nie zerkając. – Od razu zaczęliśmy go namierzać. Jeździł po centrum miasta do drugiej w nocy, wreszcie znieruchomiał gdzieś w okolicach Prądyńskiego w Trójkącie. Zalogował się idealnie, do trzech stacji bazowych w okolicy. Wywiadowcy z komisariatu na Rakowcu, który znajduje się obok, węszyli tam całą noc. Wreszcie wytypowali podejrzanego.

– Jak?

– Sprawdzili numery rejestracyjne aut zaparkowanych w podwórkach w okolicy, gdzie namierzaliśmy sygnał, znaleźli w bazie właścicieli i okazało się, że jeden z nich jest stałym klientem. Rozboje, kradzieże, narkotyki. Mieszka w kamienicy między Łukasińskiego a Komuny Paryskiej.

Zakrzewski kręcił głową z kwaśną miną. Uprzedziła go, zanim zdążył się odezwać.

– Wiem, że to dla ciebie za proste – odezwała się, pierwszy raz zerkając na niego. – Ja też jestem sceptyczna. Tylko że ludzie z mojej ekipy i ci z Rakowca porządnie się przy tym napracowali.

– No i?

– Nie chcę, żebyś tam chodził ze skwaszoną miną i powtarzał wszystkim wokoło, że to fałszywy trop i na pewno nic nam nie da. Morale w ekipie śledczej jest nadszarpnięte i nie chciałabym, żebyś jeszcze bardziej je podkopał. Rozumiemy się?

– Dla ciebie wszystko. – Zasalutował.

Lubił ją taką władczą, a ona o tym wiedziała.

– Nie pieprz!

Z piskiem opon skręciła w Legnicką na placu Strzegomskim, przejeżdżając na czerwonym świetle. Marcin odruchowo

chwycił się rączki nad drzwiami.

– Może morderca sprzedał ten aparat? Wtedy będziemy mieli jakiś ślad.

– Jak na gliniarza jesteś wyjątkowo bystry.

Parsknął śmiechem. Paulina też posłała mu krzywy uśmiech ze swojej przebogatej kolekcji.

Marcin wyciągnął telefon i wybrał numer do Szawczaka. Po kilku sygnałach włączyła się skrzynka, informując, że może nagrać wiadomość. Nie nagrał. Zatelefonował jeszcze dwa razy, w końcu napisał SMS: „Zadzwoń!”. Cholera, co ten facet robi w sobotę przed dziesiątą rano?

Paulina dostrzegła jego poirytowanie.

– Parol?

– To będzie kiedyś dobry glina, tylko jest trochę inny i jeszcze go nie rozgryzłem – odpowiedział.

– Ty też jesteś trudny.

– Dzięki!

Zadzwoił telefon Pauliny. Odebrała, słuchała chwilę, po czym rozłączyła się bez słowa.

– Grupa interwencyjna jest na miejscu. Od strony Komuny Paryskiej.

Po kilku minutach byli na miejscu. Zaparkowali za furgonetką grupy specjalnej. Uzbrojeni po zęby, ubrani na czarno i zamaskowani funkcjonariusze siedzieli wciąż w środku, żeby nie przyciągać ciekawskich. Marcin im nie zazdrościł. W grubych kamizelkach kuloodpornych tkwili zamknięci w puszce.

Trzasnęły drzwi i na tylne siedzenia wsunęli się Andrzej Szmidt i nieznany Marcinowi policjant, na pierwszy rzut oka tajniak. Pewnie ten z komisariatu na Rakowcu. Przywitali się skinieniem głowy.

– Co to za gość? – zapytała Paulina bez wstępów.

– Jacek Górski, lat dwadzieścia osiem. Należy do gangu kiboli, który rozpracowujemy. Rozboje, handel narkotykami i nielegalnym alkoholem. Nasz delikwent siedział już za ciężkie pobicie, bierze udział we wszystkich rozróżach na stadionie i poza nim. Lubi ten sport.

– Gdzie jest teraz?

– Jeździł po mieście do drugiej w nocy, potem zaparkował w podwórku pod kamienicą i nie wychodzi z domu. Dwaj nasi ludzie kręcą się tam od rana.

– OK – powiedziała Paulina i spojrzała przelotnie na Marcina.

– Wchodzimy!

Po chwili ośmiu uzbrojonych po zęby policjantów z grupy specjalnej biegło chodnikiem wzdłuż ścian budynków, żeby nie rzucać się w oczy. Za nimi ruszyli Marcin z Pauliną i nieznanym policjantem. Po chwili byli na podwórzu przed kamienicą. Grupa specjalna natychmiast zniknęła w środku, Marcin został przy wejściu. Paulina stanęła obok niego.

– Dziękuję, że się nie wtrącałeś – powiedziała

– To twoja akcja – odrzekł.

Podwórko wyglądało koszmarnie. Utwardzona ziemia, dziury i nierówności, które po deszczu zmieniały się pewnie w pojezierze kałuż i błota. Po kątach wały się śmieci. Po drugiej stronie, naprzeciw bramy, stały zaparkowane cztery auta. Czarne, tuningowane bmw, mające swoje najlepsze lata za sobą, należało chyba do Jacka Górskiego.

Znajdowali się na Przedmieściu Oławskim, zwanym potocznie Trójkątem Bermudzkim. Statystyki przestępczości były tu kilka razy większe niż w pozostałych częściach miasta. Kiedyś porządni obywatele omijali Trójkąt, ten rejon stał się nawet inspiracją do postania utworu *Strzeż się tych miejsc* Klausa Mitffocha. W czasie powodzi tysiąclecia, która nawiedziła Wrocław w 1997 roku, woda sięgała tu do pierwszego piętra, kilka kamienic zaważyło się, jeszcze inne

trzeba było wyburzyć. W ich miejscu powstawały nowe budynki, sprowadzali się nowi mieszkańcy, określenie Trójkąt trochę straciło na znaczeniu. Mimo to Przedmieście Oławskie ciągle pozostawało najbardziej zaniedbaną częścią miasta. O rewitalizacji tego miejsca mówiło się od lat, wiecznie brakowało na to pieniędzy.

Marcin w zamyśleniu rozglądał się po podwórku, kiedy nagle dostrzegł mężczyznę z reklamówką w ręku, idącego od strony Łukasińskiego. Pewnie wracał z Żabki z bułkami na śniadanie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie jego zachowanie. Mężczyzna się zawahał i zatrzymał. Marcin ocenił go jednym spojrzeniem – ogolony na łyso, szeroka klatka piersiowa, wielkie bicepsy, tatuaże na przedramionach i szyi i przede wszystkim koszulka w barwach piłkarskiego Śląska Wrocław.

Trącił Paulinę i wskazał jej mężczyznę wzrokiem. Dwóch policjantów stojących kilka kroków dalej też się nim zainteresowało.

Nagle dobiegł ich stłumiony odgłos wyważanych drzwi i krzyki oddziału specjalnego szturmującego mieszkanie. Facet spojrzał przestraszony do góry i cofnął się o krok. Marcin położył dłoń na rękojeści swojego pistoletu i ruszył w jego stronę. Kątem oka widział, że policjanci również sięgają po broń. Kiedy był trzy kroki od łysego i otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ten rzucił mu w twarz reklamówkę i zaczął uciekać. Marcin odruchowo uchylił się, wyszarpnął pistolet, złożył się do strzału i krzyknął:

– Stój, bo strzelam!

Cholerne procedury!

Łysy był już po drugiej stronie ulicy, wbiegał na podwórko między kamienicami. Zakrzewski, klnąc, pobiegł za nim. Nie zwrócił uwagi na pisk hamulców i trąbienie, kiedy przebiegał przez ulicę. Skupił się tylko na kibolu. Facet skręcił w lewo i zniknął mu z oczu za rogiem. Marcin również skręcił w lewo.

Łysy był kilkanaście metrów przed nim. Biegli ciągiem podwórek w kwartale kamienic. Mijali zaparkowane samochody, przecinali trawniki, omijali nieliczne drzewa, lawirowali między mniejszymi budynkami stojącymi w środku.

Marcin zaczął się zbliżać do uciekającego. Gdyby oddech mu pozwolił, na pewno by się uśmiechnął. Co z tego, że facet wyciskał codziennie na siłowni tony żelastwa? Wielkie mięśnie nie pomagały mu w ucieczce.

Łysy wbiegł do otwartej tylnej bramy jednej z kamienic, Marcin wpadł tam dwie sekundy później. Poślizgnął się na szmacie do wycierania nóg położonej na śliskiej podłodze. W ostatniej chwili zamortyzował upadek, tłukąc sobie boleśnie łokcie. Kątem oka zobaczył, że miał cholerne szczęście. Gdyby nie upadł, nadziałyby się na potężną pięść, która była zakończeniem wytrenowanego jak u kulturysty ramienia. Uderzenie wymierzone prosto w twarz Marcina tylko musnęło mu czubek głowy.

Na szczęście łysy nie czekał, tylko rzucił się do dalszej ucieczki. Zadudniły kroki na drewnianych schodach. Marcin pozbierał się i znowu ruszył za nim. Już na pierwszym piętrze zaczął nadrabiać dystans. Tyle tylko, że słabł w zastraszający tempie. Między pierwszym a drugim piętrem zaczął wyraźnie zostawać w tyle.

Kiedy wdrapał się na czwarte piętro, ledwo oddychał, a przed oczami widział różnokolorowe plamy. Trzasnęły drzwi po lewej stronie. Rzucił się w tamtym kierunku i wpadł do czyjegoś mieszkania na poddaszu. W nozdrza uderzył go zapach stęchlizny i skondensowany odór kulek na mole. Przebiegł przez zagracony korytarzyk, uderzył boleśnie biodrem w szafkę. Widział, jak łysy odsuwa firankę i wychodzi przez otwarte drzwi na balkon. Uniósł pistolet.

– Stój, bo strzelam!

– Jakie strzelam? Kurwa, jakie strzelam?!

Głos przypominający zgrzytanie zardzewiałego mechanizmu dochodził z prawej strony. Stara kobieta z pomarszczoną jak zwiędłe jabłko twarzą zamierzyła się na niego laską.

– Ty chuju pierdolony! Wypierdalaj stąd, kutasie jebany!

Zasłonił się ramieniem przed pierwszym uderzeniem laski. Próbował pokazać jej odznakę.

– Policja! – krzyknął.

Ta wiadomość tylko pobudziła staruszkę do działania. Spadły na niego kolejne dwa uderzenia.

– Ty psie parszywy!

Wraz z odorem przetrawionego alkoholu podłej jakości poleciały w jego kierunku nowe wyzwiska.

Zakrzewski złapał koniec laski wzniesiony do ataku i odrzucił ją w kąt. Wyszedł na balkon, ale łysy zdążył już zniknąć. Prawdopodobnie przeszedł na drugi balkon oddalony o metr od tego, na którym stał teraz Marcin. Nie wahając się ani chwili, przełożył nogę przez barierkę i przeszedł jego śladem. Od razu zauważył, że mieszkanie obok to pustostan. Z wyciągniętym przed siebie pistoletem wszedł do pokoju przez drzwi balkonowe z potrzaskaną szybą. Kawałki szkła zachręściły mu pod nogami. Ostrożnie obszedł wszystkie pomieszczenia.

Drzwi na klatkę schodową były otwarte. Wyszedł i rozejrzał się. Ani śladu łysiego. Pewnie wykorzystał jego spotkanie z krewką staruszką i nawiał.

Marcin wyjrzał przez uchylone okno z widokiem na plac Zgody i budynek Muzeum Etnograficznego. Spojrzał w dół na chodnik. Z bramy akurat wybiegał łysy. Trzy postacie jednocześnie rzuciły się na niego. Przewrócił się i po chwili leżał grzecznie z rękami skutymi na plecach. Marcin zobaczył, że Paulina Czerny mówi coś do dwóch policjantów z jej grupy śledczej, a później patrzy w górę. Musiała go zobaczyć, bo pomachała ręką. Cieszył się, że z takiej odległości nie widzi uśmiechu na jej twarzy.



\*

Paulina weszła do pokoju i ciężko usiadła na krześle pod drugiej stronie biurka. Popatrzyła Marcinowi w oczy.

– Kto dał dupy? – zapytał krótko i konkretnie.

– Dwóch ludzi z mojej grupy śledczej obstawiało kamienicę, w której mieszkał Górski – odpowiedziała beznamiętnie. – Boczne wyjście z kamienicy było zamknięte, więc je zlekceważyli. Nie pomyśleli, że mieszkańcy mają klucz i często z niego korzystają.

Marcin pokiwał głową.

– Opiszysz to w oficjalnym raporcie?

– Już dostali ode mnie porządną zjebkę. To dobrzy gliniarze i sporo się ostatnio napracowali. Nie chciałabym, żeby mieli kłopoty. Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Czy ty się nie wygadasz?

Marcin odchylił się na krześle, aż zaskrzypiało. Teraz on poszukał wzrokiem jej spojrzenia.

– Nic nie powiem, ale pod jednym warunkiem.

Uniosła w górę brwi.

– Co to za warunek?

– Odpowiedz mi szczerze na pytanie.

Zawahała się, wiedział, dlaczego. Bała się, że naruszy kruchą równowagę, którą wypracowali i która pozwalała im obojgu na w miarę normalną współpracę na gruncie zawodowym.

– Jak brzmi pytanie?

– Śmiałaś się ze mnie, jak skuwaliście Górskiego na chodniku?

Poruszyła się zaskoczona.

– Zwariowałaś? Mrużyłam oczy, patrząc pod słońce. Poza tym... niepokoiłam się o ciebie.

Zamilkli trochę zakłopotani.

– Nieważne – odezwał się Marcin. – Ja nie mam zamiaru nikomu o niczym opowiadać.

– Dzięki. – Przez jej zmęczoną twarz przeleciał cień uśmiechu.

– Powiedział coś?

Przez ostatnie trzy godziny Paulina była przy przesłuchaniu Górskiego. Marcin czekał na rezultaty w swoim pokoju, po raz setny przeglądając akta sprawy.

– Przypadek albo celowa zmyłka – powiedziała szybko.

Wyciągnęła z kieszeni papierosa i spojrzała na niego pytająco. Pokazał jej gestem, że może zapalić. Po chwili w jego nozdrza uderzył ostry zapach dymu z papierosa. W całym budynku obowiązywał zakaz palenia.

– Górski twierdzi, że telefon znalazł w czwartek wieczorem – kontynuowała, zaciągając się łapczywie. – Leżał na chodniku pod jego samochodem. Tak zwyczajnie, jakby komuś wyleciał z kieszeni. Nawet na brzegu aparatu jest ślad, jakby po uderzeniu w płyty chodnikowe.

– Jakież odciski palców?

Pokręciła głową.

– Wyczyszczony jakby prosto ze sklepu. Są tylko odciski naszego kibola.

– A zawartość?

– Wszystkie dane są. Już pracuje nad nimi nasz informatyk. Górski twierdzi, że nie miał zamiaru szukać właściciela. Aparat jest drogi, więc chciał go zatrzymać albo opchnąć za parę stów. Nie przeglądał zawartości. Tylko go włączył i zostawił w skrytce w samochodzie. Wygląda na to, że mówi prawdę i nie ma nic wspólnego z mordercą ze zdjęcia. – Zgasiła papierosa na szklanej podstawce pod szklaną.

– Czyli się wywinie.

Paulina poprawiła grzywkę, a na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek.

– Nie bardzo – powiedziała. – W jego mieszkaniu znaleźliśmy tabletki ecstasy, nielegalną broń i podrobione znaki akcyzy na alkohol. Prokurator już wydał nakaz aresztowania.

Wstała, żeby wyjść, ale przy samych drzwiach odwróciła się do niego.

– A ty co tu jeszcze robisz? – zapytała. – Już jesteś w fazie śledztwa non stop?

– Tak jakby.

– Jest weekend. Wyjdź gdzieś na miasto, umów się ze znajomymi, zabaw się. Życie to nie tylko praca.

– J-jasne. Rozumiem, że mnie nie odwieziesz do domu?

– Wybacz, ale nie mogę. Dyżurny coś ci załatwi.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, zastanowił się nad jej ostatnimi słowami. Może miała rację? Może powinien umówić się z kimś znajomym i pójść na piwo albo drinka. Zresetować myślenie.

Zadzwoił do dyżurnego, żeby załatwił mu wóz patrolowy. Zamknął teczkę z dokumentami, wyłączył komputer i wyszedł na pusty korytarz budynku policji. Na schodach prowadzących do drzwi wyjściowych zatrzymał się i odebrał telefon.

– Słucham?

Głos w słuchawce był niepewny i zachrypnięty.

– Szawczak z tej strony. Dzwoniłeś do mnie?

– Tak, ale to już nieaktualne.

– Przepraszam, ale spałem i nie słyszałem.

– O tej porze?

Parol sprawiał wrażenie chorego albo skacowanego.

– Tak wyszło.

– Dobra, już nieważne. Cześć!

Marcin schował telefon do kieszeni i wyszedł na tonący w słonecznym żarze świat. Radiowóz już na niego czekał. Siedząc na tylnym siedzeniu, przez całą drogę robił w głowie

przeгляд znajomych. Szybko doszedł do wniosku, że nie ma ochoty z nikim się umawiać.

## 24 Wzgórze

5 lipca, niedziela, cały dzień

Paulina zasugerowała, że nie ma życia prywatnego? Kiedy prowadzi śledztwo, wszystko przestaje go interesować? Nie może się wyrwać? Traci dystans?

– Nieprawda – powiedział sobie, gdy tylko około ósmej trzydzieści otworzył oczy i centymetr od swojej twarzy zobaczył pysk Tiny, która jak zwykle spała przy jego łóżku. Kilkadziesiąt minut później, po spacerze, śniadaniu i dwóch kawach próbował sobie i jej udowodnić, że ma życie osobiste. Zatelefonował do mamy, potem pojechał na zakupy do centrum handlowego Magnolia. Znowu nie mógł się nadziwić, skąd wzięli się ci wszyscy ludzie kręcący się bez widocznego celu po dwóch piętrach galerii.

Wrócił do domu po południu i poszedł na długi spacer z psem. Po powrocie stanął przed półkami z bogatą kolekcją płyt CD z ulubioną muzyką i długo zastanawiał się, czego ma ochotę posłuchać. W końcu wybrał kanadyjską grupę Voivod. Z głośników popłynęła energetyczna, brutalna muzyka rockowa. Marcin uważał, że wokalista Voivod nie potrafi śpiewać, ale nie psuło to piorunującego efektu. Raczej go potęgowało.

*It's a good day to express yourself, it's a nice day to raise hell as well* – wykrzykiwał akurat wokalista w refrenie, kiedy przez łomot muzyki przedarł się klasyk Led Zeppelin.

Ściszył i pobiegł do kuchni. Odebrał w ostatniej chwili, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– Słucham? – powiedział lekko zasapany.

– Cześć! Słyszę, że ci przeszkodziłam...

Kobięcy głos w słuchawce zabrzmiał miło i przyjemnie.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział szybko Marcin, gorączkowo starając się odgadnąć, z kim rozmawia. – Z czym dzwonicz?

Na dźwięk śmiechu w słuchawce trochę się zmieszał.

– Nie poznajesz mnie?

– Szczerze mówiąc... nie – odrzekł zakłopotany.

– Hanna, Hanna Duciak. Spotkaliśmy się już w zakładzie medycyny sądowej.

Przed oczami natychmiast zobaczył błękitne oczy, czarne włosy i ponętny biust uwieczony w białym fartuchu. Oraz wysuszoną twarz zmumifikowanych zwłok. Zamrugał nerwowo.

– Przepraszam, faktycznie cię nie poznałem. – Uśmiechnął się mimowolnie.

– Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam?

– Nie, oczywiście, że nie. Leniwe niedzielne popołudnie. Jak zwykle.

– To świetnie! – wyraźnie się ucieszyła. – Może dasz się namówić na przejażdżkę na motorach? Nosi mnie od rana, a nie mogę się dodzwonić do nikogo ze znajomych. Pomyślałam więc o tobie. Mam nadzieję, że nie... – zawahała się.

W pierwszej chwili chciał skłamać. W drugiej przypomniały mu się słowa Pauliny. Dlaczego nie, do cholery? Ładna dziewczyna sama do niego dzwoni. Dlaczego nie miałyby spędzić miło kilku godzin?

– Bardzo chętnie się z tobą przejadę. Nie mam żadnych planów na dziś.

Wyraźnie się ucieszyła.

- Więc kiedy? – zapytała.
- Nawet teraz.
- Super. To za pół godziny na Orlenie na Klecińskiej.
- Będę.

Rozłączyła się.

Zakrzewski stał nieruchomo, wpatrując się w gasnący ekran aparatu telefonicznego, po czym podniósł wzrok i spojrzał na leżącego w progu psa.

– Tina, rozumiesz coś z tego? – zapytał. – Atrakcyjna dziewczyna, młodsza o piętnaście lat, sama do mnie dzwoni i wyciąga na randkę. Dasz wiarę? Może nie jest ze mną jeszcze tak źle?

\*

Za kwadrans szesnasta był na stacji. Czarne bmw stało przed wejściem. Hanna akurat wychodziła z budynku stacji z kubkiem kawy w jednej dłoni i kaskiem w drugiej. Zatrzymał się tuż przed nią, zgasił silnik i zdjął kask. Na jej ładnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Cześć! Punktualny jesteś! – zawołała.

– Taka cecha zawodowa – odpowiedział skromnie.

– Żartujesz! Poznałam ostatnio paru śledczych i uważam, że jesteście jedną z najbardziej niesłownych grup zawodowych. Mam oczywiście na myśli punktualność.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Myślałem, że jest odwrotnie.

Hanna dopiła kawę i wyrzuciła kubek do śmietnika stojącego przy wejściu. Marcin w tym czasie przyjrzał jej się dokładnie. Mimo nieznośnego upału ubrana była według najnowszych motocyklowych wzorców: obcisłe czarne spodnie z ochraniaczami na kolana, wysokie buty wzmacniane metalowymi okuciami, lekka skórzana kurtka motocyklowa i rękawice. Wszystko lśniło nowością i Marcin mógłby się

założyć, że kosztowało majątek. Poczuł się nieswojo. Sam ubrał się normalnie: adidas i wytarte dżinsy. Tylko na czarny T-shirt z logo Motorhead narzucił motocyklową kurtkę, którą kupił za bezcen na Allegro. Była stara i na zagięciach wyraźnie się łuszczyła.

– Fajnie, że dałeś się wyciągnąć na przejażdżkę – rzuciła Hanna, uśmiechając się do niego dziwnie.

Czy to był zalotny uśmiech, czy tylko mu się zdawało?

– Nie mogłam już usiedzieć w domu. Wiesz, uwielbiam szybką jazdę. Masz dużo paliwa?

– Prawie pełny bak – odpowiedział niepewnie.

– No to ja prowadzę!

Podeszła do swojego motoru i wsiadła z wdziękiem. Zanim założyła kask, powiedziała jeszcze:

– Masz zajefajny kask. Wszystkim pewnie się spodoba. Jedź za mną!

Jej bmw zawarczało złowrogo, a potem silnik zawył, kiedy odkręciła manetkę z gazem. Ruszyła jednak powoli i gracją. Motor słuchał jej jak pies, który przeszedł gruntowną tresurę. Marcin szybko odpalił swoją hondę, włożył kask i ruszył za nią. Widział jeszcze, jak młody chłopak w koszulce i czapeczce z logo stacji benzynowej z podziwem odprowadza Hannę wzrokiem.

Wyjechali na ulicę Muchoborską, wolno przejechali koło Lidla i skręcili na estakadę Gądowianka. Jadąca przodem Hanna wystrzeliła nagle do przodu i zaczęła się bardzo szybko oddalać. Na szczęście dogonił ją na czerwonym świetle na skrzyżowaniu obwodnicy śródmiejskiej z Bystrzycką. Stała przed rzędem aut. Marcin musiał mocno lawirować między osobówkami, żeby zatrzymać się przy niej. Odsunęła szybkę w kasku.

– Zaspaleś! – krzyknęła.

– Tak jakby!



Już kiedyś tak stali na światłach przed mostem Warszawskim. Marcin pamiętał dobrze, co wtedy zrobiła. Podobnie było tym razem. Gdy tylko zapaliło się zielone, bmw wystrzeliło do przodu na jednym kole i w ten sposób przejechało kilkadziesiąt metrów, nabierając prędkości. Marcin ostro ruszył w pogoń. Na następnych światłach znowu stali obok siebie.

– Mam déjà vu?! – krzyknęła do niego Hanna.

– Nie, sytuacje lubią się powtarzać!

Skręcili w kierunku Leśnicy. Do granic miasta sytuacja powtarzała się jeszcze kilkakrotnie. Hanna mu odjeżdżała, a on ją doganiał na światłach.

Kiedy wyjechali z miasta i drogą krajową numer 94 pomknęli w kierunku Środy Śląskiej, Marcin już nie dał się zgubić. Cały czas trzymał się kilka metrów za tylnym kołem bmw Hanny i powtarzał jej manewry, kiedy wyprzedzała jadące dużo wolniej auta. Jechała szybko, o wiele za szybko. Złamali po drodze niezliczoną ilość przepisów drogowych, ale Marcin musiał przyznać, że w jej jeździe nie było zbytnej brawury. Kiedy nie można było wyprzedzać, zwalniała i czekała, w terenie zabudowanym w okolicach przejść dla pieszych, zwalniała dużo wcześniej. Pewnie jego koledzy z drogówki oceniliby ich jazdę zupełnie inaczej, ale w tej chwili mało go to obchodziło.

Kiedy minęli miejscowość Błonie, a później Źródła, przez chwilę wystraszył się, że Hanna jedzie do Szczepanowa, pod dom Bogdańskiego, jednak ta myśl uleciała mu z głowy wraz z pędem powietrza. Tym bardziej że nie jechali do Szczepanowa. Po prawej stronie minęli zakład przemysłowy z zieloną halą magazynu wysokiego składowania. Wyglądała jak klocek zostawiony przez olbrzyma i nie pasowała do otoczenia. Hanna zaczęła gwałtownie hamować przed parkingiem położonym trochę dalej. Powietrze falowało od

słonecznego żaru lejącego się z nieba. W jedynej plamie cienia rzucanego przez wielką tablicę reklamującą Średzki Park Wodny stały cztery motocykle, a przy nich pięć osób – dwie dziewczyny i trzech mężczyzn. Żadne z nich na pierwszy rzut oka nie wyglądało na więcej niż trzydzieści lat. Faceci zrzucili kurtki motocyklowe i paradowali z nagimi torsami, eksponując efektowne tatuaże.

Zatrzymali się obok. Hanna zeskoczyła ze swojej maszyny i rzuciła się wszystkim w objęcia. Marcin również zsiadł z motoru i czekał z tyłu. Szybko poczuł żar bijący od rozgrzanego asfaltu pokrywającego parking. Ściągnął kask i kurtkę.

– To mój przyjaciel Marcin! – krzyknęła nagle Hanna, odwracając się i puszczając do niego oko.

Przywitał się ze wszystkimi po kolei. Ksywki szybko wyparowały mu z głowy. Muzzy, Rita, Blanco – zapamiętał tylko te trzy.

Hanna wyciągnęła papierosy, poczęstowała Zakrzewskiego, po czym paliła, rozmawiając z resztą, odwrócona do niego tyłem. Marcin palił wpatrzony w sznur aut ciągnących drogą numer 94. Czuł się staro i niekomfortowo.

– Podobno jesteś gliniarzem?

Odwrócił się. Rita przysunęła się do niego i śmiało patrzyła mu w oczy. Miała na sobie obcisłą koszulkę i wyglądała bardzo pociągająco.

Człowieku, ty ostatnio masz jakiś problem z kobietami – zganił się w myślach.

– Najprawdziwszym – odpowiedział.

– Ścigasz szalonych motocyklistów?

– Raczej psychopatycznych morderców.

Najpierw potraktowała jego słowa jak żart. Po chwili kpiący uśmiešek spełził z jej twarzy.

– Ciekawe zajęcie. – Pokręciła głową.

– Nic szczególnego. Jak wywózka śmieci, ktoś to musi robić.

Pożałował nagle swoich obcesowych odpowiedzi, ale ona chyba nie zwróciła uwagi na jego ton.

– Nie wyglądasz na glinę. Przeciętny gliniarz nie rozbija się sportową maszyną i nie nosi tak odjazdowego kasku – rzuciła i wyciągnęła do niego rękę. – Renata.

Uścisnął jej gorącą dłoń.

– Nie Rita?

– Tak mnie nazywają znajomi motocykliści. Tutaj każdy udaje kogoś innego, jak w życiu. Zresztą możesz nazywać mnie Ritą. Teraz jestem przecież kimś innym.

– Marcin Zakrzewski.

Patrzyła mu w twarz badawczo. Znowu poczuł się dziwnie. Emanował z niej jakiś zwierzęcy magnetyzm. Teraz nie wyglądała już na dwadzieścia pięć lat. Musiała mieć co najmniej dziesięć lat więcej i... była podobna do Pauliny Czerny. Miała takie samo bezczelne spojrzenie, uśmiech na jej ustach co chwilę wyrażał coś innego, jakby ukrywał jej prawdziwe uczucia. Reszta też się zgadzała. Krótко ścięte włosy, brązowe oczy, trochę niższa od niego...

Przyjął od niej kolejnego papierosa, chociaż nie miał ochoty. Nawet nie słyszał, o czym Hanna rozmawia z innymi motocyklistami dwa kroki dalej.

– Słynny komisarz Zakrzewski – powiedziała Renata jakby do siebie.

– Chyba mnie z kimś pomyliłaś – próbował zbyć jej słowa kpina.

– Nie spodziewałam się dzisiaj tak fascynującego spotkania. – Zaciągnęła się mocno i wolno wypuściła dym, mierząc go dziwnym spojrzeniem. – Nie spodziewałam się, że Kreska ma takich znajomych.

– Kreska?

– Hania. Mówiłam ci, że tu każdy jest kimś innym.

– A kim ty jesteś, kiedy nie jesteś Ritą?  
– Hmm, może sobą?  
– Mam nadzieję, że Renata jest równie intrygująca jak Rita. –  
Spojrzał jej bezczelnie w oczy.

Nie odwróciła wzroku.

– Pewnie by ci się spodobała. Pokrewna dusza.

– Pokrewna?

– W pewnym sensie ja też zajmuję się zabójstwami.

Zanim zdążył się odezwać, Hanna stanęła obok niego i ujęła go pod ramię.

– Widzę, że świetnie ci się rozmawia z moim Marcinem –  
powiedziała do Rity.

Zakrzewski drgnął zaskoczony. Z moim Marcinem?

– Mamy wspólne tematy. – Jej uśmiech znowu był inny.

Cholera, jak u Pauliny!

– Możemy jechać? – Hanna spojrzała na niego do góry.

– J-jasne. Dokąd teraz?

– Będziemy się ścigać!

Wskoczyła na swoje bmw, odpaliła silnik i włożyła kask.

Rita zbliżyła się do Marcina i śmiało patrząc mu w oczy, włożyła mu do kieszeni spodni biały kartonik.

– Zadzwoń kiedyś. Wydaje mi się, że mamy masę wspólnych tematów. No i w każdą niedzielę koło szesnastej można mnie spotkać tutaj.

– Zapamiętam.

Włożył kask i wsiadł na swoją maszynę. Hanna już wyjeżdżała z parkingu i kierowała się w stronę Środy Śląskiej. Musiał się pospieszyć, żeby nie zostawiła go z tyłu.

Po kilku sekundach już zapomniiał o Ricie-Renacie. Skupiony na prowadzeniu maszyny, gnał na złamanie karku, próbując utrzymać się na ogonie oddalającego się nieubłaganie bmw. Dopiero teraz Hanna pokazała, jak szybko potrafi jeździć.

Dogonił ją na światłach na obwodnicy Środy Śląskiej. Skręcili w lewo i ruszyli w stronę autostrady A4. Wąskie drogi przez wioski, ostre zakręty i pagórki zupełnie Hannie nie przeszkadzały. Marcin chyba jeszcze nigdy nie jeździł tak szybko. Co dziwne, znowu mu się podobało. Zapomniał o całym świecie. Zapomniał o mordercy ze zdjęcia, jego ofiarach, zmumifikowanych zwłokach kobiety, Paulinie Czerny. Odlot.

Za Kostomłotami skręcili na A4 w kierunku Wrocławia. Był spory ruch.

Ten odcinek A4 tak naprawdę nie spełniał wymogów dotyczących autostrad. Zbudowany jeszcze za czasów Trzeciej Rzeszy Niemieckiej z betonowych płyt, wytrzymał bez większych remontów aż do początków lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Marcin pamiętał, że jazda w dawnych czasach tą „autostradą” przypominała jazdę pociągiem. Samochód podskakiwał na wypaczonych przez lata betonowych płytach, a koła wydawały podobne dźwięki jak pospieszny pociąg na łączeniach torów. Do dziś brakowało tu pasa awaryjnego, więc ciągle obowiązywało ograniczenie prędkości do stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

W przerwie między sznurami aut udało mu się nawet dogonić Hannę. Zaraz jednak się zrewanżowała i znowu musiał oglądać czerwone tylne światło jej motocykla.

Zjechali na ostatnim zjeździe na Wrocław. Potem zwolnili do przepisowej prędkości i sunęli karnie aleją Karkonoską. Na najbliższym zjeździe Hanna ruszyła w kierunku Czekoladowej, następnie Karmelkową dojechali do Solskiego. Na wysokości pętli tramwajowej pod wzgórzem, na którym znajdował się cmentarz żołnierzy polskich, skręciła w prawo i zjechali w kierunku brukowanej ścieżki wiodącej na szczyt. Kiedy wspinali się ostro pod górę, silniki ich motorów ryczały jak wściekłe lwy na sawannie. Na szczyt nie wolno było wjeżdżać, najwidoczniej jednak Hanna niewiele robiła sobie z zakazów.

Maszyny zostawili na skraju cmentarza. Dziewczyna poprowadziła Marcina pomiędzy kamiennymi płytami nagrobków na drugą stronę wzgórza. Po prawej stronie górowały nad ich głowami dwa kamienne husarskie skrzydła.

Nie było tu nikogo. Poniżej wolno toczyła swój nurt Śłęza, dalej widać było dachy domków Oporowa, a jeszcze dalej ukrytą za mgiełką upału linię Karkonoszy na horyzoncie.

Usiedli na kurtkach. Skwar był koszmarny. Marcin w jednej chwili oblał się strumieniami potu, a koszulka zaczęła lepić mu się do pleców. Hanna nie zważała na gorąco. Zdjęła motocyklowe buty, rozpięła zamki błyskawiczne w nogawkach spodni i podwinęła je do kolan.

Popatrzyła spod oka na Marcina.

– Uwielbiam wygrzewać się w słońcu – rzuciła.

– Ja niekoniecznie – odrzekł szybko.

– Nie psuj tej chwili, proszę.

Nie psuł.

U stóp wzgórza tramwaj wolno wtoczył się na pętlę, wydając potępieńcze jęki na łuku. Drzwi otworzyły się, ale nikt nie wysiadł ze środka.

Hanna sięgnęła do tyłu, zdjęła opaskę i ciemne włosy rozsypały się jej po ramionach. Wyciągnęła z paczki dwa papierosy i podała jednego Marcinowi.

– Wiesz, to jest takie moje magiczne miejsce – powiedziała, patrząc w dal na góry. – Przychodzę tutaj od dzieciństwa. Przychodziłam tu, kiedy dostałam złą ocenę ze sprawdzianu w szkole, kiedy złapali mnie na przerwie z papierosem, kiedy pokłóciłam się z najlepszą przyjaciółką, gdy rzucił mnie chłopak. Siadałam tutaj, patrzyłam na rzekę, miasto, na góry i powoli odzyskiwałam spokój. Nie zauważyłam nawet, kiedy zaczęłam tu zaglądać bez powodu. Uczyłam się tutaj do matury, potem przychodziłam przed każdym egzaminem na studiach. Raz zaciągnęłam tu nawet jednego chłopaka, który chodził za

mną pół roku, zanim w końcu zdecydował się zaprosić mnie na lody. I wiesz co?

– Nie rozumiał – wpadł jej w słowo Marcin, wpatrując się w żar papierosa.

Roześmiała się głośno.

– Była piękna, czerwcową noc, rozgwieżdżone niebo, nad nami kamienne skrzydła, a wokoło... nagrobki. Do dzisiaj pamiętam jego niepewną minę. Więcej nie chciał się ze mną umawiać.

Marcin też się uśmiechnął.

– Nie boisz się, że ja też nie zrozumiem?

– Teraz mi nie zależy tak jak kiedyś. – Wzruszyła ramionami.

– Pewnie ty też masz jakąś swoją świątynię, w której chowasz się przed światem w ciężkich chwilach.

– Czy ja wiem? – Zastanowił się. – Chyba nie mam. Całe moje życie to praca w policji. Ale...

Urwał. Przypomniał sobie nagle, że przecież kilka dni temu postanowił odejść z policji i pracować dla Bobera. Obiecał sobie, że to ostatnie śledztwo. Potem składa podanie o wcześniejszą emeryturę i definitywnie żegna się z tym etapem w swoim życiu. Nawet nie etapem, lecz epoką, erą, wiecznością. Zawsze pracował w policji. Jeszcze niedawno zmiana pracy była dla niego pewnikiem, nieuchronną koniecznością. Dziwne, ale odkąd rozpoczęło się śledztwo w sprawie mordercy ze zdjęcia, ani razu o tym nie pomyślał.

– No co?

– Słucham muzyki.

Nie chciał jej mówić o swoim zwątpieniu i potrzebie zmian, dlatego powiedział o muzyce. Częściowo to była przecież prawda, muzyka go uspokajała.

– Głupia jestem! – wykrzyknęła i jak nastolatka potrząsnęła głową. – Wydaje mi się ciągle, że każdy jest podobny do mnie, a przecież tylko ja jestem odmieńcem!

– Dlaczego odmieńcem?

Machinalnym gestem założyła włosy za uszy.

– Ojca nigdy nie znałam, a matka porzuciła mnie, kiedy miałam dwa miesiące. Później się dowiedziałam, że była bardzo rozrywkowa. Wiesz, co mam na myśli. Dancingi, alkohol, sanatoria, co tydzień inny facet. Pewnie w taki sposób zaszła w ciążę. Macierzyństwo ją przerosło, więc pewnego dnia wyszła z domu i więcej się w moim życiu nie pojawiła. Chodziły słuchy, że wyjechała za granicę z jakimś „mahoniowym gościem”.

– Przykro mi.

– Daj spokój. – Szturchnęła go po przyjacielsku łokciem w bok. – Tyle lat minęło, ta opowieść nawet na mnie nie robi już wielkiego wrażenia. Było ciężko bez rodziców, ale jak widać, jestem w miarę normalna.

Pstryknęła palcami i niedopałek papierosa poleciał w dół po wyschniętej trawie.

– Wychowywała mnie babcia, mama mojej matki. Po jej śmierci zajął się mną wujek.

– Doktor Musiał – domyślił się.

– Wiele mu zawdzięczam. Właściwie wszystko. To porządny człowiek. Jako nastolatka przechodziłam różne fazy. Byłam jedynym punkiem w liceum, potem działałam w ruchu oazowym i chodziłam na wszystkie pielgrzymki. Pewnego dnia powiedziałam sobie: Kobieto, na cholere ci to wszystko, przecież i tak jesteś ateistką! I zaczęłam imprezować. To było już na studiach. Zawaliłam sesję i miałam wylecieć. Wtedy wujek wziął mnie na pierwszą i jak dotąd jedyną dyscyplinującą rozmowę. Właściwie zadał mi tylko jedno pytanie: – Czy chcę żyć jak matka? Nie chciałam. Jakoś załatwił, żeby nie wyrzucili mnie z uniwersytetu, i odtąd nie sprawiam już kłopotów.

– Masz chłopaka? – zapytał nagle Marcin.



Spojrzała mu prosto w oczy z filuternym uśmiechem na ustach. Naprawdę z nim flirtowała?

– A jaką odpowiedź chcesz usłyszeć?

– Prawdziwą.

– Od dawna nie mam chłopaka. Dlaczego pytasz?

– Kiedy się poznaliśmy, Musiał powiedział, żebym nie próbował się do ciebie zalecać, bo masz chłopaka.

Hanna zaśmiała się głośno i perliście.

– Pocziwy wujaszek – rzuciła, ocierając łzy z kącików oczu. – Chciał mnie chronić. Słodkie!

– Chronić? Przed czym?

– Przed tobą. Podobno jesteś miłośnikiem pięknych kobiet i dobrej whisky. Albo odwrotnie, nie pamiętam już dokładnie.

– Kto ci to powiedział? – Marcin skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

– Twój koledzy z wydziału. Poznałam kilku, odkąd jestem na stażu w zakładzie medycyny sądowej.

– Raczej mam problem z kobietami. A właściwie to ja jestem problemem. Kiedy uświadamiam sobie, że związek ma szansę przetrwać, podświadomie i bardzo skutecznie dążę do tego, żeby go zniszczyć.

Sam się zdziwił, słysząc takie słowa w swoich ustach. Nikomu tego nie mówił. Nawet Paulinie.

– Dlaczego? – W jej poważnym spojrzeniu było coś hipnotyzującego.

– Nie wiem. Pewne zachowania są silniejsze od zdrowego rozsądku. Może dlatego, że w dzieciństwie straciłem brata?

– Opowiedz o tym.

– Nie ma o czym. Miałem brata bliźniaka, który pewnego dnia zaginął. Jeśli jednojajowi bliźniacy to dwie połówki tego samego jabłka, to tego dnia straciłem połowę siebie.

Tramwaj na pętli zamknął drzwi i ruszył wolno w kolejną tego dnia wędrówkę ulicami rozgrzanego do białości miasta.

Od strony schodów prowadzących na wzgórze dobiegły ich ludzkie głosy i szczekanie psa. Ktoś wspinał się na górę. Hanna Duciak sięgnęła po buty i powiedziała:

– Co powiesz na zimną coca colę, wielkiego pączka z budyniem, a potem kawę?

– Ja stawiam.

\*

Kwadrans później siedzieli w przytulnym, klimatyzowanym wnętrzu cukierni na Krzemienieckiej, położonej dokładnie naprzeciw stacji benzynowej, na której Marcin zwykle tankował motocykl. Wypili już po szklance coli, a teraz rozmawiali nad pączkami i kawą. Marcin dużo więcej dałby za zimne piwo, ale musiał poczekać, aż wróci do domu.

Hanna nagle zmieniła temat.

– Wiesz, że sekcja tej zmumifikowanej kobiety była moją pierwszą samodzielną sekcją w życiu?

– Nie.

– Strasznie się bałam, że coś przeoczę.

– Z tego co pamiętam, wyglądałaś na bardzo pewną siebie.

– Udawałam twardą. A tak naprawdę... sam wiesz. – Spuściła wzrok i mieszała w zamyśleniu kawę.

– Wiem – powiedział, żeby ją trochę pocieszyć. – Sam wielokrotnie byłem w takich sytuacjach i też udawałem twardziela. Świat raczej piętnuje kogoś, kto zbyt wyraźnie okazuje ludzkie uczucia.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Wyglądała prześlicznie, trochę jakby zagubiona i odrobinę zakłopotana. Marcin znowu musiał się kontrolować, żeby się na nią zbyt nie gapić.

Odłożyła łyżeczkę na talerzyk, ale nie podnosiła na niego wzroku.

– Jak zamknę oczy, ciągle widzę tamtą kobietę. Nocami męczą mnie koszmary. I obsesyjnie sobie zadaję pytania: Kim była? Czy miała dzieci? Czy kogoś kochała? Czy ktoś za nią tęsknił? Czy ktoś ciągle czeka, aż ona do niego wróci?

Marcin patrzył w nieokreślony punkt nad jej głową. Ona przecież wychowywała się bez matki.

– Rozumiem cię bardzo dobrze.

– Marcin... – Założyła za ucho włosy i dokończyła: – Powiesz mi, jak już będziecie wiedzieć, kto jej to zrobił? Proszę. Może wtedy będę mogła spokojnie zasnąć.

Zakrzewski wiedział, co czuje, ale nie mógł spełnić jej prośby.

– Haniu, nie mogę nikomu zdradzać ustaleń śledztwa, zanim sprawa nie trafi do sądu.

Wyraźnie widział uczucie zawodu na jej twarzy.

– Rozumiem, macie swoje regulaminy. Przepraszam.

Kiedy kilkanaście minut później żegnali się na parkingu przed cukiernią, Hanna długo ścisnęła mu dłoń.

– To była najmilej spędzona niedziela od kilku miesięcy – powiedziała z tajemniczym uśmiechem na ustach.

– Ja też się świetnie bawiłem – odpowiedział szczerze.

– Powtórzymy to kiedyś?

– J-jasne. Kiedy tylko chcesz.

– Zadzwoń.

Włożyła kask, odpaliła motor i wolno wyjechała z parkingu. Po skręcie w lewo jakby na pożegnanie dodała gazu i jechała na tylnym kole aż do przejazdu kolejowego położonego dwieście metrów dalej.

Marcin patrzył za oddalającym się motorem i miał dziwne wrażenie, że nie zadzwoni.

## 25 Profil

5 lipca, niedziela, cały dzień

– Nie! – głos w słuchawce zabrzmiał stanowczo i zdecydowanie.

Było to również ostateczne zakończenie krótkiej rozmowy telefonicznej. Już trzeciej tego dnia. Zakrzewski chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył. Przerywany sygnał w słuchawce oznaczał koniec połączenia.

Od rana próbował wyciągnąć coś od policyjnego profiler, który tworzył portret psychologiczny zabójcy ze zdjęcia. Znali się bardzo dobrze, jeszcze z czasów studiów. Mieszkali na jednym piętrze akademika i często spotykali się na wspólnych, mocno zakrapianych imprezach studenckich. Krzysztof Pawlicki studiował psychologię i miał jedną cechę, która doprowadzała Marcina do szewskiej pasji – zawsze stawał w opozycji do mówiącego, wciąż kwestionował czyjeś opinie. Nie potrafił też sobie odmówić przyjemności dokonania szybkiej psychoanalizy rozmówcy. Marcin wielokrotnie dawał się złapać na te sztuczki. Nawet kiedy lecąc kaca dzień po imprezie, obiecywał sobie, że następnym razem nie da się sprowokować, zazwyczaj mu się nie udawało. Kac mijał, a kolejne spotkanie kończyło się nowym sporem.

Po studiach Krzysztof stworzył prywatny gabinet, a Marcin trafił do policji. Przez lata widywali się od czasu do czasu, żeby wspominać dawne studenckie dzieje. Kiedy śledczy w swojej pracy coraz śmielej zaczęli sięgać po opinie psychologów,

Marcin zaproponował powołanie Krzysztofa na biegłego przy jednej ze spraw i Pawlicki został stałym konsultantem policyjnym. Wraz z paroma innymi psychologami i bardziej doświadczonymi śledczymi stworzył podwaliny profilowania policyjnego. Ostatnio Pawlicki w mniejszym stopniu zajmował się pracą operacyjną, za to szkolił nowe pokolenie profilerów.

Marcin nagle zdał sobie sprawę, że jego relacja z Krzysztofem jest doskonałym potwierdzeniem słów Pauliny. Do niedawna się spotykali, ale od czasu sprawy mordercy ze Szczepanowa ich kontakty się urwały. Z winy Marcina praca brutalnie zawłaszczyła całe jego życie prywatne. Ciekawe, co Pawlicki miałby do powiedzenia na ten temat – pomyślał. – Pewnie dużo.

Wolał jednak nie sprawdzać. Nie zamierzał też odpuszczać. Zadzwoił do jednej z sekretarek w biurze naczelnika i około szesnastej czekał na Pawlickiego pod komendą wojewódzką. Psycholog przeszedł przez bramkę i nagle zatrzymał się na szczycie schodów. Marcin uśmiechnął się do niego niewinnie.

Uścisnęli sobie ręce na przywitanie, mocno, po męsku. Obaj chcieli pokazać siłę i zdecydowanie.

– Mówiłem ci, że jesteś najbardziej upierdliwym gościem, jakiego Pan Bóg dał mi poznać na tym łąz padole? – Pawlicki odezwał się pierwszy, wznosząc przy tym teatralnie wzrok do góry, jakby chciał się upewnić, że Bóg w niebie kiwa głową na potwierdzenie.

– A ty jesteś najbardziej upartym facetem, jakiego znam. Beton przy tobie ma konsystencję plasteliny – odgryzł się Marcin.

Krzysztof nagle roześmiał się serdecznie i poklepał go po plecach.

– Stary dobry Zakrzewski. Mógłbyś od czasu do czasu zadzwonić. Lubilem nasze spotkania przy drinku.

– Jeszcze nie wszystko stracone. A co u twojej rodzinki?

– Z Kasią mi się układa, dziewczynki rosną. Wszystko w porządku. A u ciebie nie bardzo, co?

Marcin nie zareagował na zaczepkę.

– Pozdrów je ode mnie. Jeśli mnie jeszcze pamiętają – powiedział.

– Córki pewnie nie, ale Kasi pokażę twoje zdjęcie. Może sobie przypomni.

– Widzę, że wiek nie stępił twojego specyficznego poczucia humoru.

– Wiem, że już mi się nie uda od ciebie odczepić, ale dla zasady spróbuję jeszcze raz. Za trzy dni Paulina Czerny dostanie ode mnie portret psychologiczny mordercy ze zdjęcia.

– Nie pracuję w zespole Pauliny. A trzy dni to całe lata świetlne.

– No dobrze, ale stawiasz kawę.

W cukierni Malaga przy placu Legionów kawy nie było, więc musieli zadowolić się napoleonką. Siedzieli przy stoliku na zewnątrz. Miejsce było koszarne. Tuż obok, na wszystkich trzech pasach stały długie kolejki samochodów. Huk silników i smród z rur wydechowych skutecznie odbierały apetyt.

– Więc co chcesz wiedzieć? – zapytał Krzysztof, próbując chusteczką pozbyć się drobinki kremu, która spadła mu na białą koszulę. – Naprawdę wszystko będzie w moim materiale – dodał jeszcze.

– W tej chwili nie interesuje mnie, czy morderca miał trudne dzieciństwo, został sierotą w wieku kilku lat, czy wychowywał go dziadek despota, który lał go różgą po rękach, kiedy przyłapał go na masturbacji. Nie chcę czytać o zachowaniach kompulsywnych, możliwym molestowaniu seksualnym, afekcie do kobiet, fascynacji seksem analnym. Potrzebna mi twoja opinia w jednej kwestii. Motyw.

Na twarzy psychologa pojawił się uśmiezek.

– Dlaczego wspomniałeś o seksie analnym? – zapytał. – Czyżby podświadoma projekcja głęboko skrywanych pragnień?

Marcin nie dał się sprowokować.

– Przestań, proszę. Interesuje mnie motyw.

Pawlicki wytarł usta chusteczką.

– No dobrze. To bardzo trudna sprawa. Zwracałem się o pomoc do kolegów po fachu. A skoro jest trudna, moje przypuszczenia mogą być wyjątkowo nietrafne.

– Kwestię zabezpieczenia twojej reputacji jako wziętego psychologa w razie pomyłki mamy już załatwioną. Teraz konkrety.

– Są cztery morderstwa. Wyjątkowo brutalne i doskonale zaplanowane. Morderca znał mnóstwo szczegółów z życia codziennego ofiar. Musiał się im długo przyglądać. Może przez kilka miesięcy był bardzo blisko przy nich, może go znali, wkupił się w ich łaski, zdobył zaufanie. Powinniście skupić się na osobach z najbliższego kręgu ofiar – znajomi, pracownicy, może listonosz, agent ubezpieczeniowy. Ktokolwiek, kto mógł mieć stały kontakt z ofiarami.

– Już to robimy – potwierdził Zakrzewski.

– Zastanawia mnie jeszcze jedno – ciągnął psycholog. – Każde zabójstwo zostało jakby dokonane przez kogoś innego, nie było żadnych wspólnych śladów.

– Oprócz niedopałków.

– No właśnie. A jeśli niedopałki wcale nie miały wskazywać na prokuratora Grabskiego? Może chodziło o coś innego?

– Co masz na myśli?

– A gdyby Kurzaj nie wygrzebał zdjęć z dna szafy i nie zostawił ich na wierzchu?

Marcin już zaczynał rozumieć.

– Przecież moglibyście długo nie powiązać tych czterech zbrodni w jedną całość, prawda?

– Istnieje takie prawdopodobieństwo – odpowiedział Zakrzewski ostrożnie.

– Morderca chce się zabezpieczyć i podrzuca wam nić, która ma powiązać te morderstwa.

– Po co?

– I tu dochodzimy do sedna. Mówiąc w dużym uproszczeniu, zabójstwa możemy podzielić na dwa typy: zaplanowane i popełnione w chwilach wyjątkowego wzburzenia pod wpływem impulsu. Zachowanie sprawcy po dokonaniu zabójstwa w obu tych typach jest raczej zbliżone. Zabójca podejmuje działania mające na celu odwrócenie od siebie uwagi lub zmylenie tropów. Pomijając efekty, zgodzisz się ze mną, że tak jest.

– W zupełności.

– W tym przypadku sprawca genialnie zatarł ślady. W takim razie po co podrzucił niedopałki papierosów?

– Jak każdy psychopata podświadomie pragnie być złapany. Wtedy stanie się przez chwilę sławny i będzie mógł pochwalić się swoimi dokonaniem.

– Nie w tym wypadku. – Pawlicki zdecydowanie pokręcił głową. – On nie chce naprowadzić policji na swój trop. Moim zdaniem daje wam wskazówkę. Dzięki niej macie odkryć zdarzenie z przeszłości, które stało się przyczyną zemsty. Tak, moim zdaniem motywem jest zemsta.

– Co to mogło być za zdarzenie?

– Ty jesteś policjantem. Nie mogę ci wszystkiego podać na tacy.

– Ale masz swoją opinię. – Marcin spróbował napoleonki, lecz nawet nie poczuł jej smaku.

– Nie jestem jasnowidzem. – Psycholog wzruszył ramionami. – Może motywem zbrodni była inna zbrodnia? Bardzo brutalna, może nawet swoją brutalnością dorównująca tym obecnym.

– Które zabójstwo było podobne do tego pierwotnego?



– Stawiałbym na pierwsze.  
– W naszej bazie niczego nie znaleźliśmy. – Zakrzewski pokręcił głową.

– A w bazie ogólnopolskiej? Do trzydziestu lat wstecz?

Marcin milczał zamyślony.

– A co z książką Rudnickiego? – zapytał nagle, podnosząc wzrok na kolegę.

– Nie przeceniałbym jej znaczenia. Jeśli Rudnicki opisał w niej prawdziwe zdarzenia, mogła naprowadzić sprawcę na całą czwórkę. Teorię psychofana naśladowującego zdarzenia z książki możecie wyrzucić do kosza. A teraz wybacz, Marcin, rodzina czeka.

Pawlicki wstał i uściśnął mu rękę. Jednak jeszcze przez chwilę nie odchodził. Stał, patrząc na Marcina, jakby się wahał. Wreszcie odchrząknął.

– Może to dobrze, że się spotkaliśmy – zaczął.

– Nie rozumiem.

– Marcin, jestem profilerem już wiele lat, zresztą ty mnie w ten bajzel wciągnąłeś.

– Żałujesz?

– Nie, oczywiście, że nie. Jestem psychologiem i nie bardzo wierzę w instynkt, bardziej w doświadczenie, które nas kształtuje i dzięki temu pozwala przewidywać pewne sytuacje i podświadomie zgadywać fakty. Zresztą jesteś gliniarzem i doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Marcin wiedział i nie przerywał.

– Nie napisałem tego w oficjalnym dokumencie, który dostanie grupa śledcza Pauliny Czerny, ale cały czas kołacze mi się po głowie pewna myśl. A może bardziej przecucie. Wydaje mi się, że morderstwa ze zdjęcia to wcale nie jest początek ani koniec.

Marcin skrzywił się i podrapał nerwowo po policzku.

– Raczej jesteśmy w środku tej historii – podjął psycholog. – Morderca ma prawdopodobnie osobowość makiawelistyczną. Brak empatii, patologiczna dysfunkcyjność w życiu społecznym, opanowanie, zdolności do manipulacji ludźmi dla osiągnięcia własnych celów. Te zbrodnie jednak, pomimo całej swojej makabry, są zbyt profesjonalne.

– Sugerujesz zawodowca?

– Raczej kogoś, kto ma już praktykę. – Pawlicki skinął głową i odszedł w kierunku światła na skrzyżowaniu Piłsudskiego z Grabiszyńską. Marcin siedział jeszcze chwilę zamyślony, grzebiąc łyżeczką w ciastku. Krzysztof wyartykułował myśl, która od kilku dni nie dawała Zakrzewskiemu spokoju. Były jakieś zabójstwa już wcześniej. I być może to wcale nie koniec.

## 26 Trutka na szczury

6 lipca, poniedziałek po południu

Przekręcił klucz w zamku, pchnął drzwi i stanął zdziwiony. Przecież dokładnie pamiętał, że wychodząc rano z domu, zamknął mieszkanie na oba zamki. Odruchowo sięgnął ręką w miejsce, gdzie zwykle nosił kaburę z bronią. Zaraz jednak się odprężył. Przecież psa nie było.

A brak psa oznaczał powrót Magdy. Ona jedna miała klucze. Pewnie wzięła Tinę z spacer. Po chwili jednak ulga zamieniła się w niepokój. Będzie musiał nareszcie stawić czoło sytuacji. Magda, jej facet i on. Nic głupszego jeszcze mu się w życiu nie przydarzyło.

Ściągnął dzinsy i zamienił je na szorty. W mieszkaniu było duszno i nieprzyjemnie. Otworzył na całą szerokość drzwi balkonowe, ale nie wiele mu to dało. Poszedł do kuchni, a następnie przez długą chwilę stał przed otwartą lodówką, zastanawiając się, na co ma ochotę. W sumie nie był głodny. Wrócił do pokoju i zwałił się ciężko na fotel. W tej chwili z klatki schodowej dobiegły go odgłosy psich pazurów drapiących podłogę, potem radosne popiskiwanie Tiny i wreszcie ciężkie kroki. Nie chciało mu się wstawać, Magda przecież miała klucze.

Po chwili jednak rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

Zerwał się i poszedł otworzyć. Zanim dobrze uchylił drzwi, Tina była już w środku i cieszyła się na jego widok. Machała ogonem, lizała go po rękach i spróbowała nawet wspiąć się na

dwóch łapach, żeby polizać go po twarzy. Marcin odganiał ją, spoglądając na gościa. To nie była Magda, tylko sąsiadka z parteru, kobieta po sześćdziesiątce, z dużą nadwagą i wiecznie przetłuszczonymi szarymi włosami. Pani Basia była najbardziej wścibską osobą, jaką w życiu spotkał. Marcin wolał jej unikać.

– Takie zachowanie jest nieodpowiedzialne! – zaczęła mówić podniesionym głosem, nawet się nie przywitawszy.

– Nie rozumiem. – Zakrzewski pokręcił głową, starając się zapanować nad psią radością.

– Psem trzeba się opiekować, a nie puszczać go samopas na pół dnia! – grzmiała dalej. – Ma pan szczęście, że trafiła na mnie, bo jeszcze by na ulicę wskoczyła i wpadła pod samochód. Psów nie lubię, ale wiem, że akurat ta suka sympatyczna jest, to się zainteresowałam.

Marcinowi udało się wreszcie przytknąć drzwi i zatrzymać Tinę w mieszkaniu. Teraz dopiero mógł skupić się na słowach sąsiadki.

– O czym pani mówi?

– No jak o czym? Pies sam po piwnicy latał od rana, to go wzięłam, żeby się nie zgubił.

– Jak to po piwnicy? – zdziwił się.

– Normalnie. Biegała!

– Przecież drzwi do piwnicy są zamknięte.

– Ale były otwarte! Najpierw myślałam, że pies z panem przyszedł. Ale jak pół godziny później dalej po piwnicy latała, to wzięłam ją do domu. Jeszcze jakieś nieszczęście by się stało. Przecież trutka na szczury rozłożona!

– Dziękuję, że zajęła się pani Tiną. Naprawdę jestem bardzo zobowiązany. Nie wiem, jak to się stało, że była w piwnicy.

Wreszcie sąsiadka poczuła się usatysfakcjonowana jego podziękowaniami i zapewnieniami, że będzie pilnował psa. Oddychając ciężko, zaczęła schodzić na parter. Marcin wrócił

do mieszkania. Stał w przedpokoju i podrapał się po głowie. Cholera, co się stało? Dlaczego Magda wzięła psa, a potem zostawiła go w piwnicy? W tej historii nie było krzty sensu.

Sięgnął po telefon i wykręcił numer Magdy. Znowu odezwał się miły głos automatu. Marcin pobiegł po schodach na górę i kilka razy nacisnął dzwonek.

Nic.

– Co się dzieje? – szepnął do siebie, kiedy schodził po schodach.

Tina leżała na swoim posłaniu w przedpokoju. Marcin patrzył na psa w zamyśleniu.

– Co ta Magda wymyśliła? Po co zostawiła cię w piwnicy? Coś się stało? – zapytał, jakby liczył na rzeczową odpowiedź.

I nagle go oświeciło. Piwnica! Trutka na szczury!

Klnąc, wyskoczył na korytarz i zaczął zbiegać po dwa schodki na dół. Tak się zdenerwował, że nie mógł trafić kluczem do zamka. Zanim nacisnął klamkę, chwilę patrzył na kartkę przyklepioną do gładkiej powierzchni drzwi. Trupia czaszka i skrzyżowane piszczele wyglądały złowrogo. Napis na kartce brzmiał: „Uwaga! Trutka na szczury wyłożona. Niebezpieczeństwo dla ludzi i zwierząt!”.

Otworzył drzwi, zszedł po schodkach do piwnicy, zapalił światło i rozejrzał się. Pomieszczenie skojarzyło mu się nagle ze schronem przeciwatomowym. Tylko zbite z desek drzwi do piwnicznych komórek psuły wrażenie. W kątach i zaułkach korytarzy dostrzegł to, czego szukał. Na papierowych tackach wysypane były czerwone granulki. Najpierw poczuł ulgę. Tacki wyglądały na nienaruszone. Za nimi zobaczył jednak rozsypany po całym korytarzu granulat. Dwie tacki były prawie puste. Czy pies mógłby zjeść trutkę na szczury? Tina pewnie tak. Po traumie kilkudniowej głódówki u swojej poprzedniej właścicielki była wyjątkowo łakoma.

Przez głowę Marcina znowu przeleciały myśli o Magdzie. Co ona, do jasnej cholery, zrobiła? Dlaczego zostawiła tu psa?

Nie było czasu do stracenia. Tina musiała niezwłocznie znaleźć się u weterynarza. Na szczycie schodów, kiedy już miał zamknąć drzwi, zawahał się. Czy w piwnicy zobaczył coś dziwnego, czy tylko mu się zdawało? Odgonił te myśli. Na razie miał ważniejsze sprawy.

Przychodnia weterynaryjna mieściła się dwieście metrów od jego domu, na rogu Tyrmanda i Hłaski. Zdążył w ostatniej chwili przed zamknięciem. Tego dnia dyżur miała właścicielka przychodni, puszysta kobieta po trzydziestce. Obejrzała dokładnie Tinę, wysłuchała opowiadania Marcina o trutce w piwnicy i sięgnęła na półkę po butelkę z jakimś preparatem.

– Znam nazwę tej trutki – powiedział Zakrzewski. – Może to coś pomoże.

Widząc jego zdenerwowanie, uśmiechnęła się i powiedziała uspokajającym tonem:

– Nic Tinie nie będzie. Wyleczymy psa. Najważniejsze, że trafiła tu bardzo szybko. Widzi pan, takie trutki nie działają w sposób natychmiastowy. Szczury są bardzo inteligentne i nie jedzą niczego nowego, zanim dokładnie tego nie przetestują.

– Wyznaczają zwiadowcę?

– Mniej więcej. Dlatego trucizny nowej generacji działają powoli. Tak naprawdę zmniejszają krzepliwość krwi. Dopiero po kilku dniach zatrute zwierzę zdycha z powodu krwotoków wewnętrznych. Proszę przytrzymać Tinę.

Marcin trzymał głowę psa, podczas gdy lekarka wlewała suce do gardła płyn z butelki.

– To węgiel aktywny – mówiła przy tym spokojnie, jakby nic się nie działo. – W żołądku zneutralizuje truciznę w taki sposób, że tylko niewielka jej część dostanie się do krwiobiegu.

Po chwili sięgnęła na półkę po inny preparat.

– Na wszelki wypadek spowodujemy jeszcze u Tiny wymioty i dzięki temu pozbędziemy się tej niebezpiecznej treści żołądka. Wymioty powinny nastąpić w ciągu kilkunastu minut. Proszę się gdzieś z psem przejść, a potem niech pan tu do mnie wróci.

– Ale pani już zamyka.

Posłała mu sympatyczny uśmiech.

– Spokojnie, poczekam na pana.

Marcin obszedł z Tiną trawniki na całym osiedlu. Bezskutecznie. Przez chwilę wydawało mu się, że psu nareszcie zrobiło się niedobrze, ale się pomylił. Kiedy po półgodzinie wrócił do przychodni, weterynarz zrobiła Tinie zastrzyk z witaminą D, napiła ją jeszcze jedną dawką węgla aktywnego i wysłała ich do domu, uspokajając Marcina, że psu nic nie będzie.

Po powrocie do mieszkania Marcin zwałił się z ulgą na fotel. Musiał zebrać myśli.

Upał wciąż był trudny do zniesienia. Rano na parę godzin chmury zakryły słońce i wiał porywisty wiatr, przynoszący chwilową ulgę. Od piętnastej jednak ustał jakikolwiek ruch powietrza, zaświeciło słońce i miasto znowu zanurzyło się w wielkim talerzu gorącego rosołu.

Tina leżała na swoim posłaniu w przedpokoju, ciężko dysząc. Zakrzewski wybrał jeszcze raz numer Magdy. Znowu bezskutecznie. Gapił się chwilę w aparat. Nie wiedział, co dalej. Nagle przypomniał sobie, co zwróciło jego uwagę podczas wizyty w piwnicy.

To było jak flesz aparatu fotograficznego. Jeden obraz.

Po chwili stał przed drzwiami do piwnicy, wpatrzony w szczerzącą się do niego trupa czaszkę z ostrzeżenia przed trucizną.

W głowie pojawiła mu się bezsensowna myśl, że on też tak wygląda, kiedy jedzie swoim motorem po krętych wiejskich drogach z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Przekręcił klucz w zamku.



## 27 Piwnica

6 lipca, poniedziałek wieczorem

Po omacku odszukał dłonią włącznik po lewej stronie i piwnicę zalało żółte, mdłe światło.

Zszedł wolno po schodach, obejrzał jeszcze raz granulki trutki na papierowych tackach i rury nad głową. W jednym miejscu łączenie było nieszczelne. Wyrósł tam rdzawy stalaktyt i raz na jakiś czas kropla wody spadała na beton. Jednak nie na tyle często, żeby na podłodze zrobiła się kałuża.

Minął drzwi do suszarni w korytarzyku po prawej stronie i boks z numerem osiem należący do niego. Dawno tam nie zaglądał. Nawet nie pamiętał, czy coś tam jest. Pewnie stare opony.

Korytarz skręcał w prawo. Tutaj doszedł poprzednim razem. Pod butami zachrzęściły mu rozsypane granulki trucizny. Dwa metry dalej korytarzyk kończył się drzwiami z wyrysowaną cyfrą dwanaście. Piwnica należąca do mieszkania Magdy i jej chłopaka. Poprzednio też to widział, lecz zaaferowany nie przyjrzał się dokładnie. Ale uczucie dziwnego niepokoju, które pojawiło się właśnie wtedy, już go nie opuściło. Z trudem przełknął ślinę.

Pod drzwiami do komórki numer dwanaście utworzyła się czarna kałuża. Jakby coś wylało się w środku i wypłynęło na zewnątrz. Wąski strumień czarnej cieczy dotarł do położonej trochę niżej kratki ściekowej i zastygł. Marcin przykucnął obok kałuży. Wyciągnął dłoń, żeby jej dotknąć, i zaraz cofnął rękę.

W nozdrza uderzył go słodkawy, mdły odór. Odór śmierci. Zerwał się na równe nogi i zrobił krok do tyłu.

Parol opowiedział mu ostatnio, że kiedy wszedł do zakrystii kościoła w Glinicy, natychmiast poczuł ten dziwny zapach. Nienaturalny, trudny do zidentyfikowania, szczególnie pośród zapachów starego kościoła. Parol powiedział, że to był zapach śmierci. Wtedy Zakrzewski poradził mu, żeby o tym nie myślał, chociaż wiedział, że Szawczak ma rację. Taki zapach naprawdę istnieje. Czuł go każdy gliniarz, który chociaż raz w życiu pochylał się nad okrwawionymi zwłokami zamordowanego człowieka.

To samo Marcin czuł teraz. Zasnęta ciecz niebezpiecznie skojarzyła mu się ze skrzepłą krwią.

Odetchnął głęboko. Może zaczął popadać w paranoję? Może to nie krew, tylko olej? Musiał sprawdzić.

Poszedł do swojej piwnicy, pogrzebał w zakurzonych śmieciach i znalazł to, czego szukał: duży, ciężki i mocno skorodowany młotek.

Drzwi do piwnicy numer dwanaście zamknięte były na skobel zabezpieczony niewielką kłódką. Wystarczyło jedno celne uderzenie młotkiem, żeby skobel puścił i kłódka z głuchym odgłosem spadła na beton.

Uchylił drzwi i zajrzał do środka. Kałuża pokrywała prawie całą podłogę niewielkiego pomieszczenia. Poszukał włącznika światła, ale żarówka musiała być przepalona. W środku panował półmrok i musiał odczekać chwilę, zanim oczy przyzwyczyły się do nowych warunków. Po chwili zobaczył wyraźnie, że czarna substancja wycieka spod starego materaca leżącego pod przeciwległą ścianą. Pod materacem majaczył niepokojący kształt. Zakrzewski ostrożnie, żeby nie wdepnąć butem w kałużę, wszedł do środka. Podniósł róg materaca i zaraz go opuścił. Wyprostował się, spojrzął na wiszącą pod

sufitem żarówkę i wypuścił wolno powietrze z płuc. Musiał się trochę uspokoić.

Kształt pod materacem skojarzył mu się z cielskiem wielkiego, zaszlachtowanego i jeszcze nieoprawionego prosiaka. Ale to był człowiek.

Jeszcze raz uchylił materac. Zobaczył kawałek szyi i barki pokryte grubą warstwą zakrzepłej krwi. Nie dostrzegł rany, tylko ledwo widoczny spod krwawych plam tatuaż przedstawiający różę z kolcami na lodydze.

Magda.

W gardle zaczął narastać mu krzyk. Wyszedł na korytarz, a potem przez długą chwilę stał, waląc pięścią w ścianę w bezsilnej wściekłości. Krzyk uwiązł gdzieś w środku.

\*

Pierwszy radiowóz pojawił się już po pięciu minutach. Mundurowi zabezpieczyli wejście do piwnicy biało-niebieskimi taśmami i nie pozwalali zaglądać do środka mieszkańcom, którzy na widok policji zeszli zobaczyć, co się stało.

Potem przyjechał samochód techników, zaraz po nich zjawiał się pierwszy śledczy z komendy miejskiej. Zakrzewski znał podkomisarza Rafała Burego. Był niezłym śledczym, ale koledzy za nim nie przepadali. Miał jedną zaletę, która w tym środowisku była uważana za poważną wadę. Nie pił alkoholu. Wśród policjantów stanowił ewenement na skalę wojewódzką.

Bury wyszedł z bloku po upływie kwadransa i rozejrzał się. Zakrzewski stał po drugiej stronie ulicy w słabym cieniu rzucanym przez dwie wątle brzoźki, oparty o swój motocykl. Bury bez wahania skierował się w jego stronę. Nie podał Marcinowi ręki na powitanie, tylko wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę marlboro i wygrzebał z niej równie sfatygowanego papierosa. Zaciągnął się dymem i zapytał:

– Ty znalazłeś ciało?

Tyle wystarczyło, żeby Zakrzewski również przestał darzyć go jakąkolwiek sympatią. Są ludzie, którzy zrażają do siebie innych samym swoim istnieniem. Bury do nich należał.

– Tak.

– Co tu robiłeś? – Policjant patrzył wszędzie, tylko nie Marcinowi w twarz.

– Mieszkam tu.

Przerwa na dwa mocne pociągnięcia papierosa.

– Co wiesz?

Marcin wahał się przez moment. Wreszcie postanowił niczego nie ukrywać, chociaż przez głowę przeleciała mu krótka myśl, że może jeszcze pożałować swojej szczerości.

– Miała na imię Magda – zaczął i urwał.

W gardle wciąż miał kulę lodu promieniującą mrozem na całą klatkę piersiową i przyprawiającą o nieprzyjemną gęsią skórę. Ze ściśniętego gardła z trudem wydobywały się słowa.

Bury po raz pierwszy spojrział mu w oczy. Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas.

– Nawet nie wiem, jak się nazywała. Mieszkała piętro wyżej. Myślę, że od półtora roku. Przyjaźniliśmy się. Wychodziła z moim psem, kiedy późno wracałem z pracy.

– Tak? – Znowu to dziwne spojrzenie.

Marcin opowiedział mu o Tinie błakającej się po piwnicy, wizycie u weterynarza, wreszcie o odkryciu ciała.

– Nie widziałem jej od dziesięciu dni. Nie odbierała telefonów, jakby zapadła się pod ziemię. Dopiero dzisiaj musiała wrócić, skoro była w moim mieszkaniu i wypuściła psa – zakończył.

– Miała klucze?

– Tak.

– Byliście dobrymi znajomymi?

– Już mówiłem. Przyjaźniliśmy się.

Bury pstryknął niedopałkiem papierosa w bok na trawnik. Żar upadł w pożółkłą na słońcu, suchą trawę, która natychmiast zaczęła się tlić słabym płomieniem. Pod blok Marcina zajechało kolejne policyjne auto.

Bury znowu patrzył mu w twarz.

– Było między wami coś więcej? – zapytał nagle.

Marcin zastanowił się chwilę. Trochę za długo. Skąd takie pytanie? Pewnie miał to wypisane na twarzy. Znowu postawił na szczerość.

– Czasem sypialiśmy ze sobą.

Podkomisarz Bury zdeptał butem niedopałek. Potem podniósł wzrok na Marcina i zapytał zimno:

– Czy ty się dobrze zastanowiłeś, co mówisz?

Temperatura kuli lodu w gardle Marcina gwałtownie spadła. Pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz. – Bury wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił. – Dobrze, wytłumaczę ci. W piwnicy leżą zwłoki mężczyzny. Ktoś poderżnął mu gardło i przykrył materacem. Facet wykrwawił się na śmierć. Dziwne, że policjant z takim stażem w kryminalnej myli kobietę z mężczyzną.

Marcin z trudem przełknął ślinę. Z plątaniny myśli, które kłębiły się mu pod czaszką, szybko wykrystalizowała ta jedna. Chłopak Magdy – Patryk!

– Nie zaglądałem pod materac – odpowiedział cicho.

– Zakrzewski, czy ty jesteś przytomny?

Marcin nie lubił, gdy ktoś zwracał się do niego w ten sposób.

– To może być chłopak Magdy – powiedział. – Zobaczyłem na ramieniu tatuaż, czerwoną różę z kolcami. Oboje mieli identyczne tatuaże w tym samym miejscu.

– Co to za chłopak?

– Wrócił niedawno z Londynu. Raz tylko go widziałem. Wiem, że ma na imię Patryk.

Bury patrzył na niego bez wyrazu.

– Wiedział o tobie i tej Magdzie?

Marcin już widział nadchodzące kłopoty. Szczerość! Niech to cholera!

– Tak, powiedziała mu.

Bury pokazał mu ręką, że ma za nim iść. Podeszli do otwartych drzwi forda transita techników kryminalistycznych. Rafał Bury sięgnął do jednej ze stojących tam toreb i podał mu kartę zapakowaną w woreczek foliowy. Marcin spojrzał i zaniemówił na dłuższą chwilę.

– To ta twoja Magda?

Wydawało mu się, że pytanie dobiegło z piekielnych otchłani.

– Tak – odpowiedział z trudem.

Trzymał w ręku dowód osobisty ze zdjęciem Magdy. Magdalena Szumilas, data urodzenia, pesel, brak adresu zameldowania.

– Skąd to macie?

– W południe dostaliśmy zgłoszenie. W lasku nad Widawą ktoś znalazł spalony samochód i sporo krwi na trawie. Właśnie stamtąd wracamy. Były ślady walki, faktycznie dużo krwi, spalony samochód i damska torebka. W środku znaleźliśmy portfel, karty kredytowe, dowód osobisty, prawo jazdy i kilkaset złotych.

– Znaleźliście ciało? – Słowa z trudem precyzyjnie się przez zaschnięte gardło.

– Nie.

Bury wyciągnął z jego nieruchomej dłoni torebkę z dowodem. Potem popatrzył na Marcina z tym dziwnym wyrazem twarzy.

– Masz alibi na dzisiejszą noc? – zapytał.

– Co? – Marcin spojrzał na niego nieprzytomnie.

– Co robiłeś dzisiejszej nocy?

– Byłem w domu. Sam.

– No tak. – Podkomisarz pokiwał głową. – Gdyby to ode mnie zależało, zabrałbym cię teraz na przesłuchanie. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak to wygląda?

– Tak.

– Wdepnąłeś w gówno, Zakrzewski. Na szczęście nie ja muszę decydować, co z tobą dalej robić, tylko prokurator. Zaraz powinien tu być.

– Kto przyjedzie? – zapytał Marcin, przeczuwając, jakie nazwisko padnie w odpowiedzi.

– Wysocki.

Zmełł w ustach przekleństwo. „Wdepnięcie w gówno” to nie było precyzyjne określenie. Czuł się teraz, jakby wpadł do szamba.

## 28 Magda

8 lipca, środa po południu

– Na policję zatelefonował facet mieszkający w okolicy. Nad ranem wstawał za potrzebą do łazienki i wydawało mu się, że w lasku porastającym brzeg Widawy widział błyski, jakby ogień. Położył się spać, uznając, że ktoś pali ognisko. Rano jednak coś nie dawało mu spokoju i przeszedł się w to miejsce. Znalazł na wpół spalony samochód marki Fiat Punto. Kiedy bliżej się przyjrzał, dostrzegł na trawie oraz na pniu drzewa wyraźne ciemne ślady. Na początku myślał, że to olej z tego samochodu, uznał jednak, że przypominają krew, i zatelefonował na policję.

Głos Parola brzmiał monotennie. Zbyt monotennie. Szawczak nie był dobrym aktorem, więc spod maski pozorowanego spokoju przebijały czasem nuty zatroskania, które denerwowały Zakrzewskiego. Do jasnej cholery! Nie potrzebował, żeby ktoś się o niego martwił. Sam potrafił o siebie zadbać.

– Policjanci, którzy przybyli na miejsce, zabezpieczyli ślady krwi i pobrali próbki do analizy. Samochód został obłany benzyną i podpalony, na miejscu stwierdzono ślady walki. Wzdłuż wału prowadzi gruntowa droga, z której korzystają wędkarze albo miejscowi, żeby dojechać na pobliskie pola i łąki. Na trawie znaleziono ślady innego samochodu, prowadziły po plamie krwi na trawie, więc musiały powstać później. Policja przeszukała teren. Przy samym korycie rzeki zarośla były



mocno wydeptane i podkomisarz Bury napisał w raporcie o możliwym wrzuceniu ciała do wody. Samochód był zarejestrowany na Magdalenę Szumilas. W krzakach kilka metrów dalej znaleziono jej torebkę z całą zawartością. Nie było tylko telefonu komórkowego. Zakładając oczywiście, że w momencie... hm... napadu miała go przy sobie. Zgodnie z informacjami uzyskanymi od operatora ostatnie logowanie jej telefonu do stacji bazowych nastąpiło na Muchoborze Wielkim dwudziestego ósmego czerwca około godziny pierwszej w nocy.

Marcin słuchał, ale sens wypowiedzianych przez Parola słów docierał do jego mózgu ze sporym opóźnieniem. Co się działo z Magdą przez ostatnie dziesięć dni? Nic nie rozumiał. Najgorsze było jednak to, że z płątaniny myśli nie wyłaniały się żadne znajome kształty. Czuł się, jakby był okrętem na kartce papieru w grze w statki, w którą często grał w szkole podstawowej. Trafiony – zatopiony. Koniec gry.

W co Magda była zamieszana?

– Od piątku dwudziestego szóstego czerwca nikt nie widział Magdy Szumilas. Jakby zapadła się pod ziemię. Sąsiedzi nie mają nic do powiedzenia. Nie pojawiła się w pracy w poniedziałek, nie można się do niej dodzwonić, z nikim się nie kontaktowała.

Parol zawahał się.

– Z billingów wynika, że ostatnie połączenia wychodzące z jej numeru to były wiadomości do ciebie.

Zakrzewski przypomniał sobie te SMS-y. Propozycja spędzenia wspólnie nocy. Odmówił. W głowie kołatało mu pytanie, czy gdyby wtedy podjął inną decyzję, wypadki potoczyłyby się inaczej. Telefon Magdy zamilkł po tej krótkiej wymianie wiadomości, a to znaczyło, że był w czarnej dupie. W samym środku wielkiej czarnej dupy. Nie miał alibi na tę noc. Ani Rafał Bury, ani tym bardziej prokurator Dariusz Wysocki mu tego nie odpuszczą.

Podniósł wzrok na Parola, który zamilkł i patrzył na niego z dziwną miną. Czy on też zaczął podejrzewać, że Marcin jest zamieszany w zniknięcie Magdy i zabójstwo jej chłopaka?

– Co tak patrzysz? – zapytał zaczepnie.

Parol głośno przełknął ślinę.

– Teraz zaczyna się najlepsze – powiedział cicho i zerknął w notatki.

Z inicjatywą wyszedł sam Szawczak. Marcin nie miał wglądu w akta śledztwa prowadzonego przez komendę miejską. Parol miał tam bardzo dobrego kolegę jeszcze z czasów szkoły policyjnej w Szczytnie. Umówił się z nim i już po godzinie wiedział wszystko. Teraz streszczał Marcinowi wstępne ustalenia. Na razie nie wspominał o hipotezach śledczych, ale Marcin i tak się domyślał, że gdzieś bardzo blisko epicentrum zdarzeń przewija się w nich jego nazwisko. Niech to szlag! Prędzej spodziewałby się trafienia szóstki w totolotka niż takiego gówna.

– W jakim sensie? – zapytał ostrożnie.

– Magdalena Szumilas posługiwała się fałszywymi dokumentami.

Marcin poczuł nieprzyjemny dreszcz niepokoju rozlewający się po ciele. Mogło być jeszcze gorzej?

– Nie istnieje żadna Magda Szumilas. W bazie PESEL nie ma takiego numeru, dowód jest fałszywy. W laboratorium kryminalistycznym wstępnie ocenili, że to bardzo profesjonalna robota. Podobnie prawo jazdy.

– Czyli tak naprawdę... – zaczął Marcin, ale Parol skończył za niego.

– ...twoja sąsiadka nie istnieje. Jakaś kobieta o nieznanym personaliach się pod nią podszywała. Oczywiście zdjęcie z dowodu natychmiast zostało sprawdzone we wszystkich rejestrach przy użyciu programu do rozpoznawania twarzy.

Z tego co wiem, bez rezultatu. Policja zwróciła się do Interpolu o pomoc.

– To niemożliwe. – Marcin pokręcił głową. – W tych czasach nie może istnieć osoba bez twarzy.

– A jednak. Na razie nikt nie potrafi tego wytłumaczyć.

Zakrzewski przygładził zbyt długie włosy.

– Kurwa mać – przeklął pod nosem. – Miała jakichś znajomych, przecież gdzieś musiała pracować.

– Od trzech miesięcy dorabiała w biurze rachunkowym. Podobno była postrzegana jako sympatyczna, ale nie przykładała się do pracy. Właściciel twierdzi, że nie zależało jej na umowie i dogadali się, że podpiszą papiery, jak tylko udowodni, że się nadaje. W tym tygodniu miał jej podziękować.

– Ale przecież mieszkała w mojej bramie przez kilkanaście miesięcy. Mówiła, że pracuje w domu. Była informatykiem albo robiła jakieś projekty. Cholera, nie pamiętam teraz.

– Jej komputer został zabezpieczony, ale na razie nic jeszcze nie wiadomo.

– A ten zamordowany chłopak?

Szawczak jakby się ożywił.

– Tu jest prościej. Patryk Tularz, lat dwadzieścia osiem. Znany policji drobny oszust i złodziej z kartoteką grubą jak pierwsze wydanie Encyklopedii Powszechnej. Kilka dni temu wyszedł z więzienia, gdzie spędził półtora roku za pobicie. Mieszkanie kupił przed odsiadką.

– Magda mówiła, że pracuje w Londynie.

Szawczak spojrział na niego przelotnie i nie odezwał się, patrząc w notatki.

Marcin poczuł narastającą irytację przechodzącą w złość. Jak to możliwe, że dał się tak wkręcić? On, kryminalny z doświadczeniem i osiągnięciami. Był znany i rozpoznawalny nie tylko w policji.

– Co znaleźli w mieszkaniu Magdy? – zapytał.

– Dziwnie niewiele. – Parol znowu zerknął do notatek. – Zabezpieczono komputer i włosy na grzebieniu. W całym domu zebrano odciski palców Patryka Tularza i tylko w dwóch miejscach inne, których jeszcze nie udało się zidentyfikować. Zapamiętałem, że były na kubku po kawie na kuchennym stole i na drzwiach do lodówki.

– Na pewno się nie mylisz?

– To dosyć dziwna sprawa. Mieszkanie było idealnie wysprzątane. Technicy w swoim raporcie napisali, że ciągle jeszcze w niektórych miejscach było czuć zapach lizolu i innych mocnych środków czyszczących. To na razie tyle, jeśli chodzi o pierwsze ustalenia.

W pokoju zapadła cisza.

– Co teraz będzie z naszym śledztwem w sprawie mordercy ze zdjęcia? – zapytał Szawczak.

Marcin wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Nic.

– Nie rozumiem...

– Przecież wiesz, jakie są procedury. Dzisiaj rano zostałem zawieszony na czas wyjaśnienia mojego udziału w tej sprawie i odsunięty od wszystkich postępowań. Za godzinę muszę stawić się na przesłuchaniu w prokuraturze. Biuro Spraw Wewnętrznych wszczęło osobne postępowanie. Obawiam się, że to może potrwać.

Popatrzył na dokument leżący przed nim na blacie biurka. Może właśnie to jest dobra chwila, żeby zmienić wszystko w swoim życiu. Coraz bardziej przekonywał się do takiej decyzji.

– A co ze mną? – W głosie Szawczaka zabrzmiał żal.

Na policzkach wykwitły mu nieregularne plamy, a w oczach miał jakiś dziwny błysk. Zawód, klęska, zniechęcenie.

– Przejdiesz do grupy Pauliny. Od niej też możesz się dużo nauczyć.

Szawczak zamknął notes i wstał. Marcin też podniósł się krzesła.

– Dziękuję, że zdobyłeś dla mnie te wszystkie informacje. Teraz przynajmniej wiem, w co się wpakowałem.

– Nie ma sprawy. To był drobiazg.

Uścisnęli sobie dłonie i Parol wyszedł bez słowa.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Marcin podjął już decyzję.

On też czuł żal, że został tak potraktowany, chociaż znał procedury i nie był zaskoczony decyzją szefa.

Kochał pracę w kryminalnej i równie szczerze jej nienawidził. Nakręcała go i zabijała równocześnie. Teraz wreszcie wiedział, co powinien zrobić. Właściwie policja sama pomogła mu podjąć decyzję. Zawieszenie na czas postępowania. Już widział podejrzliwe i ukradkowe spojrzenia rzucone przez kolegów z wydziału, już wyobrażał sobie szepty za plecami.

Nie miał zamiaru tego przeżywać, tłumaczyć się. Nie po tylu latach służby. Nie po tym, co osiągnął.

Wziął dokumenty w foliowej koszulce, leżące przed nim na blacie biurka, i poszedł do biura inspektora Godleckiego.

Naczelnik wydziału kryminalnego długo wpatrywał się w krótki tekst i podpis Zakrzewskiego, jakby miał kłopoty ze zrozumieniem. Wreszcie spojrzał na stojącego przed nim nieruchomo podwładnego.

– Nie musisz tego robić w ten sposób – powiedział.

– Już podjąłem decyzję.

– Sam rozumiesz, że w zaistniałych okolicznościach nie miałem wyboru. Musiałem cię zawiesić.

– Rozumiem. Od dawna zamierzałem to zrobić. Zawieszenie ułatwiło mi podjęcie decyzji.

\*

Prosto od Godleckiego pojechał do budynku prokuratury.

Prokurator Wysocki przesłuchiwał go w swoim biurze w obecności przedstawiciela Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego Policji, podkomisarza Tomaszewicza.

Nazwisko Tomaszewicz przywoływało najgorsze wspomnienia. Zakrzewski był już raz zawieszony – do czasu zakończenia postępowania wyjaśniającego w sprawie śmierci seryjnego mordercy dzieci. Nie spodobał się Tomaszewiczowi. Młody i ambitny pracownik BSW przez półtora miesiąca kopał w aktach i naprzykrzał się wszystkim w wydziale. Zakrzewski musiał pięć razy opowiadać mu o zdarzeniach z domu Bogdańskiego. To było nawet niezłe ćwiczenie. Kłamstwo, które przygotował, mógł opowiadać nawet wspak, wyrwany ze snu o dwunastej w nocy. W końcu pod naciskiem przełożonych Tomaszewicz zakończył postępowanie wyjaśniające, ale powiedział Marcinowi prosto w twarz, że nie wierzy w ani jedno jego słowo. Według niego – co zresztą było prawdą – to nie była obrona konieczna, a zabójstwo, tylko nie można mu tego udowodnić.

Teraz spotykali się znowu w podobnych okolicznościach. Tylko dużo bardziej dla Zakrzewskiego niekorzystnych.

Tomaszewicz był sporo młodszy od komisarza. Wiele godzin spędzał na siłowni. Dobrze skrojona marynarka podkreślała jego sylwetkę w kształcie litery V. Włosy ostrzyżone na jeża i masywna szczęka pasowały bardziej do uczestnika marszów narodowców niż stróża porządku.

Tomaszewicz siedział z boku z tajemniczym wyrazem twarzy. Od czasu do czasu zapisywał coś w małym notatniku.

Marcin starał się na niego nie patrzeć. Próbował się skupić na siedzącym przed nim Dariuszu Wysockim.

Prokurator własnoręcznie pisał protokół, więc przesłuchanie zapowiadało się na długie i męczące. Po pierwszych wstępnych pytaniach przeszedł do tych właściwych. Marcin musiał opisać mu, jak poznał kobietę podającą się za Magdalenę Szumilas.

– Kiedy miał pan, komisarzu, ostatni raz kontakt z poszukiwaną?

– W sobotę dwudziestego siódmego czerwca o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści sześć wysłała mi wiadomość tekstową.

Wysocki miał billingi od operatora, więc treść krótkiej wymiany zdań była mu już dobrze znana.

– Dlaczego pan odmówił?

– Nie miałem ochoty na seks.

– Były ku temu jakieś szczególne powody?

– Odmawiam odpowiedzi.

Wysocki pochylił się nad protokołem.

– „Na pytanie o powody świadek odmówił odpowiedzi” – zapisał. – Gdzie pan spędził noc z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego czerwca?

– W swoim mieszkaniu.

– Ktoś może potwierdzić pana słowa?

– Nie.

Znowu krótka notatka w protokole i kolejne pytania o Magdę. Czy próbował się z nią kontaktować? Jak? Kiedy? Czy był w jej mieszkaniu, czy na pewno jej później nie widział? Wreszcie przeszedł do Patryka Tularza.

– Wiedział pan, że poszukiwana ma chłopaka?

– Tak, powiedziała mi o nim.

– Co panu powiedziała?

– Że wraca z pracy w Londynie.

– Nie wspominała, że odbywał karę pozbawienia wolności w zakładzie karnym?

– Nie.

– Czy widział pan Patryka Tularza?

– Tak, poznaliśmy się trzeciego lipca około południa. Po raz kolejny poszedłem do mieszkania Magdy i wtedy on mi otworzył.

Marcin opowiedział ze szczegółami przebieg spotkania.

– Potem już go pan nie widział?

– Nie. Do momentu znalezienia zwłok w piwnicy.

Prokurator zadał kilka dodatkowych pytań. Marcin dokładnie opowiedział o piątkowych zdarzeniach. O psie, trutce na szczury, wizycie u weterynarza i zwłokach w piwnicy.

Przesłuchanie trwało ponad cztery godziny. Marcin wyszedł z niego z poczuciem totalnej klęski. Odpowiadał szczerze na pytania i teraz przepełniał go niesmak. Był śledczym i zdawał sobie sprawę z tego, że szczerść coraz bardziej go pogrąża. Gdyby siedział po drugiej stronie stołu i zadawał pytania, doszedłby do tego samego wniosku, do którego pewnie doszli Wysocki i Tomaszewicz. Przesłuchiwany kręci, nie mówi całej prawdy i staje się jednym z głównych podejrzanych.

– Zakrzewski!

Wołanie dobiegło go, gdy był już na ostatnim stopniu schodów. Odwrócił się. Tomaszewicz w swoim idealnie skrojonym garniturze zbliżał się do niego szybkim krokiem.

– Chciałem ci coś powiedzieć, Zakrzewski. – Funkcjonariusz BSW stanął dwa kroki przed nim.

Marcin nie należał do niskich osób, jednak Tomaszewicz przerastał go co najmniej o głowę.

– Pewnie mnie nie lubisz za to, że tak na ciebie naciskałem w tamtej sprawie sprzed czterech lat... – zawiesił głos, jakby czekał na potwierdzenie.

Marcin milczał.

– Jestem niemal pewien, że w tamtym opuszczonym domu w Szczepanowie po prostu strzeliłeś skurwysynowi w głowę. Obrona konieczna to wymyślona przez ciebie bajeczka.

– No i co? – Marcin czuł, jak ze złości napinają mu się wszystkie mięśnie pod skórą.

– I wiesz co? – Tomaszewicz spojrzał mu prosto w oczy. – Gównu mnie to obchodzi. Uważam, że jesteś najlepszym



gliniarzem, jakiego znam. Kto wie, czy na twoim miejscu nie postąpiłbym tak samo.

Marcin wciąż milczał.

– Chciałem, żebyś to wiedział – rzucił jeszcze Tomaszewicz, odwrócił się na pięcie, wbiegł po schodach i zniknął w drzwiach prowadzących do budynku.

Zakrzewski jeszcze długo patrzył w ślad za nim. Nie wiedział, co myśleć.

W domu wyciągnął z barku butelkę whisky. Około dwudziestej drugiej uznał, że sięgnięcie po drugą butelkę Johnny'ego Walkera to bardzo dobry pomysł.

Kiedy o drugiej w nocy wymiotował, klęcząc przed muszlą w łazience, przez zamroczony alkoholem mózg przeleciała samotna myśl, że to nie był jednak dobry pomysł.

## 29 Prawda

9 lipca, czwartek przed wieczorem

Największą pasją prokuratora Marka Grabskiego poza pracą i rodziną były biegi długodystansowe. Trenował już prawie dwadzieścia lat. Przez ten czas przebiegł wiele maratonów i półmaratonów, o krótszych dystansach nie wspominając. Mógł się pochwalić życiowym wynikiem w maratonie poniżej trzech godzin i piętnastu minut. Przez lata biegania jego wyniki stawały się lepsze. Stawiał sobie nowe wyznawania, takie jak Bieg Rzeźnika w Bieszczadach albo Maraton Karkonoski. I nagle dwa lata temu, dokładnie po pięćdziesiątych urodzinach, coś w tej doskonale naoliwionej i świetnie funkcjonującej symbiozie ciała i umysłu zaczęło zgrzytać. Na początku się nie przejmował, ale potem zaczął odpuścić treningi i przybrał na wadze. Potrafił to sobie wytłumaczyć zmęczeniem i sporą liczbą nadgodzin. Kiedy minął rok i nic się nie zmieniło, musiał przeprowadzić sam ze sobą mobilizującą rozmowę.

Cały czas jednak czuł, że tak naprawdę już mu się nie chce. Kiedy pod koniec czerwca myślał, że wreszcie trybiki trafiły na swoje miejsce, nadeszła fala tropikalnych upałów. Nie sposób było biegać w takich temperaturach. Nawet wcześniej rano albo późnym wieczorem powietrze było gorące jak we wnętrzu pieca chlebowego. Znowu zaczął opuszczać treningi.

Tego wieczoru wyszedł z domu ze świadomością, że osiągnięcie trzech godzin i trzydziestu minut w jesiennym maratonie w Poznaniu jest nierealne. Miał w planie

treningowym czternaście kilometrów, w tym osiem w tempie maratońskim. Pogoda wreszcie zaczęła mu sprzyjać. Powiał chłodny wiatr, przynosząc ulgę od upałów. Niebo ciągle było zachmurzone, po piekielnych upałach nagle zrobiło się zimno.

Pobiegł do najbliższego lasu. Po około półtora kilometra asfalt zmienił się w utwardzoną drogę leśną, która prowadziła do sąsiedniej wsi Malin.

Po dwóch kolejnych kilometrach zobaczył samochód zaparkowany na poboczu. Kobieta oparta o maskę paliła papierosa i patrzyła w jego kierunku. Dopiero kiedy był kilkanaście metrów od niej, wydała mu się znajoma. Do cholery, przecież ten samochód też był mu doskonale znany. Zwolnił i przeszedł w marsz. No, to cały trening mógł uznać za stracony. Zorientował się, że ta myśl wcale go nie zmartwiła. Poczował ulgę.

Zatrzymał się dwa kroki przed kobietą, zdjął czapkę z daszkiem i wytarł spocone czoło.

– Skąd wiedziałaś, że będę tędy biegł? – zapytał.

Zgniotła niedopałek butem, ruchem głowy odrzuciła na bok grzywkę opadającą na czoło i uśmiechnęła się pod nosem.

– Domyśliłam się – odpowiedziała krótko.

Czekał na dalszy ciąg.

– Chciałam porozmawiać bez niepotrzebnych świadków. Masz przy sobie telefon?

– Nie.

– To się dobrze składa. Nie chciałabym narobić nam kłopotów.

Grabski domyślał się, o czym Paulina Czerny chce z nim rozmawiać bez świadków, ale postanowił nie odzywać się pierwszy. Z wolna uspokajał oddech i serce w piersiach. Niech szlag trafi taką pogodę, teraz zaczynał marznąć.

– Posłuchaj, Marek, bez Zakrzewskiego nie rozwiążemy sprawy zabójcy ze zdjęcia. – Głos miała poważny i wyraźnie brzmiało w nim zdecydowanie. – Marcin złożył wypowiedzenie.

– Myślałem, że został tylko zawieszony – odpowiedział zdziwiony Grabski.

– Znowu uniósł się tym swoim honorem. Został zwieszony, więc strzelił focha, odszedł, ukrył się przed światem i czeka, aż ktoś przyjdzie i będzie namawiał go do powrotu. Przez te wszystkie lata poznałam go lepiej, niż mu się wydaje. Cholera, czasem myślę, że znam go lepiej niż samą siebie.

– Dzwoniłaś do niego?

– Nie odbiera.

Paulina wyciągnęła papierosy i poczęstowała Grabskiego. Marek stracił resztkę ochoty do biegania.

– Marcin był u mnie dwa tygodnie temu na obiedzie. Zwierzył mi się, że chce odejść z policji. Nie rozmawiałem z nim potem, ale wydaje mi się, że traktuje sprawę zabójcy ze zdjęcia jak swoją ostatnią. Przynajmniej dotąd tak ją traktował.

Paulina Czerny prychnęła ze złością.

– Komisarz Zakrzewski czuje się wypalony i planuje odejść z policji! – wykrzyknęła. – Nic nowego, Marek. To jego osobista polisa ubezpieczeniowa, żeby nie zwariować w tej gównianej robocie. Słyszałam już tę gadkę parę razy... – urwała na moment. – Zresztą już mi nie zależy. Musimy złapać tego zwyrodnialca, który przybija ludzi gwoździami do drzew, pompuje do brzucha beton albo miażdży kręgosłupy podkutymi butami. Potem niech sobie Zakrzewski w glorii i chwale odchodzi na emeryturę. Tak jak to sobie zaplanował. Tylko, do cholery, po robocie. Nie w jej trakcie.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Musimy go ściągnąć z powrotem.

– Jak?

– Masz znajomości – odpowiedziała krótko. – Mógłbyś ich użyć.

– Nawet nie wiesz, o co prosisz – powiedział Grabski, kręcąc głową. – Śledztwo prowadzi Wysocki. Nie mogę w żaden sposób

wpłynąć na jego działania. Wiesz, kim on teraz jest? Paulina, to, co teraz mówię, musi pozostać między nami.

– Oczywiście.

– Zbliżają się wybory. Wszystko wskazuje na to, że obecna koalicja może je przegrać. Opozycja chce przewrócić wszystko do góry nogami. Przede wszystkim znowu połączą funkcję prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości. Oboje wiemy, kto zostanie takim superministrem. Ten sam polityk, który już za poprzednich rządów opozycji sprawował taką funkcję.

– Nie wiem, do czego zmierzasz. – Pokręciła głową.

– Wysocki doskonale zna przyszłego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Razem studiowali. Prokuratura teoretycznie jest apolityczna, ale tajemnicą poliszynela jest, że prokurator Wysocki już teraz doradza koledze ze studiów i powoli szykuje się do błyskotliwej kariery. Mogę ci tylko powiedzieć, że mierzy bardzo wysoko.

– Darek zawsze był gnidą. Żałuję, że dałam mu się kiedyś omamić.

Grabski przyjrzał się jej uważnie. Była szczerą, naprawdę żałowała.

– Byłem na naradzie u szefa i wiem, jakie wątki będzie badał Wysocki w śledztwie w sprawie zabójstwa tego młodego człowieka i zniknięcia kobiety posługującej się fałszywą tożsamością. W jego planie śledztwa Zakrzewski jest na pierwszym miejscu. Na razie ma status świadka, ale z tego co wiem, przesłuchanie w prokuraturze nie rozwiało wątpliwości Wysockiego. Będzie drążył temat.

– Wysockim się nie przejmuj. Ja się nim zajmę.

Grabski wyciągnął jej z dłoni paczkę, poczęstował się kolejnym papierosem i zapalił.

– Chcesz mu się narazić? Naprawdę zamierzasz położyć na szali swoją karierę i pomóc Zakrzewskiemu?

– Tak.

Mierzyli się chwilę wzrokiem.

– Odpowiedz mi szczerze, Paulina. Jesteś przekonana o niewinności Zakrzewskiego? – zapytał, zaciągając się dymem.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Jesteś jego przyjacielem. Chyba go nie podejrzewasz?

– Tak, uważam się za jego przyjaciela. Ale teraz nie jest ważne moje zdanie. Ważne, czy ty jesteś gotowa aż tak się dla niego poświęcić.

– Co masz na myśli?

– Prawdę. Czy Zakrzewski kiedykolwiek opowiedział ci szczerze o tym, co zdarzyło się tamtej feralnej nocy? Kiedy spotkał się z mordercą w Szczepanowie?

– Strzelił w obronie własnej – powiedziała szybko, lecz sama usłyszała, że jej głos nie brzmi już tak zdecydowanie.

Grabski pokręcił głową.

– To była zemsta. Zastrzelił go, ponieważ myślał, że ty nie żyjesz. Nie powiedział ci tego?

Paulina milczała. Dwa lata życia z Zakrzewskim pod jednym dachem ujrzała nagle w innym świetle. Pewne zdarzenia nabrały całkiem innego znaczenia, zrozumiała motywy jego działania.

Spojrzała ponad głowę Grabskiego. Wiatr szarpał koronami drzew i gonił granatowe chmury po niebie. Nagle poczuła, że zmarzła.

Marcin bał się jej powiedzieć prawdę. Chciał z nią być, ale zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będzie między nimi dobrze, dopóki nie powie jej prawdy. I nigdy się na to nie zdobył. Zawsze między nimi stał seryjny morderca. Wolał odejść, niż wyznać prawdę. Czego się bał? Że go niewłaściwie osądzi? Bzdura!

Wyciągnęła z paczki ostatniego papierosa i drżącymi z zimna rękami zapaliła. Czy na pewno z zimna?

– Zakrzewski nie jest mordercą – powiedziała, wypuszczając dym.

– Wtedy pociągnął za spust.

– Działał pod presją. Myślał, że zginęłam, potem walczył o życie z dużo silniejszym przeciwnikiem. Nie wspomina już o tym, że ten sukinsyn opowiedział mu ze szczegółami, jak zabił jego brata bliźniaka. Jak ty byś postąpił w takiej sytuacji? Jesteś siebie pewien?

Grabski wpatrywał się w żar papierosa.

– A jeśli teraz też działa pod presją? Prokuratura rozważa następującą hipotezę: Zakrzewski ma romans z sąsiadką, z więzienia wychodzi jej facet i dowiaduje się o wszystkim. Kto wie, może groził Marcinowi? Albo go szantażował?

Paulina się roześmiała.

– To brzmi jak kiepski żart. Teoria szyta grubymi nićmi, by pozbyć się Zakrzewskiego z policji. Wysocki naprawdę traktuje ją priorytetowo?

– Z tego co wiem, tak.

– Idiotyczne.

Grabski rzucił papierosa na ziemię i przydeptał.

– Idiotyczne czy nie, nie jestem w stanie wpłynąć na śledztwo.

– Już ci mówiłam, że Wysockim zajmę się sama.

– W takim razie co ja mam zrobić?

– Masz wysoko postawionego przyjaciela w BSW. Oni też muszą szybko zakończyć swoje postępowanie. W sprawie mordercy ze Szczepanowa trwało ponad pół roku.

Grabski pokiwał głową.

– Jeśli prokuratura nie będzie ciągała Zakrzewskiego, to się da zrobić.

– Dziękuję. To chciałam usłyszeć.

– Paulina, uważaj na Wysockiego. Jest mściwy, zawistny i pamiętliwy.

– W gruncie rzeczy to tchórz. Poradzę sobie z nim.

Prokurator Grabski bardzo lubił Paulinę Czerny. Pracowali ze sobą wiele lat i zrodziła się między nimi więź mocniejsza niż służbowa. Uważał się za jej przyjaciela. Dlatego teraz był pełen obaw. Czy Paulina pakowała się właśnie w poważne kłopoty?

– Podwieźć cię? – zapytała, szarpiąc za klamkę swojej toyoty rav4

– Lepiej, żeby nikt nas nie widział. Cześć!

Paulina patrzyła, jak odchodzi szybkim krokiem, potem zaczyna wolno biec, przyspiesza, żeby wreszcie zniknąć za zakrętem. Odpaliła auto i ruszyła gruntową drogą do Malina.



## 30 Zazdrość

10 lipca, piątek przed południem

Grażyna Wysocka siedziała z podkurczonymi nogami na sofie i starała się czytać książkę. Z mizernym skutkiem. Była zdenerwowana i nie mogła się skupić. Jej myśli ciągle wracały do stygnącego na kuchence obiadu i spóźniającego się męża. Miał wrócić ponad godzinę temu, tymczasem jak zwykle nawet nie zadzwonił, że późno wróci, i nie odbierał telefonów. Oczywiście wiedziała, że będzie się wymawiał odpowiedzialną pracą, ale przecież, do ciężkiej cholery, jej też należała się odrobina szacunku. Dzięki niej Dariusz Wysocki mógł robić karierę. Poświęciła się dla niego, chociaż też miała być prokuratorem.

Tak wymarzył sobie jej ojciec – prominentny działacz partyjny jeszcze ze starych czasów, bogaty i bardzo dobrze ustosunkowany. To on sfinansował jej studia. To on się wściekł, kiedy na ostatnim roku zaszła w ciążę z kolegą z grupy, Darkiem Wysockim, i musiała wziąć urlop dziekański na czas wychowania dziecka.

Potem od razu było drugie i Darek wytłumaczył żonie, że to nawet dobrze się składa. Od dzieciństwa marzył o tradycyjnej rodzinie, w której mężczyzna pracuje i zapewnia środki na dostatnie życie, a kobieta zajmuje się domem i wychowywaniem dzieci. Przekonał ją, w końcu udało się jej udobruchać również ojca.

Przez pierwsze kilka lat była szczęśliwa w roli pani domu. Darek dużo pracował, ale kiedy wracał do domu, zajmował się dziećmi. Ją rozpieszczał kwiatami, a w weekendy podrzucali córki dziadkom i miło spędzali czas w restauracjach, chodzili na koncerty albo na przyjęcia organizowane przez znajomych męża. Darek nie lubił tych drętwych i nudnych imprez, ale musiał na nich bywać.

Kilka lat temu z sielanki, w jakiej się pogrążyła, wyrwał ją telefon byłej żony jednego z kolegów Darka z prokuratury rejonowej. Kobieta, którą ledwo kojarzyła z przyjęć, powiedziała, że dzwoni, ponieważ szkoda jej Grażyny – przecież wszyscy w towarzystwie wiedzą, że Darek ma coraz to nową kochankę, a inne kobiety śmieją się za jej plecami.

Ten telefon był dla niej jak trzęsienie ziemi. Życie w domowym zaciszu okazało się zbudowane na kłamstwie. Zrobiła mężowi dziką awanturę, podczas której on przyznał się do jednego romansu. Zapewniał, że to był jednorazowy wyskok, kocha tylko Grażynę i córki, nie chce ich skrzywdzić. Uwierzyła mu i przebaczyła.

Pół roku później osobiście przyłapała go na kolejnej zdradzie. Postanowiła się wyprowadzić do ojca. Darek znowu błagał, obiecywał, przeproszał i znowu uległa. Wcale nie dlatego, że wierzyła w jego zapewnienia. Był inny powód. Nie skończyła studiów, nigdy nie pracowała, nie posiadała żadnego zabezpieczenia, nie miała do kogo się wyprowadzić. Oczywiście mogła wyprowadzić się do ojca, lecz skutecznie powstrzymał ją wstyd. Przecież zawiodła go na całej linii, a teraz miała wrócić do rodzinnego domu jako zdradzona żona? Nie mogła ojcu tego zrobić. Zbyt go kochała.

Wybaczyła Darkowi po raz drugi. To było jak przyzwolenie i jej mąż był tego świadomy. Dlatego dalej ją zdradzał. Może nawet przestał mieć wyrzuty sumienia? Jeśli kiedykolwiek je miał... Z czasem Grażyna zrobiła się chorobliwie zazdrosna.

Sprawdzała jego pocztę, przeglądała komputer, czytała SMS-y. Przed praniem dokładnie oglądała koszule, szukając śladów szminki, wąchała jego zużytą bieliznę, sprawdzając, czy nie pachnie inną kobietą. Córki były już na studiach, została w domu sama. Miała dużo czasu, więc zaczęła go śledzić, kiedy wychodził wieczorem. Było tylko jedno miejsce, do którego nie udało jej się dotrzeć – drugi garaż w ich domu. Od pewnego czasu Dariusz spędzał tam dużo czasu. Intrygowało ją, dlaczego czasem wraca stamtąd z marsową miną, nieobecny, czasem ubrudzony smarem i natychmiast idzie pod prysznic. Nie rozstawał się z kluczem – podejrzewała, że brał go ze sobą nawet do łazienki.

Doszło do tego, że drobne romanse męża przestały Grażynę interesować. Traktowała je jak coś normalnego. Dopóki były przelotne, ona była bezpieczna. Darek nie porzuciłby jej i dzieci dla siksy kilkanaście lat młodszej.

Dlatego tak się przestraszyła, kiedy pojawiła się tamta policjantka.

Paulina.

Z nią było inaczej. Dariusz był nią zafascynowany, może nawet się zakochał. Zaczął zaniedbywać dom, żonę, córki, zaczął się inaczej zachowywać. Ten czas był dla Grażyny koszmarem. Nie mogła spać, śledziła go, dużo piła, a kiedy była pijana, myślała tylko o nich. Razem, w łóżku. Popadała w paranoję. Wyobrażała sobie, jak uprawiają seks, zastanawiała się, czy mają jednoczesne orgazmy. Wyobrażała sobie, że między nimi powstała więź, dla niej już dawno niedostępna. To bolało najbardziej. Musiała coś zrobić.

Poprosiła ojca, żeby załatwił jej pistolet. Wytłumaczyła, że ich dom leży na uboczu, pod lasem i może być potencjalnym celem dla złodziei i bandytów. Ojciec załatwił jej nielegalną broń, cz 75 kaliber 9 milimetrów.

Zanim jednak zdążyła się zastanowić, co z nią zrobić, romans Darka z policjantką nagle się skończył. To ona go zostawiła! Z Grażyny na pewien czas zeszło ciśnienie. Policjantka zostawiła Darka! Dobrze tak temu skurwysynowi, który uważał się za najprzystojniejszego faceta na świecie. Pieprzony kurdupel. Zawsze sobie obiecywała, że jej facet będzie od niej wyższy. Tymczasem zakochała się w Darku, o pół głowy niższym. Nigdy nie zakładała szpilek, kiedy gdzieś razem wychodzili. Nie chciała na niego patrzeć z góry.

Ta policjantka go zostawiła!

Przez dwa tygodnie śmiała się w duchu, kiedy widziała jego smętne miny i ponure spojrzenia. Niech cierpi. Niech poczuje, jak to jest. Była w tak dobrym nastroju, że nawet dwa razy namówiła go na seks – co nie zdarzało im się już od lat. Według niej było beznadziejnie, choć oboje udawali, że fantastycznie, jak za dawnych czasów.

Usłyszała, jak za oknem zachręściły na żwirze koła samochodu, kiedy jej mąż zajechał przed dom. Pochyliła głowę niżej nad książką i udała kompletnie pochłoniętą lekturą. Słyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, kroki w holu i skrzypnięcie paneli podłogowych, kiedy stanął w progu pokoju. Dopiero wtedy podniosła na niego rozkojarzone spojrzenie.

– Cześć, kochanie – powiedział wesoło. – Przepraszam za spóźnienie, ale musiałem jeszcze omówić z szefem kilka ważnych spraw.

– Mogłeś zadzwonić – powiedziała cicho.

– Wybacz, nie pomyślałem – rzucił beztrosko, zdejmując marynarkę i odwieszając ją do szafy. – Pędziłem na złamanie karku.

Obserwowała, jak rozwiązuje krawat, rozpina koszulę, idzie do łazienki i wychodzi stamtąd po chwili z jeszcze wilgotnymi rękami. Serce zabiło jej szybciej. Było inaczej niż zwykle, coś się

wydarzyło, co wprawiło jej męża w wyborny humor. Podeszedł do niej, nachylił się i pocałował ją w policzek.

Poszła do kuchni i nałożyła mu obiad. Zwykle sięgał po piwo do lodówki, jednak teraz nalał sobie tylko szklanekę wody z lodem. Usiadła po drugiej stronie kuchennego stołu.

– Ty nie jesz? – popatrzył zdziwiony, zastygając w bezruchu z widelcem uniesionym do ust.

– Już zjadłam. – Postarała się o uśmiech. – Byłam dzisiaj bardzo głodna.

Wyjaśnienie mu wystarczyło.

Jadł i prawie cały czas mówił:

– Dzwonił do mnie dzisiaj brat. Zaprosił nas na grilla na jutro. Co ty na to?

– Chętnie zobaczę się z Kasią – odparła.

– A gdzie podziewają się dzisiaj nasze dorosłe córeczki?

– Ania poszła na fitness, a Basia na randkę z Arturem.

Pokręcił głową, uśmiechając się do swoich myśli.

– Jeszcze niedawno były pieluchy, teraz są randki.

To było jego ulubione powiedzenie. Grażyna go nienawidziła.

Wreszcie odstawił talerz i uśmiechnął się do niej nieszczerze.

– Niestety mam jeszcze dzisiaj spotkanie – powiedział. – Wiesz, kochanie, polityka. Pewnych spraw nie można odkładać na później.

Zesztywniała. Więc dlatego miał taki dobry humor. Pewnie umówił się z jakąś nową lafiryndą. Zawsze mówił o polityce, kiedy chciał ukryć prawdziwą przyczynę wyjścia z domu. Wiedział, że polityka jej nie interesuje.

– Dobrze. – Pokiwała głową.

Po obiedzie poszedł wziąć prysznic. Grażyna stała pod drzwiami, dopóki nie usłyszała szumu wody z kabiny. Wtedy wślizgnęła się do łazienki. Prysznic zamontowany mieli we wnęce. Nie było stamtąd widać całej łazienki. Komórkę męża znalazła na półce pod lustrem. Szybko sprawdziła połączenia

przechodzące i nagle poczuła nieprzyjemny dreszcz strachu na plecach. O trzynastej trzynaście dzwoniła Paulina C. Grażyna doskonale wiedziała, kto to. Dlatego wrócił do domu w tak doskonałym nastroju. Pewnie teraz szykuje się na spotkanie z tą cholerną policjantką.

Poczuła nagły zawrót głowy i mdłości. Dawne demony wracają. Wcale nie umarły, tylko czekały, żeby zaskoczyć ją w chwili słabości. Była tak wstrząśnięta, że nie usłyszała, kiedy Darek zakręcił wodę. Ocknęła się dopiero na dźwięk odsuwanych drzwi prysznicowych. W ostatniej chwili odłożyła telefon na półkę i zasłoniła go sobą.

– Przyszłam po szczotkę – powiedziała głupio, czując, jak idiotycznie to brzmi.

Na szczęście nie zauważył jej zmieszania. Wystawił głowę na zewnątrz i starł z oczu wodę.

– Możesz podać mi ręcznik? – zapytał.

– Oczywiście.

Podczas gdy on szykował się na spotkanie, Grażyna poszła do pokoju gościnnego na piętrze i ze skrytki pod parapetem wyciągnęła pistolet. Przyszła jej do głowy złota myśl Antoniego Czechowa: Jeśli w pierwszym akcie na ścianie wisi broń, w ostatnim musi koniecznie wypalić. Nagle parsknęła śmiechem i delikatnie przycisnęła spust.

## 31 Alibi

10–11 lipca, piątek wieczorem i sobota do południa

Umówili się w Rynku w kawiarni w kamienicy Pod Gryfami. Kiedy jeszcze mieli ze sobą romans, Wysocki często zapraszał ją tutaj na obiad. W najniższej sali, dwa piętra poniżej obecnego poziomu miasta, miał swoje ulubione miejsce w najdalszym ciemnym kącie, gdzie można było jeszcze zasunąć ciężką kotarę i być niewidocznym dla innych gości. Idealne miejsce na schadzki z kochanką. Zawsze zamawiał tutaj dobrze wysmażony stek, który później okazywał się nie taki jak w zamówieniu. Zazwyczaj był krwisty i nie nadawał się do jedzenia. Takie było przynajmniej jej zdanie. Dariusz Wysocki nigdy nie narzekał.

Paulina Czerny przyszła dużo wcześniej, usiadła przy wolnym stoliku koło schodów prowadzących w dół, na stoliku położyła szarą kopertę formatu A4 i zamówiła latte. Obok siedziała tylko trójka japońskich turystów, obwieszonych aparatami fotograficznymi najnowszej generacji.

Prokurator Wysocki zjawiał się jak zwykle punktualnie. Wszedł do środka, rozejrzał się i od razu zobaczył siedzącą w głębi Paulinę. Na jego twarzy pojawił się ten sam uwodzicielski uśmiech, który kiedyś tak na nią działał. Teraz nie czuła nic. Wysocki oczywiście wyglądał idealnie: gładko ogolone policzki, starannie przycięte brwi, delikatne dłonie

z wypielegnowanymi paznokciami. Miał na sobie białe adidas, modnie wytarte džinsy i koszulkę polo. Ewidentnie starał się wyglądać na dużo młodszego.

Paulina odruchowo schowała dłonie pod blat stolika, żeby nie pokazywać postrzępionych paznokci i schodzącego z nich lakieru. Do diabła – zawsze czuła się przy nim gorsza. Dopiero teraz potrafiła to sobie wyznać prosto w twarz.

– Jak zwykle świetnie wyglądasz – powiedział, błyskając białymi zębami.

Jak jakiś pieprzony gwiazdor z Hollywood. David Hasselhoff – pomyślała i omal nie parsknęła śmiechem. Trochę jej ulżyło. Już na nią nie działał tak, jak kiedyś. W ogóle na nią nie działał.

– Ty też jak zwykle piekielnie przystojny – odpowiedziała.

– Takie słowa ładnie brzmią w twoich ustach.

Cholera, on naprawdę myślał, że umówiła się z nim, żeby odnowić starą znajomość. Nadal wierzył w swój zwierzęcy magnetyzm.

Japończycy ze stolika obok przez chwilę patrzyli na nich ciekawie, żeby zaraz znów zanurzyć się w wirtualnym świecie. Po chwili przyszedł kelner i Darek zamówił kawę.

– Bardzo pozytywnie mnie zaskoczyłaś, Paulino – powiedział, patrząc jej w oczy. – Twój telefon to było najlepsze, co ostatnio mi się przydarzyło.

– Doprawdy? Tak to oceniasz?

– Przez ostatnie lata wcale o tobie nie zapomniałem. Uważam, że źle się między nami ułożyło. Było w tym też dużo mojej winy.

– Naprawdę?

Ruchem głowy poprawiła grzywkę i na jej ustach pojawił się krzywy uśmiešek. Czy w krótkiej rozmowie telefonicznej, którą przeprowadzili kilka godzin temu, naprawdę dała mu jakiś powód do przypuszczeń, że chce do niego wrócić, czy on po prostu usłyszał to, co chciał usłyszeć?



– Rozumiem, że nie spodobała ci się niejasna sytuacja, w jakiej cię wtedy postawiłem. Mogłem odejść od żony i tego nie przeciągać.

Paulina uniosła brwi.

– Czy ja kiedykolwiek nalegałam, żebyś zostawił żonę? – zapytała.

– Oczywiście nie wprost, jesteś na to zbyt honorowa – brnął Wysocki. – Ale ja cały czas wyczuwałem twoje intencje. Takich rzeczy nie da się ukryć.

Nachylił się w jej kierunku, nakrywając jej dłoń swoją dłonią.

– W gruncie rzeczy jesteśmy tacy sami, Paulino. Twardzi, zdecydowanie dążący do celu, świadomi własnej wartości. Tacy jak my zawsze realizują swoje plany, nie oglądając się na szarą masę, jaka nas otacza. Nie oszukuj się. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Razem możemy wiele dokonać.

Ostrożnie cofnęła dłoń. W tej chwili kelner postawił przed Wysockim filiżankę. Prokurator zamieszał kawę łyżeczką i uśmiechnął się, znowu pokazując białe zęby.

– Naprawdę się cieszę, że się spotkaliśmy.

Teraz Paulina spojrzała mu w oczy. Postarała się, żeby jej twarz wyglądała jak kamienna maska.

– Nie chcę do ciebie wracać, Darku.

Drgnął zaskoczony.

– Chciałam z tobą porozmawiać o Zakrzewskim.

Tym razem wyglądał, jakby uderzyła go w twarz. Mięśnie szczęki zagrały mu pod skórą, a palce zacisnęły się na filiżance. Już sobie uświadomił, że popełnił błąd. Udawał, że nic się nie stało, tylko jego głos stwardniał i pojawiła się w nim lekka chrypka.

– Nie będę z tobą rozmawiał o Zakrzewskim.

Odpowiedź padła natychmiast.

– Będiesz – powiedział Paulina i położyła dłoń na szarej kopercie.

\*

Tajfun myśli po czaszką powoli się uspokajał.

Zakrzewski szedł wolno Świdnicką w kierunku Rynku. W Żabce na osiedlu kupił paczkę papierosów i od kiedy wysiadł z tramwaju na przystanku przy Arkadach, wypalił już dwa. Teraz zapalił trzeciego, chociaż organizm zaczynał się buntować.

Może to właśnie te papierosy sprawiły, że powoli zaczynał się uspokajać? Na pewno nie Johnny Walker w środę wieczorem. Cały czwartek przeleżał na sofie, kursując tylko do łazienki. Po południu na szczęście żołądek na tyle się uspokoił, że mógł wypić kawę i coś zjeść. Wieczorem do późna słuchał muzyki. Dzisiaj spał do południa, potem krążył po mieszkaniu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, wreszcie wyszedł z domu i wsiadł do pierwszego autobusu, który podjechał na przystanek przy ulicy Mińskiej naprzeciw Biedronki.

Nie tak wyobrażał sobie odejście z policji. Wszystko się popieprzyło i nie bardzo wiedział, co dalej. Zmiana pracy miała być wybawieniem, tymczasem zaczynał sobie uświadamiać, że postąpił głupio. Czuł się jak karp wyciągnięty nagle z wody w Wigilię, na chwilę przed egzekucją. Zabrakło mu tlenu, paliwa do życia – informacji. Nie wiedział, co nowego zdarzyło się w śledztwie w sprawie mordercy ze zdjęcia, nie miał pojęcia, jakie są najnowsze ustalenia w sprawie morderstwa w jego bramie i zniknięcia Magdy.

Wyłączył telefon i nie sprawdzał, czy ktoś do niego telefonował. Alkohol i kac nie pomogły zebrać myśli, a za chwilowe zapomnienie zapłacił wysoką cenę.

Teraz trochę się ogarnął. Zaczynał rozsądnie myśleć.

Skupił się na podstawowym pytaniu – co tak naprawdę zdarzyło się w jego bramie?

Magda była kimś zupełnie innym. Dlaczego ukrywała się pod fałszywym nazwiskiem? W policyjnej bazie danych nie mieli jej odcisków palców, więc nie była notowana. W co się wplątała? Nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Zupełny bezsens. Handel narkotykami? Inna nielegalna działalność? I co tak właściwie się stało? Jej facet został zamordowany. A ona?

Stanął na światłach w pobliżu Świdnickiej. Co to w ogóle za pomysł z tą przebudową najbardziej znanego przejścia podziemnego w mieście? Odkąd pamiętał, pod ulicą Kazimierza Wielkiego można było przejść szerokim przejściem, w którym siadywali uliczni grajkowie, rozdawano ulotki, handlowano ze stolika, można było zjeść tosta w barze Kąsek. Teraz podobno przejście miało zostać zwężone, a nad nim zaplanowano światła i normalne pasy dla pieszych. Kto wpadł na taki idiotyczny pomysł?

Zapaliło się zielone światło i ruszył wraz z dużą grupą ludzi. Szybko został w tyle i zapalił kolejnego papierosa.

W tym, co się stało na Kossak-Szczuckiej, nie widział sensu. Nie potrafił znaleźć żadnego rozsądnego wytłumaczenia, żadnej hipotezy. Wreszcie przestał o tym myśleć. Zwrócił uwagę na mijającą go kobietę. Ubrana była nieadekwatnie do pogody. Od rana niebo było zachmurzone, ochłodziło się. A ona, jakby przyzwyczajona do upałów, zapomniała, że może być chłodniej, założyła tylko lekką białą bluzkę z krótkimi rękawami. Pod pachą ścisnęła torebkę, jakby obwiała się, że ktoś będzie próbował ją ukraść. Nie zdążył dostrzec jej twarzy, zwrócił tylko uwagę na długie brązowe włosy do ramion. Najpierw pomyślał, że się czegoś boi. Potem jednak do głowy przyszła mu inna myśl – w torebce ma broń i jeszcze nie wie, czy dzisiejszego wieczora jej użyje.

Zatrzymał się przy pojemniku na śmieci, żeby zgasić papierosa. Takie myśli były objawem paranoi, w jaką popadają gliniarze.

Ogarnij się, człowieku, nie pracujesz już w policji – pomyślał i poszedł dalej.

Kobieta w białej bluzce zniknęła pośród tłumu ludzi.

Przed samym Rynkiem skręcił w lewo w Ofiar Oświęcimskich, przeszedł do końca na plac Solny, przeciął go i wszedł do pubu John Bull na rogu. W środku był prawie komplet. Roześmiani ludzie świętowali głośno początek weekendu. Stanął przy barze i zamówił piwo. Od razu zapłacił, po czym sączył złoty płyn ze szklanki, rozglądając się po pubie. Nagle znieruchomiał zaskoczony. W rogu po prawej stronie dostrzegł znajomą sylwetkę. Takich włosów nie można było zapomnieć. Długie, ciemne i proste, opadające na ramiona. Do jego uszu doleciał znajomy perlisty śmiech. Wyglądało na to, że Hanna Duciak świetnie się czuje w towarzystwie mężczyzny, którego Marcin nie widział za stojakiem z kurtkami. Koleżanka siedziała do niego tyłem, więc nie było obawy, że go zobaczy.

Marcin stał przy barze i patrzył. Kim był ten facet? Hanna piła whisky ze szklaneczki i doskonale się bawiła. Śmiała się i co chwilę nachylała do mężczyzny. Drobne gesty – muśnięcia palców, niby przyjacielskie opieranie się na ramieniu, usta zbyt blisko ucha, kiedy coś do niego mówiła – były jednoznaczne. Emocje się zbierają, żeby na koniec wieczoru eksplodować.

Nagle facet odchylił się na swoim krześle i Marcin go zobaczył. Omal się nie zakrztusił piwem. To był jego kolega policjant, członek jego małej grupy dochodzeniowej, Michał Ruciński. Zakrzewskiego ogarnęło dziwne uczucie rozczarowania albo zawodu. Hanna Duciak, piękna młoda kobieta, wybrała Rucińskiego zamiast niego. Zagląający zbyt często do kieliszka Michał, zaniedbany stary kawaler w wieku Marcina, którego kariera w policji osiadła na mieliźnie wiele lat temu, okazał się bardziej atrakcyjny. Przecież Hanna obiecała, że zadzwoni, i nie zadzwoniła.

Zganił się za takie myśli. Nagle zaczęło mu bardzo zależeć, żeby go nie zobaczyli. Dopił piwo i wyszedł na ulicę. Rozejrzał się, przeszedł skrzyżowanie i wszedł do pubu Guinness. Z tym miejscem wiązała się cała masa pozytywnych wspomnień, a tego właśnie było mu dzisiaj potrzeba. Nie potrafił tylko zrozumieć, dlaczego szklanka piwa kosztowała tu siedemnaście złotych.

Usiadł na krześle przy barze i zamówił irlandzkie ciemne piwo. Cena jak cena. Pieniądze szczęścia nie dają, jeśli się ich nie wydaje na przyjemności.

Ktoś przysiadł na krześle obok.

– Cześć! Jakie miłe spotkanie! – usłyszał wyraźnie ucieszony damski głos.

Blondynka z ustami pomalowanymi na intensywny czerwony kolor uśmiechała się do niego promiennie. Kiedyś podobały mu się te usta.

– Cześć – odpowiedział. – Nigdy bym się tutaj ciebie nie spodziewał.

– Przecież mówiłam ci, że często przyjeżdżam do Wrocka. Też lubię tu przychodzić. Mamy miłe wspomnienia związane z tym pubem.

\*

Prokurator Dariusz Wysocki posępnie patrzył na szarą kopertę.

– Czego chcesz? – zapytał.

Już nie był taki złotousty jak wcześniej.

– Może powinnam się zgłosić do prokuratury i złożyć zeznania, ale postanowiłam się z tobą spotkać w luźniejszej atmosferze. Myślę, że lepiej byłoby załatwić tę sprawę mniej oficjalnie, po starej znajomości.

Paulina obserwowała wyraz jego twarzy. Dostrzegała cień zaniepokojenia. Dobrze go oceniła. W gruncie rzeczy był

tchórzem. Tylko że tacy są najgroźniejsi. Nieobliczalni.

– Komisarz Marcin Zakrzewski ma alibi. Noc z niedzieli na poniedziałek z piątego na szósty lipca spędził ze mną.

Popatrzyła mu w oczy, sprawdzając reakcję. Wyraźnie dostrzegła złość i irytację.

– Opowiedzieć ci ze szczegółami, co się działo tej nocy? Marcin przyszedł do mnie około osiemnastej. Zjedliśmy kolację, wypiliśmy trochę wina i poszliśmy do łóżka. O dwudziestej pierwszej wzięliśmy wspólną kąpiel, a później znowu kochaliśmy się do północy. Wyszedł przed ósmą rano.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – wycedził przez zęby. – Kryjesz go.

– Mówię prawdę.

– Nawet nie wiesz, w co się pakujesz. Ja nie zapominam. – Z trudem się wstrzymywał, żeby nie podnieść głosu.

Pokręciła głową z kpiącym uśmiechem.

– Nic nie zrobisz – powiedziała. – Zakrzewskiego zostawisz w spokoju.

– Będziesz miała cholerne kłopoty!

– Nie sądzę. – Pchnęła w jego kierunku szarą kopertę. – Obejrzyj sobie. To jest moja polisa ubezpieczeniowa.

Wysocki niepewnie wziął kopertę do ręki i wyciągnął ze środka sporych rozmiarów zdjęcia. Rzucił na nie okiem i nagle znieruchomiał. Jego twarz zrobiła się blada jak papier, potem czerwona, wreszcie na czoło wystąpiły kropelki potu. Włożył fotografie z powrotem, odłożył kopertę i nagle trzasnął otwartą dłonią o stół, aż zadzwoniła łyżeczka w filiżance z kawą.

Japończycy przy sąsiednim stoliku zamilkli i zerkali w ich kierunku zdziwieni. Kelner za barem popatrzył w ich stronę z ostrzegawczym wyrazem twarzy.

– Skąd je masz!?! – warknął prokurator przez zaciśnięte z wściekłości zęby.

Paulina spokojnie napiła się kawy.

– Kiedyś twoja żona z córkami wyjechała na parę dni na wakacje. Ty wymówiłeś się pracą i opóźniłeś wyjazd o trzy dni. Pamiętasz? Zabrałeś mnie wtedy do siebie do domu. Zawsze mam problem ze snem w nowych miejscach, więc wstałam bardzo wcześnie i rozejrzałam się trochę po twoim pokoju. Skrytkę w biurku znalazłam od razu. W końcu jestem glina, nie?

Posłała mu niewinne spojrzenie.

– Było tam więcej takich fotografii. Wybrałam kilka najciekawszych. Pomyślałam, że mogą się przydać. Już wtedy zauważyłam, że masz wredny charakter.

– Cholerna dziwka!

Wykonał taki gest, jakby chciał ją uderzyć. Złapała go za nadgarstek.

– Spróbuj jeszcze raz, a będziesz leżał na podłodze skuty kajdankami – ostrzegła go.

Wyszarpnął rękę.

– Nawet nie wiesz, w co się pakujesz!

– Zamknij się i słuchaj. – Paulina nagle zmieniła ton głosu na twardy i stanowczy. – Jutro rano skorygujesz plan śledztwa. Nie będziesz się zajmował Zakrzewskim. Jeśli tego nie zrobisz, najpóźniej w poniedziałek te zdjęcia wylądują na biurku twojego szefa w prokuraturze i u mojego znajomego dziennikarza, który podobnie jak wielu pismaków uważa cię za skorumpowanego drania i chętnie udupiłby twoją wspaniałą zapowiadającą się karierę w prokuraturze krajowej. Zrozumiałeś aluzję?

Wysocki zaczerwienił się i nic nie powiedział.

– Pytałam o coś!

– Tak – wycedził.

– A teraz wynoś się stąd. I tak już zepsułeś mi wieczór.

Wysocki wstał, spojrział na nią z nienawiścią.

– Jeszcze zobaczymy... – syknął na odchodne i wyszedł z kawiarni przez otwarte drzwi.

Paulina Czerny odetchnęła głęboko, dopiła kawę. Nie spodziewała się, że tak łatwo pójdzie. Podniosła ze stołu kopertę, wstała i spojrzała na Japończyków, którzy nadal wpatrywali się w nią jak zahipnotyzowani.

– *Any problems?* – zapytała głośno.

Wszystkie trzy głowy jak na komendę pochyliły się nad ekranami telefonów.

Paulina wolno wyszła na zewnątrz, przeszła przez huczący gwarem kawiarniany ogródek i skręciła w lewo w ulicę Świętego Mikołaja. Na rogu prawie zderzyła się z kobietą ubraną na pierwszy rzut oka zbyt lekko. Cienka biała bluzka z krótkimi rękawami na pewno nie chroniła przed wieczornym spadkiem temperatury. Kobieta kurczowo ścisnęła pod ramieniem torebkę, jakby trzymała w niej cenny skarb.

– Przepraszam... – bąknęła, odeszła szybko i wmieszała się w tłum spacerujący po Rynku.

Paulina przez chwilę miała wrażenie, że już gdzieś ją widziała.

\*

Następnego dnia około jedenastej Paulina Czerny zaparkowała swoją wysłużoną toyotę obok motocykla przykrytego pokrowcem. Wysiadła z samochodu, trzasnęła drzwiami i patrząc na motocykl, zapaliła wolno papierosa. Nie była pewna, czy na ulicy Kossak–Szcuckiej ktoś oprócz Zakrzewskiego jeździ motorem. Uznała, że motocykl należy do niego. Oparta o maskę swojego samochodu zaciągnęła się z lubością dymem.

Było cieplej niż poprzedniego dnia. Jeszcze rano po niebie sunęły chmury, które teraz gdzieś zniknęły. Temperatura



gwałtownie rosła, po dwudniowej uldze upał wracał ze zdwojoną siłą.

Rzuciła niedopałek na ziemię, przydepnęła butem i wolno ruszyła do bramy. Nie musiała dzwonić domofonem, bo akurat wychodziła jakaś starsza, otyła kobieta ubrana w za ciasną garsonkę i zawinięta w szal, jakby spodziewała się październikowej szarugi. Pewnie szła do kościoła. Kobieta popatrzyła na Paulinę podejrzliwie i już chyba miała coś powiedzieć, lecz policjantka zatrzasnęła jej drzwi przed nosem. Nie lubiła starych dewotek wtykających nos w nie swoje sprawy.

Wolno ruszyła po schodach. Była niewyspana i zmęczona. W jeden dzień załatwiła Marcinowi powrót do policji. Koszt nie był duży: trochę nerwów, średni stres i kolejny śmiertelny wróg w pracy. Pieprzyć to, nie pierwszy i nie ostatni. Znani wrogowie byli mniej groźni od tych głęboko zakamuflowanych. Marzyła o dobrej kawie. Takiej z przelewowego ekspresu Marcina, którą tyle razy piła o poranku, kiedy u niego nocowała. Kiedy to było? Dawno. Tęskniła za tym? Trochę.

Minęła piętro Marcina, poszła wyżej i rzuciła okiem na zabezpieczone policyjną plombą i zaklejone policyjną taśmą drzwi do mieszkania tajemniczej sąsiadki. Wyglądały na nienaruszone.

Wróciła pod drzwi Zakrzewskiego i zadzwoniła. Najpierw rozległo się szczekanie psa, po chwili usłyszała kroki, drzwi się uchyliły i do Pauliny wybiegła Tina, machając na przywitanie ogonem. Policjantka jednak zamiast pogłaskać psa zastygła w bezruchu.

Patrzyła na nią ładna blondynka z mokrymi włosami, ubrana tylko w szlafrok, jakby dopiero co wyszła spod prysznicy. Zaskoczenie było obopólne. Kobieta spuściła wzrok.

– Cześć – powiedziała niepewnie.

Paulina dopiero teraz ją poznała. Z Justyną Kordas chodziły do jednego liceum, potem ona związała się z Zakrzewskim i była najbliżej tego, żeby go usidlić w sakramentalnym związku. Tyle tylko, że wybrała karierę w telewizji. Najwidoczniej jednak stara miłość nie rdzewieje.

– Cześć, jest Marcin? – zapytała Paulina odrobinę za szorstko.

– Jest. Posłuchaj, głupio wyszło – wydukała Justyna. – My po prostu spotkaliśmy się wczoraj na mieście i tylko tu przenocowałam. Nic...

– Nie musisz mi się tłumaczyć.

– On cały czas myśli tylko o tobie. Nie chciałabym niczego zepsuć...

Wyglądała na mocno przejętą.

– Dobra. Chcę z nim porozmawiać na osobności – rzuciła Paulina, wpuszczając przodem Tinę i wchodząc do środka.

– Oczywiście. Ja już się zbieram.

Justyna Kordas zniknęła za drzwiami łazienki i prawie natychmiast ze środka doleciał odgłos suszarki do włosów. Paulina była na siebie zła za to ukłucie zazdrości, które nagle poczuła. Przecież dawno się rozstali. Ale była też na niego zła. Ona wyciąga go z szamba, a on sobie romansuje jak gdyby nigdy nic.

– Cześć! – Marcin stał w drzwiach do kuchni i patrzył na nią z niepokojem w oczach.

Bez słowa wyminęła go i ciężko usiadła przy kuchennym stole.

– Dzisiaj jeszcze nie piłam kawy. Marzę o dobrej kawie.

– J-jasne. Już robię.

Milczeli, kiedy nalewał wody, wkładał papierowy filtr i wsypywał kawę.

– Paulina, my nic nie... – zaczął, kiedy ekspres zaczął się rozgrzewać i syczeć.

– Nie musisz mi się tłumaczyć – przerwała.

– Ale chcę. – Usiadł naprzeciw niej. – Wczorajszy wieczór i noc były dość dziwne – powiedział ściszone głośnie, jakby nie chciał, żeby Justyna w łazience go usłyszała. – Spotkaliśmy się w Rynku i zapytała, czy może u mnie zanoćować. Przyjechaliśmy tu, a potem tylko rozmawialiśmy. Właściwie to Justyna płakała i mówiła, a ja słuchałem – i tak przez pół nocy.

– Co ty bredzisz?

– Może to brzmi dziwnie, ale Justyna potrzebowała się komuś wygadać. Ja okazałem się najbardziej zaufaną osobą. Powiedzmy, że zrobiła tu w nocy mały *coming out*.

– Co takiego? – Paulina spojrzała na niego zdumiona.

– Przyznała mi się, że odkąd wtedy ze sobą zerwaliśmy, nie miała żadnego faceta. Właściwie bardziej pociągają ją kobiety, tylko boi się do tego przyznać. Wczoraj wypiliśmy trochę piwa i pękła.

Cudowny aromat kawy rozszedł się po całej kuchni.

– Chcesz powiedzieć, że jest lesbijką?

– Jakby to ująć... W tej sferze jest jeszcze dziewicą, więc tak jej się wydaje.

Paulina omal nie wybuchnęła śmiechem.

– Ale sobie spowiednika znalazła. I co ty jej powiedziałaś?

– Głównie słuchałem. Kiedy płakała, to ją pocieszałem. – Zachnął się, widząc jej szelmowski uśmiech. – Przestań się śmiać! Szkoda mi jej. Jest bardzo nieszczęśliwą osobą.

– Dobrze, dobrze, ale nie musiałeś jej dawać mojego szlafroka.

– Zostawiłaś go u mnie. Poza tym nie miałem innych damskich.

– Wiesz co, Marcin? Tym masz naprawdę cholerny problem z kobietami. Zawsze trafia ci się szczególny przypadek.

– Mówisz też o sobie? – zripostował złośliwie.

– Mało spałam. Lej tę kawę, bo zaraz zasnę – zmieniła temat.

Z odrobiną mleka z kartonu kawa naprawdę miała wyjątkowy smak. Siedzieli w milczeniu. Paulina piła małymi łykami, z pełną świadomością, że Marcin bacznie się jej przygląda. W ten szczególny sposób, który też jej się podobał. Oboje wiedzieli, na co czekają.

Wreszcie po kilku minutach z łazienki wyszła Justyna. Wyglądała dokładnie tak, jak w telewizji: starannie ułożone włosy, nienaganny makijaż, na ustach szminka, której nie można było zetrzeć. Tylko spuchnięte powieki informowały co bardziej spostrzegawczych, że Justyna Kordas nie przespała całej nocy. Może nawet nie przespała jej wcale.

Marcin poszedł ją odprowadzić do drzwi. Stali jeszcze chwilę w korytarzyku.

– Przepraszam, że musisz tak szybko wychodzić – zaczął Marcin. – Myślałem, że zjemy razem śniadanie.

Uśmiechnęła się blado.

– Daj spokój, od lat nie jem śniadań. W kontrakcie mam zapisane, ile mogę ważyć.

– Żartujesz?

– No, trochę przesadziłam, ale dla telewizji trzeba wiele poświęcić.

– Warto?

– Nie załamuj mnie celnymi pytaniami. – Pokręciła bezradnie głową. – Sama już nie wiem.

– Justyna, wszystko się ułoży. W razie czego dzwoń.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór.

Zbliżyła się i pocałowała go w policzek.

– Fajnie, że chociaż między nami się trochę wyprostowało. Jeszcze dwa tygodnie temu nie pomyślałabym nawet, że otworzę się właśnie przed tobą.

– Życie jest nieprzewidywalne.

Justyna Kordas potarmosiła jeszcze na pożegnanie psa i zniknęła za drzwiami, a Marcin wrócił do kuchni, gdzie

Paulina opróżniła swój kubek z kawą i właśnie dopijała jego.

– Ckliwe pożegnania? – zapytała z krzywym uśmiechem.

Nie dał się sprowokować.

– Jak smakuje moja kawa?

– Pyszna.

Usiadł naprzeciwko i popatrzyli sobie bez słowa w oczy. Pewnych rzeczy nie trzeba było artykułować.

– Przyszłam uratować ci dupę.

– Słucham?

– Wracasz do policji.

– Z tego co wiem, oszedłem. – Pokręcił głową.

Odsunęła pusty kubek.

– Zakrzewski, ocknij się, do kurwy nędzy! Przecież wiesz, że bez tej cholерnej roboty w zabójstwach nie potrafisz normalnie funkcjonować. Myślisz, że zatrudnisz się w firmie ochroniarskiej? Zostaniesz prywatnym detektywem i będziesz łąził za zdradzającymi bogate żony jeszcze bardziej bogatymi facetami? I będziesz przy tym szczęśliwy? Gównno prawda! Dlatego wzięłam sprawy w swoje ręce i od poniedziałku wracasz do roboty.

– Złożyłem wypowiedzenie.

– Tak ci się tylko wydaje.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła dokument w foliowej koszulce.

– To twoje wypowiedzenie.

Wziął papier do ręki i patrzył, nie kryjąc zdziwienia.

– Skąd je masz? – zapytał.

– Z biurka Godleckiego. Szef nigdy go nie widział.

– Zawiesili mnie.

Paulina bez pytania zapaliła cienkiego papierosa i strząsnęła popiół do kubka po kawie.

– Masz mocne alibi na noc, kiedy zamordowano Patryka Tularza, więc prokurator Wysocki zmienił plan śledztwa

i skupił się na poszukiwaniu prawdziwego mordercy. W związku z tym BSW również wycofa się z postępowania wyjaśniającego. W poniedziałek o dziesiątej stawisz się na przesłuchaniu przed komisją wydziałową z psychologiem policyjnym w składzie i zastaniesz przywrócony. Chcę, żebyś wrócił i dokończył śledztwo w sprawie mordercy ze zdjęcia.

Marcin bez słowa sięgnął po paczkę papierosów, wyciągnął jednego i zapalił.

– Dałaś mi alibi – domyślił się. – Wysocki ci tego nie zapomni.

– Pamiętaj, że przyszedłeś do mnie około osiemnastej, zjedliśmy kolację, poszliśmy do łóżka, potem wspólna kąpiel i znowu łóżko. Wszedłeś koło ósmej. Wysockiego omal szlag nie trafił, jak mu to opowiadałam. Nie bój się, nic mi nie zrobi.

Tym razem z torebki wyciągnęła szarą kopertę i położyła przed Marcinem. Ten z wahaniem sięgnął do środka i wyjął znajdujące się tam fotografie. Ze zdziwienia omal nie wypuścił papierosa z ust.

Na pierwszym zdjęciu trzy kobiety ubrane jedynie w charakterystyczne czapki oraz górne części czarnych mundurów SS zajmowały się nagim mężczyzną rozciągniętym na wielkim łożu. Trochę przemocy, trochę bólu, trochę pieśzcot – w doskonałych proporcjach. Bez trudu można było rozpoznać, kim jest ten mężczyzna. Marcin schował fotki do koperty. Stracił ochotę na oglądanie kolejnych.

– Nie wiedziałem, że Wysocki ma takie upodobania – powiedział.

– Ja też nie wiedziałam.

– Zaszantażowałaś go – raczej stwierdził, niż zapytał. – To nie było rozsądne.

Uśmiechnęła się kpiąco i wprawnym ruchem poprawiła grzywkę opadającą na oczy.

– Jego się nie boję – prychnęła.

Widać było, że Zakrzewski się waha. Wreszcie odezwał się, patrząc jej w oczy.

– Paulina, wtedy w domu Bogdańskiego...

– Wiem, strzeliłeś zabójcy w łeb za mnie – przerwała mu. – Grabski mi powiedział. Marcin, minęło parę lat, pewnych rzeczy się już nie cofnie. Nie jesteś mordercą. Wracasz do swojej niezależnej małej grupy śledczej, musimy rozwiązać tę sprawę. Potem możesz robić, co chcesz. Złożysz wypowiedzenie, pójdziesz na emeryturę, wyjedziesz na antypody – gównu mnie obchodzi. Ale najpierw musimy złapać mordercę.

– J-jasne.

Szybkim ruchem wyciągnęła jego wypowiedzenie, podała na kilka kawałków, po czym wyrzuciła do kosza na śmieci pod zlewem.

– Teraz ci ulżyło?

Marcin nie wiedział, co odpowiedzieć. Ciągle w głowie miał totalny chaos. Zamykał oczy i zaraz pod powiekami pojawiał się ciąg obrazów, nad którymi nie mógł zapanować. Naga Magda na łóżku, patrząca na niego lubieżnie, uderzająco podobna do zmumifikowanego trupa kobiety ze stołu w prosektorium, Hanna zakładająca długie włosy za ucho, mężczyzna przybity gwoździem do drzewa, pęknięty brzuch, z którego wylewała się struga betonu... Nie mógł nad tym zapanować. Może Paulina miała rację? Jedynym ratunkiem był powrót do pracy i rozwiązanie obu zagadek. Musiał się z tym zmierzyć. Dla własnego spokoju.

– Wrócę – odezwał się, głaskając po głowie Tinę.

– Jeden warunek.

– Jaki? – zdziwił się.

– Trzymasz się z daleka od zabójstwa swojego sąsiada.

– Nie mogę tego zostawić. – Pokręcił głową.

– Cholera! Nie będziesz się do tego mieszał. To jest sprawa Wysockiego i komendy miejskiej.

– Paulina, ja... – zająknął się. – Dobrze znałem tę kobietę, mieszkała tu prawie półtora roku. Ona mnie zaczepiła. To nie mógł być czysty przypadek.

– To się nazywa policyjna paranoja. Wszyscy przestępcy i oszuści chcą cię koniecznie poznać, więc kupują sobie mieszkanie na Kossak-Szczuckiej. Może trzeba sprawdzić innych lokatorów w tej bramie? Może to sami zboczeńcy i seryjni mordercy?

– Nie kpij. Zabójstwo i zniknięcie Magdy nie trzymają się kupy. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej irracjonalne mi się to wydaje. Może już wiadomo coś więcej?

Paulina popatrzyła na niego poważnie.

– Wiem, że laboratorium analizuje próbki DNA pobrane z mieszkania. Odcisków palców nie ma w bazie danych. Wiadomo już, gdzie zostały podrobione dokumenty, ten fałszerz od dawna jest na celowniku poznańskiej policji. Śledczy przesłuchują sąsiadów, szukają znajomych, analizują monitoringi z kamer. Na razie nie wiadomo, kim naprawdę jest kobieta podająca się za Magdalenę Szumilas. Grzebią też w życiu Patryka Tularza. Tu jest prościej, ostatnie półtora roku siedział w więzieniu na Kleczkowskiej. Wiadomo, że ktoś go odwiedzał, miejska sprawdza, co robił na przepustkach, skąd miał kasę na kupno mieszkania i jak to się stało, że je wynajął. Rozczaruję cię, ale tu też jeszcze nic nie wiadomo na temat twojej Magdy.

Szczególny akcent postawiła na słowie „twojej”. Marcin nie zwrócił uwagi na tę złośliwość. Drapał się po karku.

– Cały czas mam wrażenie, że coś mi umknęło – powiedział. – Widziałem coś istotnego i nie mogę sobie przypomnieć, co. Tak, na pewno widziałem.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Od wtorku wracasz do zabójcy ze zdjęcia.



Wstała i zarzuciła torebkę na ramię. W drzwiach spojrzała na Tinę.

– Jak jej zdrowie? – zapytała.

– W przychodni weterynaryjnej zrobili jej badania krwi. Wyniki wyszły w normie.

Paulina kucnęła przed Tiną i drapała ją po uszach.

– Mądry piesek – powiedziała. – Nie zeżarłaś dużo tego świństwa. Prawda?

– Najwidoczniej nie. Ale jeszcze podaję jej witaminę D. Na wszelki wypadek.

Paulina pogrzebała chwilę w torebce i położyła na stoliku przy drzwiach trzy klucze zawieszony na metalowym kółku.

– Co to jest? – zapytał.

– Klucze do twojego mieszkania, znalezione w torebce twojej zaginionej sąsiadki.

– Jak wyciągnęłaś je z magazynu dowodów? Jest sobota.

– Mam swoje sposoby.

Na odchodne poklepała go po ramieniu i już jej nie było.

## 32 Inne spojrzenie

14 lipca, wtorek rano

Na chodnikach stały jeszcze kałuże po nocnej ulewie. Było kwadrans po siódmej, kiedy aspirant Szawczak wysiadał ze swojego golfa na parkingu policyjnym. Niebo było zachmurzone, a powietrze tak wilgotne, że lepilo się do skóry. Zapowiadał się koszmarnie gorący i nieprzyjemny dzień.

Parol wszedł do budynku, skinął dyżurnemu i wolno ruszył schodami na drugie piętro, gdzie niewielkie pomieszczenie dzielił z trzema innymi policjantami. Już miał wejść do środka, kiedy nagle zainteresowały go uchylone drzwi do biura Zakrzewskiego. Z wahaniem przeszedł kilka kroków i zajrzał do środka.

– Dobrze, że już jesteś. Siadaj, musimy pogadać.

Komisarz Zakrzewski siedział z jedną nogą założoną na biurko i pił wolno kawę kupioną w automacie. Zużyte kubki walające się na blacie sugerowały, że to nie była pierwsza kawa tego dnia. Zresztą sam Zakrzewski wyglądał tak, jakby w nocy spał niewiele, ale bladość twarzy i podkrążone oczy nie współgrały z energią, jaka od niego emanowała. Parol pomyślał, że do ostatniej kawy automat musiał mu dolać w gratisie dodatkowe środki wspomagające.

– Myślałem, że złożyłeś wypowiedzenie – powiedział, siadając ostrożnie na skrzypiącym krześle przed biurkiem.

– Też tak myślałem – padła krótka odpowiedź.

Czerwone plamy na policzkach Szawczaka zrobiły się jeszcze bardziej czerwone.

– Nie zawiesili cię?

– Już mnie odwiesili. Wczoraj stanąłem przed komisją weryfikacyjną i dostałem pozytywną ocenę. – Marcin wyszczerzył w uśmiechu zęby. – Przez chwilę czułem się jak Franz w *Psach* Pasikowskiego.

– Chyba nie było aż tak...

– Wyluzuj, Parol, nie marzyłeś nigdy, żeby wystąpić jako główny bohater w takiej scenie?

– Nie.

Marcin przyjrzał mu się uważnie.

– No cóż... Tak czy inaczej, wraca nasza mała grupa śledcza. Już dzwoniłem do Rucińskiego, żeby przyjechał wcześniej.

Dopił kawę i odstawił kubek obok innych.

– Wyglądasz, jakbyś był tu całą noc – odezwał się Parol.

– Przyjechałem przed czwartą. Nie mogłem spać.

– A twój pies?

– Odwiozłem go do rodziców na wieś.

Parol wstał, pozbierał kubki po kawie z biurka i wrzucił je do kosza. Krzesło zaskrzypiało przeraźliwie, kiedy siadał i wyciągał notes.

– Od czego zaczniemy? – zapytał.

– Od kawy. – Podkomisarz Michał Ruciński stanął w drzwiach z dwoma kubkami w dłoniach. Nie przypominał człowieka sprzed kilku dni. Był gładko ogolony, ciemne włosy miał starannie uczesane, a przede wszystkim nie śmierdział przetrawionym alkoholem i nie miał kaca. Zakrzewski pomyślał, że czasem kobiety mają zadziwiający wpływ na facetów. Szczególnie w pierwszych tygodniach zauroczenia. Jeśli oczywiście można to było tak nazwać.

Pokręcił głową, kiedy Michał zaproponował mu kawę, za to Parol przyjął kubek z wdzięcznością.

– Właśnie przeglądałem materiały ze śledztwa. Grupa Pauliny podąża utartymi ścieżkami, bez większych rezultatów. Nam jest potrzebne inne spojrzenie.

– Masz już pewnie własne przemyślenia.

Zakrzewski skinął głową.

– Zaczniemy od pisarza. Śledztwo opiera się na założeniu, że to on był nekrofilem. Ja się z taką opinią nie zgadzam. Rudnicki nie pasuje mi na nekrofila. Nie zapominajmy, że był gejem.

– W przeszłości był biseksualny – wtrącił Ruciński.

– I do tego jeszcze kręcił go seks ze zmarłymi? Za dużo jak na jednego gościa. Rudnicki był właścicielem apartamentu w centrum miasta, działki z altanką za miastem, kilka lat temu sprzedał mieszkanie po swoich rodzicach na Psim Polu. Nie miałyby gdzie przetrzymywać zwłok przez tyle lat. Nie zapominajcie, że to nie mogła być zwykła piwnica. Poza tym nie miał możliwości odpowiedniego spreparowania zwłok. Nie wierzę, że był preparatorem samoukiem.

– Mógł kogoś wynająć – podsunął Parol.

– Mógł, ale czy zaryzykowałby powierzenie takiej tajemnicy komuś obcemu? To nie jest zwykłe przestępstwo. Nekrofilia tego typu jest na tyle rzadka, że nie dałoby się tego utrzymać w tajemnicy.

– Sam powiedziałaś, że opisy aktu nekrofilii w jego ostatniej książce są bardzo realistyczne. – Szawczak nie dawał za wygraną.

– A jeśli pisał je na poddaszu kamienicy przy Siemieńskiego, patrząc na zwłoki?

W pokoju zapanowała nagle cisza. Wszyscy trzej wyobrazili sobie taką scenę. Parol skrzywił się i odstawił niedopitą kawę na blat biurka.

– Prawdopodobne – mruknął przez zaciśniętą krtań. – Tylko mamy jeszcze inne poszlaki. Znał tę kobietę. Jeśli jego ostatnia książka zawiera elementy autobiograficzne, a zdjęcia Kurzaja

tak sugerują, może nawet miał z nią romans. Poza tym to chyba nie jest przypadek, że po wydaniu książki, w której opisał romans czterech facetów z jedną kobietą, wszyscy giną, a zaginione przed laty zwłoki cudownie się odnajdują.

– Zastanówmy się. Jeśli nie był nekrofilem, skąd miał zwłoki?

– Dostał od jednego z nich. Tego, który zabił. Dokładnie tak jak w książce Rudnickiego – odezwał się Michał.

– I jak sugerował list do Kurzaja – dodał Parol.

– Ale od którego? Który ją zabił? W książce nie ma jednoznacznego rozwiązania zagadki. Wszyscy się na koniec pozabijali. Właściwie, jak się nad tym zastanawiałem, każdy z bohaterów książki ma dobry motyw, żeby ją zabić. A jak było naprawdę?

Parol wrócił do picia kawy małymi łykami.

– Naprawdę nikt z nich jej nie zabił. Ta sugestia w liście do Kurzaja była tylko skuteczną próbą wywabienia go z domu. Morderca był z zewnątrz, dlatego zabił ich wszystkich.

– Też tak uważam. – Marcin pokiwał głową. – Tylko tu nasuwa się kolejne pytanie. Dlaczego Kurzaj uwierzył w treść listu? Musiał o czymś wiedzieć. Coś złego wydarzyło się w przeszłości.

Ruciński podniósł dłoń, jakby zgłaszał się do odpowiedzi.

– Być może morderca nie jest z zewnątrz. Może był tym piątym, którego akurat nie ma na zdjęciach. Ktoś przecież je robił. Być może Rudnicki, opisując w książce częściowo prawdziwe wydarzenia, złamał tabu. Zmowę milczenia. Ten piąty poczuł się zagrożony i wyeliminował świadków.

– Po co? – zapytał Parol.

– Może on przyczynił się do śmierci kobiety? Przestraszył się, że ktoś może go powiązać z tym zdarzeniem, w wyniku którego zginęła...

– To miałyby być motyw? Naciągane – ocenił Zakrzewski. – Jeśli morderca poczuł się zagrożony i chciał wyeliminować

świadców, po prostu by ich zabił. Nie urządziłyby szopek z przybijaniem głowy gwoździem do drzewa, wtryskiwaniem betonu do brzucha albo z patroszeniem psa i wieszaniem go w spiżarni. Takie działanie sugeruje bardziej, że motywem była zemsta. Ofiary miały cierpieć, czuć, że umierają. Ale zostawmy na razie motyw i skupmy się na pomysle Michała. Co takiego musiało się stać w przeszłości, że ten hipotetyczny piąty mężczyzna po przeczytaniu książki Rudnickiego tak bardzo się przestraszył?

Popatrzyli na siebie w milczeniu. Nic nie przychodziło im do głowy.

– Zabił ją? – zapytał wreszcie Parol.

– Dlaczego reszta milczała? – zapytał Marcin.

Rucińskiemu nagle zaświeciły się oczy.

– Może oni wszyscy ją zabili? – powiedział. – Może to był rodzaj rytualnego mordu podczas orgii seksualnej? Może należeli do jakiejś sekty? Tylko w takim przypadku zmowa milczenia mogła przetrwać tyle lat.

Parol pozostał sceptyczny.

– Sekta, rytualne mordy? Nie robi się trochę zbyt banalnie?

– Potrzebujemy świeżych pomysłów. Skupmy się na tym piątym elemencie naszej układanki. Pomysł jest rozwojowy. – Marcin poprawił się na krześle. – Z ustaleń dużej grupy śledczej wynika, że cała czwórka mężczyzn ze zdjęć nigdy później się ze sobą nie kontaktowała.

Jak znaleźć „piątego”?

– Przez ostatni tydzień wszyscy śledczy grzebali w życiorysach ofiar, rozmawiali z kilkunastoma ich znajomymi z przeszłości. – Parol obracał w zamyśleniu pusty kubek. – O ile pamiętam, nikt nie miał pojęcia, że cała czwórka się zna, nikt nie słyszał o dziewczynie ze zdjęcia. Nie wytypowano żadnej kobiety zaginionej w latach 1980–1986, która pasowałaby do profilu.

Rucińskiego nie opuszczały dobre pomysły.

– A jeśli to była tylko przelotna znajomość? – rzucił nagle.

– Co masz na myśli?

– Splot dziwnych przypadków. Wszyscy czterej nie znają się tu, we Wrocławiu. No, może znają się z widzenia. Przypadkowo spotykają się na wakacjach w jakiejś nadmorskiej miejscowości. Piją wódkę, idą na dancing, tam tańczą z kobietą, która przysiadła się do ich stolika, ponieważ jest akurat sama na wczasach albo pokłóciła się z mężem. Ona wcale nie musiała być z Wrocławia ani nawet z okolic i dlatego poszukiwanie w bazie zaginionych z tamtych lat należy rozszerzyć o teren całego kraju.

– Dobrze by było wiedzieć, jaka to miejscowość – wtrącił Parol.

Marcin podrapał się z tyłu głowy nerwowym gestem.

– Dobry pomysł i bardzo trudny do zrealizowania – powiedział wolno.

– Roześlę fotografię domu wczasowego do wszystkich komisariatów na Pomorzu – zaproponował Parol. – Może ktoś sobie coś przypomni.

– Zajmij się tym jeszcze dzisiaj – polecił Marcin i znowu się podrapał.

Poczuł wielką ochotę na papierosa. Przemknęło mu przez myśl, że zaczyna palić, kiedy mocno angażuje się w śledztwo. Potem znowu dołącza do wąskiego grona niepalących funkcjonariuszy z gmachu przy Podwału.

– Przyszło mi do głowy coś jeszcze – odezwał się. – Kobieta mogła być zwykłą dziwką, jakich wiele kręciło się w czasie wakacji po nadmorskich kurortach w poszukiwaniu bogatej klienteli.

– Jeszcze bardziej komplikujemy sobie życie. – Czerwone policzki Parola nabrały nowego odcienia.

Ruciński uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

– Jesteś młody i nie pamiętasz dawnych czasów – powiedział.  
– Milicja Obywatelska i peerelowska esbecja środowisko kurew i ich alfonsów miały rozpracowane jak żadne inne. Zostały tony akt w archiwach.

– Ty się tym zajmiesz, Parol – zdecydował Zakrzewski. – Szukamy zaginionej prostytutki z rejonów nadmorskich w latach osiemdziesiątych.

– Mogło być jeszcze inaczej – rzucił nagle Szawczak, więc spojrzeli na niego pytająco. – A jeśli piąty mężczyzna był narzeczonym albo mężem kobiety? Kobieta została zgwałcona przez czwórkę ze zdjęcia...

– Zgwałcona? – prychnął Ruciński. – Na zdjęciach wygląda na przeszcześliwą.

– No dobrze, nie została zgwałcona, tylko uprawiali seks. Coś poszło nie tak. Zmarła, została zamordowana. Nieważne. Cała czwórka ucieka do Wrocławia i zaciera za sobą ślady pobytu nad morzem. Mąż zamordowanej kobiety bardzo ją kocha, więc balsamuje zwłoki i przysięga mordercom zemstę. Przez dziesiątki lat nie może ich znaleźć, nagle czyta kryminał Rudnickiego i już wszystko wie. Kontaktuje się z nim, przywozi zwłoki, które przechowuje w chłodni przez te wszystkie lata, i pokazuje pisarzowi. Ten sypie nazwiska pozostałych. A potem jest już tylko zemsta.

– Cholera! Tak też mogło być. – Zakrzewski pokiwał głową. – Zapętlamy się. Musimy wybrać najbardziej prawdopodobną wersję.

W komendzie wojewódzkiej zaczął się normalny dzień pracy, dlatego ktoś co chwilę zaglądał do pokoju Zakrzewskiego i witał go ponownie na pokładzie. Marcin odpowiadał zdawkowo, ale w końcu wizyty zaczęły ich coraz bardziej rozpraszać. Postanowili zrobić sobie przerwę. Marcin poszedł z Rucińskim na papierosa, a Szawczak trafił wreszcie do swojego pokoju, gdzie zjadł kanapkę i przejrzał pliki z zaginionymi



prostytutkami. Nie było tak różowo, jak mówił Michał, nie wszystkie prostytutki znane były z imienia i nazwiska. Czasem w kartotekach figurowały tylko pseudonimy artystyczne. Milicja w nadmorskich kurortach też czerpała zyski z najstarszego procederu świata i przymykała oko na wiele.

Burzę mózgow wznowili przed dziesiątą.

– Piąty mężczyzna i zmumifikowana kobieta pochodzili z Wrocławia lub z Dolnego Śląska – zdecydował Marcin. – Rozmawiałem z policyjnym profilerem. Nie napisał tego w oficjalnym raporcie, ale według niego te morderstwa nie są pierwsze ani ostatnie.

Ruciński i Szawczak wytrzeszczyli na niego oczy.

– Lokuje je gdzieś pośrodku. Jako motyw wskazuje – i to już jest w oficjalnym raporcie – zemstę. Coś takiego, o czym mówił Parol. Przez lata pielęgnowaną nienawiść, nagromadzoną żółć, która nagle znalazła ujście.

– W takim razie co dalej? – Aspirant Szawczak wyglądał na skołowanego.

Marcin stanął do nich tyłem. Przez chwilę patrzył na nowoczesny gmach Narodowego Forum Muzyki, wzniesiony po drugiej stronie fosy, po czym nagle się odwrócił.

– Mamy do czynienia z czterema różnymi zabójstwami i różnymi okolicznościami. Nie można znaleźć jednego schematu tych zbrodni. Uważam jednak, że taki schemat musi istnieć, tylko że morderca go ukrywa – powiedział. – Jest na tyle sprytny, że na pierwszy rzut oka morderstwa się ze sobą nie łączą. To była pierwsza rzecz, na którą zwróciła uwagę Paulina Czerny w głównej grupie i w tym kierunku poszła spora część działań.

– Bezskutecznie – wtrącił Ruciński.

– Tak, bezskutecznie – westchnął Marcin. – Ale ta różnorodność też nie daje mi spokoju od samego początku. Zastanówmy się, czy istnieją jakieś podobieństwa między

zabójstwami. Przecież, do cholery, zakładamy, że sprawca był jeden. Zatem musi działać według schematu. Musi być jakiś klucz, którego jeszcze nie dostrzegamy. W innym przypadku to byłby ewenement na skalę światową. Psychopata nie może mordować za każdym razem inaczej.

– Czas pomiędzy zabójstwami – rzucił Szawczak

– Rozwiń.

– Najpierw Rudnicki, potem parę dni przerwy i nagle trzy następujące po sobie morderstwa. Z soboty na niedzielę Kurzaj, potem już w południe morderstwo w kościele w Glinicy i w nocy z niedzieli na poniedziałek Koskowski. On się rozkręcał. Nie wiem, czy zdążył się przespać. Jak dla mnie – zastanawiające.

– Nienawiść hodowana przez lata. Po zabiciu pisarza ułożył doskonały plan i zrealizował go w najdrobniejszych detalach. Podejrzewam, że w amoku mógłby nie spać przez tydzień.

– Jego działanie charakteryzuje spora bezczelność – powiedział Ruciński. – Nie ukrywa się. Zabija Jarosza w biały dzień, po niedzielnej mszy, na którą przychodzi pół wioski. Pokazuje się pracownikowi Koskowskiego, rozmawia z nim, nawet proponuje mu udział w zemście. Cholera, to nawet nie jest bezczelność. On sobie z nas robi jaja, wie, że jesteśmy bezsilni.

– Mylisz się. Jego działanie jest jak najbardziej pragmatyczne i uzasadnione. Gdybyśmy nie mieli odrobiny szczęścia, ciało Kurzaja moglibyśmy znaleźć po kilku dniach. Tak samo z Jaroszem. Kurzaj wyciągnął ze skrytki stare fotografie. Gdyby tego nie zrobił, minęłyby miesiące, zanim powiązalibyśmy ofiary. Morderca był bezkarny i doskonale o tym wiedział. Teraz może być na drugim końcu Polski albo pije drinki z palemką na Teneryfie. Albo...

Zakrzewski przerwał i spojrzał na Parola, który wpadł mu w słowo i dokończył myśl:

– ...wrócił do domu, do żony i dzieci.

Marcin walnął pięścią w stół.

– Cholera! Z każdym kolejnym dniem mamy coraz mniejsze szanse na odnalezienie sukinsyna. Dalej. Jeszcze jakieś pomysły. Michał?

– Seks – odezwał się Ruciński. – Cała sytuacja ma mocny kontekst seksualny. Gdzie nie spojrzemy, zaraz pojawia się motyw seksu. Zaryzykuję stwierdzenie, że dość perwersyjnego. Zdjęcia Kurzaja sugerują, że cała piątka utrzymywała ze sobą kontakty seksualne. Kobieta ze zdjęcia musiała mieć wyjątkowe potrzeby, skoro uprawiała seks z czterema facetami, może nawet naraz. Pisarz był biseksualny, ale po czterdziestce utrzymywał kontakty tylko z mężczyznami. Koskowski też był biseksualny, ale akurat on skupił się na kobietach. Pewnie był seksoholikiem, skoro potrzebował kilku kochanek równocześnie. Dotarliśmy do dwóch, które przyznały, że był nadpobudliwy seksualnie i lubił perwersje. Podczas gry wstępnej zakładał maski. Miał ich całą kolekcję. Do tego lubił gadzety erotyczne. Co ciekawe, żona nie potwierdziła używanie przez niego tych masek, ale być może Koskowski nigdy jej się do tego nie przyznał.

– No dobrze, a Kurzaj? – zapytał przytomnie Parol.

– W młodości był bardzo przystojnym mężczyzną. Słyszał z miłosnych podbojów. A wiecie, za co siedział Jarosz? Pobił prostytutkę, a potem ją zgwałcił. Kiedy został aresztowany, zapłacił jej za wycofanie oskarżenia, ale prokurator skierował już akt do sądu. Sędzia skazał go na dwa lata więzienia.

– Wiemy o nim coś więcej? – zapytał Marcin.

– W przeszłości był bardzo agresywny. Praktycznie każda zakrapiana impreza z jego udziałem kończyła się mordobiciem. Jeden z jego dawnych kolegów zeznał, że Jarosz w gniewie potrafił być nieobliczalny. Opowiadał o co najmniej o dwóch sytuacjach, w których, gdyby go nie powstrzymano, mógł zabić.

Po wyjściu z więzienia na kilka lat zniknął. Pojawił się w Glinicy jako inny człowiek, żarliwy katolik, uczynny, niewiele pijący.

– I odludek – zakończył Szawczak.

– Tak.

– Psychopatyczne osobowości tak mają – powiedział Zakrzewski. – Wpadają ze skrajności w skrajność. Coś jeszcze?

– Teraz ty.

– Sznur – rzucił szybko Zakrzewski.

Koledzy patrzyli na niego w milczeniu.

– Szukamy schematu działania mordercy – wytłumaczył. – Na razie nic do siebie nie pasuje. Zastanawiałem się więc, co w tych morderstwach jest najbardziej dziwne. Doszedłem do wniosku, że sznur w przypadku zabójstwa Kurzaja.

Po spojrzeniu Parola Marcin poznał, że już zaczyna łąpać. Zresztą rozmawiali o tym kilka dni temu. Ruciński nie zrozumiał.

– Założył Kurzajowi pętlę na szyję, a potem przerzucił przez gałąź na wysokości trzech metrów i drugi koniec przywiązał do drzewa obok po to, żeby unieruchomić ofiarę. Przylepił go taśmą pakową do pnia drzewa. Jak napisali w raporcie technicy, owinął go kilkanaście razy. Zużył co najmniej sześć rolek takiej taśmy. Potem taśma została usunięta i nigdy jej nie znaleźliśmy. Były tylko drobne kawałki w trawie, świadczące o tym, że sprawca pociął ją nożem. Po co była ta taśma i zaciskający się sznur na szyi? Jeśli planował uśmiercić Kurzaja gwoździem, wystarczyłaby sama pętla.

– Nic mi nie przychodzi na myśl. – Michał pokręcił głową. – Bez sensu.

– Profiler twierdził, że to nie są pierwsze morderstwa. Przychodzi mi zatem do głowy tylko jedno rozwiązanie. – Zakrzewski zamilkł na chwilę. Cisza zabrzmiała jak dramatyczna pauza przed kluczową kwestią w sztuce

teatralnej. – Był naśladowcą. Powtarzał w najdrobniejszych szczegółach zbrodnię, która kiedyś się zdarzyła.

Parol był już o krok dalej w analizie wniosków.

– Jest pytanie. Dla kogo ten pokaz? – odezwał się, krzywiąc usta. – Dla policji?

– Wątpię. Może dla Kurzaja? Może przez to miał bardziej cierpieć i zemsta miała być pełniejsza?

Ruciński nachylił się nad biurkiem.

– Jaka zemsta, do cholery? – mruknął. – Sugerujesz, że pozostałe trzy morderstwa też już kiedyś się zdarzyły? Ktoś już raz wpompował do brzucha ofiary dwadzieścia litrów betonu?

– Oczywiście, że nie. Raczej sugeruję, że w każdym z zabójstw pojawił się charakterystyczny element, który miał o czymś przypomnieć ofierze. O dawnym przestępstwie? Może o zbrodni?

– Jaki?

– W przypadku Kurzaja sznur. Nie wiem, co w innych przypadkach....

Zastanawiali się kilka sekund.

– Czekan jako narzędzie zbrodni w przypadku Rudnickiego – powiedział Szawczak.

– Dlaczego czekan? – zdziwił się Ruciński.

– Bo najmniej pasuje do tego morderstwa. Kto we Wrocławiu ma w domu czekan? Może kilkanaście osób z klubu wspinaczy wysokogórskich. Zresztą grupa Pauliny dokładnie wszystkich sprawdziła. Tak samo jak sklepy ze sprzętem wspinaczkowym i transakcje zakupu przez Internet.

– Dobrze. – Marcin skinął głową. – Co dalej?

Plamy na policzkach Parola przybrały odcień głębokiej purpury.

– Pies – powiedział aspirant i chrząknął, jakby miał coś w gardle. – Kurwa, po co ktoś patroszył psa Jarosza i wieszał go w spiżarni?

– Dobrze – powtórzył Marcin.

– W raporcie techników była uwaga, że buty, które połamały Jaroszowi kręgosłup, mogły służyć do górskich wspinaczek. Czyli być może coś mamy – ciągnął Parol.

– A Koskowski?

– Szantaż – rzucił Ruciński. – Może wcale nie chodziło o zwabienie go w miejsce zbrodni.

– Bardziej Banaszekiewicz i łapówka – powiedział Marcin.

Parol znowu myślał szybciej niż Ruciński. Zaskrzybiało krzesło, kiedy poruszył się niespokojnie i założył nogę na nogę.

– Banaszekiewicz oskarżał Koskowskiego o zgwałcenie córki. Prokuratura umorzyła śledztwo. Sugeruje nam, że w grę wchodzi łapówka?

– Parol, znajdź akta tej sprawy. Jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju – mówił dalej Zakrzewski. – Niedopałki papierosów znalezione na miejscach zbrodni.

– Morderca chciał rzucić podejrzenie na prokuratora Grabskiego – powiedział Michał.

– Jak dla mnie za proste. – Marcin pokręcił głową. – Z zasady nie lubię prostych rozwiązań. A jeżeli było inaczej?

– To znaczy jak?

– Przeczytałem wyjaśnienia Grabskiego złożone w trakcie śledztwa. Wynika z nich, że wstydzi się przyznawać współpracownikom, że pali papierosy. Wszyscy w pracy stawiają go za wzór zdrowego trybu życia. Biega maratony, zdrowo się odżywia, nie nadużywa alkoholu. Nie dziwię się więc jego zakłopotaniu. Z tego powodu nie pali w wyznaczonych do tego miejscach. Na podwórzu prokuratury, za kubłami na śmieci jest taki zaułek, którego nie widać z okien budynku. Tam Grabski ma swoją popielniczkę i z niej korzysta.

Ruciński milczał, wciąż analizując, o co może chodzić. Po minie Szawczaka Marcin widział, że on już rozumie. Zapowiadał się na cholernie dobrego śledczego.

– Morderca wcale nie chciał nam zwrócić uwagi na prokuratora Grabskiego, tylko na kogoś innego. Kogoś, kto może pracować w prokuraturze.

Ruciński zrobił wielkie oczy.

– Na kogo?

– A kto zajmuje się niedopałkami? Sprzątaczką.

– Cholera!

Nagle leżący na biurku telefon Zakrzewskiego zawibrował i odezwały się pierwsze takty nerwowego riffu wygrywanego przez Jimmy’ego Page’a. Zakrzewski odebrał, słuchał przez chwilę, po czym rzucił do słuchawki krótkie:

– J-jasne. Pilnujcie go.

Spojrzał na kolegów trochę rozkojarzonym wzrokiem i powiedział:

– Musimy kończyć. Mam bardzo ważne spotkanie na mieście. Podsumowując nasze dzisiejsze ustalenia: Michał, zajmiesz się sprzątaczkami w prokuraturze rejonowej.

– Duża grupa śledcza już się tym zajmowała – odpowiedział Ruciński.

– Sprawdzali telefony? – zapytał Marcin.

– Nie wiem...

– Ustalisz numery telefonów sprzątarek pracujących tam w ostatnim roku i sprawdzisz billingi telefonów ofiar. Może coś będzie. Obaj jeszcze raz przejrzyjcie bazę danych niewyjaśnionych morderstw z ostatnich trzydziestu lat. Szukajcie podobieństw.

– Tylko niewyjaśnionych? – zapytał Ruciński, zerkając na Szawczaka.

To miał być żart, ale Zakrzewski się nie uśmiechnął.

– Masz rację – powiedział. – To może być mało. Sprawdźcie wszystkie.

– Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny – próbował protestować Michał.

– Wyśpisz się później.

Zakrzewski wstał z krzesła, schował telefon do kieszeni i ruszył w kierunku wyjścia.

– A ty dokąd idziesz? – zapytał jeszcze Ruciński, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Szawczak uśmiechnął się pod nosem. Znał już swojego partnera na tyle, żeby wiedzieć, że takie pytania są bez sensu.



## 33 Lynyrd

14 lipca, wtorek po południu

Podwórze z placem zabaw widoczne z okien mieszkania Zakrzewskiego otoczone było dwoma ciągami bloków mieszkalnych w kształcie litery C. Od strony ulicy Tyrmanda wybudowane były tak blisko siebie, że wyglądały jak jeden budynek. Trzeba było przyjrzeć się dokładniej, żeby zobaczyć kilkumetrowe przerwy między blokami. Aby je ukryć, architekt sprytnie zaprojektował w tych miejscach schody. Schody donikąd.

Zakrzewski zaparkował hondę przed Żabką na ulicy Hłaski, kupił puszkę mocnego piwa, paczkę papierosów i poszedł wzdłuż bloku. Wóz patrolowy parkował za rogiem przy Tyrmanda. Marcin kojarzył policjantkę, która wyszła mu naprzeciw.

– Młodszy aspirant Karina Buczko. – Na powitanie uścisnęła mu dłoń po męsku i od razu przeszła do rzeczy. – Siedzi na schodach.

Zakrzewski popatrzył w tamtym kierunku. Ujrzał tylko zgarbione nagie plecy i rozwiane siwe włosy.

– Dziękuję, że go przypilnowaliście – powiedział. – Szukałem go od kilku dni.

– Nie ma sprawy.

Poszedł w kierunku mężczyzny siedzącego w cieniu na schodach między budynkami. Usiadł obok, postawił przed sobą puszkę z piwem i zapalił papierosa.

Nie usłyszał już rozmowy policjantów z patrolu.

Aspirant Jacek Felman popatrzył na Karinę z kpiącym uśmiechem.

– I co? – rzucił.

– O co pytasz? – Oderwała wzrok od oddalającego się komisarza Zakrzewskiego.

– Twój przystojny komisarz znów nie zwrócił na ciebie uwagi.

– A miał zwrócić?

– Nie udawaj, że byś nie chciała.

Karina Buczko usiadła na miejscu dla kierowcy i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

– Może tak, może nie – powiedziała, uśmiechając się do siebie.

Stary człowiek na schodach drzemał z opuszczoną głową. Jak zwykle ubrany był w czarne, bardzo zniszczone skórzane spodnie. Takie spodnie musiały być koszmarem przy ostatnich upałach, ale pewnie innych nie miał.

Nagle drgnął i spojrzał na Zakrzewskiego mętным wzrokiem.

– Kogo moje biedne oczy widzą! – wychrypiął przez zaschnięte gardło. – Mój ulubiony gliniarz!

Marcin podsunął mu puszkę z zimnym piwem. Bezdomny otworzył ją sprawnie i upił chciwie kilka łyków. Od razu wzrok mu się wyostrzył. Przyjął od Marcina papierosa, oderwał filtr i zapalił. Jego głos zabrzmiał zupełnie inaczej.

– Zbawco mój najśłodszy! Skąd wiedziałeś, że jestem w wielkiej potrzebie?

– Zawsze jesteś w potrzebie.

Zaśmiał się chrapliwie.

– Chyba racja. Zawsze jadę po krawędzi. – Zaciągnął się głęboko dymem. – Koledzy ciągle mówili: „Lynyrd, jak nie zwolnisz, to źle skończysz”. I wiesz co? Mieli rację! Tylko że oni już dawno gryzą piach, a ja jeszcze jakoś ciągnę!

Roześmiał się, jakby powiedział najzabawniejszy dowcip na świecie, i zaraz się rozkaszał.

– Bo wiesz, mnie nazywają Lynyrd. Dlatego, że lubiłem zespół Lynyrd Skynyrd. Mieli taki kawałek *Free Bird*. Uwielbiałem go i ciągle nuciłem, wiesz, ten... – zaczął nucić coś pod nosem.

Gdyby Marcin nie znał dobrze tego nagrania, nigdy by się nie domyślił, o którą melodię chodzi. Zresztą bezdomny opowiadał mu tę historię za każdym razem, kiedy się spotykali na osiedlu.

– Znam.

– No i zostałem Lynyrdem po wieki wieków. Amen!

Ponad rok wcześniej Marcin uratował bezdomnego przed patrolem straży miejskiej, która chciała mu wlepić mandat za picie wina na ławce i odwieźć do izby wytrzeźwień. Od tego dnia został najlepszym przyjacielem Lynyrda. Czasem ta znajomość była dla Marcina kłopotliwa, ale teraz miał do niego kilka ważnych pytań. Wyciągnął z tylnej kieszeni dzinsów złożoną na cztery odbitkę fotografii z albumu Kurzaja.

– Znałeś Adama Kurzaja? – zapytał.

– Czy znałem, pytasz? Jasne. Ile my razem wódki wypiliśmy u mnie na Pawłowa. Co najmniej po dwie wanny na głowę!

– Na Pawłowa?

– No, oczywiście nie wiesz.... W dobrych czasach miałem kawalerkę. Można powiedzieć, że było to centrum kulturalne lepszej części miasta pod koniec epoki Gierka. Schodziły się do mnie kwiaty i chwasty Wrocławia. Bywało, że budziłem się rano skacowany, a po mieszkaniu kręciły się osoby, które widziałem pierwszy raz w życiu.

– Kurzaj też tam przychodził?

– Bywał u mnie regularnie. Nawet jak już się ożenił, to wpadał z literkiem gorzałki i pętem kiełbasy na zagrychę. Żle skończył, słyszałem. Szkoda chłopca, ale przecież wszyscy trafimy kiedyś do piachu.

– Został zamordowany. – Marcin obserwował reakcję Lynyrda.

Bezdomny nie mrugnął okiem.

– Zamordowany – mruknął. – Świat parszywieje, niech mnie kule biją.

Marcin podsunął mu pod nos fotografię.

– Oni też przychodzili?

Lynyrd nagle znieruchomiał. W jednej sekundzie na jego pomarszczonej twarzy pojawiło się dwa razy więcej bruzd. Wpatrywał się w pięć osób uśmiechających się do niego na tle domu wczasowego. Tak naprawdę jednak patrzył na nią.

– Jagoda – powiedział jakby do siebie. – W życiu nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś ją zobaczę. I to z tamtych czasów.

Marcin poczuł dreszcz na plecach.

– Znasz ją?

– Czy ją znam? Niech mnie kule biją, gliniarzu! Jagódka była miłością mojego życia. Piękniejszej kobiety nigdy nie wiedziałem.

– Wiesz, jak się nazywała?

– Pewnie, że wiem. Alicja Zawistowska. Kazała na siebie mówić Jagoda. Mówiła, że to owoc, który odzwierciedla jej naturę. Czarny jak jej włosy, czasem bywa cierpki, a czasem słodki. Cała ona. Czasem była czuła jak anioł, a czasem zachowywała się jak niewyżyta dziwka z ulicy. Kochałem ją za to i nienawidziłem jednocześnie.

Lynyrd był myślami w czasach swojej młodości. Sięgnął po kolejnego papierosa. Był tak przejęty, że nie oderwał filtra. O piwie zapomniał.

– Wiesz, co ją łączyło z mężczyznami ze zdjęcia? – zapytał Marcin.

– Jak to co? Seks. Pieprzyli się jak króliki, kiedy tylko mieli sposobność. – W głosie bezdomnego zabrzmiały nutki goryczy.

Wskazał na młodego Koskowskiego.

– Tego nazywali Kosek. Był nawet miłym gościem, tyle że pedał. Ciągłe prowadzał się z tym najmłodszym blondynem. – Stuknął palcem w Rudnickiego. – Nazywali go Młody. Miał wtedy z siedemnaście lat.

Zakrzewski nie przerywał. Palił papierosa i słuchał uważnie każdego słowa. Był o krok od przełomu w śledztwie. Uwielbiał takie momenty. Adrenalina wydzielana przez nadnercza działała na niego jak setka wódki na trzeźwiejącego alkoholika.

– Poznała ich w jakiejś melinie, gdzie akurat w tajemnicy przed ubecją spotykały się pedały i lesby. Takie miejsca ją przyciągały jak magnes. Gdzie był seks, tam była i ona. – Lynyrd zaśmiał się chrapliwie. – Podobno zobaczyła ich razem w łóżku, spodobał się jej, więc zapytała, czy może się przyłączyć. Cała Jagoda. Tak przynajmniej opowiadał mi Kurzaj. I zaczęła się z nimi spotykać. Nie wiem, jak dołączył do nich Adam, ale pierwszy raz do mnie na Pawłowa przyszli we czwórkę. Tak... niech mnie kule biją.

Lynyrd zamilkł. Marcin czekał niecierpliwie.

– Wtedy się w niej zakochałem. Wypiliśmy jakieś wino i ona ich wszystkich spławiła. Faceci robili wszystko, co im kazała. Jak zostałem z nią sam na sam, powiedziała mi, że jestem dobrym człowiekiem i powinno mnie w życiu spotkać coś naprawdę wspaniałego. Została u mnie cały weekend i kochała się ze mną do utraty tchu.

Zerknął jeszcze raz na fotografię i nagle stało się coś nieoczekiwanego. Marcin zobaczył, że po policzku toczy mu się łza.

– Pewnego razu, kiedy się obudziłem, już jej nie było.

– A ten ostatni?

– Nie wiem, jak się nazywał naprawdę. Wszyscy mówili na niego Mincel. To był prawdziwy bandyta, gitowiec od urodzenia. Pamiętam, jak siedział po spelunach i zawsze

w ustach miał żyletkę. Potrafił nią tak obracać, że nigdy się nie zaciął. Adam opowiadał, że poznali go w knajpie. Jagoda przekomarzała się z nimi, że ma taką fantazję, żeby kochać się z czterema mężczyznami. W pewnym momencie wstała, podeszła do sąsiedniego stolika, gdzie siedziało kilku chłopaków, i zapytała, czy któryś z nich nie chciałby dołączyć do ich czwórki na seks. Wszyscy stchórzyli z wyjątkiem Mincla. To był prawdziwy diabeł. Przy Jagodzie się uspokoił. Ona naprawdę rządziła facetami. Wystarczyło, że na kogoś spojrzała, i już był na jej rozkazy.

– Kiedy poznała tego Mincla?

– Nie wiem dokładnie. Pewnie jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego.

– Nie wiesz, gdzie mogło być zrobione to zdjęcie?

Lynyrd wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ostatni raz byli u mnie na Pawłowa w sylwestra. Potem się nie pokazywali.

– Co się z nimi działo?

– Nie mam pojęcia. Ale Jagoda przyszła do mnie jeszcze raz sama, jakoś na początku września 1981 roku.

– Jesteś pewien tej daty? – upewnił się Marcin.

Bezdomny dokończył piwo i zmiął puszkę.

– To był czas Solidarności, strajków, zadym na ulicach. Takie daty się pamięta, niech mnie kule biją!

– No tak. Przyszła sama, to znaczy, że rozstała się z mężczyznami?

– Tak. Rzuciła ich.

– Jak do tego doszło?

– Nie mam pojęcia, gliniarzu! – zachnął się Lynyrd. – To było trzydzieści pięć lat temu.

Zamilkł. Marcin czekał w milczeniu. Widział wyraźnie drżenie palców, między które wsunięty był papieros. Inne drżenie niż to będące konsekwencją przepicia.

– Ona się zmieniała... – Lynyrd mówił cicho, jakby do siebie. – Wtedy, we wrześniu, jak do mnie przyszła, wyglądała, jakby zgasła. Jakby ktoś zabrał jej całą energię. Nie chciała nic mówić. Głównie milczała. Zapytała, czy może u mnie pomieszkać. Oczywiście, że się zgodziłem. Przecież naprawdę ją kochałem, niech mnie kule biją! Nie pytałem, co się stało. Wystarczyło mi, że była. Więcej piła. Raz wypila butelkę wina i zaczęła mówić. Powiedziała, że chce się zmienić. We Wrocławiu była dobrze znana, więc planowała wyjechać. Powiedziała, że chciałaby mieć kiedyś dziecko, zacząć wszystko od nowa. Słuchałem, a ona mówiła i płakała. Po dwóch tygodniach zniknęła. Tak jak poprzednim razem, kiedy się obudziłem, już jej nie było. I nie przyszła więcej. Potem doszły mnie słuchy, że urodziła dziecko, a później zniknęła. Pewnie wyjechała, tak jak planowała. Nigdy bym nie przypuszczał, że po tylu latach jakiś cholerny glina pokaże mi jej zdjęcie i że...

Zamilkł.

– Nadal będzie boleć – dopowiedział Marcin.

– Niech cię szlag!

– Ona nie wyjechała, Lynyrd. Została zamordowana, a jej ciało znaleziono dopiero teraz.

Dłoń z papierosem drgała jeszcze bardziej. Bezdomny zacisnął mocno powieki.

– Po co mi to mówisz?

– Chcę znaleźć skurwysyna, który jej to zrobił.

Lynyrd milczał.

– Chyba że to ty ją zabiłeś. Na przykład z zazdrości...

Lynyrd nagle jakby się rozluźnił. Przez twarz przeleciało mu nawet coś na kształt uśmiechu.

– Ale pierdolisz! Myślałem, że żeby trafić teraz do policji, trzeba mieć trochę oleju w głowie!

– Jeśli nie ty to kto?

Bezdomny nie wahał się ani chwili.

- Mincel!
- Dlaczego on?
- Mówiłem ci już. To był bandyta. Pewnie powiedziała mu, że odchodzi, a on wpadł w szal.

Marcin wpatrywał się w młodych ludzi na zdjęciu. Nie miał zaufania do prostych rozwiązań. Najpierw musiał sprawdzić i wyeliminować te najbardziej skomplikowane, żeby uwierzyć w te najprostsze. Słowa bezdomnego nie były pozbawione sensu. Późniejsza postawa Jarosza też sugerowała, że odpokutowuje grzechy z przeszłości. Tylko jak ciężkie? Poza tym kto spreprował zwłoki Alicji Zawistowskiej i później przechowywał je przez trzydzieści lat? Jarosz? Wątpliwe.

- Kto oprócz nich utrzymywał jeszcze bliskie kontakty z Zawistowską? – zapytał.

Lynyrd parsknął.

- Wszyscy! W tamtych czasach była królową wszystkich imprez w mieście!

- Ktoś oprócz Mincla mógł mieć szczególne powody, żeby ją zamordować?

- Wiesz, z iloma ona facetami była w łóżku? Właściwie do połowy z nich pasowałby taki motyw. Dzisiaj to jest tak jak w tym przysłowiu z igłą i sianem.

- Nikt ci nie przychodzi do głowy? – Zakrzewski nie dawał za wygraną. – Pierwsza myśl.

- Może i przychodzi...

- Kto?

- Była taka jedna. Przespała się z Jagodą raz czy dwa i strasznie się w niej zakochała.

- Kobieta?

- No kobieta. Pracowała w milicji. Kiedyś zachowywaliśmy się za głośno i sąsiedzi zadzwonili po mundurowych. Przyjechało dwoje. Taka młoda milicjantka z patrolu, Marysia jej było, została na noc. Nie wiem, co Jagoda miała w sobie, ale



ta dziewczyna się w niej zakochała. Wiesz, okazało się, że stróże porządku w Polsce Ludowej też mieli podwójne życie. Marysia miała narzeczonego, ale równie wileką jak na niego miała ochotę na kobietę.

Słońce przesunęło się na zachód i zajrzało na schody w miejscu, gdzie siedział Lynyrd. Bezdomny musiał przenieść się trzy stopnie wyżej.

– Milicjantka? – Zakrzewski podrapał się po karku.

Znowu poczuł, że jest gorąco. Jak w piekielnym kotle.

– Życie to iluzja, nie wiesz, gliniarzu? Każdy udaje, że jest kimś innym, a do tego robi różne sztuczki, żeby inni w to uwierzyli. Twój morderca to też iluzjonista. Tak zakręcił, namieszał, zmylił tropy, zaczarował, że pozostał nieznany. To dobry iluzjonista, nie mam racji? Marysia też była chodzącą iluzją – niby w milicji, ale się kompletnie do tego nie nadawała, niby miała narzeczonego, a tak naprawdę była lesbijką, niby taka miła i delikatna, a potrafiła wpaść w furię i rzucać mięsem.

– I co z nią?

– To cała komedia była. Chodziła wszędzie za Jagodą i rozpaczliwie próbowała wzbudzić jej zainteresowanie. Ale Jagoda już się nią znudziła i tylko się śmiała. A potem zrobiło się nieprzyjemnie. Był płacz, były przekleństwa, wyzwiska, w końcu groźby.

– Jakiego typu?

– Karalne! – wykrzyknął Lynyrd.

Być może to był żart, ale zamiast się roześmiać, tylko się rozkaszał.

– Groziła jej śmiercią? – zapytał Marcin.

– Oczywiście, wiele razy.

– Pamiętasz, jak nazywała się ta milicjantka?

– Wolska... jakoś tak...

– No dobrze, a inne osoby?

– Był jeszcze jeden zakochany w Jagodzie po uszy. Tyle że ten nie bardzo rzucał się w oczy. Zawsze siedział w kącie, wodził za nią oczami i wzdychał. Nawet za wiele się nie odzywał.

– Wiesz, jak się nazywał?

– Nawet nie wiem, jak miał na imię. Mówiłem ci, że się nie odzywał. Ale pamiętam ksywkę – Wili.

– Jeszcze ktoś?

Lynyrd zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Może jakiś browar rozjaśniłby mi pamięć – powiedział.

– Kupię ci jeszcze jedno piwo, ale najpierw informacje.

– Kiedyś widziałem, jak Jagoda kłóciła się z jednym gościem. Nazywali go Błady, bo tak właśnie wyglądał. Jak trup. Do tego miał czarne włosy, więc wrażenie było piorunujące. Ale kobitkom się podobał. Był synem księdza, zawsze przy kasie. Raz przyznał się, że kradnie ojcu z tacy.

– Pamiętasz nazwisko?

– Dudejcz, Ryszard. Wtedy zwyzywał Jagodę od kurew i dziwek. Chyba ją nawet uderzył. Potem przestał do mnie na Pawłowa przychodzić. Pewnie nie chciał jej spotkać. Przyłazł dopiero, jak ona wyjechała.

Na obu siedzących na schodach padł nagle cień. Na widok młodego chłopaka Lynyrd się rozpromienił.

– Witaj, Johnny! – wykrzyknął. – Przysiadź w cieniu. Jeszcze się nachodzisz w słońcu do wieczora.

Chłopak się nie odezwał. Patrzył na Marcina ze skrzywionymi wargami i odsłoniętymi zębami górnej szczęki. Wyglądał trochę jak warczący pies. Marcin znał go z widzenia, a wszystkowiedząca sąsiadka z piętra niżej opowiedziała mu całą historię. Chłopak był upośledzony umysłowo. Mieszkał z rodzicami w starej części Muchoboru. Nie potrafił usiedzieć w domu i całymi dniami chodził po okolicy. Żył w swoim świecie, czasem przystawał na kilka minut, gestykułował, coś

do siebie mówił. Po czym szedł dalej. Na osiedlu nazywali go Johnny Walker. Jaś Wędrowniczek – idealna ksywka.

– Siadaj! – zachęcał Lynyrd, ale chłopak patrzył na Marcina i nagle zaczął udawać psa.

Wydał z siebie dźwięk naśladujący szczeknięcie, po czym gestami i mruknięciami chciał coś Marcinowi powiedzieć. Lynyrd natychmiast spróbował wytłumaczyć, o co chodzi.

– Masz psa, gliniarzu. Johnny boi się psów, prawda, Johnny? Psy wyczuwają, że on jest inny.

Chłopak gwałtownie zaprzeczył, kręcąc głową. Wskazywał ręką Marcina i wydawał z siebie odgłosy, jakby próbował mu coś wytłumaczyć. Wreszcie odszedł zniecierpliwiony.

– Cały Johnny – podsumował Lynyrd.

Marcin wstał.

– Gdybyś coś sobie jeszcze przypomniał, wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział.

– Hej! Wisisz mi browarka!

– Chodź, kupię ci w Żabce.

\*

Zostawił Lynyrda z drugą puszką piwa, a sam poszedł do swojego mieszkania. Zmumifikowane zwłoki należały do Alicji Zawistowskiej. Na razie to nazwisko nic mu nie mówiło, ale czuł delikatne, podniecające mrowienie na plecach, które pojawiał się, kiedy trafiał na właściwy trop. Czy tak samo czuł się pies tropiący, gdy w nozdrza wpadał mu ten jedyny zapach? Pewnie tak.

Na schodach minął sąsiadkę z parteru. Był tak zajęty własnymi myślami, że ukłonił się jej w ostatnim momencie. Coś odburknęła i zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. Tym razem wyjątkowo nie zależało mu na jej opinii.

Pierwsze kroki skierował do lodówki. Czuł nieprzyjemne ssanie w żołądku, musiał coś zjeść. Nagle uświadomił sobie, że bardzo dawno nie robił zakupów. Znalazł tylko paczkę kabanosów, a w chlebaku stare bułki. Na szczęście nadawały się jeszcze do zjedzenia.

Dopiero gdy się trochę posilił, wyciągnął z kieszeni telefon i wykręcił do Szawczaka. Parol zgłosił się po kilku sygnałach.

– Masz coś? – zapytał Marcin.

– Jeszcze nic. Rozsyłałam fotografie do wszystkich komend policji na Pomorzu.

– Zostaw to na razie, mam ważniejszą sprawę.

Parol usłyszał w jego głosie nutę podekscytowania i czekał.

– Zapisz sobie nazwisko. Alicja Zawistowska.

– Zapisalem, i co?

– Tak prawdopodobnie nazywa się nasza zmumifikowana kobieta.

– O cholera! – wykrzyknął Parol. – Jak się dowiedziałeś?

– Potem ci powiem, na razie znajdź mi o niej wszystko, co się da. Będę za godzinę w biurze.

– Za mało czasu – jęknął Szawczak.

– Będzie jeszcze małe utrudnienie. Być może nikt nigdy nie zgłosił jej zaginięcia. Wszyscy są przekonani, że wyjechała na Zachód w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych.

Parol przerwał połączenie.

\*

Zakrzewski czuł, że nagle nabrali wiatru w żagle. Nikt jeszcze tego głośno nie powiedział, ale w ich śledztwie nastąpił przełom. Dotąd dreptali w miejscu, aż tu nagle bum! W kilka minut byli sto mil dalej i co najważniejsze, widzieli przed sobą jakąś drogę. Wprawdzie jeszcze niewyraźną i za mgłą, ale można było ruszyć w tamtą stronę.

Po całym dniu wytężonej pracy spotkali się znów w biurze Marcina na szybką burzę mózgów. Kubki po kawie nadal walały się po biurku, lecz nikomu nie przeszkadzały. Po prostu nie mieli czasu zwrócić na nie uwagi.

– Niewiele znalazłem o Alicji Zawistowskiej – zaczął Parol. –

Nie figuruje w żadnym policyjnym rejestrze. Wtedy nikt nie zgłosił jej zaginięcia. Pogrzebałem za to w ewidencji ludności. Urodziła się 24 grudnia 1957 roku we Wrocławiu. Córnka Jadwigi i Tadeusza Zawistowskich. Ostatni adres zamieszkania to Generała Świerczewskiego sto siedemdziesiąt dwa przez trzy. Ukończyła liceum ogólnokształcące, zdała maturę, dostała się na pedagogikę na Uniwersytecie Wrocławskim, lecz po pół roku zrezygnowała.

Szawczak podniósł głowę znad notatnika i wzruszył ramionami.

– Na pewno nikt jej nie szukał? – zapytał Marcin.

– Wtedy nikt, ale na jednym z portali zajmującym się poszukiwaniem zaginionych ktoś w roku 2012 umieścił jej fotografię, imię i nazwisko oraz pytanie, czy ktoś zna tę kobietę. Nie było żadnej odpowiedzi. Taka sama fotografia pojawiła się na portalach w Niemczech.

– Zidentyfikowaliśmy kobietę, ale na razie nic nam to nie daje – zauważył Michał Ruciński.

– Niezupełnie. – Marcin pokręcił głową.

Streścił im swoją rozmowę z Lynyrdem.

– Te informacje sporo wyjaśniają. Wiemy na pewno, że cała piątka znała się, zanim wyjechali nad morze na wakacje – podsumował Marcin. – Zdjęcia sugerują, że na tych wakacjach dobrze się bawili, ale potem coś poszło nie tak. Grupa się rozpadła. Alicja Zawistowska, według słów mojego informatora, była wstrząśnięta, długo nie mogła do siebie dojść. Mówiła nawet o ustatkowaniu się i wyjeździe z kraju.

– Wyjeździe czy ucieczce? – wtrącił Parol.

– Też mi to tak wygląda. Jakby chciała przed czymś uciec – zgodził się Zakrzewski. – To był wrzesień 1981. Potem zaszła w ciążę i podobno urodziła dziecko.

– Nie dogrzebałem się do takich informacji.

Marcin drapał się po policzku, jakby nie dosłyszał uwagi Parola.

– Czyli założmy, że żyła jeszcze rok. Do lata 1982 roku. Będziemy musieli dotrzeć do jej znajomych, rodziny. Może dowiemy się czegoś więcej. Jeśli została zamordowana, co się stało z dzieckiem? Mamy co robić.

– Może będzie łatwiej, niż przypuszczamy – powiedział Ruciński wyraźnie z siebie zadowolony.

– Co masz na myśli?

– Kazałeś mi się zająć sprzątaczkami w prokuraturze rejonowej i niedopałkami papierosów.

– No tak, mów, do cholery!

– Miła pani pracująca w kadrach prokuratury wyciągnęła mi z kart pracowniczych numery telefonów czterech pań sprzątających, porównałem je z billingami z telefonu Mirosława Rudnickiego i bingo! Z jedną ze sprzątaczek w ostatnim miesiącu przed śmiercią rozmawiał dwadzieścia jeden razy.

Parol gwizdnął efektownie.

– Ta pani nazywa się Maria Wolska i mieszka na Zalesiu. W przeszłości pracowała w milicji.

Zakrzewski westchnął głęboko. Poczuł coś na kształt ogromnej ulgi. Byli już bardzo blisko.

– Maria Wolska przychodziła do mieszkania na Pawłowa – powiedział. – Znała wszystkie nasze ofiary, podobno była w Zawistowskiej zakochana. Groziła jej nawet śmiercią.

– Ale dlaczego? – zapytał Parol.

– Z powodu czegoś, co od tysiącleci pacha ludzi do robienia przeróżnych głupot i pewnie jest jednym z kół napędowych naszej cywilizacji – nieodwzajemnionej miłości.

– To ona zabiła Zawistowską i spreparowała jej zwłoki – powiedział nagle Ruciński z pewnością w głosie. – Kochała ją tak mocno, że była w stanie dokonywać przez wiele lat aktu nekrofilii.

– Przecież była kobietą! A ślady spermy? Może zrobili to razem z Rudnickim? – dorzucił Szawczak. – Oboje mogli ją kochać do szaleństwa.

– Trójkąt z nekrofilią w tle? – zakpił Ruciński. – Parol, nie wiedziałem, że masz takie zboczone fantazje.

Marcin zatrzymał ruchem dłoni ich coraz bardziej makabryczne teorie.

– Zaraz, nie nakręcajcie się. Historia nie zna jeszcze przypadku zbiorowej nekrofilii trwającej trzydzieści lat. I pewnie jeszcze długo nie pozna. Jeśli Wolska i Rudnicki byli współnikami, po co zabijali resztę w momencie, kiedy pisarz opisał historię ich kontrowersyjnego związku? Dlaczego zwłoki nagle pojawiły się na poddaszu przy Siemieńskiego? Po co te niedopałki papierosów prowadzące wprost do Wolskiej?

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Na te pytania nie było jeszcze sensownej odpowiedzi.

– I wreszcie, gdzie tu motyw zemsty? – dokończył Zakrzewski. – Gdzie tu w ogóle jest motyw?

– To co robimy?

– Jutro musimy porozmawiać z Wolską. Wtedy zastanowimy się, co dalej.

Marcin popatrzył po zmęczonych twarzach kolegów.

– Na dzisiaj chyba skończymy.

## 34 Klucz

14 lipca, wtorek, wieczór

Komisarz Marcin Zakrzewski chciał sobie wszystko poukładać w głowie. Przywykł do spacerów z psem, podczas których dobrze mu się myślało. Wybrał się więc na wieczorny spacer sam, inną drogą niż zwykle. Ruszył ścieżką wzdłuż torów kolejowych w kierunku osiedla Nowy Dwór, potem do parku Milenijnego. Mijał biegaczy, rowerzystów, innych spacerowiczów, ludzi z psami, których zdążył już poznać z widzenia. Było duszno, w powietrzu pachniało burzą. Od kilku dni gdzieś w oddali grzmiało, błyskało, lecz ani jedna kropla deszczu nie spadła, by przynieść ulgę smażonemu na kosmicznym grillu miastu i jego mieszkańcom. W końcu ludzie przestali zwracać uwagę na burzowe chmury na horyzoncie. Spowszedniały.

Założenie przemyślenia sobie całego śledztwa było w zasadzie dobre, ale nic z niego nie wyszło. Najpierw Marcin miał przerażającą pustkę w głowie, później dopadły go obrazy, które zadziały destrukcyjnie. Ciągłe widział twarz zmumifikowanej kobiety z pomalowanymi na czerwono ustami. Kto był nekrofilem? Ktoś, kto ją znał i był w niej patologicznie zakochany? Każdy z czterech mężczyzn mógł być nekrofilem. Tyle tylko, że Marcinowi żaden nie pasował. Kurzaj był alkoholikiem i dla niego najbardziej ekscytująca była wyprawa po parę piw do oddalonej o sto metrów Żabki. Koskowski miał mnóstwo kochanek, po co byłyby mu jeszcze



zwłoki? Jarosz pewnie też mógł mieć każdą dziewczynę, która wpadła mu w oko. Tyle że w ostatnich latach nawrócił się i całe życie podporządkował wierze. Rudnicki okazał się gejem. Mógł być nekrofilem, tak jak zakładała policja?

– Nigdy w życiu – powiedział Marcin na głos i pokręcił głową.

Wrócił do domu z takim samym chaosem pod czaszką, z jakim opuszczał gmach policji.

W korytarzyku zdjął buty i jego wzrok padł na klucze, które leżały w tym samym miejscu, w którym zostawiła je Paulina. Z wahaniem podniósł woreczek strunowy i po chwili namysłu odłożył go na to samo miejsce. Co mu się w nich nie spodobało? Czy to już paranoja, czy jeszcze jest na etapie drobniejszych zaburzeń osobowości?

Wyciągnął piwo z lodówki i poszedł do pokoju. Siedział w ulubionym fotelu z lodowatą butelką w dłoni i słuchał muzyki. Płyta *10 000 days* Toola zawsze wprawiała go w hipnotyczny nastrój.

Od wizyty ekipy TVN24 na miejscu mordu Koskowskiego gazety rozpisywały się o czterech zabójstwach. TVN skorzystał z okazji i jeden z programów z cyklu „Uwaga” w całości poświęcony był morderstwom. To media wymyśliły termin „zabójca ze zdjęcia”, chociaż nie miało to nic wspólnego z rzeczywistością. Pewnie był nośny medialnie. Mimo tego dziennikarskiego zamieszania nikt nie napisał o zmumifikowanych zwłokach kobiety i o prawdopodobnej nekrofilii. Przecież taki temat trafiłby natychmiast na pierwsze strony wszystkich tabloidów i stałby się sensacją miesiąca, jeśli nie roku. Tymczasem cisza.

Marcinowi nie dawało spokoju pytanie, kto spreparował zwłoki i przechowywał je przez tyle lat. Czy rozwiązanie tej kwestii plus ustalenie, czy i jak Alicja Zawistowska została zamordowana, mogło ich przybliżyć do znalezienia sprawcy ostatnich morderstw?

Dokończył piwo i poszedł po następne. Być może nie spełniał jeszcze warunków do przejścia na wyższy poziom świadomości, lecz jego myśli już zaczęły krążyć własnymi szlakami. Nie przeszkadzał im. Obserwował.

Przypomniał sobie słynne przypadki nekrofilii. Jeden szczególnie zapadł mu w pamięci, choć nie pamiętał już detali. Do zdarzenia doszło podczas pierwszej wojny światowej. Ranny żołnierz trafił do szpitala, gdzie opiekowała się nim młoda pielęgniarka. Żołnierz się w niej zakochał, ona o niczym nie wiedziała, gdyż nie rozmawiali ze sobą wiele. Traktowała go jak jednego z setek pacjentów, którzy trafiali na krótko do szpitala i odchodzili. Dwa miesiące później pielęgniarka zmarła na jakąś zakaźną chorobę, a żołnierz wykradł jej ciało z prosektorium i zniknął. Kiedy po kilku latach policja trafiła na jego ślad, okazało się, że cały czas mieszka z ciałem zmarłej dziewczyny. Żeby powstrzymać procesy gnilne, usunął jej narządy wewnętrzne, psującą się skórę uzupełniał płótnem, do pochwy włożył rurkę, aby móc odbywać stosunki seksualne – podobnie jak w przypadku ciała Zawistowskiej. Żeby zabić przykre zapachy, używał wielkich ilości wonnych olejków. Został aresztowany w chwili, gdy wracał z apteki z zapasem takich substancji. Ostatecznie nie został skazany. Sąd orzekł, że jest niepoczytalny i największą karą będzie pozbawienie go zwłok ukochanej. Tak też się stało.

Po latach historię żołnierza zainteresował się jeden z dziennikarzy i go odnalazł. Okazało się, że miłość przetrwała. Mężczyzna był w posiadaniu pośmiertnej maski dziewczyny. Przytwierdzona do twarzy manekina przypominała mu ukochaną. Do dziś ten kazus uchodzi za najdłużej trwający, udokumentowany przypadek nekrofilii. Kto wie, czy historia Zawistowskiej nie zmieni jego pozycji lidera w statystykach kryminalistyki.

Marcin czytał też niedawno o rosyjskim naukowcu mieszkającym w Niżnym Nowgorodzie, który miał makabryczne hobby. Przez osiemnaście lat odwiedzał nocą cmentarze, wykopywał zwłoki i przewoził do domu. Szukał kobiet wieku od piętnastu do dwudziestu pięciu lat. Zgromadził w domu dwadzieścia sześć ciał, z którymi mieszkał na co dzień.

Polska też miała swoich nekrofilów. O najsłynniejszym z nich, Edmundzie Kolanowskim, pewnie jeszcze długo będą się uczyć studenci szkoły policyjnej. Między rokiem 1970 a 1983 dokonał dwóch zabójstw, ale jego głównym zajęciem były nocne wizyty na cmentarzach. Wykopywał trumny, a następnie wycinał zwłokom kobiet narządy rodne. Zabierał je do domu i umieszczał w szmacianych manekinach, które sam robił. Następnie odbywał z nimi stosunki seksualne. Resztki zwłok palił w piecu. Biegli psychiatrzy ocenili jego przypadek jako ewenement w skali światowej.

Ostatni utwór na płycie się skończył. Marcin siedział jeszcze chwilę z pustą butelką w dłoni i nagle zerwał się na równe nogi.

Wcale nie popada w paranoję. Jest najzupełniej normalny.

Poszedł do przedpokoju, wyciągnął klucze z foliowego woreczka. Przyjrzał się im dokładnie, zważył w dłoni. Trzy zwykłe klucze, jakich na świecie były miliony. Tyle tylko, że to nie były klucze do jego mieszkania. Paulina musiała się pomylić. To musiały być klucze do mieszkania piętro wyżej.

Zastanowił się. Obiecał Paulinie, że odpuści i nie będzie na własną rękę szukał Magdy Szumilas. Tylko czy potrafił dotrzymać słowa? Zastanowił się. Jeśli odpuścił, dlaczego teraz był zdecydowany tam pójść i dlaczego nieświadomie wciąż myślał o kobiecie, która zyskała jego zaufanie, by potem go oszukać?

Drgnął pod wpływem nagłej myśli. Dlaczego to zrobiła? Przecież wiedziała, że jest policjantem, nawet dość znanym. Czy

czuła perwersyjną przyjemność, kiedy udawała kogoś innego? Czy po prostu się z nim drażniła?

„Może skusisz się jeszcze na małe co nieco?” Leżała wtedy naga na jego łóżku. Otrząsnął się z tego wspomnienia.

Może Paulina się myliła, mówiąc, że to tylko jego paranoje? Na pewno w jego klatce schodowej nie mieszkali sami zboczeńcy, kryminaliści i seryjni mordercy, ale przecież mieszkała oszustka, która wybrała na cel właśnie jego.

Wyszedł z mieszkania i poszedł piętro wyżej. Przed zaplombowanymi drzwiami z policyjną taśmą na klamce zawahał się jeszcze. W końcu zdecydowanym ruchem zdarł taśmę i plombę. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka.

W pierwszej chwili uderzył go bałagan. Nie miał pojęcia, dlaczego policja podczas przeszukania przewraca wszystko do góry nogami i zostawia po sobie taki burdel. Dla niego były to ubeckie metody, których nie cierpiał. Może dlatego, że kojarzyły mu się właśnie z dawnymi czasami. Jeszcze w stanie wojennym z bratem Ryśkiem słuchali opowieści ojca o tym, jak służba bezpieczeństwa wpadała do mieszkań opozycjonistów na przeszukania. Bali się, że gdyby milicja weszła do ich mieszkania, mogliby stracić wszystkie zabawki i książki. Pewnie stąd Marcinowi została niechęć do bezsensownych przeszukiwań. Oczywiście policjanci mieli swoje metody, wiedzieli, jak szukać i gdzie. Potrafili znaleźć wszystkie skrytki, nawet gdy właściciel był wyjątkowo pomysłowy. Tylko że już kilka razy w karierze Marcina w wydziale kryminalnym takie standardowe przeszukania nie przynosiły niczego nowego. Policjanci szukali konkretnych przedmiotów albo dokumentów i nie zwracali uwagi na nic innego. Marcin zawsze najpierw dokładnie rozglądał się po mieszkaniu. Ludzie zazwyczaj trzymają te same przedmioty w tych samych miejscach. Książki na półkach, naczynia w szafce za szkłem, wódkę w barku, sztuce w szufladzie w kuchni, fotografie w ramkach na

szafach, kwiatki na parapetach. Czasem jednak ten schemat jest zaburzony i Marcin właśnie na takie zaburzenia zwracał uwagę. Policja szukała konkretnych przedmiotów, Marcin na początku starał się znaleźć cokolwiek, co wydawało się odbiegać od normy.

Teraz jednak było już za późno. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i stał, wsłuchując się w nienaturalną ciszę. Jakby powietrze nagle zgęstniało, a wszystkie zegary świata wstrzymały swój bieg. Było duszno i gorąco, lecz Zakrzewski nie otworzył okien. Po prawej stronie znajdowała się sypialnia, po lewej łazienka, dalej otwarta kuchnia i salon z balkonem. Marcin ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że nigdy tu nie był. Zawsze spotykał się z Magdą w swoim mieszkaniu.

Obszedł wszystkie pomieszczenia i wrócił do dużego pokoju. Tu bałagan był największy. Policjanci rozkręcili nawet sofę i sprawdzali, czy nie ma nic w tapicerowanych poręczach. Oczywiście nikt nie zadał sobie trudu, żeby sofę potem złożyć. Książki walały się po podłodze. Nie było już sensu szukać. Postał jeszcze chwilę. Przyszedł tu bardziej zaspokoić ciekawość, niż znaleźć coś konkretnego. Już miał ruszyć do drzwi, gdy nagle spojrzął pod nogi. Stał na rozsypanych na dywanie kartkach pocztowych. Podniósł jedną i obejrzał. Wrocławski ratusz, a po drugiej stronie krakowski adres i krótki tekst.

„Nie mogę wysłać tej kartki, ale chciałabym, żebyś wiedziała, że bardzo mi Cię brakuje. Zresztą, pewnie wiesz...”

Podniósł inną kartkę, tym razem ze zdjęciem Hali Stulecia. Po drugiej stronie był sam tekst, bez adresu:

„Mała, bądź dzielna! Wszystkie historie świata kończą się w tym samym miejscu, w którym się zaczęły. Kiedyś będziemy się z tego śmiać przy lodach waniliowych. Całuję cię! Twoja R”.

Kolejna.

„Jak się spotkamy, powiem Ci, że życie można naprawić tylko w jeden sposób – naprawiając przeszłość. Trzymaj się, malutka...”

Marcin pozbierał wszystkie kartki. Było ich jedenaście. Leżały pośród książek, więc pewnie wypadły z którejś z nich i nikt nie zwrócił na nie uwagi. Było dokładnie tak, jak się spodziewał. Policjanci szukali dowodów zbrodni, czegokolwiek, co mogło mieć związek z zaginięciem Magdy. Zwykle kartki pocztowe nie wzbudziły ich zainteresowania, a Marcin w nich właśnie znalazł niepasujący do wzoru element. Może nic nie znaczyły. Ale na wszelki wypadek zabrał je ze sobą do mieszkania. Nikt bez powodu nie pisze kartek, których nie zamierza nigdy wysłać.

Zamknął starannie drzwi i zawiesił policyjną taśmę na klamce. Nie mógł naprawić zerwanej plomby, ale się tym nie przejął. Potem siedział w fotelu i po raz kolejny słuchał ostatniej jak dotąd płyty zespołu Tool. Wielokrotnie po kolei czytał kartki. Wszystkie napisane były damską dłonią, wszystkie wyrażały tęsknotę, prawdopodobnie za drugą kobietą, i nadzieję, że wkrótce będzie lepiej. Jedna z kartek miała dopisek: „Twoja R”. Skąd ten inicjał, skoro napisała ją Magda Szumilas? Na pewno? Zastanowił się. Przecież to nie było jej prawdziwe imię. Do kogo pisała? Do przyjaciółki, kochanki, córki? I dlaczego żadna z tych kartek nie została nigdy wysłana? Tylko na jednej znalazł adres: Kraków, ulica Nowowiejska 6. Na kilku było tylko miasto – Kraków. Czy te kartki coś znaczyły? Czy osoba, do której były adresowane, naprawdę istniała? Być może. Różne odcienie długopisu sugerowały, że nie były pisane w jednym czasie.

Zadzwoił telefon. Paulina Czerny. Ściszył muzykę i odebrał.

– Nie śpiesz jeszcze? – zapytała.

– Nie.

– Chciałam ci pogratulować identyfikacji zmumifikowanej kobiety

Zastanawiał się, czy w jej głosie słyszy szczerłość, czy delikatną kpinę. Uznał, że mówi poważnie.

– To był przypadek – powiedział.

– Jak zwykle skromny – zaśmiała się. – Inni by powiedzieli, że to wynik trwających wiele dni wnikliwych czynności operacyjnych.

– Wiesz, jak to jest, czasem się udaje. Coś więcej ustaliliście?

– Próbujemy dotrzeć do jej rodziny. Na razie udało nam się tylko potwierdzić, że urodziła dziecko, ale to wiedzieliśmy już wcześniej. Ciężko będzie je znaleźć. Już za czasów komuny obowiązywała tajemnica przy adopcji. Do tego pewnie była zmiana nazwiska, żadnych komputerowych danych, tylko papierowe archiwa.

– Rozumiem. Mam jeszcze coś.

Opowiedział o niedopałkach papierosów i o Marii Wolskiej.

– Sprawdzaliśmy ją przy analizie billingów Rudnickiego, sprzątała u niego. Nie wzbudziła naszych podejrzeń. Czyli niedopałki miały wskazać na Wolską, a Grabski to przypadek?

– Na to wygląda.

– Marcin, o co w tym wszystkim chodzi?

Prawie widział, jak kręci głową i odrzuca grzywkę opadającą na oczy. Poczul się dziwnie. Coś ścisnęło go w środku.

– Nie mam pojęcia – przyznał szczerze.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedziała po pauzie. – Ten kibol, którego aresztowaliśmy w Trójkącie, Jacek Górski, przez trzy miesiące siedział w jednej celi z Patrykiem Tularzem.

Słowa wolno docierały do Marcina. Kiedy dotarły, zrobiło mu się ciepło. Nie wiedział, co powiedzieć. Przez głowę w sekundę przemknęło mu kilka teorii, każda następna gorsza od poprzedniej.

– Jesteś tam?

- Tak – odpowiedział. – I co z nim?
  - Jutro z rana będę go przesłuchiwać. Chcesz przy tym być?
  - J-jasne. Tylko zdaje się, że miałem się nie mieszać do śledztwa w sprawie tego zabójstwa.
  - Teraz musisz. Nie widzę innej opcji. Kurzaj mieszkał obok ciebie, znałeś Magdalenę Szumilas, Tularz zginął w twojej bramie, oba śledztwa są ze sobą powiązane.
  - Tego nie wiemy.
  - Nie wierzę w aż takie przypadki – powiedziała twardo Paulina, bezwiednie cytując jedną z podstawowych zasad wyznawanych przez Marcina. – A jeśli nawet, musimy je wykluczyć.
- Rozmawiali jeszcze chwilę. Potem Marcin rozmyślał długo, wpatrując się w niewysłane widokówki.



## 35 Milczenie

15 lipca, środa – przed południem

Już po kwadransie Paulina Czerny zdecydowała o zmianie taktyki przesłuchania. Jacek Górski nie wykazywał zainteresowania ich pytaniami. Zachowywał się, jakby siedział samotnie na tarasie ośrodka wczasowego i podziwiał górskie widoki. Błądził wzrokiem po ścianach, nie zwracał uwagi na kamerę, Marcina i Paulinę.

Wyłączyła kamerę i wzruszyła ramionami.

– To nie ma większego sensu – powiedziała do kolegi.

– Nie możemy tak szybko odpuścić. Ten gnojek będzie później opowiadał, jaki był twardy i jak stawiał się psiarni – rzucił, próbując złapać wzrok Górskiego.

Udało mu się na moment, ale to wystarczyło.

– Przestań, Marcin, już mi się po prostu nie chce gadać.

– A ja bym jeszcze spróbował. – Na ustach Zakrzewskiego pojawił się złośliwy uśmiezek.

Paulina podniosła się z krzesła.

– Jego zeznania nie są dla nas takie ważne. Poradzimy sobie bez niego. – Skierowała się do wyjścia. – Idziesz?

Marcin ani drgnął. Siedział, wpatrując się w Górskiego.

– Strasznie mi się nie podoba, że ten troglodyta będzie się z nas później śmiał – wycedził powoli, jakby się zastanawiał. – Ja bym mu zrobił trochę koło dupy. Tak dla zasady.

– Nie mamy czasu.

– A mnie nie szkoda czasu, żeby zasrać trochę życie dzielnego kibola. Nie lubię takich typów. Kurwa, mam alergię na tępych mięśniaków!

Miał wrażenie, że na ustach przesłuchiwanego pojawiło się coś na kształt drwiącego uśmiechu.

– Widzisz? On się z nas nabija! – zawołał za Pauliną.

– Idę na kawę, a ty rób z nim, co chcesz.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Marcin wstał, obszedł stół i przysiadł na blacie prawie na wprost Górskiego.

– Myślisz, że gliniarze to głupki? – zapytał, nie spodziewając się odpowiedzi. – Wiesz, że w waszych kibolskich strukturach mamy swoich tajniaków? Myślisz, że jesteście tacy sprytni, kiedy handlujecie prochami i dopalaczami? Nie zdjęliśmy was jeszcze tylko dlatego, że chcemy złapać tych, którzy dostarczają wam towar. Nie takich pionków jak ty, tylko prawdziwych szefów.

– Gówna prawda. – Górski przemówił po raz pierwszy.

– O, słyszę, że jednak mówisz w ojczystym języku. Co prawda brzydkie wyrazy, ale na początek to i tak nieźle. – Marcin się uśmiechnął. – Zaniepokoiły cię moje słowa, prawda?

Kibol zacisnął szczęki i odwrócił wzrok.

– Mam straszną ochotę spuścić cię do szamba i wymyśliłem taki plan: nasi ludzie u was puszczą ploteczkę, że zaczęłeś sypać ziomali. Na potwierdzenie tych słów zgarniemy jednego czy dwóch na cztery osiem. Jak myślisz, co oni ci zrobią, gdy już wyjdiesz stąd na świeże powietrze? Przywitają cię kwiatami?

Po minie Górskiego było widać, że się zaniepokoił. Oskarżenie o współpracę z policją byłoby dla niego końcem funkcjonowania w środowisku kibolskim. A pewnie nie obyłoby się bez poważniejszych konsekwencji.

– Niedawno był tu taki jeden, który zaczął sypać – ciągnął Zakrzewski. – Pamiętasz, jak koledzy mu się odwdzięczyli?

Górski pewnie wiedział o wyprawie około dwustu kibiców w barwach Śląska Wrocław pod okna aresztu ze zniczami w dłoniach. Pewnie pamiętał obraźliwe hasła i pogróżki, które wykrzykiwali w kierunku osadzonego w areszcie kolegi, dopóki oddziały prewencyjne nie zmusiły ich do rozejścia się.

– Może nawet byłeś wtedy pod tym aresztem?

Na twarzy przesłuchiwanego malował się coraz większy niepokój.

– Jasne, że tam byłeś! – Marcin roześmiał się triumfalnie. – Ale jaja! Widzisz, jak to się w życiu zmienia? Raz na wozie, raz pod wozem!

– Będę mówił. – Górski spojrzał na niego niepewnie.

Marcin wstał i wykonał ruch, jakby kierował się do wyjścia.

– Teraz to już mnie głównie obchodzi, co masz do powiedzenia – rzucił. – Słyszałeś, co mówiła moja koleżanka? Poradzimy sobie bez twojej wiedzy.

Górski prawie zerwał się z krzesła.

– Proszę pana! Będę mówił! Powiem, co wiem!

Marcin odwrócił się i spojrzał na niego pogardliwie.

– Zobaczę, czy koleżanka jeszcze jest. Ja mam już dość twojej kibolskiej gęby.

Za drzwiami czekała na niego Paulina z kubkiem kawy z automatu. Poprawiała grzywkę opadająca jej na oczy i spojrzała na niego z szerokim uśmiechem.

– Nawet ja zaczęłabym sypać – powiedziała.

– J-jasne.

\*

Godzinę później wiedzieli wszystko. Siedzieli we trójkę w pokoju Pauliny i Andrzeja Szmidta. Nie było trzeciego krzesła, więc Marcin przysiadł na parapecie okna. Musieli rozstrzygnąć, czy obie sprawy są ze sobą powiązane.

Paulina pokrótce zrelacjonowała zeznania Górskiego.

– Z Patrykiem Tularzem siedział na Kleczkowskiej przez dwa miesiące. Górski odsiadywał tam wyrok za handel prochami. Wyszedł pół roku wcześniej od Tularza. Jak się spędza tyle czasu ze sobą na małej powierzchni, to nawiązują się pewne relacje. Oni akurat mieli ze sobą wiele wspólnego – obaj wywodzili się ze środowiska kibiców Śląska Wrocław. Tularz często wspominał swoją dziewczynę, która podobno czekała na niego na mieście. Tylko że ona miała na imię Beata. Prawdopodobnie chodziło mu o Szumilas. Górski nie pamięta, żeby w czasie tych rozmów padło jakieś nazwisko, jestem w stanie mu uwierzyć. Był naprawdę przestraszony. Wygląda na to, że nasz denat był trochę przez tę swoją kobietę manipulowany. Na pewno był pod jej wielkim wpływem. Górski stwierdził tak nawet niepytany. Podobno poznali się około trzech lat wcześniej, zanim jeszcze został postawiony w stan oskarżenia i aresztowany. Miał pieniądze ze sprzedaży działek budowlanych pod Wrocławiem, które odziedziczył po rodzicach. O dziwno, nie przepuścili tych pieniędzy. Beata namówiła go na kupno mieszkania. Podobno ona wybrała blok, w którym mieszka Marcin, i mocno naciskała na zakup. Kiedy Patryk poszedł siedzieć, przez jakiś czas wynajmowała to mieszkanie, aż wreszcie sama się do niego przeprowadziła.

Marcin pamiętał młodych ludzi, którzy przez dłuższy czas mieszkali w jego bramie. Pewnie studenci. Nie przypominał sobie za to, kiedy zniknęli, a w ich miejsce pojawiła się Magda.

– Urządziła mieszkanie i czekała w nim, aż jej chłopak wyjdzie na powietrze. Górski cały czas powtarzał, że Patryk był zafiksowany na jej punkcie. Ona rządziła, on miał niewiele do powiedzenia. Za to ze szczegółami opowiadał o seksualnych rekordach, jakie z nią pobijał, ale... – Paulina zerknęła na siedzącego z marsową miną Marcina – nie będziemy drażnić tego tematu. Jeszcze raz opowiedział mi, jak wszedł

w posiadanie telefonu Koskowskiego, i cały czas zarzekał się, że był to zupełny przypadek. Jego zeznania nie różnią się od tych wcześniejszych.

Andrzej Szmidt pokiwał głową.

– No to mamy zagwozdkę – powiedział wolno, jak to miał w zwyczaju.

Paulina jeszcze raz powtórzyła wszystko, o czym już wiedzieli. Zrobiła to bardziej dla siebie. Chciała usłyszeć, jak ich ustalenia brzmią, kiedy mówi się o nich na głos.

– Mamy więc następującą sytuację. Znaleźliśmy powiązanie między dwoma różnymi sprawami o morderstwo. Mamy zbójcę ze zdjęcia, zabójstwo Tularza oraz zaginięcie Magdy vel Beaty. Jedno powiązanie to osoba Marcina, drugie – telefon Koskowskiego znaleziony u Górskiego, który siedział razem z Tularzem w jednej celi. Nie wiem, co o tym sądzić. Marcin?

Zakrzewski milczał.

– W jaki sposób obie sprawy mogły być ze sobą powiązane? – Zamiast niego odezwał się Andrzej. – Co Tularz i Szumilas mieli wspólnego z ofiarami ze zdjęcia, dlaczego musieli zginąć?

– Kurzaj mieszkał dwa bloki obok – przypomniała Paulina.

– Stawiałbym jednak na Koskowskiego. Był wielbicielem kobiet. Może miał romans z tą Beatą, Magdą czy jak jej tam naprawdę było. Może dziewczyna Tularza dowiedziała się od Koskowskiego czegoś ważnego i morderca się zorientował. Dlatego musiała zginąć. Patryk zginął razem z nią raczej przez przypadek. Po prostu morderca nie wiedział, że wyszedł już z więzienia.

Paulina pokiwała głową z uznaniem.

– Rozwińmy to. W trakcie śledztwa nie dotarliśmy do wszystkich kobiet, z którymi Koskowski romansował w ostatnich latach. Sąsiadka Marcina mogła być jedną z nich. Tylko nie wiem, jak to sprawdzić. Nie znamy nawet jej prawdziwego nazwiska.

– Przez firmę Koskowskiego przewinęło się w ostatnich dwóch latach kilka kobiet zatrudnionych na czarno. Trzeba pokazać fotografię tej Szumilas innym pracownikom.

Paulina spojrzała na zamyślonego Zakrzewskiego. Wciąż opierał się o parapet i milczał.

– Marcin?

Nie odezwał się, więc kontynuowała rozmowę ze Szmidtem.

– Nigdy nie powiązalibyśmy tych dwóch spraw, gdyby nie ten telefon – powiedziała. – Dlaczego morderca podrzucił go akurat Górskiemu? Bez sensu.

– Moim zdaniem to dla nas szczęśliwy zbieg okoliczności – odpowiedział jej Szmidt.

– Andrzej, zastanów się. W mieście jest około ośmiuset tysięcy mieszkańców. Aparat znajduje Górski, który siedział z Tularzem w jednej celi. Naprawdę wierzysz w takie przypadki? To musi mieć jakiś sens.

– W takim razie morderca musiałby wiedzieć, że Górski siedział z Tularzem.

– Może morderca bardzo dobrze znał Magdę i Patryka Tularza?

– Byli współnikami – odezwał się nagle Marcin.

Popatrzyli na niego, analizując jego słowa. Marcin oderwał się wreszcie od parapetu, zrobił kilka kroków w kierunku drzwi i z powrotem. Tym razem już nie przysiadł na parapecie, tylko patrzył przez otwarte okno na zalaną słonecznym żarem ulicę.

– Płonący samochód Magdy na wale Widawy był widziany nad ranem w poniedziałek szóstego lipca. Patryk Tularz zginął trochę później. Patolog określił czas zgonu pomiędzy czwartą a szóstą rano – mówił, cedząc słowa. – No i pozostaje jeszcze kwestia psa.

– Jakiego psa? – Paulina nie zrozumiała.

– Mojego psa. Tego dnia wychodziłem do pracy kilka minut po ósmej rano. Wcześniej byłem na spacerze z Tiną. Kiedy

wróciłem po południu do domu, sąsiadka przyprowadziła mi psa, który błąkał się po piwnicy i korytarzu.

– Wtedy zjadł trutkę na szczury – przypomniała sobie Paulina.

– Skoro Beata vel Magda zaginęła w nocy, a jej chłopak rano, morderca musiał być u mnie w mieszkaniu i wypuścić psa.

Znowu zapanowała cisza. Paulina poczuła się, jakby w pokoju nagle gwałtownie spadła temperatura.

– Zaraz, oddałam ci twoje klucze, które policja znalazła w torebce Szumilas – powiedziała.

– To były klucze do jej mieszkania, pomyliłaś się.

– Kurwa mać!

Aż podskoczyli, kiedy walnęła otwartą dłońią w blat biurka. Wyciągnęła z kieszeni papierosa i za nic mając zakaz palenia obowiązujący w gmachu, stanęła przy oknie i zapaliła. Marcin do niej dołączył. Tylko Andrzej nie ruszył się z miejsca. Jeszcze nie było takiej sprawy, która wzbudziłaby w nim większe emocje.

– To przemawia za argumentem, że mogli być współnikami – powiedział. – Tylko dlaczego morderca poszedł do ciebie i wypuścił psa?

– Może zależało mu na szybkim znalezieniu zwłok Patryka? – rzuciła Paulina między jednym pociągnięciem papierosa a drugim. – Magda spłynęła z prądem Widawy. Może tam coś poszło nie tak i nie było ciała. Trzeba było pomóc policji znaleźć drugie zwłoki.

– Po co? – zapytał Andrzej.

– Nie wiem. Jeszcze niewiele z tego rozumiemy.

– Przecież to mogło być morderstwo doskonałe. Zabójca zabija swoich współników i zaciera wszystkie ślady. Do tego policja nigdy nie powiązałaby go z serią zabójstw mężczyzn ze zdjęcia. – Szmidt nie dawał za wygraną. – Po co wracał do mieszkania Marcina i wypuścił psa? Po co podrzucał Górskiemu

aparatu telefonicznego Koskowskiego? Może Górski jednak wie coś więcej?

– Nie sądzę. – Paulina zgasiła jednego papierosa i zaraz zapaliła drugiego. – Był obesrany ze strachu. Sypnąłby się. W gruncie rzeczy to mięczak.

– Tak naprawdę nic nie wiemy – mruknął Marcin wpatrzony w żarzącą się końcówkę cienkiego papierosa.

Ciszę, która na kilka sekund zapanowała w pomieszczeniu, przerwał Marcin.

– Coś mi tu nie gra – powiedział. – Widawa to nie Odra. W takie upały, jakie mamy w tym roku, wody w tej rzeczce płynnie jak na lekarstwo. Do tego pośrodku jest zarośnięta. Ciało człowieka nie mogło po prostu spłynąć z prądem i nie zastać odnalezione. Nie ma takiej możliwości. Trzeba sprawdzić, co znalazł Bury z ekipą.

– Ja to sprawdzę – zaoferował się Szmidt. – Ty lepiej nie pokazuj im się na oczy.

– J-jasne. Może poznańska policja mogłaby zwinąć tego pośrednika od lewych papierów? Wychodzi na to, że on jako jedyny znał kobietę, która zamówiła dokumenty na nazwisko Szumilas.

– Spróbujemy to załatwić.

Paulina popatrzyła na Marcina podejrzliwie.

– Cholera, jak to się dzieje, że psychopaci ciągną do ciebie jak do ziemi obiecanej? – zapytała.

– Pokrewieństwo dusz?

– Bardzo śmieszne.

\*

Parol Szawczak złapał go na korytarzu przy schodach. Dyszał ciężko, na policzkach kwitły mu nieregularne czerwone plamy.

– Nie odbierasz telefonu – wysapał.



Marcin spojrział na ekran aparatu. Osiem nieodebranych połączeń. Wszystkie od Szawczaka.

– Miałem ściszony – powiedział trochę zmieszany.

Zapomniał o nim. Myślał o Magdzie Szumilas i zapomniał o całym świecie. Przed kwadransem skończył spotkanie z Pauliną i Andrzejem. Zdążył wstąpić do toalety i wypić dwie kawy przy automacie na parterze, próbując pozbierać myśli. Teraz zmierzał do swojego pokoju.

– Maria Wolska... – zaczął Parol. – Nie możemy jej znaleźć.

Zakrzewski chwycił go za ramię i pociągnął pod ścianę. Dwóch mundurowych zbliżało się do nich, eskortując więźnia zakutego w kajdanki i łańcuch na obu nogach. Pobrzękiwał na korytarzu jak zjawa z piekła rodem w podziemiach średniowiecznego zamczyska.

W oczach Szawczaka prawie było widać jego myśli. Zakrwawione zwłoki Marii Wolskiej leżące w kuchni lub w łazience.

– Powiedz mi wszystko powoli.

– Byliśmy rano z Michałem u Wolskiej na Zalesiu. Nikt nie otworzył. Przepyaliśmy sąsiadów. Nie widzieli jej od kilku dni. Dotarłem do jej siostry i kuzyna. Nie utrzymuje kontaktów z rodziną od wielu lat. W kadrach w prokuraturze otrzymałem informację, że od dwóch tygodni przebywa na zwolnieniu lekarskim.

– No dobrze, a sprawdzaliście szpitale?

Szawczak uśmiechnął się z wyraźnym samozadowoleniem.

– Wolska nie leży w żadnym wrocławskim szpitalu.

Marcin zastanowił się przez moment.

– No dobra, chyba pojedziemy się tam rozejrzeć – westchnął.

– Postawiłem tam patrol – odpowiedział Parol. – Mają dać znać, jak tylko ze środka usłyszą pierdnięcie.

Marcin wykrzywił wargi.

– Jesteś naiwny, Szawczak. Pewnie siedzą w aucie sto metrów od budynku i w cieniu ucinają sobie popołudniową drzemkę.

\*

Marcin Zakrzewski pomylił się, ale niewiele. Co prawda policjanci nie spali, ale zaparkowali w cieniu tak daleko, że mogli nie zauważyć, jak banda rabusiów wynosi z domu Wolskiej antyczne meble. Oczywiście, gdyby takie tam były.

Dom Wolskiej stał na łuku ulicy, gdzie Wieniawskiego przechodziła w Paderewskiego. W tym rejonie miasta w nazwach ulic królowali polscy kompozytorzy. Dom zbudowany był jeszcze przed wojną i dawno go nie odnawiano. Ogród był za to starannie zagospodarowany i utrzymywany w porządku. Od strony Paderewskiego po ścianie domu wspinały się pędy winorośli i prawie zupełnie zasłaniały okna na pierwszym piętrze.

Zakrzewski z Parolem otworzyli furtkę, wspięli się po kilku schodkach i stanęli przed drzwiami z łuszczącą się farbą. Marcin nacisnął na staroświecki dzwonek i w środku rozległ się sygnał, który niejednego mógłby przyprawić o nerwicę. Po nim zapanowała niczym niezmacona cisza. Marcin chwycił za klamkę. Zamknięte.

Parol patrzył na niego, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Czerwień już dawno pojawiła się na jego policzkach. Nie tylko od upału.

– O co chodzi? – zapytał Marcin.

– A jeśli ona też została zamordowana?

Marcinowi ta natrętna myśl również nie dawała spokoju, starał się jednak zachować zdrowy rozsądek.

– Nie wszyscy, którzy są związani z tą sprawą, muszą być już martwi – powiedział z ironicznym uśmiechem.

Obszedł dom wokoło, zaglądając do okien. Niewiele było widać, lecz nie zauważył też niczego nietypowego. Wrócił pod drzwi i stuknął zamyślonego Szawczaka w ramię.

- Wracamy – powiedział.
- Nie wejdziemy do środka?
- Nie mamy nakazu.

Parol mruknął coś tylko pod nosem i ruszył za nim. Marcin stanął przy golfie kolegi i czekał. Szawczak poszedł jeszcze do mundurowych z informacją, że mają wciąż obserwować dom.

Nagle Marcin dostrzegł starszą siwą kobietę, która nadchodziła wolno ulicą Paderewskiego. Ubrana była w stare sandały i niemodną sukienkę niepasującą do upałów. Na ramieniu miała torebkę, która również mogła pamiętać czasy minionego ustroju politycznego. Może kobieta nie przykułaby jego uwagi, gdyby nie ta torebka. Kobieta sięgnęła do środka i w jej dłoni pojawiły się klucze.

Marcin podbiegł do furtki, kiedy kobieta była na pierwszym stopniu schodów.

- Maria Wolska?

Odwróciła się wolno. Na czole miała kropelki potu.

- Tak.

Pokazał jej legitymację.

– Komisarz Marcin Zakrzewski, komenda wojewódzka policji. Szukamy pani od jakiegoś czasu.

- Byłam u lekarza – odpowiedziała.

Przed furtką stał już lekko zasapany Szawczak i patrzył na Marcina, jakby chciał powiedzieć: „Skąd miałem wiedzieć?”. Pokazał jednak tylko swoją legitymację.

– W czym wam jeszcze mogę pomóc? – zapytała Wolska z dobrotliwym, wręcz babcinym uśmiechem na ustach.

– Chcielibyśmy ponownie porozmawiać o Mirosławie Rudnickim.

– Przesłuchiwaliście mnie już w sprawie tych telefonów – odpowiedziała. – Nie mam nic więcej do dodania. Czasem u niego sprzątałam.

Odwróciła się i włożyła klucz do zamka.

– Dlaczego pani kłamie? – pytanie Marcina wstrzymało ją w pół ruchu.

Zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

– Mówię prawdę.

– Pani kłamie, pani Mario. Przecież znała pani Rudnickiego jeszcze z czasów młodości. Spotykaliście się w mieszkaniu na Pawłowa. Jak go wtedy nazywali? Młody?

W ułamku sekundy Wolska przeistoczyła się z dobrotliwej babci w złego wilka czyhającego na małe dziewczynki.

– Być może. Nie pamiętam. – Nawet jej głos był już o wiele mniej sympatyczny.

– Alicji Zawistowskiej też pani nie znała? Przecież była pani w niej zakochana. Spotkałyście się właśnie na Pawłowa.

Te słowa wyraźnie wstrząsnęły Wolską. Najwidoczniej nie spodziewała się uwagi o Zawistowskiej.

– Nic wam nie powiem – ucięła i otworzyła drzwi do domu.

– Do sprzątaczkę nie telefonuje się kilkanaście razy w ciągu miesiąca – odezwał się Parol.

– Umawialiśmy się na sprząkanie.

– Kogo pani kryje? – zawołał Marcin, kiedy miała już zamykać drzwi. – Mordercę?

Przytrzymała drzwi, popatrzyła mu w oczy, lecz nic nie powiedziała.

– Proszę mnie chwilę posłuchać. Rudnicki nie żyje, podobnie jak inni pani znajomi z Pawłowa: Mincel, Kosek, Adam Kurzaj. Nie ma już kogo kryć.

Nadal milczała z posepną miną.

– Na pewno pani sporo pamięta z tamtych czasów, utrzymywała pani znajomość z Rudnickim przez wszystkie te

lata. Proszę nam pomóc znaleźć tego zwyrodnialca, który ich zamordował.

– Nie mam wam nic do powiedzenia.

Drzwi znowu zaczęły się zamykać.

– Będziemy musieli zabrać panią na komendę na oficjalne przesłuchanie – dorzucił Parol.

Jeszcze raz zatrzymała drzwi. Na jej twarzy pojawił się demoniczny uśmiech.

– Straszysz mnie, chłopczyku? – rzuciła. – W dupie mam wasze przesłuchania. Wiele lat pracowałam w komunistycznej milicji. Widziałam przesłuchania, po których tydzień nie mógłbyś zasnąć. Więc nie strasz mnie, gówniarzu.

Drzwi ostatecznie się zatrzasnęły. W domu jednak nadal panowała taka cisza, jakby Wolska stała w bezruchu, patrząc na nich przez judasz.

Marcin wzruszył ramionami i w milczeniu wrócili do samochodu.

## 36 Twarz

17 lipca, piątek po południu

Podczas przesłuchania w komendzie wojewódzkiej Maria Wolska nie powiedziała nic. Znowu zmieniła się w miłą starszą kobietę, która nie wie, czego wszyscy od niej chcą. Ona przecież tylko sprzątała u Rudnickiego. Nie mogli nic zrobić, prokurator Grabski nie miał podstaw do zatrzymania. Po dwóch godzinach prób wyciągnięcia z niej czegokolwiek musieli odpuścić. Na odchodne w kobiecie znowu pojawił się wilk. Uśmiechała się drwiąco do Szawczaka, a jej wzrok zdawał się mówić: „Uprzedzałam, synku, że się was nie boję”. Parol stracił nad sobą panowanie do tego stopnia, że zapalił papierosa, a z jego ust co chwilę padały bardzo niecenzuralne słowa pod adresem Wolskiej.

Marcin dołączył do Szawczaka i Rucińskiego na wewnętrznym dziedzińcu budynku policji, przy donicy z wyschniętym kwiatkiem zamienionej w popielniczkę. Przez chwilę palili w milczeniu.

– Mówię wam, że to Wolska – powiedział Ruciński, po raz kolejny tego dnia.

Marcin spojrzał na niego sceptycznie. Parol też nie wyglądał na przekonanego.

– W młodości była zakochana w Zawistowskiej – ciągnął Ruciński z papierosem między zębami. – Ta odtrąciła ją dla czterech facetów. Można być zazdrosnym, nieprawdaż?

Zakrzewski przyjrzał mu się z ukosa. Co taka ładna dziewczyna jak Hanna widziała w Rucińskim?

– Że niby zemsta? – zapytał Parol. – Dlaczego po tylu latach?

– Przeczytała książkę Rudnickiego, stare wspomnienia i uczucia wróciły.

Szawczak machnął ręką. Sama myśl o Wolskiej doprowadzała go do wściekłości.

– Nawet jeśli nie zrobiła tego własnoręcznie, mogła wszystko zorganizować. Miała motyw. Pomyślcie, pracowała w milicji, to jej dawało spore możliwości. Może to ona zabiła Zawistowską, spreparowała zwłoki i trzymała je w piwnicy w domu na Wieniawskiego.

– Moim zdaniem byłaby do tego zdolna. Na pozór to tylko starsza kobieta, ale czasem wychodzi z niej coś takiego... – Ruciński spojrział na Marcina.

– Po co miałyby zwracać na siebie uwagę tymi niedopałkami papierosów? – zapytał Zakrzewski, gasząc peta w doniczce.

– Chciała nam zagrać na nosie. Przecież nic na nią nie mamy. Nie zostawiła śladów, współników usunęła.

– Strasznie naciągane – mruknął Parol.

– A macie lepszy pomysł?

– Na razie nie – przyznał niechętnie Marcin.

Okolo dwunastej do pokoju Zakrzewskiego weszła Paulina Czerny. W obcisłych dżinsach i T-shircie wyglądała rewelacyjnie. Przynajmniej takie zdanie miał Marcin, który na jej widok poczuł jakieś ukłucie żalu i straty. Ciągle nie mógł się przyzwyczać do myśli, że to już nie jest jego Paulina. Rozstali się, teraz muszą ze sobą współpracować. Chociaż czasem Marcin myślał, że od napięcia, które między nimi buzuje, można byłoby spokojnie naładować akumulator.

– Musimy pogadać – powiedziała bez większych wstępów, po swojemu zarzucając głową.

– J-jasne. Siadaj.

Przysunęła krzesło do biurka, usiadła i położyła przed sobą papierową teczkę. Musiała przy tym odsunąć kilka kubków po kawie z automatu.

– Coś mam. Tylko jeszcze nie wiem, co.

– Nie brzmi dobrze.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Posłuchaj. Na naszą prośbę policjanci z Poznania zgarnęli tego fałszerza dokumentów.

Marcin poprawił się w fotelu.

– Doskonale pamięta osobę, która zamawiała tamten dowód. Zazwyczaj nie spotyka się z ostatecznym odbiorcą, ale dla niej zrobił wyjątek. Mówi, że skontaktował ich zaufany naganiacz.

– Niby dlaczego?

– Była podwójna stawka. Naganiacz twierdził, że klientka jest sprawdzona, ale bardzo nieufna. Chciała sama odebrać dokumenty i ocenić ich wiarygodność. Nasz fałszerz jest hazardzistą, poważnie zadłużonym u ludzi z miasta. Od dawna podrabia im dokumenty za długi i nie ma z tego ani złotówki. A tu nagle trafił się klient z żywą gotówką.

– J-jasne.

Paulina wyciągnęła z teczki portret pamięciowy sporządzony przez technika w Poznaniu.

– Dokumentów nie odbierała Magda Szumilas, tylko ta osoba – powiedziała.

Marcin dokładnie przyjrzał się twarzy odtworzonej na podstawie zeznań fałszerza. Portret pamięciowy nie był dokładny, ponieważ nie mógł być. Minęło zbyt dużo czasu. Jednak coś go zaniepokoiło. To na pewno nie była Magda, chociaż dostrzegał pewne podobieństwo. Miał pamięć do twarzy. Kłopoty zaczynały się zazwyczaj, kiedy nie przypominał sobie od razu. Tak jak w tym momencie.

– Cholera, ona mi się wydaje podobna do Magdy – powiedział, trąc w zamyśleniu czoło.



- Też odniosłam takie wrażenie.
  - Może to jednak ona, tylko miała wtedy inne włosy, makijaż, no i minęło sporo czasu.
  - Fałszerz był pewien, że po dowód przyszła inna osoba niż na zdjęciu.
- Marcin spojrzął jej w oczy.
- Mamy współniczkę Magdy i Tularza?
  - Być może. Tylko to dość marny ślad. Jeśli technicy nie znajdą nic w wyszukiwarce twarzy, nie mamy punktu zaczepienia.
  - A co ze śladami znalezionymi w mieszkaniu?
  - Mamy trochę odcisków palców. Głównie Patryka Tularza. Tych innych nie ma w naszej bazie. Są ślady biologiczne, ale z tego też nic nie będzie. Ktoś bardzo skutecznie posprzątał.
- Zakrzewski wahał się długo, zanim wreszcie wypowiedział te słowa na głos:
- Wydaje mi się, że już ją gdzieś widziałem.
- Paulina uśmiechnęła się krzywo.
- Im dłużej wpatrujesz się w portret, tym bardziej ją znasz – powiedziała. – Wszyscy z czasem mamy taką chorobę.
  - Pewnie masz rację. – Marcin pokiwał głową bez przekonania. – Jest tylko jeden świadek, który widział jedno z morderstw.
  - Banaszkiewicz. Odkąd ma adwokata, nie powiedział ani słowa.
  - Mimo to spróbuję.
  - Jak uważasz.

\*

Dwie godziny później Zakrzewski usiadł naprzeciw Piotra Banaszkiewicza w pokoju przesłuchań aresztu śledczego przy ulicy Podwale. Kilka dni temu Banaszkiewicz wyglądał staro,

ale pobyt w areszcie postarzył go jeszcze bardziej. Poprzeczne bruzdy zmarszczek na czole zmieniły się w Wielki Kanion Kolorado, oczy wyblakły, zapadły się jeszcze głębiej w czaszkę, kąciki ust obwisły. Nawet skóra na spracowanych dłoniach, które teraz leżały splecione przed Marcinem na stole, sprawiała przygnębiające wrażenie. Zrobiła się przezroczysta.

Marcin nie miał wielkich nadziei na przełom, ale czuł, że musi spróbować. Dla spokoju sumienia. A może dla Banaszewicza?

– Przykro mi, panie Piotrze, że widzimy się w takich okolicznościach – powiedział.

Brak reakcji. Tylko oczy wpatrywały się w niego przenikliwie.

– Może pan się zdziwi, ale bardzo dobrze pana rozumiem. I powiem panu jeszcze coś: trzy czwarte gliniarzy w tym budynku też pana rozumie. Na pana miejscu postąpiliby tak samo.

Te oczy. Marcin przypomniał sobie nagle wiersz Władysława Broniewskiego o śmierci Waryńskiego. Tam też było coś o oczach. Z trudem zachował koncentrację.

– Ale nie możemy. Gdyby wszyscy mogli się mścić śmiercią za śmierć, świat przestałby istnieć. Cofnęlibyśmy się do czasów sprzed tysiącleci, zapanowałyby anarchia i bezprawie. Nie możemy do tego dopuścić.

Pauza.

– Rozmawiałem z prokuratorem Grabskim. Obiecał, że jeszcze dzisiaj będą rozpatrywać możliwość wypuszczenia pana z aresztu i objęcia dozorem policyjnym do czasu procesu. Ma pan chorą małżonkę, prawda? Gdyby pan odpowiedział na kilka moich pytań i pomógł mi złapać zabójcę Koskowskiego, prokuratura na pewno uznałaby to za okoliczność łagodzącą.

Gdzieś na dnie tych oczu światło zaczęło się zmieniać.

– Wiem, że adwokat doradził panu milczenie, lecz prawnicy nie są nieomylni, proszę mi wierzyć. Zastanawiał się pan, jakim trzeba być zwyrodnialcem, żeby wpompować człowiekowi do brzucha dwadzieścia litrów betonu? Myśli pan, że zabójca kierował się szlachetną zemstą, jak pan? Jest pan w błędzie. Prawdopodobnie potem z zimną krwią zabił dwoje swoich współników, żeby zniknąć bez śladu. Naprawdę identyfikuje się pan z nim i z takim rodzajem zemsty? Nie wierzę, panie Piotrze, że pan taki jest. Odpowie pan na moje pytania?

W starym człowieku coś drgnęło. Otworzył usta, wypuścił chrapliwie powietrze i z jego ust nareszcie popłynęły słowa. Najpierw kilka niepewnych.

– Znaczy się, mój adwokat mówił...

– Bez adwokata – przerwał mu Marcin. – Tylko ja i pan, w cztery oczy.

Banaszkiewicz spojrzał mu w twarz.

– Ale będę mógł stąd wyjść? Do żony...

– Nie obiecuję, ale jest taka możliwość.

– Będę mówił.

Marcin nachylił się nad stołem.

– Czy to była kobieta?

Banaszkiewicz spojrzał na niego spłoszony. Pytanie trafiło w samo sedno.

– Tak – odpowiedział.

Marcin położył przed nim trzy zdjęcia. Magda, Wolska i portret kobiety z Poznania.

– Czy którąś z tych osób pan poznaje?

– Znaczy się... nie wiedziałem twarzy. Ona była cała ubrana na czarno. Taki obcisły strój, jak ninja...

– A twarz?

– Na twarzy miała kominiarkę... znaczy się... widziałem tylko oczy i usta.

– I nie rozpoznaje pan tych kobiet na fotografii?

Banaszkiewicz drżącą dłonią przesunął w stronę Marcina zdjęcie Wolskiej.

– Nie była stara...

Marcin schował zdjęcie Wolskiej.

– Nie poznaję... Zresztą one są do siebie podobne.

– Dobrze. W takim razie... co pan pamięta?

Banaszkiewicz potarł czoło dłonią, jakby chciał zetrzeć kropelki potu, których tam nie było.

– Od razu wiedziałem, że to kobieta. Była drobna i poruszała się... znaczy się... jak kobieta. Tylko w jej ruchach było coś nienaturalnego. Jak na filmach. Była jakaś wściekłość, może szaleństwo. Przestraszyłem się, że mnie też będzie chciała zabić. Dopóki, no, znaczy się...

– Nie wspomniała o pana córce.

– Tak. Nie wiem, co we mnie wtedy wstąpiło, że jej pomogłem z tą wtryskarką do betonu. I mnie ogarnęło jakieś szaleństwo. Nie wiem.

Marcin spojrzał mu w oczy.

– Żałuje pan? – zapytał.

– Bardzo.

– Mógł pan ją widzieć wcześniej? Może pracowała w firmie Koskowskiego?

– Ja pracowałem na hali. Naprawdę nie wiem...

Marcin wstał.

– Pomógł mi pan, panie Piotrze, dziękuję.

Banaszkiewicz tylko pokiwał głową i nagle znowu zgasł, zestarzał się, skurczył i zapadł w sobie. Bruzd na jego twarzy przybyło.

Zakrzewski wyszedł na korytarz i dał znak dwóm mundurowym. Obserwował, jak wyprowadzali Banaszkiewicza z sali przesłuchań. Facet wyglądał jak szmaciana lalka. Zakrzewski wyciągnął telefon i wybrał numer prokuratora Grabskiego.

- Co z Banaszkiem? – zapytał bez żadnych wstępów.
- Naczelnik przychylił się do wniosku. Wyjdzie jutro rano.

\*

Do domu wracał po dwudziestej. Po drodze uświadomił sobie, że ma pustą lodówkę, skręcił więc na parking centrum handlowego Magnolia. Chciał odwiedzić tutejszy market spożywczy. Liczył, że w taką pogodę sklepy będą puste. Niestety, parking był prawie pełen. Z trudem znalazł wolne miejsce i zostawił motor. Zanim odszedł, rozejrzał się, żeby zapamiętać, gdzie stanął. Ponoć wiele osób cierpiało na tę przypadłość: zostawiało auto na parkingu, a później nie mogło go znaleźć. Nowa choroba cywilizacyjna, jeszcze niezbadana. Przypadek Zakrzewskiego pewnie można by było zaklasyfikować jako ciężki, przewlekły i nierokujący nadziei.

Wszedł do klimatyzowanego wnętrza i zrozumiał, dlaczego jest tu teraz tylu klientów. Ulga od upału była rozkoszna. Ludzie woleli włączyć się po klimatyzowanych wnętrzach sklepów, zamiast siedzieć w rozgrzanych betonowych klatkach.

Marcin poszedł wolno w kierunku ruchomych schodów prowadzących na pierwszy poziom galerii handlowej. Nie zwrócił uwagi na trzech nastolatków, którzy przystanęli i gorąco komentowali wygląd jego motocyklowego kasku. Ewidentnie im się spodobał. Mijał schody, gdy poczuł wibracje w kieszeni. W szumie sklepu utwór Led Zeppelin ledwo było słychać.

– Słucham?

Spieszył się, żeby odebrać, nie spojrzał na wyświetlacz. W głosie Parola wyraźnie dało się wyczuć wahanie.

– Nie wiem, czy to istotne.

– Skoro już dzwonisz, mów.

Marcin odruchowo zwolnił krok.

– Przeglądałem sobie w archiwum dokumentację związaną z oskarżeniem Koskowskiego o gwałt.

– Przez córkę Banaszekwicz?

– Tak. Nie chcę się czepiać, ale nie podoba mi się, jak potraktowano tę dziewczynę na przesłuchaniach i jakie jej zadawano pytania. Za bardzo sugerujące. Policjanci i prokurator zrobili z niej puszczałką, która miała romans z szefem i chce się zemścić za to, że ją zwolnił.

Marcin nie był zaskoczony. Ile już widział takich spraw? Pewnie więcej niż tych zakończonych prawomocnym wyrokiem za gwałt. A dwa razy tyle zgłoszeń nigdy nie trafiło do policji, właśnie z obawy przed takim obrotem sprawy.

– Myślę, że zainteresuje cię nazwisko prokuratora, który umorzył tamto śledztwo.

– Dlaczego?

– To Dariusz Wysocki.

Marcin zawrócił na pięcie i prawie zderzył się z idącą za nim kobietą. Była niższa od niego o głowę, a na jej twarzy ujrzał wyraz zaskoczenia i przestachu.

– Przepraszam panią... – zaczął Marcin, ale ona nagle szybkim krokiem odeszła w kierunku ruchomych schodów. Po chwili jechała na górę.

– Marcin, jesteś tam? – zapytał Parol.

– Oddzwonię – rzucił w odpowiedzi i schował aparat.

Twarz!

Ruszył w pościg za kobietą. Biegł po ruchomych schodach, przeskakując po dwa stopnie.

– Proszę pani! – krzyknął. – Halo! Czy my się znamy?!

Ubrana w obcisłe spodnie i luźną szarą koszulkę postać zniknęła już na piętrze.

– Cholera! – jęknął, przyspieszając.

Na górze zatrzymał się i próbował wypatrzeć kobietę pośród kręcących się tu ludzi. Po chwili ją zobaczył. Biegła skrajem

korytarza, tuż przy sklepowych witrynach. Widział, jak spięte w kucyk włosy podskakują przy każdym kroku.

Pobiegł za nią. Miała sporą przewagę i już po chwili stracił ją z oczu. Zajrzał do kilku sklepów, przebiegł na drugą stronę, wrócił. Nic z tego. Jeśli chciała uciec, pewnie była już daleko. Dlaczego uciekała?

Zakrzewski stał, drapiąc się w zamyśleniu w policzek. Czy gdzieś już ją widział? Portret pamięciowy klientki fałszerza z Poznania? Może tak, może nie. Był prawie pewien, że widział ją już gdzieś indziej. I bardzo mu kogoś przypominała.

Wrócił na parking, rezygnując z zakupów. Dziś motocykl znalazł już za pierwszym razem.

## 37 DNA

20 lipca, poniedziałek, wieczór

Marcin zgasił silnik swojej hondy, jednym ruchem ściągnął kask i spojrział z niepokojem w niebo.

Wyglądało jakoś inaczej. Gorące i nieruchome powietrze jeszcze bardziej zgęstniało. Marcin nie miał już uczucia, że pływa w gorącej zupie. To był raczej gęsty sos do pieczenia. Niebo od zachodniej strony zsiniało, intensywne kolory lata gdzieś zginęły. W powietrzu wisiało coś złowrogiego, jakby na świat nieuchronnie nadciągała apokalipsa.

Tak przynajmniej odczuwał to Marcin.

Zsiadł z motoru i ruszył do wejścia do budynku Zakładu Medycyny Sądowej. Był kwadrans po dziewiętnastej. Teoretycznie zakład już nie pracował, drzwi były jednak otwarte.

Kiedy wszedł do środka, powitała go kobieta około pięćdziesiątki. Miała krótko ścięte, zafarbowane na blond włosy, ubrana była w białą koszulę od razu kojarzącą się ze szpitalem i takie same spodnie. Znał ją z widzenia, ale dotąd nigdy z nią nie rozmawiał. „Doktor Irena Korcz”, informował przypięty do piersi identyfikator, ale przedstawiła się, mocno ściskając mu dłoń.

Ze zdziwieniem zauważył, że jej ręka była sucha i zimna, jakby lekarka dopiero co wyszła z prosektorium. Mimowolnie się wzdrygnął.

– Komisarz Zakrzewski – odpowiedział krótko.



Gestem wskazała, żeby poszedł za nią. Minęli spoconego ochroniarza. Kobieta odezwała się dopiero przy windzie.

– To ja zostawiłam ci wiadomość w sekretariacie – rzuciła, pomijając konwenanse.

Marcinowi od razu wydała się sympatyczniejsza.

– Pomyślałam, że to może być dla was ważne.

– Każdy szczegół może być ważny – powiedział i od razu pożałował tych słów, bo zabrzmiały banalnie i sztampowo.

Wsiedli do klimatyzowanej windy. Przyjemny, chłodny powiew sprawił chwilową ulgę. Wysiedli na drugim piętrze i Marcin z zadowoleniem zauważył, że tu też jest klimatyzacja. Do tego dość skuteczna. Ruszyli szybko pustym korytarzem, mijając szeregi zamkniętych drzwi.

Irena podała Marcinowi szklankę wody, a sobie nalała drugą.

– Przy takiej pogodzie nawadnianie to podstawa – powiedziała, pociągając duży łyk. – Każdy powinien wypijać co najmniej trzy litry płynów. Do tego trzeba uważać, co się pije. Woda powinna posiadać jak największą mineralizację. Tylko w ten sposób można uzupełnić mikroelementy, które tracimy razem z potem.

– J-jasne.

– Niecierpliwy, jak każdy policjant.

– Wybacz. Taka cecha zawodowa.

Odstawiła szklankę i przeszła do konkretów.

– To ja zajmowałam się pozyskaniem materiału genetycznego z tych zmumifikowanych zwłok kobiety. Wyodrębnienie jej kodu DNA zajęło trochę czasu. Potem przeszukaliśmy całą dostępną bazę kodów, ale nie mieliśmy żadnego trafienia. Dostaliście oficjalną informację.

Marcin w dwóch łykach opróżnił swoją szklankę. W tej chwili oddałby cysterne wody o największej mineralizacji za butelkę dobrze schłodzonego piwa.

– Coś się zmieniło? – zapytał ostrożnie.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Miała błękitne oczy. Pomyślał, że jest atrakcyjna.

– Dzisiaj rano przeglądałam pliki ze swoimi badaniami na naszym zakładowym serwerze i zauważyłam, że ktoś się nimi interesował.

Marcin poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach.

– Trzy dni temu, w piątek, ktoś skopiował wyniki mojej pracy – mówiła dalej. – Dostęp do tych danych ma tylko kilka osób. Poprosiłam naszego informatyka, żeby sprawdził, kto kopiował dane. Okazało się, że zrobił to doktor Jan Musiał.

– Co w tym dziwnego?

– Doktor Musiał od dwóch tygodni jest na urlopie. Coś mnie tknęło i jeszcze raz sprawdziłam naszą bazę danych.

– No i?

– Nadal nic.

Marcin poczuł, jak uchodzi z niego powietrze.

– Ale sprawdziłam jeszcze raz wszystkie bazy pod kątem pokrewieństwa ze zmumifikowaną kobietą i nieoczekiwanie program pokazał jedno trafienie.

Marcin zastygł w bezruchu.

– A konkretnie? – Słowa ledwo się przecisnęły przez zwężone gardło.

– Znaleźliśmy córkę denatki.

– To pewne?

Irena wykrzywiła usta w kpiącym uśmiechu.

– Mówimy o badaniach genetycznych, komisarzu. Prawdopodobieństwo pomyłki wynosi zaledwie jeden promil, więc jest pomijane. Mówimy o stuprocentowej pewności.

Marcin jeszcze raz pomyślał o zimnym piwie. Cholera, dałby dużo, żeby się teraz napić.

– Wiemy, kim ona jest?

– Tak. Nazywa się Jadwiga Poznańska. – Irena pchnęła w jego kierunku świstek papieru z adresem.

Czekoladowa dwanaście, mieszkania dwa.

– Chcesz zobaczyć kartę jej badania?

– Tak.

Podala mu wydruk komputerowy. Zakrzewski szybko przeleciał kartkę wzrokiem.

PŁEĆ: Kobieta

WIEK: około 30 lat

RASA: Biała

POCHODZENIE: Słowiańskie

KOLOR WŁOSÓW: Ciemne

KOLOR OCZY: Brązowe

Poniżej dopisek czerwoną czcionką:

HIT! Pokrewieństwo z próbką z dnia 4.07.2015 r.

Marcin poczuł, jak jego umysł zaczyna pracować na zwiększonych obrotach. Coś mu się tutaj nie zgadzało.

– Dlaczego pokrewieństwo odkryliście dopiero teraz? – zapytał. – Za pierwszym razem sprawdzaliście niedokładnie?

– W tym rzecz, że sprawdzaliśmy.

Policjant zaczął się niecierpliwić.

– Możesz mówić jaśniej?

– Oczywiście. – Znowu ten uśmieszek. – Za pierwszym razem nie było błędu w przeszukaniu bazy. Niestety, baza danych policji jest ciągle niewielka, obejmuje zaledwie pięćdziesiąt tysięcy osób. Pani Poznańskiej w niej nie było. Próbka jej krwi do analizy DNA trafiła do nas dopiero w piątek, 10 lipca. Badanie zlecił doktor Musiał i nadał mu duży priorytet. Stąd bardzo szybko mieliśmy wyniki. Sekretariat zastosował w tym przypadku standardową procedurę. Wyniki zastały przesłane e-mailem na konto Musiała oraz pocztą do osoby zainteresowanej.

– Zaraz, zaraz. – Marcin wykonał gest, jakby chciał ją zatrzymać – Musiał od dwóch tygodni jest na urlopie.

– Właśnie dlatego zaprosiłam cię na spotkanie.

– J-jasne. Kto mógł zlecić badania, podszywając się pod Musiała? – powiedział, ale nim wybrzmiało pytanie, już znał odpowiedź.

Podrapał się po policzku. Gdzieś w głowie szare dotąd obrazy zaczynały mu się składać w jeden, jaśniejszy.

Chyba wiedział, kto zlecił te badania, podając się z Musiała. Właściwie tylko jedna osoba mogła to zrobić. Tylko po co? I kim, do cholery, była Jadwiga Poznańska? Nagle przypomniał sobie jedno słowo, które napisał kilkanaście dni temu na kartce i zakreślił. Tego dnia został w domu, żeby zebrać myśli. Była awaria wodociągów, a lekkomyślny rowerzysta wpadł do zalanego wodą wykopu.

Włosy.

– Cholera! – powiedział, wstając nagle zza biurka.

– Pomogłam?

Spojrzał na nią, jakby ocknął się z letargu.

– Tak, oczywiście. Bardzo! Muszę iść.

– Powodzenia! – krzyknęła za nim, ale on był już na korytarzu i szybkim krokiem zmierzał w kierunku windy.

Jeszcze zanim wszedł do kabiny, wykręcił numer do dyżurnego w komendzie wojewódzkiej i poprosił go o sprawdzenie Jadwigi Poznańskiej zamieszkałej przy ulicy Czekoladowej. Dyżurny oddzwonił, nim Zakrzewski wszedł na motor.

– Słucham – rzucił niecierpliwie do słuchawki.

– We Wrocławiu są cztery Jadwigi Poznańskie – zaznaczył dyżurny. – Żadna nie mieszka na Czekoladowej. Żadna nie jest notowana w naszych kartotekach. Zresztą nie ma adresu Czekoladowa dwanaście przez dwa.

Marcin poczuł skurcz przelatujący mu po plecach. Rozkoszne uczucie, które miewał zawsze, kiedy trafiał na właściwy trop.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie – odrzekł dyżurny.

Musiał się upewnić.

– Potrzebuję czegoś więcej – powiedział.

– W porządku. Pierwsza Jadwiga Poznańska mieszka na Trzebnickiej, ma sześćdziesiąt osiem lat. Druga na Kołłątaja, pięćdziesiąt cztery lata, trzecia na Paprotnej, czterdzieści siedem lat. I ostatnia Poznańska z ulicy Krośnickiej na Polanowicach, dwunastolatka.

– Dziękuję.

Rozłączył się i zastygł na chwilę zamyślony. Niebo na zachodzie robiło się coraz bardziej sine.

– Cholera jasna! – wycedził do siebie przez zaciśnięte zęby.

Włosy!

Jak mógł być tak ślepy i nie dostrzec tego podobieństwa? Miał ją cały czas przed oczami. Wystarczyło się chwilę zastanowić. Tyle tylko, że... było to dość nieprawdopodobne. Zbieg okoliczności jedyny w swoim rodzaju. Jak szóstka w Lotto.

Przypomniał ją sobie: patrzyła na niego poważnym wzrokiem, machinalnie założyła za prawe ucho długie czarne włosy, a później zadała pytanie. Pamiętał też jej zawiedzione spojrzenie, kiedy odmówił.

Przez ułamek sekundy jeszcze raz zobaczył obrazek w głowie. Jeszcze niewyraźny, pełen dziur i brakujących fragmentów, ale wiedział, że resztę układanki dopasuje później.

Zdrętwiał na moment. Wewnętrzne przecucie, instynkt śledczego, intuicja – nieważne co – podpowiadało mu, że może wydarzyć się coś złego.

Zadzwoił do Michała Rucińskiego. Po sześciu długich sygnałach włączyła się skrzynka. Zaklął pod nosem i już wybierał numer do Szawczaka.

## 38 Biały szkwał

20 lipca, poniedziałek, wieczór

Kiedy koło południa zadzwoniła do niego z pytaniem, czy kolacja, na którą niby żartem, niby serio ją zapraszał, jest nadal aktualna, wydawało mu się, że się przesłyszał. To nie był piątek ani sobota, tylko zwykły poniedziałek. Starając się nie zdradzić, jak bardzo jest podekscytowany perspektywą spędzenia z nią wieczoru, zapewnił, że oczywiście, aktualna. Powiedziała, że przyjedzie na pizzę. Przecież opowiadał, że robi bardzo dobrą pizzę.

Do tej chwili cały czas chodził z głową w chmurach. Podobała mu się. Bardzo mu się podobała. Zdawał sobie sprawę, że nie jest przystojny, do tego pewnie musiała słyszeć, że nie stroni od alkoholu. Jednak, jak widać, to jej nie przeszkadzało. W jakiś pokrętny sposób los sprawił, że jej się spodobał. Cholera, nie mógł zmarnować takiej szansy, kto wie, czy nie jedynej w tym parszywym życiu. Była młodsza i bardzo atrakcyjna. W życiu nie przypuszczał, że będzie się umawiał na randki z takimi laskami.

Wracając z pracy, zajechał do sklepu i kupił dodatki do pizzy: dobry ser i butelkę czerwonego wina. Bardzo drogą butelkę wina. W domu przygotował ciasto na pizzę i odstawił do wyrośnięcia.

Po dziewiętnastej odezwał się domofon. Podniósł słuchawkę i przycisnął przycisk otwierający bramę na dole. Potem przekreślił zamek w drzwiach i poszedł do kuchni, gdzie kroił

składniki na pizzę i właśnie tarł ser na tarce. Pomyślał, że to będzie dobrze wyglądać, kiedy ona zadzwoni do drzwi, a on krzyknie z kuchni: „Otwarte!”. Z jednej strony zaprezentuje się jako dobry gospodarz – właśnie w kuchni przygotowuje pyszne żarcie, z drugiej okaże jej pełne zaufanie.

Tarł energicznie ser i uśmiechał się do siebie na wspomnienie miny tego zarozumialca Zakrzewskiego, kiedy zobaczył jego i ją w knajpce na piwie. Prawie opadła mu szczeka ze zdziwienia. Wiedział doskonale, że najpierw umówiła się właśnie z Zakrzewskim, ale nic z tego nie wyszło. Pewnie Zakrzewski spodziewał się po tym spotkaniu więcej. Musiał się obejść smakiem. Jego, kobieciarza, taka porażka musiała bardzo zboleć.

Odezwał się sygnał jego telefonu. Spojrzał na wyświetlacz.

Zakrzewski.

W takim momencie! Cholera, jakby wiedział, co się może wydarzyć tego wieczoru, i próbował przeszkadzać. Nie ma mowy.

Nie odebrał. Telefon się więcej nie odezwał.

Nagle znieruchomiał.

Coś było nie tak. Od sygnału domofonu minęła bardzo długa chwila. O wiele za długa. Ona powinna już dawno tu być.

Odłożył startą do połowy kostkę żółtego sera, wytarł ręce i poszedł do przedpokoju. Stał zdziwiony. Drzwi wejściowe były uchylone. Pamiętał, że je zamykał. Wyrzwał na korytarz. Nikogo.

Wrócił do domu. Wydawało mu się, że w pokoju coś się poruszyło.

– Jesteś już? – zapytał.

Przekroczył próg pokoju, zrobił dwa kroki i nagle zrozumiał. To był błąd. Zanim zdążył zareagować, potężne uderzenie w głowę zgasiło mu światło przed oczami.

\*

Było przeraźliwie gorąco, z każdym upływającym kwadransiem coraz gorzej. Chmura wisząca na zachodnim widnokręgu pewnie dawałaby nadzieję na pierwszy od kilku tygodni deszcz, gdyby nie wyglądała jakoś nienaturalnie. Jakby pochodziła nie z tego świata.

Aspirant Gotard Szawczak siedział w samych bokserkach przy biurku i wpatrywał się w ekran komputera. Mimo otwartych na całą szerokość drzwi balkonowych pocił się. Cieńkie strużki potu spływały mu z karku i przesuwwały się leniwie wzdłuż kręgosłupa.

– O w mordę! – To miał być szept, lecz w pustym pokoju zabrzmiał wyjątkowo głośno, jakby odbił się echem od ścian.

W prawym dolnym rogu ekranu pulsowała zielona kropka oznaczająca wiadomość. Parol wiedział, o jaką wiadomość chodzi. Nikt inny nie napisałby do niego na specjalnym komunikatorze, którym posługiwali się zawodowi gracze. Kliknął myszką i wyświetlił treść. To był jego najlepszy zleceniodawca, płacił najwyższe stawki. Co prawda w dolarach australijskich, ale i tak był hojny. Wiadomość pochodziła sprzed czterech dni, była już trzecią próbą kontaktu w ostatnim tygodniu. Śledztwo pochłaniało cały czas wolny Parola, ostatnio nawet nie włączał w domu komputera. Wiedział, że na dłuższą metę takie postępowanie jest zabójcze. Straci głównych klientów i wtedy jego policyjna pensja na nic nie wystarczy. Szczególnie na narkotyki. Przecież musiał regularnie kupować woreczki z białym proszkiem od tego jełopa stylizującego się na czarnego gangstera z Bronksu.

Sięgnął po stojącą na blacie butelkę zimnego piwa i z lubością pociągnął łyk. Odpisał Australijczykowi, że jest chory, miał wypadek, połamał obie ręce i czeka właśnie w szpitalu na operację przeszczepu palca. Po czym dołożył do wiadomości



czytelny na całym świecie obrazek dłoni z wystawionym środkowym palcem. Nie chciał już grać. Na samą myśl o całonocnej grze chciało mu się rzygać. Na razie nie przejmował się pieniędzmi. Co ma być, to będzie. Może wreszcie się uwolni i zacznie nowe życie bez dilerów i strzykawek.

Otworzył prywatną skrzynkę i nagle znieruchomiał. Kliknął na pierwszą wiadomość i szybko przebiegł ją wzrokiem.

*Witam!*

*Dom wczasowy znajdujący się na zdjęciu, które mi pan przesłał kilka dni temu, to bez wątpienia Ośrodek Wypoczynkowy Wodnik. Budynek wybudowany został w 1968 roku przez KGHM dla pracowników. Pod koniec lat siedemdziesiątych ośrodek przeszedł na własność Funduszu Wczasów Pracowniczych. Po zmianie ustroju w 1989 roku próbowano go sprzedać prywatnym inwestorom, ale nie było chętnych. Budynek był zaniedbany i wymagał kapitalnego remontu. Kiedy wreszcie znalazł właściciela, podczas remontu ekipa budowlana zaproszyła ogień i doszczętnie spłonął. Obecnie w tym miejscu znajduje się hotel Wodnik.*

*Łeba, ulica Nadmorska 3.*

*Pozdrawiam*

*Aspirant Jacek Woźniak*

*Komenda Powiatowa Policji w Lęborku.*

Szawczak wolno sięgnął po piwo, ale zatrzymał się połowie ruchu. Do e-maila dołączone były stare fotografie w formacie jpg. Przejrzał je dokładnie, a później porównał ze zdjęciem, z którego patrzyły na niego cztery pary roześmianych męskich oczu i jedna kobieca. Nie miał wątpliwości. Budynek w tle wyglądał dokładnie tak samo jak ośrodek FWP w Łebie.

Bingo!

Podniecony już sięgał po telefon. Jednak niespodziewanie jego komórka odezwała się pierwsza, wypełniając ciszę panującą w pokoju wesołą melodyjką. Sprawdził na wyświetlaczu, kto dzwoni. Zakrzewski.

– Tak, słucham? – zdawał sobie sprawę, że odezwał się sucho i służbowo.

Zakrzewski najwyraźniej tego nie zauważył. Jego głos również brzmiał inaczej niż zwykle. Parol jeszcze nigdy go takiego nie słyszał. W jednej chwili zapomniał o korespondencji z wybrzeża.

– Musisz mi coś sprawdzić.

– Coś konkretnego?

– Tak... – Marcin jakby się wahał. – Nie mogę się dodzwonić do Rucińskiego. Pojedź do niego do domu i zobacz, co się dzieje.

Zdziwiony Parol przez chwilę się nie odzywał.

– Wytłumaczysz mi, o co chodzi? – zapytał ostrożnie.

W głosie Zakrzewskiego natychmiast pojawiły się nutki zniecierpliwienia.

– To nie jest na telefon. Później ci wszystko wyjaśnię. Zresztą może to nic ważnego.

Parol spojrział z żalem na otwartą butelkę piwa.

– No dobrze, pojedę.

– Dzięki – rzucił szybko komisarz, ale zamiast się rozłączyć, powiedział coś jeszcze. – Parol... weź broń i... bądź ostrożny.

– Posłuchaj, Marcin, dostałem maila... – zaczął, ale Zakrzewski już go nie słuchał.

– Nie teraz! Jutro mi o tym opowiesz.

Parol otwierał usta, żeby coś dodać, lecz w słuchawce rozległ się już sygnał przerwane połączenia. Zamyślił się i mimo wszystko wypił kilka łyków piwa.

Drzwi do jego pokoju uchyliły się bezszelestnie, kiedy jeszcze rozmawiał przez telefon. Kobieta wsunęła się do środka

i powoli zbliżała się do Szawczaka. Była boso i odgłos jej stąpania był skutecznie tłumiony przez dywan. Odwrócony plecami do drzwi Parol jej nie widział. Stała tuż za nim i położyła mu dłoń na ramieniu.

Dłoń była zimna i wilgotna. Jak dłoń trupa. Czując zimny dotyk na skórze, Parol wzdrygnął się, odwrócił gwałtownie i spojrzał prosto w wykrzywioną dziwnym grymasem twarz zombie.

\*

Zakrzewski pędził swoją hondą na zachód, w kierunku Pilczyc i Stadionu Miejskiego. Lawirował między jadącymi wolniej autami, przejeżdżał na żółtym świetle i wyprzedzał. Klął samego siebie. Zawsze starał się unikać takiej jazdy. Kiedy kupował sportowy motocykl, obiecał sobie, że nie zostanie honorowym dawcą nerek. Jednak tym razem nie miał innego wyjścia.

Chmura na zachodzie rosła i gęstniała z każdą minutą. Wydawało mu się, że jedzie jej na spotkanie.

Na skrzyżowaniu obok starej zajezdni tramwajowej skręcił w Kwiską, a później w prawo w Kłodnicką. Na osiedlowych drogach zredukował prędkość i starał się jechać zgodnie z przepisami. Wcześniej dyżurny na komendzie sprawdził, że Hanna Duciak mieszka Na Ostatnim Groszu.

Po chwili był na miejscu. Zaparkował na jedynym wolnym miejscu naprzeciw wejścia do budynku i zsiadł z motoru. Za jego plecami huczały silniki samochodów sunących obwodnicą śródmiejską. Rozejrzał się za bmw Hanny, ale w zasięgu wzroku nie widać było żadnego motocykla. Nie musiało to jednak o niczym świadczyć. Pewnie taką drogą maszynę parkowała w garażu.

Wyciągnął z kieszeni telefon i spojrzął na wyświetlacz. Dochodziła dwudziesta pięćdziesiąt. Jeszcze raz wybrał numer Hanny i po raz kolejny dowiedział się, że abonent ma wyłączony aparat lub znajduje się poza zasięgiem sieci. Marcin dużo by w tej chwili dał, żeby dowiedzieć się, gdzie dokładnie poza zasięgiem sieci przebywa Duciak. Jeszcze raz wybrał numer doktora Musiała. Tak samo bezskutecznie.

Podszedł do bramy i po chwili wahania nacisnął na domofonie przycisk z numerem sześć. Odczekał chwilę i ponownie nacisnął. Nikt się nie zgłosił. Nacisnął więc kilka przycisków na chybił trafił, rozległo się parę pytających głosów.

– Ulotki – powiedział.

Słysząc było trzask odkładanych słuchawek, ale któryś z bardziej życzliwych sąsiadów wpuścił go do środka. Poszedł schodami i na drugim piętrze stanął przed zwykłymi białymi drzwiami. Zapukał. Odgłos pukania rozszedł się echem po całej klatce, ale nikt nie otworzył. Bez przekonania nacisnął na klamkę. Zamknięte.

Zbiegł na dół. Zastanawiał się gorączkowo, co robić. Pierwsza przyszła mu na myśl Paulina Czerny i jej komplet wytrychów otwierających każde drzwi. Nieraz w przeszłości pokłócili się o te jej wytrychy. Nie miała cierpliwości i zawsze musiała wszystko sprawdzić wcześniej, jeszcze przed oficjalnym nakazem. Teraz, jak na ironię, to on nie miał zamiaru czekać. Musiał działać. Nie opuszczało go podskórne przeczucie, że stanie się coś złego.

Wybrał numer do Pauliny.

– Tylko odbierz – szepnął samymi ustami.

Zgłosiła się po czterech sygnałach.

– Jaka miła niespodzianka – powiedziała drwiąco zamiast powitania.

Nie miał ochoty na słowne gierki.

– Paulina, potrzebuję pilnie ciebie i zestawu twoich wytrychów – powiedział i podał jej adres.

– Co się dzieje? – od razu zmieniła ton.

– Coś odkryłem i mam bardzo złe przeczucia – rzucił. – To nie jest na telefon. Przyjeżdżaj.

Ktoś inny może by się zastanawiał, ale Paulina знаła go o wiele lepiej niż inni.

– Będę za kwadrans – obiecała.

W plecy dmuchnął mu nagle wiatr, niosąc ze sobą tuman kurzu. Nie przyniósł jednak orzeźwienia. Był gorący, jakby pochodził prosto z serca Sahary. Obejrzał się przez ramię. Nadciągała burza.

\*

Parol odetchnął głęboko.

– Mamo! Przestraszyłaś mnie.

Grymas na twarzy miał być pewnie uśmiechem. Nałóg zmienił go jednak w groteskowy skurcz mięśni. Od razu widać było, że jest na głodzie.

– Synku... – powiedziała cicho i chrapliwie.

Zacisnął szczęki w bezsilnej złości. W dzieciństwie nigdy go tak nie nazywała. Generalnie nigdy nie mówiła mu nic miłego, nie okazywała żadnych matczynych uczuć, nie przytuliła, nie pogłaskała po głowie. Teraz, kiedy potrzebowała kolejnej działki heroiny, mówiła do niego „synku”.

– Wróć do pokoju – powiedział chłodno. – Zaraz do ciebie przyjdę.

Posłusznie odwróciła się na pięcie i powłócząc nogami, poszła do drzwi. Wyglądała jak staruszka. A miała przecież dopiero czterdzieści sześć lat.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Parol podważył ostrożnie blat biurka i wyciągnął paczuszkę z białym proszkiem oraz

jednorazową strzykawkę. Ostatnią paczuszkę. Na razie na więcej nie miał pieniędzy.

Po raz kolejny trzymając w ręku heroinę, którą kupił dla matki, poczuł pokusę, żeby to skończyć tu i teraz. Złoty strzał. Ostatni odlot przed najpiękniejszą śmiercią, jaką może sobie wymarzyć ćpun. Mógłby jej przecież tylko trochę pomóc. Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Nie może tego zrobić. Nienawidząc siebie za swoją słabość, poszedł do pokoju matki.

Drżącymi rękami, bardzo delikatnie, wyjęła mu z dłoni torebkę i już dla niej nie istniał. Cały sprzęt niezbędny do wystrzyknięcia sobie działki miała na stoliku przy łóżku. Okopcona łyżeczka, zapalniczka, kawałek gumowego węża i waciki. Może jednak kiedyś zdecyduje się jej pomóc? Może to będzie gest miłosierdzia w stosunku do tej żalosnej istoty, którą była jego matka?

Ubrał się, założył kaburę na pasek od spodni, sprawdził broń, wziął kluczyki od golfa i wybiegł z domu. Na dole spojrzał w niebo na zbliżającą się od zachodu burzę i pomyślał, że deszcz nareszcie przyniesie trochę ulgi po wielodniowych upałach.

Michał Ruciński mieszkał w dziesięciopiętrowym bloku na osiedlu Przyjaźni. Parol dojechał tam w miarę szybko i nawet udało mu się znaleźć miejsce parkingowe kilka metrów od bramy.

Kiedy po raz trzeci naciskał przycisk domofonu i po raz trzeci nikt się nie zgłosił, przypomniał sobie słowa Zakrzewskiego, który kazał mu wziąć broń, i po raz pierwszy poważnie się zaniepokoił. Właściwie powinien zaniepokoić się już wcześniej. Zakrzewski nie dzwoniłby bez powodu. Musiało się zdarzyć coś złego, tylko on, zaprzątnięty swoimi problemami z matką, nie zwrócił na to uwagi.

Jeszcze raz sprawdził, czy na plecach pod koszulką tkwi broń, i wszedł do bramy razem z młodą kobietą, która otworzyła

właśnie drzwi kluczem i patrzyła na niego pytająco. Skinął jej głową odruchowo. Kobieta poszła do windy, a on zaczął wspinać się wolno po schodach, na każdym piętrze odczytując numery na drzwiach mieszkań.

Drzwi z numerem dwadzieścia osiem znalazł na szóstym piętrze. Już miał sięgnąć do dzwonka, kiedy nagle zdrętwiał. Drzwi były lekko uchylone. Wyszarpnął z kabury pistolet, odbezpieczył, odetchnął głęboko i wolną ręką pchnął drzwi. Otworzyły się bezgłośnie. Wszedł do środka i zaraz zatrzymał się w przedpokoju, nasłuchując.

W mieszkaniu panowały bezruch i cisza. Nie, coś szumiało. W pierwszej chwili ze zdenerwowania nie był w stanie skojarzyć, co to za dźwięk. Wreszcie do niego dotarło. Szum wody pod prysznicem. W łazience ktoś był i się kąpał. Może Michał brał prysznic i dlatego nie słyszał domofonu? Tylko dlaczego zostawił uchylone drzwi do mieszkania?

Szawczak przypomniał sobie nagle, jak niedawno wchodził do żółtego domu Stanisława Jarosza i zadrżał. Cholera! Myślał, że zdobędzie doświadczenie niezbędne do tego, żeby być dobrym gliną, tymczasem nabawił się traumy. Wspomnienie wypatroszonego owczarka niemieckiego wciąż nawiedzało go w snach. Może to dziwne, ale zwłoki Kurzaja przybite gwoździem do drzewa i martwy Jarosz upakowany w skrzyni nie zrobiły na nim takiego wrażenia jak widok zaszlachtowanego psa.

Odetchnął głęboko i ruszył przed siebie. Mieszkanie było puste. Przygotowane w kuchni składniki do pizzy sugerowały, że właściciel tylko na chwilę wyskoczył się ochłodzić. Parol uspokoił się trochę.

Stał przed drzwiami do łazienki. Woda nadal szumiała jednostajnie. Drzwi były niedomknięte. Pchnął je lufą pistoletu. Otworzyły się wolno. W kabynie prysznicowej, przez mleczną szybę, widać było ciemną postać klęczącą przy ścianie

w dziwnej pozycji. Parol poczuł przyspieszone bicie serca. Nikt nie bierze prysznic w ubraniu.

Odsunął szybę.

Ruciński klęczał na podłodze z rękami wyciągniętymi w górę. Na nadgarstkach miał kajdanki przykute do baterii prysznic. Drżał w strugach zimnej wody. Na głowie miał paskudnie wyglądającą ranę.

\*

Stali oparci o maskę starej toyoty. Paulina wyciągnęła papierosy, Marcin odruchowo wziął jednego i teraz palili w skupieniu.

– Godzinę temu byłem w zakładzie medycyny sądowej – opowiadał Zakrzewski. – Rozmawiałem z kobietą, która robiła badania DNA zmumifikowanej kobiecie z Siemieńskiego.

– W bazie danych nie było trafień.

– Teraz są.

– Nie rozumiem. – Popatrzyła na niego z rosnącym zainteresowaniem

Odruchowo poprawiła grzywkę spadającą jej na czoło gestem, który Marcin doskonale znał i lubił.

– Kilka dni temu doktor Musiał zlecił badania DNA próbki krwi od niejkiej Jadwigi Poznańskiej. Wyszło na to, że Poznańska jest córką kobiety z poddasza.

Paulina otworzyła szeroko oczy, ale się nie odezwała.

– Problem w tym, że prawdopodobnie ta Poznańska nie istnieje, a Musiał nie mógł zlecić badania, ponieważ jest na urlopie.

– To kto, do cholery... – zaczęła Paulina i zaraz zrozumiała.

Zakrzewski pokiwał głową.

– Nowa doktorantka w zakładzie medycyny sądowej. Hanna Duciak jest siostrzenicą Musiała i tylko ona mogła się pod niego



podszyc, żeby zlecić badania. Prawdopodobnie zbadała swoją krew, by potwierdzić, że to jest na pewno jej matka. Powinienem wcześniej na to wpaść. Cały czas wydawało mi się, że kobieta z portretu komputerowego jest do kogoś podobna. Oczywiście do Duciak.

– Masz rację, wyglądają jak siostry.

– Jak matka i córka – poprawił ją Marcin. – Z tego ułożyła mi się ciekawa historia, tylko muszę ją zweryfikować.

– Chyba wiem jaka, ale mów. Zobaczmy, jak to brzmi.

– Hanna Duciak opowiadała mi, że wychowywała się bez matki, która prowadziła bardzo rozrywkowe życie. Do końca sama nie wiedziała, kto jest ojcem dziecka, kiedy zaszła w ciążę. Z perspektywy czasu myślę, że Hanna ma wielką traumę z tym związaną. Tym bardziej że jej matka zaginęła. Chodziły słuchy, że wyjechała z jakimś bogatym obcokrajowcem na Zachód.

– Jasna cholera! – Paulina ze złością zgasiła papierosa.

Za ich plecami rozległ się złowrogi pomruk zbliżającej się burzy.

– Hanna musiała przeczytać książkę Rudnickiego i zrozumieć, że tak naprawdę opowiada historię romansu i śmierci jej matki. Skontaktowała się więc z pisarzem. On pewnie jej wszystko wyznał. Pokazał jej zmumifikowane zwłoki na poddaszu. Usłyszała też od Rudnickiego, kto jeszcze był kochankiem jej matki i jej potencjalnym ojcem. Tylko że wcale nie chciała go poznać. Pragnęła zemścić się za śmierć matki i dzieciństwo bez rodziców. Zabiła więc pisarza, a potem ułożyła plan wyeliminowania pozostałych mężczyzn ze zdjęcia. Bardzo efektowny i skuteczny plan. Nigdy nie braliśmy takiego wątku pod uwagę.

– I pewnie nigdy byśmy nie wzięli. – Paulina pokiwała głową.

– Nie rozumiem tylko, po co zleciła badania swojej krwi w zakładzie medycyny sądowej.

– To proste. Nagle opadły ją wątpliwości i zaryzykowała.

– Możliwe. – Marcin potarł w zamyśleniu czoło. – W sumie ryzyko nie było wielkie. Policja dostała przecież informację, że w bazie kodów DNA niczego nie znaleziono. To, że ktoś jeszcze raz sprawdził dane, było czystym przypadkiem.

– To nie jest dowód – wpadła mu w słowo Paulina.

– Do wykonania swojego planu potrzebowała współników. Nie wiem, skąd знаła Magdę Szumilas i Patryka Tularza, ale najprawdopodobniej oni jej pomagali. Po wszystkim usunęła ich jako niepotrzebnych świadków. Genialny plan. Prawie doskonały.

Spojrzał na nią z góry.

– I jak brzmi taka historia?

– Niepokojąco prawdopodobnie. Nareszcie mamy motyw. Piekielnie wyrazisty motyw.

– Tylko nie mamy dowodów – dokończył. – Nie mogę się skontaktować z Hanną Duciak, najprawdopodobniej nie ma jej w domu. Musiał też nie odpowiada. Szawczaka wysłałem do Rucińskiego, który też nie odbiera telefonu.

– Do Rucińskiego? Po co?

– Ona ostatnio się z nim spotykała.

– Z nim? – Paulina nie potrafiła ukryć zdziwienia. – Jesteś pewien?

– Widziałem ich razem w knajpie w powiedzmy... bardzo zażyłej sytuacji.

Grzmoty za ich plecami przybierały na sile. Zrobiło się jakby ciemniej. Kolory świata jeszcze bardziej przesunęły się w kierunku czerwieni. Nagle popatrzył na nią uważnie.

– Ona najpierw próbowała umawiać się ze mną.

– Kobiety zawsze do ciebie lgną – uśmiechnęła się krzywo.

– Bądź poważna. Wiesz, Hanna zapytała, czy powiem jej, jeśli pojawią się jakieś podejrzenia co do tego, kto zabił zmumifikowaną kobietę. Jej matkę. Odmówiłem.

– Po co jej to było? To się nie trzyma kupy.

- Ta historia ma jeszcze wiele białych plam.
- Popatrzeli na siebie porozumiewawczo.
- Wchodzimy – powiedziała Paulina Czerny.

\*

Drugie kluczyki do kajdanek znalazł w szufladzie biurka. Rozkuł Rucińskiego i wyciągnął go spod prysznic. Michał leżał na kafelkach łazienki, dygotał z zimna i nie mógł wykrztusić słowa. Był wychłodzony, lodowata woda lała się na niego dobrych kilkanaście minut.

Parol rozejrzał się gorączkowo za jakimś ręcznikiem, ale to nie pomogło. Wreszcie wpadł na prostsze rozwiązanie. Z powrotem wrzucił go pod prysznic i tym razem puścił ciepłą wodę. Już po kilku chwilach kolega przestał dygotać, a jego myśli wróciły na właściwe tory.

- Miała przyjść na pizzę... – wykrztusił.
- Szawczak nadstawił uszu.
- Co tam mruczysz pod nosem? – zapytał zniecierpliwiony.
- Umówiliśmy się na pizzę i wino.
- Cholera, ale z kim? Kto ci to zrobił?
- Zabrała mój pistolet.
- Parol nachylił się i potrząsnął nim.
- Człowieku, kto?
- Hanna Duciak.

\*

Szawczak zatelefonował, kiedy stali przed drzwiami do mieszkania Hanny. Zakrzewski odebrał od razu. Słuchał chwilę, po czym rzucił tylko:

– Zadzwoń po naszą ekipę i po karetkę, Niech zajmą się Rucińskim. Potem czekaj na mój telefon. Cześć!

Patrzył na Paulinę, a jego oczy błyszczały nienaturalnie.

– Mamy pierwszy dowód – powiedział z triumfem w głosie. – Hanna napadła na Rucińskiego w jego mieszkaniu i zabrała mu służbową broń.

– Tylko po co?

– Na razie nie wiem. Może jeszcze nie zakończyła swojej zemsty?

– Kto jest następny?

Podrapał się po policzku z roztargnieniem.

– Cholera wie! Szawczak postawił na nogi policję. Organizują obławę i rozsyłają jej dane. Już nam nie ucieknie.

– Jesteś tego pewien?

Nie odpowiedział, tylko wskazał głową drzwi. Standardowy zamek otworzyła bez większych problemów. Marcin wszedł pierwszy z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Paulina została z tyłu i ubezpieczała go. Po chwili obszedł całe mieszkanie. Nikogo nie było.

– Czego szukamy? – zapytała.

– Czegokolwiek. – Wzruszył ramionami.

Po kwadransie przeszukiwania nie znaleźli ani śladu tego czegokolwiek. *Anatomia miłości* Rudnickiego stała na półce i wyglądała na nieczytaną, na lustrze w łazience wisiała kolorowa rekonstrukcja twarzy kobiety z Siemieńskiego.

Stanęli w dużym pokoju, patrząc na siebie niepewnie.

– Niczego tu nie ma – powiedział Marcin.

– Nie musi być. Ona doskonale się maskuje i zaciera za sobą ślady. W mieszkaniu nie trzyma niczego podejrzanego.

Paulina chwyciła go za ramię i przyciągnęła do siebie. Byli tak blisko, że czuł zapach jej perfum.

– Po co napadła na Rucińskiego w jego mieszkaniu? Przecież w ten sposób się zdekonspirowała.

- Potrzebowała broni.
  - Po co?
  - Ostatnie morderstwo – mówił, patrząc jej w oczy. – To będzie koniec zemsty. Już jej nie zależy na ukrywaniu się.
  - Sensowne. Tylko kogo chce zabić?
- Marcin zeszywniał. Uwolnił się z jej uścisku i popatrzył zamyślony w okno. Burzowa chmura przykryła już całe niebo. Pociemniało. W dole widać było, jak porywy wiatru szarpia drzewami rosnącymi wzdłuż parkingu przed blokiem.
- Kogo? – Paulina popatrzyła na niego niepewnie.
  - Maria Wolska.
  - Chce zabić Wolską?
  - Wtedy, kiedy się spotkaliśmy, Hanna zapytała mnie, czy powiem jej, kogo podejrzewamy o morderstwa. Odpowiedziałem jej, że śledztwo objęte jest tajemnicą. Wtedy zaczęła spotykać się z Rucińskim. On był...
  - Łatwiejszy do urobienia? Bardzo możliwe. Tylko po co chce zabijać Wolską? – Paulina poprawiła grzywkę.
  - Zagroziła Rucińskiemu bronią, a on pewnie powiedział, że podejrzewamy Wolską. Kilka razy mi powtarzał, że według niego to Wolska.
  - Chyba trzyma się kupy.
  - Obserwujecie jej dom?
- Paulina pokiwała głową i już do kogoś telefonowała.  
Marcin zbiegł po schodach do swojego motocykla.

\*

Starszy posterunkowy Paweł Gajek przeglądał profil swojej dziewczyny na Facebooku. Kinga wrzuciła akurat kilka zdjęć z Kołobrzegu, gdzie mieszkali jej rodzice. Gajek miał jechać z nią, ale praca w policji jak zwykle pokrzyżowała im plany. Miał dojechać do niej, kiedy tylko skończy dodatkowe dyżury.

Był najmłodszy w wydziale i oczywiście zawsze jemu wyznaczano najpodlejsze zadania, tak jak tym razem. Miał obserwować dom na Zalesiu. Nie znał szczegółów akcji, ale podobno mieszkał tu bardzo ważny świadek. Jak dotąd nie widział na własne oczy tego „ważnego świadka”. Obserwował tylko od czasu do czasu starszą kobietę plewiącą chwasty w ogródku i regularnie podlewającą kwiaty na rabatkach wokół domu.

Nieoznakowaną, przechodzoną bravę zaparkował kilkanaście metrów od bramy wjazdowej na posesję, po drugiej stronie ulicy, między krzakami leszczyny. Miał stąd bardzo dobry widok na dom, sam pozostając praktycznie niezauważonym.

Błysnęło, zagrzmiało i przez środek ulicy przemknął tuman kurzu gnany porywistym wiatrem. Zbliżała się burza. Wyglądało na to, że tym razem nareszcie spadnie deszcz. Jakoś tak dziwnie pociemniało, w powietrzu coś wisiało. Coś niedobrego. Jakby zapowiedź nadchodzącej katastrofy.

Podskoczył na dźwięk silnika motocykla, który przemknął koło jego samochodu i wyhamował gwałtownie przed skrzyżowaniem. Tylne światło sygnalizujące manewr hamowania świeciło wyjątkową czerwienią. Motocyklista skręcił w lewo, w uliczkę biegnącą za obserwowanym przez Gajka domem, i odjechał.

Gdyby Gajek włączył radio i nasłuchiwał komunikatów, wiedziałyby, co dzieje się na mieście. Na ulice wyjechały dodatkowe patrole, każdy z policjantów dostał MMS ze zdjęciem poszukiwanej Hanny Duciak. Pewnie zaniepokoiłaby go wiadomość, że kobieta ma broń, jest poszukiwana za zabójstwo i napad na policjanta. Ale młody policjant specjalnie nie włączał radia. Było stare i teraz, przed burzą, wydawało z siebie potępieńcze szумы i trzaski. Mogło tylko zwrócić na niego uwagę przechodniów. A on miał zostać niewidzialny.

Podziwiał akurat Kingę w bikini na plaży, kiedy odezwał się jego telefon. Dzwonił dyżurny.

– Jesteś tam, zero trzy?

– Zgłaszam się – powiedział Gajek beznamiętnie.

– Zachowaj ostrożność. Trwa obława na podejrzanego o napad na policjanta. Podejrzany może być uzbrojony. Wysłałem ci kogoś ze wsparciem.

– Zrozumiałem.

Rozłączył się i zamyślony popatrzył na mały szary domek przy spokojnej ulicy. Co tu się może stać?

Znowu błysnęło i zaraz bardzo blisko rozległ się złowrogi grzmot. Równocześnie ktoś zastukał w dach auta po stronie kierowcy. Drgnął przestraszony. Pewnie zapowiadane przez dyżurnego wsparcie.

– Zwariowałaś? – jęknął. – Chcesz, żebym zawału dostał?

Wsiadł z samochodu. Wiatr przyjemnie schłodził mu spocone plecy, do których przylepiła się koszulka.

Obrzucił kobietę szybkim spojrzeniem. Pierwszy raz ją widział, ale nie miał dużego stażu w wojewódzkiej i jeszcze nie wszystkich kojarzył. Chociaż ją powinien zapamiętać. Była bardzo ładna, miała ciemne włosy spięte w koński ogon, pod ciemnym T-shirtem wyraźnie widać było wzgórki piersi, obcisłe spodnie idealnie podkreślały kształty.

– Szybko przyjechałaś – powiedział. – Co tam się dzieje na mieście?

Wzruszyła ramionami.

Znowu błysnęło i po okolicy przetoczył się bliski grzmot. Gajek odruchowo zerknął w niebo, a kiedy opuścił wzrok, spojrzął prosto w lufę wycelowanego między jego oczy walthera. To było jak błysk, nie zdążył się przestraszyć.

– Cholera, odbiło ci?

Kopnięcie w krocze pozbawiło go oddechu. Dla faceta taki ból jest cholernie nieprzyjemny. Na początku niewielki, potem

narastał i narastał, powodując mdłości i zakłócając widzenie. Gajek zwijał się na chodniku przy swoim aucie. Dostał jeszcze kopniaka w twarz i zalał się krwią. Kobieta sprawnym ruchem wykręciła mu dłonie na plecach i spięła kajdankami, zalepiła usta taśmą, a następnie zapakowała policjanta do bagażnika jego własnego samochodu.

\*

Maria Wolska z troską wyjrzała przez okno. Wcześniej upał wysuszył część kwiatów w ogrodzie, ale burza też stanowiła zagrożenie.

Dzwonek do drzwi kompletnie ją zaskoczył. Kto mógł przyjść o tej porze? Nie widziała, żeby ktoś szedł ścieżką od bramy. Pomyślała, że to pewnie znowu policja, i poczuła niepokój. A jeśli chcą ją aresztować? Na przesłuchaniach widać było, że jej nie wierzą. A ona przecież była niewinna.

W drzwiach stała kobieta w wieku około trzydziestu lat. Długie czarne włosy spięła w koński ogon. Wyglądała znajomo. Niepokojąco znajomo. Jak upiór powracający z dalekiej przeszłości. Wolska mimowolnie cofnęła się o krok.

– Kim pani jest? – spytała przestraszona.

Kobieta jednym skokiem znalazła się przy niej, chwyciła ją za rękę, a potem wykręciła boleśnie do tyłu. Wolska krzyknęła z bólu i przerażenia. Napastniczka była czymś gorszym niż upiór. One nie zadają bólu. Młoda kobieta poprowadziła ją do pokoju, a potem pchnęła na łóżko. Wolska upadła bezwładnie twarzą w pościel przy fleszu błyskawicy za oknem i muzyce piekielnych bębnow. Z trudem obróciła się na plecy i usiadła, ciężko dysząc. Sparaliżował ją strach.

Nieznajoma stała nieruchomo w progu, ściskając w dłoni odbezpieczony pistolet. Wolska zamarła z wybałuszonymi oczami.



– Nie wiesz, kim jestem? – odezwała się nagle kobieta. Miała spokojny, pewny głos. – Na imię mam Hanna. Jestem do niej bardzo podobna, prawda?

– Czego chcesz? – zapytała słabo Wolska. Jej twarz zrobiła się nagle biała jak papier.

– Zemsty. Sprawiedliwości. Nazwij to, jak chcesz. Ale najpierw prawdy. Dlaczego ją zabiłaś?

Stara kobieta pokręciła gwałtownie głową.

– To nie ja! – krzyknęła. – Ja jej nie zabiłam!

Hanna Duciak podniosła broń i położyła palec na spuście. Błysnęło, zagrzmiało, w okna uderzył gwałtowny podmuch wiatru.

Wolska trzęsła się jak galareta.

– To nie ja! Naprawdę... Uwierz!

Potem ukryła głowę w dłoniach i z jej ust wydobył się krzyk rozpacz.

– NIEEEEEEEE!!!

Palec na spuście drgnął na moment, jakby się zawahał.

Sekundę później między odgłosy nadchodzącej burzy wdarł się huk trzech następujących po sobie wystrzałów.

\*

Tym razem nie miał wyboru. Gnał ulicami miasta, łamiąc wszystkie przepisy drogowe. Silnik hondy był na najwyższych obrotach. Niepokój przerodził się w strach i popychał Zakrzewskiego na granicę szaleństwa. Czuł, że za chwilę może zdarzyć się coś strasznego, nieodwracalnego i zarazem... niepotrzebnego.

Do cholery, przecież prawda była zupełnie inna! Dlaczego dopiero teraz to zauważył? Śledztwo wyjątkowo mu nie szło. Nie potrafił myśleć logicznie, nie poskładał w całość oczywistych faktów. Był na siebie wściekły.

Na całe gardło wykrzyczał cały stek najgorszych przekleństw. Zniknęły w huku silnika, szumie samochodów na ulicach i odgłosach nadchodzącej burzy.

Naciskając na klakson, przejechał na czerwonym świetle pod estakadą na placu Społecznym i wpadł na most Grunwaldzki. Tu ruch był zawsze spory. Musiał przyhamować gwałtownie, kiedy zauważył, że nie zmieści się między dwoma jadącymi przed nim autami. Zarzuciło mu tylnym kołem, ale zaraz dodał gazu i odzyskał przyczepność. Przednie koło podskoczyło na krawężniku, kiedy wjeżdżał na chodnik. Kilka metrów od miejsca, gdzie niedawno morderca wyrzucił śmiertelnie ранego Rudnickiego z ciężarowego busa. Teraz nawet o tym nie pomyślał. Gdzieś z tyłu, pośród dudnienia grzmotów, słyszał policyjne syreny.

Nagle wpadła mu do głowy jeszcze jedna myśl. Czy sprawca na pewno chciał wrobić Wolską? Sreparował bardzo efektowną szopkę z niedopałkami papierosów, ale łatwą do zdemaskowania. A może starsza kobieta wie coś, czego dotąd nie powiedziała? Sprawca celowo naprowadził policję na Marię Wolską. Kolejna odsłona przedstawienia iluzjonisty.

Za rondem Reagana znowu wjechał na jezdnię i jeszcze przyspieszył.

\*

Aspirant Szawczak wbiegał na drugie piętro po dwa schodki. O tej porze w komendzie zawsze było prawie pusto. Zresztą, nawet jeśli ktoś był, teraz pojechał na akcję do miasta. On uznał, że nic się nie stanie, jeśli zajmie się czymś innym. E-mailem z komendy w Lęborku.

Zapalił lampkę na biurku i włączył komputer. Z niecierpliwością stukał palcami w klawiaturę, czekając, aż stary grat się uruchomi. Był przyzwyczajony do innego sprzętu.

W domu miał najnowocześniejszego peceta, którego i tak musiał modernizować średnio co pół roku. Wreszcie na ekranie zabłysło logo Komendy Wojewódzkiej i mógł wpisać hasła do wewnętrznej sieci. Teoretycznie nikt z zewnątrz nie mógł się do niej dostać, jednak Parol znał osobiście co najmniej kilku hakerów, którzy mogliby tego dokonać w dość krótkim czasie. Wszyscy jednak mieli na tyle rozumu w głowie, żeby nie zadzierać z policją.

Szybko wszedł do bazy spraw niewyjaśnionych, a potem w wyszukiwarce wpisywał coraz to nowe filtry zawężające liczbę potencjalnych trafień. Sprawa: niewyjaśnione morderstwa, okręg: zachodniopomorskie, lata: 1980–1985. Enter.

Wiedział, że będzie co najmniej jedno trafienie. Kilka dni wcześniej na chybił trafił przeszukiwał bazę i kątem oka zobaczył takie akta, tylko wtedy skupił się na czymś innym.

Kółko oznaczające proces przeszukiwania bazy kręciło się wolno, wreszcie na ekranie wyświetliła się lista. Dwadzieścia trzy pozycje. Wpisał słowa klucze: pobicie, powieszenie, sznur.

Na ekranie została jedna pozycja. Lokalizacja: Nowęcín, ulica Sportowa, nad jeziorem Sarbsko.

Odchylił się w fotelu z ulgą. Bingo! Nowęcín – miejscowość położona obok Łeby.

– Cholerny Zakrzewski – mruknął z podziwem.

Prawdziwy policyjny pies tropiący. Nawet gdy nikt nic nie znalazł, jemu coś nie daje spokoju, wraca na miejsce zbrodni i znajduje ślady po linie na gałęzi drzewa. Instynkt czy szczęście? Nieważne. Parol już wiedział, że chciałby mieć albo jedno, albo drugie. Po to, żeby mieć takiego nosa jak Zakrzewski.

Kliknął dwa razy myszką, otwierając plik z zeskanowanymi aktami sprawy i czarno-białymi zdjęciami z miejsca zbrodni. Przeglądał je jedno po drugim i nagle zamarł.

Przeczytał policyjne raporty, z trudem panując nad podnieceniem. Wiedział, że w tej chwili ma na policzkach te cholerne czerwone plamy, lecz nie dbał o to. W tym momencie i tak nikt go nie widzi.

Przesunął myszką w dół.

To była tylko połowa akt sprawy i połowa zdjęć. Była jeszcze druga ofiara zbrodni, znaleziona kilkanaście metrów dalej, nad samym brzegiem jeziora.

Szawczak przeczytał raport z sekcji zwłok i miał już pewność, że właśnie trafił szóstkę w totalotka.

\*

Na początku ulicy Wieniawskiego Zakrzewski wrzucił luz, puścił gaz i jadąc środkiem ulicy, z wolna wytracał prędkość. Zatrzymał się na Paderewskiego, kiedy burza była już prawie nad jego głową. Zsiadł z motoru, zdjął kask i rozejrzał się uważnie wokoło. Nikogo w zasięgu wzroku. Tylko zaparkowane po obu stronach samochody i gdzieś tam zapalone światła w mieszkaniach. Chmura zakrywająca niebo sprawiła, że tego dnia mrok wcześniej obejmował władzę nad miastem. Ludzie schowali się przed deszczem.

Cholera, gdzie ta ochrona? Nie zauważył żadnego policyjnego auta. Nawet jeśli funkcjonariusze siedzieli w nieoznakowanym samochodzie, na jego widok nie wystawili nosa na zewnątrz. Zaklął brzydko i nagle aż podskoczył do góry.

Przez szum liści na gałęziach drzew przebił się donośny odgłos trzech wystrzałów z pistoletu.

Marcin odruchowo przykucnął za motocyklem, wyszarpując swojego walthera z kabury na pasku spodni. Niech to szlag! Przyjechał za późno! Jeszcze raz rozejrzał się wokoło, szukając wsparcia. Gdzie, do kurwy nędzy, są gliniarze pilnujący domu?! Przecież na pewno słyszeli strzały.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, przeskoczył ogrodzenie z siatki i przygarbiony, z pistoletem w obu dłoniach, pobiegł środkiem trawnika w kierunku wejścia. Ostrożnie wślizgnął się do środka. Uderzyło go w twarz gorące, lekko zatęchłe powietrze przesycone zapachem starości. Przynajmniej takie miał skojarzenie. Był wściekły. Najwyraźniej nie zdążył. Hanna Duciak już tu była i sądząc po wystrzałach, wpackowała w Marię Wolską co najmniej trzy kule.

Pogrążonym w półmroku korytarzem ruszył w kierunku pierwszych otwartych drzwi po lewej stronie. Przykucnął i ostrożnie zajrzał do środka. Pusto.

Zatrzymał się, nasłuchując. W środku panowała nienaturalna cisza. Już chciał iść dalej, kiedy jego uszy wychwyciły jakiś dźwięk. Czy to był cichy płacz? Hanna musiała wciąż przebywać w środku. Czy to ona płacze? Czy czekała na niego przy drzwiach do następnego pokoju, z odbezpieczonym pistoletem Rucińskiego?

Wziął się w garść. Przesunął się dwa kroki do przodu i ostrożnie zajrzał do pokoju po prawej. To stąd dochodził płacz. Opuścił broń i podbiegł do postaci siedzącej na łóżku.

– Nic pani nie jest? – zapytał cicho.

Ciałem Wolskiej wstrząsnął kolejny spazm. Twarz miała poszarzałą, oczy zapadły się jakby głębiej w czaszkę, starcze worki pod oczami posiniały. Zakrzewski obejrzał ją dokładnie.

– Nic pani nie jest?

Znowu brak reakcji.

Potrząsnął Wolską lekko za ramiona. Była w szoku, nie zareagowała. Rozejrzał się po pokoju i nagle jego wzrok zatrzymał się na trzech wyraźnych śladach po pociskach na ścianie.

– Czy jest tu drugie wyjście?

Odpowiedzią było machinalne spojrzenie za jego plecy.

Zostawił ją i poszedł w tamtą stronę. Przeszedł przez kuchnię i wyszedł na taras z tyłu domu. Wąska, wyłożona płytkami ścieżka prowadziła do furtki porośniętej bluszczem. Po chwili był już na ulicy.

Wtedy ją zobaczył. Stała do niego tyłem, ze zwieszonymi ramionami, oparta czołem o drzewo rosnące przy chodniku. Obok stał motocykl. Z dala dobiegły go odgłosy policyjnych syren.

– Hanna? – powiedział.

Jego głos zginął w huku grzmotu, ale usłyszała. Odwróciła się do niego i stanęła w pozycji do strzału, celując w jego głowę. Była szybka jak mgnienie oka.

– Ani kroku! – warknęła.

Syreny policyjne zbliżały się nieubłaganie.

Uniósł ręce do góry. Musiała zobaczyć, że kciukiem prawej dłoni zabezpiecza trzymany pistolet.

– Hanno, odłóż broń, proszę – poprosił spokojnie. – Zanim będzie za późno.

– Już jest za późno! – To był krzyk osoby z trudem panującej nad emocjami.

– Nie jest za późno! – Podniósł odrobinę głos, żeby przekrzyczeć burzę.

Deszcz jeszcze nie padał, chociaż wiatr niósł ze sobą drobinki wilgoci.

– Nie stało się jeszcze nic nieodwracalnego. Chcę z tobą tylko porozmawiać. Zobacz, odkładam swój pistolet.

Schylił się wolno i położył broń na ziemi. Hanna nawet nie drgnęła. Policyjne auto było już bardzo blisko, zaledwie ulicę dalej. Kobieta spojrzała w kierunku, skąd dobiegał odgłos, po czym ponownie popatrzyła na Marcina i strzeliła.

Druga ofiara. Parol uważnie czytał akta sprawy. Mężczyzna, dwadzieścia cztery lata, mieszkaniec Łeby, zginął od trzech uderzeń w tył głowy. Następstwem były strzaskanie kości potylicy, krwiak na mózgu i w konsekwencji natychmiastowa śmierć. Nie znaleziono narzędzia zbrodni. Mógł to być młotek, kij bejsbolowy, metalowa rurka lub podobne narzędzie. Najciekawsze było jednak, co stało się potem. Ofiara została zaciągnięta kilka metrów dalej i włożona do starej łódki stojącej na piasku na brzegu jeziora. Później sprawca lub sprawcy skakali po plecach denata. Doszło do złamania żeber, pęknięcia na odcinku piersiowym kręgosłupa oraz licznych obrażeń wewnętrznych.

Parol długo oglądał czarno-białe fotografie. Nie miał już żadnych wątpliwości.

\*

Pocisk ze świstem odbił się rykoszetem od metalowego słupka ogrodzenia. Zanim Marcin zdążył zareagować, Hanna Duciak dosiadła swojego motocykla. Silnik zaryczał na wysokich obrotach i maszyna wystrzeliła do przodu, gwałtownie nabierając prędkości. Wtedy z bocznej ulicy wyjechał nieoznakowany policyjny samochód i zatrzymał się z piskiem opon, tarasując drogę.

Wydawało się, że motocykl uderzy w bok radiowozu. Wtedy jednak jadąca motorem kobieta wykonała prawie niemożliwy manewr. Gwałtownie nacisnęła na hamulce, tylne koło straciło na chwilę przyczepność i maszyna stanęła bokiem. Silnik znowu zawył na wysokich obrotach, koła odzyskały przyczepność i motocykl o milimetry minął przód auta. Hanna przejechała przez trawnik, z trudem zmieściła się między rosnącymi tam dwoma drzewami, po czym wyjechała na asfalt

i następne kilkadziesiąt metrów przejechała na tylnym kole, nabierając błyskawicznie prędkości.

Marcin podniósł pistolet i już biegł w kierunku swojej hondy zaparkowanej za rogiem budynku. Kiedy przebiegał obok auta, drzwi się otworzyły i wyrzała blada Paulina Czerny.

– Co to było?! – krzyknęła.

– Nie teraz! – odkrzyknął, nie oglądając się za siebie.

– Co z Wolską?!

– Żyje!

Marcin zniknął za rogiem budynku. Paulina wysiadła z samochodu. Po chwili zobaczyła, jak Marcin rusza w ślad za motocyklem Duciak. Po sekundzie słysząc już było złowrogi łomot dochodzący z chmur nad jej głową. Jakby dwóch olbrzymów grało w kręgle.

Paulina stała przez moment niezdecydowana. Kiedy miała już sięgnąć do policyjnego radia, wśród odgłosów burzy usłyszała jeszcze inny dźwięk. Dochodził z bagażnika fiata bravy zaparkowanego za kępą krzaków. Ktoś najwidoczniej chciał się wydostać na zewnątrz.

\*

Marcin ruszył za Hanną w kierunku Kochanowskiego. Na szczęście w bocznych uliczkach Zalesia nie było o tej porze ruchu. Gnał na granicy bezpieczeństwa, ścinając zakręty. Raz poczuł uślizg tylnego koła na asfalcie zmoczonym pierwszymi kroplami deszczu. Zwolnił, ale zaraz znowu przyspieszył.

Przez jego głowę przelatywały dziesiątki myśli i odczuć. Przede wszystkim wątpliwości. Czy na pewno ścigać Hannę? Zdawał sobie sprawę, że dwa goniące się po mieście motocykle stanowią zagrożenie dla innych uczestników ruchu. Pał szesć, że zrobią sobie krzywdę. Mogą przecież zabić zupełnie przypadkowe osoby. A jeśli Hanna i tak nie odpuści? Była



uzbrojona i nawet jeśli dotąd nikogo nie zabiła, może to zrobić w każdej chwili. Szaleństwa nie da się zracjonalizować. Zdecydował się w jednej sekundzie. Musi ją dogonić.

Zobaczył ją. Jej bmw stało karnie na czerwonym świetle do skrętu w prawo. Klnąc, odjął gazu. Albo zobaczyła go we wstecznym lusterku, albo usłyszała odgłos silnika i domyśliła się, że to on. Bmw wystrzeliło nagle do przodu i na czerwonym świetle wjechało na skrzyżowanie. Ułamek sekundy później powietrze rozdarł przeraźliwy pisk opon. Wielka ciężarówka sunęła przez środek z zablokowanymi kołami, w chmurze niebieskiego dymu z palonych opon. Hanna prześlizgnęła się tuż przed jej maską. Marcin, nie zastanawiając się, też dodał gazu. Ciężarówka zatrzymała się, blokując całe skrzyżowanie. Musiał przejechać przez pas zieleni oddzielający jezdnie i dopiero wtedy przyspieszył.

Motor Hanny był mocniejszy, ale w warunkach miejskich nie miało to wielkiego znaczenia. Bardziej liczyła się technika jazdy.

Widział ją kilkadziesiąt metrów z przodu. A właściwie jej tylne światła. Było już zupełnie ciemno, rozbłysły uliczne latarnie. Chociaż dawno powinno już padać, jak na razie tylko porywisty wiatr niósł ze sobą krople deszczu. Jakby nawałnica na coś czekała. Na coś specjalnego. Główną atrakcję wieczoru.

Na rondzie Reagana Hanna wykonała manewr, którego Marcin się nie spodziewał. Nie zwalniając, pojechała prosto. Przejechała przez przystanki autobusowe i tramwajowe. Nieliczne osoby rozbiegły się z krzykiem na wszystkie strony. Starsza kobieta z parasolką upadła na tory tramwajowe.

Niech to szlag!

Zakrzewski ruszył za Hanną, naciskając klakson. Przed mostem Grunwaldzkim prawie ją dogonił, ale znowu zrobiła coś szalonego. Przyhamowała, aż zarzuciło jej tylne koło, i skręciła w prawo na bulwar. Gnali alejkami wzdłuż koryta

Odry, lawirując między krawężnikami chodników, ławkami, pokonując schody w dół lub w górę. Marcin zostawał w tyle. Prowadziła motocykl o wiele lepiej od niego. Zaraz jednak bulwar się kończył. Po schodach wyjechała w górę, na ulicę przy moście Pokoju.

Hanna skręciła w prawo i pojechała w kierunku placu Dominikańskiego, potem dołem pod skrzyżowaniem na ulicę Kazimierza Wielkiego. Na przejściu dla pieszych przy ulicy Świdnickiej kilka osób rozpięchło się z krzykiem przed pędzącym motocyklem. Marcin jechał kilka metrów z tyłu.

Kiedy przejechała na pełnym pędzie skrzyżowanie z Krupniczą w kierunku Grabiszyńskiej, domyślił się, dokąd jedzie. W miejsce, które lubiła, w którym czuła się bezpiecznie, gdzie przyjeżdżała, żeby zebrać myśli, nabrać dystansu do życia, podjąć trudne decyzje.

Kiedy mijał dawną zajezdnię autobusową, uderzyły w niego wyjątkowo mocne podmuchy wiatru. Aż zakołysało motorem, z trudem utrzymał równowagę. Widział, że w samochodach jadących przed nim nagle zapalają się światła stop. Wszystkie zwalniały. On też odruchowo zwolnił. Podobnie jak jadąca daleko przed nim Hanna. Czerwone światło z tyłu jej motocykla też rozjarzyło się, kiedy wcisnęła hamulec. Podświadomie czuł, że wokoło coś jest nie tak. Porywisty wiatr szarpał drzewami rosnącymi wzdłuż drogi, prawie przyginając je do ziemi.

I nagle to zobaczył.

Na wprost nich z zachodu sunęła biała ściana burzy. W pierwszej chwili Marcinowi wydało się, że ściana stoi w miejscu, tylko on pędzi w jej kierunku, lecz szybko zrozumiał swój błąd. On wytracił już prędkość. To czoło nawałnicy mknęło w jego kierunku, pożerając wszystko, co napotykało na swojej drodze. Samochody, budynki, sygnalizację na skrzyżowaniach, drzewa.

Marcin widział motocykl Hanny wjeżdżający w chmurę. Wtedy stało się coś dziwnego. Zobaczył, jak czerwone światło stopu zatańczyło niespokojnie, potem przywarło do ziemi i sunęło kilkanaście merów, obracając się wokoło. Wydawało mu się, że dostrzegł sylwetkę kobiety, która spadła z motoru, przekoziółkowała po asfalcie i zatrzymała się na trawniku na poboczu.

Zanim zdążył zareagować i on zderzył się z czołem burzy.

Miał wrażenie, że wpadł na betonową ścianę. Stracił oddech, przestał cokolwiek widzieć. Nie miał takiej mocy, żeby utrzymać się na motorze. Coś z niezwykłą siłą wyrwało mu kierownicę z dłoni. Jego honda tańczyła pod nim niespokojnie, a on nagle poleciał w bok jak wystrzelony z katapulty. Przekoziółkował przed przednimi kołami samochodu, który zatrzymał się na poboczu, sunął na plecach po asfalcie, uderzył kaskiem w krawężnik i na chwilę odpłynął.

Tymczasem nad nim rozpętało się piekło.

## 39 Skrzydła

20 lipca, poniedziałek, wieczór

Nawałnica powstała około trzydziestu kilometrów na zachód od miasta. Rozpędzona wichrem, gnała niczym niepowstrzymany przez pola, lasy i wsie. Na polach gradem niszczyła uprawy, zrywała trakcje elektryczne, powalała słupy. We wsi Rakoszyce pozrywała dachy domów i strąciła czubek wieży kościelnej. Potem pustoszyła las wzdłuż drogi do Wrocławia. Gałęzie łamały się jak zapalki, grube pnie pękały z trzaskiem, stare drzewa upadały. W kolejnych wioskach nawałnica zerwała dachy domów i zabudowań. Kolejna wieża kościelna runęła we wsi Ramułowice. Park obok kościoła zmienił się w stos połamanych drzew i potrzaskanych gałęzi.

Do miasta nawałnica wpadła od strony Muchoboru Wielkiego i Smolca. Miała jeszcze taki impet, że w samym Wrocławiu połamała około tysiąca drzew, pozrywała trakcję elektryczną, przewracała słupy oświetleniowe. Towarzysząca jej ulewa zalewała piwnice domów, całe ulice i skrzyżowania. Grad wybijał szyby w samochodach i włączał alarmy.

Burza osłabła kilometr od miejsca, w którym zderzył się z nią Zakrzewski.

Szarpanie za ramię przywróciło mu świadomość. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje. Podniósł ostrożnie głowę.

Leżał w kałuży wody. Właściwie w potoku, który płynął ulicą Grabiszyńską. Z nieba lały się na niego kaskady deszczu, rozbryzgując się na szybcie kasku. Padający wraz z deszczem

grad boleśnie siekł po całym ciele. Bolało go wszystko. Przestraszył się, że uszkodził kręgosłup albo coś sobie połamiał w momencie upadku. Poruszył rękami, nogami, głową, po czym usiadł.

Pochylało się nad nim dwóch mężczyzn. Wszystkie samochody na ulicy stały na światłach awaryjnych. Kierowcy prawdopodobnie widzieli jego upadek i natychmiast ruszyli mu na pomoc.

– Nic panu nie jest?! – Pośród ryku wiatru i huku ulewy dobiegł go głos jednego z nich.

– Nic! – odkrzyknął i przekręcił się na brzuch.

Plecy paliły żywym ogniem.

Z trudem dźwignął się na kolana i wstał. Chwiały się pod naporem wiatru i ulewy. Sięgnął do kabury i zdrętwiał. Pistoletu nie było. Gorączkowo rozglądał się wokoło. Na szczęście dostrzegł walthera dwa metry dalej. Z trudem poszedł w tamtym kierunku i podniósł broń. Rozejrzał się za motocyklem. Leżał na boku nieopodal.

Czuł się nierealnie. Był jeszcze trochę oszołomiony i oprócz szumu pod czaszką słyszał wyraźnie huk deszczu i gradu uderzające w jego kask. Te odgłosy zagłuszyły wszystko. Do logicznego myślenia zmusił się dopiero po kilkunastu sekundach.

Hanna! Ona też się przewróciła. Zaczął biec w tamtym kierunku, naprzeciw uderzeniom wiatru i deszczu, ale po kilku krokach zwolnił. Ból w kolanie był tak ostry, że promieniował do uda. Poszedł z trudem dalej, utykając.

Nie wiedział, jak długo leżał. Dla niego był to ułamek sekundy. A jeśli nie? Jeśli stracił przytomność na kilka minut? Szedł środkiem ulicy. Grad przestał padać, samochody wokół niego ruszyły i zaczęły wolno sunąć trzema pasami. Teraz już nikt nie palił się, żeby pomóc motocykliście po wypadku. Wstał

i idzie, więc pewnie nic mu się nie stało. Po co robić sobie kłopot? Zakrzewski skrzywił się pod nosem.

Ściągnął potłuczony kask z głowy i szedł przed siebie, nie zwracając uwagi na jadące auta. W ten sposób przeszedł skrzyżowanie Grabiszyńskiej z Klecińską. Auta zjeżdżające z wiaduktu na obwodnicy śródmiejskiej hamowały i trąbiły. Czarne audi zatrzymało się pół metra od Marcina. Wściekły kierowca, nie zważając na deszcz, wyskoczył ze środka, ale zamarł w pół kroku z otwartymi ustami. Widok pistoletu w dłoni policjanta schłodził jego emocje lepiej niż ulewa. Marcin uśmiechnął się do siebie. Scena jak z amerykańskiego filmu kryminalnego. Nigdy by nie przypuszczał, że kiedykolwiek zdarzy się właśnie jemu.

Dotarł wreszcie do bmw leżącego na trawniku za skrzyżowanym i rozejrzał się. Hanna zniknęła. Został tylko kask leżący w kałuży wody na skraju chodnika.

– Cholera! – wyrwało mu się.

Nie widział, żeby ktoś się tu zatrzymywał i jej pomagał. Nie słyszał syren. Być może połamane drzewa i zerwane trakcje tramwajowe skutecznie sparaliżowały ruch w mieście.

Pokuśtykał dalej. Wiedział przecież, dokąd jechała Hanna. Pewnie teraz poszła tam na piechotę, więc też ruszył w tamtym kierunku. Po kilkudziesięciu metrach ból w nodze jakby trochę zelżał i mógł przyspieszyć.

Deszcz nie ustawał, kiedy dotarł do wzgórza nad Ślężą, na którym znajdował się cmentarz polskich żołnierzy. Chmury były tak nisko, że prawie zahaczały o dwa monumentalne skrzydła pomnika. Z trudem wspinał się po szerokich kamiennych schodach.

Na szczycie rozejrzał się. Pusto. Czyżby się pomylił? Przeszedł jeszcze kilka kroków, spojrział w lewo i wtedy ją zobaczył.

Stała pomiędzy wysokimi kamiennymi skrzydłami. Patrzyła wprost na niego, lecz w jej oczach nie było już wściekłości.

Raczej smutek, żal i... strach. Deszcz spływał po jej rozpuszczonych długich włosach, twarz miała białą jak papier, lewą rękę kompletnie zakrwawioną. Widział wyraźnie poszarpaną ranę biegnącą od łokcia do prawie samego nadgarstka. Lejąca się z nieba woda mieszała się z krwią, spływała po dłoni i tworzyła na ziemi kałużę. W drugiej ręce wciąż trzymała odbezpieczony pistolet z lufą skierowaną w jego stronę.

– Nie zbliżaj się, Marcin, proszę! – Jej głos z trudem przebijał się przez huk ulewy.

Marcin złapał się na tym, że patrzy na nią z podziwem. Cała na czarno, z ciemnymi mokrymi włosami, między kamiennymi monumentami wyglądała pięknie. Jak upadły anioł, któremu Bóg zamienił skrzydła w kamień, żeby już nigdy nie mógł się wzbić w przestworza.

Nie podniósł swojej broni. Czuł, że nie będzie potrzebna. Musiał do niej mówić inaczej niż przed domem Wolskiej.

– Jesteś ranna. Pozwól, że ci pomogę.

– Nie, nie zbliżaj się!

Ale on nawet nie drgnął.

– Twoja matka była piękną kobietą. Dziwne, że nie dostrzegłem tego wcześniej. Przecież jesteś do niej uderzająco podobna. Macie takie same oczy i takie same włosy.

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

– Hanno, wiem, że nikogo nie zabiłaś – ciągnął. – Może chciałaś zabić Wolską, kiedy dowiedziałaś się, że ją podejrzewamy. Ale kiedy stanęłaś z nią twarzą w twarz, okazało się, że trudno jest strzelić, prawda? Że palec drętwieje na spuście pistoletu i nie reaguje na polecenia mózgu. Nie jest łatwo zabić. Tym bardziej zabić z premedytacją, z zemsty, prawda?

To wcale nie była prawda. Słowa brzmiały w jego ustach wyjątkowo fałszywie. Na szczęście ona tego nie dostrzegała. Jej

oczy jakby jeszcze posmutniały.

– To był nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Znalazłaś się po prostu w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. Musisz się teraz z tego podnieść, Hanno. Musisz być silna. Morderca próbuje omamić nas pewną iluzją, myli tropy, wprowadza nowe wątki, nachalnie podrzuca nam fałszywe poszlaki. I ma w tym ukryty cel. Ten fałszywy obraz ma pozwolić mu się ukryć, zniknąć, rozpuścić się w powietrzu. To, że przez przypadek zostałam częścią tej iluzji, na pewno bardzo go cieszy. On coraz bardziej zaciera ślady. Hanno, proszę cię, nie pomagaj mu. Już wystarczająco namieszał w twoim życiu. Oddaj mi broń.

Wyciągnął otartą o asfalt, okrwawioną dłoń łagodnym gestem. Pokręciła energicznie głową, cofając się o krok.

– Nie zbliżaj się, Marcin!

– Haniu, pozwól mi sobie pomóc.

– Już za późno.

Dłoń z waltherem p99 opadła, mięśnie się rozluźniły. Wyglądała jak szmaciana lalka pociągana za sznurki przez aktora w teatrze. Ale jej głos zabrzmiał nadspodziewanie głośno i pewnie:

– Ja myślałam, że ona mnie nie kochała, rozumiesz? Całe życie myślałam, że porzuciła mnie, kiedy miałam dwa miesiące. Nie mam żadnych wspomnień z nią związanych. Nie wiedziałam, jak wygląda. Dopiero kiedy miałam dwanaście lat, u wujka w szufladzie znalazłam jej zdjęcie i ukradłam je. Nie wiedziałam, że to samo zdjęcie teraz pozwoli mi ją zidentyfikować.

Płakała. Marcin słuchał, nie przerywając. Wygadać się, wykrzyczeć, wyrzucić z siebie wszystko i poczuć ulgę. To była w tej chwili najlepsza terapia.

– Wiesz, co to znaczy, kiedy córka od dzieciństwa myśli, że matka ją porzuciła, ponieważ jej nie kocha? Cały czas



zastanawiałam się, w czym byłam gorsza od innych dzieci, gdzie jest moja wina. Może byłam brzydka? Tak myślałam i zastanawiałam się, co jej powiem, kiedy ją spotkam. Miałam wyuczoną formułkę, którą chciałam jej wykrzyczeć prosto w twarz. Nie jestem od ciebie gorsza! Jestem ładniejsza! Jestem mądrzejsza!

Wystawiła twarz na deszcz. Woda spłukała łzy.

– I kiedy już się pogodziłam z myślą, że jej nigdy nie zobaczę, trafiła na mnie w zakładzie medycyny sądowej. Na początku oczywiście nie wiedziałam, że to ona. Dopiero kiedy grafik zrobił jej pierwszy portret... Wtedy już wiedziałam. I zrozumiałam. Ona mnie nie porzuciła, ona mnie kochała. Po prostu nie mogła być ze mną, ponieważ jakiś zwyrodnialec ją zabił, a potem sprofanował martwe ciało. To był dla mnie wstrząs. Pomyślałam, że dowiem się, kto ją zabił, i ją pomszczę. Zabiję tego skurwysyna, tak samo jak on zabił ją i odebrał mi dzieciństwo. Dlatego spotykałam się z Rucińskim. On dawał sobą tak łatwo manipulować. I wreszcie powiedział mi o Wolskiej.

– Wolska nie zabiła twojej matki! – krzyknął.

Pokręciła przecząco głową.

– Wiesz, co teraz jest najważniejsze? Chciałam zabić człowieka. Rozumiesz, co to znaczy? Byłam o włos od tego, żeby zabić człowieka. Ja... – Spazm płaczu nie pozwolił jej skończyć.

– Nikogo nie zabiłaś.

– Ale chciałam! Chciałam to zrobić! Pragnęłam tego, śniłam po nocach o zemście!

Zakrzewski słyszał syreny policyjne. Nie jedną, kilka. Tylko że tutaj, z dala od ludzi, pośród szalejącej burzy nikt nie będzie ich szukał.

– Kiedy dzisiaj stałam przed tą starszą kobietą, mierząc do niej, coś sobie uświadomiłam. – Na jej bladej twarzy i zsiniałych wargach pojawiło się niespodziewanie coś na kształt uśmiechu.

– Być może jeden z tych zamordowanych mężczyzn, tych ze zdjęcia... Może jeden z nich... był moim ojcem. Czy straciłam też ojca, zanim go poznałam? Ponura ironia losu, prawda?

– Haniu, to nie tak...

– Marcin, nie mam już siły – zapłakała cicho. – Ja już dłużej tak nie mogę. Nie wytrzymam... Już nie!

Ostatnie dwa słowa wykrzyczała. Podniosła broń i przyłożyła lufę do skroni.

– Nie! – wrzasnął Zakrzewski i rzucił się do przodu.

Ale zanim zdążył zrobić krok, w odgłosy wyładowań atmosferycznych wdarł się huk wystrzału. Zabrzmiało wyjątkowo ostro i donośnie. Jakby otaczające ich powietrze wpadło w rezonans i wzmocniło dźwięk wystrzału.

W następnej chwili był przy niej i próbował ją złapać, rzucił się na kolana w czerwoną od krwi kałużę i teraz dopiero udało mu się objąć i przytrzymać bezwładne ciało.

Nie słyszał sygnału policyjnego auta, które zatrzymało się u stóp wzgórza. Nie słyszał trzasku drzwi i odgłosu kroków.

Po prostu ją obejmował.

Tak zastała go Paulina Czerny, która pierwsza wbiegła na górę.

Część trzecia

## **Iluzja**

# 40 Iluzja

21 lipca, wtorek przed południem

– Spaleś trochę?

Przez ostatnią godzinę drzemał na krześle z czołem opartym o biurko. Wszystko go bolało i teraz starał się pokonać ból mocną, czarną kawą, którą popijał wolno z dużego kubka.

– Nie bardzo – odpowiedział zachrypniętym głosem.

Paulina Czerny weszła do pokoju konferencyjnego w wydziale kryminalnym komendy wojewódzkiej policji i przyjrzała się Marcinowi krytycznie. Po upadku z motoru miał zabandażowany lewy łokieć i paskudnie obtarty o asfalt wierzch prawej dłoni.

Tak naprawdę było dużo gorzej. Zakrzewski miał zdartą dużą część skóry na plecach. W szpitalu, do którego trafił w nocy, posmarowali mu rany maścią i zalepili plastrami. Teraz strupy trochę zeszywniały i miał problem z poruszaniem się. Reszty szkód dopełniały stłuczone żebra i sześć szwów pod prawym kolaniem.

Kiedy go mijala, poczuł delikatny dotyk jej dłoni na ramieniu. Usiadła po przeciwnej stronie stołu i patrzyła na niego takim wzrokiem, jaki pamiętał z dobrych czasów. Nie byli razem od dawna, ale między nimi niewiele się zmieniło.

– A ty? – zapytał.

– Rano byłam w domu się przebrać, złapałam dwie godzinki.

– J-jasne.

– Twój motor odwieźliśmy na policyjny parking. Tak samo jak... ten drugi. Mam twój kask. Będziesz musiał go trochę odmalować.

– Dzięki.

Nie spuszczała z niego badawczego wzroku.

– Trzymasz się jakoś po tym wszystkim?

Kiwnął głową i upił łyk kawy.

– Jakoś.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka energicznie wszedł naczelnik wydziału inspektor Godlecki. Za nim wmaszerowali prokurator Marek Grabski i rzecznik policji aspirant sztabowy Jan Szarłaj w policyjnym mundurze. W tym samym, w którym widywali go w telewizji. Naczelnik usiadł na miejscu u szczytu stołu i spojrzał na nich ponuro. Nie bardzo wiedzieli, czy jego skrzywiona twarz wyraża złość, irytację, zniecierpliwienie, czy może coś zupełnie innego. Grabski usiadł koło Pauliny i też nie wyglądał na spokojnego.

– Czy ktoś, do cholery, może mi wytłumaczyć, co wy wyrabiacie?! – zaczął Godlecki podniesionym głosem. – Wieczorem przez miasto przeszła największa od kilkunastu lat trąba powietrzna, połamała około tysiąca drzew, załamała setki piwnic, sparaliżowała ruch, a dziennikarze zamiast o tym pisać w porannych wiadomościach, czekają na mnie przed wejściem do budynku komendy wojewódzkiej. Pytają, co się działo w mieście w nocy. Dlaczego po ulicach jak wściekłe jeździły radiowozy na sygnale. Pytali mnie, czy już zidentyfikowano dwóch szalonych motocyklistów goniących się podczas burzy po mieście. W Internecie można obejrzeć filmy z tego pościgu.

Spojrzał znacząco na Marcina, zasłaniającego twarz kubkiem z kawą.

– Jeden z motocyklistów miał bardzo charakterystyczny kask. Nazwali go Trupią Czaszką. Pytali o wypadek obu motocyklistów na skrzyżowaniu Grabiszyńskiej z Klecińską

i o zakrwawionego człowieka z pistoletem, który przechodził przez środek tego skrzyżowania, jakby to było przejście dla pieszych. I na koniec chcieli wiedzieć, jaki to ma związek ze śledztwem w sprawie mordercy ze zdjęcia. Możecie mi to wytłumaczyć?

– Musieliśmy zwołać konferencję prasową, za godzinę padnie pewnie sporo niewygodnych pytań – dodał rzecznik.

Nie wyglądał na szczęśliwego. Marcin mu się nie dziwił. To Szarlaj będzie stał na pierwszej linii frontu przed dziennikarzami i do niego będą skierowane te pytania. Musiał powiedzieć coś sensownego, a równocześnie nie powiedzieć nic, co mogłoby zaszkodzić śledztwu.

Grabski spojrział na Marcina, Marcin na Paulinę, Paulina na Grabskiego.

– Masz wszystko w oficjalnym raporcie, szefie – powiedział Zakrzewski.

Inspektor Godlecki przez chwilę się wahał, czy wybuchnąć gniewem, czy się roześmiać. Opanował się jednak i wyszło mu coś pomiędzy tymi dwiema opcjami.

– A ktoś może mi o tym opowiedzieć ludzkim głosem?

Zakrzewski wziął wyjaśnienia na siebie.

– Doszło do nieoczekiwanego zbiegu okoliczności. Doktorantka w Zakładzie Medycyny Sądowej w zmumifikowanej kobiecie z Siemieńskiego poznała własną, zaginioną przed laty matkę, Alicję Zawistowską.

Na komendancie i rzeczniku informacja zrobiła duże wrażenie.

– Ukryła jednak przed nami ten fakt, sprytnie podeszła jednego z naszych śledczych i skłoniła go do przekazania jej poufnych informacji. Zaplanowała, że sama wymierzy sprawiedliwość mordercy swojej matki, kiedy tylko go odnajdziemy. Ruciński podejrzewał, że Zawistowską mogła zabić Maria Wolska, którą przesłuchiwaaliśmy w sprawie

mordercy ze zdjęcia. Hanna Duciak zaatakowała więc Rucińskiego, odebrała mu służbową broń i pojechała do Wolskiej z zamiarem zabicia jej. Ten szalony pościg w czasie burzy to była próba uratowania Wolskiej. Na szczęście się udało.

Ostatnia informacja podziałała na Godleckiego uspokajająco.

– Rucińskiego już zawiesiłem do czasu wyjaśnienia całej sprawy. Janek, będziesz musiał jakoś łagodnie i uspokajająco przedstawić to mediom.

Szarłaj spojrział przelotnie na Zakrzewskiego.

– Taki kask ma tylko jeden motocyklista w mieście i dziennikarze bardzo dobrze wiedzą, kim on jest – powiedział.

– Muszę wspomnieć o komisarzu Zakrzewskim.

Paulina Czerny nagle straciła panowanie nad sobą.

– Człowieku, wysił wyobraźnię – odezwała się odrobinę zbyt ostrym tonem. – Jesteś od tego, żeby wymyślać takie bajki dla prasy. Szalony motocyklista nie zatrzymał się do kontroli, akurat przypadkowo na miejscu był dzielny komisarz Zakrzewski, podjął pościg, który skończył się wraz z uderzeniem burzy na Grabiszyńskiej. Prosto i na temat, co tu wymyślać? Nieraz już plotłeś większe bzdury.

Szarłaj poczerwieniał na twarzy.

– Wypraszam sobie takie uwagi – odwarknął, patrząc na nią ze złym błyskiem w oku. – Nieraz już was ratowałem przed mediami, kiedy dawaliście dupy na całej linii, więc nie mam teraz zamiaru wysłuchiwać takich złośliwości.

Naczelnik podniósł uspokajająco rękę.

– Pani Paulino!

Paulina spuściła wzrok.

– Przepraszam – powiedziała. – To napięcie ostatnich godzin i brak snu.

Szarłaj wyglądał, jakby nie uwierzył w żadne jej słowo. Marcin obserwował ich ze zdziwieniem. Nie przypuszczał, że

jest między nimi aż taka niechęć.

– Będą mnie pytać o mordercę ze zdjęcia. To w tej chwili temat numer jeden wśród kryminalnych sensacji. Mogę im coś sprzedać?

– W tej chwili niczego nie możemy zdradzić. – Po raz pierwszy odezwał się Grabski.

– Zjedzą mnie za standardowe formułki w stylu „dobro śledztwa” i „intensywne czynności operacyjne”.

– Za to ci płacą, poradzisz sobie. – Paulina nie mogła sobie odmówić kolejnej złośliwości.

– Przywołuję panią do porządku. – Godlecki postukał dłonią w stół.

Ten gest po raz kolejny utwierdził Marcina w przekonaniu, że Godlecki nie nadaje się do zarządzania takim wydziałem. Może po wyborach przyjdzie ktoś z większymi jajami i autorytetem. Istniała jednak obawa, że naczelnik dobrze pływa w mętnej wodzie polityki i po wyborach zostanie. Poza tym Marcin nie znał osoby, która mogłaby się sprawdzić na tym stanowisku. Wielu doświadczonych operacyjnie policjantów odeszło już na wcześniejsze emerytury albo szykowało się do odejścia. Zakrzewski przecież sam miał zamiar niedługo odejść. Do tej pory cieszył się na myśl o tej zmianie w życiu. W tej chwili po raz pierwszy poczuł niesmak.

– Podrzucmy coś prasie na wabia – odezwał się nagle.

Zapanowała cisza. Wszystkie oczy skierowały się na niego. Marcin odsunął się z krzesłem do tyłu. Skrzywił się przy tym z bólu, gdy uderzył zranionym kolanem o nogę stołu.

– Cała ta sprawa to iluzja, a my daliśmy się w nią wkręcić i gonimy za złudzeniem – powiedział.

– O czym tym mówisz, do cholery? – zapytała Paulina.

– Wyjaśnię. Wszyscy wiedzą, jak działa iluzjonista. Prezentuje nam zręczne sztuki i sprawia, że wbrew zdrowemu rozsądkowi zaczynamy wierzyć w magię. Wielką odwagą jest



stanać przed wpatrzoną w ciebie publicznością i w bezczelny sposób ją oszukiwać. Jak iluzjonista to robi? Przede wszystkim odwraca uwagę. Obok niego zawsze stoi śliczna, długonoga i skąpo ubrana asystentka w pawich piórach i lśniącym złotem biustonoszu. Poza tym musi być pudełko, cylinder, czarna peleryna i czarne tło. Iluzjonista wykonuje wiele niepotrzebnych ruchów rękami, asystentka przechodzi z jednej strony na drugą i nagle karta, w którą byliśmy wpatrzeni, znika, żeby pojawić się w zupełnie innym miejscu. Zniknęła? Nie, po prostu magik wykorzystał chwilę naszej dekoncentracji, żeby schować ją do rękawa.

– Czy ty się dobrze czujesz? – Paulina spojrzała na niego naprawdę zaniepokojona.

– Chcę wam tylko obrazowo wytłumaczyć, jak działa nasz morderca. Jak iluzjonista. Chce, żebyśmy poznali prawdziwy motyw jego działania, a równocześnie odwraca od siebie uwagę.

W spojrzeniach skierowanych na Marcina błysnęło zainteresowanie.

– W przypadku pisarza Rudnickiego częścią iluzji jest jego nocleg w hotelu Polonia, jego zniknięcie na kilka godzin, a potem powrót do miasta w busie razem z mordercą i ostatni spacer po Wybrzeżu Wyspiańskiego. Nie powinniśmy się na tym skupiać.

– W takim razie nad czym? – Prokurator Grabski nie wytrzymał.

– Dziura w czaszce po ostrym narzędziu, które zakład medycyny sądowej określił jako czekan. To pierwszy znak zostawiony przez zabójcę dla policji.

– Co oznacza?

– Jeszcze nie wiem, ale jeśli zbierzemy wszystkie znaki w jedną całość, może zobaczymy pełny obraz. Następna ofiara, Kurzaj. Znowu sprawca wyczarowuje sporo nieistotnych

elementów. Moim zdaniem nie ma sensu skupiać się na liście i niedopałku papierosa w mieszkaniu Kurzaja. List służył tylko wyciągnięciu Kurzaja z domu na wieczorne spotkanie. Długo zastanawiałem się nad jego treścią. Teraz, kiedy znamy wszystkie okoliczności, jego treść nie wnosi niczego do sprawy. Jest raczej powieleniem historii zawartej w książce Rudnickiego, którą, z tego co wiem, w tamtym czasie czytało kilka tysięcy osób. Nie wiemy, czy album został wyciągnięty z szafy jeszcze przez Kurzaja, czy już przez mordercę. To główny znak dla nas. Powiązanie wszystkich ofiar. Na miejscu zbrodni bardzo istotne były ślady sznura na szyi Kurzaja i gwóźdź wbity w oczodół.

Marcin zrobił pauzę i wypił resztę kawy z kubka.

– W przypadku Koskowskiego iluzja była najbardziej złożona i przemyślana. Sugerowałbym, że sprawca wiedział o tym człowiekiem najwięcej. W końcu znał kod do alarmu. Być może pracował u niego w firmie lub był jedną z wielu jego kochanek.

– Słucham? – Naczelnik wydziału kryminalnego wytrzeszczył na Marcina oczy.

– Wiele wskazuje, że szukamy kobiety – wyjaśnił Marcin. –

W tym przypadku iluzją jest Banaszekiewicz. Sprawca dowiedział się o jego córce i Koskowskim. Perfekcyjnie to wykorzystał, żeby zamieszać nam w głowach. Brutalna śmierć, jaką zadał Koskowskemu, też nie miała znaczenia. Ofiara miała cierpieć i miało być efektownie. Iluzją jest zawiadomienie ekipy TVN i mail do żony Koskowskiego. Nie ma tu nic szczególnego, na co powinniśmy zwrócić uwagę. A skoro tak, skłaniam się ku zemście jako motywowi zbrodni.

– A co z Jaroszem? – zapytała Paulina.

– Pies jest sztuczką, która ma nas wprowadzić na fałszywy trop. W tym przypadku musimy zwrócić baczniejszą uwagę na sposób, w jaki zmarł Jarosz. Od kilku tygodni panują u nas afrykańskie upały. Nikt nie nosi zimowych ciężkich butów

z głębokim protektorem. To jest informacja dla nas. No i musimy wspomnieć jeszcze o wielkim finale. Telefon Koskowskiego podrzucony osobie, która łączy nas z morderstwem Patryka Tularza w bramie, w której mieszkam. Do tego wpadamy na trop fałszywej tożsamości mojej sąsiadki, która znika, kiedy mordowany jest Kurzaj. Prawdopodobnie jej krew i spalony samochód odnajdujemy na wale Widawy. Morderca eliminuje swoich współników, jak prawdziwy prestidigitator macha peleryną i znika. Nie zostawia śladów ani świadków.

– A w jaki sposób można zniknąć jeszcze skuteczniej? – zapytała Paulina.

Naczelnik Godlecki spojrział na nią ponuro.

– Wyjaśni mi to pani?

– Wyeliminować śledczego stanowiącego główne zagrożenie. Zakrzewskiego.

Marcin znowu zaczął obserwować guzik koszuli ledwo opinającej szyję naczelnika wydziału kryminalnego. Prawie słyszał, jak zatrzeszczały nici, gdy Godlecki napiął mięśnie.

– Podjąłem taką decyzję na wniosek prokuratury – powiedział Godlecki, patrząc na Grabskiego.

– Nie wracajmy do tego – rzucił pojednawczo Marcin. – Morderca ma na razie niezwykle szczęście i wszystkie zbiegi okoliczności działają na jego korzyść. Przez chwilę Hanna Duciak była naszą główną podejrzaną. Nie będę przypominał, jak to się skończyło na wzgórzu nad Ślężą.

W sali zapanowała nagle cisza.

– Z raportów wynika, że wszystkie wątki wskazane przed chwilą przez Marcina były już badane przez niego lub grupę śledczą Pauliny – przerwał ciszę Grabski.

– Musieliśmy coś pominąć – stwierdził Zakrzewski.

– Jeszcze raz wrócimy do kochanek Koskowskiego i osób związanych z jego firmą – dodała Paulina.

– A co z tym tematem dla prasy? – Szarłaj podniósł wzrok znad notesu, w którym robił notatki.

Był dalekowidzem. Patrzył znad okularów w groteskowo pociętej oprawce.

– Powiedz prasie, że jesteśmy bardzo blisko, mamy wyraźne ślady, szukamy kobiety – powiedział Marcin.

– Nie mogę wydać takiego oświadczenia. Dziennikarze nie są głupi. Od razu zwąchają, że coś jest nie tak – zauważył rzecznik policji. – Nigdy nie zdradzamy im tak ważnych szczegółów w śledztwie.

Naraził się tym tylko na kolejny atak ze strony Pauliny.

– Cholera, Szarłaj! Jesteś rzecznikiem, wymyśl coś.

Wymienili niechętnie spojrzenia.

– Coś wymyślę.

# 41 Trop

21 lipca, wtorek przed południem

Parol Szawczak złapał Zakrzewskiego na korytarzu. Niecierpliwie czekał, aż wszyscy uczestnicy spotkania się rozejdą. Marcin zbliżył się do niego, mocno utykając i krzywiąc się z bólu.

– Gdzie ty zniknąłeś, Parol? – zapytał.

Aspirant wyglądał, jakby nie spał od wielu godzin. Nawet policzki miał nienaturalnie blade. Tylko oczy świeciły niezwykłym blaskiem.

– Chyba coś mam – powiedział zachrypniętym głosem i pokazał zdjęcia.

Marcin rzucił na nie okiem i od razu poczuł ten rozkoszny dreszcz podniecenia.

– Paulina! – zawołał.

Była już na schodach, ale zawróciła. Bez słowa pokazał jej fotografie. Reakcja nie była trudna do przewidzenia.

– Kurwa mać! Skąd to macie?

Już pierwsze z trzech zdjęć było jak uderzenie pałką w głowę. Zbliżenie zakrwawionej twarzy martwego mężczyzny i kawałek zbrojeniowego drutu wbitego w oczodół zrobiły na nich piorunujące wrażenie. Pozostałe dwa zdjęcia również przedstawiały obrazy, które wydawały się niepokojąco znajome.

Poszli do pokoju Marcina, gdzie Szawczak zaczął szybko opowiadać.

– Tak jak kazałeś, rozesłałem fotografię do wszystkich komend policji na wybrzeżu. Dostałem odpowiedź z Lęborka. Budynek w tle to stary ośrodek wczasów pracowniczych w Łebie. Zresztą już nie istnieje. Zacząłem jeszcze raz szukać niewyjaśnionych zabójstw z tamtego okręgu. Skupiłem się na śladach sznura na szyi Kurzaja... Razem z Marcinem wróciliśmy na miejsce zbrodni, ponieważ nie dawały mu spokoju te ślady – dodał, widząc pytające spojrzenie Pauliny. – Skupiłem się na sznurze i trafiłem na te morderstwa.

Policjanci pogrążeni we własnych myślach przeglądali wydrukowane przez Parolę archiwalne akta niewyjaśnionych brutalnych zabójstw.

Ofiarami byli dwaj bracia: Stanisław i Michał Kurtzowie. W nocy z 20 na 21 lipca 1981 roku wracali pieszo z dyskoteki w Łebie do położonego nieopodal Nowęcina, gdzie obaj mieszkali.

Stanisław Kurtz, lat dwadzieścia sześć, prawdopodobnie zginął jako pierwszy. Sprawcy – z akt wynikało, że było ich co najmniej trzech – ustawili go plecami do pnia drzewa, po czym związali mu sznurem ręce w nadgarstkach. Następnie nałożyli pętlę na szyję, konopny sznur do wyciągania rybackich sieci przerzucili przez gałąź pobliskiego drzewa, a koniec przywiązali do pnia. Sznur był naprężony na tyle mocno, że ofiara musiała stać na palcach i się nie ruszać, żeby się samemu nie powiesić. Według raportu sporządzonego przez lekarza sądowego, mężczyzna żył jeszcze, kiedy sprawcy wbijali mu w oczodół zardzewiały drut zbrojeniowy.

Michał zginął mniej więcej w tym samym czasie lub trochę później. Został uderzony ostrym końcem młotka w tył głowy. Przepuszczalnie już samo uderzenie spowodowało jego śmierć. Mimo to sprawcy włożyli go do stojącej nieopodal łodzi rybackiej i skakali mu po plecach, druzgocąc kręgosłup. Nikt nie był w stanie wyjaśnić takiego postępowania. Tak samo jak

brutalnego potraktowania owczarka niemieckiego, którego właścicielem był Michał Kurtz. Pies został skatowany deską z wystającymi z niej gwoździami i powieszony za szyję na gałęzi drzewa.

Sprawę prowadzili śledczy ze znajdującej się wówczas w Koszalinie komendy wojewódzkiej wraz z milicjantami z Lęborka. Sprawców nie wykryto. W aktach był numer pudełka z zebranymi na miejscu zbrodni śladami biologicznymi. Ówczesna technika kryminalistyczna nie pozwalała na bardzo szczegółową analizę dowodów, ale teraz badania DNA mogłyby przynieść jakieś rezultaty.

Zdigitalizowane akta sprawy były skromne, za to załączona do nich dokumentacja fotograficzna naprawdę obszerna. Wolno przeglądali zdjęcia, wyłapując ewidentne podobieństwa do ostatnich morderstw.

Pierwszy odezwał się Parol.

– Co z Rucińskim?

Zakrzewski spojrzał na niego, jakby obudził się z chwilowego letargu.

– Co? A... został zwieszony na czas postępowania wyjaśniającego – powiedział. – Nie spodziewaj się, że szybko wróci.

– Zostało nas dwóch w grupie.

Marcin spojrzał szybko na Paulinę.

– Na razie mała grupa śledcza nie będzie potrzebna. Mamy wyraźny trop i zajmiemy się nim wszyscy – rzucił.

Paulina przejęła inicjatywę.

– Zabójca ze zdjęcia ewidentnie powtórzył szczegóły morderstw z Pomorza – zauważyła. – Musimy wrócić do tamtej sprawy. Każę znaleźć dowody w archiwum i pošlę je do laboratorium jako priorytetowe. Moi ludzie odgrzebią wszystkie akta, których tu ewidentnie brakuje. Pewnie w formie papierowej jest ich o wiele więcej. Marcin, ty...

– Pojadę z Parolem do Nowęcina i Lęborka, porozmawiać ze świadkami i byłymi milicjantami prowadzącymi wtedy śledztwo – wpadł jej w słowo.

Najwidoczniej miała dla niego inne zadanie, lecz po chwili wahania skinęła głową.

Zakrzewski spojrzał przelotnie na Szawczaka.

– Świetna robota – powiedział. – Tylko co ty tu jeszcze robisz?

Parol spojrzał zdziwiony.

– Musisz znaleźć nam na jutro noclegi w Łebie. Jest środek sezonu i możesz mieć problem.

Zanim Szawczak zdążył odpowiedzieć, piknął telefon Zakrzewskiego. Marcin szybko przeczytał wiadomość tekstową. Na jego twarzy pojawił się nieodgadniony wyraz.

– Maria Wolska chciałaby złożyć zeznania. – Spojrzał na Paulinę. – Jedziemy?



## 42 Szpital

21 lipca, wtorek przed południem

Szpitala zawsze kojarzyły się Marcinowi z trudnym do ogarnięcia labiryntem. Strzałki z nazwami oddziałów, długie korytarze, klatki schodowe, windy wcale nie ułatwiały znalezienia odpowiedniej sali. Jak na złość we Wrocławiu istniała tendencja do budowania coraz większych obiektów. Uniwersytecki Szpital Kliniczny na Borowskiej był tego najlepszym przykładem. Znalezienie czegokolwiek w tym ogromnym kompleksie graniczyło z cudem. Na szczęście szpital na Kamieńskiego – kiedyś uznawany za duży – w porównaniu z tamtym molochem był dość kameralny.

Paulina Czerny szybko dowiedziała się w recepcji, gdzie leży Wolska, i bez przeszkód trafiła na kardiologię. Tam natknęła się na młodego lekarza, który swoje obowiązki traktował jeszcze ze śmiertelną powagą.

– Pani Maria jest bardzo osłabiona – powiedział stanowczo, przytrzymując drzwi, za którymi znajdowała się Wolska. – Każdy niepotrzebny stres może jej zaszkodzić.

– Sama chciała złożyć zeznania – odezwał się ostro Zakrzewski, ale Paulina szturchnęła go w ramię.

Przez chwilę negocjowała z lekarzem. W końcu, jak mogli się spodziewać, zgodził się na rozmowę nie dłuższą niż pięć minut. Na szczęście potem już się nie pojawił i mogli rozmawiać swobodnie.

Wolska na wpół leżała na szpitalnym łóżku, podłączona do wydającego miarowe odgłosy monitora serca. Była blada i wyglądała naprawdę źle. Policjanci bez słowa pokazali swoje legitymacje. Paulina usiadła na jedynym krześle w pomieszczeniu, a Marcin oparł się o parapet. Nie umawiali się wcześniej, ale ich zgodne milczenie wypadło bardzo efektownie.

Wolska spoglądała to na jedno, to na drugie i wyraźnie się wahała. Kiedy wreszcie się odezwała, głos miała bardzo słaby:

– Zrobiłam błąd. Powinna być od razu złożyć zeznania.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Ale nie mogłam tego zrobić, naprawdę. Są rzeczy, które nigdy nie powinny wyjść na światło dzienne.

Patrzyła na nich, jakby chciała na ich twarzach wyczytać potwierdzenie.

– Dlaczego pani tego nie mogła zrobić? – zapytała Paulina łagodnie.

Marcin popatrzył na nią zdziwiony. Taktyka na złego i dobrego policjanta? Na Wolską raczej nie zadziała. Postanowił się nie odzywać.

– Przysięgałam na wszystkie świętości, że nigdy nie zdradzę tajemnicy.

– Komu pani przysięgała?

– Mirkowi Rudnickiemu.

– I postanowiła pani dalej milczeć, nawet kiedy Rudnicki został zamordowany, a zaraz potem zginęli trzej jego dawni koledzy?

Wolska przymknęła oczy.

– Myślałam, że ta sprawa nigdy nie będzie dotyczyć mnie osobiście.

W szpitalnym pomieszczeniu na kilka sekund zapadła głęboka cisza, przerywana tylko odgłosami pracy serca Wolskiej. Biło jakby odrobinę szybciej.

– Proszę mówić od początku – zachęciła ją Paulina.

– Pierwszy raz spotkałam Mirka na początku lat osiemdziesiątych, na jednej z imprez w mieszkaniu na Pawłowa. To już wiecie. On wtedy był takim miłym blondynkiem o ujmującym spojrzeniu i rozbrajająco nieśmiałym uśmiechu. I jakoś tak się stało, że oboje natychmiast przypadliśmy sobie do gustu.

– Ale najpierw zwróciła pani uwagę na Alicję Zawistowską, bardziej znaną w tym środowisku jako Jagoda...

Starsza kobieta popatrzyła na Paulinę ponuro.

– Tak, zakochałam się w niej. Niestety bez wzajemności. Raz uprawialiśmy seks, ale później nie była mną zainteresowana. Czułam się poniżona, zlekceważona i obrażona. Zareagowałam zbyt gwałtownie i teraz tego żałuję. Z Mirkiem było tak, że on właściwie jeszcze nie wiedział, czy jest gejem, czy bardziej lubi kobiety. Miał doświadczenia homo- i biseksualne, był zagubiony, ja nieszczęśliwie zakochana i pewnie to nas zbliżyło.

– Mieliście romans? – zapytała Paulina.

– Uprawialiśmy kilka razy seks, jeśli to właśnie ma pani na myśli – odpowiedziała szybko Wolska. – Ale po tym tragicznym zdarzeniu na Pomorzu wszystko się zmieniło.

– Może nam pani o tym zdarzeniu opowiedzieć?

– Przysięgałam, że nigdy nikomu nie zdradzę nawet jednego szczegółu, ale oni już przecież wszyscy nie żyją – powtórzyła, jakby jeszcze raz się usprawiedliwiała sama przed sobą. – W lipcu osiemdziesiątego pierwszego albo drugiego roku... nie pamiętam już dokładnie... Jagoda, Mirek, Kosek, Adam i Mincel wyjechali wspólnie nad morze. To miał być ich ostatni czas razem. Nie dało się w nieskończoność kontynuować związku czterech facetów i jednej kobiety. W końcu górę wzięłyby inne emocje i skończyłoby się tragedią. Tak przynajmniej przedstawiał mi to Mirek. To miał być pożegnalny, bezstresowy

wyjazd na wczasy, dwa tygodnie dancinów, alkoholu, seksu i plaży. Jagoda tak postanowiła.

– Ale coś się nie udało.

– Mirek wrócił odmieniony. Jakby przez kilka dni postarzał się o dwadzieścia lat. Nie chciał się z nikim spotykać, nie wychodził z domu. Kiedy wreszcie udało mi się go namówić na łóżko, też było zupełnie inaczej. Zażądał, abym zadawała mu ból. Kiedy starałam się dowiedzieć, dlaczego, odpowiedział krótko, że to ma być pokuta. Po pewnym czasie sam zaczął mnie odwiedzać. Kazał się chłostać, zakuwałam go w kajdanki... – zawahała się. – I robiłam inne rzeczy, o których wolałabym nie mówić.

Paulina spojrzała na Marcina. W jej oczach zobaczył złośliwą kpinę. Oboje doszli chyba do podobnych wniosków. Towarzystwo z tamtych czasów było mocno zróżnicowane seksualnie – geje, lesbijki, osoby hetero- i biseksualne. Nawet kiedy Rudnicki postanowił odpokutować za swoje winy, połączył karę z przyjemnością. Nietrudno było się domyślić, że ból zadawany przez Wolską sprawiał mu satysfakcję seksualną.

– Więc nie wiedziała pani, dlaczego Rudnicki tak się zmienił?  
– zapytała Czerny.

– Wtedy nie. Wszelkie pytania kończyły się tak samo. Zamykał się coraz bardziej w sobie.

– Ale opowiedział pani?

– Jakies pięć lat później spróbowałam jeszcze raz. Mirek kilka godzin leżał w piwnicy przykuty kajdankami do łóżka. Zeszłam do niego i po raz pierwszy od długiego czasu uprawialiśmy seks. Potem w kuchni zrobiłam mu jajecznicę i postawiłam butelkę wódki. Alkohol rozwiązuje wszystkie języki. Wtedy pękł i opowiedział mi, co się tak naprawdę zdarzyło nad morzem. Właściwie wszystko było w porządku aż do ostatniej nocy przed wyjazdem. Byli na dancingu i jeden tubylec zaczął tańczyć z Alicją. Ona go podrywała, żeby drażnić się ze swoimi

mężczyznami i pewna granica została przekroczona. Może dlatego, że to miał być ich ostatni wspólny wieczór. Doszło do szarpaniny i bijatyki. Mincel był mocno napity, a zawsze wszczywał bójki po pijanemu. I to on wpadł na pomysł, żeby pójść za miejscowym i dać mu nauczkę w drodze do domu. Poszli za nim we czterech.

Wolska przymknęła na chwilę oczy. Paulina przestraszyła się, że starsza kobieta zasnęła albo zasłabła. Ona jednak po chwili mówiła dalej:

– Miejscowy wracał do domu z kolegą. Ci czterej dopadli ich w lesie nad jeziorem. Wywiązała się bijatyka, miejscowi zostali mocno poturbowani. Jeden leżał nieprzytomny, drugi błagał o litość. Mincel wpadł na pomysł, żeby przywiązać go do drzewa, a na szyję założyć pętlę. Tak zrobili i odeszli. Mincel ciągle jednak nie był usatysfakcjonowany i mówił, że tamci powinni dostać porządną nauczkę. Mincel i Kosek wrócili.

– I wtedy to się stało? – zapytała Paulina cicho.

Wolska potwierdziła samym mrugnięciem oczu.

– Mirek mówił, że długo nie wracali, więc poszedł z Adamem ich szukać. No i znaleźli. Ten przywiązany do drzewa już nie żył. Miał pręt zbrojeniowy wbity w oczodół. Mirek mówił, że jak to zobaczył, omal nie zwymiotował. Mincel i Kostek skakali po plecach drugiemu mężczyźnie leżącemu w łódce. Mirek domyślił się, że i on już nie żyje. Był przerażony. Chciał natychmiast uciekać, wracać do domu, zniknąć z tamtego miejsca na zawsze. Jednak Mincel wszystkich powstrzymał. Mirek mówił, że był cały we krwi i zachowywał się jak szaleniec. Jak w amoku. Postraszył ich, że zabije każdego, kto piśnie choć słówko o tym, co się stało. Podobno był straszny. Jak widać, jego groźba podziałała. Wszyscy milczeli przez lata. Jagodzie Mincel powiedział sam, zwałił winę na nią. Wmówił jej, że gdyby nie flirtowała z miejscowym, nic by się nie stało.

W pomieszczeniu znowu zapadła cisza.

– Dlaczego Rudnicki opisał w końcu to wszystko w książce? – zapytała Paulina.

– Od kilku lat nosił się z zamiarem pójścia na policję i opowiedzenia prawdy. Miał dość koszmaru z przeszłości, nie potrafił się z niego wyzwolić. Odradzałam mu to.

– Pani? Była milicjantka odradzała ujawnienie zbrodni? – wtrącił Zakrzewski, wciąż oparty o parapet okna.

– Milicjantką byłam dawno. Teraz byłam przede wszystkim jego przyjaciółką i musiałam dbać, żeby nie robił głupot. Wsadziłby do pierdła nie tylko siebie, ale i trzy inne osoby, które być może miały żony, dzieci, wnuki. A zło i tak nie zostałyby naprawione. Doradziłam mu, żeby przyznał się do zbrodni w inny sposób.

– Opisał w książce jako wymyśloną historię? – domyśliła się Paulina.

– Tak. Zrobił to na swój sposób, ale jeśli miał się z tym poczuć lepiej, co mi do tego?

Marcin oderwał się od parapetu i przeszedł trzy kroki w jedną stronę, potem trzy kroki z powrotem.

– Czy wie pani, że historia ze zmumifikowanymi zwłokami w książce jest prawdziwa? – zapytał.

Po reakcji Wolskiej od razu widzieli, że nie miała pojęcia.

– Nie rozumiem.

– Na pewnym opuszczonym poddaszu Rudnicki przechowywał zmumifikowane zwłoki kobiety. Została zidentyfikowana jako Alicja Zawistowska.

Oczy kobiety stały się okrągłe ze zdziwienia. Nawet nie starała się tego ukrywać.

– Nie wiedziała pani o tym? – tym razem zapytała Paulina. –

Wieloletni przyjaciel nie powiedział pani, że zamordował też Alicję Zawistowską, zmumifikował jej zwłoki, a potem przez wiele lat uprawiał nekrofilie?

– To... to niemożliwe... – Głos starszej kobiety zaczął niebezpiecznie drżeć.

Marcin usłyszał, że miarowe dotąd odgłosy aparatury medycznej nagle przyspieszają. Spojrzał zaniepokojony najpierw na wykresy, potem na Wolską. Była blada jak wosk, lecz wyglądała na przytomną i świadomą. Paulina też zerknęła na monitor i złagodziła ciężar pytań.

– Uważa pani, że to nie on?

– Niemożliwe... nie byłby do tego zdolny – odpowiedziała słabo. – To nie był ten typ człowieka.

– Pisał powieści kryminalne – wtrącił Marcin. – Nikt normalny nie wymyśla krwawych zbrodni.

– Nie, to była tylko jego wyobraźnia... – urwała. – Nie był nekrofilem... Sprzątałam u niego od lat. W ten sposób mi pomagał. Mam małą emeryturę, w prokuraturze zarabiam grosze, a dom ciężko utrzymać. Nigdy nie widziałam niczego podejrzanego. On nie miałby gdzie tych zwłok trzymać.

– W takim razie, w jaki sposób mógł wejść w posiadanie zwłok Zawistowskiej?

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową. – Nigdy się z niczym nie zdradziłam...

Przymknęła oczy i jakby głębiej zapadła się w poduszkę. Jej serce powoli zwalniało.

– Jestem strasznie wyczerpana. Idźcie już. Nic więcej nie wiem.

Paulina podniosła się z krzesła i skinęła na Marcina.

– Mimo wszystko dziękujemy – powiedział. – Chociaż szkoda, że tak późno.

Kiedy wychodzili, Wolska wydawała się już drzemać, ale Marcin był prawie pewien, że obserwuje ich uważnie spod przymkniętych powiek.

Po wyjściu z budynku szpitala zderzyli się z masą gorącego powietrza, jakby wkroczyli w sam środek Sahary. Poszli na parking. Ich auto stało na szczęście w plamie cienia rzucanego przez znajdujące się przed maską krzaki. Paulina poczęstowała Marcina papierosem. Chciał jej oddać paczkę, lecz pokręciła głową.

– Zatrzymaj, przyda ci się – powiedziała.

– Wiesz, że nie kupuję, żeby się nie uzależnić.

– Przecież tej nie kupiłeś.

Trudno było się nie zgodzić z jej argumentacją. Paczka wylądowała w jego kieszeni.

– Co o tym sądzisz? – zapytała, zaciągając się dymem i uśmiechając w swoim stylu – lekko kpiąco. – Czujesz dreszcz na placach?

– Czuję, że nareszcie jesteśmy bardzo blisko. Bliżej chyba być nie można. Zemsta po latach jako motyw może i jest banalna, lecz w tym przypadku wydaje się pewna.

– Twój iluzjonista staje się bardziej realny.

– Tak jakby.

– Musimy wrócić do morderstw w Nowęcinnie.

– Wyciągnijcie z archiwum wszystkie materiały. Pojadę z Szawczakiem do źródła.

– Swoją drogą, będzie z niego dobry śledczy.

– Też tak uważam.

– Marcin? Parol czasem dziwnie się zachowuje, nie uważasz?

Zakrzewski popatrzył na nią, potem na żarzącą się końcówkę papierosa. Upał sprawił, że odechciało mu się palić.

– Zauważyłem. Może uda mi się z nim porozmawiać na tym wyjeździe.

\*



W jaki sposób rzecznik policji robi przeciek kontrolowany do mediów, Marcin dowiedział się wieczorem, siedząc w samych bokserkach w ulubionym fotelu i popijając zimne piwo. Przez otwarte na całą szerokość drzwi balkonowe do pokoju wpływały fale nieco tylko chłodniejszego powietrza. Było kilka minut po zachodzie słońca.

Aspirant sztabowy Jan Szarłaj odpowiadał na pytania dziennikarki lokalnej stacji telewizyjnej. Pytania najwidoczniej były wcześniej ustalone. Całość materiału przygotowanego dla wrocławskich wiadomości telewizyjnych sprawiała jednak bardzo naturalne wrażenie.

Szarłaj jak zwykle w takich przypadkach stał przed budynkiem Komendy Wojewódzkiej na Podwalu. Dziennikarka zadawała pytania szybko i pewnie.

– Podobno policja ma nowe ustalenia w sprawie mordercy ze zdjęcia?

Szarłaj uśmiechnął się samymi ustami, jak zawodowy aktor.

– Dla dobra śledztwa nie mogę zdradzić szczegółów.

– Ze źródeł zbliżonych do policji wiadomo, że podejrzewacie kobietę.

Znowu wystudiowany uśmieszek, jakby zawodu. Szarłaj pokazał, że bardzo by chciał potwierdzić, ale nie może.

– Niestety, nie mogę ujawnić takich informacji.

– Czyli zaprzecza pan, że podejrzaną o dokonanie czterech brutalnych morderstw jest kobieta?

Lekkie wahanie.

– Nie zaprzeczam, ale też nie potwierdzam. Nad tą sprawą pracują najlepsi śledczy. Dla uspokojenia opinii publicznej dodam, że jesteśmy już naprawdę bardzo blisko. Schwytanie sprawcy jest kwestią najbliższych dni.

– Czyli pojawiły się w tej sprawie nowe fakty?

– Tak, w trakcie śledztwa znaleźliśmy bardzo mocne dowody, które pomogą ustalić sprawcę.

– Czyli sprawcą może być kobieta?

– Nic nie jest wykluczone.

Prowadzący wiadomości w studio krótko skomentował, kto z kim rozmawiał, i pojawiły się kolejne informacje.

Marcin wyłączył telewizję i nastawił muzykę. Z głośników popłynęły ostre dźwięki rozpoczynające jedną z ostatnich płyt zespołu Dream Theater. Chwilę wsłuchiwał się w perfekcyjnie ustawiony mechanizm, w którym każdy instrument grał to, czego można było się po nim spodziewać. Ani jednego zbędnego dźwięku, prawdziwa perfekcja. Muzyka pozwoliła mu się odprężyć i myśli Zakrzewskiego podążyły własnymi torami.

Motyw zemsty idealnie pasował do tej sprawy. Tym bardziej, że raczej nie jest ona wynikiem impulsywnego działania. Zemsta jest zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. Ma być przecież rodzajem kary za krzywdy doznane przez tego, który chce się zemścić. Musi więc być tak przeprowadzona, żeby dokonujący zemsty miał wystarczającą satysfakcję z zadawanego ofierze bólu i żeby cierpienie było większe niż to, które było kiedyś jego udziałem. Dokładnie tak było w przypadku mordercy ze zdjęcia. Zabójstwa zaplanowano i zrealizowano z chirurgiczną precyzją, bez niepotrzebnych śladów. Nie licząc tych, które miały zmylić policję.

W zemście jako motywie Marcin dostrzegał jednak sporą niekonsekwencję, która rozbijała całość. Skoro morderstwa na wybrzeżu przez tyle lat pozostawały nierozwiązane, skąd sprawca mógł wiedzieć, że stoją za nimi Koskowski, Kurzaj, Rudnicki i Jarosz? Oczywiście Rudnicki napisał książkę i wiele zdradził. Jednak nie wszystko. Do tej pory policja zakładała, że to dzięki książce morderca trafił na trop całej czwórki. Przyczyną zemsty miały być zwłoki Zawistowskiej. Tymczasem od ujawnienia morderstw w Nowęcinie teoria została przewrócona do góry nogami. Już nie była to kobieta, tylko dwa inne morderstwa, a przecież Rudnicki w książce nie wspomina

o nich ani słowem. Morderca nie mógł więc się o nich dowiedzieć z książki. W takim razie skąd? Pytanie było istotne dla całego śledztwa, kto wie, czy w tej chwili nie najistotniejsze.

Wklejony do jednego z utworów Dream Theater pisk opon na asfalcie, a potem odgłos rozbijanego samochodu, wyrwał Marcina na chwilę z rozmyślań. Poszedł do lodówki po drugie piwo i po drodze przypomniał sobie, że przecież jutro rano wyjeżdża. Wyciągnął z szafy plecak i zaczął szybko pakować do niego ubrania na zmianę. Slipy, koszulki, skarpetki, zastanawiał się jeszcze nad drugimi spodniami, lecz zrezygnował. Wyjeżdżał przecież na jedną noc.

Nie minęło pięć minut i znowu zaczął rozmyślać. Wyciągnął przed siebie nogi i popijał piwo prosto z butelki.

Nawet gdyby morderca domyślił się z książki Rudnickiego, że pisarz może coś wiedzieć o morderstwach w Nowęcinie, skontaktował się z nim, a potem w jakiś sposób wymusił na nim zdradzenie szczegółów, i tak pozostawał jeden podstawowy problem.

Czas.

Książka *Anatomia miłości* ukazała się w księgarniach niecały rok przed zabójstwami. Jednak żeby przygotować taką zemstę, potrzeba było o wiele więcej czasu. Oczywiście ktoś powiązany z wydawnictwem mógł wcześniej przeczytać książkę, ale to i tak byłby dość naciągany pomysł. Morderca doskonale rozpracował Koskowskiego i jego firmę, wiedział o córce Banaszkiewiczza, odnalazł Jarosza, który szczególnie unikał rozgłosu, za pomocą niedopałków wskazał na Wolską... Na przygotowanie takiej zemsty potrzeba więcej czasu niż rok czy dwa lata.

Z taką myślą Marcin dopił piwo i poszedł pod prysznic. Gdy kładł się spać, zobaczył na telefonie wiadomość tekstową. Przeczytał ją i już wiedział, że zanim pojedzie z Parolem na wybrzeże, musi jeszcze odwiedzić cmentarz.

## 43 Cmentarz

22 lipca, środa przed południem

Oddział Cmentarza Komunalnego w Jerzmanowie był niewielką nekropolią usytuowaną z dala od domów mieszkalnych, przy spokojnej ulicy. Mały parking przed głównym wejściem prawie zawsze był pusty, drzewa, krzewy i żywopłoty były tu starannie przystrzyżone i zadbane, alejki wysprzątane, kubły na śmieci opróżnione. Gdyby nie świadomość, że to miejsce wiecznego spoczynku, można byłoby powiedzieć, że cmentarz sprawia wrażenie cichego i przytulnego. Podobno miasto nie zamierzało go powiększać, niedługo miał zostać zamknięty z braku miejsc.

Burza, jaka przeszła dwa dni wcześniej, i tu zostawiła jednak wyraźne ślady, brutalnie ingerując w ład i harmonię. Wyrwane z korzeniami drzewo stojące nieopodal bramy, upadając, oparło się o ogrodzenie i zatarasowało wjazd na główną alejkę prowadzącą do kaplicy. Ktoś zdążył już odciąć piłą motorową grubsze gałęzie, umożliwiając w ten sposób w miarę swobodny przejazd przez bramę. Dalej było jednak gorzej. Inne drzewa, które nie wytrzymały starcia z siłami natury, przewróciły się na nagrobki. Połamane gałęzie leżały teraz z boku alejek, nawet niektóre krzewy iglaste były przygięte do ziemi, jakby składały hołd niewidzialnym istotom zamieszkującym najbliższą okolicę.

Policyjny radiowóz zaparkował przed cmentarną bramą. Obolały Marcin Zakrzewski z trudem wysiadł i zarzucił na ramię plecak. Popatrzył, jak wóz patrolowy odjeżdża, po czym wolno pokuśtykał na cmentarz. Ominął wielką kałużę na

samym środku ścieżki tuż za bramą i poszedł dalej. Pogoda wracała szybko do swojej najgorszej wersji, jaką prezentowała tego lata. Słońce wyszło zza chmur i koszmarny upał natychmiast wrócił. Żar rozlewał się po ziemi coraz szerszym strumieniem.

Marcin doszedł do kapliczki i rozejrzył się. Po uroczystości pogrzebowej, która odbyła się tutaj niedawno, nie było już śladu. Nieopodal stali dwaj robotnicy i palili papierosy. Widok ich nieszczęśliwych min dowodził, że to oni mają posprzątać cmentarz po burzy.

– Panowie, tu dzisiaj był pogrzeb.

Bez słowa, prawie jednocześnie wskazali aleję prowadzącą w prawo. Marcin ruszył w tamtą stronę i po chwili zobaczył świeży grób, przy którym stała tylko jedna osoba.

Doktor Jan Musiał ubrany był w czarny garnitur i elegancki krawat w tym samym kolorze. Jak wytrzymał w takim stroju rosnący upał, pozostawało zagadką.

Odwrócił się, słysząc podeszwy butów Marcina chrzęszczące na szutrowej alei. Skinęli sobie głowami i wymienili mocny uścisk dłoni. Marcin stanął obok. Nawet nie pomyślał o kwiatach. Wystarczyłaby przecież symboliczna wiązanka. Przez tę cholerną pracę kiedyś do reszty zdziczeje i nie będzie umiał żyć wśród zwykłych ludzi.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – odezwał się Musiał.

Zanim Marcin zdążył odpowiedzieć, mówił dalej:

– Nigdy bym nie przypuszczał, że Hania będzie aż tak podobna do swojej matki.

Z fotografii umieszczonej pod krzyżem patrzyła na nich młoda, piękna kobieta z długimi ciemnymi włosami opadającymi na ramiona. Marcin nie mógł sobie darować, że mając przed oczami rekonstrukcję twarzy Alicji Zawistowskiej, nie poznał w niej Hanny. Przecież były do siebie bardzo podobne, jak siostry. Przez chwilę miał Hannę tak blisko

i przegapił okazję, żeby wszystko ułożyło się inaczej. W jego wyobraźni portret ożył i zmienił się w prawdziwą Hannę Duciak. Marcin znowu widział jej roześmianą twarz, kiedy zdejmowała kask po szybkiej jeździe motocyklem, wspominał jej zamysłone spojrzenie, gdy siedziała na wzgórzu i patrzyła w dal na spowitą mgłą upału górę Ślężę. Jej pytające spojrzenie w cukierni, kiedy zakładała włosy za ucho. Potem nieuchronnie zobaczył ją stojącą w deszczu pomiędzy husarskimi skrzydłami i do jego uszu znowu doleciał odgłos wystrzału. Zacisnął powieki, żeby zmazać ostatnie obrazy. Na krótko się udało, lecz pewnie jeszcze nieraz powrócą.

– To ja wychowywałem Hanię – opowiadał Musiał. – Nigdy bym nie przypuszczał, że jej trauma po stracie matki będzie tak silna. W młodości sprawiała kłopoty wychowawcze, lecz zawsze była rozsądną dziewczyną. Jej bunt tłumaczyłem młodym wiekiem, myślałem, że próbuje znaleźć sobie miejsce w życiu. Do wczoraj myślałem, że to miejsce sobie znalazła. Wiesz, ja nigdy nie miałem swoich dzieci, może dlatego nie stworzyłem jej takiej rodziny, jakiej potrzebowała.

– Zrobiłeś wielką rzecz – odezwał się wreszcie Marcin. – Dałeś jej dom i wychowanie. Nie ma wielu osób, które postąpiłyby w taki sposób. Nawet dla dziecka rodzonej siostry. Wierz mi.

– Może masz rację – Musiał pokiwał głową. – Ale to wszystko spadło na mnie zupełnie nieoczekiwanie i nie mogę sobie z tym poradzić... – Głos mu się załamał. Przełknął parę razy ślinę, walcząc ze łzami, wreszcie znowu przemówił: – Cały czas bałem się, że Hania będzie taka sama jak jej matka. Szalona... wiesz, co mam na myśli.

– J-jasne.

– Jej szaleństwo objawiło się w zupełnie inny sposób.

Marcin znowu to zobaczył: Hanna krzyczy: „Już nie!”, po czym przykłada sobie pistolet do skroni. Postanowił zmienić

temat.

– Skąd nazwisko Duciak? – zapytał.

– Po babci. Hanna zmieniła nazwisko, gdy tylko skończyła osiemnaście lat. Nie chciała być Zawistowska po matce. Nie chciała też przyjąć mojego nazwiska i wcale jej się nie dziwię. Ja przyjąłem nazwisko żony. Też nie chciałem być Zawistowski. Pewnie przez Alicję.

Z trudem wstrzymywane wspomnienie eksplodowało w końcu pod czaszką Marcina. Znowu tam był.

Przez miasto przewalała się burza, porywisty wiatr niósł ze sobą kaskady ulewnego deszczu. Hanna – upadły anioł – stała między skrzydłami pomnika i podnosiła pistolet do skroni. Jej krzyk poniósł wiatr i zaraz potem rozległ się odgłos wystrzału. Brzmiał nienaturalnie głośno, jakby zwielokrotniony echem. Dopiero kiedy Marcin chwycił upadające, bezwładne ciało Hanny, zrozumiał, dlaczego tak się stało. Zerwała strzał. Zbyt mocno pociągnęła za spust, dłoń mimowolnie wykonała ruch, unosząc lufę kilka milimetrów wyżej. To wystarczyło, żeby kula przeleciała nad jej głową i trafiła w kamienny monument. Pomnik wpadł w wibracje, wydając z siebie jakby jęk wzmacniający odgłos wystrzału.

– Jak się czuje Hanna? – zapytał Marcin.

Jan Musiał długo nie odpowiadał.

– Masz papierosa? – odezwał się wreszcie.

Zakrzewski odruchowo chciał zaprzeczyć, lecz przypomniał sobie, że poprzedniego dnia Paulina dała mu prawie pełną paczkę, kiedy wychodzili ze szpitala. Poczęstował doktora. Ze sposobu, w jaki Musiał obchodził się z papierosem, można było wywnioskować, że nigdy wcześniej nie palił. Były jednak takie chwile w życiu, gdy trzeba było czymś zająć ręce. Poza tym dym uspokajał. Tak przynajmniej uważał Marcin.

– Trafiła do szpitala w stanie szoku. Już rano była u niej policja z nakazem aresztowania wystawionym przez

prokuratora. Na szczęście lekarz się nie zgodził i teraz przed jej drzwiami siedzi dwóch mundurowych. Lekarze wiecznie jej trzymać nie będą, w końcu trafi do aresztu.

– Narobiła sobie poważnych kłopotów.

– Tak to oceniasz?

– Czynna napaść na policjanta, kradzież jego służbowej broni, potem usiłowanie zabójstwa – wyliczał Marcin, wpatrując się w żar papierosa. – To bardzo poważne zarzuty. Jeśli podczas przesłuchania Hanna wyrazi skruchę, powoła się na okoliczności, sąd może wyrazić zgodę na zwolnienie z aresztu za poręczeniem majątkowym. Na szczęście nie doszło do najgorszego.

– Są jakieś szanse w sądzie? – Musiał ze wstrętem rzucić papierosa i roztarł go podeszwą.

Marcin za to zapalił następnego.

– Jakiś wyrok dostanie. Jeśli jednak sąd będzie jej przychylny, może skończyć się na zawieszeniu. Musicie znaleźć dobrego adwokata. – Spojrzał z góry na doktora. – Nie to chciałeś usłyszeć?

– Nie, ale dobrze, że mi to mówisz – odpowiedział Musiał drewnianym głosem.

Piknął telefon Marcina. Wciągnął aparat z kieszeni i przeczytał krótką wiadomość od Szawczaka: „Jestem”.

– Muszę iść – powiedział. – Pozdrów ode mnie Hannę.

Uścisnęli sobie mocno dłonie.

– Zakrzewski!

Marcin zdążył odejść kilka kroków, kiedy dobiegło go wołanie Musiała. Odwrócił się.

– Dziękuję! Gdyby nie ty, mogło się to dla Hanny skończyć o wiele gorzej.

Marcin nie odpowiedział. Pokiwał tylko głową i poszedł zalaną słonecznym żarem cmentarną alejką. Parol czekał na niego na pustym parkingu.



# 44 Parol

22 lipca, środa, wieczór

Marcin ostatni raz jechał samochodem nad morze jakieś piętnaście lat wcześniej. Tamtą podróż zapamiętał jako wyjątkowo traumatyczne przeżycie. Upał, auto bez klimatyzacji, duży ruch na podrzędnych drogach przez Poznań, Piłę i Koszalin. Jechał cały dzień od wczesnych godzin porannych. Tym razem GPS pokierował ich zupełnie inaczej. Mieli jechać ekspresówką S8 na Łódź, tam odbić na autostradę A1 w stronę Gdańska i dalej przez Wejherowo prosto do Lęborka. Cała trasa liczyła ponad sześćset kilometrów i zgodnie z sugestią satelity, mieli ją pokonać w sześć godzin. Oczywiście czas mógł się wydłużyć w razie korków do bramek opłat na A1, ale i tak zapowiadało się niezłe. No i golf Szawczaka miał sprawną klimatyzację, która nie śmierdziała już tak jak jeszcze niedawno po odkażaniu.

Poziom optymizmu Zakrzewskiego znacznie się obniżył, gdy tylko wyjechali za miasto. Szawczak jechał ciągle prawym pasem, nie przekraczając prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, do tego radio nastawił na rozgłośnię, która nadawała niestrawną muzyczną papkę. Marcin postanowił jednak, że nie będzie komentował i się trochę zdrzemnie. Niestety, nic z tego nie wyszło. W okolicach Sycowa pod błahym pretekstem zaproponował Parolowi, żeby zmienili się za kółkiem. Okazało się, że z golfa można wycisnąć o wiele większe prędkości. Stację też można było zmienić na Antyradio,

które nadawało muzykę znacznie bliższą upodobaniom Marcina.

Od początku rozmowa im się nie kleiła. Szawczak był spięty i zamknięty w sobie. Wyglądał, jakby od wielu nocy niewiele spał. Wszelkie próby nawiązania kontaktu zbywał półsłówkami. Wreszcie zasnął w dość niewygodnej pozycji.

Obudził się dopiero, gdy na wysokości Łodzi Marcin zjechał na Orlen, żeby zatankować i zrobić sobie przerwę. W barze przy stacji benzynowej zjedli obiad, wypili kawę, a potem wyszli jeszcze na papierosa. Szawczak też zapalił. Nagle zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaczął odpowiadać na pytania pełnymi zdaniami, a nawet zaczął sam je formułować.

– Podobno chcesz odejść z policji po tej sprawie?

Pobliską drogą ekspresową przemknęły trzy wielkie ciężarówki, rycząc niczym stado prehistorycznych mamutów. Nie takie pytanie Zakrzewski chciał usłyszeć. Parol przypomniał mu o czymś, co na jakiś czas wyrzucił z pamięci. Teraz ze zdziwieniem musiał przyznać, że odpowiedź nadal jest twierdząca. Tak, zamierza zmienić pracę. Nie chce już być policjantem, uganiać się po całym kraju za zboczeńcami i zwyrodnialcami. Chce dużo w życiu zmienić, żeby żyć normalnie i mieć ważniejsze cele niż praca.

Spróbował się przeciągnąć i syknął z bólu. Rany na plecach wciąż były bardzo świeże.

Nie odpowiedział.

– Słyszałem takie plotki – kontynuował Parol.

– Plotka rozprzestrzenia się szybciej niż światło. Czasem nawet nie potrzebuje ludzi.

– Czyli to nieprawda?

– W tym wypadku jednak prawda. Chcę coś zmienić w życiu.

Szawczak zaciągnął się dymem i zapatrzył gdzieś w dal.

– Każdy by chciał coś zmienić – powiedział jakby do siebie. – Tylko zazwyczaj się nie da.

Pojechali dalej.

Nie stali nawet zbyt długo na bramkach poboru opłat przy wjeździe na autostradę. Potem poszło jeszcze szybciej. Parol wyciągnął notatki i relacjonował Marcinowi, czego dowiedział się o ofiarach.

– Stanisław Kurtz, dwadzieścia sześć lat. Wtedy Milicja Obywatelska określała takich gości mianem „niebieski ptak”. Nigdzie nie pracował, robił podejrzone interesy, handlował walutą, był aresztowany za paserstwo, ale podpisał zobowiązanie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i się wywinął. Znalazłem w IPN-ie jego teczkę. Całkiem nieźle. Sypnął paru kumpli cinkciarzy. Pewnie chciał zlikwidować konkurencję. Lubił wypić, latem odwiedzał dancingi w Łebie.

– Ciekawy gość – mruknął Marcin, wyłączając radio. Fale radiowe zaczęły zanikać, a odgłosy autostrady i tak skutecznie zagłuszały muzykę.

– Mieszkał w Nowęcinnie w domu po zmarłych rodzicach. Miał żonę i córeczkę. Nie przeszkadzało mu to jednak w podrywaniu turystek.

– A jego brat?

– Zupełne przeciwieństwo. Wyjeżdżał do RFN do pracy. Dzięki temu wybudował się w pobliżu domu rodzinnego. Spokojny, pracowity, oddany rodzinie, wierny żonie, kochający jedyną córkę. Zginął prawdopodobnie przez przypadek. Pechowo spotkał brata w drodze do domu, kiedy Jarosz z towarzystwem postanowili dać Stanisławowi dodatkową nauzkę.

– J-jasne.

Z przypadkowymi, bezsensownymi zabójstwami Marcin spotykał się już w swojej pracy wielokrotnie. Zadzwoił telefon Parola. Odebrał, chwilę rozmawiał i się rozłączył.

– Dzwonił aspirant Jacek Woźniak z komendy w Lęborku – oznajmił.

– I co?

– Zarezerwował nam nocleg w Łebie przy drodze do Nowęcina. Drewniany domek, akurat jest wolny. Właścicielka jest jego kuzynką, nic nie płacimy.

– Miło z jego strony.

– Nie może się z nami dzisiaj spotkać. Przyjedziemy poza godzinami pracy komendy, a poza tym ma małe dziecko, które się rozchorowało, i takie tam historie.

– J-jasne.

– Sprawia wrażenie porządnego gościa.

Marcin nie skomentował, skupiony na wyprzedzaniu kawalkady ciężarówek.

Na kolejny postój zatrzymali się na przedmieściach Gdyni. Była już osiemnasta, kiedy wypili kolejną kawę, zapalili po papierosie i ruszyli w ostatni etap podróży. Zmienił się cel. Musieli dojechać do Łeby, trzydzieści kilometrów za Lęborkiem.

Po drodze zadzwoniła Paulina Czerna. Marcin zwolnił i odebrał.

– Jak wam idzie? – zapytała.

– Już niedaleko.

Marcin po tonie jej głosu rozpoznał, że jest problem.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nie możemy znaleźć akt ze sprawy zabójstw w Nowęcinie – powiedziała.

– Nie rozumiem. Mów jaśniej.

– Nie można jaśniej. – W jej głosie pojawiła się irytacja. – W archiwum pod tym numerem stoi poste pudełko. Całą zawartość szlag trafił. Nie ma protokołów, a najgorsze, że zniknęły zabezpieczone w miejscu zbrodni ślady biologiczne.

Marcin przyhamował gwałtownie i zatrzymał się na poboczu drogi, włączając światła awaryjne.

– Jak to możliwe? Może ktoś je przełożył w inne miejsce?  
– Bardziej prawdopodobne, że ukradł – powiedziała Paulina.  
– Pięć lat temu przeprowadzono digitalizację akt. Dzięki temu mamy chociaż część. Podejrzewamy, że ktoś ukradł akta podczas tych prac. Sprawdzamy już pracowników firmy komputerowej odpowiedzialnej za archiwizację. Do akt nie miały dostępu osoby przypadkowe. Niedługo powinniśmy coś mieć.

– Dobrze, działajcie. Może na komendzie w Lęborku mają coś więcej?

Paulina się rozłączyła, a oni pojechali dalej. Marcin streścił Szawczakowi rozmowę. Ten skwitował nowe fakty soczystym przekleństwem.

– A jeśli ktoś ukradł akta i rozwiązał sprawę morderstw w Nowęcinnie na długo przed zamordowaniem Rudnickiego? – zapytał nagle Parol. – Miałby sporo czasu na przygotowanie zemsty.

Marcin spojrział na niego z uznaniem.

– Też przyszło mi to do głowy – odpowiedział. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak było.

\*

Dwie godziny później minęli tablicę „Księstwo Łeba wita!”.

– Czego się nie robi dla turystów – mruknął Parol.

Marcin pokiwał tylko głową, naciskając na hamulec i zwalniając do przepisowej prędkości. Zaraz po wjeździe do miasta stanęli w wielkim korku. Był szczyt sezonu, pewnie wszystkie miejsca zajęte, a do miasta zjechało się dziesięć razy tyle turystów ilu miało mieszkańców – jeśli nie więcej. Chodniki też były pełne zmęczonych upałem ludzi, błakających się bez wyraźnego celu. Na szczęście nawigacja kazała policjantom

skręcić w prawo. Tu już było spokojniej. Po kilkuset metrach znaleźli ulicę Mickiewicza.

Powitała ich właścicielka, sympatyczna kobieta w wieku około czterdziestu lat. Oproceedziła ich po posesji. Od strony ulicy stał stary dom wybudowany przez jej rodziców, z tyłu, na dużym podwórzu zobaczyli trzy drewniane domki dla turystów. Stały pod skarpą stromego wzniesienia porośniętego na szczycie drzewami. Marcin wjechał autem na posesję i zaparkował obok domku. Właścicielka dała im klucze, życzyła dobrej nocy i zniknęła. Domek w środku sprawiał bardziej sympatyczne wrażenie niż z zewnątrz. Był duży salon, w pełni wyposażony aneks kuchenny, łazienka z toaletą. Schody prowadziły na poddasze, gdzie stały jeszcze dwa łóżka. Marcin od razu się zadeklarował, że śpi na górze. Może mu się wydawało, lecz Parol przyjął to oświadczenie z wyraźną ulgą.

Zagospodarowali się szybko i Marcin pomyślał, że trzeba pójść do sklepu po zakupy na kolację i śniadanie. Wtedy Szawczak wyciągnął z bagażnika sporej wielkości torbę.

– Pomyślałem, że możemy późno dojechać – rzucił, uśmiechając się lekko zmieszany, z policzkami płonącymi czerwienią.

Z torby wyjął chleb, masło, pomidory, paprykę, konserwy turystyczne, żółty ser, butelkę coca-coli i na koniec, czerwieniąc się jeszcze bardziej, dużą butelkę whisky.

– Wieczór będzie długi – powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić – A słyszałem, że jesteś miłośnikiem whisky.

Zakrzewski roześmiał się szczerze ubawiony.

– Bardzo dobry pomysł, Parol – przyznał. – Naprawdę jestem pod wrażeniem twojej zapobiegliwości.

– Tylko zrobiła się ciepła, a tu pewnie nie ma lodu.

Włożyli butelkę do zamrażalnika małej lodówki i zajęli się przygotowaniem kolacji. Po chwili Marcin zjadał się kanapką z konserwą, zagryzając pomidorem.

– Nawet nie wiesz, jaką frajdę mi zrobiłeś – mówił z pełnymi ustami, uważając, żeby nie poplamić koszulki pomidorem. – Takie jedzenie kojarzy mi się z wyjazdami nad morze pod namiot, kiedy byłem nastolatkiem. Takie były czasy, że konserwy rybne wozilo się wtedy nad morze, mimo że tutaj je produkowano. Niewiele osób teraz jest to w stanie zrozumieć.

– Ja na szczęście tamtych czasów nie pamiętam.

– Nic nie tracisz, wierz mi na słowo.

Po kolacji Marcin usiadł na progu i zapalił papierosa. Szawczak wyciągnął butelkę z zamrażarki i nalał do dwóch szklaneczek. Alkohol jeszcze się nie zmroził, ale była szansa, że kolejne drinki będą chłodniejsze.

Oczywiście na początku rozmowy pojawiły się klasyczne pytania, które padają w takich okolicznościach. Zaczął Szawczak.

– Pamiętasz, dlaczego zostałeś gliną? – zapytał.

Pytanie może i było oczywiste, lecz odpowiedź już nie. Marcin musiał się dłużej zastanowić.

– Nie mam pojęcia – odezwał się wreszcie szczerze. – Wydaje mi się, że zadecydował czysty przypadek. Któryś z moich kolegów rzucił hasło, że idzie do policji, więc powiedziałem dla kawału, że też spróbuję. Myślałem, że mnie nie przyjmą. Niestety, przyjęli.

Parol uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ten kolega nazywał się Paulina Czerny?

Spostrzeżenie było wyjątkowo celne.

– Kto by tam teraz pamiętał – odpowiedział wymijająco.

– Podobno przez wiele lat ze sobą nie rozmawialiście.

– Jakoś tak wyszło...

– Koledzy z wydziału opowiadają, że jak już zaczęliście rozmawiać, było między wami burzliwie.

Marcin chrząknął ostrzegawczo.

– Zamiast wkraczać na niebezpieczne tematy, skocz lepiej do lodówki po butelkę.

Parol zaśmiał się i wyjątkowo ochoczo spełnił polecenie. Kiedy już wypili, Marcin poczęstował go papierosem. Palili w milczeniu, siedząc na progu domku. Marcin był nawet zadowolony, że Parol nie wraca do sprawy, z jaką tu przyjechali. Może chociaż przez te kilka godzin uda im się pomyśleć o czymś innym.

Wrócili mieszkańcy pozostałych dwóch domków. Starsi państwo tylko skinęli im głowami i zaraz zniknęli w budyneczku po lewej stronie. Ten po prawej zamieszkiwało małżeństwo z trójką dzieci. Spokojne dotąd podwórze wypełniło się gwarem dziecięcych głosów i pokrzykiwaniami rodziców, którzy próbowali nad tym żywiołem zapanować i robili jeszcze większe zamieszanie. Kiedy ojciec zabrał się za rozpalanie stojącego w rogu grilla, zdecydowali, że czas przenieść się do środka. Z żalem pożegnali chłodny powiew wiatru od morza i usiedli przy małym stole w kuchni.

– A ty jak trafiłeś do policji? – zrewanżował się pytaniem Zakrzewski.

Szawczak napełnił szklaneczki. Oczy zaczęły mu się świecić nienaturalnym blaskiem, Marcin miał wrażenie, że szybkość jego wypowiedzi nieznacznie spadła. Najwidoczniej Parol nie miał mocnej głowy, a tempo, z jakim nalewał kolejne porcje alkoholu, mogło okazać się dla niego zabójcze.

– To był mój sposób na dowartościowanie się – padła odpowiedź.

– Nie rozumiem. – Zakrzewski pokręcił głową, chociaż już wiedział, co będzie dalej.

Rzewna historyjka rodem z kina klasy B o trudnym dzieciństwie i niezrozumieniu przez rówieśników. Nie mylił się.

– Zawsze byłem grzecznym i nieśmiałym dzieckiem, zawsze miałem te pierdolone czerwone plamy na policzkach i przez to



nie miałem wielu kolegów. Miałem za to tysiąc głupich przezwisk. Jeśli z kogoś się nabijano na przerwie, to byłem ja, jeśli jakiś tornister wylatywał przez okno z drugiego piętra, mogłem się założyć, że mój. Do tego idiotyczne imię Gotard, jak u Sienkiewicza. Mówiłem ci już, skąd wzięła się ksywka Parol?

Marcin pokiwał głową i sięgnął po kolejnego papierosa. Paulina zrobiła mu chyba na złość, dając mu tę paczkę. Na szczęście zostało już tylko kilka. Szawczak widząc, że sięga po papierosy, nie wiadomo skąd wyczarował pełną paczkę takich samych, cienkich mentoli. Palili, starając się dmuchać dymem w kierunku otwartego okna. Oczywiście nic z tego nie wychodziło. Słońce już zaszło, podwórze pogrążyło się w półmroku.

Szawczak ciągnął opowieść w jeszcze wolniejszym tempie.

– W maturalnej klasie koledzy zjedli mi kanapki. Któryś raz z rzędu. W końcu nie wytrzymałem i doszło do ostrej bijatyki. Pierwszy raz się tak ostro postawiłem. Nieźle mnie wtedy stłukli, ale kilku amatorów mojego śniadania też nieźle oberwało. Uznali, że kanapki nie są tego warte, i dali mi spokój. Za to dziewczyny nareszcie zaczęły patrzeć na mnie inaczej. – Szawczak się zaśmiał. – Pomyślałem, że w życiu lepiej mieć władzę. Dlatego zgłosiłem się do szkoły policyjnej. Banał, prawda?

– Trochę banał – przyznał rozbawiony Marcin. – I co, kobiety dalej patrzą na ciebie inaczej?

Parol znowu sięgnął po butelkę i nalał kolejnego drinka.

– Cholera, żebym miał czas na kobiety – mruknął.

Wypili i mówił dalej, walcząc z narastającą sztywnością warg i języka.

– Trochę pijany... już jestem, ale co tam, czasem trzeba się zresetować, żeby nie dostać jobla. Wiesz, zawsze miałem smykałkę do komputerów. Właściwie nigdy się nie kształciłem w tym kierunku... jestem samoukiem. Można powiedzieć, że

jestem w tym dobry. Nawet należałem kiedyś do grupy hakerów i robiliśmy różne głupie rzeczy. No, ale kiedy dostałem się do szkoły policyjnej, musiałem z tego zrezygnować. Niektóre akcje nie były do końca legalne.

– Dlaczego w takim razie jesteś w kryminalnej, a nie zajmujesz się cyberprzestępczością?

– Jakoś tak samo wyszło. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, Zakrzewski, nie chcę, żeby to brzmiało jak wazeliniarstwo, ale od zawsze mi imponowałeś. Jesteś facetem z wielkimi osiągnięciami, w dupie masz układy i nikt ci nie podskoczy. Taką masz pozycję w wydziale. Czy byłeś w komendzie miejskiej, czy wojewódzkiej, nieważne. Jesteś wzorem dla wielu młodych chłopaków. No i... dla mnie też.

Marcin uśmiechnął się ponuro.

– Naprawdę warto mieć mnie za wzór? – zapytał retorycznie.  
– Z powodu jednej sprawy, której omal nie spierdoliłem? Nie chcę być takim idolem.

– Nie gadaj głupot. Seryjny morderca zastrzelony przez komisarza Zakrzewskiego. To działa na wyobraźnię.

– J-jasne.

Znowu wypili.

– Ucieszyłem się, że będziemy razem pracować – ciągnął coraz bardziej pijany Parol. – Nawet chciałem się pochwalić matce, ale ją to gównem interesuje. A jak mnie wywalą z policji, to też przez nią.

– A co ona mam z tym wspólnego?

Parol przeniósł wzrok z niego na pustą szklanekę, którą obracał w dłoniach. Jakby się zastanawiał, co powiedzieć. Wreszcie drżącą dłonią sięgnął po papierosa, zapalił i podjął decyzję.

– Powiem, co mi tam. Kiedyś i tak wszyscy się o tym dowiedzą.

– Co się dzieje, Parol? – Marcin przyjrzał mu się uważnie.

– Odkąd pamiętam, wychowywałem się sam, w różnych domach, u różnych ludzi. Ojca nie znałem, a matka miała problem z narkotykami. Czasem się pojawiała na miesiąc, dwa, starała się być najlepszą matką na świecie, udawała, że wszystko gra. Potem znowu zaczynała brać, znikwała na kolejne miesiące, lata. Wreszcie się usamodzielnilem i kupiłem nawet mieszkanie. Dwa lata temu spotkałem ją na ulicy...

Zamilkł na dłużej. Papieros w dłoni spalał mu się na popiół, ale on jakby go nie widział.

– I co? – Zakrzewski nie wytrzymał.

– Przygarnąłem ją. W końcu to moja matka, nie?

– Nie musiałeś.

– Wiem, ale coś się ze mną stało. Nie wiedziałem, że to w ogóle możliwe. Po prostu nie potrafiłem jej zostawić na ulicy. Jest zaawansowaną heroinistką. Byłem z nią w poradni, każda próba odstawienia narkotyków mogłaby się dla niej skończyć śmiercią. Właściwie jest w takim stanie, że każda dawka też może ją zabić. I najważniejsze... ona nie próbuje przestać. Chyba chce tak skończyć. Może jest trochę starsza od ciebie.

– Kupujesz jej heroinę?

Parol pokiwał głową.

– Przecież to dla ciebie samobójstwo.

– Nie musisz mi o tym mówić. Też jestem gliniarzem. Wiem, że ci od narkotyków rozpracowują nie tylko dilerów, ale też klientów. Pewnie mają mnie w kartotece, tylko nikt mnie nie rozpoznał. Wystarczy jedna większa akcja i wpadnę. A wtedy mnie wypierdolą z policji.

Tym razem Marcin sięgnął do zamrażalnika i nalał whisky do szklanek.

– Powinieneś coś z tym zrobić – powiedział. – Posłuchaj, Parol, mam różne znajomości. Mogę spróbować ci pomóc...

– Nie! – Szawczak chwycił go niespodziewanie za nadgarstek ręki i ścisnął. – Nic nie rób. Muszę sobie z tym poradzić sam.

W jego głosie i spojrzeniu była taka determinacja, że Marcin skinął głową.

– Dobrze.

Parol opadł na krzesło z krzywym uśmiechem na twarzy i zakręcił złotym płynem w szklance.

– A teraz pijmy i o kłopotach zapomnijmy!

Wychylił porcję alkoholu jednym haustem. Marcin zamoczył tylko usta w swoim trunku i odstawił szklankę na stół. Popatrzył na kolegę poważnie.

– Parol, skąd ty bierzesz kasę na narkotyki? – zapytał. – Przecież nie z policyjnej pensji. Nie jesteś chyba w nic umoczony?

– Spokojna głowa, Zakrzewski, spokojna głowa! – roześmiał się Szawczak. – Nie jestem skorumpowany, jeśli o to ci chodzi. Jestem czysty jak łąza, kasę mam z czegoś innego.

– Komputery – domyślił się Marcin. – Jesteś hakerem.

– Komputery tak, hakerstwo nie! Mówiłem już, że z tym skończyłem. Jestem dobry w grach. Startuję w turniejach, sprzedaję zawansowane postaci z wirtualnych gier, jestem graczem do wynajęcia na każdy turniej. Gdybym się poświęcił tylko temu, byłbym najlepszy w kraju, może w światowej czołówce. Ale mam coraz mniej czasu i coraz mniej to lubię.

– Cholera, kiedy to wszystko robisz?

– W nocy, kiedy powinienem smacznie spać... i w każdym innym momencie... kiedy jestem w domu – zaśmiał się coraz bardziej pijany Parol.

Marcin nachylił się do niego.

– Szawczak, posłuchaj mnie – rzucił, starając się, żeby jego słowa zabrzmiały twardo i dobitnie. – Jesteś zbyt dobrym gliną, żeby w ten sposób zasrać sobie życiorys. Musisz coś z tym zrobić. I to jak najszybciej. Obiecuj mi to.

Parol popatrzył mu w twarz wyjątkowo przytomnie.

– Obiecuję – powiedział.

– Dobrze. – Marcin pokiwał głową.

– A teraz chyba już pójde spać.

Szawczak wstał. Chwiejnym krokiem poszedł w kierunku najbliższego łóżka, runął na nie w ubraniu i znieruchomiał. Po chwili dobiegło stamtąd ciche pochrapywanie.

Marcin dopił resztkę whisky z butelki, zgarnął ze stołu papierosy i wyszedł z domu. Na podwórzu panowała już niczym niezmacona cisza. Sąsiedzi z dziećmi skończyli grillowanie i najwidoczniej kładli się już spać. Świeciły gwiazdy, od strony morza wiała chłodniejsza bryza, niosąc ze sobą charakterystyczny zapach, który Marcinowi zawsze kojarzył się z rybą, solą i morską wodą.

Zapalił papierosa, wyszedł na ulicę i przeszedł kilkaset metrów w prawo, utykając lekko. Miał nieprzyjemne uczucie, że szwy pod kolanem zaraz puszczą. Minął go jadący drogą samochód. W światłach rzucanych przez reflektory Marcin zobaczył znajdującą się nieopodal tablicę z napisem Nowęcín.

Po raz kolejny całym sobą poczuł, że jest blisko.

Naprawdę blisko.

# 45 Jezioro

23 lipca, czwartek przed południem

Podobno sny w nowym miejscu są prorocze.

Zakrzewski pomimo wypitego alkoholu długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, za każdym razem drewniane łóżko skrzypiało. Odgłos niósł się pośród nocnej ciszy. Kiedy wydawało mu się, że sen nadchodzi, zaczynał słyszeć inne dźwięki. Nocne ptaki, dobiegające z dołu chrapanie Szawczaka, korniki wgryzające się w stare deski. Wreszcie niespodziewanie zasnął.

Wtedy przyszło najgorsze. Bezsensowny ciąg koszmarów gonił wewnątrz jego głowy niczym stado wyjących wilkołaków. Morderca z dziurą w oczodole uśmiechał się do niego i mówił coś o diable chodzącym na palcach, Adam Kurzaj sięgał zakrwawioną dłonią do gwoźdźca, którym był przybity do drzewa, i szeptał do niego ochryple: „Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi”. Marcin odwracał się i uciekał, lecz potykał się o Koskowskiego, który cierpliwie i w milczeniu próbował wygrzebać się z kałuży stygnącego betonu pomieszanego z płynami wypływającymi z jego ciała. Zanim zdążył się podnieść, pochylała się nad nim Alicja Zawistowska, a właściwie to, co z niej zostało, i próbowała go pocałować, wtłaczając mu czarny, wyschnięty język do ust. Wyrzywał się, próbował uciec, lecz nogi grzęzły mu w głębokiej trawie i nie posuwał się ani centymetr do przodu. Znowu stał przed nim morderca, patrząc na niego jedynym przekrwionym okiem.

I tak w kółko, kilkanaście razy, aż się w tym wszystkim zagubił. Na koniec stanął przed nim jego zaginiony brat bliźniak Rysiek i zajrzał mu w twarz. „Marcin, czy ja żyję? – zapytał. – Marcin, czy ja jeszcze żyję?”

Zakrzewski otworzył gwałtownie oczy i uniósł się na łokciach. Przez chwilę nie mógł się zorientować, gdzie jest i co tu robi. Poczul suchość w ustach i ból głowy. Butelka whisky, Parol, Nowęcín. Przypomniał sobie i opadł z powrotem na łóżko. Rzucił okiem na wyświetlacz komórki. Ósma dziesięć. Z podwórka dobiegły go śmiechy i odgłosy kopania piłki. Wydawało mu się, że dzieci na wakacjach nie wstają tak wcześnie.

Zwłóknął się z łóżka, zszedł na dół, wziął szybki prysznic i dokładnie umył zęby. Przetrawiony alkohol i smak wypalonych papierosów – nienawidził tego o poranku następnego dnia po imprezie.

Ubrał się, zrobił parzoną kawę w dwóch kubkach i obudził Szawczaka. O dziwo, Parol wstał od razu i wyglądał bardziej rześko niż Marcin. Kiedy był w łazience, Zakrzewski z kubkiem kawy w dłoni wyszedł znowu na ulicę, przeszedł kilka kroków, skręcił w prawo i wspiął się na pagórek, który znajdował się za ich domkiem. Na górze wśród drzew zobaczył granitowe nagrobki. Mały cmentarzyk. Mimowolnie się roześmiał. Jak tu spać w takich warunkach?

Kiedy wrócił, Parol naszykował już kilka kanapek i wypił połowę kawy. Jedli w milczeniu.

– Marcin, rozgadałem się wczoraj – zaczął Parol niepewnie. – Musiałem to komuś wreszcie powiedzieć.

– Nie ma sprawy – mruknął Zakrzewski. – Tylko pamiętaj, co mi obiecałeś.

– Pamiętam.

Aspirant Jacek Woźniak przyjechał kilka minut po dziewiątej policyjnym radiowozem. Był mężczyzną około czterdziestki, ogolonym na łyso, ale za to ze starannie przystrzyżoną krótką brodą. W policyjnym mundurze z krótkim rękawem i z szerokim uśmiechem odsłaniającym białe zęby na niejednej kobiecie zrobiłby piorunujące wrażenie. Tyle tylko, że na Marcinie i Parolu nie zrobił. Woleliby, żeby przyjechał innym autem, trochę inaczej ubrany. Wtedy zwracaliby na siebie mniejszą uwagę.

– Witam słynnych komisarzy z Wrocławia – powiedział, zbliżając się do nich energicznym krokiem z wyciągniętą ręką.

– Masz chyba na myśli komisarza Zakrzewskiego, a nie mnie – odpowiedział mu Szawczak, kiedy ściskali sobie dłonie.

– O panu komisarzu słyszeliśmy nawet tutaj.

– Mam nadzieję, że same prawdziwe informacje, a nie wyssane z palca plotki – mruknął Marcin.

Woźniak roześmiał się głośno i przyjrzał im się z uwagą.

– Widzę, że koledzy wczoraj nie próżnowali – rzucił i widząc ich kwaśne miny, dodał szybko: – Nie przejmujcie się, jesteśmy przyzwyczajeni. Bliskość morza, spora odległość od domu – to sprzyjające okoliczności. Wierzcie mi, mieliśmy gości z branży z całego kraju i przynajmniej połowa wyglądała następnego dnia gorzej od was. A jak czasem zjeżdżają się panowie komendanci, to jest ogień.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział Zakrzewski, z trudem ukrywając zniecierpliwienie.

Nie interesowały go opowieści o tym, jak wierchuszka bawi się na szkoleniach w znanym nadmorskim kurorcie.

– Jasne, jasne. Wsiadajcie!

Ruszyli z piskiem opon. Woźniak najwidoczniej lubił mówić i z jego ust płynął potok słów.

– Na początek pojedziemy na miejsce zbrodni. Wiecie, dzieciństwo spędziłem w Nowęcinnie, tamtą tragedię pamiętam



dokładnie, jakby to było wczoraj. Zanim dorośli mnie stamtąd przegonili, widziałem ciało Michała Kurtza leżące w łódce. Wyglądał normalnie. Wydawało mi się, że po prostu sobie tam leży i zaraz wstanie. Ale i tak następne kilka lat miałem koszmary – zaśmiał się, jakby powiedział coś zabawnego.

Minęli tablicę z napisem Nowęcín, którą Marcin widział poprzedniego wieczora.

– Nie chcę się wtrącać. – Woźniak spojrział na Marcina do tyłu. – Ale jak to się stało, że kryminalni z Wrocławia zainteresowali się zbrodnią sprzed ponad trzydziestu pięciu lat?

– Część innej sprawy – odpowiedział wymijająco Marcin.

– Chodzi o te morderstwa, o których ostatnio zrobiło się głośno w prasie?

– Mniej więcej.

– Czyli przydałem się, co, Parol?

– Gdybyś nie rozpoznał tego ośrodka na zdjęciu, na pewno zajęłoby to nam więcej czasu.

– To się cieszę! – Na twarzy Woźniaka znowu pojawił się uśmiech od ucha do ucha.

Skęcili w boczną ulicę i jechali wąską drogą wyłożoną betonowymi płytami. Po lewej stronie mieli las, po prawej za ogrodzeniem ciągnął się teren z małymi domkami kempingowymi do wynajęcia.

– To ulica Jeziorna – mówił Woźniak. – Po lewej mamy jezioro Sarbsko. Te domki z drugiej strony powstały niedawno. Kiedyś tu po prostu był las, krzaki i tyle. Strasznie odludne miejsce.

Przyhamował, zjechał na pobocze i zatrzymał auto.

– To tutaj.

Przedarli się przez zarośla na skraju drogi i znaleźli się w lesie. Po kilku krokach w dali między drzewami zalśniła tafla jeziora. Woźniak wskazał im drzewo. Ktoś przybił do pnia krucyfiks. Przez lata zdążył się pokryć rdzą, postać wisząca na

krzyżu z lekka zatraciła swoje kształty. Mimo to pod drzewem leżały zwiędłe kwiaty. Mogły mieć nie więcej niż kilka dni.

– Do tego drzewa przybity był Stanisław Kurtz – wyjaśnił policjant z Lęborka i wskazał inne miejsce w stronę jeziora. – Tam stała ta stara łódź, w której zamordowano Michała.

– A pies? – zapytał Parol.

– Pokaż Parolowi, gdzie dokładnie wisiał pies – odezwał się nagle Zakrzewski.

Woźniak lekko zdziwiony poprowadził Szawczaka kilka metrów w bok. Tymczasem Marcin sięgnął do krzyża i wyciągnął spod niego małą, lekko pożółkłą karteczkę. Kiedy tylko bardziej odchylił krzyż, wypadły jeszcze dwie starsze, w gorszym stanie. Pozbierał je szybko i wcisnął do tylnej kieszeni spodni, ponieważ Parol z Woźniakiem już wracali.

– Nie wiem, czy będę mógł wam jeszcze jakoś pomóc – mówił aspirant. – Wczoraj sprawdziłem, że nie pracuje już nikt, kto pamiętałby tamto śledztwo. Śledczy z Koszalina, który wtedy dowodził, już nie żyje. Zmarł kilka lat temu, podobno na marskość wątroby. Trzeba by raczej znaleźć w archiwum akta tej sprawy. Może tam są zabezpieczone jakieś ślady... zresztą nie będę was uczył.

– Skąd wzięła się tutaj łódka? – zapytał Zakrzewski.

– Kiedyś to miejsce wyglądało zupełnie inaczej. Tam dalej – Woźniak wskazał w kierunku jeziora – był pomost, z którego korzystali wędkarze. Jezioro jest trudno dostępne, brzeg prawie wszędzie porastają szerokie na kilkanaście metrów trzciny i roślinność wodna. Tutaj był szeroki prześwit, ale zarósł, a po pomoście zostały tylko zgniłe resztki desek. Przystań jest teraz sto metrów dalej.

– Kto znalazł zwłoki?

Policjant skrzywił się, przetarł dłonią spocone czoło, potem podrapał się po zarośniętym policzku. Marcin wykorzystał ten czas, żeby zapalić papierosa, który wyjątkowo mu nie

smakował. Cholera, musi skończyć szybko z paleniem, bo później będzie tylko gorzej.

– Tutaj dotykamy tragedii rodziny Kurtzów. Nic już potem nie było takie samo – powiedział wreszcie Woźniak. – Michał Kurtz był porządnym facetem. Dorabiał w jednym z ośrodków wczasowych w kuchni. Wtedy w nocy wracał piechotą do domu i pewnie spotkał brata, który wracał podpity z dancingu. Zwykle Michał wracał do domu między pierwszą a drugą. Kiedy nie zjawił się do czwartej rano, jego żona Agnieszka, tknięta złym przeczuciem, poszła go szukać. Po drodze zajrzała tutaj i znalazła swojego szwagra. Wpadła w histerię, narobiła krzyku na całą okolicę. Zbiegli się ludzie i dopiero wtedy znaleźli Michała w tej łódce.

– I psa – dodał Parol.

– No i psa. Zamieszanie było takie, że wszystko zdeptali. Śledczy z komendy w Koszalinie wściekali się wtedy, że nie ma żadnych śladów, bo miejscowi wynieśli je na butach. Trzeba jednak tutejszych ludzi zrozumieć. Nowęcina był wtedy spokojną wioską, kilkadziesiąt domów, trzystu mieszkańców, wszyscy się znali. Dopiero ostatnio rozwój Łeby pociągnął też rozwój turystyczny Nowęcina.

– A co z tą tragedią Kurtzów? – Marcin palił oparty o drzewo.

Parol w milczeniu oglądał krucyfiks przybity do drzewa.

– Michał miał czteroletnią córkę, Katarzynę. Po tych wydarzeniach zaczęła się dziwnie zachowywać. W szkole podstawowej trzymała się na uboczu, była zamknięta w sobie, inna. Wreszcie zaczęła dostawać ataków szału. Lekarze orzekli chorobę psychiczną i trafiła do szpitala. Podobno ciągle tam jest. Miała przerwy, ale chyba przez ostatnie kilka lat nie wychodziła. Agnieszka się załamała, zaczęła pić. Praktycznie nie trzeźwiała. Potrafiła wyzywać po pijanemu sąsiadów. Ciężko z nią było. Raz weszła pijana na mszę do kościoła i zaczęła Panu Bogu i księdzu wygrażać. Przyjechała policja,

trafiła na izbę wytrzeźwień... ech, nie ma co gadać. Ludzie się od niej odwrócili. Kiedyś jej współczuli, a potem jej... nie lubili.

– Nie lubili? – Marcin od razu wychwycił zawahanie w głosie Woźniaka.

– Niektórzy może i nienawidzili. Wiecie, jak to jest na wsi. Łatwo popaść w niełaskę i z tego się raczej nie wychodzi. Ale żeby aż tak nienawidzić, żeby bezcześcić grób? Nie potrafię zrozumieć, skąd w ludziach się ta żółć bierze. A przecież katolicy wszyscy i do kościoła co niedzielę chodzą.

– Jak to: zbezczścić grób? – zainteresował się Zakrzewski.

– Agnieszka Kurtz wybudowała Michałowi grobowiec na miejscowym cmentarzu. Też została w nim pochowana. Kilka lata temu... nie pamiętam już. Pięć? Mieliśmy zgłoszenia, że ktoś się regularnie próbował do tego grobowca włamać. Zniszczona została płyta zakrywająca wejście, ktoś napisał coś sprayem. W sumie to dość żenujące akty wandalizmu.

– Gdzie mieszkał Michał Kurtz?

– Niedaleko. Chodźcie, pokażę wam ten dom.

Ruszyli, przedzierając się przez zarośla w kierunku auta. Parol znowu usiadł z przodu, a Marcin na tylnej kanapie. Zdążył jeszcze wyciągnąć z kieszeni trzy zwitki papieru. Woźniak ruszył powoli.

– Kto tam teraz mieszka? – odezwał się Parol.

Przyhamowali, żeby minąć się na wąskiej drodze z dwoma jadącymi z naprzeciwka autami.

– To fenomen, że ten dom jeszcze stoi. Nikt w nim nie mieszka już od dwudziestu lat – opowiadał miejscowy policjant.

Marcin podniósł głowę zaciekawiony. Stare, opuszczone od lat domy kojarzyły mu się tylko z domem Bogdańskiego w Szczepanowie, gdzie miał ostatnie starcie z seryjnym mordercą. To nie były najlepsze skojarzenia.

– Nie wiem dokładnie, jak to wygląda pod kątem prawnym. Córnka żyje. Jest w zakładzie dla chorych psychicznie, ale nie

została ubezwłasnowolniona. Dom należy do niej, a ona się nie zgadza, żeby cokolwiek z nim zrobić. I tak budynek popada w ruinę.

Przed drogą prowadzącą do nowej przystani dla łódek skręcili w prawo i stanęli przed samotnym domem na uboczu. Marcin nie zdążył nawet rozwinąć kartek, bo musiał wysiąść. Schował jej znowu do kieszeni.

Dom naprawdę był w opłakanym stanie. Prawie nie było go widać zza krzaków porastających podwórko, bluszcz i winorośl oploty go aż po sam dach, brudne okna spoglądały na nich ponuro, słupki ogrodzeniowe zjadła rdza i cała siatka z jednej strony leżała przewrócona. Nawet Woźniak przez dłuższy czas nic nie mówił. Marcin postanowił obejść dom dookoła, nie zważając na ostrzeżenia Szawczaka o kleszczach zakażonych boreliozą.

Poszedł łąką wzdłuż zwałonego ogrodzenia. Dom tylko od frontu porośnięty był roślinnością. Z boku ściany były czyste, za to wrażenie sprawiał bardziej przygnębiające. Za szybami widać było brudne zasłony i uschnięte kwiaty na parapetach. Zakrzewski przeszedł na tył i tu na chwilę się zatrzymał. Miał nareszcie czas, żeby z dala od Woźniaka przyjrzeć się kartkom znalezionym na miejscu zbrodni. Może nic nie znaczyły, może ktoś podrzucił jej tam dla zabawy, a może?... Każdą opcję trzeba było sprawdzić. Rozwinął kartkę wyglądającą na najmłodszą. Przebiegł tekst wzrokiem i podrapał się zaskoczony po policzku. To był wiersz.

*Gdzie świat zasypiał  
Wtulony obok Ciebie w poduszkę  
Tam byłam ja  
Ukryta  
Za zasłoną tęsknoty*

Treść wydawała się niezwiązana z tragicznymi zdarzeniami sprzed lat. Tylko czy na pewno? Rozwinął drugi karteluszek. Znowu starannie wykaligrafowany krótki wierszyk.

*Im bardziej chcesz  
Tym bardziej nie masz  
Ale dopóki chcesz  
Nadzieja daje siłę*

Ostatnia kartka musiała przetrwać deszcz, ponieważ była w najgorszym stanie. Litery trochę się rozmyły, można było jednak przeczytać całość.

*Tęsknię do Ciebie  
A moja tęsknota  
Gna przez świat  
Niesiona wichrem letniej burzy  
Na skrzydłach nocy*

W głowie miał mętlik. Może to jednak fałszywy trop? Może jakiś miejscowy zakochany poeta lub poetka w ten dziwny sposób przekazuje światu swoją twórczość? Może zostawia tam kartki, nie wiedząc, że kiedyś w tym miejscu dokonano straszliwej zbrodni, a krzyżyk ma ją upamiętniać? Zupełnie nie wiedział, co myśleć.

Podniósł wzrok i przyjrzał się tyłowi domu. Okrągły skalniak na środku podwórza kiedyś pewnie był zadbany i rosły na nim kwiaty. Teraz pagórek przejęły wysokie trawy i nie zamierzały oddawać tego terytorium bez walki. Dalej był taras i drzwi balkonowe. W jednym skrzydle szyba zastąpiona została płytą wiórową. Przez pozbawione firanek i zasłon okna można było

zajrzeć do środka. Z tej odległości Marcin dostrzegł tylko zarysy mebli.

Jeszcze raz przeczytał wiersze z kartek, znowu spojrzął na dom i zastygł w bezruchu. Coś ewidentnie było nie tak. Coś się zmieniło w obrazie, który widział przed kilkunastoma sekundami. Tylko co? Poczuł się, jakby oglądał film grozy o opuszczonym domu, który za każdym razem wygląda trochę inaczej. Jego wzrok jeszcze raz przebył taką samą drogę. Chyba już wiedział, gdzie zaszła zmiana.

Wrócił szybko do drogi. Na asfalcie strząsnął z butów i spodni suche trawy. No i oczywiście kleszcze, jeśli jakieś próbowały zrobić sobie z niego żywiciela. Szawczak i Woźniak czekali na niego oparci o maskę policyjnego auta.

– Znalazłeś coś ciekawego? – zapytał Parol.

– Myślę, że o wiele ciekawsze rzeczy można znaleźć w środku.

– Chyba nie zamierzasz tam wchodzić?

Pytanie aspiranta Woźniaka miało być żartem, lecz się nie udało. W tonie jego głosu przez ułamek sekundy wyraźnie zabrzmiał strach. Zakrzewski udał, że niczego nie zauważył.

– Nie, nie mam zamiaru – odpowiedział.

Woźniak otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Jedziemy?

– Poczekaj. Mieszka tu jeszcze ktoś z rodziny Kurtzów? – zapytał Marcin.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odrzekł miejscowy policjant. – Być może są jacyś dalecy kuzyni.

– A co z rodziną Stanisława Kurtza? – dopytywał się Marcin.

– Miał żonę, Małgorzatę. Miejscowa dziewczyna, którą znał od dziecka. Razem się wychowywali, razem chodzili do podstawówki, potem na zabawy i wreszcie w młodym wieku zaliczyli wpadkę i musieli się pobrać. Kiedyś na wsi nie było innej opcji. Od początku im się nie układało. Wieczne awantury,

alkoholizm Kurtza i pęd do innych kobiet na pewno sytuacji nie poprawiały.

– Oni też mieli córkę – wtrącił Parol.

– Miała na imię Renata. Była starsza od swojej kuzynki Kaśki. Nic więcej o niej nie umiem powiedzieć. Niecały rok po pogrzebie Małgorzata Kurtz powiedziała, że ma dość tej dziury, znalazła sobie faceta z Gdańska i wyjechała z córką po lepsze życie. Nie wiem na pewno, co było dalej. Chodziły plotki, że facet też nie stroni od alkoholu i regularnie bije ją i dziecko. Później ludzie o niej zapomnieli. Ot, taka historia.

– Z deszczu po rynnę – mruknął Parol.

– Podobno osoby, które doświadczyły przemocy w rodzinie, potem nieświadomie wybierają przemocowych partnerów.

– Słyszałem o tej teorii – uciął dalszą dyskusję Marcin. – Macie w archiwum komendy zgłoszenia o zbezczeszczeniu grobu Kurtzów? Było jakieś postępowanie?

Woźniak z Parolem spojrzeli na niego zdziwieni.

– Pewnie było. – Jacek Woźniak wzruszył ramionami. – Trzeba poszukać.

– No to jedziemy.

Marcin podszedł do auta i otworzył tylne drzwi. Woźniak się nie poruszył. Miał zakłopotaną minę.

– O co chodzi? – Zakrzewski spojrzał na niego pytająco.

– Muszę was ostrzec, że mój szef jest bardzo trudny. Nie lubi, jak ktoś obcy wtrąca mu się w lokalne sprawy. Szczególnie kiedy przyjeżdża taka gwiazda jak komisarz Zakrzewski. Wściekł się, kiedy mu powiedziałem, że wam pomogłem.

Policjanci z Wrocławia patrzyli na niego w milczeniu. Woźniak brnął lekko zmieszany:

– Chcę, żebyście wiedzieli, jak jest.

Kłopotliwą sytuację przerwał nagle riff Led Zeppelin. Woźniak przez chwilę rozglądał się zdziwiony, wreszcie na jego



twarzy pojawił się błysk zrozumienia, kiedy zobaczył, że Marcin wyciąga z kieszeni telefon.

– Klasyka. – Pokiwał głową z uznaniem.

Dzwoniła Paulina. Marcin odszedł kilka koków i odebrał.

– Jak ci idzie? – zapytała.

– Powoli.

– Opłacało się jechać?

– Jeszcze nie wiem.

Nagła zmiana tonu głosu nie wróżyła niczego dobrego.

– Z tobą się czasem rozmawia jak z koniem w zaprzęgu! – warknęła.

– Paulina, przecież wiesz, że nie lubię się niczym chwalić, zanim nie mam względnej pewności. – Też podniósł głos o pół tonu.

– No dobrze – powiedziała po chwili pauzy, już innym głosem. – Wiemy, kto zwinął te akta z archiwum. Jeden z byłych pracowników firmy informatycznej zajmującej się digitalizacją. Nie trzyma się go kasa, miał spore długi. Zgłosiła się do niego pewna kobieta i zaproponowała mu pieniądze. Nie dał się długo prosić.

– Znowu kobieta.

– Jakoś tak dziwnie się składa.

Marcin podrapał się po policzku.

– Nie bardzo rozumiem – westchnął. – Nie wystarczyły jej skany tych akt? Po co wyniosła z archiwum całą zawartość pudełka?

– W tym rzecz. Może nie chodziło o dane, tylko o zabezpieczone na miejscu zbrodni ślady?

– Jasna cholera!

– Chciała zatrzeć ślady? – zapytała.

Marcin wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i bezskutecznie starał się jednego wysunąć, żeby chwycić go wargami.

– Raczej odwrotnie – powiedział, kiedy wreszcie mu się udało. – Chciała wykorzystać te ślady we własnym śledztwie. Przecież ta sprawa mogła nigdy nie zostać wznowiona.

– Nie pomyślałam o tym.

Marcin zapalił papierosa.

– Znajdźcie mi dwie osoby. Agnieszka Kurtz i Renata Kurtz. Przed wieloma laty mieszkały w Gdańsku. Bardzo możliwe, że zmieniły nazwiska.

– Żona i córka tego przybitego do drzewa? Zaraz ktoś się tym zajmie.

Połączenie zostało przerwane. Marcin wrócił do policyjnego samochodu, wyrzucił spalonego po połowy papierosa i wsiadł.

– Jedziemy! – rzucił tylko.

## 46 Ucieczka

23 lipca, czwartek po południu

Powiatowa komenda policji w Lęborku mieściła się w dużym, trzypiętrowym budynku z czerwonym spadzistym dachem. Budynek był świeżo po remoncie i wyglądał imponująco. Rosły przed nim trzy wielkie drzewa. Zaparkowali pod kasztanem i weszli do środka. Woźniak robił wszystko, żeby ich wizyta nie została zauważona przez komendanta. Zabrał ich do swojego pokoju na drugim piętrze, przyniósł dodatkowe krzesła i zrobił kawę z własnej paczki. Nie dążyli dobrze usiąść, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich komendant, wysportowany mężczyzna wzrostu Marcina, wyglądający na nie więcej niż pięćdziesiąt lat. Nie przedstawił się, nie podał im ręki, tylko zmierzył ich groźnym spojrzeniem.

– Żeby było jasne – powiedział bez wstępów. – Nie jestem zadowolony, że zjawiacie się tu z dnia na dzień i zakłóćcie pracę naszej komendy, zabierając mi funkcjonariusza. Na tym terenie jest co robić. Wiecie, ile tysięcy ludzi zjeżdża tu na wakacje? My musimy im wszystkim zapewnić bezpieczeństwo, żeby spokojnie odpoczywali i wrócili do domu zadowoleni. Dlatego nie lubię, gdy ktoś dezorganizuje mi pracę.

Szawczak popatrzył na Marcina. Zakrzewski dobrze znał funkcjonariuszy tego typu. Stłumił więc zamiar złośliwej odpowiedzi i pokiwał głową.

– Rozumiem – odpowiedział krótko.

W pokoju zapadła cisza. Komendant nie spodziewał się takiej lakonicznej odpowiedzi. Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, lecz się rozmyślił. Pokręcił tylko głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi nieco za głośno.

Aspirant Woźniak spojrział na Marcina z błyskiem rozbawienia w oku.

– Załatwiłeś go, trzeba ci to przyznać – powiedział.

Marcin spojrział na niego z kamiennym wyrazem twarzy.

– Możesz znaleźć nam te akta? – zapytał.

Jacek Woźniak sięgnął po telefon.

– W archiwum pracuje pani Basia. Jest niezastąpiona. Policyjne zbiory zna jak własną kieszeń. Powinna już przejść na emeryturę, ale szef nie chce jej puścić.

– Taki pracownik to skarb – powiedział Parol, żeby coś powiedzieć.

Pół godziny później Woźniak położył przed nimi trzy cienkie szare teczki.

– Nie wiem, co tam znajdziecie... – zaczął, lecz Marcin mu przerwał.

– Ustal, w jakim ośrodku przebywa córka Michała Kurtza – powiedział.

Znowu przez twarz Woźniaka przemknęło coś na kształt niepokoju. Nic jednak nie powiedział. Pokiwał tylko głową i wyszedł.

W trakcie przeglądania dokumentów Zakrzewski streścił Parolowi rozmowę z Pauliną. Tak jak wspominał Woźniak, były trzy zgłoszenia prób dewastacji rodzinnego grobowca rodziny Kurtzów. Wszystkie sprzed pięciu lat, wiosną w odstępach kilkutygodniowych. W pierwszych dwóch przypadkach był tylko raport patrolu, który pojechał na miejsce zdarzenia. Policjanci ocenili skalę zniszczeń na niewielką, rozmawiali z miejscowym grabarzem, z proboszczem parafii, do której należał cmentarz, i sprawa była zamykana. W trzecim

przypadku wszczęte zostało śledztwo o zniszczenie mienia. Oprócz tego, że stwierdzono uszkodzenia płyty zamykającej grobowiec, ktoś pomazał go białą farbą w sprayu. Przesłuchano okolicznych mieszkańców, ale bez efektu. Tylko starsza kobieta mieszkająca najbliżej cmentarza wspomniała coś o świetle, które rzekomo widziała w nocy. Sprawa została szybko zamknięta z powodu niewykrycia sprawcy. Statystyki policyjne są bezwzględne, nie można przeciągać błażej sprawy – szkody były niewielkie, a nikt z dalekich krewnych Kurtzów nie był zainteresowany złożeniem oficjalnego zawiadomienia. Idealne warunki do zakończenia postępowania.

Parol obejrzał zdjęcia zdewastowanego nagrobka i podał je Marcinowi. Zakrzewski patrzył na nie o wiele dłużej.

– Zobaczyłeś coś ciekawego? – zapytał w końcu Szawczak, przyglądając mu się sceptycznie.

– Każdy szczegół może być ważny – odpowiedział wolno Marcin.

– Tylko co to ma wspólnego z morderstwami ze zdjęcia?

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

Szawczak wstał z krzesła i nerwowo przechadzał się po pokoju. Potem stanął przy otwartym oknie i spoglądał w dół na zadbane trawnik i rosnące na nim drzewa.

– Sprawca chciał coś chyba napisać – powiedział wreszcie Zakrzewski.

– Co?

Parol spojrział mu przez ramię na jedno ze zdjęć – zbliżenie boku grobowca, gdzie biała farba tworzyła dziwny fresk.

– Nie wydaje ci się, że to litery?

Szawczak pochylił się niżej.

– No nie wiem...

– Zobacz, na końcu chyba jest „a”.

– Możesz mieć rację – odezwał się młodszy śledczy. – Wcześniej chyba jest „e”, a ta kreska na początku może być „i”

pisany wielką literą.

– Idea – przeczytał Marcin, drapiąc się w policzek pokryty kilkudniowym zarostem. – Tak mi się wydaje.

– Co to może oznaczać?

– Cholera wie.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Woźniak.

– Wiem, gdzie przebywa obecnie Katarzyna Kurtz – powiedział. – Jest w prywatnym zakładzie, gdzie opiekują się osobami z zaburzeniami psychicznymi. To niecałe dziesięć kilometrów stąd, w Łęczycach. Kwadrans drogi.

– No to jedziemy – rzucił Zakrzewski.

\*

Pojechali drogą krajową numer 6 i zaraz w Godętowie skręcili w lewo na Łęczycę. Aspirant Woźniak nagle zmienił się nie do poznania. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem, a im bliżej byli celu, tym bardziej stawał się ponury. Parol też zauważył tę zmianę. Raz nawet odwrócił się do siedzącego z tyłu Zakrzewskiego i rzucił mu pytające spojrzenie. Ten wzruszył tylko ramionami. Przebycie nieco ponad dziesięciu kilometrów zajęło im prawie dwadzieścia minut.

Kiedy wreszcie zajechali przed wielki, stary budynek z czerwonej cegły z kratami w oknach, otoczony wysokim ogrodzeniem, Woźniak wysiadł z auta i powiedział, że poczeka na zewnątrz.

– J-jasne – rzucił Zakrzewski i razem z Parolem ruszyli zwirową alejką prowadzącą z małego, pustego teraz parkingu wprost pod drzwi wejściowe. Były zamknięte. Parol nacisnął przycisk dzwonka, a Marcin się rozglądał. Budynek stał w sporym oddaleniu od ostatnich zabudowań Łęczyc, na skraju lasu, otoczony wianuszkami starych, rozłożystych dębów.

Idealne miejsce na ośrodek dla osób z zaburzeniami psychicznymi.

Dopiero po kilkudziesięciu sekundach drzwi się uchyliły i w drzwiach stanęła młoda kobieta.

– Przepraszam, ale dzisiaj nie ma odwiedzin – powiedziała cicho, jakby widok dwóch mężczyzn wywołał u niej napad lęku.

Ubrana normalnie, była drobna i miała włosy nieokreślonego koloru. Wyglądała jak szara myszka. Marcin w pierwszej chwili pomyślał, że ma przed sobą jedną z pacjentek. Dopiero na widok policyjnych odznak jakby nabrała pewności siebie.

– Komisarz Zakrzewski z Komendy Wojewódzkiej we Wrocławiu, a to aspirant Szawczak. Czy moglibyśmy porozmawiać z kierownikiem tego ośrodka?

Drzwi uchyliły się szerzej.

– Proszę wejść, zaraz zawołam szefową.

Znaleźli się w małym korytarzu. Ich buty zastukały o wykafelkowaną podłogę. Kobieta zniknęła za niskimi drzwiami z prawej strony. Po chwili wychyliła głowę i powiedziała:

– Proszę tu poczekać. Kierowniczką już idzie.

Zostali sami przed masywną kratą. Za nią były drzwi prowadzące dalej. Żadnego portiera, żadnych krzeseł, żeby usiąść.

– Cholera, jakbyśmy cofnęli się w czasie o pół wieku – mruknął Szawczak.

Marcin odniósł podobne wrażenie. Tylko że on myślał raczej o czasach z końca dziewiętnastego stulecia.

– Jak z horroru – dodał jeszcze jego kolega.

Czekali w milczeniu. W korytarzu panował półmrok i miłych chłód w porównaniu z upałem na zewnątrz.

Wreszcie drzwi za kratą się otworzyły. Wyszła inna pracownica ośrodka i bez słowa otworzyła kratę wielkim kluczem. Poprowadziła ich na pierwsze piętro, a potem długim

korytarzem. Po drodze mijali szare postacie w białych kitlach. Starsza kobieta stała przy ścianie i uporczywie wpatrywała się w jakąś plamkę na suficie, mężczyzna w wieku Marcina szedł wolno wzdłuż ściany, szurając kapciami, młoda dziewczyna z postrzępionymi długimi włosami siedziała na krześle i wyglądała przez okno. Kiedy ją mijali, odwróciła nagle głowę i warknęła do Parola:

– Co się gapisz!?

Inna kobieta w nieokreślonym wieku, w kolorowej chustce na głowie przyglądała im się uważnie, a kiedy ją minęli, poszła za nimi.

Stanęli przed białymi drzwiami z napisem: „Dyrektor”.

– Proszę chwilę poczekać, szefowa zaraz panów poprosi – powiedziała miękko i sympatycznie pracownica, która ich tu przyprowadziła.

Na koniec posłała im miły uśmiech i odeszła do swoich obowiązków. Marcin zastanowił się, co się jej stało przez te kilkanaście sekund. Zmieniła się z ponuraka w istotę emanującą życzliwością.

– Tu chyba wszyscy są nienormalni – skwitował Szawczak

Zza drzwi dochodził ich podniesiony kobiecy głos. Najwidoczniej dyrektorka prowadziła nerwową rozmowę telefoniczną.

Tymczasem kobieta w chustce, która za nimi szła, stanęła tuż przy Marcinie i zaczęła go popychać.

– Ja tu stałam pierwsza – odezwała się, sapiąc głośno. – Zająłeś moje miejsce.

Marcin odsunął się o krok.

– Przepraszam, nie wiedziałem. – Uśmiechnął się do niej przyjaźnie. – Czy tyle miejsca pani wystarczy?

Jego zachowanie kompletnie zaskoczyło chorą. Patrzyła na niego i nie wiedziała, co powiedzieć. Czasem od razu można poznać, że ma się do czynienia z człowiekiem chorym



psychicznie. Ta kobieta wyglądała normalnie. Marcin zauważył, że mogła mieć między czterdzieści a pięćdziesiąt lat i gdyby tylko zadbała o swój wygląd, byłaby atrakcyjną kobietą.

– Nie wystarczy! – warknęła wreszcie tak, że z jej ust poleciały kropelki śliny.

– Mogę się jeszcze odsunąć – zaproponował Marcin. – Pani miejsce stanie się wtedy komfortowe.

Patrzyła na niego, jakby się wahając. Wreszcie skinęła głową.

– Nie trzeba, wystarczy.

Stali w milczeniu słuchając głosu zza drzwi. Wreszcie Marcin odwrócił się do Parola, żeby mu coś powiedzieć, lecz poczuł, że ktoś stuka go w ramię. Kobieta w chustce wyszczerzyła w uśmiechu nieco zaniedbane zęby.

– Do kogo przyszłście? – zapytała, lecz nie czekała na odpowiedź. – Bo mnie rzadko ktoś odwiedza. A przecież nie jestem wariatką jak ci wszyscy tutaj. Po prostu mam depresję, nie chce mi się żyć, nikt tego nie rozumie, a rodzina umieściła mnie tutaj, żeby pozbyć się kłopotu.

Wypowiedź zabrzmiała jak wyuczona na pamięć i często powtarzana formułka. Zakrzewski uśmiechnął się do niej sympatycznie.

– Nie wyglądasz na wariatkę.

– Nie wszyscy tak mówią. Ale i tak nikt by mnie tutaj nie odwiedzał. Chcieli się mnie pozbyć.

– Jesteś ubezwłasnowolniona sądownie?

– Nie.

– To możesz stąd w każdej chwili wyjść.

Kobieta zamyśliła się na dłużej.

– No ale gdzie bym miała pójść, jak mi się nie chce żyć? – zapytała, podnosząc na policjanta bezradne spojrzenie. – Do kogo przyszłście?

– Do Katarzyny Kurtz.

Na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiešek.

– O, to prawdziwa wariatka! – powiedziała jakby z triumfem w głosie. – Zobaczycie.

Znowu zapadła cisza. Rozmowa telefoniczna w gabinecie dyrektorskim jeszcze trwała, jednak jej intensywność spadała. Tylko czasem do ich uszu dobiegały strzępy słów.

Marcin znowu chciał coś powiedzieć do Szawczaka i znowu przerwało mu stukanie w ramię.

– Ich jest dwie – powiedziała niespodziewanie kobieta w chustce.

– Kogo jest dwie?

Zachnęła się jakby zniecierpliwiona jego brakiem bystrości.

– Katarzyny Kurtz są dwie. Przebierają się u niej w pokoju i jedna wychodzi, a druga zostaje – i na odwrót.

Zakrzewski zmierzył ją uważnym spojrzeniem, oceniając jej wiarygodność. Znajdowali się w domu opieki nad osobami z zaburzeniami psychicznymi.

– Ktoś ją odwiedza? – zapytał.

– Tak, ale nikt o tym nie wie. Przychodzi w nocy. Mówiłam o tym pielęgniarce, ale żadna mnie nie słuchała. Biorą mnie za wariatkę.

– Ale ten gość przychodzi w nocy? Przez główne wejście?

Szturchnęła go niezgrabnie w ramię niby przyjacielskim gestem.

– Głupi jesteś! – roześmiała się. – Tutaj jest oddział dla niebezpiecznych. Nikt nie może tu wejść ani stąd wyjść.

– J-jasne. No to jak przychodzi?

– Jak to jak? – zniżyła głos i nachyliła się do niego. – Tajnym przejściem.

Przysłuchujący się tej wymianie zdań Parol pokiwał głową z kpiącym uśmiechem na ustach.

– Tajne przejście – powiedział – ...i wszystko jasne.

– A ty się zamknij, bo z tobą nie rozmawiam! – warknęła na niego kobieta. – Zająłeś moje miejsce!

W tej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich wysoka, szczupła kobieta o surowej twarzy. Marcinowi przeleciało przez głowę, że tak wyglądają dyrektorki ośrodków wychowawczych, domów dziecka i szpitali psychiatrycznych w filmach grozy. Z drugiej strony, może żeby dobrze prowadzić taką placówkę, trzeba mieć odpowiedni wygląd i charakter. Wtedy nie ma mowy o żadnych stereotypach.

– Dorotko, proszę, zostaw panów w spokoju – powiedziała bardzo stanowczo, lecz równocześnie miękko.

Kobieta w chustce odwróciła się na pięcie i odeszła, mamrocząc wyraźnie pod nosem:

– Nie jestem wariatką, nie jestem wariatką...

– Zapraszam panów do środka.

Doktor Zofia Dębska miała skromny gabinet. Szafy po obu stronach pomieszczenia ugiwały się pod ciężarem książek i dokumentów, lecz na starym, zniszczonym biurku panował ład i porządek.

– Czy moglibyśmy się zobaczyć z Katarzyną Kurtz? – zapytał Marcin, gdy tylko skończyli oficjalne powitanie i prezentację.

Doktor Dębska uniosła wysoko brwi. Nie była to jednak oznaka zdziwienia, raczej jeden z jej naturalnych grymasów twarzy podczas rozmowy.

– A jaki jest powód, jeśli mogę o to zapytać?

– Komenda Wojewódzka Policji we Wrocławiu prowadzi śledztwo w sprawie wielokrotnego morderstwa. Być może istnieje powiązanie między tą sprawą a zabójstwem ojca Katarzyny Kurtz przed laty.

– Mój Boże, tyle już lat minęło od tamtego czasu i nadal policja coś w tej sprawie robi? – Nie dało się nie usłyszeć szczerego zdziwienia w głosie dyrektorki ośrodka.

– Takie sprawy się nie przedawniają – odezwał się Parol. – Są wznawiane, jeśli wystąpią nowe okoliczności.

– Nie rozumiem jednak, jak może wam teraz pomóc Kasia. Miała wtedy kilka lat. Większość życia spędziła w szpitalach psychiatrycznych, ostatnie kilka lat u mnie.

– Mimo to chcielibyśmy się z nią zobaczyć. Nie zawsze była w szpitalu – odpowiedział Zakrzewski.

– Panie komisarzu, nie wiem, czy mogę się na to zgodzić – stwierdziła doktor Dębska z wahaniem w głosie.

– Skoro nie usłyszeliśmy od pani stanowczego nie, rozumiem, że nie ma większych przeciwwskazań – wpadł jej w słowo Marcin.

– Nie będę ukrywała, że nie ma. Kasia miewa lepsze i gorsze okresy, nie jest jednak agresywna i nie stanowi zagrożenia. Żyje raczej w swoim świecie i niechętnie wpuszcza tam obcych. Myślę, że należałoby ją zapytać, czy chce z wami o tym rozmawiać.

– Więc zapytajmy. Jeśli odmówi, nie będziemy nalegać.

– W takim razie chodźmy. Moja rada jest taka: niech tylko jeden z panów z nią porozmawia. Lepiej, żeby nie wiedziała, że jest was dwóch.

– Dlaczego?

– Trudno to uzasadnić. – Uśmiechnęła się dyrektor ośrodka. – Z doświadczenia wiem, że tak będzie lepiej.

– J-jasne.

Wyszli z gabinetu i ruszyli korytarzem w kierunku schodów. Po drodze minęli kobietę w chustce, którą Dębska nazwała Dorotką. Kobieta pomachała do Zakrzewskiego i powiedziała:

– Jest ich dwie, jest ich dwie...

– Doroto, proszę nie przeszkadzać gościom. – W głosie Dębskiej pojawił się taki ton, że pacjentka natychmiast odwróciła się na pięcie i wyszła.

– Czy ona naprawdę ma tylko depresję? – zapytał Parol, oglądając się za odchodzącą.

Doktor Dębska roześmiała się.

– Niestety nie. Myślę, że nie zdradzę panom tajemnicy lekarskiej, jeśli powiem, że Dorota wymyśliła sobie depresję, żeby być inaczej przez wszystkich traktowana. Tak naprawdę ma bardzo poważną schizofrenię. Jej rodzice byli w bardzo zaawansowanym wieku, ona potrzebowała ciągłej opieki i nie dawali już rady. Dlatego do nas trafiła. Teraz rodzice już nie żyją, a nie ma innej rodziny. Dobrze, że udało się ją u nas umieścić. Jej pobyt, jako jednej z niewielu pacjentek, jest finansowany w całości przez NFZ.

Wchodzili po skrzypiących drewnianych schodach na ostatnie piętro.

– Na co cierpi Katarzyna Kurtz? – zapytał Marcin.

– To też rodzaj schizofrenii. Na tyle poważny, że w końcu stała się niezdolna do normalnego życia.

– Czy cierpi na rozdwojenie jaźni? – zapytał Szawczak.

– Potocznie uważa się, że schizofrenia to właśnie rozdwojenie jaźni. Tymczasem rozpoznaje się około trzystu rodzajów schizofrenii. Rozdwojenie jaźni jest tylko jednym z rodzajów, wcale nie występującym często. Nie, problemy Katarzyny leżą zupełnie gdzie indziej.

Na trzecim piętrze minęli świetlicę, w której kilkunastu pacjentów oglądało telewizję. Korytarz był pusty. Doktor Dębska mówiła dalej:

– Choroba Kasi objawia się cyklicznie. Kilka tygodni ma lepszych, potem tydzień, dwa gorsze. Ostatnio przez długi czas czuła się bardzo dobrze i nagle znowu się pogorszyło.

– Jak się objawia jej choroba? – zainteresował się Marcin.

Przystanęli przy kracie odgradzającej dalszą część piętra. Dębska nacisnęła na dzwonek na ścianie.

– Zamyka się w sobie – wyjaśniała. – Nie chce się z nikim widzieć, nie chce wychodzić z pokoju, tylko coś sobie rysuje albo pisze. Mieszka w odosobnionym pokoju, z dala od

wszystkich. Umieściliśmy ją tam, żeby zapewnić jej spokój. Mówi, że pragnie zniknąć i nie chce nikomu przeszkadzać.

– A jaką teraz ma fazę? – zapytał Szawczak.

– Tę złą.

– W takim razie są małe szanse, że z nami porozmawia.

– Dlaczego? Może będzie pan miał szczęście? Czasem przyjmuje gości nawet w takim okresie.

– Gości? – zainteresował się Zakrzewski.

– Ma jakichś swoich znajomych, przecież całego życia nie spędziła w zakładzie zamkniętym.

– J-jasne.

Dębska jeszcze kilka razy nerwowo nacisnęła na dzwonek.

– Gdzie on poszedł? – zniecierpliwiła się.

– Kto?

– W tej części budynku przebywają najcięższe przypadki. Niektórzy zagrażają sobie i innym. Cały czas dyżuruje tu pielęgniarz. – Próbowwała zajrzeć do dyżurki znajdującej się po prawej stronie przy drzwiach.

– Wiesiek?!

Marcin też tam zajrzał. Drzwi były uchylone, mimo dnia świeciło się światło, cicho grało radio. Poznał głos Włodzimierza Zientarskiego i domyślił się, że to Antyradio.

– Wiesiek?! Coś musiało się stać.

Kobieta wyciągnęła telefon i zadzwoniła do kogoś.

– Jurek, weź klucze i chodź szybko na górę. Nie wiem, co się stało z Wieśkiem.

Policjanci popatrzyli na siebie ponuro. Parol mimowolnie dotknął kabury pistoletu wiszącego z boku na pasku od spodni. Marcin zrobił to samo, chociaż w tym przypadku nie przeczuwał zagrożenia. Wiesiek pewnie siedzi w toalecie.

Dyrektor Dębska była jednak wyjątkowo zdenerwowana. Przestała się odzywać. Stała przy kracie i zaglądała do środka, jakby można było z tego miejsca zobaczyć coś więcej.

Po chwili korytarzem przybiegł wysoki i dobrze zbudowany pielęgniarz w fartuchu. Wyciągnął pęk kluczy, znalazł właściwy i otworzył kratę. Pierwszy wpadł do dyżurki. Dyrektorka za nim. Policjanci stanęli w progu. Szybko przelecieli wzrokiem po ekranach monitoringu.

– Nigdzie go nie ma – odezwał się pielęgniarz. – Sprawdzę w toalecie.

Po chwili wrócił.

– Nie ma go!

– Wszędzie macie monitoring? – zapytał Zakrzewski.

– W pokoju Kaśki nie ma – odpowiedział szybko Jurek. – Ona nie jest niebezpieczna. Cholera!

Chwycił klucze i pobiegł na sam koniec korytarza. Wszyscy ruszyli za nim. Przed drzwiami zawahał się na moment. Były uchylone. Pchnął drzwi, otworzyły się z lekkim skrzypnięciem.

– Jasna cholera!

Pod ścianą leżał mężczyzna, który mógłby zostać uznany za brata Mariusza Pudzianowskiego. Leżał na boku, z jego rozbitej głowy sączyła się strużka krwi, kapiała z nosa na podłogę i tworzyła niewielką kałużę o zaschniętych brzegach. Jurek przypadł do leżącego i zbadał mu puls.

– Żyje! – krzyknął. – Trzeba wezwać karetkę.

Na korytarzu zrobiło się jeszcze większe zamieszanie.

– Czy z tego pokoju jest inne wyjście? – zapytał Zakrzewski stojącą obok dyrektorkę, bladą jak świeżo pobielona ściana.

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Tu nigdy jeszcze nic takiego się nie zdarzyło. – Słowa z trudem wydobywały jej się z gardła. – Już dwanaście lat...

– Czy jest stąd inne wyjście? – Marcin potrząsnął jej ramieniem.

– Dlaczego pan pyta?... – zaczęła i nagle zrozumiała dlaczego.

Pomieszczenie było puste. Katarzyna Kurtz zniknęła.

– Nie ma innego wyjścia.

Zbiegli się inni pracownicy ośrodka. Ranny pielęgniarz został umieszczony na łóżku do przewożenia unieruchomionych pacjentów, ktoś zadzwonił po pogotowie ratunkowe.

Na korytarzu zostali tylko dwaj policjanci, doktor Dębska i pielęgniarz Jurek.

– Możemy przejrzeć monitoring? – zapytał Marcin.

– Oczywiście!

Poszli do dyżurki i pielęgniarz zaczął przewijać obraz z korytarza. Musiał cofnąć o pięćdziesiąt trzy minuty. Zobaczyli Wieśka idącego szybkim krokiem w kierunku ostatnich drzwi. Przystanął przy nich na chwilę, widać było, że jest czymś poruszony, ponieważ gwałtownie odpiął z paska pęk kluczy, szybko otworzył drzwi i wszedł do środka. Nikt nie pojawił się na korytarzu aż do momentu, gdy monitoring zarejestrował ich czwórkę.

– To niemożliwe. – Pokręciła głową Dębska. – Ona nie mogła tak po prostu zniknąć.

– Parol, idź do Woźniaka, niech wezwie kolegów z komisariatu – odezwał się Marcin.

Parol skinął tylko głową i odszedł.

Pozostała trójka wróciła do ostatniego pokoju. Marcin zatrzymał ich na progu, po czym ostrożnie wszedł sam tak, żeby nie zadeptać ewentualnych śladów. W kącie leżała policyjna pałka, która najwidoczniej powaliła rosłego pielęgniarza. Cios musiał być zadany profesjonalnie, skoro wystarczył jeden.

Zakrzewski stał na środku i rozglądał się uważnie. Łóżko, biurko, krzesło, szafa. Myślał przez chwilę, wreszcie zajrzał do szafy. Była prawie pusta. Na jednej z półek leżały ubrania, na dole stały dwie pary szpitalnych kłapek. Spojrzał do góry.

– Co jest nad nami? – zapytał głośno.

– Poddasze.

Wspiął się na palce i pchnął sufit. Deska nie była przybita gwoździami. Zaskrzypiała, podniosła się o milimetr i opadła.



Zawołał pielęgniarza i pchnęli obaj. Deska uniosła się, na górze słychać było, jak coś się po niej przesuwa, a potem przewraca z hukiem. Patrzyli w przejście na poddasze. Zakrzewski wspiął się na górę, wyciągnął z kabury pistolet, odbezpieczył i czekał, aż oczy przyzwyczają się do półmroku.

Był na zagraconym starymi meblami strychu. Nad głową widział belki stanowiące konstrukcję dachu. Zwisały z nich girlandy starych pajęczyn. Spojrzał w dół. W kurzu zalegającym poddasze była wydeptana ścieżka. Ruszył nią z bronią wyciągniętą przed siebie. Szybko doszedł do uchylonego okienka. Wyrzwał na zewnątrz. W ścianie tkwiły zardzewiałe pręty, po których pewnie niegdyś kominiarz wpinał się na dach. Jakies trzy metry niżej znajdował się dach niższego budynku przylegającego do ośrodka. Dach opadał pod ostrym kątem. Pewnie na samym jego końcu odległość od ziemi była już na tyle niewielka, że można było skoczyć. Rozejrzał się wokoło. Jak okiem sięgnąć – las.

Wrócił tą samą drogą, zeskoczył na dno szafy i otrzepał spodnie z kurzu. Dyrektorka i Jurek patrzyli na niego ponuro.

– Ktoś wiedział o tym przejściu? – zapytał, z góry znając odpowiedź.

– Nigdy bym nie przypuszczała. – Dębska pokręciła głową.

– Stare domy mają swoje tajemnice – westchnął. – Mogę tu przez chwilę zostać sam, żeby się rozejrzeć?

Bez słowa wyszli na korytarz i poszli do dyżurki, rozmawiając gorączkowo.

Zakrzewski usiadł na krześle przy biurku, sięgnął do leżących na stole chusteczek higienicznych, wyciągnął jedną i za jej pomocą otworzył szufladę, nie zostawiając odcisków palców na gałce. W szufladzie wałały się kredki w różnym stanie zużycia, temperówka, kilka ołówków. Niżej leżał plik kartek wyrwanych z bloku. Wszystkie pokryte rysunkami. Wyjął je i przejrzał. Katarzyna Kurtz nie miała wielkiego

talentu, potrafiła jednak w rysunkach przekazać całą gamę negatywnych uczuć, które nią targaly. Strach, przerażenie, złość, smutek, beznadzieja. Czasem groza.

Marcin poczuł, że nagle robi mu się duszno w tym małym pokoiku z zamkniętym na głucho zakratowanym oknem. Coraz ciężej się oddychało. Poczł strumyczki potu ciekące mu po karku za koszulkę. Miał uczucie *déjà vu*, które poprzedziło cały ciąg obrazów z najmroczniejszego okresu w jego życiu.

Widział już kiedyś na ścianie takie rysunki. Nie były podobne stylistycznie, po prostu niosły w sobie ten sam negatywny przekaz. Prawie fizycznie poczuł jeszcze coś, co zostało zawarte w szkicach. Nienawiść. Ciąg rysunków i napisów stanowiących samonapędzający się mechanizm wzmacniający nienawiść.

Pierwszy rysunek.

Twarz dziewczynki z czarnymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami. Sina twarz, ciemniejsza obwódka wokół białych oczu bez źrenic i czerwone jak krew łzy na policzkach. Ktoś, kto zgubił wszystkie uczucia i została mu tylko nienawiść.

Znowu poczuł niepokojący dreszcz. Temperatura w pomieszczeniu wzrosła, jakby ktoś odkręcił zawór z ogrzewaniem. Oddychaj, człowieku, oddychaj.

Następny rysunek. Ciemny las i zaznaczona czarną kredką niewyraźna postać stojąca pod jednym z drzew. Zakrzewski od razu wiedział, że ta postać tam nie stoi, tylko jest przybita do pnia prętem wbitym w oczodół.

*Is there anybody out there?* – głosił napis na ścianie w mieszkaniu mordercy.

Poczuł, że musi natychmiast opuścić to pomieszczenie, ten dom, to miejsce. Nigdy by nie przypuszczał, że tak niespodziewanie dopadnie go trauma. Nie spodziewał się, że jest jakakolwiek trauma. Myślał, że jest odporny. Pomylił się.

Szybko przejrzał pozostałe rysunki. Wszystkie w podobnym mrocznym nastroju. Jak czarne obrazy u Francisco Goi.

Zniekształcone postaci, dziwne miejsca, las, ponury dom, dziewczynka z siną twarzą pozbawioną oczu. I kiedy już miał zamknąć szufladę, na końcu trafił się zupełnie inny rysunek. Jaśniejsze kolory, więcej światła, optymizm i podpis „Idealna rodzina”. Ojciec i matka siedzieli na krzesłach i trzymali się za ręce. Obok stała dziewczynka i trzymała za rękę matkę. Oni mieli nieruchome twarze bez wyrazu, za to dziewczynka uśmiechała się od ucha do ucha. Nie była już szara, nie płakała, miała niebieskie oczy.

Marcin złożył rysunek i schował do kieszeni. Wtedy zobaczył zeszyt leżący na samym dnie. Otworzył go. Wiersze. To samo pismo co na kartkach znalezionych na miejscu zbrodni. Podobna treść. Katarzyna Kurtz wychodziła stąd przez tajne przejście w szafie i jechała na miejsce zbrodni? Wszystko na to wskazywało. Przeczytał kilka.

### **Kruki**

*Czarne kruki opadły na koronę drzewa  
Wypłoszyły inne ptaki  
Zagłuszyły dźwięki swoim wulgarnym krzykiem*

*Czarne kruki złych myśli  
Opadły mi na głowę  
I nie chcą odlecieć...*

### **Gra**

*Życie jest dziwną grą  
W której nikt nie wygrywa  
Chociaż wszyscy wciąż próbują*

### **Puzzle**

*Cała zbudowana jestem z puzzli*

*Ułożona misternie i dopasowana z pietyzmem  
Cała zbudowana jestem z puzzli  
Które bez przerwy gubię po kawałku  
Sypią się na ziemię i giną...*

*Gdy śpię, idę ulicą, cierpię, tęsknię,  
Pragnę, kocham, myślę, chcę,  
Uciekam, gonię, biegnę, patrzę na Ciebie.  
Może Ty wiesz, co się stanie,  
Gdy zgubię ostatni kawałek?*

Skrzypnęły drzwi za plecami Marcina. Szawczak zajrzał do środka.

– Przyjechała policja z Lęborka – powiedział.

Marcin wstał, zeszyt z wierszami włożył sobie z tyłu za pasek od spodni i przykrył koszulką. Wyszedł na korytarz i poszedł za Parolem. Po chwili wyszli z budynku. Przed wejściem stała karetka pogotowia ratunkowego. Sanitariusze akurat pakowali do środka rannego. Woźniak stał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawili, jakby w ogóle się nie ruszał. Trzy policyjne radiowozy zablokowały wjazd na teren ośrodka. Przy jednym z nich stał komendant z Lęborka. Zobaczył ich i podszedł ze srogą miną.

– Dobrze przypuszczałem, że wasza wizyta przyniesie tylko kłopoty – powiedział jeszcze mniej przyjaznym tonem niż podczas pierwszego spotkania. – Sprawa ucieczki niebezpiecznego pensjonariusza z zakładu opieki należy już do mojej jurysdykcji. Prosiłbym, aby panowie opuścili teren, na którym będą przeprowadzane czynności operacyjne.

Zakrzewski popatrzył mu w oczy z błyskiem kpiny. Kiedy wszyscy świadkowie tej sceny myśleli, że powie coś złośliwego i skończy się awanturą, pokiwał głową.

– Rozumiem pana – rzekł. – Czy aspirant Woźniak mógłby nas odwiedzić do Łeby?

– Woźniak, są twoi! – rzucił komendant i zniknął w budynku z czerwonej cegły.

Karetka pogotowia wyjechała na drogę, lawirując między policyjnymi autami. Po chwili usłyszeli oddalający się sygnał dźwiękowy.

## 47 Idealna rodzina

23–24 lipca, czwartek i piątek, wieczór i noc

Woźniak stracił dobry humor. Przez całą drogę powrotną do Łeby nie odezwał się ani jednym słowem. Marcin też się nie odzywał. Parol od czasu do czasu zerkał na siedzącego z tyłu Zakrzewskiego. Wyraźnie był zniecierpliwiony. Na tyle znał już Marcina, by wiedzieć, że komisarz nie odpuściłby komendantowi i nie odjechał stamtąd tak spokojnie, gdyby czegoś nie znalazł. Nie zapytał jednak o nic przy Woźniaku.

Poskładali swoje rzeczy w drewnianym domku. Szawczak wyjeżdżał tyłem z podwórza golfem, a Marcin stał obok Woźniaka, paląc w milczeniu papierosa.

– Dzięki za pomoc – powiedział.

Woźniak zmierzył go uważnym spojrzeniem. Uznał widocznie, że Zakrzewski mówi szczerze, bo pokiwał głową i odpowiedział:

– Szkoda tylko, że tak się to skończyło. Mam nadzieję, że ta wizyta coś wniesie do śledztwa.

Marcin zaciągnął się ostatni raz i pstryknął niedopałkiem w kierunku studzienki kanalizacyjnej.

– Strata czasu – odparł. – Zbyt wiele lat minęło, żeby cokolwiek jeszcze znaleźć.

– No tak, czas zacierają ślady.

Golf zatrzymał się pół metra od nich. Parol wysiadł, nie gasząc silnika. Podszedł od razu do Woźniaka. Uścisnęli sobie

mocno dłonie. Marcin nigdy jeszcze nie widział u Szawczaka takiego zacięcia. Słuchał, jak wymieniają się grzecznościami.

– Może jeszcze kiedyś się zobaczymy.

– Pewnie! Dajcie znać, jak będziecie w okolicy. Wypijemy dużą wódkę.

– Na pewno.

W uszach Zakrzewskiego te uprzejmości brzmiały odrobinę zbyt sztucznie. On wcale nie miał ochoty na ponowne spotkanie z Woźniakiem. Uścisnął mu tylko rękę i wsiadł do samochodu, tym razem na siedzenie pasażera. Skrzywił się przy tym nieznacznie. Obtarcia na plecach niebezpiecznie się naciągnęły, a rana na kolanie zapiekła. Zbyt dużo ostatnio chodził. Lekarz zalecał oszczędzanie skaleczonego kolana, a Marcin mu to obiecał. Kolejna w jego życiu obietnica, która przegrywa z pracą. Czas coś zmienić.

Parol wyjątkowo ruszył z piskiem opon. Marcin do samego końca obserwował w bocznym lusterku postać Woźniaka, który stał nieruchomo, patrząc w ślad za odjeżdżającym samochodem. Nie odwrócił głowy nawet wtedy, kiedy skręcali na główną ulicę.

– Głodny jestem – powiedział nieoczekiwanie Parol.

Marcin natychmiast poczuł ssanie w żołądku.

– Zajedziemy gdzieś? – zaproponował Szawczak.

– Byle nie w Łebie.

– Poszukamy po drodze.

Ze względu na duży ruch jechali bardzo wolno. Tym razem Parol wykazał się większą werwą niż poprzedniego dnia. Kręcił głową, kiedy sznur jadących przed nimi aut zwalniał do pięćdziesiątki, przeklinał, gdy wciskały się przed nich droższe, szybsze samochody. Wyprzedzanie w takich warunkach było zabawą tylko dla osób o mocnych nerwach, a takich nie brakowało. Szczególnie tych w wypasionych autach. Przecież

wiadomo, że rodacy na szosie mają nieograniczoną wyobraźnię.

Wreszcie dotarli do miejscowości Wicko, oddalonej o ponad dwanaście kilometrów od wybrzeża. Dochodziła osiemnasta.

Jechali wolno przez smutno wyglądającą miejscowość, rozglądając się za jakimś barem. Niczego nie znaleźli. W pewnym momencie minęli tablicę informującą, że kończy się strefa zabudowana. Okazało się jednak, że prawdziwe centrum zaczyna się kilkaset metrów dalej. Najpierw był strzelisty kościół z przylegającym do niego cmentarzem, potem po lewej stronie zobaczyli pomalowany na bordowo budynek z napisem „Restauracja Pizzeria u Rosina”. Wnętrze było plastikowe i sztuczne, jednak usiedli w najdalszym kącie pustawej sali i zamówili dwie pizze. Parol wziął do tego butelkę coca-coli, Marcinowi wystarczyła kawa z mlekiem w dużym kubku.

– No dobrze – powiedział Parol, gdy kelner odszedł z zamówieniem. – Co dalej?

– A co masz na myśli?

– Też mam oczy i wiele rzeczy zauważyłem. Może zbierzemy fakty do kupy?

Zakrzewski pokiwał głową z uznaniem.

– W opuszczonym domu Kurtzów ktoś był – odezwał się. – Jestem prawie pewien, że ktoś mnie ze środka obserwował. Z boku domu jest wydeptana ścieżka od dziury w płocie do tylnego tarasu. Na pewno nie wydeptały jej zwierzęta.

Na policzkach Parola pojawiły się jak zwykle czerwone plamy, które wykwitły nie wiadomo skąd.

– Na zdjęciach grobowca Kurtzów z cmentarza wyraźnie widać, że ktoś ten grobowiec otwierał – zauważył. – W policyjnych raportach nie było o tym ani słowa.

– Nikt się tym na poważnie nie zainteresował. Popatrz na to. – Marcin rozłożył na stoliku rysunek Katarzyny Kurtz. Idealna rodzina. Tata i mama siedzą na krzesłach, trzymają się za ręce,



obok córka. Idylla, tylko że rysunek był w kolorach, którymi można byłoby zilustrować jeden z horrorów Stephena Kinga.

– Niby optymistyczne, ale bardziej chyba ponure – mruknął Parol.

– A napis?

– Idealna... – zaczął, lecz nie skończył. – Zaraz, wśród tych bazgrołów sprayem na grobowcu można było odczytać słowo „idea...”. Przypadek?

Zakrzewski wzruszył ramionami. Zamilkli, kiedy kelner stawiał na stole napoje. Zakrzewski rzucił się na kawę, jakby nie pił nic od tygodnia. Kawa powinna rozjaśnić mu trochę w głowie.

– Może? – Wzruszył ramionami. – Katarzyna Kurtz nieraz wymykała się z ośrodka. Popatrz. Te kartki z wierszami znalazłem za krzyżykiem na miejscu zbrodni, a zeszyt z wierszami w pokoju Katarzyny.

Szawczak dokonał szybkiej oceny.

– Pismo wygląda bardzo podobnie – stwierdził.

– Powiedziałbym, że tak samo.

– Kiedy zjawiliśmy się pod domem Kurtzów, Katarzyna chyba była jeszcze w ośrodku. Kto w takim razie był w domu Kurtzów?

– Może ktoś tam nielegalnie mieszka. Bezdomny, włóczęga albo domek odwiedzany jest przez miejscową młodzież w imprezowych celach. Niczego nie można wykluczyć.

– Ale musimy to sprawdzić. Co robimy?

– Poczekamy, aż się ściemni, i wrócimy.

Pizza nie była najlepszą, jaką Zakrzewskiemu zdarzyło się w życiu jeść. Nie załapałaby się nawet do pierwszej dwudziestki jego prywatnego rankingu, lecz nie narzekał. Był tak głodny, że było mu właściwie wszystko jedno.

Pół godziny później zapłacili i wrócili na parking do auta. Tutaj Parol znowu pozytywnie zaskoczył Marcina. W bagażniku

znalazł dwie mocne latarki, zapas baterii i najważniejsze – łom.

– Może się przyda – powiedział z dziwnym błyskiem w oku.

– Od kilku minut zastanawiam się, gdzie tu można kupić latarkę. Jak widzę, niepotrzebnie.

Po krótkiej naradzie wrócili do lokalu, gdzie Marcin zamówił jeszcze jedną kawę. Omówili plan na wieczór.

\*

Kilkanaście minut później Parol zatrzymał auto na poboczu drogi w Łęczycach, jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy ośrodka opiekuńczego. Stali kilka minut, by się upewnić, że policja z Lęborka zakończyła już czynności operacyjne. Potem zajechali na parking przed wejściem. Czerwony hyundai, który wytypowali jako samochód dyrektorki, cały czas stał w tym samym miejscu co poprzednio.

Zofia Dębska była trochę zdziwiona ich wizytą. Na początku sprawiała wrażenie śmiertelnie znużonej, ale kiedy Zakrzewski powiedział, że chciałby się dowiedzieć, kto odwiedzał Katarzynę Kurtz w ośrodku, stała się podejrzliwa.

– Nasz komendant policji mówił, że panowie prowadzą inne śledztwo – stwierdziła. – Radził, żebym nie udzielała panom żadnych informacji.

Przyjazny uśmiech na twarzy komisarza Zakrzewskiego natychmiast zmienił się w nieprzyjemny grymas.

– Proszę mnie uważnie posłuchać – powiedział, nachylając się przez biurko w kierunku dyrektorki ośrodka. – We Wrocławiu prowadzimy śledztwo w sprawie kilku morderstw. Prawdopodobnie te morderstwa wiążą się z tragicznymi wydarzeniami z dzieciństwa pani podopiecznej. Dlatego mało mnie obchodzi, co mówi komendant. Chciałbym się dowiedzieć, kto odwiedzał Katarzynę w ostatnim roku. Pewnie ma pani dane w systemie.

– Takie dane są – potwierdziła. – Obawiam się jednak, że nie mogę panu ujawnić tych informacji.

– Prędzej czy później i tak mi je pani ujawni. – Marcin wzruszył ramionami. – Jutro rano będę tu z prokuratorem i nakazem. Wolałbym jednak załatwić tę sprawę w cywilizowany sposób.

Dyrektor Dębska popatrzyła na niego, potem na siedzącego obok w milczeniu Szawczaka. Jeśli się wahała, to tylko przez ułamek chwili.

– Wolałbym zobaczyć ten nakaz.

Zanim Marcin zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon Parola. Ten spojrział na nich przepraszająco i odebrał.

– Tak? Nie mogę teraz rozmawiać... – słuchał chwilę kogoś po drugiej stronie linii. – No dobrze, mów.

Spojrzął znowu na siedzących przy biurku, wstał i odszedł pod drzwi wejściowe. Potem tylko od czasu do czasu odzywał się półsłówkami. Zakrzewski przestał zwracać na niego uwagę.

– Czy mogę w takim razie porozmawiać z inną pani podopieczną? Ma na imię Dorota – odezwał się.

Rozkojarzona Dębska patrzyła to na niego, to na prowadzącego rozmowę Parola. Wahała się.

– No nie wiem.

Zakrzewski znowu stał się dobrym policjantem.

– Pani doktor, mój przełożony prokurator Grabski to straszny choleryk. Jeśli będzie musiał tu przyjechać z tak błahego powodu, jak przesłuchanie pacjenta, będzie wściekły i oskarży panią o utrudnianie śledztwa.

– Dobrze. – Dębska nagle podjęła decyzję. – Zaprowadzę panów do Dorotki. Tylko proszę o delikatność. Jej nastroje bywają bardzo różne.

– Proszę się nie martwić, to zajmie tylko pięć minut.

Wstali i skierowali się do wyjścia. Szawczak odsunął się od drzwi, dając Marcinowi do zrozumienia, że nie może przerwać

rozmowy.

– To może kolega tu zastanie i dokończy rozmowę, a my sami pójdziemy? – zaproponował.

Dyrektorka znowu się zawahała. Szybko uznała jednak, że Parol jest niegroźny, i zaprowadziła Marcina na drugie piętro do świetlicy. Pacjenci oglądali serial o policjantach. Jeśli takie seriale kreowały wizerunek policji w oczach przeciętnego obywatela, Marcin już się martwił, co ludzie myślą o nim i o jego pracy.

Dorotka stała pod oknem. Nie oglądała telewizji, tylko patrzyła przez szybę na las z tyłu domu i mamrotała coś pod nosem.

– Dorotko, pan policjant chciałby z tobą porozmawiać – powiedziała Dębska.

Pacjentka spojrzała na Marcina, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Nie stałeś tam – mruknęła. – To jest moje miejsce.

Zakrzewski zastosował tę samą technikę, co poprzednio. Odsunął się o krok.

– Przepraszam, już jest wolne – odpowiedział.

Kobieta stanęła obok niego, jakby bała się, że się rozmyśli. Dębska obserwowała ich z pewnego oddalenia.

– Spotkaliśmy się dzisiaj. Pamiętasz?

– I co z tego? – warknęła chora.

– Od razu widać, że jesteś tylko chora na depresję – kontynuował Zakrzewski. – Wariat zachowuje się jak wariat, a ty jesteś inna.

Patrzyła na niego uważnie, sprawdzając, czy mówi poważnie, czy się z niej nabija.

– Ciągłe im to mówię. Nie wierzą mi.

– Komu mówisz?

Rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Dębskiej.

– Im – wyjaśniła i zaczęła szarpać Marcina za ramię. – Wstawisz się za mną? Powiesz im, jak jest naprawdę?

– Tak, ale opowiesz mi o Katarzynie Kurtz.

Pochyliła nagle głowę.

– A co tu opowiadać?

– Skąd wiedziałaś o tajnym przejściu?

– Kiedyś mi powiedziała.

– Mówiłaś, że są dwie?

Rozejrzała się z nagłym przestraszaniem. Pociągnęła go za ramię w kierunku okna. Na szczęście dzielni policjanci na ekranie telewizora głośno zastanawiali się, kto mógł ukraść biednemu staruszkowi obraz z mieszkania.

– Bo one się zamieniają.

– Kto?

– Nie wiem kto! – Machnęła ręką zniecierpliwiona. – Tamta druga traktuje mnie jak wariatkę i nic nie mówi. Kaśka jest inna, dużo rozmawiamy.

– A jak one się zamieniają?

– Tak jak ci mówiłam, nie pamiętasz?

– A dlaczego nikt niczego nie zauważył?

Nachyliła się.

– Bo są do siebie podobne – wyszeptała.

Ktoś stanął za ich plecami. Odwrócili się jak na komendę.

– Panie komisarzu – rzuciła Dębska. – Miało być krótko.

– Przepraszam, pani dyrektor – powiedział Zakrzewski. – Dziękuję za pomoc, Dorota.

– A wstawisz się za mną?

– J-jasne.

Kiedy schodzili po schodach na piętro, gdzie mieścił się gabinet Dębskiej, Marcin zapytał:

– Pani dyrektor?

Była trzy stopnie niżej. Zatrzymała się i spojrzała na niego do góry.

– Czy w ostatnim czasie ktoś pytał o Katarzynę Kurtz? Nie zdradzi mi pani żadnej tajemnicy lekarskiej, jeśli odpowie mi pani na to pytanie, a przy tym oszczędzi pani kłopotu mnie i sobie.

Pokręciła głową.

– Niestety, nie przypominam sobie – odpowiedziała.

Kiedy byli już przy końcu schodów, odwróciła się nagle do Zakrzewskiego.

– Chwileczkę. To było półtora roku temu albo może i dawniej. O Katarzynę pytał pewien prywatny detektyw z Gdańska.

– Pamięta pani, jak się nazywał?

– Niestety nie, ale chyba mam jego wizytówkę. Wie pan, przechowuję takie rzeczy na wszelki wypadek.

Parol czekał na nich na korytarzu. Dębska i Marcin weszli do jej gabinetu. Kobieta wzięła do ręki grubą wizytówkę i po chwili podała mu błękitny kartonik z napisem „Ryszard Borowski – prywatny detektyw”. Adres był w Gdańsku Morenie. Marcin słyszał już gdzieś to nazwisko, na pewno. Tylko oczywiście teraz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie. Schował wizytówkę do tylnej kieszeni spodni.

\*

Parol uruchomił auto i wyjechali na główną drogę. Pokonali wolno Łęczyce, kwadrans później zaparkowali na leśnym parkingu przy drodze do Łeby. Wyszli z samochodu. Parol poszedł w krzaki za potrzebą, a Zakrzewski palił papierosa oparty o maskę.

– Myślisz, że ta Dorota ma rację? – zapytał Parol, opierając się obok niego.

Wahał się chwilę, ale w końcu przyjął papierosa od Marcina i zapalił. Po drodze Zakrzewski zdał mu relację z rozmowy z pacjentką ośrodka.

– Miała rację w sprawie tajnego przejścia – mruknął zamyślony.

– No dobrze, ale reszta może być konfabulacją.

– Szkoda tylko, że układa się w logiczną całość. A ty co masz?

Parol sięgnął na siedzenie pasażera po cztery świeżo wydrukowane kartki papieru. Tak naprawdę nikt do niego nie dzwonił, kiedy byli w gabinecie Dębskiej. To był ich plan B na wypadek, gdyby dyrektorka nie chciała współpracować. Powiódł się w stu procentach.

– Myślałem, że system ośrodka będzie lepiej zabezpieczony. – Parol uśmiechnął się, bardzo z siebie zadowolony. – Jeśli administrator systemu ma hasło „admin”, to wiele ułatwia.

Oddaloną o kilkadziesiąt metrów drogą jechał sznur samochodów w obie strony. Tylko od czasu do czasu zdarzały się przerwy i wtedy nagle zapadała błoga cisza. Przez moment można było usłyszeć odgłosy lasu.

– Skąd wiedziałeś? – zainteresował się Marcin.

– Człowieku, to elementarz hakera. Zanim zaczniesz grzebać głębiej, sprawdzasz kilka oczywistych haseł. Zdradzę ci tajemnicę, że jednym z nich jest „1234”.

– J-jasne – burknął Marcin, zastanawiając się, czy hasło do jego komputera znajduje się na krótkiej liście Szawczaka.

Postanowił, że i tak je zmieni. Licho nie śpi.

– Mam wydruk całej kartoteki Katarzyny Kurtz. Fundacja, która finansuje jej pobyt w ośrodku, nazywa się „Na pomoc” i uwaga, jej siedziba znajduje się we Wrocławiu. Rachunek za pobyt opiewa na pięć i pół tysiąca miesięcznie, nie licząc leków. Ktoś musi być majątny, skoro utrzymuje ją w tym miejscu. W ostatnim roku odwiedzała ją tylko jedna osoba. Kilkakrotnie. W kartotece niestety nie było nazwiska. Poszukałem zatem gdzie indziej i okazało się, że na niektóre oddziały trzeba mieć przepustkę. Przejrzałem listę wydanych przepustek i znalazłem takie nazwisko.

Podsunał Marcinowi jeden z wydruków. Wystarczył tylko rzut oka.

– Kurwa mać! – przeklął głośno Marcin.

Pstryknął niedopałkiem przed siebie. Poleciał odrobinę za daleko i upadł na suchą trawę. Zakrzewski szybko poszedł w to miejsce i rozgniół go starannie butem. Potem wrócił i znowu zapalił. Parol patrzył na niego w milczeniu. Marcin zabrał mu kartki, przejrzał je szybko, popatrzył chwilę na zdjęcie pacjentki i wszystko mu oddał.

– Już ją spotkałem – powiedział nieoczekiwanie.

Parol wytrzeszczył na niego oczy.

– Dwa razy widziałem ją przed swoim blokiem – mówił Marcin, patrząc, jak żar pożera papierosa, zmieniając go w popiół. – Wtedy myślałem, że to Magda. To znaczy Magdalena Szumilas. Im dłużej teraz o tym myślę, tym bardziej jestem pewien, że były do siebie zadziwiająco podobne. Trzeci raz szła za mną w Magnolii. Próbowałem ją wtedy gonić, ale zniknęła w tłumie. Przez cały czas miałem wrażenie, że coś przeoczyłem. Teraz wiem, że chodziło mi o nią.

– A niby co ona robiła u ciebie na osiedlu? – Parol sceptycznie pokręcił głową. – Jesteś pewien?

– Jeśli prawdą jest, że zamieniały się w ośrodku, jest to możliwe. Z Magdą nie miałem kontaktu, ponieważ była w ośrodku w Łęczycach, a Katarzyna Kurtz była wtedy we Wrocławiu i... – zawahał się.

– Mordowała? – dokończył Parol. – Marcin, tego nie da się pogodzić czasowo.

– Dlaczego nie? Załóżmy, że Adama Kurzaja zamordowała Szumilas. W tym czasie wysłała do mnie wiadomość tekstową, proponując spotkanie i seks. Być może była wtedy jeszcze przy zwłokach albo w jego mieszkaniu, nieistotne. Potem wyłączyła telefon i ruszyła w nocy samochodem tutaj. W tym czasie Katarzyna opuszcza ośrodek i jedzie do Wrocławia. Mijają się



w połowie drogi. Magda jest rano w pokoju Katarzyny, a ona morduje kolejne trzy ofiary.

– Ale po co? – Szawczak wciąż kręcił głową.

– To jest iluzja, rozumiesz? Mieszają nam w głowach. Mylą tropy, podrzucają sprzeczne informacje. I to skutecznie. W ramach zacierania śladów ginie Patryk Tularz, który zna Szumilas. Sama Magda znika jak kamfora. Policja ma myśleć, że ją też ktoś zamordował. Stąd ślady na brzegu Widawy. Genialne zakończenie. Katarzyna Kurtz ma żelazne alibi, przecież nigdy nie opuszczała ośrodka. Tropy sugerują, że Szumilas została zamordowana, nigdy nie znajdziemy jej ciała, zostało niewiele śladów biologicznych i nie mamy z czym ich porównać. Tak samo z odciskami palców. Jeśli w przyszłości nikt nie pobierze od niej odcisków i nie umieści w bazie policyjnej, nie mamy szans. Jeśli wyjedzie za granicę, spadają do zera.

Parol zaczął uważnie czytać wydruki z kartoteki Katarzyny Kurtz.

– Cholera! – Popatrzył na Marcina. – Lekarze ośrodka wyraźnie dzielą chorobę Katarzyny Kurtz na dwa stadia. Pobudzenie, kiedy wychodzi ze swojej celi, jest komunikatywna i rozmowna, oraz okresy remisji, kiedy nie chce wyjść, zamyka się w sobie i brak z nią kontaktu. Tu nawet są daty obu stadiów choroby.

Marcin długo wpatrywał się w wydruki. Daty ostatnich zmian w stanie pacjentki był zaskakująco zbieżne z datami morderstw we Wrocławiu.

– I co dalej? – zapytał Szawczak.

– Na razie nic. Poczekamy, aż się ściemni, i pojedziemy do Nowęcina. Plan bez zmian.

\*

Nie musieli długo czekać. Słońce zniknęło za horyzontem i w lesie poszarzało. Nawet ruch na drodze jakby ustawał. Wokół leśnego parkingu zrobiło się cicho. Sprawdzili broń, Parol odpalił silnik i wolno ruszyli w kierunku Łeby. Kilka minut później minęli granice miasta.

Nagle z bocznej ulicy, którą minęli, wyjechał policyjny radiowóz. Błysnęły światła i zawyła syrena.

– Co robimy? – zapytał szybko Parol.

– Zatrzymaj się.

– Kogo diabli nadali?

– Nie domyślasz się?

Szawczak zjechał na chodnik i zatrzymał się, nie wyłączając silnika ani świateł. Radiowóz wyłączył sygnał dźwiękowy i zatrzymał się tuż za nimi. We wstecznych lusterkach widzieli, że kierowca wysiada i wolno podchodzi do ich auta. Siedzieli w milczeniu i nawet się nie poruszyli.

– Do diabła! Coś mi mówiło, że się jeszcze dzisiaj zobaczymy – mruknął Parol.

Aspirant Woźniak, ubrany po cywilnemu w czarną kurtkę, nachylił się, żeby zajrzeć przez boczną szybę. Najpierw spojrzał na Parola, potem na Marcina.

– Zapomnieliście o czymś, chłopaki?

– Chcieliśmy się jeszcze na odchodne wykąpać w morzu po zmroku – odpowiedział Parol niezbyt przyjaznym tonem.

– Jak najbardziej polecam. – Woźniak uśmiechnął się ironicznie. – Po takim upalnym dniu to wielka pokusa.

– Czego chcesz? – zapytał Zakrzewski.

– Jechać z wami. Nie mogę sobie tego odmówić.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. W końcu Marcin zrobił ruch głową, wskazując mu tylne siedzenie.

– Wsiadaj.

Woźniak wrócił do radiowozu, wyłączył sygnalizatory świetlne, zgasił silnik i wskoczył na tylne siedzenie golfa.

Trzasnęły drzwiczki.

- To gdzie jedziemy? – zapytał.
- Na cmentarz.

\*

Cmentarz, na którym znajdował się grobowiec rodziny Kurtzów, położony był w Łebie przy ulicy Noweścińskiej. Zajęli miejsce parkingowe tuż przy zamkniętej o tej porze bramie. Na szczęście furтка wciąż była otwarta. Słońce zaszło za horyzont i teren cmentarza wydawał się pogrążony w zupełnych ciemnościach, tylko gdzieś tam błyszczały zapalone na grobach znicze. W policyjnych aktach był dokładny opis położenia grobowca, lecz oceniając teraz wielkość cmentarza i okoliczności, Parol zaczął mieć wątpliwości, czy trafią na miejsce.

- Ciężko będzie znaleźć grób – mruknął, sprawdzając latarkę. Zakrzewski wzruszył ramionami.
- Mamy dużo czasu.

Poszedł pierwszy. Gdy tylko znaleźli się za bramą, okazało się, że wcale nie jest tak ciemno. Oczy szybko przyzwyczyły się do braku światła. Poświata nad miastem i łuna po słońcu na zachodzie dość dobrze oświetlały cały teren. Przeszli kilkadziesiąt metrów i zatrzymali się na linii drzew. Zakrzewski włączył latarkę i szukał ścieżki odchodzącej w lewą stronę.

– Po zmroku wszystkie cmentarze są takie same – jęknął znowu Parol.

Trudno było nie przyznać mu racji. Marcin jeszcze raz omiół światłem nagrobki z lewej strony. Opis w raporcie policyjnym wydawał się bardzo dokładny, ale setki takich samych nagrobków wokoło zupełnie zmieniały perspektywę.

– Trzeba przejść jeszcze kilka metrów, wtedy będzie ścieżka – powiedział stojący nieco z tyłu Woźniak. – Zawsze jestem tu

pierwszego listopada – wyjaśnił po chwili, czując na sobie badawcze spojrzenia. – Pamiętam, gdzie jest grobowiec Kurtzów.

Przeszli kilkanaście kroków i skręcili w lewo.

– Teraz w prawo do samego końca. Zaraz przy ogrodzeniu.

Po chwili byli na miejscu. Grobowiec był wkopany na około metr w ziemię i wystawał metr ponad poziom gruntu. Na wymurowanych z cegieł ściankach leżała solidna płyta z lastrika, na niej znajdowały się tabliczki z nazwiskami i datami. Kiedyś musiała być okazała i efektowna. Przez lata warunki atmosferyczne zniszczyły powierzchnię płyty, krawędzie porastał mech. Tynk z boków odpadł, lecz ślady po białej farbie w sprayu wciąż były widoczne.

Rana pod kolanem nie pozwalała Zakrzewskiemu przykucnąć, pochylił się więc nisko i uważnie obejrzał przód grobowca. Jeden z rogów był świeżo utracony. Wyraźnie widać było, że ktoś próbował odsunąć płytę.

– Trzeba będzie trochę odgarnąć ziemię – powiedział Parol.

Woźniak chwycił go za ramię.

– Co wy chcecie zrobić? – zaniepokoił się wyraźnie.

Dopiero teraz zobaczył łom w dłoni Szawczaka i odsunął się krok do tyłu.

– Co wy, kurwa, odwalacie?! – wykrzyknął.

– Przyszedłeś tu na ochotnika, więc zamiast się drzeć na pół miasta, pomóż – odparł Zakrzewski.

– Nie spodziewałem się, że otworzycie grób. Nie mogę na to pozwolić!

Marcin podniósł się i stanął przed nim twarzą w twarz.

– Posłuchaj, Woźniak, gdyby któryś z twoich kolegów nie olał sprawy, teraz pewnie by nas tutaj nie było.

– Co ty pieprzysz, Zakrzewski?

– Na zdjęciach wyraźnie widać ślady. Ktoś ten grobowiec otwierał i zaglądał do środka. Chcemy się dowiedzieć, po co.

Marcin z Parolem zabrali się za odsuwanie płyty. Była cholernie ciężka. Przy pierwszej próbie ledwo drgnęła.

– Musiało ich być co najmniej dwóch – sapnął Parol. – Mógłbyś pomóc, jak już tu jesteś – rzucił do Woźniaka.

Miejscowy policjant niechętnie przykląkł i wspólnymi siłami przesunęli płytę zabezpieczającą wejście. Ze środka uderzył ich zapach zgnilizny i pleśni. Tak intensywny, że zaczęły ich szczypać oczy. Zakrzewski poświecił latarką do środka. Zobaczył dwie zbutwiałe trumny. Kiedyś musiały stać na podwyższeniu z drewna, które po latach zgniło i załamało się pod ich ciężarem. Trumna po prawej stronie stała niebezpiecznie przychyłona na bok.

Nie zastanawiając się długo, Marcin wszedł do środka. Wolną ręką przyciskał do ust chusteczkę, żeby przytłumić trochę smród panujący w środku. W drugiej ręce trzymał zapaloną latarkę.

– Jeśli ktoś się o tym dowie, wylecę z policji – jęknął z tyłu Woźniak.

Nie skomentowali tych słów.

Marcin zbliżył się do trumny po lewej stronie i uważnie się jej przyjrzał. Wieko było lekko przekrzywione. Powinno być przykręcone śrubami, wtedy nie mogłoby się przekrzywić nawet po upływie tak długiego czasu. Schował chusteczkę do kieszeni i pchnął wieko. Przesunęło się z lekkim zgrzytem. Poświecił latarką do środka i znieruchomiał.

– Kurwa... – wymknęło mu się mimowolnie.

Parol poświecił do środka.

– Znalazłeś coś?

Nie odpowiedział. Przesunął wieko drugiej trumny, ześlizgnęło się za daleko, zachwiało się i spadło z hukiem na podłogę, wzniecając chmurę kurzu. Wtedy Szawczak sam zobaczył.

– Są puste!

– Co?!

Woźniak wyrwał mu z dłoni latarkę i sam skierował do środka snop światła. Długo panowała cisza. Wszyscy zastanawiali się, komu i po co potrzebne były ciała małżeństwa Kurtzów.

– Muszę zadzwonić na komendę – odezwał się wreszcie Woźniak. – Trzeba wezwać tutaj śledczych. Co, do kurwy nędzy, tu się mogło stać?

Szawczak pomógł Marcinowi wyjść na zewnątrz. Zakrzewski, krzywiąc się z bólu, wyprostował plecy. Ciągłe czuł dyskomfort i piekący ból, gdy tylko się gwałtownie schylił lub nie dość ostrożnie poruszył. Podeszedł do miejscowego policjanta, ciężko położył rękę na jego ramieniu i spojrzał mu w oczy.

– Uspokój się, do cholery! Na razie nigdzie nie będziesz dzwonił i nikogo wzywał. Jak wytłumaczysz szefowi, że po zmroku włamujesz się do grobowców na cmentarzu? Do tego razem z nami?

Minęła chwila, zanim do Woźniaka dotarły te słowa. Pokiwał tylko głową.

– W porządku. Pomóż nam teraz położyć płytę na swoje miejsce.

Zamknięcie grobowca zajęło im więcej czasu i kosztowało o wiele więcej wysiłku. Musieli dokładnie ustawić płytę, żeby można było ją wcisnąć pod rant górnej płyty. Wreszcie się udało. Stanęli w ciemnościach, dysząc ciężko. Woźniak otarł chusteczką pot z łysej czaszki. Pora była późna, lecz temperatura spadała bardzo wolno.

– Co teraz? – zapytał.

– Jedziemy do domu Kurtzów – odpowiedział Marcin.

\*

Zaparkowali na poboczu drogi, przy kępie drzew za uliczną latarnią. Dalej było już ciemno, jeśli nie liczyć świateł domu mieszkalnego po drugiej stronie ulicy. Żeby dojść do opuszczonego domu Kurtzów, trzeba było pokonać jeszcze około stu metrów w ciemnościach. Od strony Łeby dobiegała ich muzyka, okrzyki i śmiechy. Po prawej Nowęcina zapadał właśnie w sen. Równoległą ulicą przejechał wolno samochód, od czasu do czasu odzywały się psy pilnujące obejść.

Wysiedli i stanęli obok auta po stronie kierowcy.

– Która godzina? – zapytał Zakrzewski.

– Za kwadrans dwunasta – odpowiedział Parol.

– Poczekamy jeszcze kilka minut – Marcin wygrzebał z kieszeni pomietaną paczkę papierosów i zajrzał do środka. – Zostały jeszcze dwie fajki. Ktoś chce?

Zgłosił się Parol, Woźniak pokręcił głową.

Palili oparci o maskę golfa. Woźniak przystanął trochę z boku.

– Masz broń? – zapytał Marcin.

– Nie.

– To idziesz z tyłu.

Miejscowy policjant wyraźnie był nieswój.

– Co wy tam chcecie znaleźć? – zapytał.

– Z ośrodka opieki uciekła pacjentka z zaburzeniami psychicznymi, która może być niebezpieczna dla otoczenia – odpowiedział Szawczak.

Marcin się zastanawiał, czy w jego głosie usłyszał kpinę.

– Twoi koledzy byli w środku? – odezwał się.

– Chyba nie. Po okolicy miał kręcić się patrol. Może to oni.

Zza zakrętu od strony jeziora i znajdującej się tam przystani wyjechał samochód i wolno się zbliżał. Przez chwilę naprawdę myśleli, że to policja. Szybko jednak dobiegło ich miarowe dudnienie muzyki. Minęło ich czarne bmw z rozbawionymi młodymi ludźmi w środku.

– Chcecie ją złapać, nie wysiadając z samochodu?  
– Nie czepiajcie się mnie – zniecierpliwiał się Woźniak. – Nie ja dowodzę akcją i na szczęście nie ja będę ponosił ewentualne konsekwencje.

Zakrzewski rzucił niedopałek na asfalt.

– Idziemy! – nakazał.

Poszedł pierwszy skrajem drogi, za nim ruszył Parol, dwa kroki za nimi Woźniak. Gdy przechodzili obok domu po drugiej stronie, do ogrodzenia doskoczył pies. Podobno te mniejsze są szczególnie zajadłe i w tym przypadku teoria świetnie się sprawdziła. Piskliwy jazgot ustał dopiero, gdy odeszli na tyle daleko, żeby zniknąć kundlowi z pola widzenia.

Marcin poprowadził ich od razu do wydeptanej w trawie ścieżki z prawej strony domu. Przed ogrodzeniem zatrzymali się i nasłuchiwali kilkanaście sekund. Nie usłyszeli niczego niepokojącego. Bryła domu złowrogo odcinała się na tle jaśniejszego nieba. Dom wyglądał na odwiedzany tylko nocą przez leśne zwierzęta, które przychodziły tu zwabione wizją bujnej i zapewne smacznej roślinności porastającej podwórko.

– Tu nikogo nie ma. – Woźniak mimowolnie ściszył głos do szeptu.

Parol przyjrzał mu się uważnie. Aspirant nerwowo zaciskał palce i co chwilę drapał się po łysinie. Jeszcze nie wiedzieli go tak zdenerwowanego. Błada twarz świeciła w ciemnościach jak substytut księżyca w pełni.

– Skąd ta pewność? – Zakrzewski zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– No, nie mam pewności... – wycofał się Woźniak.

– Zostań tu chwilę.

Parol i Marcin odbezpieczyli broń i obeszlili dom z przeciwnych kierunków. Po dwóch minutach spotkali się w tym samym miejscu, obok dziury w ogrodzeniu.

– Spróbujemy przez drzwi na taras.



Marcin poprowadził ich na tyły domu, gdzie wcześniej widział już załatane płytą drzwi balkonowe. Płyta była zaczepiona tylko na dwóch zagiętych gwoździach, wystarczyło je przesunąć, żeby ją odstawić.

Parol spojrzął znacząco na Marcina. Ten skinął tylko głową i pierwszy wszedł do środka. Zapalił latarkę i trzymał ją przy lufie wyciągniętego przed siebie pistoletu. Snop światła wolno omiatał pomieszczenie – królestwo kurzu i pajęczyn oplatających stare szafy, dwa fotele i stół. Szawczak wszedł za nim i teraz dwa punkty świetlne przesunęły się po ścianach niezależnie od siebie. Szybko jednak zatrzymały się w tym samym miejscu na podłodze. Pośród śmieci na dywanie widać było wydeptaną ścieżkę prowadzącą w głąb domu. Ktoś musiał tędy regularnie chodzić. Wyraźne ślady stóp sugerowały, że od ostatnich odwiedzin nie minęło wiele godzin.

Marcin poszedł pierwszy, ubezpieczony przez Szawczaka. Kątem oka zobaczył, że Woźniak też wszedł do środka, lecz zaraz się zatrzymał. Obeszli cały dół, zaglądając w każdy zakamarek. Parol próbował nawet otworzyć starą szafę, lecz zaskrzypiała przeraźliwie, a na głowę posypała mu się kaskada kurzu. W korytarzu były schody na poddasze. Marcin stanął na dole, Parol wolno wspiął się na górę. Po chwili rozległo się skrzypienie sufitu, Szawczak obszedł strych i wrócił na dół. Zgasili latarki i czekali, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

– Co robimy? – zapytał cicho Parol.

– Ślady prowadzą pod drzwi do piwnicy – odpowiedział Marcin. – Na drzwiach jest kłódka.

– Kto tu przychodzi? Bezdomni?

– Kłódka wygląda na nową i używaną.

Podeszli do małych drzwi prowadzących najprawdopodobniej do piwnicy. Przyjrzeni się kłódce. Woźniak stanął za nimi i zajrzał im przez ramię.

– Mieliście jakieś zgłoszenia o włóczęgach i bezdomnych? – zapytał Marcin.

– Komenda w Łebie codziennie przyjmuje takie zgłoszenia. Ciągną tu latem jak do ziemi obiecanej. Tylko że śpią raczej po parkach, na wydmach. Słyszałem o obozowisku w lesie, ale dokładnie nie wiem.

Parol pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął podstawowy zestaw wytrychów do otwierania prostych zamków. Marcin znowu pomyślał o nim z uznaniem. On nigdy nie dorobił się takiego wyposażenia. Po chwili kłódka puściła.

Marcin odsunął ich ruchem ręki i pchnął drzwi. Otworzyły się nadzwyczaj lekko. Poświecił w dół. Strome schody prowadziły do głębokiej piwnicy. W ich nozdrza uderzył zapach stęchlizny pomieszany z czymś jeszcze. I właśnie o to „coś jeszcze” chodziło. Zakrzewski dobrze wiedział, z czym kojarzy mu się ten zapach, i wcale mu się to skojarzenie nie spodobało. Śmierć, rozkład, zgnilizna. Zobaczył na ścianie włącznik światła i machinalnie go przekręcił. Światło zalało piwniczne pomieszczenie.

– Kurwa mać! – szepnął Woźniak.

Zakrzewski z pistoletem gotowym do strzału zaczął schodzić po schodach. Parol ubezpieczał go z góry. Drewniane schody cicho skrzypiały pod naciskiem stóp. Strop znajdował się dość nisko i Marcin musiał schylić głowę, żeby włosami nie zbierać zwisających pajęczyn. Na dole zatrzymał się i rozejrzał. Na starych regałach ciągle jeszcze stały w rzędach słoiki z przetworami, jakieś zardzewiałe garnki, obok narzędzia, młotki, szczypce. Wszystko mocno nadgryzione zębem czasu i pokryte warstwą kurzu niczym pogrzebowym całunem narzuconym przez bezlitosny czas. Wszystko jak przed laty. Prawie wszystko. Druga połowa piwnicy była odgradzona szarą kotarą.

Zakrzewski wolno zbliżył się do wiszącego materiału, odchylił go lufą pistoletu i wzdrygnął się przestraszony. Palec niebezpiecznie nacisnął na spust walthera. Prawie wystrzelił.

– Jasna cholera! – mruknął przez zaciśnięte szczęki, oddychając głęboko, żeby uspokoić serce, które nagle przeszło do galopu.

– W porządku? – dobiegł go zaniepokojony głos Parola.

– Tak, tak – rzucił uspokajająco.

Odsunął kotarę i do drugiej części pomieszczenia wpadło więcej światła.

Przy ścianie stał stół, przy nim trzy krzesła. Na dwóch odwróconych do niego tyłem siedziały dwie osoby ubrane w stare łachmany. To ich w pierwszej chwili przestraszył się Marcin. Po kilku sekundach stwierdził, że musi mieć do czynienia ze starymi manekinami sklepowymi z wypłowiałymi włosami. Oba były przywiązane do oparc swoich krzeseł. Trzymały się za ręce. Ale ręce też były związane sznurkiem. Trzecie krzesło stało naprzeciw manekinów, tyłem do ściany. Ściana szczególnie zainteresowała Zakrzewskiego. Wisiały na niej rysunki wykonane najpewniej tą samą ręką co te, które znalazł w pokoju Katarzyny Kurtz. Wszystkie ponure, w sinych barwach. Często przewijały się portrety kobiety i mężczyzny podpisane jako „tato” i „mama”. Kilka z nich podobne były do portretu rodzinnego, który tak zainteresował Marcina. Do mamy i taty siedzących na krzesłach dołączała dziewczynka z długimi włosami.

Oglądał rysunki w słabym, żółtym świetle rzucanym przez żarówkę na suficie i uświadamiał sobie powoli, że coś jest nie w porządku. Przez wszechobecne w piwnicy wonie stęchlizny i zgnilizny znowu przebił się ten inny zapach. Ten, który towarzyszył mu dość często w pracy kryminalnego. Nigdy się do niego nie przyzwyczał, do takiego zapachu chyba nie można się przyzwyczać. To byłoby wbrew ludzkiej naturze. Poczł, jak

zimny dreszcz zaczyna pełzać mu po plecach w dół. Odwrócił się i jeszcze raz uważnie przyjrzał się postaciom, które wziął za manekiny.

To nie były manekiny, tylko zwłoki mężczyzny i kobiety w stanie zawansowanego rozkładu. Wpatrywały się w niego puste oczodoły nad osłoniętymi otworami nosowymi w czaszce. Wyschnięte wargi odsłaniały pożółkłe zęby, które szczyrzyły się w upiornym powitalnym uśmiechu. Marcin poczuł, że do gardła podchodzi mu zawartość żołądka.

Oddech. Musi oddychać.

Otworzył szeroko usta i wciągnął zatechłe powietrze pełną pierś. Zaraz usta zasłonił dłonią. Pomogło. Żołądek wrócił potulnie na miejsce.

– Co tam się dzieje? – usłyszał głos Parola.

– Chodź i sam zobacz.

Szawczak zszedł po schodach. Zareagował podobnie jak Marcin. Z jego ust popłynęła wiązanka przekleństw.

– Skąd to się tu wzięło? – jęknął.

Zakrzewski chciał zmusić się do uśmiechu, lecz na jego twarzy pojawił się tylko brzydki grymas.

– Idealna rodzina, pamiętasz? Brakuje tylko córki.

– Ja pierdolę!

Woźniak stanął na dole schodów.

– Co się dzieje? – W jego głosie słychać było strach i niepewność.

– Przez przypadek znaleźliśmy zaginioną na cmentarzu rodzinę Kurtzów – odpowiedział Zakrzewski.

Zaskoczenie na twarzy Woźniaka, gdy uświadomił sobie sens wypowiedzianych właśnie słów, zmieniło się natychmiast w skurcz strachu. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy zgasło światło.

# 48 Pomost

24 lipca, piątek, noc

Zakrzewskiemu przez głowę przeleciała myśl, że przepaliła się żarówka albo elektrownia w końcu odcięła dostawy prądu za niezapłacone przez lata rachunki, lecz w tym momencie rozległ się huk. Huk, który kompletnie go ogłuszył. I zaraz potem jeszcze jeden. Lufa pistoletu kogoś, kto stał właśnie na szczycie schodów i zasłaniał wejście do piwnicy, dwa razy plunęła ogniem. Woźniak trafiony w plecy jęknął głośno i zwałił się ciężko na podłogę. Marcin rzucił się na kolana i przywarł do ściany. Jeśli napastnik zapamiętał jego pozycję, kiedy jeszcze było jasno, utrudnił mu teraz celny strzał. Broń jeszcze raz plunęła ogniem i nagle zrobiło się jakby jaśniej. Ten ktoś uciekł, odsłaniając wejście do piwnicy.

– Ty skurwysynu! – krzyknął nieswoim głosem Parol i rzucił się w pogoń.

– Parol, czekaj!

Krzyk Zakrzewskiego zmieszał się z odgłosem kroków na schodach i Parol zniknął na górze.

– Kurwa!

Marcin po ciemku wpadł na ciało Woźniaka leżące w bezruchu na podłodze. Próbował wymacać puls, lecz zanim zdążył znaleźć tętnicę szyjną, na górze rozległ się kolejny wystrzał. Zaraz po nim rumor i brzęk tłuczonego szkła. Zostawił Woźniaka i rzucił się do góry. Dwa strzały w plecy z bardzo

bliska. Woźniak musiałby mieć cholerne szczęście, żeby to przeżyć.

Wbiegł po schodach na górę i przywarł do ściany korytarzyka. Nie miał się gdzie schować, być może stanowił w tej chwili doskonały cel, lecz musiał się na moment zatrzymać, żeby ocenić sytuację. Równie dobrze mógł wybiec wprost na łufę napastnika. W domu panowała podejrzana cisza. Ruszył w prawo. Zajrzał do każdego pokoju, na końcu do kuchni. Ktoś zrzucił jedną z wiszących szafek i przeszklone drzwiczki roztrzaskały się w drobny mak. Gdzie, do cholery, jest Szawczak?

Wrócił do salonu i tylnego wyjścia przez taras. Zrobił krok zza rogu i natychmiast odskoczył do tyłu. Ciemna postać na tle drzwi tarasowych najwidoczniej na niego czekała. Znowu rozległy się dwa wystrzały. Kule wbiły się w futrynę, za którą schował się Zakrzewski. Przykucnął, wystawił dłoń z pistoletem, strzelił trzy razy na oślep, po czym wyskoczył z korytarza. Tyle że w salonie nie było już nikogo. Wybiegł za napastnikiem z domu. Na tarasie leżał Szawczak i poruszał się zdecydowanie za wolno. Marcin przypadł do niego.

– Jesteś ranny? – zapytał.

– Uderzył mnie czymś w głowę. Goń go!

Marcin zostawił ogłuszonego Parola i rzucił się w kierunku ogrodzenia. Widział ciemną postać biegnącą przez łąkę w stronę lasu. Ruszył w pogoń. Biegł najszybciej, jak potrafił, wielkimi susami skracając odległość dzielącą go od uciekającej osoby. Nagle odezwał się piekący ból w nodze. Poszkodowane w wypadku motocyklowym kolano gwałtownie protestowało. Nie zwrócił na nie uwagi, był coraz bliżej. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów. Może uda mu się dopaść go jeszcze przed linią drzew.

– Stój! – krzyknął i strzelił ostrzegawczo w powietrze, nie przerywając biegu.

Odgłos wystrzału przetoczył się po okolicy. Na uciekającym nie zrobił wrażenia.

Nagle płuca zaczęły go palić żywym ogniem. Brakowało mu oddechu. Już nie tylko kolano, lecz wszystkie mięśnie piekły, gwałtownie protestując przeciwko długiem sprintowi na długi tlenowym. Starał się utrzymać tempo, lecz wyraźnie zwalniał. Przeklinał w duchu swoją zaniedbaną kondycję, papierosy, alkohol i niesportowy tryb życia. Niech to szlag!

Na szczęście nie tylko on zaczął słabnąć. Dopadł przeciwnika tuż za linią lasu. Skoczył mu na plecy, zbił z nóg i obaj potoczyli się po wysokich trawach. Marcin chciał się zerwać, lecz niespodziewanie napastnik był już przy nim. Bolesne kopnięcie w żebra pozbawiło go resztek oddechu. Dla zyskania bezcennych ułamków sekund poturlał się po ziemi jak najdalej od przeciwnika. Zanim zdążył się podnieść, dostał kolanem w twarz. Upadł ciężko na plecy oślepiony bólem. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że przegrywa walkę wręcz. I to prawdopodobnie z Katarzyną Kurtz, kobietą, która od kilku lat siedziała w zamknięciu. Coś tu było nie tak. Wyteżył umysł i przypomniał sobie policyjne treningi z samoobrony. Do cholery, przecież zawsze był w tym dobry.

Odczekał i kiedy zbliżyła się do niego na niewielką odległość, zbił ją z nóg gwałtownym wypadem do przodu. Walka w parterze przypominała zapasy ze zwinnym i śliskim wężem. Zanim się zdążył zorientować, już wyswobodziła się z jego uścisku. Zerwał się na nogi i to był błąd. Otrzymał brutalne, precyzyjne i mocne kopnięcie w udo. Mięsień dwugłowy uda jest największym mięśniem w ludzkim ciele. Mocne uderzenie powoduje natychmiastowy, bardzo bolesny skurcz. Później serce zaczyna pompować gwałtownie krew w stłuczone miejsce. Krwi zaczyna brakować do prawidłowego ukrwienia innych organów, w tym mózgu. Nawet największy twardziel w takiej sytuacji może stracić przytomność. Zakrzewski runął

na ziemię, przed oczami zawirowały mu kolorowe plamy. Na moment stracił orientację. Nie wiedział, gdzie jest i co się stało.

Ocknął się, gdy postać w kominiarce pochylała się nad jego twarzą. Przez otwory widział tylko czarne oczy, wargi i oblizujący je często różowy język. Nie miał siły zareagować. Ból promieniujący z uda sparaliżował całe ciało. Nie mógł nawet ruszyć ręką.

Tuż przy uchu usłyszał głos Katarzyny Kurtz. Prawie poczuł ciepło jej oddechu.

– Nie mogę cię zabić. Jesteś taki piękny.

Przyglądała mu włosy, przesunęła palcami po policzku i szyi. Wzdrygnął się mimowolnie.

– Od dawna marzę tylko o tym, żebyś był mój.

O czym ona mówi? Może jest tylko majakiem wytworzonym przez jego umysł w chwili omdlenia?

– Masz taką słodką krew.

Odchyliła dolną część kominiarki. Widział spocony podbródek i język wysuwający się spomiędzy warg, a następnie poczuł ten język na twarzy. Zlizwała mu krew płynącą z rany na czole przez cały policzek. Widział, jak zakrwawiony język znika, a na wargach pojawia się szeroki uśmiech, odsłaniający zęby splamione jego krwią. Wydawało mu się, że chciała jeszcze coś powiedzieć, ale w następnej chwili już jej nie było. Zamknął oczy.

\*

Ocknął się gwałtownie. Wrócił ból w udzie. Jęknął, przewracając się na bok. Ile czasu minęło, odkąd stracił przytomność? Godzina? Dwie? A może tylko kilkanaście sekund? Ciągle czuł wilgotny język na policzku. Zrobiło mu się niedobrze. Wytarł policzek w rękaw koszulki. Musi wstać.



Przetoczył się na drugi bok i coś wpiło mu się w biodro. Z trudem wyciągnął spod niego swojego służbowego walthera p99. Wsunął pistolet za pasek od spodni i spróbował wstać. Udało się za trzecim razem. Stał na jednej nodze, opierając się o pień najbliższego drzewa. Ból się jakby zmniejszył, chociaż wciąż promieniował w górę i dół całej nogi. Może ma złamaną kość? Nie, przecież nie mógłby się ruszyć. Przeszedł kilka kroków i ból trochę osłabł. Mocno utykając, wyszedł na drogę i ruszył w kierunku jeziora oraz znajdującej się tam przystani.

Od strony Łeby nadal dobiegała muzyka, lecz z drugiej strony zaszła jakaś zmiana. Psy przestały szczekać, było więcej świateł. Pewnie ludzie usłyszeli strzały i krzyki, może ktoś już wezwał policję. Lada moment tu będą. Przyspieszył. Wydawało mu się, że minęła cała wieczność, nim wreszcie dotarł do przystani. Wyciągnął broń z za paska i odbezpieczył. Dwie latarnie oświetlały zakotwiczone przy brzegu łódki i sięgały aż do połowy pomostu. Druga jego część, wychodząca daleko w jezioro, pogrążona była w ciemnościach. Zakrzewski dostrzegł czarną plamę na końcu pomostu. Ruszył wolno w tamtym kierunku.

Nagle za plecami usłyszał kroki. Zanim zdążył się schować, prosto na niego zza kępy krzaków wypadł zasapany Parol. Obaj unieśli w górę broń.

– Nie strzelaj, to ja! – wykrzyknął Szawczak.

– Widzę, cicho – odpowiedział szybko Marcin zachrypniętym głosem i wskazał pomost. – Tam, na końcu, widzisz?

Parol skinął głową. Wyglądał fatalnie. Miał podbite oko i rozcięty łuk brwiowy. Marcin pomyślał, że pewnie sam wygląda równie źle. Gdyby teraz spojrział w lustro, mógłby siebie nie poznać.

– Oślaniaj mnie – mruknął Marcin i poszedł pierwszy. Parol podążał kilka kroków za nim, z boku, żeby nie znaleźć się na linii strzału. Weszli na pomost i starali się posuwać jak

najciszej. Niestety, deski wydawały z siebie odgłosy przy każdym kroku, szczególnie że Marcin lekko powłóczył bolącą nogą. Nie mogło być mowy o zaskoczeniu.

Minął połowę pomostu i znalazł się w miejscu, gdzie nie sięgały światła z brzegu. Zatrzymał się i ocenił sytuację. Ktoś siedział na samej krawędzi, na końcu pomostu. Czarna, nieruchoma postać.

– Policja! – krzyknął Marcin, a jego głos poniósł się echem po jeziorze. – Podnieś ręce do góry! Żadnych gwałtownych ruchów! Zero reakcji. Postać nawet nie drgnęła.

– Ręce do góry! Chcę widzieć twoje ręce!

Znowu nic. Parol zaświecił latarkę. Mocny snop światła zatrzymał się na plecach siedzącego.

Zakrzewski zaklął pod nosem i ruszył dalej. Po chwili był dwa kroki za siedzącym. Parol przyklęknął w odległości około dziesięciu metrów z tyłu, z pistoletem gotowym do strzału. Marcin nagle zrozumiał, kogo widzi, ale nie opuścił broni.

– Kurwa, to ty! – wykrzyknął. – Nie jesteś ranny?

Aspirant Jacek Woźniak spojrział na niego z ukosa. Twarz miał bladą jak kreda, oczy nienaturalnie świeciły mu w ciemnościach.

– Mam kamizelkę. – Uchylił trochę kurtkę.

– Gdzie Katarzyna Kurtz?

Woźniak nie odpowiedział od razu. Najpierw popatrzył przed siebie na ciemne jezioro, potem ukrył twarz w dłoniach. Marcin ledwo usłyszał jego odpowiedź.

– Nie ma jej... Odeszła.

Zakrzewski też spojrział na spokojną toń jeziora. Wydawało mu się, że w oddali widzi cień łódki i słyszy miarowe uderzenia wiosła. Nagle zrozumiał.

– Puściłeś ją!

Woźniak pokiwał głową.

Parol poderwał się na nogi i podbiegł do siedzącego mężczyzny. Wściekły zaczął go szarpać za ramię.

– Co ty, kurwa, zrobiłeś najlepszego? Dlaczego?

Woźniak wyszarpnął ramię z jego uścisku.

– Nigdy tego nie zrozumiecie – szepnął. – Kochałem ją. Ciągle ją kocham.

– Co ty pieprzysz, człowieku?!

– Znamy się od dzieciństwa. Była moją najlepszą koleżanką. W dzieciństwie spędzaliśmy razem każdą chwilę. Zakochałem się w niej i nie mogę się od tego uwolnić.

Parol popatrzał bezradnie na Marcina.

– Słyszysz, co on pierdoli? – zapytał, a potem zwrócił się do Woźniaka. – Człowieku, ona chciała cię dzisiaj zabić!

– Nie poznała mnie w ciemnościach.

Parol rozejrzał się gorączkowo.

– Musimy ją gonić! Jest tu gdzieś druga łódź?

Aspirant roześmiał się prawie bezgłośnie.

– Ma nad wami dużą przewagę. Jezioro ciągnie się na wiele kilometrów. Nie macie szans.

Zakrzewski położył Parolowi dłoń na ramieniu. Parol w jednej chwili oklapł, jakby uszło z niego powietrze.

– Cały czas odwiedzałeś ją w ośrodku, prawda? – zapytał Woźniaka. – Znaleźliśmy twoje nazwisko w rejestrze odwiedzin.

– Przychodziłem do niej, kiedy tylko mogłem. I kiedy ona chciała... bo czasem nie chciała. Nigdy tego nie zrozumiecie. To uczucie silniejsze od wszystkiego, nawet od zdrowego rozsądku. Zrobiłbym dla niej wszystko.

Zakrzewski stał zamyślony, patrząc na jezioro. Może ludziom tylko się wydaje, że miłość to piękne i wzniosłe uczucie, pchające do wielkich czynów? Może w zauroczeniu nie dostrzegają jej zgubnego charakteru? Tylko czasem spada fałszywa maska i można zobaczyć jej prawdziwe, destrukcyjne działanie. Mimo wszystko miał nadzieję, że tak nie jest.

Parol przysiadł z boku na pomoście i wycierał sobie chusteczką twarz z krwi, mrużąc pod nosem. Najwyraźniej słychać było przekleństwa.

Po chwili rozległy się policyjne syreny i trzy radiowozy zajechały na przystań. Marcin patrzył, jak wyskakują z nich mundurowi policjanci i z bronią gotową do strzału otaczają wejście na pomost. Po chwili rozległ się głos wzmocniony megafonem.

– Uwaga! Tu policja! Zejdźcie z pomostu z rękami uniesionymi do góry. Powtarzam...

Zakrzewski nie słuchał dalej. Ruszyli z Parolem w kierunku stałego lądu, z rękami podniesionymi do góry. Woźniak przestał ich interesować.

– Głupio by było, gdyby teraz nasi nas ustrzelili – mruknął Parol.

– I nieprzyjemnie.

Po chwili Zakrzewski dodał.

– No to chyba nasza wizyta nad morzem dobiegła końca.

– Cholera! – jęknął Parol. – Być nad morzem i nawet nie zajść na plażę. Po co my tu przyjechaliśmy?

Jak na komendę zaczęli się śmiać.

# 49 Detektyw

24 lipca, piątek po południu

Paulina Czerny kupiła na Orlenie dwie duże kawy w styropianowych kubkach i kanapkę z szynką. Cała wyprawa na stację benzynową zajęła jej dziesięć minut. Oto zaleta małych miejscowości.

Ulica w Nowęcinnie, przy której stał opuszczony dom rodziny Kurtzów, była jeszcze zamknięta dla ruchu. Z dwóch stron drogę blokowały policyjne radiowozy. Mundurowi przepuścili Paulinę bez słowa. Zaparkowała jak najbliżej budynku, na skraju drogi, na końcu całego sznura aut. Najpierw stały dwa policyjne wozy, za nimi auto techników kryminalistycznych z Koszalina, samochód miejscowego prokuratora i nieoznakowany radiowóz kryminalnych. Ta spokojna ulica jeszcze nie widziała takiego zlotu policji z całej Polski. Na podjeździe obok domu stały jeszcze karetka pogotowia i karawan z zakładu pogrzebowego.

Zakrzewskiego znalazła na podwórzu. Przysłuchiwał się w milczeniu rozmowie Szawczaka z miejscowymi policjantami. Miał taką minę, jakby nie rozumiał, o czym rozmawiają. Zmęczenie wyraźnie malowało się na jego twarzy. Szturchnęła go w ramię.

– Chodź, bo kawa stygnie – powiedziała. – Pogadamy na osobności.

– J-jasne.

Spojrzał z wdzięcznością i bez słowa poszedł za nią do jej samochodu. Przysiedli na masce auta. Byli wystarczająco daleko od ciekawskich uszu. Podawała mu kawę i kanapkę. Pił i jadł w milczeniu. Paulina przyglądała mu się z boku i znowu nie potrafiła zapanować nad uczuciami. To, co kiedyś między nimi wybuchło, wcale się nie skończyło. Myślała, że czas zagasi ogień. Tymczasem ogień schowany przed światem gdzieś w środku zmienił się w wulkan. Trochę się bała, że wybuchnie w najmniej spodziewanym momencie. Bała się, czy miała nadzieję?

Nad ranem znad morza nadciągnęły chmury i powiał wiatr. Teraz niebo było zasłane szarą zasłoną. Pogoda prawie idealna, gdyby nie silniejsze poddmuchy wiatru szarpiące koronami drzew. Prognozy, które słyszała po porannych serwisach informacyjnych w radiu, nie zapowiadały deszczu.

Marcin wyglądał nieszczęśliwie. Miał rozbity nos, paskudne obtarcie na prawej kości policzkowej i podrapane ręce. Skarżył się na ból w udzie i kłucie w żebrach przy każdym głębszym oddechu. Ratownik medyczny z karetki pogotowia założył mu mocny opatrunek na kolano zranione w wypadku motocyklowym. Szwy się trochę rozeszły i rana zaczęła krwawić. Czy on zawsze musi wdać się w awanturę, w której doznaje aż tylu urazów? Pomyślała, że tak już chyba musi być. Ale za to z każdej takiej awantury wychodzi mocniejszy i mądrzejszy. Niewielu ludzi ma to szczęście.

Zakrzewski zatelefonował do niej po drugiej nad ranem. Decyzję o wyjeździe podjęła w pięć minut. Kilka minut po piątej byli już w drodze razem z prokuratorem Markiem Grabskim. Na miejsce dotarli około południa.

Po zejściu na pomoście Marcin i Parol wylądowali na komisariacie w Łebie. Tam wezwano do nich karetkę pogotowia, potem mieli czas, żeby się umyć i przebrać. W celi dla aresztantów złapali kilka godzin snu, ale potem w tej samej

celi zastąpił ich aspirant Jacek Woźniak, który stawiał opór podczas zatrzymania, a potem próbował uciekać. Zachowywał się tak irracjonalnie, że koledzy zamknęli go dla jego własnego dobra.

Technicy kryminalistyczni kończyli zabezpieczać ślady w domu Kurtzów, Marek Grabski rozmawiał ze swoim kolegą po fachu. Postępowanie w sprawie zbezczeszczenia zwłok i poszukiwania Katarzyny Kurtz znalazły się pod nadzorem prokuratury rejonowej z Lęborka, Grabski przejmował wszystkie wątki związane z morderstwami we Wrocławiu. Ustalenia poszły wyjątkowo gładko i zostały zatwierdzone przez naczelników obu prokuratur.

Całą drogę na Pomorze auto prowadził Grabski. Paulina w tym czasie przez prawie dwie godziny rozmawiała przez telefon z Marcinem. Dokładnie opowiedział jej, co się stało, oraz przedstawił jej swoją hipotezę dotyczącą przebiegu zdarzeń. Oboje z Grabskim uznali, że jest to najbardziej prawdopodobna ze wszystkich dotychczasowych teorii. Nareszcie była weryfikowalna. Widzieli w niej jeszcze luki, które należało wypełnić, ale była to tylko kwestia czasu.

Marcin zjadł kanapkę i dopił kawę.

– Dzięki – westchnął. – Jesteś wielka.

Uśmiechnęła się pod nosem i podała mu zapalonego papierosa. Nikt nie mógł ich teraz usłyszeć, więc podzieliła się z Zakrzewskim najnowszymi informacjami, które otrzymała od kolegów z grupy śledczej.

– Wiesz, kim jest detektyw Ryszard Borowski? – zapytała.

Zaciągnął się papierosem i pokręcił głową.

– Milicjantem, który prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Kurtzów. Wtedy pracował w Koszalinie w stopniu kapitana. W tamtych czasach był guru wszystkich kryminalnych na Pomorzu. Podobno był oryginałem, wręcz ekscentrykiem. Nie

popierał komunistów, ale wyrobił sobie taką pozycję, że długo był nietykalny.

Marcin zmarszczył czoło.

– Sprawy Kurtzów nie rozwiązał.

– Zajmował się tym ponad rok, bezskutecznie. – Paulina zajrzała do notatnika w swoim telefonie. – Kolega z wojewódzkiej z Gdańska, z którym dzisiaj rozmawiałam, pamięta tamtą sprawę. Pojawiły się naciski partyjne, żeby jednak kogoś skazać. Był już nawet upatrzony sprawca, wystarczyło tylko trochę nagiąć dowody.

– Ale Borowski się nie zgodził – domyślił się Marcin.

– Przez to popadł w niełaskę. Został odsunięty od poważnych śledstw, zajął się drobnicą i zaczął popijać. Na tyle skutecznie, że pod koniec lat osiemdziesiątych stało się to podstawą do zwolnienia go z milicji.

– Aspirant Woźniak powiedział, że Borowski zmarł na marskość wątroby.

Paulina Czerny zerknęła na niego zdziwiona,

– Bzdura – odpowiedziała. – Po upadku komunizmu stanął na nogi. Był nawet w komisji weryfikacyjnej dla byłych funkcjonariuszy milicji. Nie zgodził się jednak na pracę w policji. Otworzył prywatną agencję detektywistyczną. Zatrudniał paru dawnych kolegów i całkiem nieźle mu szło. Po przejściu na emeryturę działał sam.

– Ale już nie żyje?

– Wolne chwile spędzał w domku na Mazurach. Pewnego dnia rano wypłynął łódką na jezioro na ryby i nie wrócił. Ciało znaleziono po kilku dniach. Pewnie zasłabł i się utopił. Miał siedemdziesiąt cztery lata.

Zamilkli na chwilę i odprowadzili wzrokiem karawan, który wyjechał z podwórza i minął ich, jadąc wolno w kierunku końca ulicy blokowanego przez radiowóz.



– Jak myślisz, dlaczego odwiedził Katarzynę Kurtz w domu opieki? – zapytał Marcin.

– Może wciąż próbował rozwikłać tamtą sprawę? Wiesz, to była jego jedyna spektakularna porażka.

– Być może.

– Chcesz jeszcze fajkę?

– Daj.

Palili w milczeniu. Paulina co chwilę zerknęła na zamyślonego Marcina.

– Po co po tylu latach wracał do tej sprawy? – zapytał ponownie.

– Ty mi powiedz. – Wzruszyła ramionami.

– Niezłomny milicjant, niepijący alkoholik, świetnie radzący sobie w biznesie detektyw, emeryt z własnym domkiem na Mazurach, mężczyzna spełniony zawodowo, wraca do nierozwiązanej sprawy sprzed lat. Bez powodu? Nie pasuje mi.

– Spodziewałam się tego. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Ja też bym przy tym powęszyła.

– Pojadę z Parolem do Gdańska.

– Zwariowałaś? – Na jej ustach pojawił się jeden spośród stu złośliwych grymasów, w których mogła swobodnie przebierać.

– O co ci chodzi? – zapytał podejrzliwie.

– Popatrz najpierw do lustra. Obaj wyglądacie jak po spotkaniu z Mike'em Tysonem. Ja z tobą pojadę.

Powoli zaczęli wracać w kierunku domu Kurtzów. Prokurator Grabski ruszył w ich stronę.

– A co z Małgorzatą Kurtz i jej córką? – zapytał Marcin.

– Spokojnie, nasi ludzie ich szukają.

\*

Do Gdańska pojechali krajową szóstką, przez Wejherowo, Redę, Gdynię i Sopot. Nawigacja pokazywała im, że podróż potrwa nie

dłużej niż godzinę i trzy kwadranse. Niestety, popołudniowe piątkowe korki mocno ich spowolniły. Na osiedlu Gdańsk Morena byli po prawie dwuipółgodzinnej jeździe. Zaparkowali pod blokiem stojącym przy ulicy Piecewskiej.

Na miejscu powitała ich kobieta w wieku około czterdziestu lat. Miała zafarbowane na czarno włosy, okrągłą twarz i sporą nadwagę. Marcin przez chwilę zastanawiał się, jakim cudem udało jej się założyć tak obcisłe spodnie. Operacja musiała być bardzo czasochłonna. Kobieta przedstawiła się jako córka Ryszarda, Ewa Borowska. Kobieta co chwilę spoglądała podejrzliwie na Zakrzewskiego. Nie uspokoił jej nawet widok policyjnej odznaki, którą powiesił sobie na szyi.

Znajomy Pauliny w komedzie wojewódzkiej w Gdańsku okazał się też znajomym córki Borowskiego. Mieli szczęście. Dzięki temu zaoszczędzili masę czasu.

Ewa poprowadziła ich do bramy numer dwadzieścia A.

– Tu na parterze ojciec miał swoje biuro – wyjaśniła, dzwoniąc kluczami i szukając tego właściwego.

Wreszcie się udało. Z kolejnymi drzwiami nie było już większych kłopotów. Ewa puściła ich przodem. Znaleźli się w krótkim korytarzyku, który prowadził do niewielkiego pokoju i przylegającej do niego mikroskopijnej kuchni. W pokoju stały tylko biurko, obrotowe krzesło i skórzana sofa pod ścianą. Resztę miejsca zajmowały regały z mnóstwem dokumentów w segregatorach, papierowych teczkach i pudełkach. Nawet zapach, który uderzył ich w nozdrza, był wonią starego, zakurzonego policyjnego archiwum.

Córka Borowskiego uchyliła okno.

– Przepraszam za ten bałagan i kurz – powiedziała. – Po śmierci ojca rzadko tu zaglądam. Odkąd tata przeszedł na emeryturę, znacznie ograniczył swoje usługi. Zrezygnował z wynajmu dużego biura w centrum miasta i kupił tę kawalerkę.

Zakrzewski podszedł do półki z książkami. Pośród komentarzy do prawa karnego i cywilnego oraz książek z zakresu kryminalistyki ta jedna rzuciła mu się od razu w oczy. Jeden z kryminałów Mirosława Rudnickiego. Oczywiście, to mógł być przypadek, ale poczuł dreszcz podekscytowania.

– Ojciec lubił kryminały? – zapytał.

– Pan żartuje! On, stary glina, nie cierpiał wywodów dyletantów, którzy nie mają pojęcia o pracy operacyjnej i prowadzeniu śledztwa. On nawet filmów kryminalnych nie oglądał.

– J-jasne.

– Nas interesuje szczególnie jedna sprawa, którą w przeszłości prowadził pani ojciec... – Paulina zawiesiła na moment głos jakby powątpiewała, czy Ewa może im pomóc.

– Proszę pytać – wpadła jej w słowo. – W ostatnich latach ojciec z racji wieku nie radził sobie już z papierami jak dawniej. Mama zmarła kilka lat temu, więc ja mu pomagałam. Doskonale się w tym bałaganie orientuję – zapewniła.

– Świetnie. Słyszała pani, że Ryszard Borowski prowadził kiedyś sprawę morderstw w Nowęcinnie. Zamordowani zostali bracia Kurtz.

– Oczywiście. Nie rozwiązał tej spawy i bardzo nad tym ubolewał. Na szczęście mógł do tego wrócić.

– Jak to wrócić? – zainteresował się Marcin

Borowska spojrzała na niego.

– Nie wiecie, że kilka lat temu dostał od prywatnej osoby zlecenie na rozwiązanie tej sprawy?

Paulina spojrzała Marcinowi w oczy. Chyba jednak opłacało się tu przyjechać.

– Może nam pani o tym opowiedzieć?

Ryszard Borowski był bardzo poruszony, kiedy w jego biurze pojawił się klient, który zlecił mu ponownie zajęcie się zabójstwem Kurtzów. Przez pewien czas zaniedbywał inne

zlecenia, pochłaniała go tylko ta sprawa. Ewa wystawiała faktury i pamięta, że sama zaliczka opiewała na kwotę dziesięciu tysięcy złotych. Po zamknięciu sprawy wynagrodzenie miało wynieść jeszcze pięćdziesiąt tysięcy złotych, do tego zwrot kosztów. Nikt tak dobrze nie płacił. Ale nie tylko dlatego Borowski potraktował rzecz priorytetowo. W grę wchodziło jeszcze prywatne rozliczenie się z przeszłością. Dostał szansę, żeby przekuć największą porażkę w swojej milicyjnej karierze w sukces. Ewa Borowska wspominała, że zajmował się tą sprawą z taką pasją, że musiała mu zwrócić uwagę. Mieli przecież jeszcze inne zlecenia. W miarę upływu czasu Borowski zaczął odpuszczać sprawę Kurtzów, tak że w pewnej chwili temat umarł. Przynajmniej takie wrażenie odniosła Ewa Borowska. Ojciec przestał cokolwiek jej mówić i zajął się czym innym. Była zaskoczona, gdy po dwóch latach na konto wpłynęła kwota pięćdziesięciu tysięcy złotych.

– Czyli pani ojciec odkrył, kto jest mordercą? – zapytała Paulina.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Borowska wzruszyła ramionami. – Pytałam go, ale mnie zbył. Nigdy się też nie pochwalił, że rozwiązał zagadkę sprzed lat. Pamiętam, że zapytałam go o dodatkowe koszty. Odpowiedział, że nie było żadnych kosztów.

– Nie wydało się to pani dziwne?

– Oczywiście. Nie mogłam jednak o nic zapytać. Nie znaliście mojego ojca. Był apodyktyczny i jak powiedział raz nie, nigdy nie zmieniał zadania.

– Pamięta pani, na kogo wystawione były faktury? – zapytał Marcin.

Ewa pokiwała głową, sięgnęła po jeden z segregatorów stojących na półce i już po chwili znalazła dokument.

– Fundacja „Na pomoc”, Wrocław, ulica Kuźnicza osiemnaście – przeczytała.

– Cholera! – Zakrzewski uderzył pięścią w otwartą dłoń.  
– Coś się stało? – Ewa spojrzała na niego zaniepokojona.  
– Przepraszam, coś mi się przypomniało – odpowiedział uspokajająco.

– Czy są jakieś dokumenty związane z tym zleceniem? – zapytała szybko Paulina.

– Oczywiście. Tato był bardzo skrupulatny.

Ewa Borowska przeszukała półki i po chwili postawiła na biurku pudełko wypełnione po brzegi papierami. Paulina wyciągnęła z kieszeni lateksowe rękawiczki, usiadła i zaczęła wyjmować dokumenty na biurko. Marcin stanął z tyłu i patrzył jej przez ramię. Nagle zastygła w bezruchu i popatrzyła na Ewę.

– Chcielibyśmy przejrzeć te dokumenty. Pewnie to chwilę potrwa – powiedziała.

Borowska kiwnęła głową.

– Oczywiście. Wyjdę trochę na świeże powietrze.

Gdy zostali sami, Marcin przyniósł sobie kuchenny stołek i usiadł obok Pauliny.

– Myślisz, że facet naprawdę odkrył, kto jest mordercą? – zapytała Paulina, wypakowując pudełko.

– Prawdopodobnie – odpowiedział krótko Marcin.

Kiedy na dnie pudełka znaleźli skradzione podczas prac informatycznych dowody zebrane na miejscu zbrodni, prawdopodobieństwo zaczęło zmieniać się w pewność. Wszystkie materiały były starannie posegregowane, w tych samych opakowaniach, do których włożyli je technicy ponad trzydzieści lat wcześniej. Kartki z ręcznymi opisami pożółkły, a ołówek trochę wyblakł. Można było jednak wszystko dokładnie przeczytać.

– Borowski musiał wiedzieć, że dowody skradziono z policyjnego archiwum – powiedziała Paulina.

– Myślę, że w tamtej chwili ważniejsze były inne czynniki. Nie chodziło o pieniądze.

Paulina popatrzyła na niego z ukosa.

– Doskonale go rozumiesz, prawda?

Marcin nie odpowiedział.

Kolejne odkrycie z dna pudełka przybliżyło ich do rozwiązania zagadki. Borowski musiał użyć swoich prywatnych kontaktów w laboratorium kryminalistycznym. Były tam analizy DNA, analiza odcisków palców, wydruki z policyjnych baz danych odcisków palców i kodów DNA. Wszystkie dokumenty bez pieczętek i podpisów. Pochodziły z laboratoriów w Gdańsku i Łodzi. Ktoś wyświadczył Borowskiemu przysługę lub odpłatnie wykonywał badania poza oficjalnym obiegiem. Paulina szybko znalazła powiązanie. Pokazała Marcinowi wydruk z bazy danych dawców szpiku kostnego.

– Jeden z naszych znajomych chciał zostać dawcą szpiku – powiedziała z ironicznym uśmiechem. – Duża nieostrożność jak na człowieka z taką przeszłością.

– Zbigniew Koskowski – mruknął Zakrzewski, zerkając na nagłówek dokumentu. – Czyli Borowski znalazł morderców.

– Ale jak dotarł do pozostałej trójki? Koskowski się wygadał?

– Może nie było to aż tak trudne. Wystarczyło dotrzeć do znajomych Koskowskiego z tamtych czasów.

Paulina zamyślona patrzyła na zawartość pudełka.

– Najpierw trzeba było się zbliżyć do Koskowskiego – odezwała się. – Czyli albo zatrudnić się w jego firmie i zdobyć zaufanie, albo zostać jedną z jego kochanek.

Zakrzewski poczuł, że zdrętwiały mu plecy od siedzenia na niewygodnym stołku bez oparcia. Wyprostował się, krzywiąc się z bólu.

– To potem. Teraz musimy odpowiedzieć sobie na inne, ważniejsze pytanie. Na czyje zlecenie działał i komu przekazał te informacje?

– Odpowiedź narzuca się sama.

– Tylko że Katarzyna Kurtz siedziała zamknięta w ośrodku opiekuńczym i nie mogła go wynająć.

– Myślałam o tej drugiej.

Marcin podrapał się po głowie z marsową miną.

– Ja też ostatnio dużo o niej myślę – mruknął. – Praktycznie bez przerwy.

Paulina już otwierała usta, żeby powiedzieć coś złośliwego, lecz zrezygnowała. Wróciła do studiowania dokumentów. Nie znalazła już niczego ciekawego.

– Po co Borowski odwiedził Katarzynę Kurtz w ośrodku? – zapytała, zerkając na Marcina.

Odpowiedziało jej wzruszenie ramion.

– Cholera wie.

– No to co? Pogadamy jeszcze z panią Ewą i dzwoniemy na policję, żeby przysłali techników?

\*

Godzinę później Paulina Czerny telefonowała do Andrzeja Szmidta. Od kilku minut w biurze detektywa Ryszarda Borowskiego pracowali policyjni technicy z komendy wojewódzkiej w Gdańsku. Marcin i Paulina siedzieli na ławce na skwerku przed blokiem i palili papierosy. Nie odzywali się do siebie, każde pogrążone było we własnych myślach. Andrzej Szmidt za pierwszym razem nie odebrał, oddzwonił jednak po dwóch minutach.

– Mielście mi znaleźć rodzinę Stanisława Kurtza – powiedziała Paulina do słuchawki bez większych wstępów.

– No i znaleźliśmy – odparł Andrzej.

– To, kurwa, dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił?!

– Robert miał zadzwonić.

Paulina spojrzała na Marcina i przewróciła oczami.

– No dobra, opowiadaj.

– Agnieszka Kurtz mieszkała w Gdańsku. Przez kilka lat żyła z pewnym szemranym biznesmenem, ale rozstali się. W 2006 roku zmarła na raka piersi.

– A córka?

– Po Renacie Kurtz ślad zaginął około roku 2005. Od tego czasu nie widziano jej w miejscu zameldowania, nie ma konta w banku, nie jest zapisana do żadnego NFZ, nie ma zarejestrowanego na siebie telefonu. Nie istnieje. Sprawdzaliśmy w bazach Interpolu. Też nic. Jeśli wyjechała z Polski, to chyba tylko do Azji albo do Ameryki Południowej.

– Nie mogła się rozpuścić w powietrzu – wycedziła Paulina i natychmiast zrozumiała, że jednak mogła.

W bardzo prosty sposób. Komisarz Andrzej Szmidt też o tym wiedział.

– Wiesz, że mogła – odpowiedział. – Jedyna fotografia, jaką udało nam się znaleźć, pochodzi z bazy danych ewidencji ludności. Prześlę ci ją zaraz na komórkę.

– OK.

Paulina schowała telefon, wstała i spojrzała na Marcina z góry.

– Jest dziewiętnasta – powiedział. – Co powiesz na obiad na kolację i późny powrót do domu?

– Jestem za.

Gdy szli do auta, odezwał się sygnał wiadomości. Paulina wyświetliła na ekranie czarno-białe zdjęcie.

– Renata Kurtz wygląda niezwykle znajomo – powiedziała nie bez lekkiej złośliwości w głosie.

Marcin był przygotowany na ten obraz. Kiedy jednak zobaczył fotografię Renaty Kurtz vel Magdy sąsiadki, vel Magdaleny Szumilas, poczuł, jak lodowa kula nieprzyjemnie podchodzi mu do gardła.



# 50 Kac

26 lipca, niedziela rano

Obudził go natrętny dzwonek telefonu.

Otworzył jedno oko i spojrzał na stojący na stoliku przy łóżku zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Usiadł, przecierając zaspane oczy, sięgnął po aparat i odebrał bez patrzenia na wyświetlacz.

– Zakrzewski, słucham.

Głos w słuchawce wydał mu się znajomy, lecz nie skojarzył nazwiska od razu.

– Cześć, mówi Piotr Konieczny.

– Kto? – machinalnie zapytał zachrypniętym głosem.

– Słyszę, że masz ciężki poranek – zaśmiał się mężczyzna w słuchawce. – Mówi komisarz Konieczny, wydział do walki z korupcją. Pedro.

Rzeczywiście miał ciężki poranek. Doktor Irena Korcz lubiła czerwone wino. Poprzedniego wieczoru na pewno wypili dwie butelki. Możliwe, że była jeszcze trzecia, ponieważ kelner przychodził i im nalewał, więc trudno było policzyć. Nie mógł sprawdzić na paragonie, bo mimo jego protestów Irena zapłaciła cały rachunek.

Poprzedniego dnia wrócili z Pauliną z Gdańska bardzo późno. Był zmęczony i po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że dłużej nie da rady. Spał do południa. Potem ledwo zwłóknął się z łóżka i pojechał na kilka godzin do firmy. Śledztwo znowu ruszyło z miejsca, jakby złapali drugi oddech. Trzeba było skoordynować działania i określić nowe kierunki.

Na szczęście tym zajęła się Paulina. Marcin był poobijany, bolały go udo i kolano, a kiedy chodził, mocno utykał.

Doktor Irena Korcz zadzwoniła, gdy zbierał się do domu. Na początku chciał odmówić, lecz zmienił zdanie.

Wstał i z telefonem przy uchu wyszedł do kuchni. Musiał się pilnie napić kawy.

– Przepraszam cię, Piotr. Obudziłeś mnie. Nie będę ukrywał, że faktycznie miałem... – zawahał się. – ...ciężką noc.

– Innym razem opowiesz.

– Raczej nie zamierzam opowiadać.

Konieczny roześmiał się tak głośno, że Marcin odruchowo odsunął telefon od ucha.

– Z czym dzwonisz? – zapytał szybko.

Staął przy kuchennym blacie i jedną ręką starał się nastawić kawę w ekspresie.

– Jakiś czas temu dzwoniłeś do mnie w sprawie tego mieszkania na poddaszu w kamienicy na Siemieńskiego.

Marcin zastygł na chwilę w bezruchu.

– Masz coś?

– Niewiele. Wiem też, że w pracy śledczego nawet *piece of shit* może mieć niebagatelne znaczenie. Ale nie tak od razu, kolego.

– Konieczny musiał być w wyjątkowo dobrym nastroju, bo znowu roześmiał się głośno. – Najpierw muszę od ciebie usłyszeć jasno i wyraźnie pewną deklarację.

– Jaką? – zapytał niepewnie Marcin.

– Że masz wobec mnie duży dług wdzięczności i w przyszłości będę mógł liczyć na jakiś rewanż.

– OK. Będę pamiętał, żeby zaprosić cię na drinka do pubu.

– Nie. Na drinka to mnie jeszcze stać.

– Więc o co ci chodzi?

– Przysługa za przysługę.

Marcinowi coraz mniej podobała się ta rozmowa. Odłożył puszkę z kawą i ujął telefon w drugą rękę.

– Masz coś konkretnego na myśli? – zainteresował się.  
– Czyżbym słyszał twardsze nuty w twoim głosie? – Pedro nadal tryskał humorem. – Wyluzuj trochę. Nie mam nic na myśli. Zabezpieczam się na wypadek, gdybym miał do ciebie w przyszłości podobną prośbę. Słyszałem, że masz trudny charakter.

– J-jasne.

– To co, mogę cię uważać za swojego drobnego dłużnika?

– Zależy, co dla mnie masz.

– Nieważne, co mam. Pół dnia przeglądałem dokumenty, żeby coś dla ciebie znaleźć. Nie interesuje mnie, czy informacja będzie przydatna.

Marcin zastanowił się przez chwilę.

– No dobra – rzucił w końcu. – Jestem twoim dłużnikiem.

– Więc słuchaj. Miasto Wrocław ma problem z pustostanami. Nie może ich remontować i zarabiać na sprzedaży na wolnym rynku, gdyż formalności wloką się latami. Nie będę cię zanudzał szczegółami. Zamieszanie urzędnicze. Są trzy jednostki organizacyjne, które wzajemnie wchodzą sobie w kompetencje, dokładnie nie wiadomo, która jest nadrzędna, a wszystkie mają niewielkie budżety. Krajowa codzienność, rozumiesz?

– Chyba tak.

– Potencjalnie doskonały korupcyjny układ. Dlatego moi koledzy z wydziału zainteresowali się tymi pustostanami. Do prokuratury wpłynął anonimowy donos. Wynikało z niego, że są dwie, może trzy firmy budowlane, które ciągle wygrywają przetargi na remonty tych lokali.

– I co?

– No właśnie nic. Było śledztwo, zgromadzono kilka pudeł z dokumentami, ale żadnych konkretów. Nikomu nie postawiono zarzutów, postępowanie zostało umorzone. Przejrzałem te akta, pogadałem z kolegami. Mam nazwy trzech

firm budowlanych, które były podejrzewane o wręczanie łapówek za wygrane przetargi. Przetarg na lokal na Siemieńskiego nie był przedmiotem zainteresowania prokuratury. Masz coś do pisania?

Zakrzewski włączył ekspres do kawy i usiadł przy kuchennym stole. Sięgnął po blok karteczek i ołówek. Zastygł w oczekiwaniu.

– Już mam – powiedział.

Pedro Konieczny zaczął dyktować.

– Niewiele tego, ale dzięki – mruknął Marcin, wpatrując się w trzy nazwy na kartce.

– Przysługa za przysługę – powtórzył Konieczny i się rozłączył.

Ekspres zaczął kaszleć i kichać, sygnalizując, że kawa jest gotowa. Zakrzewski wstał, sięgnął po spodnie leżące na podłodze obok szafki na zlewozmywak, założył je i wcisnął kartkę do tylnej kieszeni. Jeszcze nie wiedział, czy informacje od Koniecznego będą przydatne. Na razie musiał spłukać kaca po winie dużą ilością czarnej kawy.

– Zaparzyłeś więcej?

Doktor Irena Korcz była dokładnie dziesięć lat starsza od niego, ale wyglądała na młodszą. Wciąż miała jędrne piersi, gładki brzuch bez śladu zmarszczki, żadnych zbędnych wałków tłuszczu. Szczególnie dokładnie mógł to ocenić w tej chwili, w dziennym świetle, kiedy stanęła w drzwiach kuchni ubrana tylko w skąpe majtki.

– J-jasne.

Sięgnął po drugi kubek i nalał jej kawy z dzbanka. Ziewając i przeczesując dłonią po sterczących na wszystkie strony włosach na głowie, podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na ramiona, przywarła do niego całym ciałem i pocałowała go w usta.

– Niezły z ciebie tygrysek – szepnęła mu do ucha. – Dawno nie miałam takiego seksu.

Nigdy nie kochał się z kobietą tyle od niego starszą. Zresztą nie spodziewał się, że ich wyjście na wino tak się skończy. Oboje mieli już nieźle w czubie, gdy wyszli z lokalu i stanęli na ulicy, rozglądając się za taksówką.

– Jedziemy do ciebie czy znajdziemy sobie inne ustronne miejsce? – zapytała wtedy z niewinnym uśmiechem na ustach i błyskiem w oczach.

– Do mnie – odpowiedział tak naturalnie, jakby od dawna czekał na to pytanie.

Na początku nie czuł się komfortowo. Miał sińce na twarzy, sporo innych na całym ciele, do tego rany i zadrapania. Jednak Irena stwierdziła, że tak stygmatyzowany wygląda jak prawdziwy wojownik i wcale jej to nie przeszkadza.

Kochali się długo i namiętnie. On też dawno nie przeżył takiego seksu. Irena była jak wulkan.

Czując bliskość jej ciała i nacisk jej biustu na klatkę piersiowej, poczuł podniecenie. Popatrzyła mu w oczy zadowolona z jego reakcji.

– Pan komisarz nie ma dość?

– A przy tobie można mieć dość? – Zamknął jej usta pocałunkiem.

– Najpierw kawa i prysznic. Może umyjesz mi plecy?

– Z przyjemnością.

Pili kawę, siedząc po dwóch stronach kuchennego stołu. Uczucie *déjà vu* pojawiło się niespodziewanie. Marcin zdał sobie sprawę, że taka sytuacja już raz się zdarzyła. Poranna kawa, kac i kobieta. Wtedy była to jego przyjaciółka Kaśka Morawska. Zapytała, dlaczego nie szuka zaginionego przed laty brata. Szybko przegonił nieprzyjemne myśli.

– Musimy coś sobie wyjaśnić – powiedziała Irena, przypatrując mu się uważnie.

Nie zareagował,

– Nie rób sobie wielkich nadziei. Potraktujmy nasze spotkanie jako miłą przygodę i nic więcej. Mam męża, którego kocham i nie zamierzam niczego zmieniać w życiu.

– J-jasne.

Roześmiała się.

– Żebyś mnie źle nie zrozumiał. Nie jestem dziwką, która zdradza męża na prawo i lewo. Tadeusz jest ode mnie dwadzieścia lat starszy i seks już dawno przestał go interesować. Rozumie moje potrzeby i od czasu do czasu pozwala mi na taki wypad, jak wczorajszego wieczoru.

– Wie, gdzie jesteś?

– Wie, że się dobrze bawiłam. – Irena się roześmiała. – Napisałam mu przed chwilą SMS. Jesteś zszokowany?

Marcin pokręcił głową. Przeżył już podobną rozmowę, i to niedawno. Wtedy Magda poinformowała go, że jej chłopak wie o ich romansie. Poczul nagły niepokój. Chłopak okazał się przestępcą i został zamordowany. Magda wcale nie jest Magdą. Poczucie niepokoju go nie opuszczało.

– Nie. Świat gra talią starych kart i od czasu do czasu powtarza taki sam wist – powiedział.

– Nie rozumiem.

Uśmiechnął się blado.

– Tak moja filozofia życiowa – mruknął.

Odstawiła kubek i wstała, przeciągając się zalotnie.

– To mogę liczyć na te plecy? – zapytała.

– Oczywiście.

Pocałowała go namiętnie i pociągnęła do łazienki.

# 51 Johnny

26 lipca, niedziela po południu

Obudził się i spojrzął na zegarek. Kwadrans po trzeciej po południu. Rozejrzył się nieprzytomnie po pokoju. Ireny Korcz już nie było. Jak przez mgłę pamiętał, że wychodziła. Usiadła jeszcze na chwilę obok niego na łóżku i coś mówiła. Teraz nie bardzo pamiętał sens jej wypowiedzi, tylko pojedyncze słowa. Telefon, tygrysek, podziękowania. Pocałowała go w policzek i wyszła. Kiedy to było? Pewnie niedawno. Może kilka minut temu, może godzinę. Znajdował się w półśnie. Otwarł oczy, które natychmiast się zamknął. Wpadał w ciąg nieprzyjemnych koszmarów, znowu otwierał oczy i dalej śnił na jawie. Wreszcie udało mu się wyrwać z tego zakłętego kręgu. Organizm domagał się odpoczynku i w końcu wygrał z jego silną wolą. Na szczęście na te kilka godzin praca odeszła w zapomnienie. Musiał odpocząć.

Wstał z łóżka i utykając poszedł do łazienki. Pod prysznicem ostrożnie spłukiwał sen, zapach seksu i Ireny. Chyba na odchodne zapytała go, czy kiedyś jeszcze umówią się na wino. Być może.

Nie wycierając się, stanął przed lustrem i przyjrzał się sobie krytycznie. Obtarcia i sińce na twarzy, strupy na przedramionach i na plecach, wielki siniak na udzie, który przy każdym stąpieniu bolał jak cholera, paskudny strup na kolanie. Niech szlag trafi taką pracę. Czy nie poświęcał zbyt wiele? I to za tak marne pieniądze? Zawsze obiecywał sobie, że

odłoży na remont mieszkania, i nigdy nie udało mu się zaoszczędzić ani złotówki. Żył od pierwszego do pierwszego. Chyba czas zająć się czymś spokojniejszym. Chciał zmian, czy tylko sobie wmawiał, że chce? Rozsądek skwapliwie podsunął mu odpowiedź na to pytanie. Chce.

Ubrał się i pokuśtykał do kuchni. Kubki stały jeszcze na stole. Wypił swoją zimną kawę i przypomniał sobie, że już dawno nie telefonował do rodziców. Kiedy ostatnio ich odwiedzał? Wieki temu. A, nie! Przecież zawiózł im psa. Pies. Już wiedział, dlaczego dom wydaje mu się taki pusty. Tina mieszkała z nim niedługo, lecz i tak zdążył się przyzwyczaić, że ktoś go wita i jest do kogo gębę otworzyć.

Sięgnął po telefon i wybrał numer ojca.

– Cześć, Marcin. Dawno nie dzwoniłeś.

Głos w słuchawce wydał mu się inny niż zwykle. Zmęczony i zrezygnowany.

– Cześć! Jakoś się nie składało.

– No tak, praca.

– Praca.

Fatalny początek rozmowy. Jak z przyjacielem, z którym nie słyszał się od podstawówki. Niby ktoś bliski, ale lata sprawiły, że źródło tematów do rozmowy wyschło.

– To ty się zajmujesz tymi zbrodniami, o których ciągle piszą w gazetach i trąbią w telewizji? – zapytał Zakrzewski senior.

– Między innymi ja – mruknął niechętnie w odpowiedzi. – To cholernie trudna sprawa.

– Nie wątpię.

– Jak mama?

Po drugiej stronie słuchawki poczuł zawahanie. Trwało moment, lecz od razu wiedział, że jest niedobrze.

– Różnie – padła odpowiedź. – Ciągle ma nawroty depresji. Czasem nie wstaje z łóżka. Nie chce chodzić do lekarza. Przyjedź kiedyś, może poczuje się lepiej.



Nagle Marcin uświadomił sobie, że tak długo zwlekał z telefonem, by nie usłyszeć właśnie takich słów.

– Przyjadę, gdy tylko skończy się to szaleństwo – powiedział i szybko zmienił temat. – A jak tam pies?

– Trochę na początku za tobą tęskniła, ale szybko się zaprzyjaźniliśmy. Wiesz, tu jest spory teren. Ma gdzie pobiegać. Chodzimy na długie spacery do lasu.

– J-jasne.

Marcin pomyślał, że niedługo nawet pies o nim zapomni. Nie poczuł się z tą myślą lepiej.

Dwie minuty później siedział zamyślony, wpatrując się w wygasły ekran telefonu. Nie myślał już o rodzicach. Nagle przypomniał sobie coś zupełnie innego. Nacisnął przycisk menu i znalazł otrzymane wiadomości tekstowe. Szczególnie interesowała go ta od Magdy, a właściwie od Renaty Kurtz, sprzed kilkunastu dni. Przeczytał jeszcze raz ich krótką wymianę wiadomości w tamtym dniu.

Śpisz? Może masz jeszcze ochotę na spotkanie?

Nie dzisiaj. Muszę się nareszcie wyspać.

Szkoda :( To dobranoc.

Pa.

Popatrzył na godzinę i zrobiło mu się niedobrze. Przeklął pod nosem. Dokładnie w tym samym czasie mordowany był Adam Kurzaj. Skąd napisała ten SMS? Z miejsca zbrodni, z domu Kurzaja, czy może w chwili, gdy wracała stamtąd na miejsce zbrodni? Oczami wyobraźni widział, jak wbija Kurzajowi wielki gwóźdź w oko, a potem zakrwawionymi rękami sięga po telefon i szybko wystukuje kilka słów:

Śpisz? Może masz jeszcze ochotę na spotkanie?

Zacisnął mocno powieki i poklepał się dłonią po karku, żeby odpędzić tę wizję. Narastała w nim dzika wściekłość. Dał się podejść. Wykorzystać. Sypiał z bezwzględną morderczynią, sadystką. Po co do niego pisała? Żeby z niego zakpić? Czy gdyby

wtedy odpowiedział, że się z nią spotka, poszłaby jak gdyby nigdy nic pod prysznic, a potem kochałaby się z nim namiętnie? A może zabiłaby go z obojętnym wyrazem twarzy?

Odłożył telefon i chwilę masował sobie skronie.

– Ja pierdolę!

Kac już minął, pozostał jeszcze tylko niesmak w ustach i kwas, który zdawał się wyżerać dziury w ściankach żołądka. Sięgnął do dolnej szuflady w szafce kuchennej i wygrzebał tabletkę neutralizującą kwasy żołądkowe. Poczuł się trochę lepiej dopiero po kilku minutach.

Wtedy szedł już ścieżką wzdłuż torów kolejowych w kierunku osiedla Nowy Dwór. Upał jak zwykle lał się z nieba. Na horyzoncie pojawiły się ciemniejsze chmury, lecz chyba nie było większej nadziei na spadek temperatury. Udo bolało jak cholera, ale ten ból tylko nakręcał go do działania. Czy naprawdę musi cierpieć psychicznie albo fizycznie, żeby normalnie funkcjonować? A kiedy w jego życie zakrada się potajemnie spokój, musi wszystko niszczyć, żeby znowu bolało? Interesująca diagnoza. Ciekawe, co na ten temat powiedziałby lekarz psychiatra.

Odpędził ironiczne myśli. Szukał upośledzonego chłopaka, który codziennie od rana do wieczora przemierzał Muchobór i okoliczne osiedla, jakby to było najbardziej fascynujące zajęcie pod słońcem. Musiał go o coś zapytać. O to, co Johnny chciał mu pokazać, kiedy rozmawiał z Lynyrdem na schodach między blokami. Musiał się upewnić, że dokładnie o to mu chodziło.

Obejście osiedla Nowy Dwór zajęło mu ponad godzinę. Najpierw szedł ulicą Strzegomską, potem Chociebuską i na koniec Rogowską. Pokonał ponad pięć kilometrów. Johnny'ego – jak nazywał go Lynyrd – jak na złość nigdzie nie było. Wrócił do siebie na osiedle. Poczuł głód i straszne pragnienie. Zaszedł do pizzerii na Hłaski, chociaż już nieraz obiecywał sobie, że nigdy więcej nic tam nie zje. Pizzę mieli bardzo przeciętną. Tym

razem jednak smakowała mu wybornie, kiedy popijał ją drugą butelką zimnej pepsi.

Była siedemnasta trzydzieści. Chciał już zrezygnować z poszukiwań Johnny'ego, ale postanowił wrócić do domu okrężną drogą przez starą część Muchoboru Wielkiego, ulicą Stanisławowską. Szczęście mu dopisało na samym końcu. Spotkał chłopaka na rondzie przy kościele parafialnym.

– Cześć! – powiedział, zastępując mu drogę. – Możemy porozmawiać?

Chłopak zatrzymał się gwałtownie i patrzył na niego nieufnie. Miał duże szczęki i wargi ułożone w taki grymas, jakby ciągle się uśmiechał. Odsłaniał przy tym duże białe zęby. Trudno było określić jego wiek. Na pewno nie był już nastolatkiem.

– Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się ostatnio na schodach. Był tam Lynyrd. Znasz go?

Brak reakcji. Tylko oczy wpatrujące się w niego nieruchomo. Za ich plecami autobus linii 121 ruszył wolno z przystanku i zatrzymał się, przepuszczając inne auta przed wjazdem na rondo.

– Boisz się mojego psa.

Przeczący ruch głową.

– Nie boisz się psa?

Przytaknięcie.

– Chciałeś mi wtedy powiedzieć, że nie boisz się psa?

Zaprzeczenie.

Marcin wyciągnął swój telefon, wyświetlił na ekranie fotografię Renaty Kurtz i pokazał chłopakowi. Ten nagle zeszywniał, zacisnął dłonie w pięści, a usta zmieniły się w poziomą kreskę.

– Poznajesz ją? Wychodziła z moim psem.

– Uhummm.

– Wtedy chciałeś mi powiedzieć, że ją widziałeś?

Skinienie głową

– Gdzie?

Ruch ręką wskazujący kierunek, w którym znajdowało się lotnisko.

– Widziałeś ją wtedy wieczorem, prawda?

– Uhmhhh...

– Robiła coś złego. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

Chłopak gorączkowo pokiwał głową. Nagle zrobił się jeszcze bardziej spięty. Oczy mu się zaszklily od napływających łez.

– Skrzywdziła tego człowieka, prawda?

Jeszcze tylko raz skinął głową. Łzy napełniły mu oczy. Odepchnął Marcina i poszedł dalej, mamrocząc coś pod nosem.

Zakrzewski patrzył w ślad za nim, rozmasowując sobie ramię. Chłopak pchnął go bardzo mocno, a miał mięśnie twarde jak skała. Kiedy Johnny zniknął mu z oczu, ruszył do domu. Czuł, że cały czas narasta w nim dzika wściekłość.

## 52 Całość historii

28 lipca, wtorek, południe

– Ktoś mi wytłumaczy, o co w tym wszystkim chodziło?

Spotkanie u naczelnika wydziału rozpoczęło się z kilkunastominutowym opóźnieniem. Tym razem jednak nikogo to nie zirytowało. Nastroje były o niebo lepsze niż poprzednio, gdy spotkali się w tej samej sali i prawie w tym samym składzie. Nawet komisarz Paulina Czerny nie była już złośliwa w stosunku do rzecznika komendy wojewódzkiej, aspiranta sztabowego Jana Szarłaja. Po prostu traktowali się jak powietrze.

Po pytaniu zadany przez Godleckiego wszystkie oczy skierowały się na komisarza Marcina Zakrzewskiego. Napił się więc kawy, odchrząknął i zaczął mówić. W tym czasie Szarłaj robił notatki, Grabski przeglądał nerwowo papiery, które wyjął z aktówki. Paulina bawiła się telefonem. Naczelnik i komisarz Andrzej Szmidt wydawali się najbardziej zainteresowani, jednak Marcin wiedział, że wszyscy słuchają go uważnie. Chyba jeszcze nikt nie poskładał tej historii w całość.

– Pod koniec lipca 1981 roku Alicja Zawistowska oraz czterej bliscy jej mężczyźni wybrali się na pożegnalne wspólne wakacje nad Bałtyk. Spędzili dziesięć dni w Łebie. Ostatniej nocy przed wyjazdem poszli do jednej z dyskotek, gdzie Zawistowską podrywał Stanisław Kurtz zamieszkały w Nowęcinnie, obok Łeby. Po dyskotece Koskowski, Kurzaj, Rudnicki oraz Jarosz poszli za Kurtzem, żeby dać mu nauczkę.

Traf chciał, że po drodze Stanisław Kurtz spotkał swojego brata, Michała Kurtza. Przy jeziorze Sarbsko doszło do bijatyki, w wyniku której obaj bracia Kurtz zostali brutalnie zamordowani.

Zakrzewski bardzo wolno otworzył leżącą przed nim teczkę, wyjął dwa zdjęcia zamordowanych braci i przesunął w kierunku Godleckiego i Szarłaja. Obaj obejrzeni je bardzo dokładnie.

– Następnego dnia Zawistowska i jej koledzy wrócili do Wrocławia, zabójstwo w Nowęcinnie nigdy zaś nie zostało wyjaśnione. Między sprawcami zapanowała zmowa milczenia, potem przestali się ze sobą kontaktować. Pewnie zbrodnia nigdy nie zostałaby wyjaśniona, a oni nie ponieśliby kary, gdyby nie córki braci Kurtz. Stanisław miał córkę Renatę, a Michał Katarzynę. Obie po latach postanowiły znaleźć sprawców i dokonać prywatnej vendetty.

Po stole w tym samym kierunku przesunęły się kolejne dwie fotografie.

– Pierwsza to Renata Kurtz, znana też jako Magdalena Szumilas, druga to Katarzyna Kurtz. Ich losy są bardzo istotne dla śledztwa. Renata Kurtz zaraz po śmierci ojca wyjechała z matką do Gdańska. Matka związała się z Wacławem Ilnickim. Dzisiaj można by powiedzieć, że Ilnicki był prywatnym przedsiębiorcą posiadającym spory majątek. Wtedy – jak pamiętamy – nie było prywatnych przedsiębiorców, więc Ilnicki traktowany był przez władze jako szara strefa. Miał jednak na tyle dobre układy z wojewódzkim komitetem PZPR w Gdańsku oraz milicją, że mógł czuć się całkowicie bezkarny. Oficjalnie obnosił się ze swoim bogactwem, na imprezach w jego willi pod miastem zjawiała się śmietanka towarzyska i polityczna Trójmiasta. Ilnicki miał jednak pewną wadę. Był, podobnie jak Stanisław Kurtz, damskim bokserem. Często po pijanemu znęcał się nad Renatą i jej matką. Po transformacji ustrojowej

nadal robił interesy, tym razem legalnie i z jeszcze większym rozmachem. Podejrzewamy, że wciąż większość dochodów uzyskiwał w szarej strefie, żeby nie płacić podatków. W roku 2008 zgłosił do prokuratury, że przybrana córka Renata go okradła. Kwota, jaka oficjalnie została zgłoszona, nie była zawrotna. Dwieście tysięcy. Nieoficjalnie jednak mówiło się, że stracił kilka milionów złotych. Zaraz po tym Renata Kurtz rozplynęła się bez śladu. Nie znalazła jej prokuratura, która w końcu umorzyła śledztwo. Nie znaleźli jej prywatni detektywi wynajęci przez ojczyma, nie znalazła jej mafia, którą też zaangażował Ilnicki.

Pełną napięcia ciszę, która panowała w pomieszczeniu, przerywał tylko szelest papierów Grabskiego. Zakrzewski napił się kawy. Wydawało mu się, że odgłos odstawianego kubka brzmi jak wystrzał z armaty na reducie Ordona.

– Nie wiemy dokładnie, co w tym czasie robiła Renata Kurtz. Na pewno nie wydawała skradzionych pieniędzy. Gdyby tak było, wpadłaby. Podejrzewamy, że już wtedy planowała znaleźć zabójców ojca. Na pewno wiemy, że kupiła fałszywą tożsamość i przebywała za granicą. Nie jest wykluczone, że miała kilka podrobionych dowodów osobistych i paszportów. Na pewno znamy jej ostatnie miejsce pobytu i nazwisko. Od kilku miesięcy mieszkała we Wrocławiu przy ulicy Kossak-Szczuckiej, posługiwała się nazwiskiem Magdalena Szumilas.

Paulina posłała mu szybkie spojrzenie.

– Żeby dobrze zrozumieć, co robiła wcześniej, musimy wrócić do jej kuzynki, Katarzyny Kurtz. Katarzyna już w szkole podstawowej zaczęła wykazywać objawy choroby psychicznej. Cierpi na schizofrenię. Jej dorosłe życie to na przemian okresy pobytu w zakładach zamkniętych oraz remisji. W ostatnich latach stale przebywała w prywatnym ośrodku opieki nad osobami chorymi psychicznie w Łęczycach niedaleko Lęborka. Miała tam osobny pokój z dala od innych. Za jej pobyt płaciła

pewna fundacja. Okazuje się, że fundacja ta współpracuje z organizacją zarejestrowaną na Cyprze. Stamtąd płyną pieniądze na utrzymanie i leczenie Katarzyny.

– Co to oznacza? – jako pierwszy odezwał się Szarłaj, podnosząc głowę znad notatnika.

– Cypr jest w Unii Europejskiej, ale to rodzaj rajy podatkowego – wyjaśnił Zakrzewski. – Niby Europa walczy z oszustwami podatkowymi i niepłaceniem podatków w krajach Unii, a jednak Cypr dziwnym trafem jest tolerowany.

– Nie bardzo rozumiem. – Szarłaj pokręcił głową.

– Zgodnie z prawem Cypr nie musi ujawniać właścicieli zarejestrowanych na swoim terytorium firm. Podejrzewamy, że za pobyt Katarzyny w ośrodku płaci cypryjska fundacja utworzona przez Renatę z części pieniędzy skradzionych Ilnickiemu. Nasi śledczy próbują teraz coś wyciągnąć od pracowników polskiej fundacji na temat tej cypryjskiej. – Marcin dopił kawę i mówił dalej. – Nie wiemy, czy to był przypadek, czy świadome działanie, ale Katarzyna Kurtz została umieszczona w pokoju, który miał ukryte wyjście na strych. Łatwo było stamtąd niepostrzeżenie opuścić budynek lub do niego wejść. Policjanci z Pomorza zebrali ślady z poddasza i twierdzą, że ta droga była używana wielokrotnie przez bardzo długi czas. W ten sposób odkryliśmy, gdzie ukrywała się Renata Kurtz po kradzieży pieniędzy. Zamieniały się z Katarzyną.

– Jak to możliwe, że personel tego nie odkrył? – Godlecki odezwał się po raz pierwszy.

– Myślę, że to było poważnie zaniedbanie ze strony kierownictwa ośrodka i lekarzy. Rejestrowali zmiany w zachowaniu pacjentki, lecz nie zauważyli, że w ośrodku przebywają dwie różne osoby. Analizując kartę chorobową, można dokładnie określić, kiedy w ośrodku przebywała Renata, a kiedy Katarzyna. Ta pierwsza była zamknięta w sobie, prawie



nie wychodziła z pokoju, nie chciała nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Wtedy dyżurny lekarz odnotowywał nawrót choroby. Zmieniano tylko leki. Kiedy Katarzyna była w ośrodku, lubiła rozmawiać z personelem, wychodziła z pokoju do świetlicy i na stołówkę. Z karty choroby wnioskujemy, że kuzynki w ciągu ostatnich lat zamieniały się kilkanaście razy, na czas od kilku dni do kilku tygodni.

– Nadal trudno w to uwierzyć. – Naczelnik kręcił głową.

– W pierwszych miesiącach po formalnym umieszczeniu Katarzyny w ośrodku Renata przebywała tam przez kilka miesięcy bez przerwy. Pewnie w ten sposób bezpiecznie przeczekała okres, gdy wszyscy jej intensywnie poszukiwali.

– Co w tym czasie robiła Katarzyna? – zainteresował się Szarłaj. – Przecież ma schizofrenię.

– Podejrzewamy, że mieszkała w wynajętym mieszkaniu, które opuszczała bardzo rzadko. Na pewno jest osobą chorą. Często odwiedzała opuszczony i popadający w ruinę rodzinny dom. W piwnicy urządziła sobie małą namiastkę normalnego życia.

Marcin przesunął po stole kilka fotografii „idealnej rodziny” z piwnicy domu Kurtzów. Godlecki skrzywił się i szybko podał zdjęcia rzecznikowi. Ten przyglądał się im dłużej.

– To prawdziwi rodzice Katarzyny, Michał i Agnieszka. Zwłoki zostały wykradzione z rodzinnego grobowca z cmentarza w Łebie – ciągnął Zakrzewski. – Technicy orzekli, że ktoś tam bardzo często przebywał. Okazuje się jednak, że Katarzyna poruszała się swobodnie po całym kraju. Jeszcze raz przycisnęliśmy fałszerza aresztowanego w Poznaniu. Kiedy pokazaliśmy mu zdjęcia, od razu rozpoznał Katarzynę. To ona zamawiała i odbierała fałszywe dokumenty na nazwisko Magdaleny Szumilas. Część naszej grupy śledczej uważa, że jej choroba jest udawana.

Marcin wymownie spojrzał w kierunku Pauliny.

– Musimy brać pod uwagę różne teorie – odpowiedziała.  
– Ale w jaki sposób one dotarły do prawdziwych morderców?  
– zapytał Szarłaj.

– Pomysł był genialny i bezczelny zarazem – zaczął Marcin. – Nie wiemy jeszcze, jak to się stało, że Renata dotarła do ekipy informatyków zajmujących się digitalizacją policyjnego archiwum w Gdańsku. Przekupiła jednego z nich, a ten ukradł dla niej dowody zebrane przez techników na miejscu zbrodni w lipcu 1981 roku. Następnie Renata Kurtz zgłosiła się do prywatnego detektywa z Gdańska. To nie był przypadkowy detektyw. Dawny major milicji Ryszard Borowski, najlepszy śledczy w Polsce Ludowej, później wieloletni wykładowca w wyższej szkole policyjnej w Szczytnie. On właśnie prowadził śledztwo w sprawie morderstwa braci Kurtz. Była to jedna z niewielu tak poważnych jak na tamte czasy zbrodni, której sprawców nie udało mu się wykryć.

– Znałem Ryśka Borowskiego – wtrącił Godlecki. – Bardzo porządny milicjant ze skłonnością do nadużywania alkoholu.

– Przestał pić, kiedy przeszedł na emeryturę – kontynuował Marcin. – Później już nie zaglądał do kieliszka. Założył prywatną agencję detektywistyczną i działał w Trójmieście i na Pomorzu. Nawet nieźle mu szło, w szczytowym momencie zatrudniał kilka osób. Ale wracając do naszej opowieści: jego córka potwierdziła, że często wspominał zbrodnię z Nowęcina jako swoją osobistą porażkę. W grę wchodziły więc nie tylko pieniądze, ale też ambicja. Kuzynki Kurtz nie mogły lepiej trafić. Zgodnie z dokumentami oraz wspomnieniami córki Borowskiego, zlecenie dostał wiosną cztery lata temu. Otrzymał też dowody skradzione z policyjnego archiwum. Działał metodycznie przez ponad rok, wykorzystując swoje dawne kontakty. W laboratoriach w różnych częściach kraju dokonywał analiz poza oficjalnym obiegiem. W bazach danych

policji żadne takie badanie nie zostało zarejestrowane. Prokuratura wszczęła już osobne postępowanie w tej sprawie.

– Jak mu się udało? – zapytał Szarłaj.

– Zbigniew Koskowski był swego czasu tak nieostrożny, że zarejestrował się jako dawca szpiku – wyjaśnił Zakrzewski. – Ale zanim przejdziemy do tego, jak od Koskowskiego kuzynki dowiedziały się o reszcie, jeszcze kilka słów o Borowskim. Coś musiało się popsuć w kontaktach między nim a kuzynkami. Być może stary milicyjny lis zaczął coś podejrzewać. Bardzo późno dostał umówione pieniądze, ale bez zwrotu kosztów prywatnego śledztwa. A te musiały być spore, biorąc pod uwagę liczbę wyników z laboratoriów. Nawet jeśli część była wykonana po znajomości, pewnie szły w ślad za tym „dowody wdzięczności”. Jedna z analiz śladów genetycznych została wykonana odpłatnie w laboratorium w Wiedniu. Koszt musiał być niebagatelny. Uważamy, że Borowski zaczął się domyślać, dlaczego został wynajęty, i stał się podejrzliwy. Odwiedził Katarzynę Kurtz w ośrodku w Łęczycach. Nie wiemy, o czym rozmawiali i czy w ogóle doszło do rozmowy. Zgodnie z dokumentacją medyczną była tam akurat Katarzyna. Niestety, dziwnym trafem kilka dni później Borowski utonął w jeziorze podczas wędkowania. Prokuratura Gdańska już wznowiła umorzone postępowanie. Śledczy sprawdzają, czy ktoś Borowskiemu nie pomógł pożegnać się z tym światem. Wyjechał do swojego domku na Mazurach w środku tygodnia, pod pretekstem ważnego spotkania.

– Ta historia brzmi dość nieprawdopodobnie. – Godlecki pokręcił głową. – Czy są na to jakieś dowody?

– Pracujemy nad tym – po raz pierwszy odezwał się prokurator Grabski.

– Obecnie duża część naszej grupy śledczej prześwietla Koskowskiego. Przypuszczamy, że najprawdopodobniej Renata Kurtz była u niego zatrudniona, może nawet przez dłuższy czas.

Być może była jedną z wielu jego kochanek. Morderca znał kod do alarmu w firmie i znał sprawę córki Banaszkiwicza. To nie mógł być przypadek. Koskowski i jego firma byli kluczem do znalezienia Kurzaja, Rudnickiego i Jarosza.

– Która z nich zabijała? – zapytał Szarłaj.

– Renata Kurtz zabiła Rudnickiego i Kurzaja – odpowiedziała Paulina Czerny. – Potem kuzynki się zamieniły. Koskowskiego i Jarosza zabiła Katarzyna.

– Nie bardzo rozumiem, po co było to całe zamieszanie z Banaszkiwiczem, telewizją i wysyłaniem zdjęć z miejsca zbrodni do żony Koskowskiego.

– Przypuszczamy, że Koskowska miała cierpieć tak samo jak cierpiały żony zamordowanych braci – wyjaśniła Paulina. – Reszta była tym, co Marcin nazywa iluzją. Seria wydawałoby się nieskoordynowanych działań, mających skierować policję na fałszywe tropy. Powiedziałabym nawet, że plan był bezczelny. Renata Kurtz namówiła Patryka Tularza, żeby kupił mieszkanie w bloku Marcina. Potem kuzynki tak pokierowały sprawą, że Zakrzewski stał się głównym podejrzanym o zabójstwo Tularza. Tym samym odsunęłyby go skutecznie od prowadzonego śledztwa. Upozorowanie zabójstwa Magdaleny Szumilas nad Widawą też miało zaciemnić obraz. Tak samo zresztą, jak podrzucony telefon Kosowskiego.

– Tylko z tym pozornym zabójstwem Szumilas nad Widawą coś poszło nie tak – wtrącił Marcin. – Ktoś nie przewidział, że po tak długim okresie suszy w rzece zamiast wody będą tylko trzciny. Ciało nie mogłoby spłynąć z nurtem.

– Musimy pamiętać, że Katarzyna Kurtz jest osobą chorą psychicznie – zauważył Andrzej Szmidt. – Być może Renata Kurtz także jest niezrównoważona. Stąd genialny plan zemsty wykonany tak chaotycznie i nieprzewidywalnie.

– Dobrze, więc co dalej? – ponaglił ich Godlecki.

– Podzieliliśmy śledczych na mniejsze grupy – opowiedział prokurator. – Każda rozpracowuje inne elementy układanki. Ślady zebrane w mieszkaniu na Kossak-Szczuckiej należą do obu kuzynek, ślady z piwnicy domu Kurtzów oraz z pokoju Katarzyny w ośrodku opieki również. Na wniosek prokuratury sąd wydał międzynarodowy list gończy. Policja w całym kraju szuka tych kobiet. Nie wykluczamy, że mogą być już za granicą. Uważamy jednak, że złapanie ich jest tylko kwestią czasu.

# 53 Pułapka

30 lipca, czwartek, noc i dzień

Komisarz Marcin Zakrzewski siedział w samych bokserkach na balkonie swojego mieszkania. Była druga dziesięć w nocy. Nie mógł spać.

Położył się dość wcześnie i zasnął, lecz po godzinie obudził się gwałtownie ze snu bez marzeń. Czarna dziura. Usiadł na łóżku spocony. Ciężko oddychał, było duszno. Utrzymujące się od kilku tygodni tropikalne upały nie słabły, noce nie przynosiły ulgi, nie było już w ciągu doby choćby godziny odpoczynku od wysokich temperatur. Organizm Zakrzewskiego nagle się zbuntował. Marcin nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, lecz sen nie przychodził. Czuł tylko, jak pot spływa mu po całym ciele.

Wreszcie wstał, wyszedł na balkon, usiadł na krześle turystycznym i wpatrywał się w skrawek nieba widoczny nad blokami. Poświata miasta skutecznie gasiła wszystkie gwiazdy prócz tych najjaśniej świecących. Pewnie kolejny dzień też przyniesie piekielną aurę.

Chciało mu się palić. Cholernie chciało mu się palić. Taktyka niekupowania papierosów nie zdawała egzaminu. Zawsze znajdował się ktoś, kto skwapliwie go częstował, i Marcin czuł, że lada chwila nie będzie już w stanie rzucić tego cholernego nałogu. Kto wie, może już miał z tym problem?

Wrócił do mieszkania, założył spodnie, z szafy wyciągnął po omacku świeżą koszulkę, włożył buty i wyszedł z mieszkania.

Stacja benzynowa Shell na rondzie Pileckiego była otwarta całą dobę. Poszedł chodnikiem wzdłuż Tyrmanda, skręcił w Giżyckiego i minął bramę, w której mieszkał Adam Kurzaj. Mimowolnie przystanął. Po chwili ruszył dalej. Nie, nie chciał teraz o tym myśleć.

Ulice o tej porze były puste, samochody jeździły rzadko. Raz tylko minął się z młodym człowiekiem w słuchawkach na uszach, z nosem zatopionym w ekranie smartfona. Marcin nie był do końca pewien, czy chłopak go dostrzegł. Młode pokolenie użytkowników smartfonów wydawało się żyć we własnym świecie, równoległym do realnego. Przelotnie się zastanowił, do czego to doprowadzi. Czy za kilkadziesiąt lat tylko specjaliści od wad kręgosłupa będą mieli pełne ręce roboty, czy może trzeba będzie rozbudować szpitale dla psychicznie i nerwowo chorych?

Zakrzewski ze zdziwieniem zauważył, że przed nocną kasą na Shellu stoją cztery osoby. Chcąc nie chcąc, stanął na końcu i obserwował. Wszyscy kupowali piwo lub mocniejszy alkohol. Kiedy przyszła jego kolej, sympatyczna dziewczyna z zafarbowanymi na czarno włosami spojrzała na niego z błyskiem rozbawienia w oczach.

– Słucham pana? – zapytała i nagle parsknęła śmiechem.

Marcin spojrzał za siebie. Był ostatni. Co ją tak rozbawiło? Poprosił o cienkie mentolowe papierosy i zapalniczkę. Kiedy płacił, wygrzebując drobne z tylnej kieszeni spodni, dziewczyna nadal patrzyła na niego z szerokim uśmiechem. Dopiero na odchodne rzuciła:

– Fajna koszulka.

Zamknęła okienko i zniknęła gdzieś na zapleczu.

Zakrzewski spojrzał na napis na swojej koszulce i też się uśmiechnął. „Sex Instruktor”. Paulina kupiła mu tę koszulkę na jarmarku bożonarodzeniowym w Rynku. Było bardzo zimno, szli Świdnicką do zaparkowanego na Podwalu auta i nagle

Paulina zobaczyła budkę z tysiącem koszulek ze śmiesznymi rysunkami i napisami. Ta spodobała jej się najbardziej. Dostał ją w prezencie pod choinkę. Naprawdę była taka zabawna? Sądząc po reakcji sprzedawczyni – raczej tak.

Wyszedł poza obręb stacji benzynowej, odpieczętował paczkę, zapalił jednego i... było tak, jak się spodziewał. Papieros wcale mu nie smakował. Gorzko-kwaśny posmak w ustach i pieczenie w gardle. Nic nadzwyczajnego. Mimo tego wypalił go do końca i zaraz sięgnął po następnego. Nałóg jak nic.

Wracał wolno w kierunku domu, a nikotyna mobilizowała go do myślenia.

Odkąd dwa dni wcześniej opowiedział naczelnikowi Godleckiemu historię kuzynek Kurtz i ich zemsty, nie mógł pozbyć się wrażenia, że ta opowieść nie trzyma się kupy. Widział w niej niedopowiedzenia, skrót i ewidentne nieścisłości. Każdy – nawet morderca – ma swoją logikę. Dla innych jego działania mogą być niezrozumiałe i pozbawione sensu, ale z punktu widzenia sprawcy logika musi być zachowana, dlatego należy spróbować zrozumieć tok rozumowania mordercy. W historii zemsty kuzynek Kurtz Marcin nie potrafił tej logiki odkryć. Niby ciąg wydarzeń miał swoje uzasadnienie, a nawet potwierdzały go zebrane dowody, a jednak jakiś nieuchwytny czynnik Marcinowi nie pasował.

*X factor.* Coś, co nadaje sens zdarzeniom.

Wrócił do mieszkania, rozebrał się i znowu usiadł na balkonie. Z pełną świadomością, że będzie tego żałował, sięgnął po jeszcze jednego papierosa.

Przypomniał sobie swoją wizytę w mieszkaniu Magdy-Renaty – piętro wyżej. Coś tam znalazł. Nagle znalezisko nabrało wyjątkowego znaczenia.

Podszedł do półki z kolekcją filmów z Jamesem Bondem i znalazł tam to, czego szukał. Niewysłane pocztówki, na które policja nie zwróciła uwagi podczas przeszukania. Usiadł



w fotelu i jeszcze raz je przejrzał. Szukał szczególnie tej jednej. Tej z adresem.

Kraków, ulica Nowowiejska 6. Jak zaproszenie. Logika sprawcy. A może to właśnie było zaproszenie?

Zastanowił się, jak to zorganizować. Rano wyjazd do Krakowa ekipy śledczych wraz z grupą antyterrorystów. Na miejscu razem z krakowskimi kolegami obstawiają całą ulicę. Policja w samochodach, uzbrojeni antyterrorysty w furgonetce, snajperzy na dachu. Funkcjonariusz przebrany za listonosza zbliża się do bramy, ciągnąc torbę na kółkach wyładowaną przesyłkami. Sielanka i spokój. Ulicą normalnie jeżdżą samochody, przed bramą przechodzą przechodnie. Listonosz naciska przycisk domofonu i wchodzi do środka. Obchodzi wszystkie mieszkania i uśmiecha się sympatycznie do lokatorów. Potem wychodzi i melduje dowodzącemu akcją, kto otworzył, a gdzie mieszkania są puste. Mijają minuty i godziny. Cała grupa czeka cierpliwie na Renatę albo Katarzynę Kurtz. Wreszcie, pomimo protestów śledczych z Wrocławia, miejscowi postanawiają zakończyć akcję, wchodząc do wytypowanego mieszkania. I co? Pewnie nikogo nie zastają. Są wzajemne pretensje i oskarżenia. Może to nieporozumienie? Może kuzynki Kurtz nigdy tu nie mieszkały?

Było w pół do czwartej, gdy Zakrzewski znowu położył się do łóżka. Wciąż nie mógł zasnąć. Oprócz gorąca przeszkadzał mu posmak papierosów w ustach, ale wreszcie zapadł w niespokojną drzemkę. Wtedy w półśnie dopadła go nieposkromiona złość, którą do tej pory skutecznie tłumił. Był wściekły, że dał się tak łatwo zmanipulować. Spotkał na schodach nieznajomą i od razu zgodził się, żeby wychodziła z psem. Dał jej klucze do mieszkania i zaraz potem trafili do łóżka. Zero refleksji, totalny brak instynktu samozachowawczego. Może każdy samotny facet dałby się w ten sposób podejść? Przecież Renata Kurtz zaoferowała mu

rozwiązanie dwóch jego podstawowych problemów – opieki nad psem i braku seksu.

Koszmar wysłał go nagle na miejsce morderstwa Kurzaja, do parku przy Granicznej. Renata Kurtz ubrana była w gumowy kombinezon, gumowe buty i gumowe rękawiczki. Nadgarstki miała owinięte taśmą samoprzylepną, na twarzy nosiła maskę antysmogową, włosy starannie ukryła pod czepkiem pływackim, a na głowę nałożyła kaptur. To ubranie było tak samo skuteczne jak stroje używane przez policyjnych techników i gwarantowało prawie zupełny brak śladów organicznych na miejscu zbrodni. W jednej dłoni trzymała wielki gwóźdź, w drugiej młot. Kiedy już przybiła głowę Kurzaja do drzewa, zakrwawionymi rękami sięgnęła po telefon komórkowy i wystukała wiadomość tekstową.

Śpisz? Może masz jeszcze ochotę na spotkanie?

Potem odczekała chwilę, odpisała i znowu zabrała się za przybijanie ofiary do pnia drzewa. Kiedy skończyła, sięgnęła po telefon i wystukała SMS. Krew na rękawiczkach w ciemnościach była czarna i ciągnęła się jak roztopiona smoła.

I tak w kółko. Gwóźdź, młotek, telefon, SMS. A Marcin czuł tylko wściekłość.

\*

Obudził się po szóstej zlany potem. Patrzył chwilę w sufit, aż wreszcie odzyskał odpowiednią ostrość widzenia. Może to wszystko nigdy się nie wydarzyło? Może to był tylko cholernie realny sen, który skończył się właśnie w tym momencie?

Pomacał ręką obok siebie – łóżko było puste. To nie był sen. Niestety.

Wziął długi prysznic. Potem z kubkiem mocnej czarnej kawy wrócił na swoje miejsce na balkonie. Teraz było trochę chłodniej. Senność całkiem odeszła. Obserwował, jak ścieżką

przez plac między blokami chodzą ludzie. Niektórzy spieszyli się do pracy, inni wyszli na spacer z psem, niektórzy szli do Żabki po świeże pieczywo na śniadanie. Jego wzrok padł w końcu na papierosy leżące na parapecie okna i znowu nie wytrzymał. Zapalił.

Właściwie w tym momencie podjął decyzję. Jeśli to było zaproszenie, pojedzie tam sam. Bez zbędnego szumu, bez niepotrzebnej mobilizacji. Przecież szansa, że taki wyjazd przyniesie wymierne korzyści, była niewielka. Iluzja nie mogła być aż tak dopracowana w szczegółach. Niemożliwe. A jeśli była? Właśnie przez takie wątpliwości zdecydował się pojechać.

Spakował pistolet i paczkę naboju do torby i około ósmej wyszedł z domu. Wcześniej wypił jeszcze dwie kawy i zjadł dobre śniadanie. Wiedział, że później pewnie zapomni o jedzeniu. Paulina Czerny jechała właśnie do Gdańska na spotkanie z tamtejszymi śledczymi, Szawczak od rana siedział w firmie Koskowskiego. Dlatego nikogo nie powiadomił. Wysłał tylko Parolowi SMS, że będzie w pracy później, bo musi coś sprawdzić.

Służbową kię zatankował na Shellu i wyjechał na autostradową obwodnicę miasta, żeby później skręcić na A4 do Krakowa. Nie spieszył się, jechał z przepisową prędkością. Słuchał Antyradia, dopóki sygnał nie zanikł zupełnie. Potem słuchał już tylko własnych myśli. Klimatyzacja skutecznie odcięła go od kolejnego bardzo upalnego dnia tego lata. Choć im dalej jechał na wschód, tym bardziej temperatura na zewnątrz spadała. Kiedy zatrzymał się na Orlenie za Mysłowicami, było już tylko trzydzieści dwa stopnie. W porównaniu z trzydziestoma sześcioma we Wrocławiu naprawdę czuło się różnicę.

Skorzystał z toalety, wypił kawę w restauracji, zapalił papierosa. Kwadrans później ruszył dalej.

Wciąż nie wiedział, czy jego wyjazd do Krakowa ma jakikolwiek sens. Jednak skoro był już tak blisko celu, zamierzał sprawdzić adres na Nowowiejskiej.

Dzień był dość dziwny. Od rana jego aparat telefoniczny ani razu nie zagrał standardu Led Zeppelin. Jakby koledzy i koleżanki z pracy o nim zapomnieli lub domyślali się, dokąd i po co pojechał, i nie chcieli mu przeszkadzać. Szawczak zadzwonił dopiero, kiedy Marcin wjechał do Krakowa.

– Gdzie ty jesteś? – zapytał.

– W Krakowie.

– Co my mamy wspólnego z Krakowem?

– Muszę coś sprawdzić.

Zakrzewski odniósł wrażenie, że jego młodszy kolega jest albo zirytowany, albo rozczarowany.

– Wiesz, Marcin, czasem nie nadążam za twoim tokiem rozumowania.

– Nie przejmuj się, ja też.

– No to może chociaż będziemy w kontakcie?

– Zadzwonię.

Zakrzewski rzucił telefon na fotel kierowcy i skupił się na drodze. Może powinien Parolowi powiedzieć? Trudno, teraz już było za późno.

Skręcił w prawo w Armii Krajowej, którą pojechał aż do skrzyżowania z Piastowską, dalej skręcił w lewo. Po prawej stronie minął kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny z Lourdes. Jeśli mówi się o Wrocławiu, że jest miastem kościołów, co w takim razie powiedzieć o Krakowie? Wreszcie skręcił w lewo i był na Nowowiejskiej.

Ulica była jednokierunkowa. Zwolnił i rozglądał się za bramą z numerem sześć. Po lewej stronie ciągnęły się numery nieparzyste, więc skupił się na prawej, gdzie stał szereg połączonych ze sobą trzykondygnacyjnych kamienic. Wzdłuż budynków ciągnął się szeroki na około cztery metry pas zieleni,

odgrodzony od chodnika, porośnięty żywopłotami i niewielkim drzewami. Pierwsza brama miała numer trzydzieści. Przyspieszył, żeby nie blokować jadących za nim aut, i zaraz zwolnił. Minął skrzyżowanie z Królewską i jechał wąskim przesmykiem między zaparkowanymi po obu stronach samochodami. Wreszcie znalazł numer szósty. Przyhamował. Kilkanaście metrów kwadratowych trawnika było ogrodzone płotem na podmurówce. Być może kiedyś wąskie przejście w ogrodzeniu zamykane było na jednoskrzydłową furtkę. Teraz nie został po niej ślad. Nad wszystkim górowała rozłożysta brzoza. Kamienica miała cztery piętra.

Ruszył dalej. Objechał cały kwartał budynków ulicami Kazimierza Wielkiego, Urzędniczą i Królewską. Miejsce do parkowania udało mu się znaleźć po drugiej stronie ulicy, kilkanaście metrów przed interesującą go bramą. Miał stąd dobry widok na wszystkich wchodzących i wychodzących z budynku.

Po kilku minutach wysiadł z samochodu. Zapalił papierosa i wypalił go, opierając się o maskę. Niestety, kia stała w słońcu i w środku szybko zrobiło się gorąco. Poszedł wolno do parkometru znajdującego się dokładnie przed bramą numer sześć i kupił bilet na dwie godziny. Wrócił do samochodu, żeby położyć go za przednią szybą. W znajdującym się nieopodal warzywniaku kupił dwa banany i butelkę wody. Tak zaopatrzony siedział w samochodzie przy otwartych oknach i obserwował przechodniów. Od czasu do czasu wyciągał z paczki cienkiego papierosa i palił, wydmuchując dym przez opuszczoną szybę. Na siedzeniu pasażera położył prawie pustą torbę, a pod nią ukrył pistolet z pełnym magazynkiem.

Ulica była spokojna, wręcz senna. Upał nie zachęcał ludzi do spacerów, więc mijało go niewielu przechodniów, ulicą z rzadka przejeżdżały samochody. Po godzinie zachciało mu się spać. Dała o sobie znać dziurawa noc. Po kolejnym kwadransie

poczuł, że nie da rady dłużej się bronić. Ścisnął w dłoni rękojeść pistoletu, zasłonił broń torbą, którą przełożył sobie na kolana i zasnął. Godzinę później obudził go samochód dostawczy, który wolno przetoczył się po Nowowiejskiej.

\*

Zwątpienie zwyciężyło około godziny osiemnastej, odsyłając wszystkie inne myśli w ciemne zakamarki mózgu. Na szczęście od kilkunastu minut słońce skrywało się za budynkami i w miejsce, gdzie zaparkował, przywędrował wreszcie cień, przynosząc ze sobą ulgę.

Jedenaście minut po szóstej wypalił ostatniego papierosa i zjadł banana, chociaż marzył o porządnym steku z pieczonymi ziemniaczkami. Wypił resztkę wody z butelki i zdecydował. Jeśli do godziny dziewiętnastej nic się nie wydarzy, wraca do domu.

Pięć minut później ją zobaczył.

Nadchodziła od strony ulicy Kazimierza Wielkiego.

Zmieniła kolor włosów, uczesanie, pewnie makijaż też, lecz od razu ją poznał. Poczuł, że jego serce wskoczyło na wyższe obroty. Ale to nie było podekscytowanie, jakie ogarniało go już wielokrotnie, gdy wpadał na właściwy trop. Tym razem czuł tylko przepelniającą go wściekłość. Sięgnął po pistolet i odbezpieczył.

Renata Kurtz szła jego stroną ulicy. Ubrana była w białą koszulkę, granatowe dzinsy i adidas. Dosłownie pięć metrów przed maską jego samochodu przeszła na drugą stronę ulicy i stanęła przed bramą. Szukała kluczy w torebce przerzuconej przez ramię. To wystarczyło, żeby Marcin wysiadł z samochodu i z pistoletem w dłoni stanął za jej plecami. Na początku nie zwróciła na niego uwagi. Przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi. Dopiero wtedy poczuła jego obecność. Odwróciła się i na

jej twarzy dostrzegł strach. Przez chwilę miał wrażenie, że rzuci się do panicznej ucieczki. Tylko że było już za późno. Patrzyła wprost w lufę pistoletu.

– Jeśli spróbujesz sztuczek, nie zawaham się. Strzelę bez ostrzeżenia.

Otworzyła usta jak do krzyku, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Miała nienaturalnie rozszerzone oczy i wyglądała na autentycznie przerażoną.

Zakrzewski włożył stopę między drzwi a próg i pchnął ją do środka. Na klatce schodowej panował bardzo przyjemny chłód. Renata Kurtz stała przy schodach całkowicie sparaliżowana.

– Nie próbuj uciekać.

Pokręciła tylko głową.

– Które piętro? – zapytał.

– Ostatnie.

– Kto jest w mieszkaniu?

Znowu pokręciła głową i poruszyła ustami.

– Nie dosłyszałem!

– Nie ma nikogo...

Zakrzewski zbliżył się krok w jej stronę.

– Teraz pójdziesz spokojnie na górę – powiedział. – Pamiętaj, że ja idę trzy stopnie za tobą.

Wspięli się na ostatnie piętro budynku. Renata stanęła przed brązowymi drzwiami i sięgnęła do torebki. Zakrzewski natychmiast odskoczył pół kroku do tyłu i mocnej zacisnął dłoń na rękojeści walthera.

– Nie ruszaj się!

Znieruchomiała.

– Powoli wyciągnij rękę.

Wyciągnęła drżącą dłoń z kluczami do mieszkania.

Weszli do środka. Marcin natychmiast przykuł jej dłonie kajdankami do kaloryfera w kuchni, a sam ostrożnie sprawdził mieszkanie. Niewielki metraż, dwa urządzone po staroświecku

pokoje, korytarzyk, dawno nieremontowana łazienka. Pusto. Rozejrzał się uważnie i wywnioskował, że Renata mieszka tu sama. Wrócił do kuchni, wyciągnął z za stołu krzesło i usiadł naprzeciw kobiety. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Stała w niewygodnej pozycji, nie mogąc się ruszyć.

– Ona mnie do tego zmusiła – wyszeptała Renata i autentycznie zaczęła drgać jej górna warga od tłumionego szlochu, z oczy poleciały łzy. – Nawet nie wiesz, do czego jest zdolna. To potwór!

– Kto?

– Kaśka...

– Katarzyna Kurtz?

– Tak.

Tym razem nie udało jej się powstrzymać łez.

– Ona mnie do tego zmusiła – powtórzyła Renata. – Jeślibym jej nie pomogła, zabiłaby mnie. Zrozum, to wariatka! Zresztą mam już tego wszystkiego dość. Mogę iść do więzienia na dwadzieścia pięć lat, tylko uwolnijcie mnie od tej wariatki! Mnie jest już wszystko jedno.

Marcin uciszył ją gestem.

– W takie bajki nikt ci nie uwierzy. Zmusiła cię, żebyś zabijała? Zmusiła cię, żebyś przybiła faceta gwoździem do drzewa?

– To nie ja! To ona zabijała!

– A ty nic nie wiedziałaś i w tym czasie najzwyczajniej w świecie proponowałaś mi seks?

Kręciła przecząco głową. Tusz z rzęs spłynął, tworząc na policzkach ciemne smugi.

– Ona mi kazała! Naprawdę. Ja nikogo nie zabiłam. To Kaśka wszystkich pozabijała. Ona jest potworem!

Zakrzewski poprawił się na krześle. Wściekłość nie ustępowała.



– Nie wiedziałaś o tym, że wyciągnęła z grobowca szczątki rodziców i urządziła sobie w piwnicy swojego dawnego domu makabryczną instalację?

– Przysięgam, że nie wiedziałam!

– Znaleźliśmy tam twoje odciski palców! – Marcin podniósł głos.

– Zabrała mnie tam kiedyś. Byłam przerażona, chciałam się wycofać. Wtedy zagroziła, że jeśli nie będę jej pomagać, zabije mnie i dołączy do swojej kolekcji. Byłam śmiertelnie przerażona!

Zakrzewski przyjrzał się jej uważnie. Uznał, że mówi prawdę.

– Ale to ty ukradłaś pieniądze Ilnickiemu? – zapytał.

– Od tego się zaczęło. Przez kilka lat nie utrzymywałyśmy ze sobą kontaktu. Kiedyś mnie odnalazła. Wszystko już zaplanowała. Miałyśmy tylko ukraść pieniądze, wyjechać za granicę i dobrze się bawić. Dopiero potem się okazało, że tak naprawdę chodzi jej o zemstę. Założyła fundację na Cyprze i ukryła mnie w tym ośrodku. Byłam uwięziona, bałam się stamtąd wychodzić, bo myślałam, że Ilnicki mnie zabije.

– Katarzyna kazała ci pójść ze mną do łóżka?

– Marcin, przepraszam cię! – znowu zaszlochała. – Miałam cię uwieść, taki był jej plan. Patryk był jej chłopakiem. Zrobiłby dla niej wszystko. Ty jej nie znasz. Kaśka jest straszna. Potrafi zawładnąć ludźmi groźbą, obietnicą, pochlebstwem, aż stają się jej całkowicie ulegli. Robią wszystko, co im każe. Zawsze i wszędzie.

– Mordują dla niej? – wpadł jej w słowo.

– Ja nikogo nie zamordowałam! Ale Patryk tak. Kazała mu i on to zrobił!

Zakrzewski zamilkł. Analizował jej słowa. Czy to był właśnie ten nieuchwytny, brakujący element układanki? *X factor*? Renata Kurtz jako ofiara swojej psychopatycznej kuzynki? Nie

potrafił tego ocenić. Był dziwnie rozproszony, nie mógł się skupić w stu procentach.

– Marcin, bardzo cię przepraszam. To prawda, że Kaśka kazała mi iść z tobą do łóżka. Pierwszy raz był okropny, ale później było mi z tobą dobrze. Nawet...

– Zamknij się! – warknął.

Mimowolnie przypomniał sobie ich pierwszy raz. Zaczęli trochę nieporadnie, żadne z nich nie miało zbyt wielkiej satysfakcji. Jak to między dwojgiem obcych sobie ludzi.

– ...nawet zaczęłam sobie wyobrażać, że moje życie jest inne. Że możemy razem zamieszkać...

– Cholera, już się zamknij!

– Chciałam być z tobą...

– Gdzie jest Katarzyna Kurtz? – przerwał jej.

Zamilkła.

– Gdzie jest twoja kuzynka?

Spuściła wzrok.

– Mówiłaś, że chcesz to już przerwać. Udowodnij, że tak jest naprawdę. Powiedz, gdzie się ukrywa.

– Tu, w Krakowie.

– Masz z nią kontakt?

– Tak, pomagam jej.

– Podaj mi jej adres.

Renata głośno przełknęła ślinę.

– Nie znam go – powiedziała cicho.

– Więc w jaki sposób jej pomagasz?

Szarpnęła rękami. Kajdanki przesunęły się po rurze kaloryfera z metalicznym odgłosem.

– Marcin, uwolnij mnie – jęknęła. – Straciłam czucie w palcach. Proszę...

Podskoczył do niej, chwycił ją ręką za brodę i odwrócił twarz w swoją stronę. Jęknęła z bólu. Patrzyli sobie w oczy.

– Jak znaleźć Katarzynę?

– Powiem...

Puścił ją i wrócił na swoje poprzednie miejsce.

– Spotykamy się w opuszczonym hotelu. To taka ruina niedaleko jakiejś huty. Nie pamiętam nazwy...

– Adres!

– Ujastek Mogilski. Budynek po dawnym hotelu JB.

– Kiedy się z nią spotykasz?

– Co kilka dni.

– Kiedy masz się z nią teraz spotkać?

Nie odpowiedziała.

– Czekam!

– Dzisiaj...

Zakrzewski sięgnął po telefon i zaczął wybierać numer. Renata Kurtz znowu się szarpnęła, aż metaliczny dźwięk rozniósł się po całym mieszkaniu.

– Co robisz? – zapytała przestraszona.

– Dzwonię po wsparcie.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknęła. – Ona ucieknie!

A wtedy stanie się coś strasznego!

Zawahał się. W końcu schował telefon do kieszeni.

– Co się stanie? – zapytał.

– Kaśka jest bardzo ostrożna. Ten budynek znajduje się z dala od innych. Ona zobaczy, że policja szykuje zasadzkę.

– Co się stanie? – powtórzył bardziej dobitnie.

– Zginie bardzo wielu ludzi! – Te cztery słowa prawie wykrzyczała.

Zakrzewski milczał zaskoczony.

– Dlaczego zginie wiele osób? – zapytał wreszcie.

– Nie wiem, co ona planuje. – Renata kręciła głową. – Naprawdę nie wiem! Wspominała o tym kilka razy, ale bałam się pytać.

– Co mówiła?

– Kilka razy mówiła, że na wypadek, gdybym ją wydała albo gdyby policja wpadła na jej trop, ma przygotowaną niespodziankę. Zginie wiele niewinnych osób, wiem tylko tyle. Nie pytałam o więcej, bałam się. Była straszna, kiedy wypowiadała te słowa. Aż ciarki przechodziły mi po plecach!

Marcin też czuł dreszcze. Było tylko jedno wyjście, on już się zdecydował.

– Jak się spotykacie? – zapytał.

– Zaraz po zmroku wchodzę do budynku hotelu głównym wejściem – odpowiedziała. – Tak, żeby mnie widziała.

– W takim razie dzisiaj będzie tak jak zwykle.

\*

Nad Kraków nadciągnął zmierzch. Ulica Ujastek Mogilski oddzielała ogródki działkowe od terenów przemysłowych należących do huty. Renata Kurtz szła szybkim krokiem od strony Kopca Wandy w kierunku opuszczonego hotelu JB oraz należącej kiedyś do tych samych właścicieli stacji benzynowej. Nie rozglądała się. Bardzo starała się wyglądać naturalnie, co ostatecznie nie wypadło najlepiej. Szła sztywno jak manekin.

Marcin obserwował ją z pewnej odległości. Hotel położony był na tyle niekorzystnie, że nie można było zbliżyć się do niego niepostrzeżenie. Jeszcze w pobliżu Kopca Wandy, daleko od zrujnowanego budynku hotelu, przeskoczył przez ogrodzenie z metalowych płyt i szedł teraz równoległe do Renaty od strony huty. Widok miał utrudniony. Idącą kobietę widział tylko w miejscach, gdzie płyty ogrodzenia przykręcone były do słupków. Uznał jednak, że musi jej zaufać. Gdyby chciała uciec, już dawno by zwała, bo on pewnie nie zdążyłby w porę zareagować. Jednak szła, z każdym krokiem zbliżając się do celu.

Kilkadziesiąt metrów przed hotelem przyspieszył i wyprzedził ją. Był za ogrodzeniem przy budynku, kiedy Renata Kurtz przeszła przez stację benzynową i stanęła przed hotelem. Pokonał ogrodzenie w momencie, gdy trzy razy zaświeciła latarką telefonu komórkowego wyciągniętego z torebki. Przyczajony za zaniechanym żywopłotem patrzył, jak wchodzi do gmachu. Wyciągnął broń, odbezpieczył, przebiegł kilkanaście kroków i stanął przy bocznej ścianie.

Cały hotel był kiedyś stalowo-szklaną konstrukcją. Teraz większość szyb była wybita i można było bez problemów dostać się do środka. Wszedł przez rozbite okno i znalazł się w jakimś zdewastowanym pomieszczeniu, pewnie na dawnym zapleczu recepcji. Szkło zachrzącało mu pod podszewkami. Nie miał szans poruszać się ciszej. Przeszedł wolno w kierunku drzwi.

To był test na szczerłość zamiarów Renaty Kurtz. Miała na niego czekać w głównym holu. Pchnął niedomknięte drzwi z wyraźnymi wgnieceniami po kilku kopnięciach. Otworzyły się bezszelestnie. Dobrze. Drzwi prowadziły wprost za kontuar recepcji. Zatrzymał się nagle zdezorientowany. W nozdrza uderzył go ostry zapach benzyny. Co się dzieje, do jasnej cholery? – przemknęło mu przez głowę. Schylony dopadł kontuaru. Wychylił się ostrożnie i rozejrzał się po głównym holu. Pomalowane na biało ściany, teraz przybrudzone i pokryte gryzmołami graficiarzy, kolumna podtrzymująca strop, zbite lampy zwijające z sufitu dopełniały obrazu całkowitej dewastacji.

W środku panowały jeszcze większe ciemności niż na zewnątrz, ale oczy już zdążyły się przyzwyczaić do braku światła. Hol był pusty. Renata Kurtz zniknęła.

Przeklął pod nosem. Zastanowił się, czy nie zadzwonić po wsparcie. Zaraz jednak pomyślał, że nie ma jej tutaj z prostej przyczyny: Katarzyna Kurtz przejrzała ich plan. Być może dostrzegła go, jak przeskakiwał przez płot lub biegł przez

parking. Poczekał jeszcze kilkanaście sekund i ruszył przed siebie.

Przeszedł wzdłuż ściany w kierunku schodów. Zapach benzyny jakby osłabł. Mogło to być złudzenie, zmysł powonienia przystosował się do warunków i wysyłał słabsze bodźce do mózgu. Dotarł do schodów prowadzących na piętro. Dostrzegł postrzępione resztki wykładziny. Wspiął się na górę i znalazł się w długim korytarzu. Po obu stronach znajdowały się wejścia do pokoi hotelowych. W większości brakowało drzwi, choć niektóre wisiały na jednym zawiasie albo leżały zniszczone, tarasując przejście.

Po namyśle poszedł w prawo. Zaglądał do pokoi to z jednej, to z drugiej strony. Naraz usłyszał szloch dochodzący z głębi korytarza. Poszedł w tamtym kierunku, lekceważąc bezpieczeństwo i nie zaglądając do reszty pomieszczeń.

Renatę Kurtz znalazł w ostatnim pokoju. Stała twarzą do okna, tyłem do niego. Jej ciemna sylwetka była wyraźnie widoczna na tle okna rozjaśnionego światłem z ulicznej latarni.

– Renata? – zapytał cicho.

Nie zareagowała. Szloch wstrząsał jej ramionami.

– Co się stało? – zapytał i postąpił dwa kroki do przodu.

Renata Kurtz odwróciła się. Przez moment na jej twarz padło światło i zrozumiał swoją pomyłkę. Ona nie płakała, tylko się śmiała. Coś kliknęło mu przy uchu i poczuł zimny dotyk stali na skroni.

To od początku była pułapka, a on dał się w nią złapać.

# 54 Hotel

30 lipca, czwartek wieczorem

Renata Kurtz podniosła rękę w uspokajającym geście.

– Nie zabijaj go jeszcze! – powiedziała rozkazująco.

– Rzuć broń – usłyszał przy uchu szept Katarzyny Kurtz.

Przez chwilę nawet poczuł jej ciepły oddech na uchu. Wzdrygnął się, jak wtedy nad jeziorem Sarbsko. Upuścił pistolet. Renata podniosła go szybko, odsunęła się o dwa kroki i wycelowała. Katarzyna opuściła swój pistolet, podeszła do niej i pocałowała ją w usta. Zakrzewski wzdrygnął się po raz kolejny. Widział ich języki splecione ze sobą na ułamek sekundy. To był pocałunek kochanek. Katarzyna stanęła przy Renacie i uśmiechała się do niego zagadkowo. Były do siebie uderzająco podobne. Dlatego zwrócił na Katarzynę uwagę, gdy spotkał ją pod swoim blokiem. One nawet poruszały się tak samo.

– Zaskoczony?

W głosie Renaty zabrzmiały bardzo dobrze mu znane, zalotne nuty. W ten sposób go uwiodła. Kuszące uśmiechy, muśnięcia palców, rozchylone usta, Renata zdejmująca psu obrożę w jego przedpokoju. Jak to się, do cholery, stało? Miał kompletny chaos pod czaszką.

– Zabierz mu telefon! To było dość proste. Dałeś się podejść jak dziecko.

Nic nie odpowiedział.

Nagle doznał olśnienia, jakby wszystko wskoczyło na właściwe tory. Jak mógł wcześniej o tym nie pomyśleć? Cholera, czy naprawdę nie mógł wpaść na to wcześniej?

– Idealna rodzina to ty – powiedział.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Co ty mówisz?

– Dla ciebie była ta inscenizacja w piwnicy domu Michała Kurtza.

Teraz to wydawało mu się oczywiste. Obie kobiety wpatrywały się w niego w milczeniu. Już się nie uśmiechały.

– To nie twoja kuzynka umieściła zwłoki Michała i Agnieszki w piwnicy, tylko ty – ciągnął. – W dzieciństwie przeżyłaś piekło. Twoi rodzice ciągle się kłócili. Zazdrościłaś Katarzynie, że jej rodzina jest taka idealna. Marzyłaś, żeby być na jej miejscu.

Renata spojrzała na swoją kuzynkę.

– Nie masz mi tego za złe, prawda? – zapytała kpiąco.

– Nie – odpowiedziała zaraz Kaśka, lecz w tonie jej głosu Marcin wyczuł coś nienaturalnego.

– Szkoda, że wcześniej tego nie zauważyłem. Kiedy ty przebywałaś w ośrodku w Łęczycach, nie wychodziłaś do ludzi. Zamknięta w pokoju rysowałaś i pisałaś wiersze. Kaśka była zupełnie inna. Była normalna.

Renata roześmiała się głośno.

– Komisarz Zakrzewski doznał olśnienia – powiedziała. – Niestety, za późno. Tutaj wszystko się szczęśliwie zakończy.

– Jesteś bardziej chora niż twoja kuzynka.

– Tak uważasz? – Renata spojrzała mu w oczy. – Rozczaruję cię. Moja kochana Kasia nie nadaje się do życia w społeczeństwie. Nie radzi sobie ze współczesną techniką, boi się tłumów i jest raczej nieśmiała. Nie przeżyłaby beze mnie poza ośrodkiem.

– Co zamierzasz zrobić?



Rozpaczliwie potrzebował czasu do namysłu. Jeśli zacznie z nimi rozmawiać, zyska kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund. Tylko czy to się na cokolwiek przyda? Hotelowy pokój był ogołocony ze sprzętów, brakowało drzwi do łazienki, w ciemnym wnętrzu dostrzegł stopy potłuczonych kafelków. Nie miał gdzie się schować. Kobiety odgradzały go od wyjścia na korytarz.

– Tobie też zaplanowałam efektowną śmierć. Może nie tak efektowną jak tamtym czterem, ale nie będziesz zawiedziony.

Znowu zaśmiała się radośnie. Tyle tylko, że tym razem roześmiała się sama. Jej kuzynka stała obok jak zahipnotyzowana i wpatrywała się w Zakrzewskiego.

Marcin zerknął na okno. Rozważał przez moment taką opcję. Trzy szybkie kroki i skok w dół. Byli na pierwszym piętrze. Być może udałoby mu się wyjść z tak ekstremalnej przygody bez większych obrażeń. Pod warunkiem, że dotrze do okna i przeskoczy parapet. I że nie trafi go pocisk wystrzelony z pistoletu. Obie miały odbezpieczoną broń, a pamiętał z piwnicy domu Kurtzów, że Katarzyna nieźle strzela.

– Skuj go! – Renata podała kuzynce kajdanki.

Mógł spróbować teraz, lecz lufa pistoletu podniosła się niebezpiecznie na wysokość jego głowy, a druga z kobiet stanęła poza linią strzału. Dał sobie skuć ręce na plecach. Wszelka nadzieja powoli gasła.

– Idziemy na dół!

Katarzyna Kurtz chwyciła go za koszulkę z przodu i pociągnęła. Szedł za nią korytarzem, lekko przygięty, patrząc pod nogi i uważając, żeby się nie potknąć. Było ciemno i pochylony do przodu niewiele widział. Renata szła z tyłu.

– Dlaczego mi to robisz? – zapytał Marcin szeptem. – Przecież jesteś inna niż ona. Normalna.

Katarzyna nie odezwała się. Nawet na niego nie spojrzała. Tylko jej uchwyt wyraźnie osłabł. Zakrzewski wiedział, że trafił

we właściwe miejsce.

– Od razu zwróciłem na ciebie uwagę. Pamiętasz, wtedy przed blokiem?

– Zamknij się, Zakrzewski! – warknęła z tyłu Renata.

Uścisk znowu przybrał na sile. Pociągnęła go jakby ze złością. Omal się nie przewrócił. Dochodzili do schodów. Katarzyna poprowadziła go w dół. Teraz było mu łatwiej iść, ponieważ hol przy recepcji oświetlony był światłem ulicznej latarni.

– Nie daj sobą manipulować. Moglibyśmy być teraz daleko stąd – zdążył jeszcze powiedzieć. Nagle potknął się i runął w dół, koziołkując po ostatnich kilku schodkach. Jęknął głośno, przewracając się na bok. Zachrzęściły kawałki szkła. Przy schodach zobaczył kanister. To dlatego tak śmierdziało benzyną.

– Podnieś go! – zakomenderowała Renata Kurtz.

Kaśka pomogła mu wstać. Pociągnęła go w kierunku filaru na środku pomieszczenia. Oparł się plecami, ciężko oddychając. Ból uda stłuczonego przed kilkoma dniami znowu promieniował na całe ciało, powodując mdłości.

– Dlaczego... – zaczął i zabrakło mu oddechu. – Dlaczego chcecie mnie zabić?

– Przepraszam cię, Marcin. To stała część naszego planu. Nie podlega negocjacom.

– Czego ty ode mnie chcesz? – jęknął.

Renata nie odpowiedziała. Spojrzała na swoją kuzynkę.

– Zabij go!

Katarzyna nie zareagowała. Stała jak słup soli, wpatrując się w Zakrzewskiego.

– Na co czekasz? – Renata szturchnęła ją lufą pistoletu w ramię. – Przecież taki był plan.

Katarzyna wolno wyjęła zza paska pistolet. Marcin poznał markę. Smith & Wesson, kaliber dziewięć milimetrów. Odbezpieczyła, lecz nie strzeliła.

– Nie! – powiedziała nagle stanowczym tonem. – On miał być mój!

Renata spojrzała na nią wyraźnie zaskoczona.

– Co ty gadasz? Przecież jest twój.

– Nie! Obiecałaś, że będzie mój!

Mierzyły się w milczeniu wzrokiem. Zakrzewski nagle zobaczył, jakie były między nimi prawdziwe relacje. Cała masa skumulowanych negatywnych emocji.

– Nie zachowuj się jak idiotka – warknęła Renata. – Zabij go. Wyjedziemy za granicę i dam ci każdego faceta, który ci się spodoba.

– Ja chcę mieć jego.

– Zwariowałaś?! Kończ to, bo zaraz będzie tu policja z całego miasta.

– Nie!

Nagle Renata roześmiała się jakby z goryczą.

– Nie rób mi tego teraz – powiedziała, a w jej głosie można było odczytać groźbę.

Jej kuzynka najwyraźniej tej groźby nie usłyszała.

– Pieprzyłaś się z nim – rzuciła. – On mi się podoba. Ja też chcę.

– Kurwa, nie bądź dzieckiem! Jak nie, to ja to zrobię.

Podniosła broń, lecz w tym momencie lufa pistoletu trzymanego przez Katarzynę skierowała się w jej stronę.

– Nie rób tego. – Głos Katarzyny stwardniał.

Renata przez chwilę oceniała sytuację, wreszcie opuściła pistolet i zaśmiała się, jakby chciała rozładować unoszące się w powietrzu napięcie.

Wyciągnęła do kuzynki rękę.

– Chodź, Kasiu, przytul się do mnie, nie kłóćmy się już – odezwała się pojednawczym tonem.

Katarzyna bez słowa podeszła i wtuliła twarz w jej ramię.

– Zawsze mnie wykorzystujesz – szepnęła z wyrzutem.

– Nie wykorzystuję, tylko troszczę się o ciebie – padła odpowiedź. – Przecież sama byś sobie nie poradziła na tym cholernym świecie.

– Nigdy nie dałaś mi spróbować.

– Nie gadaj głupot.

– Zawsze byłam gorsza.

– Myślałam, że w końcu dorośniesz. Miałaś już dwie okazje, żeby zabić Zakrzewskiego. Za każdym razem go puszczałaś. Nie byliśmy zadowoleni.

Katarzyna podniosła głowę i spojrzała kuzynce w twarz.

– Ja... – zaczęła, lecz nagle rozległ się odgłos dwóch wystrzałów i jej ciałem szarpnęło.

– Nie! – wrzasnął Zakrzewski.

Katarzyna ze zdziwieniem spojrzała na dymiącą jeszcze lufę walthera p99, upadła bezwładnie na plecy i znieruchomiała. Na jej piersiach szybko powiększała się czerwona plama krwi.

– Zabiłaś ją, ty cholerna...

Zakrzewski nie skończył. Renata Kurtz podskoczyła do niego i z całej siły uderzyła go rękojęścią pistoletu w głowę. Świat pociemniał jeszcze bardziej, Marcin poczuł, że uginają się pod nim nogi, i stracił przytomność.

\*

Światło przejeżdżającego ulicą samochodu wpadło przez wielką szybę przy wejściu i oświetliło na chwilę twarz Renaty Kurtz. Kobieta manipulowała przy kajdankach spinających jego nadgarstki.

– Pamiętasz, że obiecałam ci coś szczególnego? – szepnęła i już jej nie było.

\*

Ocknął się chwilę później. Miał wrażenie, że jeszcze widział Renatę wbiegającą po schodach na górę. Tylko po co miałyby tam iść? Być może obraz był fragmentem majaku, który przepadł już gdzieś w ciemnych czeluściach umysłu.

Gdzie ja w ogóle jestem? – przemknęło mu przez myśl i nagle ból głowy i uda go otrzeźwił. Pułapka, hotel, Renata Kurtz. Ile jeszcze ciosów jest w stanie przyjąć? Głowa bolała go koszmarne. Podobno człowiek może czuć jednocześnie tylko dwa najbardziej bolące miejsca. Dla Zakrzewskiego ta ludzka ułomność była w tym momencie zbawienna.

Czuł, jak po policzku spływa mu strużka krwi z rozbitej głowy. Odruchowo ruszył ręką, żeby ją zetrzeć, lecz ręka ani drgnęła. Szarpnął drugą. To samo. Sytuacja zmusiła go do myślenia. Przyjrzał się uważnie swoim dłoniom. Na obu nadgarstkach zobaczył srebrne bransolety kajdanek. Co, do licha? Znowu się szarpnął i znowu bezskutecznie.

I nagle to zobaczył.

Jego lewa ręka przykuta była kajdankami do prawej ręki leżącej obok Katarzyny Kurtz. Jego prawa ręka przykuta była do jej lewej ręki. Pośrodku wznosił się w górę słup podtrzymujący strop holu. Nie miał szans na uwolnienie się. Na początku nawet się nie przestraszył. Jego myśli błądziły jeszcze na granicy świadomości. W pewnym momencie znowu poczuł w nozdrzach ostry zapach benzyny.

Wtedy rozległ się dźwięk kojarzący się tylko z jednym. Eksplozja oparów paliwa. Fala gorąca przemknęła przez pomieszczenie.

Zakrzewski zadarł głowę i spojrzał w kierunku wejścia. W tej chwili nie było widać nic prócz ściany ognia. Natychmiast zrozumiał, jaką efektowną śmierć zaplanowała mu Renata. Śmierć w płomieniach.

Przez chwilę łudził się, że budynek ze stali i szkła nie będzie się palił zbyt gwałtownie. Szybko zobaczył, że farby, lakiery,

ocieplenie ścian i wiele innych materiałów natychmiast zajmują się ogniem. Pożar ogarnął całą przednią ścianę hotelu i dopiero przybierał na sile. Szary, gryzący dym zaczął sunąć w jego kierunku po podłodze.

Jeszcze raz się szarpnął. Znowu bezskutecznie. Przez głowę przemknęła mu makabryczna wizja rodem z horrorów. Musiałby szybko obciąć Katarzynie Kurtz rękę, żeby mieć szansę na ucieczkę. Ale to nie był film, a Renata nie zostawiła mu żadnych narzędzi. Nie miał szans.

Wtedy niespodziewanie Katarzyna otworzyła oczy i spojrzała na niego przytomnym wzrokiem. Piersi miała we krwi, z kącika ust i nosa płynęły czerwone strużki.

– Jesteś piękny – szepnęła, patrząc na niego z uwielbieniem w oczach.

Marcin zamarł. To była właśnie scena z horroru. Zaskakująca, groteskowo makabryczna i wstrząsająca. Ogień dosięgnął recepcji, płomienie wspięły się na sufit i nieubłagane sunęły po nim w głąb pomieszczenia, centymetr po centymetrze. Gryzący dym dotarł do miejsca, w którym leżeli. Marcin zaczął kasłać. Katarzyna popatrzyła na niego jakby ze współczuciem.

– Kluczyki mam w kieszeni – wyszeptała.

Minęły sekundy, zanim do oślepionego dymem i kaszlącego Zakrzewskiego dotarły te słowa. Spróbował do niej sięgnąć. Niestety, leżała za daleko.

– Muszę cię przesunąć – powiedział i pociągnął.

Z ust kobiety wydobył się jęk bólu, z ust potoczyła się krew.

– Przepraszam.

Chciał to powiedzieć, lecz poruszył tylko ustami, nie wydobywając głosu. Od dymu łzawiły mu oczy, huk płomieni wciąż przybierał na sile. A może tylko mu się tak wydawało?

Nadal nie mógł sięgnąć do jej spodni. Zarzucił na nią nogę i przyciągnął bliżej. Udało się. W tylnej kieszeni znalazł

kluczyki.

Ogień na suficie był już nad nimi. Żar stawał się nieznośny. Od strony recepcji rozległ się wybuch i odgłos rozsypujących się odłamków szkła. Pod wpływem temperatury pękła jedna z niewielu całych tafli okiennych.

Kluczyki nie pasowały do kajdanek na prawej ręce. Na szczęście do tych na lewej tak. Uwolnił rękę i ukląkł. Szybko ocenił sytuację. Nie miał szans uciec przez główne wejście. Płomienie były bardzo wysokie. Jediną drogę ucieczki stanowiły schody na górę.

Musiał wziąć Katarzynę ze sobą. Dźwignął kobietę z podłogi i poniósł w kierunku schodów. Wyraźnie widać było, że cierpi. Otworzyła na moment oczy i spojrzała na niego.

– Uratujesz mnie, prawda? – szepnęła.

Byli już na schodach. Marcin wchodził, nie pamiętając o bólu uda i rozbitej głowie. Teraz nie czuł już nic. Liczyła się tylko walka o przeżycie. Może ból jest złudzeniem? W pewnych okolicznościach po prostu przestaje istnieć.

– Trzymaj się – powiedział. – Zaraz będzie karetka.

Zatrzymał się na pierwszym piętrze i rozejrzał się. Nie było dobrze. Renata Kurtz podłożyła ogień także tutaj. Płonęły oba końce korytarza. Ogień szybko połykał kolejne wejścia do pokoi. Słysząc było huk, trzask i syczenie topiących się elementów z plastiku. Dym uniemożliwiał oddychanie.

Zakrzewski pobiegł po schodach wyżej. Ogień sięgał już i tu, ale przynajmniej było jeszcze czym oddychać. Katarzyna zarzuciła mu nagle rękę na ramię, podciągnęła głowę i położyła mu na piersi.

– Ładnie pachniesz – szepnęła. – Czułam to już wtedy, za pierwszym razem...

Pewnie wyobraźnia podpowiadała jej piękne obrazy i zapachy. Marcin czuł tylko ostry swąd spalenizny.

Znalazł wyjście na dach. Na szczęście wandalę dewastujący opuszczony hotel wyrwali włącz i pewnie sprzedali na złom. Zostały schody, których nie dało się szybko zdemontować. Były głęboko wmurowane w ścianę.

Zakrzewski zarzucił półprzytomną Katarzynę na plecy i z trudem wspiął się na górę. Kiedy wreszcie udało mu się wydostać na dach, położył delikatnie kobietę i sam upadł obok, wyczerpany i zatruty dymem. Wydawało mu się, że w oddali słyszy syreny wozów strażackich. A może tylko chciał je słyszeć?

Gdy wreszcie płuca łapczywie chwytające czyste powietrze uspokoiły się i dotleniły organizm, dźwignął się i spojrzał na Katarzynę. Wciąż krwawiła, lecz jej oczy pozostawały otwarte i żarzyły się jak dwa rozpalone węgle. Patrzyły na niego. Chciała coś powiedzieć, lecz z ust popłynęła jej tylko kolejna strużka krwi.

Marcin Zakrzewski rozejrzył się. Tu też nie byli bezpieczni. Ogień pochłaniał budynek hotelu w zastraszającym tempie. Od strony wejścia był już ponad dachem. Z włączu wydostawał się biały dym, w którym błyskały płomienie.

Zmobilizował wszystkie siły, podniósł Katarzynę i trzymał ją przed sobą na rękach. Nie miała siły utrzymać głowy. Rozpuszczone szare włosy zwisały w strąkach.

Podszedł do krawędzi dachu. Na ulicy przed płonącym hotelem zatrzymało się już kilka samochodów. Kierowcy i pasażerowie wyszli z aut i obserwowali pożar. Widok Marcina trzymającego na rękach kobietę wywołał u patrzących okrzyki przerażenia. Marcin szybko zorientował się, dlaczego zareagowali aż tak gwałtownie. Budynek palił się ze wszystkich stron. Dach już w kilku miejscach zaczął się zapadać do środka.

Odgłos syren narastał. Pierwsze dwa wozy straży pożarnej zajęły przed hotel od strony stacji benzynowej. Strażacy szybko zorganizowali gaszenie. Dwóch z nich krzyczało coś do



Marcina. Płomienie, syreny i szum od strony ulicy sprawiły, że nic nie zrozumiał. Zjawiono się jeszcze dwóch strażaków. Rozciągnęli na dole płachtę, na którą miał skoczyć. Podbiegło kilku mężczyzn, do tej pory obserwujących pożar z ulicy. Wszyscy krzyčili do Zakrzewskiego, żeby skakał.

Spory fragment dachu już się zapadł pod wpływem pożaru. Część, na której stali, stanowiła nie więcej niż jedną trzecią dawnej powierzchni. Spojrzał w dół i już miał skakać, gdy nagle Katarzyna podniosła głowę.

– Ona chce zabić dużo ludzi... – szepnęła.

– Kto?

– Renata.

– Co chce zrobić?

– Nie wiem... Tak mówiła.... Dużo ludzi... taki był plan...

Marcin poczuł, że dach ugina mu się pod stopami. Rozległ się trzask.

Skoczył.

\*

Nawet kilku silnych mężczyzn nie było w stanie utrzymać ciężaru dwóch osób spadających z wysokości kilkunastu metrów. Płachta zamortyzowała co prawda główne uderzenie, jednak nie do końca. Zakrzewski leżał na parkingu obok budynku, łapczywie chwytając powietrze do płuc. Ratownicy z karetki pogotowia nachylali się nad nim i nad Katarzyną.

Marcin z trudem wyciągnął z kieszeni policyjną odznakę.

– Policja – powiedział. – Co z nią?

Nikt mu nie odpowiedział. Usiadł i zapytał jeszcze raz.

Jeden z dwóch ratowników pochylających się nad Katarzyną podniósł na niego wzrok.

– Nie żyje.

## 55 Most

31 lipca, piątek, popołudnie i wieczór

Prokurator Marek Grabski wyszedł z sali konferencyjnej komendy wojewódzkiej z marsem na twarzy. Rozejrzał się po korytarzu i zobaczył komisarza Zakrzewskiego stojącego przy oknie. Podszedł do niego wolnym krokiem. Przez chwilę milczeli. Pierwszy odezwał się Marcin.

– Sądząc po twojej minie, nie masz dobrych wiadomości – stwierdził.

– Nie było najgorzej.

Ostatnią godzinę Grabski spędził na spotkaniu sztabu kryzysowego, zwołanego przez naczelnika policji w związku z podejrzeniem zagrożenia zamachem terrorystycznym. W gmachu policji zjawilo się kilku ważnych gości. Jeden z wiceprezydentów miasta i dwóch urzędników wysokiego szczebla, przedstawiciel straży miejskiej, straży pożarnej, wysoki rangą oficer CBŚ. Był też naczelnik policji wraz z kilkoma oficerami i Grabski jako prokurator nadzorujący śledztwo.

– Tak? – Zakrzewski spojrzał pytająco.

– Na początku byli sceptyczni. Przecież nie mamy żadnych dowodów.

– Niby tak.

– Powiem szczerze, że gdybyś to nie był ty, pewnie nic by nie zrobili. Musisz mieć świadomość, że kładziesz na szali swój autorytet.

Marcin odwrócił się do Grabskiego z grymasem złości na twarzy.

– W dupie to mam! Renata Kurtz jest na wolności, może skrzywdzić niewinnych ludzi. Nie spocznę, dopóki jej nie złapię. Z poparciem miasta lub bez.

– Nie wkurzaj się. To polityka. Ci z miasta boją się zrobić cokolwiek, co może okazać się niepotrzebne i nadszarpnie ich reputację w oczach obywateli. Równocześnie jeszcze bardziej boją się nic nie zrobić, bo gdyby doszło do tragedii, będą mieli wielkie kłopoty. Dlatego na początku trzeba zawsze ustalić, na kogo można zwalić winę.

– Nie zależy mi. Mogę być kozłem ofiarnym.

Grabski się roześmiał.

– Nie musisz – powiedział. – Policja będzie kozłem ofiarnym. Komendant wziął to na siebie.

– Odważnie.

– Tylko dlatego, że ostrzeżenie wyszło od ciebie.

– Nie wiem, czy mam się czuć zaszczycony. – Zakrzewski wzruszył ramionami.

– Sam to oceń – roześmiał się Grabski i kontynuował. – Tak czy inaczej, do odwołania mamy podwyższony stopień zagrożenia terrorystycznego. Więcej patroli straży miejskiej i policji, zwłaszcza w ważniejszych punktach miasta, powołanie sztabu kryzysowego, który skoordynuje działania wszystkich służb. Mamy zapewnione wsparcie od CBS i delegatury wojewódzkiej ABW, antyterrorystów w stałej gotowości. Za godzinę w telewizji i na wszystkich portalach internetowych pojawi się list gończy za Renatą Kurtz. Komendant wyznaczył sporą nagrodę za wskazanie jej miejsca pobytu. Do tego przez najbliższe dni na drogach wjazdowych do miasta będą stali policjanci, służba celna i inspekcja transportu. Będą kontrolować wszystkie podejrzane auta. Szczególnym nadzorem obejmujemy dworzec autobusowy i dworce

kolejowe. Kraków też ogłasza stan podwyższonego zagrożenia i podejmuje analogiczne działania. Małopolska i śląska policja kontrolują drogi. Oczywiście wszystko na razie objęte jest klauzulą tajności. Żadne informacje nie mogą wyciec do mediów.

– Przecież zaraz jakiś kret się wygada – wtrącił się Marcin.

– Rzecznik policji ma już gotową bajeczkę o kobiecie poszukiwanej za wielokrotne morderstwo. – Grabski spojrzał na Marcina. – Na razie jest dobrze.

– Tylko?

– Dużo zależy teraz od śledczych. Musimy jak najszybciej znaleźć Renatę Kurtz. Stan podwyższonego zagrożenia terrorystycznego można utrzymać przez tydzień, może trochę dłużej. Jeżeli nic się nie zdarzy, będą naciski, żeby odwołać akcję. Więc do roboty.

– J-jasne. – Zakrzewski odwrócił się i ruszył w kierunku schodów. – Muszę pogadać z Szawczakiem – rzucił jeszcze, nie oglądając się za siebie.

\*

Parol czekał na niego w pokoju. Siedział wpatrzony w monitor komputera. Marcin bez słowa zwałił się na swoje krzesło i przymknął na chwilę oczy. Był koszmarnie zmęczony i obolały. Zanim stare rany i stłuczenia zdążyły się zagoić, fundował sobie następne. Teraz, kiedy się ruszał, za każdym razem bolało go coś innego. Paradoksalnie najgorzej było, gdy leżał. Ból promieniował z różnych miejsc.

W uszach bez przerwy miał huk płomieni, a kiedy tylko zamykał oczy, widział rozmarzone spojrzenie Katarzyny Kurtz i jej nieme pytanie: „Uratujesz mnie?”. Nie uratował. Miała go zabić, pewnie zabiła któregoś z mężczyzn ze zdjęcia, lecz Zakrzewski miał wyrzuty sumienia za każdym razem, kiedy

o niej pomyślał. Może nawet czuł coś na kształt żalu. W dzieciństwie przeżyła tragedię, która wpędziła ją w chorobę psychiczną, potem została zmanipulowana przez kuzynkę i na koniec przez nią zabita. Życie Katarzyny było jedną wielką tragedią.

Wrócił z Krakowa w środku nocy, złapał tylko kilka godzin snu. Właściwie to nawet nie był sen, tylko przerywany bólem letarg. Od rana był w komendzie i organizował poszukiwania Renaty Kurtz. Podniósł taki alarm, że w końcu sprawa trafiła do najwyższych decydentów. Był nawet zadowolony z decyzji, które zapadły. Akcja poszukiwawcza wyglądała na szukanie igły w stogu siana. Poza tym słowa Katarzyny na chwilę przed śmiercią mogły być tylko ostatnim majakiem jej umysłu. Marcin jednak uwierzył. Wiedział, że Renatę stać na wszystko, nawet na działania tak bezsensowne, jak zamach na niewinnych ludzi. Jej nienawiść była przecież pozbawiona granic. Mogła próbować zemścić się na kimkolwiek i gdziekolwiek. Cały czas jednak miał nikłą nadzieję, że nie zrobi tego i wyjedzie za granicę. W takim wypadku sprawę jej poszukiwań przejęliby Łowcy Cieni, a oni przecież potrafili znaleźć diabła na samym dnie piekieł, Marcin nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Pozostawało im tylko oczekiwanie. Czekali więc.

Około dziewiętnastej Marcin był już półprzytomny ze zmęczenia. Dał się namówić Parolowi i poszedł do sali konferencyjnej. Zdrzemnął się kilkanaście minut.

\*

Obudził się po dwudziestej. Usiadł i ukrył bolącą głowę w dłoniach. W pomieszczeniu panował półmrok. Od strony Podwała przez okna wpadały światła i słychać było szum przejeżdżających samochodów. Był pewien, że obudziła go

jakaś odkrywczą myśl, tylko na razie nie potrafił sprecyzować, czego dotyczyła.

Pierwsze kroki skierował do automatu z kawą. Na korytarzu było cicho i spokojnie jak przed burzą. Patrole były pewnie w terenie, a kto nie miał akurat dodatkowego dyżuru, pojechał do domu. Kawa jak zwykle była niedobra, ale do tego zdążył się już przyzwyczać. Poszedł do swojego pokoju. Parol spał na krześle z głową na biurku.

– Nie śpię, nie śpię – powiedział, podrywając się i zerkając na wygasły ekran komputera.

– Widziałeś Paulinę?

– Jest gdzieś na mieście. Sprawdzają kilka miejsc, gdzie może ukrywać się Katarzyna, ale raczej niczego nie znajdą.

– Pewnie nie – przyznał Marcin.

Usiadł na swoim krześle i dopił kawę.

– Coś się dzieje?

– Cisza i spokój, nie licząc kilku fałszywych alarmów – odpowiedział Parol, ziewając.

Marcin cały czas próbował złapać myśl, która go obudziła.

– Parol, pomyśl przez chwilę.

Kolega spojrzał na niego pytająco.

– Co byś zrobił, gdybyś planował zamach, w którym miałyby zginąć jak najwięcej osób?

– Pytasz poważnie?

– Najpoważniej na świecie.

Na bladej ze zmęczenia twarzy Parola pojawiły się plamy, nieco bledsze niż zwykle.

\*

Wóz patrolowy numer B129 jechał wolno prawym, skrajnym pasem Legnickiej w kierunku Pilczyc. Prowadzący auto młodszy posterunkowy Witek Jarza specjalnie zwolnił, żeby

złapało ich czerwone światło na placu Strzegomskim. Policjantka wolno dotoczyła się do przerywanej linii. Na szczęście o tej porze ruch był niewielki, więc inne auta już dawno ich wyprzedziły.

Młodszy posterunkowy Jarza spojrział na bardziej doświadczoną koleżkę.

– Jak myślisz? Naprawdę ktoś planuje zamach? – zapytał.

Straszy sierżant Paweł Abramski, do którego z racji spokojnego usposobienia i głębokiej religijności już dawno przyłgnęło przezwisko Abraham, spojrział na niego z mądrą miną.

– Zasada numer jeden – powiedział, podnosząc w górę palec jak ksiądz na kazaniu pouczający wiernych. – Takich komunikatów nigdy nie należy lekceważyć. Jeśli tak mówią, to znaczy, że coś jest na rzeczy.

Światło zmieniło się na zielone i ruszyli dalej tym samym pasem. Jarza żałował, że zapytał. Abraham pouczał go jak żółtodzioba i nie przepuścił ku temu żadnej okazji, a przecież posterunkowy Witold Jarza służył w policji już osiem miesięcy. Poza tym irytowało go, że każda z zasad łaskawie zdradzanych mu przez starszego koleżkę miała numer jeden.

– Zjedź na stację benzynową – polecił Abraham. – Zrobimy sobie przerwę i rozprostujemy kości.

Jarza pokiwał głową i przejechał skrzyżowanie Legnickiej z Zachodnią, wrzucił prawy kierunkowskaz, a potem skręcił na BP. Zaparkował z boku, obok wielopoziomowego parkingu.

Abraham wysiadł i przeciągnął się z lubością. Jarza puścił mimo uszu kolejną uwagę o starych, trzeszczących kościach. Abraham zniknął w sklepie, a młodszy funkcjonariusz przechadzał się po parkingu. Stacja położona była tuż przy nasypie i wiadukcie kolejowym nad ulicą Legnicką. Właśnie górą toczył się wolno pociąg towarowy z wagonami wypełnionymi po brzegi węglem kamiennym. Po spodem ulicą

przemykały samochody. Jarza odprowadził pociąg wzrokiem, po czym ruszył do radiowozu. Naraz przystanął i znowu popatrzył w kierunku nasypu. Zamyślił się.

Tak zastał go Abramski.

– Co tak stoisz? – zapytał. – Możemy jechać.

– Poczekaj. Nie mieliśmy dzisiaj takiego zgłoszenia?

Abraham podążył za spojrzeniem kolegi i przyznał mu rację. Mieli takie zgłoszenie.

\*

Parol trochę się zirytował. Cały Zakrzewski i jego kalambury. Ktoś nadążał za jego tokiem rozumowania? Dla niego była to czasem czarna magia.

– No nie wiem... – bąknął.

– Zastanów się przez moment – nalegał Marcin.

– No cóż... mocny ładunek wybuchowy zdetonowany w tłumie ludzi. Na przykład w niedzielę na bazarze na Świebodzkim. Coś na wzór islamskich terrorystów.

Spojrzał na Zakrzewskiego i od razu wiedział, że to zła odpowiedź.

– Weź pod uwagę, że mieszkamy w Polsce. Nie masz łatwego dostępu do materiałów wybuchowych. O broni maszynowej też zapomnij. W ogóle zapomnij o broni.

– Ktoś, kto się długo przygotowuje...

Marcin przerwał mu gestem.

– Nie było długich przygotowań. Pomysł jest w miarę świeży, do natychmiastowej realizacji.

– Butla z gazem – rzucił Parol. – Też może wybuchnąć w tłumie ludzi.

Zakrzewski zastanowił się, ale zaraz pokręcił głową.

– Ciężko jest doprowadzić do wybuchu butli w tłumie. Ludzie coś by zauważyli i podnieśli alarm.



– Można ukraść samochód cysterne. Taki wybuch zmiotłby pół dzielnicy.

– Co ty dzisiaj masz z tymi wybuchami? – skrzywił się Marcin. – Naoglądałeś się filmów sensacyjnych? Tak naprawdę bardzo trudno jest rozszczelnić taką cysternę.

– Można zatruć ujęcia wody pitnej...

Marcin jęknął.

– Parol, nie myśl jak autorzy kryminałów. Myśl jak potencjalny terrorysta.

Szawczak jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy. Jego irytacja wzięła górę.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? – warknął. – Jestem tak samo zmęczony jak ty. Poza tym nie jestem terrorystą.

– Ale jesteś gliniarzem. Musisz nauczyć się myśleć jak przestępca. To ważne. Myśl.

– A co ty byś zrobił? – Parol odbił pytanie.

– Tłum ludzi to był dobry pomysł – mruknął Marcin. – Dużo potencjalnych ofiar.

– Można porwać pociąg – wypalił nagle Parol.

Zakrzewskiemu spodobał się ten pomysł.

– Dobrze, ale co nam to da? Nawet jeśli rozpędzimy skład i nie zatrzyma się na żadnej stacji, w pociągach są zabezpieczenia i automatycznie włączą się hamulce. Coś mniejszego. Może autobus?

– Autobus miejski w szczycie, pełen ludzi. Rozpędzasz się, wjeżdżasz na most i wpadasz do rzeki.

– Efektowne, ale jest jeden problem. Pasażerowie mogliby się zorientować i zacząć działać, poza tym ten zamach musiałby być samobójczy. Coś innego.

Parol wzruszył ramionami.

– Cholera, nie wiem... – nie dokończył, bo do głowy wpadła mu pewna myśl. – Samochód! Można wjechać w tłum ludzi samochodem.

– Bardzo mała skala zniszczeń – ocenił sceptycznie Marcin.  
– No to wielkim tirem z naczepą – ciągnął Szawczak –  
Wjeżdża do centrum miasta i robi wielkie spustoszenie.  
– Już lepiej, tylko że mamy stan podwyższonego zagrożenia.  
Do centrum żaden tir nie wjedzie.

– To inne wielkie auto, takie, które może się przebić przez ewentualne zapory.

– Policja i inspekcja ruchu drogowego sprawdzają wszystkie ciężarówki zmierzające do centrum miasta.

Parol przeglądał zgłoszenia policyjne z ostatnich dni. Po kilku minutach popatrzył na Marcina.

– W ostatnich dwóch tygodniach nikt na Dolnym Śląsku nie zgłosił kradzieży tira – powiedział i skrzywił się z powątpiewaniem. – Komuś co prawda zaginął dźwig, ale to raczej nadaje się do programu typu „Śmiechu warte”.

– Może zgłoszenie jeszcze nie wpłynęło? Właściciel nie zdążył się zorientować?

Zakrzewski zaczął chodzić po pokoju. Trzy kroki w jedną, trzy w drugą. Szawczak był coraz bardziej poirytowany. Nagle Marcin stanął i popatrzył na niego w zamyśleniu.

– Powiedziałeś „dźwig”?

– A co można zrobić dźwigiem? – Szawczak wzruszył ramionami i zaczął dokładniej przeglądać rejestr. – O, jest. Cztery dni temu zgłosił się właściciel firmy wypożyczającej dźwigi. Ktoś wziął sprzęt, ale nie dotarł na budowę.

Nagle Szawczak niżej pochylił się nad monitorem.

– Zaraz, zaraz – mruknął. – To nie jest taki dźwig, o jakim myślałem.

Zakrzewski stanął za nim i zerknął mu przez ramię. Komputer był odcięty od sieci zewnętrznej, więc Parol sięgnął po smartfon i szybko odszukał ten model żurawia w Internecie. Gdy zdjęcie pojawiło się na ekranie, Parol gwizdnął z podziwem.

– To jest gigant na szesnastu kołach! – wykrzyknął. – Podnosi czterysta ton, ma prawie dwadzieścia metrów długości. Robi wrażenie.

W tym samym momencie uchyliły się drzwi i wszedł młody policjant, którego znali z widzenia.

– Dyżurny prosił, żeby wam przekazać wiadomość. – Podał Zakrzewskiemu kartkę i wyszedł.

Marcin rzucił na nią okiem i spojrzał na Parola z dziwnym wyrazem twarzy.

– Patrol, znalazł się ten dźwig – powiedział.

Szawczak wybałuszył na niego oczy.

– Akurat teraz?! – krzyknął. – Co za zbieg okoliczności!

Marcin zaczął zbierać się do wyjścia. Sprawdził pistolet i włożył go do kabury na pasku.

– Stoi na Słubickiej przy garażach. Chyba się tam przejadę. To niedaleko.

\*

– Ale gigant – mruknął Abraham, zdejmując czapkę i drapiąc się po łysinie.

– Wygląda jak samojezdna wyrzutnia rakiet termonuklearnych – dodał Jarza.

Uwaga była celna. Zaparkowany niedaleko stacji benzynowej, przy samym nasypie pojazd wyglądał, jakby woził wyrzutnię. Tyle tylko, że ogromna tuba nad nisko osadzoną szoferką była wysuwany na sto metrów żurawiem. Cały pomalowany na żółto, odcinał się wyraźnie na ciemniejszym tle nasypu.

– Zadzwoń do dyżurnego – powiedział Abraham.

Posterunkowy Jarza poszedł do samochodu i przez krótkofalówkę poinformował dyżurnego o znalezisku. Rozmawiali dłuższą chwilę. Jarza zapisywał jakieś numery,

które dyktował mu dyżurny. Po chwili zamknął radiowóz i wrócił do starszego kolegi.

– Dostałem numery skradzionego dźwigu – stwierdził. – Mamy sprawdzić, czy to ten.

Poszli w milczeniu przez trawnik w kierunku pojazdu. Zaparkowany był przed ciągiem garaży. Aż dziw, że nikt dotąd nie zgłosił, iż wielki dźwig przeszkadza przy wyjeździe. Ludzie zawracali policji głowę mniej istotnymi drobiazgami.

Jarza sprawdził numery rejestracyjne.

– To ten – orzekł.

– Idź zawiadomić dyżurnego. Ja się rozejrzę.

Abramski odszedł wolno i po chwili zniknął koledze z oczu. Jarza stał przed maską dźwigu jeszcze długą chwilę. Ściągnął czapkę, zadarł głowę. Patrzył na złożony wysięgnik. Z szacunkiem dotknął wielkiego haka na stalowych linach.

– Naprawdę jak wyrzutnia rakiet – mruknął.

Już miał pójść do samochodu, gdy nagle coś go zaniepokoiło. Zajrzał za dźwig z jednej i z drugiej strony. Abrahama nie było. Gdzie on, do cholery, polazł?

– Paweł? – zapytał.

Odpowiedziała mu cisza.

– Abraham?! – zawołał trochę głośniej.

Znowu nic.

Poczuł dziwny niepokój. Położył dłoń na kaburze z bronią i odpiął zatrzask. Pod palcami poczuł chłodną stal rękojeści. Wcale go to nie uspokoiło. Wolał nie wyciągać broni. Może Abraham najzwyczajniej w świecie poszedł w pobliskie krzaki za potrzebą?

Ruszył wzdłuż pojazdu na jego tyły. Minął osiem potężnych kół, noszących giganta po drogach, i dwie pary hydraulicznych wsporników, którymi pojazd zapierał się o ziemię podczas pracy. Z tyłu nikogo nie było.

– Paweł?

I wtedy go zobaczył.

Abramski leżał nieprzytomny na trawie, twarzą do ziemi. Jego czapka wylądował dwa metry obok. Jarza stał jak skamieniały, z pustką pod czaszką. Nie wiedział, co robić. Drgnął gwałtownie, kiedy silnik dźwigu odpalił i ryknął całą mocą na wysokich obrotach. Patrzył, niewiele rozumiejąc, jak przednie cztery osie skręciły się w lewo i cały pojazd wyrwał do przodu. Pojechał dziurawą szutrową drogą wzdłuż płotu i garaży i zniknął. Słysząc było tylko ryk jego silnika.

Okazało się, że doświadczenie wcale nie przychodzi po kilku miesiącach służby w policji.

\*

Komisarz Zakrzewski stał na światłach przed skretem z Legnickiej w Zachodnią. Nerwowo bębnił palcami po kierownicy służbowego auta. Musi w końcu naprawić motor, zamiast stać w korkach. Poza tym tęsknił za uczuciem wolności i swobody. Poczul je w pełni, gdy Hanna Duciak wyciągnęła go na przejazdzkę.

Zapaliło się zielone. Ruszył i skręcił w Zachodnią. Po kilkudziesięciu metrach znowu skręcił w lewo, w Słubicką. Opony auta zagrały na kostce.

Nagle stało się coś, czego nie mógł przewidzieć. Zza piętrowego parkingu po lewej stronie, rycząc potężnym silnikiem na wysokich obrotach, wypadł potwór. Wążący kilkadziesiąt ton pojazd z przeraźliwym piskiem kół trących o kostkę brukową skręcił w miejscu jak czołg i wyrwał do przodu prosto na samochód Marcina.

Komisarz zareagował odruchowo. Szarpnął kierownicą i kia zjechała w prawo. Słyszał, jak amortyzatory w przednich kołach jęknęły, uderzając o krawężnik, samochód podskoczył i wylądował w żywopłocie, tuż przed blokiem mieszkalnym.

Zahaczył o zaparkowane na chodniku auto, niszcząc zderzak. Silnik zgasł. Szybka reakcja kierowcy spowodowała, że dźwig tylko otarł się o tył samochodu.

Zakrzewski, klnąc, przekreślił szybko kluczyk w stacyjce i wrzucił wsteczny. Silnik zaskoczył i auto wycofało gwałtownie, robiąc piruet na pustej ulicy. Dźwig skręcał właśnie w Zachodnią. Dwa auta zahamowały gwałtownie i wpadły na siebie z hukiem.

Marcin ruszył w pościg. Był przekonany, że dźwig pojedzie do centrum, tymczasem pojazd skierował się w przeciwną stronę. Znowu auta na Legnickiej hamowały rozpaczliwie, kiedy nie zważając na czerwone światło, dźwig włączał się do ruchu. Był już za pierwszym wiaduktem, gdy Marcin wreszcie zdołał ominąć blokujące mu przejazd pojazdy. Dźwig parł przed siebie z wielką prędkością. Z rury wydechowej umieszczonej po lewej stronie nad silnikiem buchał w górę czarny dym spalin. Inne auta zjeżdżały na boki.

Zakrzewski włączył sygnalizację świetlną oraz syrenę i gonił go, wciskając gaz do dechy. Dokąd ona do cholery jedzie? – pytał się w myślach. Nie miał wątpliwości, że za kierownicą siedzi Renata Kurtz. Był już bardzo blisko, gdy przejechała pod drugim wiaduktem. Wtedy z lewej strony zobaczył różnokolorowe światła centrum handlowego i zrozumiał. Pojazd przed nim kierował się wprost na Magnolię, nie bacząc na stojące przed nim na światłach samochody. Ominął je, bez trudu przeskoczył torowisko tramwajowe i przeciął przeciwny pas jezdni, wywołując panikę wśród kierowców. Zakrzewski musiał pojechać inną drogą, żeby nie zatrzymać się na torach. Ruszył jezdnią równoległą do dźwigu. Mimo sygnału dźwiękowego naciskał dodatkowo na klakson, próbując ostrzec tłumek ludzi przed głównym wejściem do Magnolii.

Renata Kurtz musiała go dostrzec, bo przecinający trawniki pojazd nagle zaczął się zbliżać do jego auta i uderzył je w bok.

Marcin stracił panowanie nad kierownicą, ściął znak drogowy i zatrzymał się na zaparkowanych w pierwszym rzędzie parkingu innych samochodach.

Ludzie przed wejściem na szczęście w porę dostrzegli zagrożenie i uciekli na boki, krzycząc ostrzegawczo, jednak wielki, rozpędzony, ciężki dźwig staranował ścianę budynku. Rozległ się huk, brzęk tłuczonego szkła, jęk giętych stalowych konstrukcji. Zaraz potem zapadła niepokojąca cisza. Marcin wyskoczył z samochodu z pistoletem w dłoni.

W tej samej chwili z wielu gardeł równocześnie rozległ się krzyk przerażenia. Tłum ludzi rzucił się do ucieczki. Przez zniszczony przód galerii handlowej wylała się rzeka ludzi. Zakrzewski przez sekundę nie wiedział, co robić, w końcu ruszył im naprzeciw. Przedzierał się przez uciekających na oślep ludzi, krzycząc:

– Z drogi, policja!

Co chwilę ktoś na niego wpadał.

To był zupełny przypadek.

Gdyby nie to, że ktoś go potrącił i Marcin musiał spojrzeć w bok, nigdy by jej nie dostrzegł. Ale spojrział i zobaczył.

Renata Kurtz w ubraniu koloru moro biegła w kierunku torów kolejowych na wysokim nasypie. Akurat wolno przejeżdżał tamtędy pociąg towarowy. Marcin rzucił się za nią w pogoń. Był w połowie parkingu, gdy ona wspinała się już po nasypie.

– Stój! – krzyknął i strzelił dwa razy ostrzegawczo w powietrze.

Odwróciła się na moment, poznała go i pobiegła dalej. Po chwili złapała się za uchwyt przy platformie jednego z wagonów, biegła chwilę razem z pociągiem, po czym jednym susem wskoczyła na platformę. Pociąg odjeżdżał, przyspieszając nieznacznie. Zakrzewski dopadł ostatnich wagonów i również wskoczył na jeden z nich. Wychylił się i spojrział do przodu. Ona

też się wychylała, żeby zobaczyć, czy wskoczył za nią. Pociąg ciągle się rozpędzał.

Marcin ocenił sytuację. Wspięcie się na dach wagonu, żeby tamtędy przejść do miejsca, w którym znajduje się Renata, graniczyło z szaleństwem. Tylko w filmach sensacyjnych bohaterowie skaczą po dachach pociągów.

Nagle rozległ się pisk hamulców. Pociąg hamował przed mostem kolejowym nad Odrą. Marcin znowu się wychylił. Zobaczył, że Renata stoi na najniższym stopniu i szykuje się do skoku. Zrobił to samo. Gdy pociąg zwolnił tuż przed mostem, skoczyła. Upadła na kamienie, lecz zaraz się podniosła. Ruszyła biegiem na most po przeciwnym torowisku. Marcin też wyskoczył. Udało mu się utrzymać równowagę i pobiegł za nią.

Dogonił ją kilkadziesiąt metrów dalej. Strzelił jeszcze raz ostrzegawczo i nie musiał robić nic więcej. Zatrzymała się i odwróciła do niego. Oboje byli zasapani i spoceni. Pociąg, którym przez chwilę podróżowali, zadudnił na moście i odjechał. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Patrzyła na niego z twarzą wykrzywioną grymasem złości.

– Dlaczego ty jeszcze żyjesz, Zakrzewski? – warknęła.

– Widać nie postarałaś się wystarczająco. Ręce na kark!

– Pierdol się!

– Klęknij i ręce na kark! To koniec!

Nagle się roześmiała.

– Podejdź tutaj i mnie aresztuj – zakpiła.

Nagle rozległ się sygnał pociągu. Oboje spojrzeli w jego stronę. Na most wtaczał się kolejny pociąg towarowy. Jechał ich torem. Maszynista musiał ich zobaczyć, bo sygnał ostrzegawczy rozległ się kolejny raz, a potem znowu.

– I co teraz zrobisz, Zakrzewski? – zapytała Renata z szerokim uśmiechem na twarzy. – Nie ruszę się stąd, chyba że mnie zastrzelisz.



Marcin patrzył na zbliżający się za jej plecami pociąg i myślał goroączkowo. Skąd nagle wzięło się tyle tych cholernych pociągów?

– Ręce na kark! – powtórzył.

– Może przyjdiesz tu do mnie? – powtórzyła, przekrzykując narastający huk lokomotywy i głuchoe odgłosy konstrukcji mostu kolejowego, na który wjeżdżało coraz więcej wagonów. Maszynista trąbił rozpaczliwie i włączył hamowanie.

Zakrzewski się zdecydował. Zrobił dwa kroki w jej kierunku i nagle stało się coś nieoczekiwanego. Poślizgnął się i wpadł nogą w szczelinę między pokładami. Pistolet wypadł mu z dłoni, odbił się od szyny i poleciał w dół do rzeki. Próbował natychmiast wstać, lecz Renata Kurtz w dwóch skokach była przy nim. Rzuciła się na niego i przygniotła całym ciałem do podkładów.

– Razem, Zakrzewski, tylko razem – usłyszał przy uchu jej chrapliwy głos.

Szarpnął się.

Nic z tego. Trzymała go bardzo mocno. Znowu spróbował i znowu nic.

Huk pociągu, pisk hamulców i rozpaczliwe trąbienie były coraz bliżej. Zakrzewski zrozumiał, że zostało mu co najwyżej kilka sekund. Zaraz zginie. Nie ma szans w starciu z nadjeżdżającym stalowym gigantem.

Jeszcze moment.

Zebrał resztki sił i szarpnął się ostatni raz.

# 56 Chaos

31 lipca, piątek wieczorem

Nieoznakowany radiowóz na sygnale mknął Legnicką. Prowadził jeden z funkcjonariuszy wydziału kryminalnego, młodszy aspirant Marek Dębiak. Paulina Czerny siedziała obok.

Ze wszystkich stron słyhać było syreny. Karetki pogotowia, wozy straży pożarnej i policyjne auta. Wszyscy jechali w jedno miejsce i to właśnie mocno zaniepokoiło Paulinę. Kiedy przyhamowali, żeby przepuścić karetkę, zaskrzeczało radio. Dyżurny mówił jakoś inaczej niż zwykle. W jego zwykle bezpamiętnym głosie kipiały emocje.

– On uderzył w Magnolię! Powtarzam, uderzył w Magnolię! Może być wiele ofiar!

– Ja pierdołę! – wykrzyknął Dębiak i przyspieszył. Minęli wiadukt kolejowy i widzieli już Magnolię. Był piątkowy wieczór, kilkanaście minut do zamknięcia. W środku musiało być jeszcze sporo klientów. Polską cechą narodową jest robienie wszystkiego na ostatnią chwilę. Zakupów także.

Ich auto gwałtownie zwolniło. Przed centrum panował armagedon. Setki ludzi w panice biegły przed siebie, byle dalej od budynku. Wyglądali jak szara masa rozpływająca się równomiernie we wszystkie strony. Nawet przez wycie syren słyhać było pełne strachu krzyki oraz piski przerażonych kobiet i dzieci.

Auta na Legnickiej stanęły. Pierwsi uciekający wtargnęli na jezdnię i nie zamierzali się zatrzymywać.

– Co tu się stało, do cholery? – jęknął aspirant Dębiak.

Lawirując między stojącymi autami i biegnącymi ludźmi, wolno przejechał przez skrzyżowanie. Podobnie jak dwa inne radiowozy i straż pożarna.

Nagle rozległ się pisk hamulców, Paulina poleciała bezwładnie do przodu i zawisła na pasach. Auto stanęło w miejscu. Jej kolega zaklął siarczyście. Przed maską ich auta stała młoda kobieta z zakrwawioną twarzą i poranioną ręką zwisającą wzdłuż ciała. W jej oczach malowało się dzikie przerażenie. Wyglądała jak wyjęta z filmów o żywych trupach.

Paulina jednym ruchem otworzyła drzwi.

– Jesteś ranna! – krzyknęła do niej, lecz ona wyminęła ich i uciekła.

– Poczekaj! Potrzebujesz pomocy!

Ranna nie zatrzymała się. Paulina zatrzasnęła drzwi. Dębiak ruszył wolno dalej.

– Kurwa, tak się kończy straszenie w mediach islamskimi terrorystami – powiedział. – Jeden incydent i pół miasta spierdziela w panice, gdzie pieprz rośnie.

Przejechali jeszcze kilkadziesiąt metrów i Paulina zrozumiała, co się stało.

Po śladach na trawniku było widać, że dźwig skręcił z Legnickiej w lewo i uderzył w główne wejście. Wjechał do środka, to się musiało stać kilkadziesiąt sekund wcześniej. Front budynku był kompletnie zniszczony.

Aspirant jeszcze raz zaklął i zatrzymał auto. Paulina wyskoczyła z samochodu i z pistoletem w dłoni pobiegła na miejsce katastrofy. Na pierwszy rzut oka musiało być dużo ofiar i rannych.

Weszła do środka przez dziurę, w którą zamieniło się główne wejście. Z głębi Magnolii ciągle rozbrzmiewały echem krzyki przerażonych ludzi. Jęki rannych dobiegały niemal z każdej strony.

Skala zniszczeń był wielka. Rozpędzony dźwig wbił się w budynek, burząc wszystko po drodze i potrącając ludzi. Zatrzymał się dopiero na ruchomych schodach. Ranni leżeli na posadzce i wołali o pomoc. Kilka osób się nie ruszało. Paulinie rzucił się w oczy starszy mężczyzna leżący w kałuży krwi, z głową odchylną do tyłu pod niemożliwym kątem. Na pewno nie żył.

Na szczęście nie wszyscy uciekli. Niektórzy klienci centrum handlowego schodzili po uszkodzonych ruchomych schodach z górnego poziomu i pomagali rannym. Na miejscu była już jedna ekipa ratowników medycznych.

Paulina krzyknęła na stojącego za nią jak słup soli Dębiaka.

– Ruszamy!

Ubezpieczając się wzajemnie, pobiegli w kierunku dźwigu. Drzwi do kabiny kierowcy były otwarte. Paulina zajrzała do środka. Pusto. Przednia szyba została stłuczona, do środka wpadły jakieś zniszczone elementy, lecz kierowcy nie było.

Paulina sięgnęła do krótkofalówki.

– Mówi komisarz Czerny. Jestem na miejscu zdarzenia. Kierowca uciekł. Powtarzam. Kierowca uciekł!

Przerwała, bo poczuła szarpanie. Za nią stał mały chłopiec i patrzył na nią bez strachu w oczach.

– Pani policjant, pani policjant!

– Słucham? – spojrzała na niego trochę rozkojarzona.

– Ja widziałem tę panią – powiedział chłopiec.

Paulina w sekundę się opanowała. Przykucnęła przed dzieckiem.

– Opowiedz mi.

– To była pani ubrana w wojskowy strój – wyrecytował bardzo pewnie.

– Gdzie pobiegła?

– Tam!

Wskazał ręką galerię handlową.

Paulina połączyła się z dyżurnym.

– Zablokujcie wszystkie wyjścia! – powiedziała. – Ona może tu ciągle być! Ubrana w moro. Ściągnijcie z miasta, kogo się da.

Potem jeszcze raz schyliła się do chłopca.

– Z kim tu jesteś? – zapytała.

– Z tatą.

– Gdzie on jest?

– Tam, pomaga rannym. Kazał mi tu czekać!

Paulina zmierzwiła mu włosy na głowie.

– Jesteś bardzo dzielny! – powiedziała z wielką powagą. – Zostań tu i czekaj na tatę.

– Dobrze, proszę pani.

\*

Przetrząśnięcie całego centrum handlowego Magnolia Park zajęło policji i brygadzie specjalnej prawie dwie godziny. Niczego nie znaleziono. Szef antyterrorystów po zakończeniu poszukiwań podszedł do Pauliny palącej papierosa przed wejściem. Ekipa techników zabezpieczała ślady w szoferce dźwigu. Ciężko ranni zostali już odwiezieni do szpitali, lżej poszkodowani cały czas byli opatrywani przez ekipy karettek pogotowia. Śmigłowiec ratunkowy startował z parkingu z ostatnią ciężko ranną kobietą, o której życie lekarze heroicznie walczyli przez ostatnie kilkadziesiąt minut. Dwóch osób nie udało się uratować. Nastroje wśród policji i służb ratunkowych były bardziej niż ponure. Ruch na Legnickiej w obu stronach był zablokowany. Za barierkami i policyjnymi taśmami gromadził się tłum ciekawskich. Mniej więcej na wprost wejścia ekipy telewizyjne zrobiły sobie centrum nadawcze. Wozy transmisyjne rozłożyły sprzęt. Na miejscu tragedii zjawiał się prezydent Wrocławia wraz z kilkoma członkami rady miejskiej.

Chaos, który panował w tym miejscu przez kilkadziesiąt ostatnich minut, powoli się uspokajał. Paulina nawet nie zauważyła, kiedy zapadł zmrok.

– Masz papierosa?

Paulina w milczeniu rzuciła antyterrorystę paczkę. Zapalił i patrzył ponuro na dziennikarzy rozmawiających z prezydentem oraz szefem policji.

– Ale będzie z tego chryja – mruknął.

– Ostrzegaliśmy wszystkie służby w mieście, że ktoś planuje zamach. – Paulina splunęła pod nogi. – Oni nam niestety nie do końca uwierzyli.

– Skąd wziął się ten cholerny dźwig? Jak czołg niszczył wszystko na swojej drodze.

– Nie mam pojęcia.

Palili w milczeniu, patrząc, jak prezydent wraz z całą świtą rusza w ich kierunku.

– No to ja spadam.

Antyterrorysta oddalił się. Paulina też zgasiła papierosa i odwróciła się tyłem do idących. Przeszli za jej plecami. Myślała w tej chwili o czymś innym.

Komisarz Marcin Zakrzewski zniknął. Jakby rozpułynał się w powietrzu. Wypytała policjantów uczestniczących akcji. Z ich słów wynikało, że powinien być na miejscu zdarzenia pierwszy. Szawczak potwierdzał taką wersję zdarzeń. Tymczasem nikt go nie widział. Dzwoniła do niego kilkakrotnie, ale nie odbierał i nie oddzwonił. Dyżurny z centrali też go nie znalazł. W końcu poprosiła, żeby technicy namierzyli jego telefon. Niestety, to nie było takie proste.

Aspirant Szawczak podszedł do niej szybkim krokiem.

– Znaleźliśmy samochód, którym jechał Marcin – powiedział.

Poczuła, jak mocniej zabiło jej serce.

– Gdzie?

– Stoi rozbity na parkingu przy głównym wejściu. W tym chaosie nie zauważyliśmy go wcześniej. Ale nie ma śladu po Zakrzewskim. Świadczone mówią, że ten samochód przyjechał równo z dźwigiem. Jedna z osób, z którą rozmawiałem, twierdzi, że widziała dwie osoby na nasypie kolejowym. To mógł być każdy...

Paulina przeklęła, sięgnęła po krótkofalówkę i połączyła się z dyżurnym.

– I co, namierzyliście ten telefon? – zapytała szorstko.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Telefon Zakrzewskiego zlokalizowaliśmy w okolicach mostu kolejowego nad Odrą. Koniec ulicy Gnieźnieńskiej.

Paulina milczała zaskoczona.

– Posłuchaj, Paulina. Na moście był wypadek – kontynuował dyżurny. – Jest ofiara śmiertelna. Pociąg kogoś potrącił przy grobli Kozanowskiej. Jest tam Służba Ochrony Kolei, ich służby ratownicze, patrol policji zabezpiecza teren. Czekają na prokuratora. Wiesz, jakie jest teraz zamieszanie.

– Dobra. Dzięki!

Paulina pociągnęła Parola za sobą.

– Jedziemy!

\*

Pojechali ulicą Popowicką w kierunku Długiej. Za wiaduktem kolejowym Paulina złamała przepisy ruchu drogowego i skręciła w lewo. Przejechali przez wysepkę oddzielającą obie jezdnie i skręcili w Gnieźnieńską, która biegła wzdłuż torów kolejowych do samej Odry. Zaparkowali na grobli Kozanowskiej. Kiedy wdrapywali się na nasyp kolejowy, drogę zastąpił im mężczyzna w ciemnym mundurze. Mignął im przed oczami legitymacją i powiedział:

– Tutaj nie można wchodzić!

Pokazali policyjne blachy i nagle już było można.

– Co tu się stało? – zapytała Paulina.

– Ktoś był na moście. – Funkcjonariusz SOK wskazał za siebie.

– Nadjeżdżał właśnie towarowy i go stuknął.

Paulina Czerny poczuła niepokój. Czy tutaj, z dala od głównego nurtu wydarzeń, też zdarzyło się coś tragicznego? Zaciśnęła dłonie w pięści i z trudem zapanowała nad głosem.

– Kto to był?

– Nie wiem. Mam za słabe nerwy, żeby to oglądać. Pewnie samobójca. To się, cholera, często zdarza. Nie wiem, co przychodzi ludziom do głowy. Rzucić się pod pociąg? Głupota.

– Musimy pogadać z maszynistą.

– Jest z drugiej strony.

Drogę zagraadzał im pociąg towarowy stojący na torze w kierunku miasta. Droga hamowania lokomotywy i czterdziestu wypełnionych węglem wagonów musiała być bardzo długa. Przód pociągu zatrzymał się za mostem, ostatni wagon tuż przed nim. Wspięli się na jeden z wagonów i po platformie przeszli na drugą stronę. Tu, w pewnym oddaleniu na poboczu stały dwa samochody Służby Ochrony Kolei, wóz policyjny i jeszcze dwa nieoznakowane auta. Kręciło się przy nich kilka osób.

Podeszli i pokazali policyjne odznaki.

– Komisarz Czerny i aspirant Szawczak z komendy wojewódzkiej – przedstawiła ich Paulina.

– Czekamy na prokuratora – mruknął jeden z sokistów.

– Prokuratorzy chadzają własnymi drogami. – Wzruszyła ramionami.

– Oczywiście.

– Chcielibyśmy zobaczyć ciało – dodała szybko Paulina.

Funkcjonariusz wskazał czarny worek leżący na trawie za jednym z aut.

– Tam leży. Na razie tylko tyle z niej znaleźliśmy.



– Z niej?

– To kobieta.

Paulina powinna była poczuć ulgę, ale nic z tego. Wstrząsnął ją mimowolny dreszcz. Miała cholernie złe przeczucia.

Stanęli nad czarnym workiem leżącym na noszach. Policjantka drżącą dłonią odpaliła papierosa. Parol przykucnął obok worka i delikatnie rozsunął suwak. Na jego policzkach wykwitły wyjątkowo czerwone plamy. W świetle latarni oświetlających linię kolejową zobaczyli zmasakrowaną twarz Renaty Kurtz. Patrzyła na nich jednym otwartym okiem. Z drugiej strony w oczodole ziała czarna dziura i brakowało jednej trzeciej czaski. Z wnętrza wystawały postrzępione fragmenty mózgu. Szawczak głośno przełknął ślinę i zamknął worek. Spojrzał pytająco na Paulinę. Zanim zdążyła coś powiedzieć, zachrząścił żwir za jej plecami.

– Dostała się pod lokomotywę i przemieśliło ją jak w maszynie do mięsa. Kawałki jeszcze leżą na torach – wyjaśnił ten sam sokista, z którym przed chwilą rozmawiali.

– Gdzie jest maszynista? – zapytała Paulina.

– Siedzi z tyłu w samochodzie. Dochodzi do siebie. Jest w szoku.

– Musimy z nim porozmawiać.

– Zaprowadzę was.

Maszynista był mężczyzną po pięćdziesiątce, z wydatną łysiną i nadwagą. Siedział na fotelu pasażera w ostatnim aucie. Trzymał w drżącej dłoni zapalonego papierosa, ale nie palił. Drugą dłonią przecierał spocone czoło. Spojrzał z przestraszeniem na policyjne legitymacje.

Paulina nachyliła się i przedstawiła ich. Parol stanął z boku, opierając się o dach samochodu.

– Proszę się nie niepokoić – odezwała się Paulina. – Chcielibyśmy tylko zadać kilka pytań.

– Oczywiście. – Skinął głową.

Na pierwszy rzut oka było widać, że to prosty, uczciwy i szczerzy człowiek.

– Jak pan ma na imię?

– Wiesław.

– Panie Wieśku, proszę nam powiedzieć, jak to było.

Maszynista teraz dopiero dostrzegł zapalonego papierosa w dłoni. Szybko się zaciągnął i wyrzucił niedopałek na kamienie przy torach.

– Cholera, jeżdżę już prawie trzydzieści lat i nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło – powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić. – Kilka razy potrąciłem leśne zwierzęta, w nocy chodzą jak zahipnotyzowane. Nigdy nie potrąciłem człowieka.

Zrobił pauzę. Policjanci milczeli.

– Przecież to nie samochód. Nie mogę skrócić w bok. Do tego za lokomotywą ciągnę setki ton wagonów z ładunkiem. Co z tego, że cały skład hamuje jednocześnie? I tak droga hamowania wydłuża się na kilkaset metrów. Jak już się wciśnie hamulec, można tylko odmówić zdrowaśkę. Jeśli się zdąży.

– Rozumiem. Tak było w tym przypadku? – zapytał Szawczak.

Maszynista spojrzał na niego do góry.

– Przed mostem trzeba zwolnić. Jechałem z przepisową prędkością. Zobaczyłem ich dopiero, kiedy lokomotywa wjechała na most...

– Ich? – przerwała mu Paulina.

– No tak. Było ich dwóch. Na początku dałem sygnał dźwiękowy. Miałem nadzieję, że zejdą z torów. Wielu takich szurniętych łązi po torach. Nieraz już widziałem ludzi na mostach. Dopiero po chwili zauważyłem, że się biją i nie zwracają uwagi na pociąg.

Paulina zbladła. Drżącymi rękami wyciągnęła papierosa z paczki i zaczęła pstrykać zapalniczką, ale zdrętwiały jej palce i krzesła tylko iskry.

– Jak to: się bili? – zapytał Parol. On też nie wyglądał najlepiej.

– Normalnie. Leżeli na torach centralnie przed pociągiem. Jeden trzymał drugiego. Tak jakby leżał na nim, a tamten nie mógł wstać. Włączyłem hamowanie awaryjne i dawałem sygnały ostrzegawcze. Tak jak mówiłem. Mogłem tylko patrzeć. Jak byłem już bardzo blisko, zamknąłem oczy i usłyszałem huk. To specyficzny odgłos, nie chcielibyście tego nigdy usłyszeć. Ja też już nie chcę więcej. Otworzyłem oczy za mostem. Skład zatrzymał się tak, jak widać.

– Znalaziono jedno ciało – powiedziała Paulina.

Jej słowa zabrzmiały, jakby pocieszała sama siebie.

– Drugi mógł spaść do rzeki. – Maszynista rozwiął jej nikię nadzieje.

– Panie Wieśku, zapytam teraz pana o coś bardzo ważnego – odezwał się Parol. – Zanim pan odpowie, proszę się zastanowić. Czy na pewno potrącił pan dwie osoby? Czy któraś z nich mogła w ostatniej chwili uciec?

– Jak już mówiłem, zamknąłem oczy. – Mężczyzna zamyślił się. – Wszystko jest możliwe.

Paulina nareszcie odpaliła papierosa.

– Gdzie to było?

– Jakieś pięćdziesiąt metrów od końca mostu.

– Dziękujemy!

Gdy szła za Szawczakiem w kierunku mostu, przez jej głowę przelatywały tysiące myśli. Zakrzewski dopadł Renatę Kurtz dopiero na moście kolejowym. Jak mógł dopuścić do tego, że oboje znaleźli się na torach przed nadjeżdżającym pociągiem? Myśli stawały się bardziej urywane i nieskładne. To nie może się skończyć w taki głupi sposób. Nie tu i nie teraz.

Przeszli kilkadziesiąt metrów po podkładach i stanęli przed wielką plamą krwi. Parol odwrócił się do Pauliny.

– Jak to się, kurwa, stało? – zapytał.

Pokręciła tylko głową. Szawczak popatrzył w dół przez przęsła na ciemny nurt Odry pod nimi.

– Trzeba ściągnąć nurków. Chociaż teraz i tak pewnie nic nie znajdą.

Paulina wyciągnęła z kieszeni telefon i jeszcze raz wybrała numer do Zakrzewskiego. Coś zabłysło kilka metrów od nich na jednym z podkładów. Wyświetlacz telefonu. Równocześnie usłyszeli jeden z największych hitów grupy Led Zeppelin.

# 57 Whisky

1 sierpnia, sobotnia noc

Koledzy z nocnego patrolu podwieźli Paulinę Czerny na ulicę Bogusławskiego i zatrzymali się na tyłach gmachu Teatru Polskiego. Wysiadła i podziękowała. Patrzyła jeszcze, jak wóz odjeżdża, i ruszyła w kierunku pubu. Ulica Bogusławskiego biegła wzdłuż nasypu głównej linii kolejowej prowadzącej do położonego niecały kilometr dalej Dworca Głównego. Pod torami kolejowymi usytuowany był ciąg barów, restauracji i małych sklepików. Paulina uwielbiała to miejsce, szczególnie nocą, gdy mogła siedzieć sama na samym z drinkiem i przewalającymi się nad głową kilkudziesięciotonowymi stalowymi potworami. Dzisiaj jednak kolej kojarzyła jej się tylko ze zwłokami Renaty Kurtz w czarnym worku. A właściwie z tą niewielką częścią, która została w jednym kawałku.

Wiktor, barmanka w knajpce Pod Torami, stała na ulicy i paliła papierosa. Pomachała na widok nadchodzącej policjantki. Bar był ulubionym miejscem gliniarzy z ich wydziału, którzy przychodzili tu wyleczyć stresy, dlatego dziewczyna znała ich wszystkich. To ona zadzwoniła do Pauliny kilkanaście minut wcześniej.

– Cześć! – powiedziała Paulina, stając obok niej. – Gdzie on jest?

Barmanka wskazała za siebie i zaciągnęła się papierosem.

– Nie ma już gości – powiedziała. – Normalnie zamknęłabym koło północy, ale on siedzi, nic nie mówi, tylko pije jak smok.

Paulina zajrzała do środka. Komisarz Marcin Zakrzewski siedział w najdalszym kącie przy butelce whisky.

– Dawno przyjechał?

– Godzinę temu. Nic nie mówi, tylko pije. Co się stało?

Paulina machnęła ręką.

– Długo by opowiadać.

– Idź do niego – powiedziała barmanka. – Ja już nikogo dzisiaj nie wpuszczę.

Paulina weszła do środka i usiadła naprzeciw Zakrzewskiego. Wyglądał jeszcze gorzej niż po powrocie z wybrzeża.

– Ty cholerny sukinsynu! – powiedziała na przywitanie. – Myślałam, że zginąłeś na tym pierdolonym moście!

Wzruszył ramionami i pociągnął łyk ze szklanki.

– Ja też cię lubię, Paulino.

Przyjrzała mu się jeszcze raz z uwagą. Trochę plątał mu się język, ale spojrzenie miał przytomne. Uspokoila nerwy.

– Co tam się wydarzyło?

Machnął ręką, jakby pytała o to, czy bardziej lubi Johnny’ego Walkera czy Ballantine’s.

– Chciałem ją zatrzymać. Noga wpadła mi w jakąś szczelinę i utknąłem. Wtedy rzuciła się na mnie i przytrzymała. Chciała, żebym zginął razem z nią. Sam nie wiem, jakim cudem udało mi się uwolnić. Mało brakowało i leżałbym tam razem z nią. Może mielibyście problem, żeby nas rozróżnić.

Chciał się uśmiechnąć, lecz przez jego twarz przeleciał tylko dziwny grymas. Nagle nad ich głowami zadudnił pociąg. Zadzwonily szkła za barem. Paulina wcisnęła głowę w ramiona, Marcin pochylił się nad stolikiem i zatkał sobie uszy dłońmi. Paulina pomyślała, że pewnie teraz znowu jest tam, na moście, widzi światła zbliżającego się nieubłaganie stalowego kolosa, słyszy ostrzegawczy sygnał i przeraźliwy pisk hamulców.

Wyciągnęła paczkę papierosów. Nie zważając na zakaz palenia w lokalu, odpaliła dwa i podała mu jednego. Przyjął

papierosa z wdzięcznością. Zaciągali się dymem, aż pociąg nad ich głowami odjechał na tyle daleko, że przestali go słyszeć. Chwilowa ulga, bo za chwilę pewnie przyjedzie następny, a potem kolejne. Dziwne miejsce na odreagowanie stresu po bliskim spotkaniu z lokomotywą pociągu towarowego.

– Zachowałeś się jak kretyń – rzuciła Paulina.

– Nie mogłem tam zostać, a telefon zgubiłem. – Pokręcił głową. – Napijesz się ze mną?

Nie czekając na odpowiedź, wstał i lekko się zataczając, podszedł do baru. Wrócił z czystą szklaneczką i nalał jej prawie do pełna. Stuknęli się i wypili. Paulina poczuła pieczenie w przełyku i żołądku, które zaraz zmieniło się jednak w przyjemne ciepło. Naprawdę pomogło.

Wyciągnęła z kieszeni jego telefon i przesunęła po blacie.

– Znalazłam na torach.

– Myślałem, że spadł do Odry. – Rzucił okiem na wyświetlacz.

– Dzwoniłaś do mnie osiem razy?

– Tak wyszło. Nie pij więcej. Zadzwoń po taksówkę i odwiozę cię do domu.

– Do ciebie?

– Nie. – Zdecydowanie pokręciła głową.

– No to sobie jeszcze chwilę posiedzę. Nigdzie mi się nie spieszy.

– Wiktoria chce zamknąć lokal i iść do domu.

Zakrzewski spojrział na wiszący obok wejścia dworcowy zegar.

– Powiedziała, że mogę tu siedzieć do pierwszej. Jeszcze prawie dwadzieścia minut.

Nalał im kolejną porcję alkoholu. Odezwał się dzwonek telefonu Pauliny. Spojrzała na wyświetlacz. Grabski. Odebrała.

– Tak, znalazłam go. Siedzi Pod Torami i pije. Potem ci opowiem.

Rozłączyła się i położyła aparat na biurku. Papierosy zgasili w szklance z niedopitym piwem, zgarniętej z sąsiedniego stolika. Marcin pokazał gestem, żeby odpaliła jeszcze jednego. Kiedy już się dobrze zaciągnął, spojrzał na nią uważnie i powiedział:

– Kuzynki Kurtz były tylko asystentkami. Tymi pięknymi, skąpo ubranymi paniami w pawich piórach z błyszczącymi srebrnymi cekinami na biustonoszach. Wykonywały sztuczki, lecz żadna z nich nie była mistrzem ceremonii.

Paulina zajrzała mu w oczy, oceniając, jak bardzo jest już pijany. Spojrzenie nadal miał przytomne.

– Co ty bredzisz?

– Pamiętasz, jak na spotkaniu z szefem porównywałem tę sprawę do iluzji? Właśnie o tym mówię. Gdzie jest iluzja, musi być iluzjonista. Renata i Katarzyna sprawnie odgrywały swoje role. Jednak były tylko realizatorkami planu wielkiego iluzjonisty. To on wszystko wymyślił, to on wszystko ze szczegółami zaplanował, to on cały czas czuwał nad prawidłową realizacją całego przedsięwzięcia. Na koniec asystentki miały zginąć, jako jedyne osoby, które wiedziały, kim jest iluzjonista. Też miałem zginąć, ponieważ według niego stanowiłem największe zagrożenie. Gdyby mu się powiodło, nikt by nie odgadł, kim jest.

Paulina bardzo dobrze знаła Zakrzewskiego. Nie rzucał słów na wiatr.

– Masz jakieś dowody? – zapytała.

Zakrzewski wpatrywał się w końcówkę papierosa. Strzepnął popiół do szklanki, zanim spadł na stolik. Zaciągnął się i zaraz się skrzywił. Był już w takim stanie upojenia, że nie mógł palić.

– Niestety tylko poszlaki – odpowiedział. – Płyta z grobowca Kurtzów na cmentarzu w Łebie jest cholernie ciężka. Odsuwaliśmy ją z trudem w trzech facetów. Jak mogły tego dokonać dwie słabe kobiety?



Paulina wybałuszyła na niego oczy.

– Zaglądaliście do grobowca Kurtzów?! Zakrzewski, jak to wyjdzie, będziesz miał przejebane w prokuraturze!

Marcin machnął ręką lekceważąco.

– Może nie wyjdzie – mruknął. – Zresztą i tak chcę zmienić pracę.

– Nie cię szlag trafi!

– Paulina, skup się! Sąsiad Borowskiego z domku nad jeziorem zeznał, że tego dnia, gdy Borowski nie wrócił z wędkowania, widział kręcącego się po okolicy mężczyznę. Podejrzewając kuzynki Kurtz, uznaliśmy, że to był przypadek. A jeśli nie był?

– Trochę słabe te poszlaki.

– Wiesz, co powiedziała Renata Kurtz chwilę przed tym, jak zastrzeliła Katarzynę? Była zła, że kuzynka mnie wcześniej nie zabiła, a miała do tego co najmniej dwie okazje. Powiedziała: „Nie byliśmy z tego zadowoleni”. Tak sobie myślę, jacy my? Jeśli miała na myśli siebie i kuzynkę, czyli osoby płci żeńskiej powiedziałyby: „Nie byłyśmy zadowolone”. Tylko z drugiej strony, po co miała mówić w imieniu ich obu? Powinna powiedzieć: „Nie byłam zadowolona”. Tymczasem powiedziała właśnie tak, pamiętam to bardzo dokładnie. „Nie byliśmy zadowoleni”. Czyli ona i jeszcze ktoś. Kto?

Paulina wypła swoją whisky. Zakrzewski tylko powąchał szklankę i stwierdził, że ma już dość.

– Marcin, to ciągle mało. Jeśli nawet iluzjonista istnieje, nie zostawił po sobie żadnych śladów. Wszystko załatwił rękami Renaty i Katarzyny. Nawet jeśli wymyślił cały ten misterny plan i sterował jego wykonaniem, nigdy mu nic nie udowodnimy. Świadkowie nie żyją. Zapomnij o nim.

Marcin podniósł wskazujący palec prawej ręki i pomachał nim na boki. Pociąg znowu przetoczył się nad ich głowami. Tym razem żadne nie zareagowało.

- Zasadniczo się mylisz – powiedział.
- Dlaczego?
- Bo ja chyba wiem, kto jest iluzjonistą.

# 58 Iluzjonista

8 sierpnia, sobota przed południem

– Tu Jedyńka. Nasz obiekt się zbliża. – Głos wywiadowcy w słuchawce wciśniętej do ucha wyrwał komisarza Zakrzewskiego z chwilowego zamyślenia.

Nachylił się do mikrofonu ukrytego pod koszulką, który kilka minut wcześniej zamontował mu technik policyjny.

– J-jasne – odpowiedział machinalnie.

– Nic nie robimy – dodała siedząca obok komisarz Paulina Czerna. – Dyskretna obserwacja.

– Rozumiem. Odpuszczam. Zaraz przejmie go Dwójka.

– Tu Dwójka – odezwał się inny głos. – Mam go już w zasięgu wzroku.

– Czy może mieć przy sobie broń?

– Jest w koszuli wypuszczonej na spodnie. Trudno jednoznacznie ocenić.

– Daj znać, jak coś zauważysz.

– Przyjąłem.

Marcin spojrział na zegarek w telefonie komórkowym. Dochodził kwadrans po dziesiątej rano.

– Punktualny jest, cholera – mruknął.

– Ma to swoje zalety.

Rzeczywiście. Ściśle przestrzegany przez Iluzjonistę rozkład poranka ułatwił policji zaplanowanie akcji. Wychodził z domu zawsze około godziny dziesiątej, ponieważ o tej porze otwierana była pizzeria DeLuna, położona kilka ulic dalej.

Zawsze szedł pieszo, tą samą drogą. W pizzerii jadł sałatkę, potem zamawiał kawę i ciastko. Spędzał tam kilkadziesiąt minut, po czym wracał do domu.

Iluzjonista – taka ksywa przyłgnęła do niego zupełnie naturalnie. Nikt z policjantów uczestniczących w akcji nie mówił o nim inaczej.

Gdy tylko Iluzjonista wyszedł z domu, na jego podwórko wkroczył aspirant Szawczak z dwoma innymi policjantami. Mieli za zadanie dokładnie zbadać teren i ocenić, czy uda się niepostrzeżenie wejść do budynku.

– Tu Parol – usłyszeli w słuchawce jego głos. – Niestety, wychodząc, włączył alarm. Nie dostaniemy się do środka.

– A garaż? – rzucił Zakrzewski.

– Być może udałoby się coś pokombinować, ale obawiam się, że tam też może być czujka.

– W takim razie rozejrzyjcie się i nie róbcie nic głupiego.

– Ta uwaga była zbędna – burknął Parol.

Kierujący operacją Marcin i Paulina siedzieli w nieoznakowanym radiowozie zaparkowanym na ulicy równoległej do tej, przy której znajdowała się pizzeria. Iluzjonista mógł poznać Marcina, a tego woleli na razie uniknąć. Dwa busy z członkami grupy antyterrorystycznej były zaparkowane tak, żeby mogli od razu wkroczyć do akcji. W jednej z bocznych uliczek stał jeszcze samochód techników, którzy koordynowali łączność i nagrywali każde słowo wypowiedane do mikrofonu.

– Tu Dwójka. Iluzjonista opuszcza mój rewir.

W słuchawce odezwał się kolejny głos.

– Tu numer Trzy. Już go widzę, teraz jest mój. Wszystko w idealnym porządku.

Marcin był zadziwiająco spokojny. Jakby nie znajdował się w centrum całej operacji, tylko stał z boku i był biernym obserwatorem, który wie, jak to wszystko się skończy. Przez

ostatnie trzy dni razem z policyjnym profilerem Krzysztofem Pawlickim oraz z innym stale współpracującym z policją psychologiem rozpracowywał profil psychologiczny Iluzjonisty. Na razie nie mieli przeciw niemu żadnych twardych dowodów. Uznali, że jedynym sposobem będzie wyciągnięcie od niego przyznania się do winy. Obaj psychologowie zgodnie orzekli, że jest to możliwe, trzeba tylko odpowiednio pokierować rozmową. Planu rozmowy Zakrzewski uczył się prawie całą noc. Musiał skłonić Iluzjonistę do zwierzeń podczas kilkunastu minut niby przypadkowego spotkania. Nie mógł tego spieprzyć, drugiej szansy nie mieli. Ekipa kilkunastu policjantów wokoło pizzerii czekała tylko na sygnał, żeby natychmiast wkroczyć do akcji. Wszystko musiało zakończyć się tu i teraz.

Paulina była bardzo zdenerwowana. Znał ją. Chociaż ukrywała niepokój, widział go w jej oczach, w nerwowych ruchach, w krótkich komendach rzucanych do mikrofonu.

– Daj mi papierosa – powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Zdążymy?

– Nie gadaj tyle, tylko odpal.

Otworzył drzwi od strony pasażera, wysiadł z auta i przeciągnął się. Paulina podeszła do niego i podała mu zapalonego papierosa. W milczeniu zaciągali się dymem. Spojrzeli sobie w oczy i od razu zrozumiała, że jego nie oszuka.

– Mam złe przeczucia – mruknęła.

– Wszystko będzie dobrze. – Delikatnie uściśnął jej dłoń.

Zatrzymała ją w swojej.

– Znasz takie powiedzenie: do trzech razy sztuka? Ostatnio dwa razy omal nie zginąłeś. Nie wolno tak kusić losu.

– Tym razem będzie inaczej. Wszystko mamy opracowane.

– A jeśli gdzieś daliśmy dupy?

– Paulina, poradzę sobie. Jak zawsze.

Zadzwoił jej telefon. Puściła jego dłoń i odebrała. Głos Andrzeja Szmidta był tak samo beznamiętny i powolny jak zawsze. Szybkość, z jaką przekazywał jej bardzo istotne informacje, doprowadzała ją do szału. Szczególnie teraz.

– Sprawdziliśmy wszystko i nie mam zbyt wielu dobrych wiadomości – mówił komisarz Szmidt.

– Możesz się streszczać?

– Nic nie znaleźliśmy.

– To znaczy?

– Żona i dziecko Iluzjonisty zniknęły.

Paulina ostatni raz zaciągnęła się papierosem i rzuciła go na bruk, wprost pod nogi przechodzącego starszego małżeństwa, które popatrzyło na nią z oburzeniem. Miała to gdzieś.

– Co to znaczy, że zniknęły? – zniecierpliwiła się.

– Od kilku dni nikt ich nie widział. Kobieta zadzwoniła parę dni temu do pracy i powiedziała, że ma chore dziecko. Potem kontakt z nią się urwał. Nie odbiera telefonu. Sprawdzaliśmy wszystkie przychodnie w okolicy. Nie była z dzieckiem u lekarza. Rodzina i znajomi też nic nie wiedzą.

– OK. Szukajcie dalej.

Paulina otwierała usta, żeby powiedzieć o tym Marcinowi, gdy odezwał się głos w słuchawce:

– Tu Trzeci. Obiekt zbliża się do lokalu.

– Dobrze. Pilnujcie, żeby teraz nikt nie wszedł do środka – powiedziała szybko.

– Zgodnie z planem.

– Niech Iwona nie spieszy się z tą sałatką dla niego – dodał Marcin.

Paulina zakryła mikrofon.

– Bądź ostrożny – powiedziała ostatni raz. – Jak coś ci się stanie, to chyba cię zabiję.

Uśmiechnął się szeroko. Wyciągnął słuchawkę z ucha i włożył jej do ręki. Od teraz nie było z nim kontaktu. Mogli

tylko słuchać i nagrywać dźwięki przekazywane przez mikrofon ukryty pod koszulką.

Odpowiedział tak, jak miał w zwyczaju:

– Ja też cię bardzo lubię.

Odwrócił się i ruszył przed siebie wolnym krokiem.

\*

Parol spojrział na zegarek. Dwadzieścia dwie minuty po dziesiątej. Zakrzewski pewnie wszedł już do pizzerii i rozmawia z Iluzjonistą. Wolałby być teraz z nim, tutaj nie miał co robić. Widzieli wyraźnie, że Iluzjonista, wychodząc z domu, włączył alarm. Zadzwonili do firmy monitorującej i uzyskali potwierdzenie, że nadszedł sygnał o uzbrojeniu systemu alarmowego w domu. Na tym ich działanie się skończyło. Nie mogli ryzykować, zanim Zakrzewski nie wydusi przyznania się do winy.

– Chyba nic tu po nas – powiedział jeden z towarzyszących mu policjantów i wraz z kolegą wrócił do samochodu zaparkowanego kilkanaście metrów dalej, w rzędzie innych aut.

Parol został jeszcze na chwilę przed domem. Co w takiej sytuacji zrobiłby Zakrzewski? Na pewno nie odpuściłby tak łatwo. Ruszył wolno wzdłuż ściany. Próbował zaglądać w każde mijane okno. Na rogu na tyłach budynku zatrzymał się i rozejrzał. Ładnie przystrzyżony, chociaż trochę wyschnięty trawnik, huśtawka, trampolina, domek dla lalek. Dalej rabatka z kwiatami i mały budynek, w którym pewnie przechowywane były narzędzia ogrodnicze. Nic nie rzuciło mu się w oczy. Przypomniał sobie, jak niedawno w Glinicy w taki sam sposób obchodził dookoła mały żółty domek. Doskonale pamiętał też, co znalazł w środku.

Nagle zatrzymał się i zdusił w ustach przekleństwo. Kopnął blaszane wiadro do połowy wypełnione wodą. Potoczyło się

z brzękiem, a część wody wylała mu się na spodnie. Poczuł, jak przesącza się przez wierzchnią warstwę buta. Nachylił się i krytycznie ocenił mokrą plamę na nogawce. Miał pójść dalej, lecz zawahał się. Co to było? Jakiś dziwny odgłos? Nasłuchiwał dłuższą chwilę, wreszcie wzruszył ramionami. Wydawało mu się. Musi opanować nerwy.

\*

Zakrzewski wszedł do środka i się rozejrzał. Zajęty był tylko jeden stolik w kącie po lewej stronie. Siedział przy nim Iluzjonista i przeglądał kartę dań. Wyglądał dużo gorzej, niż kiedy widzieli się ostatnim razem. Był blady, miał wyraźnie zaznaczone worki pod oczami, oczy świeciły mu nienaturalnym blaskiem. Nawet zarost na policzkach był niepielegnowany od dobrych kilku dni. Iluzjonista spojrział przelotnie na Marcina i poznał go dopiero po dłuższej chwili. Wstał z krzesła i na jego ustach pojawił się uśmiech. Wyglądał na szczery.

– Zakrzewski! – wykrzyknął, wyciągając w jego kierunku rękę. – Co za spotkanie!

Uścisnęli sobie dłonie. Marcin usiadł naprzeciw niego.

– Prawdę mówiąc, szukałem cię – powiedział.

– A co cię sprowadza do tej dziury? A, no tak! Śledztwo, rozumiem. Zjesz coś ze mną? Mają tu świetną sałatkę grecką i bardzo dobrą kawę.

– Zadowolę się dużą kawą.

Iluzjonista skinął na dziewczynę za barem. Podeszła do nich ładna brunetka o miłym uśmiechu. Do fartucha przypiętą miała plaketkę z napisem: „Iwona. Proszę o wyrozumiałość – ucze się!”.

– Co dla pana? – zapytała.

– Dużą kawę poproszę – odpowiedział Marcin.

– A co z moją sałatką?



– Już podaję.

Iluzjonista patrzył w ślad za nią, wyraźnie podziwiając jej kształty.

– Fajna laska – rzucił do Zakrzewskiego z szelmowskim uśmiechem. – Pracuje tu od dwóch dni, ale radzi sobie.

Po chwili dostał sałatkę i ochoczo zabrał się do jedzenia. Zaraz potem przed Marcinem stanął duży kubek kawy. Z przyjemnością pociągnął łyk. Miłe ciepło popłynęło do żołądka. Przypomniawszy sobie, że dawno już nic nie jadł.

– Czytałeś, co kuzynki Kurtz zrobiły w Krakowie i Wrocławiu? – zapytał Marcin.

Po twarzy Iluzjonisty przemknął bolesny grymas.

– Renata zawsze miała na Kaśkę zły wpływ – powiedział. – Ale nigdy bym nie przypuszczał, że aż taki.

Zakrzewski spojrzał na niego spod oka.

– I co, warto było? Masz na karku prokuratora i raczej się nie wywiniesz.

– Ślepa miłość prowokuje do błędów. Jak będzie trzeba, poniosę konsekwencje. Nie boję się tego.

Powiedział to tak lekko, jakby opowiadał o zeszłorocznych wakacjach.

– Nie żałujesz?

Widelec zabrzączał nerwowo o półmisek. Aspirant Jacek Woźniak stracił nagle panowanie nad sobą i spojrzał na Zakrzewskiego ze złością.

– Czego ty ode mnie chcesz, Zakrzewski? Złożyłem już zeznania! – powiedział nieco podniesionym głosem.

\*

Paulina Czerny siedziała w furgonetce. Przysłuchiwała się rozmowie wraz z dwoma technikami i oglądała przekaz z czterech kamer zamontowanych w lokalu.

- Co on robi? Nie tak miał zacząć – jęknęła.
- Poczekaj, może się jeszcze rozkręci – odezwał się jeden z techników, spoglądając na nią z ukosa.
- Mogłam się domyślić, że zrobi wszystko po swojemu.
- Byle skutecznie – dorzucił drugi.

\*

Marcin pociągnął duży łyk kawy.

- Ale dlaczego uważasz, że czegoś od ciebie oczekuję? – Wzruszył ramionami. – Byłem w pobliżu, wpadłem, żeby zobaczyć, jak się czujesz. Jak twoje plecy?

Woźniak wrócił do jedzenia sałatki.

- Jeszcze trochę czuję ból.

Przy stoliku zapadło milczenie. Pierwszy odezwał się Iluzjonista.

- Tylko nie mów, że gdybym jej wtedy nie puścił, nie zginęliby niewinni ludzie – mruknął. – Uważam, że mogłoby być jeszcze gorzej. Renata Kurtz była nieobliczalna.

- Skąd takie przekonanie? – Marcin spojrzał mu w oczy.

- No... Kaśka mi mówiła. Bała się jej. – Woźniak wyraźnie się zawahał. Zakrzewski udał, że niczego nie zauważył. Spokojnie pił kawę.

\*

Na twarzy pierwszego z techników pojawił się uśmiech.

- Nie jest źle – skomentował. – Już się posypał.
- Żebyśmy tylko nie mieli z tego kłopotów – powiedziała Paulina jakby do siebie.
- Co się może zdarzyć? – wzruszył ramionami drugi. – Teren mamy zabezpieczony.

Paulina nic nie powiedziała. Ciągle miała wrażenie, że mogli nie przewidzieć wielu rzeczy.

\*

Marcin posłał mu uśmiech.

– Wiesz, zaimponowałeś mi wtedy. Nie każdy domyśliłby się, że wrócimy tamtego wieczoru. No i trzeba było mieć jaja z kamienia, żeby się do nas przyłączyć.

Iluzjonista grzebał widelcem w niedojedzonej sałatce, jakby nagle stracił cały apetyt.

– I jeszcze ta kamizelka kuloodporna. Ani ja, ani Parol o tym nie pomyśleliśmy. Wiesz, co myślę? Żeby być dobrym gliniarzem, trzeba mieć cholernie dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy. Nie wolno się dać głupio zabić.

Znowu zrobił pauzę na kawę.

– Powiem ci, Woźniak, że jesteśmy bardzo do siebie podobni. Dlatego chciałem się z tobą jeszcze raz spotkać. Obaj lubimy manipulować ludźmi, prawda? Manipulować ludźmi trzeba umieć. To jest sztuka. Ostatnio przesłuchiwaaliśmy na komendzie gościa podejrzanego o zabicie żony. Między nami mówiąc, zdradzała go i na dodatek stosowała wobec niego przemoc psychiczną i fizyczną. Zrobił to tak sprytnie, że nie znaleziono ciała i śledztwo opierało się na poszlakach. Chcieliśmy, żeby przyznał się do winy. Zbliżał się koniec nakazu aresztowania na trzy miesiące. Nie było dowodów, więc sąd mógłby go nie przedłużyć. Facet był twardy. I wiesz co? Wymyśliłem na niego bardzo prosty sposób.

Woźniak patrzył na niego zainteresowany. Na jego twarzy błąkał się półuśmieszek.

– Być może się domyślam, ale mów – powiedział.

– Przesłuchanie trwało już kilka godzin. Poszedłem do niego, zanieśliśmy mu kawę, zaczęliśmy rozmawiać o piłce nożnej,

o kobietach, trochę o polityce. Podsunąłem mu chusteczkę do nosa, zapytałem, czy był dobrze traktowany. I kiedy wreszcie myślał, że zacznę po raz dziesiąty zadawać takie same pytania, zacząłem mu współczuć.

– Zły i dobry policjant? Standard.

– Nie, zły policjant i jeszcze gorszy. Powiedziałbym nawet: kawał skurwysyna. Potem powiedziałem, że doskonale rozumiem, dlaczego zabił żonę. Co więcej, większość żonatych policjantów w komendzie w duchu go popiera. Oczywiście nikt tego oficjalnie nie powie, ale każdy ma złą lub bardzo złą żonę. Zdradziłem mu w tajemnicy, że nawet prokurator prowadzący śledztwo ma żonę zołzę i pewnie pozbyłby się jej, gdyby tylko mógł. Po tej rozmowie zakończyłem przesłuchanie. Gość miał całą noc na przemyślenia. I powiem ci, że pewnie inaczej mu się spało. Lżej. Następnego dnia znowu maraton przesłuchań i na koniec ja, pełen współczucia i mówiący szczerze, że go rozumiem. Tylko tym razem nie byliśmy sami. Dwaj przesłuchujący go koledzy też zaczęli pokazywać ludzką twarz. Opowiadaliśmy, jakie to żony potrafią być straszne, przytaczaliśmy przykłady. Po wielu godzinach przesłuchań facet był zmęczony psychicznie i zmanipulowany. Uwierzył, że większość policjantów mu kibicuje. Kiedy zaczęliśmy z kolegami mówić, jak najlepiej zabić żonę i ukryć ciało tak, żeby policja go nie znalazła, on uwierzył w nasze słowa na tyle, by się pochwalić, gdzie ukrył ciało. Utopił je w gnojówce na podwórzu. Ani pies, ani żadne wykrywacze metanu nie byłyby w stanie go znaleźć. I co, nie zachowałem się jak kawał skurwysyna?

Woźniak odsunął sałatkę i spojrzał Zakrzewskiemu w oczy.

– I jak się wtedy czuleś? – zapytał.

– Zajebiście. Znasz to uczucie, prawda?

– Być może. – Iluzjonista nagle jakby się wycofał.

\*

– Kurwa, co on robi? – Paulina Czerny wściekła wpatrywała się w ekrany.

– Naprawdę ma taką żonę heterę? – zapytał pierwszy technik.

– Powaliło cię? – warknęła. – On nie ma żony.

Zadzwoił telefon Pauliny. Odebrała. Zawadzki, jej dawny znajomy jeszcze ze szkoły policyjnej, obecnie pracujący w komendzie wojewódzkiej w Gdańsku, mówił rzeczowo i pewnie:

– Paulina, słuchaj. Nie możemy namierzyć jego żony. Sprawdziliśmy wszystkich znajomych i rodzinę, krajowe lotniska, szpitale. Nic. Okrągłe zero. Kobieta zniknęła.

– Dobra, dzięki!

Paulina już wybierała numer do Szawczaka. Zgłosił się po kilku sygnałach.

– Parol, nie możemy znaleźć jego żony.

– Cholera, co mam robić?

– Nie wiem. Wymyśl coś.

– Jeśli nikt jej nie widział, może przetrzymuje ją w domu.

– Widzisz, już coś wymyśliłeś.

Paulina rozłączyła się i wróciła do nasłuchu i obserwacji obrazów na czterech ekranach.

\*

Zakrzewski skończył kawę i odstawił kubek z wyraźnym żalem.

– Nie chcesz znać szczegółów rodzinnej vendetty? – zapytał.

– Nie interesuje mnie to.

– Na pewno? Nie interesuje cię, co zrobiła kobieta, którą kochałeś od dzieciństwa? Której pomogłeś uciec na pomoście i która omal cię nie zastrzeliła w piwnicy?

– Naprawdę jesteś skurwysynem, Zakrzewski. Przyszedłeś mnie gnębić?

– Bynajmniej. – Marcin pokręcił głową, starając się złapać jego spojrzenie. – Ja bym chciał wiedzieć.

– Nie chcę. – Woźniak zacisnął dłonie w pięści, aż pobieleły mu kostki.

– Powiem ci. – Zakrzewski wreszcie spojrzał mu w oczy. – To był chaos. Działanie chorych psychicznie kobiet, bez żadnej logiki i planu. Miały szczęście, że nie wpadliśmy na ich trop dużo wcześniej. Po prostu w początkowej fazie śledztwa przeoczyliśmy dane z bazy policyjnej. Do tego przez przypadek mieliśmy wytypowanego nie tego podejrzanego. Gdyby nie ten zbieg niekorzystnych okoliczności, moglibyśmy złapać je wcześniej.

Iluzjonista zrobił się nagle blady.

– Nie mogło być aż tak źle – powiedział zeszywniałymi wargami.

– Źle?! – Marcin podniósł nagle głos. – Co ty, kurwa, wiesz? Dwie psychicznie chore baby wzięły się do mordowania. Bez ładu, bez składy, bez sensu! Próbowaliśmy złapać jakiś schemat, rozgryźć pokręconą logikę sprawcy, przewidzieć jego dalsze postępowanie. I nam się nie udało. Wiesz dlaczego? Bo nie było żadnego planu!

Woźniak nieoczekiwanie uderzył otwartą dłońią w blat stolika. Oczy nabiegły mu krwią, poczerwieniał na twarzy z wściekłości.

– Kurwa, był plan! – warknął przez zaciśnięte zęby. – Był w tym wszystkim genialny plan, tylko wy jesteście tak ślepi i ograniczeni, że go nie dostrzeżliście!

– Wściekasz się, bo to był twój plan?!

– Tak, plan był mój!

Zakrzewski nieoczekiwanie skoczył do przodu, chwycił Woźniaka ręką za koszulę pod szyją i pociągnął do siebie.

– Ty za tym wszystkim stałeś! Tak?!

Iluzjonista szarpnął się, lecz Marcin trzymał go mocno. Potracony półmisek z sałatką z brzękiem spadł ze stolika i potoczył się po podłodze.

– Tak, ja to wszystko wymyśliłem! – wycedził Woźniak.

– Ty manipulowałeś kuzynkami Kurtz! Ty wymyśliłeś, jak się zemścić po latach, i pchnąłeś je do czynów. Ty byłeś inspiratorem i nad wszystkim czuwałeś!

– Tak! Ja!

– A teraz wkurwiasz się, że nie dostrzegliśmy twojego geniuszu. Czujesz się zawiedziony, prawda?

Woźniak nareszcie zdołał się wyszarpnąć. Teraz on próbował złapać Marcina, ale ten sprytnie się wywinął. W pomieszczeniu zapanowała cisza. Patrzyli na siebie wrogo, dysząc ciężko jak po zapaśniczej walce.

– Tak. – Iluzjonista pokiwał głową. – Jestem zawiedziony, że policja, w której tyle lat pracuję, nie potrafi dostrzec błysku geniuszu. Tak, ja to wszystko wymyśliłem i przeprowadziłem. Ale nic na mnie nie macie. Nie ma śladów, dowodów, świadków. Genialny plan. Sorry, Zakrzewski, możesz mnie co najwyżej w dupę pocałować.

\*

W furgonetce techników wyraźnie słychać było dwa westchnienia ulgi. Tylko Paulina siedziała z tyłu i wcale nie była jeszcze usatysfakcjonowana.

– Zdejmujemy go? – zapytał drugi technik, zerkając do tyłu.

– Jeszcze nie. – Wstrzymała go ruchem ręki. – To za mało, żeby go skazać. Jak będzie miał dobrego papugę, nic mu nie zrobimy. Musimy mieć coś więcej.

Na ekranach widać było dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku. Każdy monitor pokazywał ich pod innym kątem.

Paulina połączyła się z dowódcą antyterrorystów.

– Przygotujcie się. Czekać na mój sygnał.

– Wszystko jasne.

\*

Na ustach Zakrzewskiego pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Skoro policja nie potrafi docenić w pełni twojego geniuszu, pozwolisz, że opowiem ci pewną historię. Może wtedy zmienisz zdanie o policji, w której tyle lat pracowałeś i niczego się nie nauczyłeś.

– Zamieniam się w słuch, Zakrzewski. – Iluzjonista też się trochę wyluzował.

Odchylił się na krześle, spojrzawszy na naczynie na podłodze i rozsypane resztki sałatki. Potem popatrzył zdziwiony w kierunku baru, gdzie nikogo nie było.

– Jako małe dziecko widziałeś zamordowanych Michała i Stanisława Kurtzów. Ten widok tak cię zafascynował, że z zapartym tchem czytałeś wszystkie wiadomości w prasie dotyczące tego śledztwa. Kto wie, może nawet zrobiłeś sobie zeszyt i wklejałeś wycięte z prasy notki. Byłeś strasznie rozczarowany, kiedy nie wykryto sprawców. Na tyle rozczarowany, że wstąpiłeś do policji, żeby wyjaśnić tę zagadkę. Niestety, sprawa zabójstwa braci Kurtz trafiła na wiele lat do archiwum i nikt się nimi nie interesował. Byłeś zawiedziony, prawda?

Woźniak tylko na niego patrzył. Miał dziwny wyraz twarzy. Coś jakby zamyślenie, nostalgia, pomieszane ze zdziwieniem. Nie spodziewał się, że Zakrzewski aż tyle się domyślił.

– Nic nie mówisz? No to ja powiem, co było dalej. Twoja obsesja rosła. Myślałeś, że potrafisz sobie z nią poradzić. Tylko że to okazało się zbyt trudne. Nie mogłeś przestać myśleć o zabójstwie Kurtzów. Pewnego dnia przyszło olśnienie. Skoro



policja nie wznawia śledztwa, może trzeba działać samemu? Pamiętasz ten dzień? Czułeś się wtedy jak młody bóg, prawda? Wszystko było możliwe. Popatrz na mnie i powiedz. Pamiętasz?

Woźniak spojrzał mu w oczy.

– Pamiętam – przyznał.

– To wtedy zaczął ci się krystalizować w głowie genialny plan – ciągnął Marcin. – To nieprawda, że kochałeś Katarzynę Kurtz. Ty przez całe życie nie kochałeś nikogo prócz siebie. Tak naprawdę Renata Kurtz była w tobie od dzieciństwa zakochana. Z miłości do ciebie mogła nawet zabić. Powiedziała mi to kiedyś. Niedawno przypomniały mi się jej słowa. Nie powiedziała tego wprost, ale tak myślała. Skontaktowałeś się z Renatą i wspólnie wymyśliście, jak ukraść jej ojczymowi pieniądze, które pozwolą na realizację planu. I od razu umieściliście Katarzynę w ośrodku w Łęczycach. Alibi i schronienie dla Renaty, prawda? Genialne. Podziwiam cię za ten pomysł. Tylko ktoś bardzo inteligentny mógł na to wpaść.

– Jako nastolatek dorabiałem na wakacjach przy remoncie tego ośrodka – odezwał się Woźniak. – Stąd wiedziałem, że jest wyjście przez strych.

– Potem dowiedziałeś się, że trwa digitalizacja archiwum. Postanowiłeś ukraść akta. Oczywiście posłużyłeś się Renatą, która dla ciebie zrobiłaby wszystko. Perfekcyjnie manipulujesz ludźmi. Powiem ci, że wynajęcie Borowskiego było kolejnym świetnym posunięciem. Tylko coś poszło nie tak, prawda?

– Zbyt wiele zaczął się domyślać.

Zakrzewski pokiwał głową z udawanym zrozumieniem.

– Trzeba było się go pozbyć – rzucił. – Kto to zrobił? Ty czy Renata Kurtz?

Iluzjonista milczał.

– Nie, przecież nie ty. Wysłałeś tam Renatę. Może nawet pojechaliście razem, lecz ty się nie parasz mokrą robotą. Zawsze miałeś od tego kogoś innego. No, ale przejdźmy dalej. Renata

zatrudniła się w firmie Koskowskiego i została jego najwierniejszą kochanką. Praktycznie na każde skinienie. Bo tak jej kazałeś, prawda? Dawała dupy każdemu, jeśli tylko tego od niej oczekiwałeś. Była twoją dziwką na wszystkie okazje. A ty się z nią pieprzyłeś? Czy się brzydziłeś?

Woźniak znowu poczerwieniał na twarzy z wściekłości. Wydawało się, że zaraz rzuci się Marcinowi do gardła.

– Zamknij się! – warknął. – Nie masz prawa tak o niej mówić!

– Jestem zaskoczony. – Zakrzewski uśmiechnął się ironicznie.

– Więc jednak coś do niej czułeś? Naprawdę?

– Zamknij się już, kurwa!

Marcin odpuścił i po chwili mówił dalej normalnym tonem:

– Przez Koskowskiego dotarliście do ich starych znajomych. Ktoś opowiedział wam o dziwnym związku z dawnych lat: czterech mężczyzn i jednej kobiety. Nie trzeba było być jasnowidzem, żeby powiązać ich z morderstwem Kurtzów. Szybko ich zlokalizowałeś. Jako policjant miałeś przecież dostęp do wszystkich baz danych. Bułka z masłem. Pozostawało jeszcze zorganizować zbrodnię. Każdy z nich musiał zginąć albo bardzo podobnie do Kurtzów, albo w równie brutalny sposób. Wiedziałeś, że na podstawie podobieństwa policja powiąże tę zbrodnię z przeszłością. Cudownie trafił się jeszcze album ze zdjęciami w mieszkaniu Kurzaja. Jako stary gliniarz wiedziałeś, że gdy podsunie się policji zbyt wiele wątków, śledztwo może na długo utknąć na mieliźnie, więc podrzucaliście fałszywe tropy garściami. Córka Banaszkiwicz, papierosy, Wolska. Świadomie potęgowaliście chaos: ekipa TVN, zdjęcia wysłane do Koskowskiej, telefon Koskowskiego podrzucony kibolowi i tak dalej. Pominąłem coś?

Iluzjonista milczał.

– Zapomniałem o czymś?! – Zakrzewski podniósł głos.

– Nie.

– Nie można nie wspomnieć o jeszcze jednej kluczowej kwestii, która miała na długo sparaliżować śledztwo. Planowaliście zabić głównego śledczego. Czyli mnie. Na moje szczęście Katarzynie Kurtz wydawało się, że się we mnie zakochała, i nie wykonała planu. Ile razy próbowaliście? Raz, dwa, może trzy?

– Dwa.

– W centrum handlowym wśród tłumów ludzi i później nad jeziorem? Mogłem się domyślić. No cóż... – Zakrzewski uśmiechnął się pod nosem – jak zwykle miałem dużo szczęścia.

\*

Paulina Czerny słuchała z krótkofalówką przy uchu. Dowódca antyterrorystów czekał po drugiej stronie. Czterech jego ludzi weszło właśnie do baru od strony zaplecza i ukryło się w kuchni. Mieli w zasięgu wzroku rozmawiających przy stoliku. Trzech innych stało po jednej stronie drzwi wejściowych, trzech po drugiej stronie. Dwóch najbliżej drzwi wyposażonych było w młot do wyważania zamków i tarczę kuloodporną. Czekali tylko na znak.

Ulica została zamknięta dla ruchu pieszego i samochodowego. Cywilni policjanci zagrodzili przejazd swoimi autami i zawracali przechodniów. Wszyscy czekali na sygnał od Pauliny.

– Jeszcze trzy minuty – rzuciła do mikrofonu krótkofalówki.

Prawie fizycznie czuła niezadowolenie w głosie antyterrorysty, jednak podporządkował się jej decyzji.

– Ty tu rządzisz – rzucił krótko.

\*

Parol wysiadł z samochodu zaparkowanego w pewnym oddaleniu od domu Woźniaków. Popatrzył jeszcze raz w zamyśleniu na nieruchome firanki w oknach. Dom był stary. Mógł zostać zbudowany jeszcze przed drugą wojną światową. Od tego czasu przeszedł kilka remontów. Ten ostatni musiał być przeprowadzony niedawno. Położono nowe dachówki, okna wymieniono na plastikowe. Jeśli Iluzjonista naprawdę przetrzymywał w nim swoją rodzinę, musiało tu być jakieś pomieszczenie pozbawione alarmu. Jeśli włączał alarm za każdym razem, kiedy wychodził, musiał więzić żonę i dziecko lub... Tej drugiej opcji Parol nie dopuszczał do swoich myśli.

– Idę się jeszcze rozejrzeć – powiedział do towarzyszących mu dwóch kryminalnych z Gdańska.

Odpowiedziały mu wzruszenia ramion. Cholerni zawodowcy, nawet dupy im się nie chce ruszyć z auta – pomyślał, obrzucając ich ponurym spojrzeniem.

Znowu obszedł dom, zaglądając do okien. Opracowując plan, nie zakładali, że będą chcieli się dostać do środka pod nieobecność Iluzjonisty. Wtedy jeszcze nie wiedzieli o zaginionej żonie i córce. Sprawa wyszła poprzedniego dnia, nie było już czasu na sprowadzenie specjalisty od alarmów. Technicy z firmy monitorującej też nie wiedzieli, jak wejść do środka przy uzbrojonej instalacji.

Szawczak szedł wzdłuż bocznej ściany i nagle zatrzymał się przed przewróconym wiadrem. Poprzednim razem wydawało mu się, że coś usłyszał. Jakby skrzek albo kwilenie dochodzące z oddali. Zastanowił się i nagle stuknął się w czoło. Nie żaden skrzek, tylko płacz dziecka, i nie z oddali, tylko ze środka.

– Cholera jasna! – powiedział odrobinę za głośno i rozejrzał się.

Zaraz przy gruncie było wąskie, poziome okno piwniczne. Ukłęknął i zajrzał do środka. Dostrzegł tylko regały zavalone jakimiś rupieciami, drzwi i świecący na czerwono czujnik

alarmu w rogu pod sufitem. Już miał odejść, gdy nagle zwrócił uwagę na linie narysowane na brudnej szybie od środka. Początkowo wziął je za przypadkowe kreski, lecz gdy się trochę odsunął od okna, linie ułożyły się w napis:

POMOCY.

\*

Aspirant Jacek Woźniak spoglądał na Marcina Zakrzewskiego przekrwionymi oczami. Na jego łysej czaszce zgromadziły się kropelki potu, chociaż pomieszczenie było klimatyzowane. Jedna spłynęła mu po skroni w stronę ucha. Nie zwrócił na to uwagi. Na jego bladej twarzy zastygł trudny do zinterpretowania wyraz.

– Tak naprawdę jest jeszcze drugie dno tej historii – kontynuował Marcin, bawiąc się pustym kubkiem po kawie. – Był jeszcze inny plan na sam koniec. Powiedz mi, czy Renata i Katarzyna wiedziały, że uknułeś wszystko tak, by nikt się nie dowiedział, że byłeś Iluzjonistą? Że pociągałeś za sznurki? Wiedziały, że je poświęcisz, by ochronić własną dupę, czy obiecałeś im, że wszystko dobrze się skończy i będziecie żyć długo i szczęśliwie?

Iluzjonista milczał. Marcin zajrzał mu w oczy.

– J-jasne, tak jak myślałem, nie wiedziały. – Pokiwał głową i nagle olśniła go pewna myśl. – Nie! Zaraz, Renata wiedziała, prawda? Tak cię kochała, że była w stanie poświęcić życie swoje i swojej kuzynki, by cię ocalić. I jak się teraz z tym czujesz?

Woźniak poszarzał na twarzy.

– Zamknij się, Zakrzewski, jeśli jeszcze raz wypowiesz jej imię, to...

– Co? – wpadł mu w słowo Marcin. – Zabijesz mnie? Osobiście? Może być ciężko, bo nie masz już swojej zbrojnej brygady. Kuzynki Kurtz nie żyją.

Mierzyli się chwilę wzrokiem. Woźniak zdołał się opanować. Opuścił ręce pod stół i lekko odchylił się na krześle.

– Muszę ci przyznać, że ten drugi plan też był niezły – ciągnął Marcin. – Cholernie bezczelny. Szkoda tylko, że nie wyszedł jak ten pierwszy. Nie jestem pewien, czy napisałeś do Szawczaka e-mail, żeby z nas zadrwić i poczuć dreszcz podniecenia. Rozkosz sprawiała ci myśl, że ty jesteś mózgiem vendetty, a my niczego się nie domyślamy? Czy już wtedy miałeś plan, jak pozostać poza kręgiem podejrzeń? To pierwsze, prawda? Kiedy okazało się, że jesteśmy okropnie upierdliwi i czepiamy się każdego szczegółu, trochę się przestraszyłeś. Nagle zrozumiałeś, że możesz wpaść. Ten strach był impulsem do działań, prawda, Woźniak? Zacząłeś improwizować i popełniłeś błędy. Nie jesteś jednak taki genialny.

Woźniak coraz bardziej szarzał. Kolejna kropla potu spłynęła mu po skroni. Wciąż nie zdobył się na żadną reakcję.

– Specjalnie włożyłeś kamizelkę kuloodporną, bo taki miałeś plan. Specjalnie zszedłeś do piwnicy ostatni. Katarzyna miała ci strzelić dwa razy w plecy. Odważne, nie powiem. Gdyby zadrżała jej ręka, mogłeś zginąć. Ale dostałeś najlepsze alibi na świecie. Przecież chciała cię zabić. Nikt nie miał prawa podejrzewać, że działaliście w zмовie. Potem miała zabić mnie, prawda? I znowu tego nie zrobiła. Byłeś wściekły, rozzarowany czy tylko poirytowany?

Zakrzewski sam sobie odpowiedział po chwilowej pauzie.

– Pewnie byłeś wściekły. Skąd ta obsesja na moim punkcie? Dlaczego koniecznie miałem zginąć? Po co Renata i Katarzyna czekały na mnie w Krakowie? Rozumiem, że te widokówki z mieszkania Patryka Tularza były tam dla mnie zostawione na wabia już wcześniej. Tyle się zmieniło, a jednak na mnie czekały? Po co? Przecież Renata mogła zabić Katarzynę w każdym innym miejscu i zniknąć na zawsze. Przecież macie pieniądze Ilnickiego pewnie nie tylko na Cyprze.

– Od początku wiedziałem, że jesteś typem, który nigdy nie odpuszcza. – Przez twarz Iluzjonisty przeleciał grymas uśmiechu. – Mogłem oszukać wszystkich śledczych, ale nie ciebie. Ty zawsze idziesz własną ścieżką, nie oglądając się na fałszywe tropy. Kurwa, ty nie odpuszczasz. Wiedziałem, że będziesz nas ścigał do końca świata i o jeden dzień dłużej. Nie mogłem tego tak zostawić.

– Atak Renaty Kurtz na centrum handlowe miał być ostatnią sztuczką, prawda? – zapytał retorycznie Marcin. – Efektowny koniec, ostateczne pogmatwanie śladów odwracające uwagę od ciebie. A jednak się nie udało.

– Bo Kaśka cię nie zabiła. Popełniłem błąd. To powinna zrobić Renata. Zawsze była mi wierna i wykonywała wszystkie moje polecenia.

– Była bardziej chora psychicznie niż jej kuzynka.

Woźniak lekko pochylił się nad stołem, nie wyciągając rąk.

– Zamknij się! Nie masz prawa powiedzieć o niej ani jednego złego słowa.

– J-jasne.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Drobiazgi – odpowiedział Marcin i wzruszył ramionami. – Taki eksperyment logiczny, polegający na poskładaniu wszystkich elementów w jedną całość. Twoje nazwisko na liście odwiedzających Katarzynę w ośrodku, ciężka płyta zasłaniająca wejście do grobowca Kurtzów, której na pewno nie odsunęłyby dwie kobiety, no i łódka na jeziorze. Nikt nie zostawia na noc łódki na końcu pomostu. Po prostu przygotowałeś wcześniej dla Katarzyny drogę ucieczki.

– Tylko tyle? – zapytał zdziwiony. – Tylko tyle wystarczyło, żebym stał się podejrzanym?

– No i jeszcze instynkt rasowego psa gończego.

– Nie macie na mnie dowodów. – Woźniak pokręcił głową.

– Szukaliśmy tam, gdzie tobie nie przyszło do głowy. Zostawiłeś odciski palców na książce Mirosława Rudnickiego w biurze Borowskiego, rozpoznała cię kobieta sprzedająca pamiątki blisko jego domu letniskowego na Mazurach. Twoje nazwisko jest na liście pasażerów lotu do Nikozji na Cyprze.

– To wszystko gówno, nie dowody – prychnął Iluzjonista.

Marcin powoli podciągnął koszulkę i pokazał mu mikrofon przyklejony do piersi.

– Poza tym od kilku minut oficjalnie przyznajesz się do winy – dodał z lekkim uśmiechem.

\*

Paulina Czerny wyprostowała się i rzuciła do krótkofalówki:

– Grupa, wchodzimy.

– Zrozumiałem, wchodzimy – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Wchodzimy za... dziesięć... dziewięć...

\*

Aspirant Jacek Woźniak skrzywił się, wyszczerzając na moment zęby w brzydkim grymasie.

– W jednym masz rację, Zakrzewski – powiedział, jakby podjął właśnie ważną życiową decyzję. – Czas na efektowne zakończenie.

Wyciągnął jedną rękę spod stolika i pchnął coś po blacie. Marcin pomyślał w pierwszej chwili, że to otwieracz z puszki piwa. Dopiero kiedy dokładniej przyjrzał się drucianemu kółeczku z wypustką, zrozumiał, co to jest, i poczuł gdzieś w środku ukłucie strachu.



\*

- ... pięć... cztery...
- Kurwa, co on trzyma w dłoni?! – wykrzyknął nagle pierwszy z techników, nachylając się gwałtownie w kierunku monitorów.
- Stop! – krzyknęła Paulina do krótkofalówki – Wstrzymujemy akcję! Zrozumielście? Wstrzymujemy akcję!
- Bardzo dobrze zrozumiałem – zaskrzeczał głośnik krótkofalówki. – Wstrzymujemy!
- Czekacie na mój sygnał.
- Czekamy. – W głosie dowódcy oddziału szturmowego tym razem wyraźnie dało się słyszeć irytację.
- Paulina nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. We trójkę wpatrywali się w obraz na ekranach.
- Możesz to przybliżyć? – zapytała.
- Technik postukał w klawiaturę. Obraz z jednej z kamer przybliżył się. Widzieli stół, dłonie iluzjonisty, tylko nadal nie mogli poznać, na czym zaciska palce.
- I wtedy usłyszeli nienaturalnie brzmiący głos Zakrzewskiego:
  - Paulina, odwołaj wszystkich, on ma granat.
- Paulina Czerny poczuła się tak, jakby ktoś nagle otworzył drzwi i do wnętrza pojazdu wdarł się zimny powiew z samego serca Syberii.
- Zarządzam natychmiastowy odwrót! – powiedziała zdრętwiałymi wargami. – Odwrót! Natychmiast! On ma granat!

\*

Zakrzewski wpatrywał się w odbezpieczony granat w dłoni Woźniaka. Poznał ten model. Granat odłamkowy RG-42, produkowany dla Armii Czerwonej w Związku Sowieckim

w czasach drugiej wojny światowej i po. Był na wyposażeniu armii Układu Warszawskiego jeszcze przez wiele lat po zakończeniu wojny. Rosjanie sprzedawali go do krajów Trzeciego Świata, gdzie skutecznie pomagał wprowadzać ideologię komunistyczną. Po wielu latach w służbie został w końcu uznany za przestarzały i wycofano go z wyposażenia armii. Marcin zdziwił się, że pamięta jeszcze jego parametry ze szkolenia w minionej epoce. Zasięg rażenia około dwudziestu metrów. Wybuchając w takim pomieszczeniu jak to, spowodowałyby wielkie szkody. Na pewno nikt nie miałby szans na przeżycie. W chwili rzutu odblokowywał się uchwyt, który uwalniał sprężynę. Iglica uderzała w spłonkę, zapalała się substancja spowalniająca zapłon, po czterech sekundach następował wybuch. Dopóki Woźniak trzymał uchwyt w pierwotnym położeniu, nie dopuszczał do zapłonu.

– I co teraz powiesz, Zakrzewski? – Iluzjonista uśmiechał się triumfalnie. – Nawet słynny komisarz z Wrocławia nie potrafi wszystkiego przewidzieć.

Rozpatrywali różne opcje, lecz takiej rzeczywiście nie przewidzieli. Nie mogli przewidzieć. Marcin milczał. Czuł się dziwnie. Właściwie nawet się nie bał. To był raczej niepokój tłumiony przez przeświadczenie, że nic złego nie może się stać. Z każdej sytuacji jest wyjście. W ostatnich tygodniach miał zginąć kilka razy. Przeżył. Uda mu się i tym razem.

– Może zawołam kelnerkę i ją też wezmę na zakładnika – zaproponował Woźniak beztroskim tonem. – Zawsze to przyjemniej w większym gronie.

– Zwariowałaś? – prychnął Marcin. – Przecież to podstawiona policjantka z komendy w Gdańsku. Chcesz mieć na karku dwoje policjantów?

Woźniak milczał, oceniając, czy go nie oszukuje. Test wypadł pozytywnie.

– Masz rację. Niedobry pomysł – przyznał wreszcie.

– Co teraz?

– Teraz zapraszam cię do domu na wielki finał. Powiedz im – wskazał na pierś Marcina – że jeśli na trasie zobaczę chociaż jednego policjanta, zdetonuję granat i prócz nas mogą zginąć przypadkowi ludzie.

Marcin powtórzył słowa Woźniaka, chociaż Paulina już wszystko doskonale usłyszała. Kiedy kilkanaście sekund później wyszli na ulicę, nawet Marcin nie dostrzegł żadnego policyjnego auta. Iluzjonista pociągnął go za ramię.

– Jeśli będziesz próbował jakichś sztuczek, zginą niewinni ludzie. Pamiętaj!

– J-jasne.

\*

Do zaparkowanej w bocznej ulicy furgonetki wszedł dowódca brygady szturmowej policji w pełnym rynsztunku.

– Skąd on, kurwa, miał granat!?! – wykrzyknął bez żadnych wstępów.

Paulina Czerny wzruszyła ramionami, wpatrując się w jeden z ekranów. Pierwszy technik przewijał właśnie nagranie do momentu, w którym Woźniak wchodził do pizzerii. Kilka razy je obejrzeli.

– Na pewno nie ma przy sobie granatu – ocenił technik, a drugi przyznał mu rację.

– Widać telefon komórkowy w jego kieszeni, ale granatu nie ma.

– To skąd, do kurwy nędzy, ma go teraz!?! – warknęła Paulina.

– Może go wyczarował, to Iluzjonista – powiedział drugi z techników, lecz nikt się nawet nie uśmiechnął.

Obraz został przewinięty do przodu. Kilkanaście sekund przed tym, jak Woźniak rzucił Marcinowi zawleczkę, technik zrobił stop-klatkę. Naraz wszystko stało się jasne.

– Jasna cholera! – jęknęła Paulina. – Przykleił go wcześniej taśmą pod krzesłem.

Jeszcze raz odtworzyli nagranie. Nie było wątpliwości.

– Podobno sprawdziliście dokładnie ten lokal! – Paulina rzuciła w kierunku antyterrorysty wściekłe spojrzenie.

Zanim odpowiedział, zgłosił się jeden z wywiadowców.

– Tu dwójka, idą do domu Iluzjonisty. Co robić? – zapytał.

– Paulina Czerny do wszystkich – odpowiedziała szybko. – Nic nie robicie! Żadnych nieprzemyślanych działań. W ogóle was tam nie ma! Zrozumiano?

Rozłączyła się i rzuciła do wpatrujących się w nią trzech mężczyzn:

– Zakrzewski musi sobie na razie poradzić sam.

\*

Parol wyciągnął krótkofalówkę i połączył się z Pauliną.

– Żona i dziecko Iluzjonisty są uwięzieni w domu – powiedział szybko. – Słyszałem płacz. Kobieta wzywa pomocy. W domu jest włączony alarm. Czy mogę tam teraz wejść? Co robić?

Paulina w krótkich słowach zapoznała go z sytuacją. Szawczak też nie mógł opanować potoku przekleństw, które nagle popłynęły mu z ust. Wszystko szło nie tak.

– Posłałam ci dwóch ludzi z oddziału szturmowego – ciągnęła Paulina. – Poczekajcie, aż Woźniak i Zakrzewski wejdą do domu, wtedy spróbujecie uwolnić kobietę i dziecko. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Tylko bez zbędnej brawury.

Parol zatknął krótkofalówkę za pasek spodni i odetchnął głęboko, wpatrując się w napis na piwnicznym okienku. Potarł

policzek, rozmasowując nerwowy tik, który pojawił się nie wiadomo skąd.

\*

Czas płynął cztery razy wolniej niż zwykle. Szli ulicą w kierunku położonego nieopodal Nowęcina, gdzie w starej części wsi stał dom rodziny Woźniaków. Marcin wiedział, że to tylko złudzenie, lecz nie mógł mu się oprzeć. Płyty na chodniku przesuwają się jakby w zwolnionym tempie, białe cumulusy nad ich głowami stały na niebie niczym sterowce z początku dwudziestego wieku. Miał nadzieję, że żaden z nich nie nazywa się LZ 129 Hindenburg, nie stanie nagle w płomieniach i nie spadnie im na głowę. Nie, jeśli ma dzisiaj zginąć w ogniu, to na pewno nie w tym z góry. Ogień przyjdzie z odbezpieczonego granatu, który Woźniak nadal ścisnął w pobielających z wysiłku palcach. Tak czy inaczej, koniec będzie bardzo podobny.

Otrząsnął się z ponurych myśli. Skupił się na tu i teraz, a czas od razu przyspieszył. Szli szybkim krokiem. Marcin wcześniej rozglądał się uważnie i nie zauważył nigdzie policji. Na pewno tam byli, tylko dobrze się schowali. Woźniak pewnie doszedł do tego samego wniosku, bo nagle znowu przyspieszył. Dookoła nie było ani pieszych, ani samochodów. Iluzjonista wiedział, że przypadkowi przechodnie i auta byłiby dla niego naturalną ochroną. Teraz czuł się niepewnie.

– Szybciej! – popędził idącego krok przed nim Zakrzewskiego.

Komisarz obejrzał się. Musiał rozmawiać z Woźniakiem. Dopóki rozmawiali, była jeszcze nadzieja.

– Naprawdę chcesz to tak głupio skończyć? – zapytał.

– Mówiłem ci, żebyś się zamknął!

– Gównu mnie obchodzi, co mówiłeś.

Woźniak popchnął go w plecy.

– Szybciej! Drętwieją mi palce. Długo nie wytrzymam.

Marcin przyspieszył.

Przed wyjściem na ulicę Woźniak zerwał z niego mikrofon i rozgniół go podeszwą buta. Teraz nikt ich nie słyszał. Nie mógł dać Paulinie żadnej wskazówki.

– Kto wtedy ostrzegł Katarzynę, że jedziemy do niej do ośrodka? – zapytał.

– Zamknij się!

Iluzjonista rozglądał się nerwowo.

– Chyba możesz mi powiedzieć – nalegał Marcin.

– Ja.

– Nie spodziewałeś się, że będziemy tak dociekliwi?

– Nie.

Marcin próbował zadawać kolejne pytania, lecz Woźniak przestał się odzywać. Zły znak. W tym stanie był nieobliczalny. Zerknął przez ramię na jego dłoń zaciśniętą na granacie. Była biała i spocona. W każdej chwili mięśnie mogły nie wytrzymać i spowodować zapłon. Rozejrzał się. Ciągłe przechodzili niebezpiecznie blisko zabudowań mieszkalnych. Marcin rozważył nawet, czy ma szansę zaatakować teraz Woźniaka. Szybko ocenił, że niewielkie. Sprężyna w granacie była pewnie mocna i wystarczyło tylko lekko poluzować dłoń, żeby iglica trafiła w spłonkę. Za duże ryzyko na ulicy. Może gdy będą już w domu... Wiedział, że w zamkniętym pomieszczeniu spróbuje. Nie ma wyjścia.

\*

Parol klęczał i zaglądał w okno. Za nim pochyłali się dwaj antyterrorysty.

– Za małe okno – powiedział jeden z nich. – Żaden z nas się nie wciśnie.

Szawczak wiedział to od momentu, kiedy stanęli obok niego. Dwaj barczyści, wysportowani faceci, prawie dwa metry

wzrostu każdy. Do tego w pełnym rynsztunku. Nawet gdyby się rozebrali, mogli się nie przecisnąć przez małe okienko.

– Ja pójdę – powiedział. – Będziecie mnie osłaniać.

– Jak chcesz.

– Poczekajmy, aż wyłączy się ta cholerna czujka w rogu piwnicy.

– Szef da nam sygnał, jak będą w środku. Wtedy wybijemy szybę.

– Tylko zróbcie to cicho.

– Trochę wiary w ludzi, kolego. Nie takie numery już robiliśmy – dodał drugi antyterrorysta.

Parol nie lubił takich przechwałek. Mogły zapowiadać niespodziewane kłopoty.

\*

Woźniak podał mu kod do alarmu. Marcin zastanawiał się, co będzie, kiedy się teraz świadomie pomyli i wywoła alarm. Szybko doszedł do wniosku, że to tylko odwlecze moment, w którym znajdą się w środku, z dala od postronnych ludzi. Tylko on i iluzjonista. Czysta i bezpieczna sytuacja.

– Prosto. – Woźniak pchnął go w głąb domu.

Zakrzewski zrobił dwa kroki i nagle panującą wewnątrz ciszę przerwało ciche kwilenie dziecka. Zdrętwiał. Zrozumiał, dlaczego nie mogli znaleźć żony i dziecka Woźniaka. Przetrzyzymał ich w domu. To komplikowało sytuację.

Od głównego korytarza odchodziły drzwi do różnych pomieszczeń. Układ typowy dla starego budownictwa. Pokoje były przechodnie, tak że można było obejść dół domu z pominięciem korytarza. Na jego końcu znajdowało się zejście do piwnicy i schody na piętro.

Weszli w drugie drzwi po lewej i znaleźli się w obszernym salonie z oknami wychodzącymi na sąsiedni budynek. Marcin

natychmiast zwrócił uwagę na wielki kafłowy piec sięgający prawie do samego sufitu. Solidna robota. Pochodził pewnie z czasów, w których ludziom nawet się nie śniło, że zawód zduna odejdzie kiedyś do historii.

Woźniak podszedł do zamkniętych drzwi do pokoju obok. Otworzył je kopniakiem.

– Już wróciłem, kochanie! – wrzasnął wyjątkowo paskudnie.

W jego głosie można było wyczuć groźbę i pogardę. Dziecko zapłakało głośniej. Z głębi drugiego pokoju dobiegł okrzyk przestrochu, potem płacz i błagalny szept kobiety.

– Wypuść nas, proszę... Nie rób nic złego naszemu dziecku. Co ci zawiniło?

– Naszemu dziecku?! Powiedziałaś: naszemu dziecku?! To nie jest moje dziecko!

– Jacku... to jest twoje dziecko...

– Łżesz, kurwo! Zdradzałaś mnie! To nie jest moje dziecko!

Kobieta nie miała siły odpowiedzieć. Tylko po nieregularnym oddechu można było wywnioskować, że płacze.

Iluzjonista odwrócił się w stronę Zakrzewskiego. Teraz obłąd miał już nie tylko w oczach, ale i na twarzy. Wyglądał jak złośliwa karykatura samego siebie sprzed kilku dni.

– Mam w domu kurwę i bękarta! Wiedziałeś o tym, Zakrzewski?

Marcin pokręcił głową. Robiło się coraz gorzej.

– Nie.

I wtedy zobaczył coś za plecami Woźniaka. Tętno jeszcze mu przyspieszyło.

\*

Szyba w oknie została stłuczona prawie bezszelestnie. Antyterrorysty usunęli sprawnie kawałki szkła z framugi i Parol zanurkował do środka nogami do przodu. Z trudem zmieścił się



w niewielkim okienku. Pomyślał z satysfakcją, że zrzucenie kilku kilogramów było genialnym pomysłem. Szybko podszedł do piwnicznych drzwi i szarpnął za klamkę. Na szczęście otworzyły się z cichym trzaskiem. W górę prowadziło kilka schodów. Przeszedł je wolno i znalazł się na parterze. Wychylił głowę. Korytarz i drzwi po obu stronach.

I głosy.

– Już wróciłem, kochanie!

Kwilenie dziecka i płacz kobiety. Bez wahania poszedł w kierunku, skąd dochodziły głosy. Skupił się na płaczu i nie słuchał dalszych słów Iluzjonisty. Zajrzał do jednego z pokoi. Dziecko leżało w łóżeczku przy oknie, przy nim klęczała młoda kobieta z burzą czarnych, zmierzwionych włosów i twarzą czerwoną od płaczu. Była przykuta kajdankami do kaloryfera. Zobaczyła go i nagle zamilkła, wstrząsana tylko spazmami. Parol przyłożył palec do ust, nakazując jej zupełne milczenie. Pokiwała głową.

Wzrokiem zapytał ją, gdzie jest Woźniak. Wskazała głową drzwi po lewej stronie, a potem powiedziała coś bezgłośnie.

– Mam w domu kurwę i bękarta! Wiedziałeś o tym, Zakrzewski?

Zrozumiał to jedno błagalne słowo tylko po ruchu warg.

– Dziecko.

Znowu przyłożył palec do ust i wszedł do środka.

\*

Widok Parola za placami Iluzjonisty sprawił, że nerwy Zakrzewskiego napięły się jak postronki. Nie chcąc, by Woźniak poznał, że patrzy na coś ponad jego ramieniem, spojrział mu w twarz. Musi odwrócić jego uwagę.

– Jesteś tego pewien? – zapytał i podniósł głos. – Sprawdziłeś to, Woźniak, czy to znowu wymysł twojej chorej wyobraźni?!

W Woźniaku wezbrała złość. Zrobił dwa kroki w kierunku Marcina. Dobrze.

– Ta kurwa nigdy nie była mi wierna! Od zawsze miała kochanków i śmiała się za moimi plecami!

– Pierdolisz, Woźniak!

Parol znowu przeszedł za plecami Woźniaka, trzymając w rękach dziecko. Jeszcze tylko kobieta.

– Jesteś popierdolonym skurwysynem! Nie odróżniasz rzeczywistości od majaków!

Woźniak zrobił jeszcze jeden krok w jego kierunku. Podniósł rękę z granatem na wysokość twarzy. Drżała. Mięśnie dłużej nie były w stanie wytrzymać naporu sprężyny.

To była ostatnia chwila, kiedy można było jeszcze coś zrobić. Zakrzewski spiął się do skoku.

\*

Parol, tuląc dziecko, zbiegał na złamanie karku po schodach do piwnicy. Włożył dziecko w ręce wyciągające się do niego przez okno. Nawet nie zauważył, że na zewnątrz jest już więcej osób niż przed kilkunastoma sekundami.

– Kobieta jest przykuta kajdankami – powiedział gorączkowo.

– Co mam robić?

Kilka sekund trwała narada, wreszcie ktoś podał mu nożyce do cięcia metalu. Nie zastanawiając się dłużej, ruszył biegiem z powrotem.

\*

Nagle iluzjonista znieruchomiał. Oczy rozszerzyły mu się w zdziwieniu, które nagle zmieniło się we wściekłość, gdy zrozumiał. W domu panowała dziwna cisza. Dziecko przestało

płakać. Nie było też słuchać płaczu jego żony. Świat jakby się zatrzymał. Odwrócił się i spojrzał prosto na aspiranta Szawczaka z nożycami do cięcia metalu w dłoniach.

– Ty!... – zaczął, ale nie dokończył.

Świat ruszył znowu do przodu, o wiele szybciej niż do tej pory.

Zakrzewski skoczył.

Miał tylko jedną próbę. Gdyby się pomylił, Woźniak puściłby uchwyt, iglica uzbroiłaby granat i zostałyby im niecałe cztery sekundy do końca czasu. Do nicości i zimnej pustki. Na szczęście trafił. Zacisnął ręce na dłoni Iluzjonisty. Woźniak złapany na wykroku i pchnięty w bok stracił równowagę i obaj runęli z hukiem na drewnianą podłogę. Marcin zamortyzował upadek na jego piersiach i słyszał wyraźnie, że przeciwnik traci oddech. Poczuł, że jego palce niebezpiecznie rozluźniają uchwyt. Jeszcze mocniej zacisnął swoje.

– Parol, zabierz ją!!! – wrzasnął.

Szawczak był już przy żonie Woźniaka. Za pierwszym razem drżenie rąk sprawiło, że nożyce nie trafiły w łańcuszek łączący kajdanki. Udało się dopiero za drugim razem, napiął wszystkie mięśnie i z ulgą usłyszał trzask.

Woźniakowa nie mogła wstać. Dziwiąc się, skąd ma tyle siły, poderwał ją do góry i wyniósł z pokoju na rękach, jak dziecko przed kilkunastoma sekundami.

Iluzjonista szybko się pozbierał. Miał nad Zakrzewskim zasadniczą przewagę: jedną wolną rękę. Teraz wymierzył nią cios. Marcin dostał mocne uderzenie w bok głowy. Coś eksplodowało wewnątrz jego czaszki. Jak granat. Iluzjonista uderzył jeszcze raz i zaczął wstawać. Marcin walczył z oszołomieniem. Dwa ciosy w to samo miejsce. Prawie jak nokaut. Ale jak wiadomo, prawie robi wielką różnicę. Skupił się, żeby nie stracić kontroli. Nie wiedział, ile czasu minęło. Czy

Szawczak zdołał już uciec z kobietą? Nie mógł czekać zbyt długo. Musiał działać, zaryzykować jeszcze bardziej.

Stanęli na nogi i Zakrzewski nagle szarpnął do siebie Woźniaka. Kiedy ten poleciał do przodu, nadział się na uderzenie głową w nos. I jeszcze jedno, i kolejne, tylko dużo słabsze. Dłoń nie trzymała już granatu. To Zakrzewski ścisnął go rozpaczliwie dwiema rękami.

To jeszcze nie koniec – przeleciało mu przez myśl i uderzył Iluzjonistę kolanem w podbrzusze. Raz, drugi, trzeci. Woźniak skulił się, a potem oderwał się od Marcina i upadł na bok.

Zakrzewski został z granatem w dłoniach.

Nie był w stanie utrzymać uchwytu. Iglica z cichym trzaskiem uderzyła w zapalnik.

Zostały niecałe cztery sekundy.

Rzucił granat w kierunku leżącego aspiranta Jacka Woźniaka.

\*

Parol dobiegał z żoną Woźniaka do piwnicznego okna, kiedy na górze rozległ się huk wybuchu. Dom zatrzęsł się w posadach. Podmuch szarpnął drzwiami do piwnicy. Z sufitu posypał się tynk. Policjant upadł i nakrył kobietę własnym ciałem.

\*

Siła wybuchu wypchnęła na zewnątrz wszystkie szyby. Poleciało szkło i wyrwane z zawiasów framugi okien. Ze środka buchnął czarny jak smoła dym i wzleciał w górę, odsłaniając płonące firanki i zasłony. Fala uderzeniowa wyrwała drzwi wejściowe, które zawisły na jednym zawiasie.

Potem nagle zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. A może to tylko Paulina Czerny nic nie słyszała?

Wysiadła z samochodu i stała jak sparaliżowana.

Dwa wozy strażackie wjechały na podwórko. Zaczęła się akcja gaszenia pożaru. Za strażą stanęła karetka pogotowia. Jeden z antyterrorystów podawał ratownikom dziecko. Zza domu nadchodził kolejny, niosąc nieprzytomną kobietę. Za nimi szedł Parol cały pokryty szarym pyłem. Lekko utykał. Druga karetka i jeszcze dwa wozy strażackie na sygnale zatrzymały się przed domem.

Dużo się działo, lecz dla Pauliny wszystko się właśnie kończyło. Zakrzewski został w środku. Tym razem nie było szans, żeby się z tego wywinął. Oboje popełnili zasadniczy błąd, planując akcję. Nie przewidzieli wszystkiego.

Ciągle jednak nie dopuszczała do siebie myśli, że jego już nie ma. Złowiła z daleka pytające spojrzenie Szawczaka. Może bardziej błagalne niż pytające.

Drażącą ręką sięgnęła po papierosy. Zapaliła jednego. Pewnie już nigdy nie zapali dwóch i nie poda drugiego Marcinowi. Prosty gest, lecz teraz myśl o nim zabolą ją chyba najbardziej.

Między jednym a drugim mocnym zaciągnięciem się papierosem zobaczyła jakiś ruch przy wejściu do budynku. Ktoś ze środka kopniakiem wyważył zwisające krzywo drzwi. Potoczyły się po czterech schodkach. W dymiącym jeszcze wejściu stanęła wysoka postać, cała pokryta szarym pyłem. Na uginających się nogach zeszła ze schodów i ruszyła w jej kierunku.

Cholerny Zakrzewski! Paulina poczuła nagle wielką ulgę. Nic się jeszcze nie skończyło, może tylko weszło w inny etap.

Wyciągnęła z paczki drugiego papierosa i odpaliła.

Zakrzewski przyjął go z wdzięcznością, zaciągnął się i zaraz rozkaszał. Paulina przyciągnęła go do siebie. Był ogłuszony, z nosa płynęły mu strużki krwi, wszystkie dźwięki ze świata tłumilo przeraźliwe brzęczenie w uszach. Jej pytanie zrozumiał po ruchu warg.

– Jak?

– Piec – wycharczał. – Schowałem się za cholerny piec.

# Koniec

10–18 sierpnia

Świętowali zakończenie śledztwa w salce konferencyjnej. Zebrali się wszyscy śledczy pracujący przy sprawie, szef wydziału kryminalnego, prokurator Grabski i kilka przypadkowych osób, które wpadły na chwilę, by pogratulować Marcinowi i Paulinie sukcesu. Rano Szawczak przeszedł się po całym wydziale z kapeluszem i uzbierał sumkę, za którą kupiono pączki, ciastka i cztery wina musujące – popijali je teraz z jednorazowych kubków. Szef trochę grymasił, że w pracy nie można, lecz to była tylko poza. Wszyscy wiedzieli, że jest bardzo zadowolony. Przyczynił się do rozwiązania najtrudniejszej sprawy kryminalnej od lat. Sprawy, która nie schodziła z nagłówków gazet i była wspomniana w wiadomościach na większości kanałów telewizyjnych. Teraz na pewien czas to miejsce zajmie inspektor Godlecki – skuteczny, profesjonalny szef wydziału kryminalnego, który trzymał w garści całe śledztwo. Marcin już słyszał, jak chwalił się pewnej dziennikarce, że zastosowali taktykę znaną w FBI – powołali dwie niezależne grupy śledcze. Istniało prawdopodobieństwo, że Godlecki na tyle umocnił się na pozycji szefa wydziału, że trudniej będzie go wywalić, kiedy po wyborach we wrześniu zmieni się opcja polityczna i – jak to bywa w takich przypadkach – zaczną obsadzać swoimi ludźmi wszystkie kluczowe stanowiska.

Marcin Zakrzewski miał to w dupie. Nie obchodziło go, co się stanie z szefem. Bardziej martwił się o siebie. Czy to naprawdę była jego ostatnia sprawa? Czy złoży wypowiedzenie? Może rację miał Marek Grabski? Z kryminalnej tak łatwo się nie odchodzi. Szczególnie tacy goście jak on – z wielkimi sukcesami. Czy jego też dopadnie pokusa, żeby powtórzyć sukcesy, a może wręcz je przebić?

Usiadł w kącie z dala od wszystkich i pił wino, bawiąc się plastikowym kubkiem. Obserwował innych. Godlecki rozmawiał przy oknie z Grabskim. Pewnie o nim, bo co jakiś czas ukradkiem rzucali w jego kierunku tajemnicze spojrzenia. Parol Szawczak z czerwonymi plamami na policzkach śmiał się z dowcipu opowiadanego przez Roberta Rajcę, Andrzej Szmidt stał przy drzwiach z dwoma policjantami w mundurach. Nigdzie nie było widać Pauliny.

Marcin miał w ustach niesmak. Czy ta sprawa na pewno została już zakończona i wyjaśniona? Nie, było coś, o czym zdaje się wszyscy zapomnieli. Wszyscy prócz niego. Coś nie dawało mu spokoju. Szlag by to trafił! Zapomniał o czymś, o jakimś ważnym szczególe, tylko teraz nie mógł sobie przypomnieć. Nienawidził tego uczucia, a ono jak na złość nawiedzało go coraz częściej. Może to była oznaka nadchodzącej starości? Był zmęczony, obolały i pozbawiony energii. Uszło z niego powietrze. Znowu praca mieszała się z jego prywatnym życiem, zadając głębokie rany. Dopiero za jakiś czas okaże się, jak głębokie i bolesne. Poczuje je dopiero, gdy w jego życiu zawodowym znowu nastanie spokój i porządek, a on zacznie wracać do pustego mieszkania, pić piwo w fotelu, oglądać setny raz te same filmy na DVD i słuchać tych samych płyt. Taki zasrany lajf.

– Co masz taką marsową minę? Udało się.

Paulina usiadła obok niego na krześle i szturchnęła go w ramię.



– Pobudka! Napij się szampana.

Pokazał jej pusty kubek.

– Już wypilem.

Patrzyli sobie w oczy przez dłuższą chwilę. Wreszcie ona pierwsza odwróciła wzrok. Poprawiła opadającą grzywkę i zapytała, spoglądając gdzieś w bok:

– Nadal chcesz odejść?

– Zastanawiam się.

Doskonale wiedziała, co w nim gra.

– Musisz coś w życiu zmienić, żeby nie zwariować?

– Żeby przeżyć.

Wstała i popatrzyła na niego z góry. Nie bardzo wiedział, czy jest smutna czy zła.

– Cholera jasna, Marcin. Czy ty musisz tak wszystko komplikować? – zapytała trochę głośniejszym głosem, niż zamierzała.

Parę osób spojrzało w ich kierunku. Ludzie wiedzieli, co ich łączyło.

– Taki mam pocięty charakter – odpowiedział, zerkając na nią spod oka.

– Czasem mam wrażenie, że ty to robisz specjalnie.

– To podświadomość. Kiedy zaczyna mi się za dobrze układać w życiu, włącza się taki pieprzony mechanizm samoumartwiania się. Rozpieprza wszystko, bo przecież u mnie nie może być normalnie. W pracy napędzają mnie chaos i cierpienie i tak samo musi być w moim życiu prywatnym. Żebym szedł do przodu, musi boleć.

Uśmiechnęła się smutno.

– Dobrze, że przynajmniej potrafisz się zdiagnozować. Uświadomienie sobie choroby jest pierwszym krokiem do wyleczenia.

– J-jasne.

Odeszła do stołu, żeby dolać sobie wina. Szawczak ciągle śmiał się z dowcipów Roberta. Grabski przeprosił Godleckiego,

podszedł do Marcina i usiadł na krześle, które przed momentem zwolniła Paulina.

– Pokłóciliście się? – zapytał.

Pokręcił głową.

– Nie. Ostatnio nawet dobrze nam się układa. Rozumiemy się bez słów.

– Zawsze tak było. Dobrze się czujesz?

– Zaczynam się już przyzwyczajać do tego, że praca wchodzi mi z butami do domu i przestawia meble.

Prokurator tylko pokiwał głową.

– Nie pijesz wina? – wskazał na jego kubek.

– Nie smakuje mi – mruknął Zakrzewski. – Mam ochotę na whisky.

– Słyszałem, jak twoi koledzy umawiali się w jakimś pubie na wieczór. Przyjdziesz?

– J-jasne. Nie mogę wyjść na dupka zapatrzzonego tylko w siebie i obnoszącego się dumnie ze swoimi sukcesami.

Marek parsknął śmiechem, lecz zaraz spowaźniał.

– Nie powinieneś odchodzić z policji – powtórzył po raz kolejny. – Prywatny detektyw ścigający niewiernych mężów... To nie jest robota dla ciebie.

– Myślisz, że nie dam sobie rady?

– Nie o to chodzi. Nie będziesz miał satysfakcji.

– A teraz mam? – Zakrzewski uśmiechnął się krzywo.

– Tak. Zajebistą satysfakcję. Przemyśl to jeszcze.

Grabski wstał i wyszedł do toalety.

Marcin też ruszył do wyjścia, starając się nie rzucić nikomu w oczy. Odprowadzało go kilka spojrzeń, ale nikt go nie zatrzymywał.

W swoim biurze usiadł na krześle i założył ręce na kark. Zastanowił się nad słowami Grabskiego. Czy to była satysfakcja? Na pewno. Pomimo ran fizycznych i psychicznych, świadomości, że został zmanipulowany i zaufał morderczyni,

nie potrafił się teraz obwinić, że zrobił coś złe. Że mógł postąpić inaczej, wcześniej odkryć Iluzjonistę, nie dopuścić do pewnych wydarzeń. Za to naprawdę czuł gigantyczną satysfakcję. Nie pozwolił się nikomu oszukać. W ostatecznym rozrachunku on był górą. Nie zwiódła go iluzja, za pomocą której morderca starał się zmylić tropy. I nie dał się. Ale było coś jeszcze. Uczucie, którego długo starał się do siebie nie dopuścić. Wstydlive, złe, nie na miejscu. Teraz, kiedy siedział sam w biurze, nareszcie postanowił się z nim zmierzyć. Zrobił to i przegrał. Nie potrafił się go wyprzeć. Marcin Zakrzewski żałował, że to już koniec. Kiedyś Grabski powiedział mu, że praca śledczego jest jak uzależnienie. Potrzeba coraz większych dawek, żeby poczuć satysfakcję, lecz potem okazuje się, że zadowolenie nie jest wystarczające, mózg potrzebuje mocniejszej stymulacji. Taki mechanizm destrukcyjnie działa na codzienną pracę. Brakuje motywacji, radości, chęci, pojawia się gwałtowna potrzeba zmiany w życiu. Ilu jego kolegów z wydziału śledczego już odeszło na wcześniejsze emerytury? Wielu. Ilu szukało mocnych wrażeń w alkoholu i dziwkach? Jeszcze więcej.

Dlatego teraz Zakrzewski próbował nie dopuścić do siebie myśli, że to już koniec. Przecież o czymś zapomnieli.

I chyba już wiedział, o czym.

Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów i całą jej zawartość położył przed sobą na biurku. Zabrzęczały drobne motety, rozsypując się na pół blatu. Rozprostował pomięte banknoty dziesięcio- i dwudziestozłotowe i włożył je do drugiej kieszeni. Uważnie oglądał inne świstki. Paragony za piwo z osiedlowego sklepu – zawsze obiecywał sobie, że odda butelki i nigdy tego nie robił, dwie kartki z numerami telefonów, których właścicieli już nie pamiętał. Na końcu znalazł to, czego szukał. Kilka dni temu zadzwonił do niego Piotr Konieczny z wydziału do walki

z korupcją i podał mu nazwy trzech firm remontowych, co do których pojawiły się podejrzenia o łapownictwo.

W oficjalnym raporcie ze śledztwa w sprawie mordercy ze zdjęcia nie było wyjaśnienia, czy matka Hanny Duciak została zamordowana, czy też przyczyną jej śmierci był wypadek komunikacyjny. Nie udało się również wyjaśnić, kto zabalsamował jej ciało i kto przechowywał je przez tyle lat. Poszlaki wskazywały na pisarza Mirosława Rudnickiego. To on wydał książkę, w której opisywał akt nekrofilii, to on odwiedzał zwłoki na poddaszu kamienicy przy Siemieńskiego, wreszcie to Rudnicki wykazywał skłonności do ryzykownych zachowań seksualnych. Czy mógłby być nekrofilem? Nie było potrzeby zamawiania opinii biegłego. Wystarczyło zdanie policyjnego profilerka, który nie wykluczył takich skłonności u pisarza.

Zakrzewski nie zgadzał się z tymi ustaleniami, nie miał jednak żadnych twardych dowodów, więc nie wnosił sprzeciwu i podpisał się pod raportem. Przeczucia to za mało.

Teraz jednak wydawało mu się, że coś ma. I koniecznie musi to sprawdzić.

Odpalił komputer, połączył się z Internetem i przez wyszukiwarkę wszedł na stronę Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej. W wyszukiwarce wpisał nazwę pierwszej firmy – BKBud. Jedno trafienie. Przejrzał dokładnie wpis do ewidencji i nic nie rzuciło mu się w oczy. Następna firma – Fermet. Też nic.

Pokręcił głową i uśmiechnął się krzywo pod nosem. Oszukiwał się. Chciał, żeby to jeszcze nie był koniec.

– To koniec – powiedział do siebie. – Pomyśl nad zmianą pracy, kolego.

Mimo to wpisał kolejną nazwę: Usługi Remontowe Wili. Znowu jedno trafienie. Kliknął myszką, żeby zobaczyć szczegóły. I nagle znieruchomiał. Poczł znajomy rozkoszny

dreszcz ekscytacji na plecach, pojawiający się właśnie w takich momentach. Kiedy czuł, że jest blisko.

Znał to nazwisko. Niedawno spotkał tego człowieka. Pomyślał chwilę i sobie przypomniał. Poza tym nazwa firmy też mu coś mówiła. Wili – ksywka, którą usłyszał w opowieści Lynyrda. Zbieg okoliczności?

Otworzył nowe okno wyszukiwarki i znalazł stronę internetową firmy Usługi Remontowe Wili. Była tam fotografia właściciela. Zdjęcie musiało pochodzić sprzed kilku lat, lecz poznał go od razu.

Wydrukował je i wybiegł z biura prosto na policyjny parking.

\*

Lynyrda znalazł w jego ulubionym miejscu, na schodach w wąskim przesmyku między dwoma blokami. Siedział w cieniu oparty o ścianę budynku. Oczy miał zamknięte, siwe długie włosy opadły mu na policzek. Marcin przestraszył się, że bezdomny nie żyje. Nachylił się nad nim i dopiero wtedy dostrzegł, że jego pierś porusza się nieznacznie. Potrząsnął nim lekko.

Lynyrd otworzył oczy i rozejrzał się zdezorientowany. Dopiero po chwili jego wzrok wyostrzył się i skupił na postaci Marcina.

– Kogo moje błędne oczy widzą – odezwał się zachrypniętym głosem. – Znajomy gliniarz.

Próbował się podnieść, lecz zaraz opadł z powrotem na schody. Widocznie jego drzemka i zachrypnięty głos spowodowane były jakimś mocniejszym trunkiem, który niedawno spożył. Wokół niego było czuć odór podłego wina albo czegoś mocniejszego, co można było kupić w markecie za pięć złotych.

– Nie masz może czegoś mokrego dla poratowania wyschniętych śluzówek? – zapytał Lynyrd, więc Marcin bez słowa podał mu puszkę piwa, którą przed momentem kupił w Żabce. Bezdomny drżącymi rękami otworzył ją i pił łapczywie. W tym czasie Marcin obserwował kwadratowy plac między budynkami. Wieczorem bawiły się tutaj dzieci, jednak teraz upał skutecznie zniechęcał do wyjścia z domu. Trawniki wyschły, pożółkły i zbrązowiały. Nawałnica, która przeszła niedawno nad miastem, nie pomogła. Susza była coraz większa.

Lynyrd głośno czknął i zaniósł się śmiechem.

– Piwo ma swoje prawa – wychrypiał.

Przez chwilę niepokoił się, czy Lynyrd będzie w stanie rozsądnie odpowiadać na jego pytania, ale ten wyciągnął zza pazuchy dzinsowego bezrękawnika papierosa, oderwał filtr, zapalił i spowity w chmurę siwego dymu spojrział na niego wyjątkowo przytomnym wzrokiem.

– Pytaj, o co chcesz, przyjacielu – powiedział. – Podejrzewam, że to piwo, którym mnie tak hojnie obdarowałeś, nie było li tylko przejawem chrześcijańskiego miłosierdzia.

– Kiedyś opowiadałeś mi o towarzystwie, które spotykało się w twoim mieszkaniu na Pawłowa – zaczął Marcin bez szczególnych wstępów. – Wiesz, o Kosku, Młodym, Minclu, Adamie Kurzaju i o tej kobiecie.

– Pamiętam, a jakże. Piękna Jagoda, muza poetów, filozofów, hipisów, pijaków i zbrojeńców. – Może to miał być żart, lecz zabrzmiał poważnie.

Lynyrd zaciągnął się papierosem ze wzrokiem utkwionym gdzieś w oddali. Marcin mógłby przysiąc, że przed oczami ma znowu obrazy sprzed lat.

– Mówiłeś mi wtedy, że Jagoda w gruncie rzeczy romansowała ze wszystkimi.

– Pewnie. Była demonem seksu. Nie potrafiła inaczej. Jeśli tylko poznawała jakiegoś nowego faceta, było prawie pewne, że

za chwilę zaciągnie go do łóżka. Taką miała naturę i trudno było z tym walczyć. Można było albo ją pokochać, zaakceptować jej zwyczaje i czekać cierpliwie na swoją kolej, albo ją znienawidzić.

– Wspominałeś też o chłopaku, którego nazywaliście Wili.

Lynyrd nie zareagował. Nadal myślami był daleko.

– Pamiętasz Wiliego? – powtórzył Marcin.

– Wili? Pamiętam gnojka!

– Nie lubiłeś go?

– Nikt go nie lubił, gliniarzu! Właściwie nie wiem, kto go wprowadził do towarzystwa. Podejrzewam, że nikt! Pewnie sam przylazł, a wszyscy byli tak pijani, że nawet go nie zauważyli. – Bezdomy zaniósł się śmiechem, rozkaszał się i mruknął: – Muszę zapalić, bo ten kaszel mnie wykończy.

– Jaki on był?

– Jaki? A czort go wie. Siadał zawsze w kącie, nic nie mówił, tylko patrzył i czasem śmiał się z cudzych dowcipów. Sam nigdy nie opowiadał. Miał jedną zaletę. Zawsze przynosił flaszkę i zagrychę. Z takim zaopatrzeniem miał na Pawłowa wstęp o każdej porze dnia i nocy.

Piwo podziałało na Lynyrda trzeźwiąco. Kiedy pochłaniał ostatnie łyki z puszki, był już całkiem przytomny.

– Kochaniutki, a co ty się tym niebieskim ptakiem sprzed lat tak interesujesz niezdrowo? – zapytał. – Wpadł ci w oko?

– Bynajmniej.

– Mam nadzieję, że nie zostawisz mnie po przystawkach. – Podniósł znacząco pustą już puszkę.

– Kupię ci jeszcze jedno piwo, jak opowiesz mi o Wilim.

– A co ja o nim wiem?

Marcin wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożoną na czworo kartkę z wydrukiem fotografii.

– To on?

– To on, niech mnie kule biją! Tylko jakiś taki podstarzały się zrobił herbatnik. Pocieszające, że czas nikogo nie oszczędza.

Marcin pokiwał głową.

– J-jasne. Pomogłeś mi. Chodź, postawię ci jeszcze jedno piwo.

\*

Następnego dnia Marcin zatelefonował do Szawczaka. Parol odebrał po kilku długich sygnałach. Nie sprawiał wrażenia chętnego do pracy.

– Co jest? – ziewnął.

– Chyba nie śpisz?

– Oczywiście mam otwarte – burknął Parol.

– To włącz jeszcze myślenie. Znajdź mi wszystko o jednym gościu. Ale naprawdę wszystko. Życiorys od podstawówki, gdzie mieszkał, z kim spał, co robił.

– Na kiedy?

– Na wczoraj.

Parol próbował się jeszcze bronić.

– Skończyliśmy już to cholerne śledztwo.

Marcin przystanął przed wejściem do swojego bloku na Kossak-Szczuckiej. Natrętna sąsiadka z parteru schodziła akurat po schodach. Ostatnimi wydarzeniami pewnie zepsuł sobie u niej do reszty opinię. Nieoczekiwanie poczuł się z tym całkiem dobrze.

– Głupia stara baba – mruknął przez zęby.

– Co mówisz? Powtórz – odezwał się w słuchawce Parol.

– Pytam, czy według ciebie skończyliśmy wszystkie wątki w śledztwie.

– Nie – odpowiedź padła po sekundowej pauzie. – Jak on się nazywa?

Marcin powiedział mu nazwisko. Parol w jednej chwili wrócił do realu.



– Biorę się do roboty – powiedział. – Jak coś będę wiedział, dam znać.

\*

Wieczorem Zakrzewski siedział w swoim ulubionym fotelu z butelką zimnego piwa w dłoni. Rozwagał bardzo ważną dla niego w tym momencie kwestię: czy pójść do lodówki po drugie piwo, czy może sięgnąć do barku i napić się dobrej whisky z lodem. Na razie nie był w stanie się zdecydować. Z głośników, może odrobinę zbyt głośno, wylewała się ściana dźwięków z jednej z jego ulubionych płyt. Tilo Wolf, dziwnie ubrany Austriak z jeszcze dziwniejszą fryzurą, absolutny pan i władca w zespole Lacrimosa, w tekście utworu *Copycat* z płyty *Still* podejmował temat, który był akurat znany Zakrzewskiemu aż nazbyt dobrze. Refren był szczególnie niepokojący. Marcin ustawił na odtwarzaczu powtarzanie ostatniego utworu i słuchał go już po raz nie wiadomo który.

But why, but why, why are you so stupid?

But why, but why, why are you so stupid?

I nagle przestał cokolwiek słyszeć. W jego głowie kolejne puzzle skomplikowanej układanki trafiły na właściwe miejsce. Tylko czy na pewno? Pokręcił głową, sięgnął po pilota i wyłączył muzykę. Czy na pewno?

Odstawił pustą butelkę po piwie i sięgnął po swoje zapiski. Nie było ich wiele. Nie miał w zwyczaju robić notatek podczas prowadzenia śledztwa. Zapisywał tylko najistotniejsze fakty. Zdecydowana większość z nich i tak po chwili stawała się nieistotna.

Teraz interesowały go daty sprzed wielu lat. Odszukał je szybko i porównał. Pasowały do jego koncepcji, lecz nagle opadły go wątpliwości. Ponownie pokręcił głową.

– Niemożliwe – mruknął pod nosem.

Już chciał wstać, żeby sięgnąć po butelkę whisky, jednak coś mu nie pozwoliło. Wiedział, że wątpliwości można rozwiązać tylko w jeden sposób.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Ireny Korcz.

Zajęte.

Nie szkodzi, poczeka. Nalał sobie sporą porcję whisky, wrzucił do szklanki kilka kostek lodu i znowu usiadł w fotelu.

Irena Korcz oddzwoniła po kilku minutach.

\*

Szawczak usiadł przy jego biurku w komendzie wojewódzkiej, a potem rozłożył notatki i kserokopie różnych dokumentów. Starał się mówić spokojnie, jednak na jego policzkach wykwitły na czerwono oznaki wyjątkowego podekscytowania.

– Przez cztery lata studiował farmację na Akademii Medycznej we Wrocławiu. Nie wiadomo, dlaczego jej nie skończył. Pewnie oblał jakieś egzaminy. Potem przez kilka lat był laborantem. Zajmował się nawozami i środkami ochrony roślin, ale miał dostęp do różnych innych substancji chemicznych.

– I co dalej?

– Niewiele dało się znaleźć w tak krótkim czasie. Ożenił się, ma dzieci, został dziadkiem, utrzymuje się, prowadząc własną działalność gospodarczą.

– Studia i laboratorium to trochę za mało. – Zakrzewski pokręcił głową.

Parol wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Mam coś w zanadrzu – powiedział bardzo z siebie zadowolony. – Wnuczka faceta choruje na bardzo rzadką chorobę genetyczną. Żeby mogła dalej normalnie żyć, potrzebna była operacja. Sęk w tym, że takie operacje wykonuje się tylko w jednym ośrodku w Stanach. Koszt też jest

niebagatelny, dwieście tysięcy dolarów. Pieniądze zbierała fundacja specjalizująca się w pomocy takim dzieciom. Kilka miesięcy temu uzbierano pełną kwotę i mała przeszła tę operację. Wszystko się udało i dziecko już jest w domu.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Trochę ma. Pamiętasz, że Rudnicki kilka miesięcy przed śmiercią wypłacił sto tysięcy w gotówce?

Marcin natychmiast przypomniał sobie, że tego dnia, kiedy w jego części miasta była awaria wody, a rowerzysta wpadł do wykopu, rozpatrywał wszystkie interesujące wątki. Przy nazwisku Rudnickiego zaznaczył wypłatę stu tysięcy. Czyżby wtedy miał rację?

– Otóż dwa dni później taką samą kwotę w gotówce wpłacił na konto fundacji nasz podejrzany, dziadek dziewczynki.

Marcin podrapał się po policzku i popatrzył Parolowi w oczy.

– Miał gdzie przez tyle lat trzymać zwłoki?

– Myślę, że tak – odrzekł Parol. – Jest właścicielem kilku nieruchomości, między innymi domu w podwrocławskiej wsi, który odziedziczył po rodzicach. Zrobił mały remont i przez wiele lat spędzał tam samotnie weekendy. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek go odwiedzał.

– A jego żona?

– Od lat żyją jak pies z kotem. Jeden z jego pracowników twierdzi, że już dawno by się rozwiedli, ale ona nie ma wykształcenia i nie przepracowała w życiu ani jednego dnia. Ciągnie od męża kasę.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

– I co robimy? – zniecierpliwił się wreszcie Parol. – Pogadasz z Grabskim?

– Przemyślę to jeszcze, ale chyba jutro z nim porozmawiam. Może na początek wezwiemy faceta na przesłuchanie w charakterze świadka?

\*

Stefan Wilski siedział w swoim ulubionym fotelu na werandzie domu położonego we wsi Krępace. Nadal panowały nieznosne upały, ale weranda położona była od północnej strony, jej dach i jeden z boków porastała gęsta winorośl, dając cień. Do tego wiatrak stojący w przeciwległym kącie powodował ruch powietrza, który wprost przyjemnie chłodził skórę.

Poza tym Wilski miał swój sposób na upały. Pił dużo gorącej herbaty z cytryną i dwiema łyżeczkami cukru. Chętnie wlałby sobie jeszcze do szklanki z herbatą pięćdziesiątkę wódki. Niestety, na razie nie było takiej możliwości. Córka kręciła się po domu i co jakiś czas do niego zaglądała.

– Jak się czujesz? – pytała.

– Dzisiaj czuję się doskonale – odpowiadał dziarsko.

Uśmiechała się i znikła we wnętrzu domu.

Czy podejrzewała, że nie mówi prawdy? Zapewne. Jednak tak skutecznie wprowadzał ją w błąd swoimi uśmiechami, że raczej nie domyślała się, jak bardzo jest z nim źle.

Bolało jak cholera. Ból promieniował na cały brzuch, powodując do tego mdłości, nacisk na pęcherz i nieprzyjemne uczucie mrowienia pod czaszką. Co chwilę chodził do łazienki, lecz wcale nie miał takiej potrzeby. Ból go w bezczelny sposób oszukiwał.

Żeby chociaż mógł wypić pięćdziesiątkę. Alkohol był również skutecznym środkiem znieczulającym. Spokojnie – pomyślał. –

Wieczorem znajdzie się okazja i przez nikogo niekontrolowany wypije sobie porządny kieliszek. Może nawet dwa. Cholera, nawet nie wiedział dokładnie, co go w danej chwili boli.

Bóle miewał od kilku miesięcy. Zdecydował się pójść do lekarza, kiedy napady się nasiliły. Okazało się, że to rak żołądka w bardzo zaawansowanym stadium.

No cóż, takie bezsensowne jest życie. Wydaje ci się, że jeszcze wszystko masz przed sobą, a tu nagle bęc – wyrok śmierci. Przecież był dopiero po sześćdziesiątce. I to nie serce, z którym miał kłopoty już od kilkunastu lat, go zabije. Ponura ironia losu.

Diagnozę usłyszał dopiero trzy dni wcześniej. Czekał na wyniki dodatkowych badań i skierowanie na chemioterapię. Córki były w szoku. Ta cholerna stara żoła, jego żona, pewnie się cieszyła. Nareszcie będzie dysponować majątkiem, który dostanie w spadku. Pewnie zaraz wszystko sprzeda i wyjedzie do sanatorium szukać przygód. Jakoś go to nie interesowało. Bardzo szybko pogodził się z nieuchronnością śmierci. Nawet się ucieszył. Może to będzie lekarstwo na pustkę, która od kilkunastu miesięcy wypełniała jego duszę.

Dobrze, że przynajmniej jego wnuczka Asia będzie mieć po operacji normalne życie. Nic innego się w tej chwili nie liczyło. Nawet jego zdrowie.

Napił się herbaty. Niestety, zdążyła trochę ostygnąć. Skrzywił się z niesmakiem. Miał już zawołać córkę, kiedy nagle do jego uszu doleciały strzępki rozmowy. Ktoś obcy był w domu. Jakiś mężczyzna.

Siedmioletnia Asia przybiegła do niego i powiedziała zziębnięta:

– Dziadku, masz gościa!

– Dziękuję ci, skarbie – pogłaskał ją po jasnej główce.

Świątynia młodości, oaza radości, kwintesencja jego życia. Dla niej zrobiłby wszystko.

Wysoki mężczyzna w dżinsach i czarnej koszulce stanął na progu werandy. Wilski pamiętał te przydługie włosy z pasmami siwizny i zamyślane spojrzenie zaczerwienionych, błyszczących oczu.

– Komisarz Zakrzewski, komenda wojewódzka policji we Wrocławiu.

Błysnęła legitymacja. Stary człowiek nawet na nią nie spojrzał. Wskazał krzesło stojące tyłem do ściany winorośli.

– Poznaję pana, komisarzy. Proszę siadać. Napije się pan czegoś?

– Dziękuję, pana córka już pytała.

– Szkoda. Wie pan, że na takie upały najlepsza jest gorąca herbata?

Policjant skinął głową.

– Słyszałem taką opinię.

Tymczasem wnuczka gospodarza rozsiadła się na dobre na jego kolanach i ciekawie przyglądała się gościowi.

– Ma pan pistolet? – zapytała nagle.

Komisarz uśmiechnął się do niej wesoło. Nachylił się i powiedział szeptem:

– Mam, ale to jest tajemnica. Nie zdradzisz nikomu?

W oczach dziewczynki błysnęło podekscytowanie.

– Nikomu nie powiem – odpowiedziała i szturchnęła dziadka.

– Ty też nic nie możesz powiedzieć.

– Będę milczał. – Wilski skinął głową.

– A pokaże mi pan ten pistolet?

– Niestety regulamin mi tego zabrania.

Dziewczynka westchnęła, szczerze zawiedziona.

– Szkoda...

Wilski roześmiał się.

– Pójdź się teraz pobawić w domu, muszę porozmawiać z panem policjantem o bardzo ważnych sprawach.

– Dobrze, dziadku.

Zakrzewski uważnie przyglądał się, jak gospodarz odprowadza ją wzrokiem pełnym uwielbienia.

– Bardzo mądra dziewczynka – powiedział.

– Moja Asia jest cudowna – odparł gospodarz. – Jeszcze niedawno była ciężko chora. Na szczęście jest po operacji,

lekarze mówią, że wszystko będzie dobrze. Wie pan, nawet jak bardzo chorowała, nigdy się nie skarżyła.

– Dzieci czasem są zadziwiająco silne.

– Żeby pan wiedział, komisarzu.

Policjant spojrzał nagle Wilskiemu w oczy.

– Sprzedał pan miłość swojego życia, żeby ją ratować, prawda?

Słowa trafiły Wilskiego dokładnie tam, gdzie miały trafić, i zrobiły na nim dokładnie takie wrażenie, jakie miały zrobić. Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Poczul, jak zaczynają mu się nagle trząść ręce. Zrobił się trupio blady na twarzy. Z trudem przełknął ślinę.

– Nie wiem, o co panu chodzi... – odpowiedział z widocznym wysiłkiem.

Zakrzewski wyciągnął z tylnej kieszeni złożoną na czworo fotografię. Rozłożył ją i podał w jego kierunku. Wilski odruchowo ją wziął, chociaż wszystko mu mówiło, że popełnia błąd. Spojrzał na swoją Jagodę z dawnych czasów i nagle zapadł się w siebie. Ból gdzieś zniknął, świat zawirował, głos policjanta przez chwilę dochodził do niego jakby z zaświatów. Jego Jagoda. Ukochana, jedyna, niepowtarzalna. Tylko jego przez wiele lat.

– Alicja Zawistowska była naprawdę piękną kobietą – mówił policjant. – Wcale się nie dziwię, że się pan w niej zakochał. Zresztą słyszałem, że niejeden się w niej kochał.

Wilski chciał coś powiedzieć, lecz gardło zmieniło mu się w papier ścierny. Sięgnął po szklankę z herbatą, jednak jego ręka zawisła w powietrzu.

– Nawet pana rozumiem, panie Wili. Taką miał pan przed laty ksywę, prawda? Od nazwiska Wilski. Strasznie się pan musiał czuć, wybierając między dwiema kobietami swojego życia. Rozumiem, że wnuczka jest teraz dla pana ważniejsza. Proszę mi tylko powiedzieć, jak się pan czuł, kiedy sprzedał pan Jagodę Rudnickiemu za sto tysięcy złotych. Ciężko było?

W oczach komisarza można było dostrzec smutek, troskę, a nawet współczucie. Tak było w istocie, czy jego słowa należało traktować jako kpinę? Chyba nie.

– Czułem się strasznie – wychrypiał w końcu Stefan Wilski. – Została po niej taka pustka.

Opuścił głowę na piersi i poczuł szczypanie w oczach. Nigdy by nie przypuszczał, że zareaguje w ten sposób. Może dlatego, że po tej transakcji nigdy więcej już o niej nie pomyślał. Liczyła się tylko wnuczka. Ona zajęła miejsce Jagody w jego sercu. Teraz nagle uświadomił sobie, że ma tam wielką krwawiącą ranę. Przełknął łzy i spojrzał na policjanta twardo.

– Kochałem ją. Przez te wszystkie lata miała u mnie dobrze.

– J-jasne.

– Opiekowałem się nią.

– Ona od trzydziestu lat była martwa, panie Wilski. To, co pan robił, nazywa się nekrofilia.

Gospodarz podniósł głos o pół tonu.

– Gównu o tym wiesz, komisarzu! Martwa to ona była dla was! – rzucił, jednak zaraz się opanował. – Dla mnie była zawsze żywa i tak samo piękna jak na tej fotografii. Kochaliśmy się ponad życie. Nikt nie jest w stanie zrozumieć uczucia, które nas łączyło. Wie pan, dlaczego? Bo było darem od Boga. To było czyste i szlachetne uczucie. Możecie traktować mnie jak zboczeńca i zwyrodnialca, ale tak właśnie było. Jagoda nigdy nie zaznała ode mnie krzywdy. Była moim natchnieniem i wsparciem. Dawała mi siłę do życia.

Na werandzie zapadła cisza. Tylko wiatrak szumiał w kącie, jakby próbował wystartować i odlecieć do lepszego świata. Takiego świata nie było, więc nie wzbił się nawet o milimetr ponad podłogę.

– Nie oceniam pana – odezwał się Zakrzewski. – Niestety, inni będą pana musieli ocenić. Pana czyn przez prawo karne jest



traktowany jak przestępstwo. Będę pana musiał aresztować i stanąć pan przed sądem.

Wilski pokiwał głową.

– Już teraz mam z panem iść? Proszę bardzo!

– Nie mam jeszcze nakazu aresztowania. Najpierw chciałem z panem porozmawiać. Zrozumieć, jak do tego doszło, co zdecydowało, że spreparował pan ciało Alicji Zawistowskiej i przez tyle lat je przechowywał.

– Miłość, panie komisarzu. – Gospodarz się uśmiechnął. – Wyłącznie miłość.

Zdjęcie wysunęło się z dłoni Wilskiego i spadło na podłogę. Policjant szybko je podniósł, złożył i schował do kieszeni. W tym samym momencie na werandę zajrzała córka Wilskiego. Popatrzyła podejrzliwie na Zakrzewskiego, po czym przeniosła wzrok na ojca.

– Wszystko w porządku? Dziwnie jakoś wyglądasz.

Stefan uśmiechnął się blado.

– To przez ten cholerny upał.

Kobieta wróciła do domu, wciąż jednak zerkając na nich podejrzliwie.

– Kochałem Jagodę, odkąd ją po raz pierwszy zobaczyłem w tym mieszkaniu na Pawłowa – zaczął cicho mówić Wilski. – Potem przychodziłem tam tylko dla niej. Siedziałem cały wieczór, obserwowałem, jak się śmieje, słuchałem jej głosu, łowiłem każde z niewielu jej spojrzeń w moim kierunku i wyobrażałem sobie, że kiedyś będziemy szczęśliwi razem. Każdy jej nowy kochanek był jak cięcie nożem przez moją duszę. Znosiłem to jednak dla niej. Dla nas.

Głos zawisł na chwilę w ciężkim od gorąca powietrzu.

– Kiedy już prawie zwątpiłem w szczęśliwe zakończenie, któregoś dnia przyszła do mnie po pomoc. Wyobraża pan sobie? Do mnie! Spełniły się wszystkie moje najskrytsze marzenia. Nie miała gdzie mieszkać, za co żyć, miała

kilkumiesięczne dziecko. Byłem w stanie uznać dziecko za swoje, żeby tylko chciała ze mną być. Nawet ze mną zamieszkała. Trwało to może ze dwa tygodnie. Najszczęśliwszy okres w moim życiu.

– A potem chciała odejść, więc ją pan zabił – odezwał się Marcin.

– Nie! – oburzył się Wilski. – W życiu bym jej nie skrzywdził! Pogodziłem się z tym, że chce odejść. Pamiętam to jak dziś. Byliśmy tu, w tym domu, zrobiło się późno. Powiedziałem, że odwiozę ją do Wrocławia. Teraz wiem, że nie powinienem był tego robić. Piliśmy alkohol, dużo alkoholu. Byłem zdenerwowany. Jechaliśmy moim fiatem 125. Przed Leśnicą wpadłem w poślizg, samochód uderzył w drzewo, potem dachował w rowie. Mnie nic się nie stało. Tylko Jagoda... – Słowa przechodziły mu przez usta z coraz większym trudem. – Zginęła na miejscu. Wtedy postanowiłem, że się nią zaopiekuję. Ciało schowałem w lesie, wezwałem pomoc. Nie było świadków. Powiedziałem, że autem jechałem sam. Wróciłem po Jagodę nad ranem. I się nią zaopiekowałem. Studiowałem farmację, znałem się na tym. I odtąd przez te wszystkie lata, kiedy tylko miałem wolny weekend albo urlop, mieszkaliśmy tu razem. Jadaliśmy razem obiady, piliśmy wino, oglądaliśmy telewizję, spaliśmy w jednym łóżku, kochaliśmy się. Naprawiałem ją przez te lata, kiedy tylko coś zaczynało się... psuć.

Zamilkł i wytarł łzy w kącikach oczu.

– I co teraz ze mną będzie, komisarzu?

Zakrzewski w zamyśleniu pocierał policzek. Wreszcie podniósł wzrok na Wilskiego.

– Każdy przypadek nekrofilii staje się czymś w rodzaju niezdrowej sensacji – powiedział. – Traktowany jest jak obrzydliwe, niemieszczące się w żadnych kanonach zwyrodnienie. Zwykle policja stara się ukrywać takie przypadki. Nie zawsze się jednak udaje i coś przecieka do

mediów. Pana przypadku nie da się ukryć, panie Wilski. O ile się nie mylę, na świecie opisany jest tylko jeden przypadek nekrofilii trwającej tyle lat. Stanie się pan sensacją.

Wilski był coraz bardziej blady. Nie ukrywał już drżenia rąk.

– Moja rodzina, moja wnuczka... – wyszeptał.

Komisarz patrzył na niego twardo.

– Niestety, poniosą wszystkie negatywne konsekwencje szumu wokół pana osoby – odrzekł. – Wnuczce pewnie ktoś kiedyś wytłumaczy, co zrobił jej dziadek.

Gospodarz długo wpatrywał się w swoje dłonie. Zakrzewski myślał już, że stary zasłabł, gdy dobiegł go cichy głos:

– Mam raka, komisarzu. Umieram. To już nie potrwa długo.

– Przykro mi.

– Proszę, moja wnuczka nie może się o tym dowiedzieć.

Proszę!

Zakrzewski wstał i zrobił dwa kroki w kierunku wyjścia.

– Zakrzewski, proszę cię!

Przez twarz policjanta przeleciał cień, który nagle zmienił się w trudny do odgadnięcia wyraz. Wahał się. Wreszcie zaczął, nie patrząc na Wilskiego:

– Za dwa dni będę rozmawiał z prokuratorem o wezwaniu na przesłuchanie, które pewnie skończy się aresztowaniem. Sprawa mogłaby zostać umorzona tylko w jednym przypadku. Moglibyśmy się z prokuratorem postarać, żeby szybko trafiła do archiwum i żeby nikt się nią nie zainteresował.

Dopiero wtedy spojrzął na Wilskiego. W oczach gospodarza na moment błysnęła nadzieja, która gasła z każdym kolejnym słowem. Był blady, lecz nagle na jego wąskich wargach pojawiło się coś na kształt uśmiechu. W głosie zabrzmiało zdecydowanie.

– Dziękuję, komisarzu!

Zakrzewski pokiwał głową i wyszedł, zostawiając za sobą szumiący wiatrak.

\*

Wraz z początkiem tygodnia prokurator Marek Grabski wprowadził się do świeżo wyremontowanego biura. Na nowym, stylowym biurku stało nierozpakowane kartonowe pudełko z artykułami biurowymi. Pod ścianami było więcej takich pudełek, czekających, aż akta prowadzonych przez Grabskiego spraw trafią do metalowych szafek po prawej stronie. Meble pachniały nowością, całe biuro świeżą farbą. Akurat ten zapach prokurator wyjątkowo lubił. Tylko ten nowy fotel... Nie wiedział, kto wpadł na pomysł, żeby kupić takie fotele. Podobno były ergonomiczne, ale nie dało się na nich siedzieć. Poszedłby pewnie poszukać starego krzesła, gdyby nie Zakrzewski, który zjawił się u niego niezapowiedziany z takim tematem, że Grabski na chwilę zapomniał o swoim pokutnym siedzisku.

– Miałeś rację, że to nie był Rudnicki – powiedział, podnosząc głowę znad papierów.

– Od początku pisarz nie pasował mi do profilu nekrofila – odrzekł krótko policjant.

– Jesteś pewien, że Alicja Zawistowska nie została zamordowana?

Zakrzewski rozłożył ręce.

– Nie mam żadnych dowodów. Pewnie trudno byłoby cokolwiek udowodnić. Jednak rozmawiałem ze Stefanem Wilskim w czwartek w zeszłym tygodniu. Jego opowieść brzmiała bardzo wiarygodnie. Wydaje mi się, że był szczery. Zresztą raport z sekcji zwłok wspominał o uszkodzeniach kości podobnych do tych, które następują po wypadku komunikacyjnym.

– Więc znowu ciąg nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności?

– Jak to w życiu.

Prokurator Grabski zamknął teczkę z papierami i odchylił się w niewygodnym fotelu. Nie minęła godzina, odkąd w nim usiadł, a już czuł ból w okolicy lędźwiowej kręgosłupa. Musi gdzieś znaleźć swoje stare krzesło.

– Jednego nie rozumiem – odezwał się po chwili przerwy. – Po co Wilski wchodził do tego pustostanu w kamienicy na Siemieńskiego i udawał, że odnalazł zwłoki?

– Kochał ją.

– Co ty pieprzysz, Marcin!

– On naprawdę przez te wszystkie lata ją kochał. Z miłości można zrobić różne rzeczy.

Marcin pomyślał nagle o Renacie vel Magdzie i słowach, które wypowiedziała podczas ostatniego spotkania w jego mieszkaniu.

– Z miłości można zabić. Można też przez jakiś czas naiwnie się oszukiwać, udając, że po śmierci nic się nie stało i życie toczy się jak dawniej.

– Nigdy tego nie pojmę.

– Ja też. Rudnicki nie miał gdzie przechowywać zwłok Zawistowskiej. Wilski przeniósł je więc do jednego z pustostanów, o którym wiedział, że w przyszłości trafi do remontu i będzie go wykonywała właśnie jego firma. Kiedy dowiedział się, że Rudnicki został zamordowany, żał mu się zrobiło Zawistowskiej i postanowił ujawnić jej ciało tak, żeby nikt go nie podejrzewał. Załatwił w magistracie przyspieszenie decyzji o remoncie i wkroczył na poddasze ze swoją ekipą. Wszystko wyszło perfekcyjnie. Tylko ja jak zwykle byłem zbyt dociekliwy.

– Nadal masz zamiar odejść z policji? – zapytał Grabski.

Zakrzewski westchnął. Jeszcze kilka dni temu by zaprzeczył. Dzisiaj nagle znowu poczuł się śmiertelnie znużony i wyeksploatowany. Tak naprawdę nie wiedział na pewno, czy chce odejść. Coś podpowiadało mu jednak, że czas na

nieodwracalne zmiany w życiu. Decyzja została już kiedyś podjęta i nie powinien się z niej wycofywać. Dla własnego dobra.

– Tak – odpowiedział krótko.

– Szkoda. – Grabski wzruszył ramionami. – Jesteś najlepszym śledczym, z jakim kiedykolwiek współpracowałem. Uważam, że mógłbyś zrobić jeszcze dużo dobrego. Poza tym nie odnajdziesz się w firmie ochroniarskiej.

– Nie przekonam się, dopóki nie sprawdzę.

Prokurator znowu spojrzał na akta.

– I co ja mam z tym teraz zrobić?

– Nic. Stefan Wilski nie żyje. Nic mu już nie możemy zrobić. Nie może ponieść żadnej kary za swoje czyny. Jeżeli zrobimy z tego aferę, najbardziej ucierpi na tym jego rodzina, która jest niewinna. Przecież nekrofilia trwająca przez trzydzieści lat jest dla prasy brukowej wymarzonym tematem. Zaraz ktoś z policji chlapnie coś na boku i pismaki nie dadzą Wilskim spokoju. Na pewno tego chcemy? Tak według ciebie powinna wyglądać sprawiedliwość?

Grabski nie dał się tak łatwo zwieść.

– Jak on właściwie umarł? – zapytał.

– Rozległy zawał. W nocy z soboty na niedzielę.

Prokurator znowu zaczął wolno przeglądać akta, jakby czegoś szukał.

– Napisałeś w raporcie, że byłeś u niego w czwartek i przyznał się do aktu nekrofilii – zauważył.

– Tak było.

– Wilski był chory na serce, prawda?

– Tak.

– Wiesz, jakie są skutki przedawkowania niektórych lekarstw na serce? Mógłbym zarządzić sekcję zwłok.

Zirytowany Zakrzewski sięgnął ręką i zamknął mu akta przed nosem.

– Marek, po co w tym grzebać? Chcesz robić karierę na krzywdzie niewinnych ludzi? Przecież tak to się skończy. Odłóżmy te akta na samo dno archiwum i nie wracajmy do tego tematu.

Prokurator Marek Grabski patrzył na niego w milczeniu. Zakrzewski wytrzymał ten wzrok, na jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Grabski ponownie popatrzył na leżącą przed nim szarą teczkę i pokiwał głową.

– Może masz rację. Nie ma sensu tego rozgrzebywać.

– Wiedziałem, że jesteś porządnym facetem.

Grabski uśmiechnął się pod nosem.

– No to chodź, zapalimy po fajce jak dwaj porządni ludzie.

– Tam, gdzie zwykle palisz w tajemnicy przed wszystkimi? – Zakrzewski uśmiechnął się ironicznie.

– Tak.

Gdy wychodzili na korytarz, Marcin dodał:

– Tylko wiesz, że ja nie mam papierosów.

– Wiem. Nie kupujesz, żeby się nie uzależnić.

– J-jasne.

\*

Hanna Duciak wyglądała jak zwykle prześlicznie z długimi włosami spiętymi w koński ogon. W skórzanym stroju, z kaskiem motocyklowym w ręku, robiła jeszcze większe wrażenie. Umówili się przed Żabką na Hłaski, na jedenastą. Była punktualnie. Zaparkowała za rogiem i teraz wolno szła w kierunku Marcina, z niepewnym wyrazem twarzy. Nie widzieli się przecież od tamtego feralnego wieczoru zakończonego burzowym armagedonem, który przetoczył się nad miastem.

Marcin czekał od kwadransa. Stał oparty o balustradę przy podejździe dla wózków inwalidzkich. Pod pachą trzymał

papierową, wiązaną teczkę. Tego dnia upał jakby sam się sobą zmęczył i zaszył się gdzieś w sobie tylko znanym miejscu. Niebo pokryły ciężkie chmury i od czasu do czasu siąpił deszcz. Czuć było przyjemny chłód po tygodniach skwaru. Teraz nie padało, chociaż z zachodu nadciągała ciemna chmura. Tak jak wtedy. Tylko że nic nie zapowiadało kataklizmu, przynajmniej nie w pogodzie.

– Cześć. – Stała przed nim niepewna jego reakcji.

– Cześć! – Uśmiechnął się do niej szczerze. – Fajnie, że przyjechałaś.

– Wahałam się. Marcin, chciałam cię przeprosić za tamto... – Głos jej się trochę załamał, ale starała się być dzielna i nie uronić ani jednej łzy.

– Mnie nie musisz przeproszać – odpowiedział. – Przeproś tych, którym naprawdę narobiłaś kłopotu.

Michał Ruciński nadal był zawieszony i nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie wróci do pracy.

– Próbowałam. Bezskutecznie.

Zakrzewski wzruszył ramionami.

– Ja ci w tym nie pomogę – westchnął. – Jak twój proces?

– Sąd zwolnił mnie za kaucją – wyjaśniła. – Mój adwokat wnosi o wyrok w zawieszeniu. Mówi, że jakaś mała szansa jest. Prokurator chce mnie wsadzić na cztery lata.

– J-jasne.

Czarna chmura wciąż się zbliżała. Tym razem Marcin zamierzał ją uprzedzić.

– Pamiętasz, jak kiedyś mówiłaś mi, że chciałabyś poznać swojego ojca bez względu na to, kim teraz jest?

Hanna Duciak zrobiła się nagle blada. Skinęła tylko głową. Zakrzewski musiał się upewnić.

– To nadal aktualne?

– Tak.

– Bez względu na to, kim jest?



Nie zawahała się ani przez moment, więc uznał, że jest szczerą. Podał jej papierową teczkę.

– Co to jest? – zapytała niepewnie.

– Wynik badania DNA i porównanie go z wynikami zgromadzonymi w policyjnej bazie. Jest jedno trafienie. Niejaka Jadwiga Poznańska okazała się córką badanego.

Hanna wstrzymała nagle oddech. Na jej policzki wystąpiły rumieńce. Drżącymi z podniecenia palcami rozwiązała teczkę i szybko przeleciała wzrokiem znajdujący się tam dokument. Zaraz podniosła na niego wzrok i zapytała:

– Gdzie on jest?

Wskazał za siebie.

– Tam. Siedzi na schodach między blokami.

Kobieta spojrzała we wskazaną stronę i zamarła. Zrobiła krok do przodu, potem wycofała się, odwróciła i stała z mocno zaciśniętymi powiekami przez dobrych kilka sekund. Wreszcie zdecydowała się i nie patrząc już na Marcina, poszła.

Zakrzewski obserwował ich przez chwilę.

Lynyrd siedział na swoim stałym miejscu na schodach między dwoma blokami. Ubrany w te same skórzane spodnie, na gołe ciało zarzuconą miał kraciatą flanelową koszulę. Siwe włosy falowały mu na wszystkie strony wraz z podmuchami wiatru. Cały pogrążony był w dymie z papierosa, któremu pewnie najpierw urwał filtr.

Marcin widział, jak Hanna zbliża się do niego, po czym siada obok. Dalej nie patrzył. Odwrócił się i poszedł okrężną drogą przez Tyrmanda do swojego mieszkania na Kossak-Szczuckiej.

Był zdecydowany. Przecież postanowił, że dokona radykalnej zmiany w swoim życiu. Ostatnie śledztwo właśnie się zakończyło.

Wyciągnął telefon i wykręcił numer do szefa agencji ochrony. Adam Bober zgłosił się po dwóch sygnałach.

– Miałem dać znać, jaka jest moja decyzja w sprawie pracy do końca lipca, ale sam pan rozumie, było wielkie zamieszanie.

– Nie ma problemu, panie Marcinie. Sam kiedyś byłem policjantem – roześmiał się Bober. – Nieraz zdarzało mi się zatracić w pracy.

– Można to tak nazwać.

– No cóż, ja osobiście bardzo żałuję, że się pan nie zdecydował pracować dla mnie. Rozumiem jednak i szanuję pana decyzję.

Zakrzewski przystanął zdziwiony.

– Słucham?

– Dwa dni temu telefonował do mnie Marek Grabski – wyjaśnił Bober. – Po wielu latach nareszcie poszliśmy na piwo. Wspomniał mi, że zdecydował się pan jednak zostać w policji.

Marcin nagle zrozumiał. Słuchał głosu w telefonie, błądząc myślami gdzie indziej.

– J-jasne – mruknął tylko.

– Przepraszam, jeśli się wygadałem. Być może sam chciał mi pan to zakomunikować.

– No tak.

– Proszę się jednak nie denerwować na Marka. Poświadczam, że zrobił to zupełnie przypadkowo.

– Nie wątpię.

– Tak czy inaczej – kontynuował właściciel agencji – rozumiem, że wolał pan zostać w policji. Jest pan jednym z najbardziej utalentowanych śledczych w kraju. Pracował pan na taką opinię wiele lat. Trudno to w jednej chwili przekreślić.

Marcin nie odpowiedział. Wraz z podmuchem chłodnego wiatru nadleciały drobinki deszczu i uderzyły go w twarz. Ocknął się z chwilowego odrętwienia.

– Mam nadzieję, że nie sprawiłem kłopotu – powiedział.

– Oczywiście, że nie. Powodzenia. Cześć!

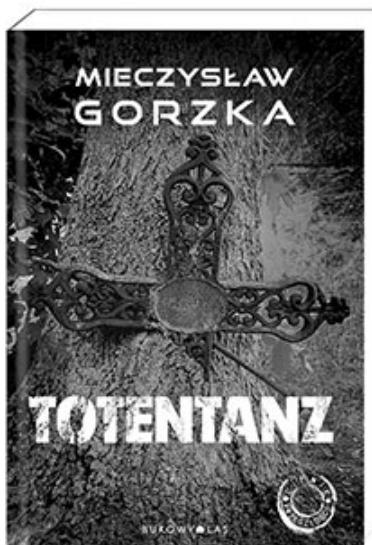
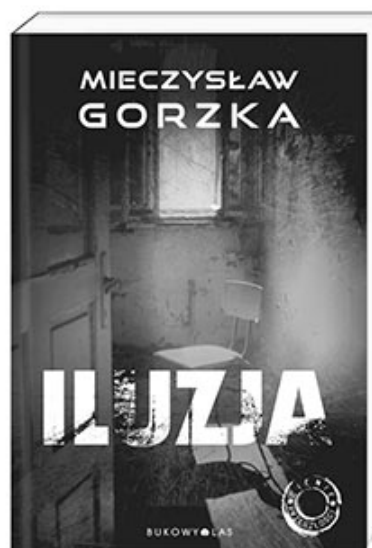
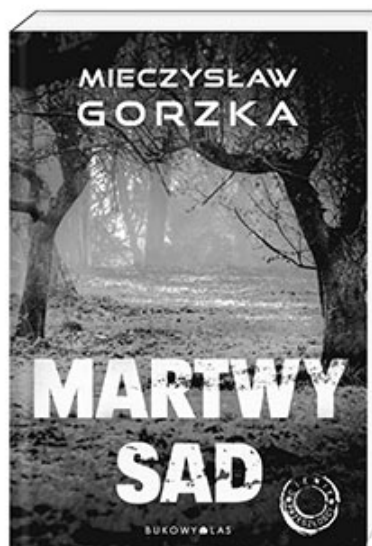
Komisarz Marcin Zakrzewski stał, wpatrując się w wygaszony ekran telefonu. Oceniał swoje uczucia. Ze zdziwieniem zauważył, że nagle poczuł wielką ulgę, a zaraz potem falę spokoju. Przecież tak naprawdę nie chciał niczego zmieniać. Oszukiwał się. Nie potrafił przyznać sam przed sobą, że nie może rzucić tej roboty. Tak jak to powiedział Grabski: była jak narkotyk, a on był poważnie uzależniony.

– Cholerny Grabski – szepnął bezgłośnie.

Wystawił twarz na krople wzmagającego się deszczu i nagle zaczął się śmiać.

*czerwiec 2016–grudzień 2018*

Wydawnictwo Bukowy Las  
poleca cykl  
CIENIE PRZESZŁOŚCI



*w przygotowaniu*



foto: Paweł Ciesarz

## MIECZYŚLAW GORZKA

urodził się w Środzie Śląskiej,  
ale od trzydziestu lat mieszka we Wrocławiu.  
Z wykształcenia ekonomista, prowadzi własną  
firmę zajmującą się podatkami i księgowością.  
Z zamiłowania piwowar i astronom amator,  
interesuje się fizyką kwantową i kosmologią,  
jak również średniowieczną historią Wrocławia  
i Śląska. Jego największą pasją od zawsze  
było i jest pisanie. Realizuje się w różnych  
gatunkach, pisząc opowiadania  
fantastyczno-naukowe, powieści fantasy,  
sensacyjne i kryminalne oraz horrory.  
*Iluzja* jest drugą po *Martwym sędzie* częścią  
cyklu powieściowego CIEŃ PRZESZŁOŚCI.  
Wkrótce ukaże się część trzecia pt. *Totentanz*.

 @Mieczyslaw.Gorzka

# ILUZJA

– TO JEST ILUZJA, ROZUMIESZ? MIESZAJĄ NAM W GŁOWACH.

Komisarz Marcin Zakrzewski jest zmęczony. Zajmuje się drobnymi przestępstwami, wyprowadza psa, słucha muzyki, spotyka się z sąsiadką, myśli o odejściu z policji. Jednak podświadomie wciąż czeka na kolejne śledztwo takiego kalibru jak sprawa seryjnego mordercy ze Szczepanowa.

Kiedy w jednej z wrocławskich kamienic zostają odnalezione zmumifikowane zwłoki kobiety, Zakrzewski jeszcze nie przeczuwa, że będzie to początek śledztwa jego życia. Tymczasem jedno za drugim pojawiają się brutalne zabójstwa, mnożą się fałszywe tropy, trudno powiązać ze sobą ofiary i brak jest wyraźnego motywu zbrodni.

Ktoś musi zapanować nad chaosem w śledztwie. Ale może chaos jest częścią genialnego planu, iluzją pozwalającą sprawcy zniknąć bez śladu? Kiedy Zakrzewski sam zostaje podejrzanym, zaczyna się domyślać, że jest rekwizytem w rękach iluzjonisty. Morderca czai się bliżej, niż mu się dotąd wydawało, a tropy znowu prowadzą w przeszłość.

**Mieczysław Gorzka wraca w świetnym stylu,  
wystawiając na próbę czytelników i wodząc ich za nos  
aż do ostatnich stron.**

„Nie mam pojęcia, jak Gorzka wymyślił tę misterną intrygę,  
ale to właściwie nie jest ważne. Ważne, że dałam się zwieść *Iluzji*!”.

Olga Gitkiewicz, autorka *Nie hańbi* i *Nie zdążę*

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Połącz nas  
na Facebooku



Patronat  
medialny

